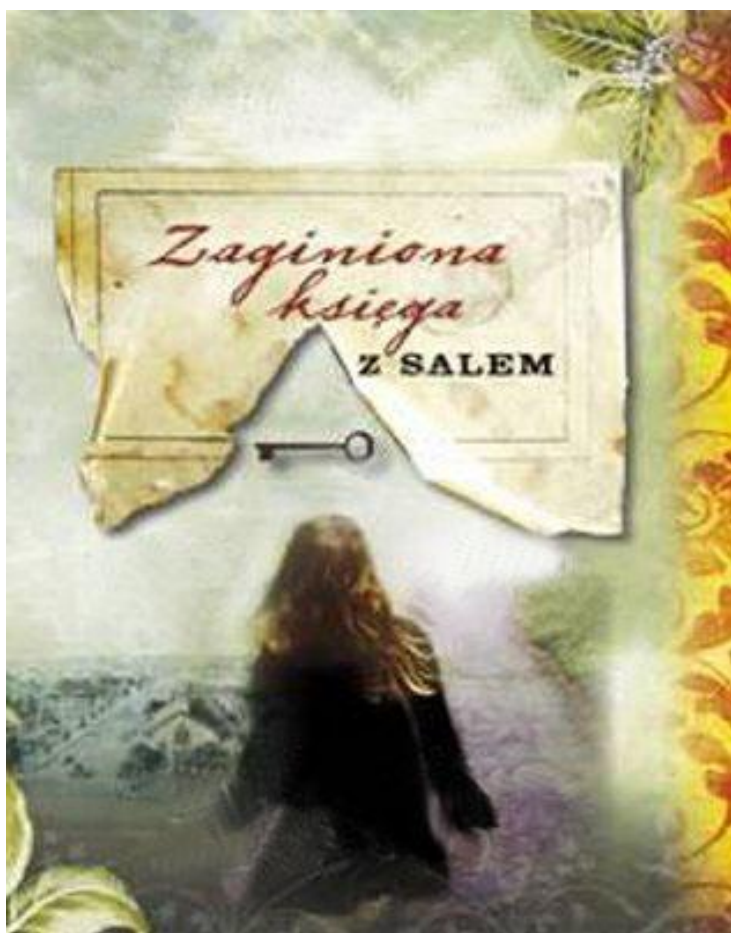




Katherine Howe

Zaginiona księga z Salem

Tytuł oryginału *The Physick Book of Deliverance*



Mojej rodzinie

TLR

Patrzyłam dzisiaj, jak Gilesa Coreya przygniatali kamieniami. Leżał tak przez dwa dni bez słowa. Przy każdym kamieniu mówili mu, żeby się przyznał, bo dołożą głazów. A on tylko szeptał „Zróbcie ciężej”. Stojąc w tłumie, spotkałam, jejmość Dane, która, gdy dołożyli ostatni kamień pobladła, chwyciła mnie za rękę i zapłakała.

Z listu datowanego „Salem Towne, 16 października 1692” Boston Athenaeum, Dział rzadkich manuskryptów

Część pierwsza

KLUCZ I BIBLIA



TLR

Prolog

Marblehead, Massachusetts

koniec grudnia 1681 roku



Peter Petford włożył długą drewnianą łyżkę do żelaznego kociołka z pyrkoczącą nad ogniem soczewicą i próbował przegonić niepokój, który zagnieździł mu się w żołądku. Przysunął niski zydzel bliżej kominka, pochylił się i oparłszy łokieć na kolanie, zaczął wdychać aromat gotowanych nasion zmieszany z wonią płonących jabłoniowych drzew. Zapach ten nieco go pokrzepił i pozwolił mu uwierzyć, że jest to całkiem zwyczajna noc, a kiedy wyjął łyżkę, żeby sprawdzić, czy ziarna są już dostatecznie miękkie, w brzuchu zaburczało mu niecierpliwie. Jako człowiek nieskłonny do refleksji, uznał, że jego żołądkowi z pewnością nie dolega nic takiego, na co nie pomogłaby miska soczewicy. Ta kobieta wnet nadjedzie, pomyślał z posępną miną. Dotychczas nie korzystał z ludowych sposobów, ale Goody Oliver nalegała. Twierdziła, że tynktury i maści tej kobiety leczą niemal wszystko. Słyszała też, że kiedyś udało jej się za sprawą czarów odnaleźć zaginione dziecko. Peter stęknął. Wypróbuje tę babę. Tylko ten jeden raz.

Z kąta ciasnej, ciemnej izby dobiegł go cichy jęk, podniósł więc głowę znad parującego kociołka, a bruzdy niepokoju na jego czole stały się jeszcze głębsze.

Pchnął pogrzebaczem polano, wzbijając trzaskający snop iskier i szarą smugę świeżego dymu, a potem dźwignął się z zydła.

- Martho? - szepnął. - Nie śpisz?

Z ciemności nie dobiegł już żaden dźwięk, więc Peter cicho podszedł do łóżka, na którym od kilku dni leżała jego córka. Odchylił baldachim z ciężkiego wełnianego sukna i przysiadł na skraju garbatego piernata, uważając, żeby nim nie poruszyć. Migoczące światło ognia przesunęło się po wełnianych kocach i objęło wymizerowaną buzię dziewczynki, otoczoną potarganymi włosami w kolorze lnu. Jej oczy, choć na wpół otwarte, były szkliste i niewidzące. Peter wygładził włosy rozrzucone na twardym zagłówku. Drobniutka dziewczynka westchnęła cicho.

- Strawa już prawie gotowa - powiedział. - Zaraz ci przyniosę.

Kiedy nakładał łyżką gorącą soczewicę na płaski gliniany talerz, wstrząsał nim bezsilny gniew. Zacisnął zęby, aby opanować to uczucie, ale uciskało go pod mostkiem i skracało mu oddech. Co ja mogę wiedzieć o opiece nad dzieckiem, pomyślał. Wszystkie nalewki, jakich próbował, tylko pogorszyły stan córki. Ostatnie słowa wypowiedziała jakieś trzy dni temu, kiedy po nocy krzykiem wzywała Sarah.

Usadowił się z powrotem na skraju łóżka i nabrawszy trochę gorących ziaren na łyżkę, wsunął ją do ust córki. Siorbnęła z trudem i cienka brązowa strużka pociekła z kącika jej ust na brodę. Peter wytarł ją kciukiem, wciąż zaczernionym kuchenną sadzą. Kiedy myślał o Sarah, zawsze coś ścisnęło go w piersi, tak jak teraz.

Skierował wzrok na dziewczynkę leżącą w jego pośłaniu i bacznie obserwował, jak opuszcza powieki. Odkąd zachorowała, spał na zapleśniałym sienniku, rzuconym na podłogę z szerokich sosnowych desek. W łóżku było cieplej, stało bliżej kominka i otaczały je zasłony z wełnianego sukna, przywiezione

jeszcze przez jego ojca z East Anglii. Przez twarz Petera przemknął ponury grymas. Wiedział, że choroba jest oznaką niezadowolenia Pana.

Cokolwiek stanie się z tym dzieckiem, stanie się z woli Bożej, tłumaczył sobie. Gniew z powodu jej cierpienia musi więc być grzeszny, bo to tak, jakby się gniewać na Boga. Sarah kazałaby mu się modlić za zbawienie duszy córki, aby Martha doznała odkupienia. Peter jednak zwykł więcej myśleć o problemach swojego gospodarstwa niż o sprawach boskich. Zapewne nie był tak dobrym człowiekiem jak Sarah. Nie pojmował, cóż to za grzech Martha mogła popełnić przez pięć lat swego życia, żeby ściągnąć na siebie chorobę, i łapał się na tym, że w modlitwach żądał od Boga wyjaśnienia. Nie prosił o zbawienie córki. Błagał jedynie, by wyzdrowiała.

Świadomość własnej pychy napełniała go gniewem i wstydem. Spoglądając na uśmiechniętą twarz córki, zacisnął pięści.

- Są pewne grzechy, które czynią nas szatanami - powiedział pastor podczas nabożeństwa w zeszłym tygodniu. Peter uszczypnął się w nos i mrużąc oczy, próbował sobie przypomnieć, o jakie grzechy chodziło.

Być kłamcą albo mordercą, to na pewno. Kiedyś przyłapali Marthę na ukrywaniu brudnego kociaka w domowej spiżarni, ale na pytanie Sarah odpowiedziała, że nic nie wie o żadnym kocie. Chyba jednak nie takie kłamstwo pastor miał na myśli.

Być oszczercą lub składać fałszywe świadectwo przeciw bliźniemu swemu - to też. Kusić innych do grzechu. Sprzeciwiać się Bogu. Czuć zawiść. Oddawać się pijaństwu. Pysznić się.

Peter popatrzył na delikatną, prawie przezroczystą skórę na policzkach córki. Zacisnął pięść i wbił kostki w drugą dłoń. Jak Pan mógł zesłać takie cierpienia na niewinną istotę? Dlaczego się od niego odwrócił?

A może to nie dusza Marthy była w niebezpieczeństwie? Może dziecko poniosło karę za jego, Petera, brak wiary zrodzony z pychy?

Podczas gdy ten nieoczekiwany lęk rozkrzewiał się w jego sercu, Peter usłyszał zbliżający się tętent końskich kopyt na błotnistej drodze, który zamarł przed jego domem. Zabrzmiały stłumione głosy - mężczyzna zamienił kilka słów z młodą niewiastą - zaskrzypiała skóra siodła i coś plasnęło. Musi Jonas Oliver i ta baba, pomyślał Peter. Wstał z łóżka w tej samej chwili, gdy rozległo się ciche pukanie do drzwi.

Na ganku stała młoda kobieta o łagodnej, szczerzej twarzy, odziana w wełnianą pelerynę z kapturem, lśniącą od wieczornej mgły. Trzymała małą skórzaną torbę. Biała ufryzowana koafiura wręcz kazała wątpić, czy kobieta rzeczywiście spędziła w podróży wiele mil. Za jej plecami majaczyła w mroku znajoma postać Jonasa Olivera, farmera z sąsiedztwa.

- To wy jesteście Petford? - spytała młoda kobieta, rzucając mu szybkie spojrzenie.

Skinał głową. Obdarzyła go krzepiącym uśmiechem, energicznie strząsnęła krople wody z peleryny i ściągnęła okrycie przez głowę. Powiesiła je na kołku przy wejściu i wygładziwszy oburącz pogniecione spódnice, szybkim krokiem przemierzyła izbę, by przykłęknąć koło łóżka dziewczynki. Peter obserwował ją przez chwilę, a potem zwrócił się do Jonasa, który tak samo przemoknięty stał na progu i głośno wydumuchiwał nos w chustkę.

- Paskudna pogoda - rzucił Peter na powitanie.

Jonas burknął coś w odpowiedzi. Schował chustkę do rękawa, kilkoma tupnięciami pozbył się błota z butów, nie ośmielił się jednak wejść do środka.

- Posilisz się przed odjazdem? - zaproponował Peter, w roztargnieniu masując dłonią kark. Nie był pewien, czy chce, żeby Jonas przyjął zaproszenie. Jego obecność tylko by go rozpraszała, a zresztą sąsiad miał jeszcze mniej ochoty na czeze gadanie. Sarah zawsze twierdziła, że Jonas Oliver nie skrzywiłby się, nawet gdyby wóz zmiążdżył mu stopę.

- Pani Oliver na mnie czeka - odparł zapytany, wzruszając ramionami. Zerknął w głąb izby, gdzie przycupnęła młoda kobieta, która właśnie szeptała coś do dziewczynki w łóżku. U jej kolan, w wianuszku błotnistych odcisków łap, warował piesek o zmierzwionej sierści brudnego koloru, wahającego się pomiędzy brązowym a ciemnorudym. Przez chwilę zastanawiał się, gdzie trzymała tego psa podczas długiej podróży, bo wcale go nie zauważył, a jej skórzana torba raczej by go nie pomieściła. Parszywy kundel, pomyślał. Musi należeć do małej Marthy.

- Przyjedź więc rano - powiedział Peter.

Jonas skinął głową, dotknął róna grubego filcowego kapelusza i znikł w ciemnościach.

Peter znowu usiadł na niskim zydlu przy dogasającym kominku; na stole, obok jego łokcia stał talerz stygnącej soczewicy. Wsparłszy podbródek na pięści, przyglądał się, jak ta dziwna młoda kobieta białą dłonią głaszcze jego córkę po czole, i słuchał cichego, niewyraźnego szmeru wypowiedzianych przez nią słów. Jej przyjazd powinien przyjąć z ulgą. Wiedział o tym. We wsi wiele o niej mówiono. Uchwycił się tej myśli, starając się znaleźć w niej choć odrobinę pocieszenia. Jednak gdy ze zmęczenia i troski jego oczy zaszły mgłą, a głowa bezwładnie opadła na ramię, wizja skulonej w łóżku małej córeczki, wokół której zamyka się ciemność, napełniła go przerażeniem.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Cambridge, Massachusetts

koniec kwietnia 1991 roku



Wygląda na to, że czas nam się kończy - oznajmił Manning Chilton, z błyskiem w oku zerkając na zegarek wiszący na dewizce przy kamizelce. Omiótł wzrokiem pozostałe cztery osoby zgromadzone wokół stołu konferencyjnego. - Ale jeszcze nie całkiem z panią skończyliśmy, panno Goodwin.

Ilekroć Chilton był z siebie szczególnie zadowolony, wpadał w ironiczny, kpiarski ton; ta niestosowna i pretensjonalna maniera działała na nerwy jego doktorantom. Connie natychmiast dostrzegła tę zmianę głosu i zorientowała się, że jej końcowy egzamin nareszcie zbliża się do finału. Na dnie przełyku pojawił się kwaśny posmak - to żołądek podchodził jej do gardła. Przełknęła ślinę. Pozostali wykładowcy z komisji odpowiedzieli Chiltonowi uśmiechami.

Pomimo zdenerwowania Connie Goodwin poczuła w okolicach serca przyjemny dreszczyk satysfakcji i przez chwilę rozkoszowała się tym doznaniem. Gdyby miała zgadywać, powiedziałyby, że jest na dobrej drodze do zaliczenia egzaminu. Chociaż mogło być lepiej. Omal nie uśmiechnęła się nerwowo, w porę

jednak przybrała spokojną, obojętną minę, znamionującą obiektywną kompetencję - co bez wątpienia było bardziej stosowne dla młodej kobiety w jej sytuacji. Nie był to jej naturalny wyraz twarzy, więc wypadło to dosyć komicznie - wyglądała jak kogoś, kto właśnie ugryzł cierpki owoc persymony.

Czekało ją jeszcze jedno pytanie. Jeszcze jedna możliwość porażki. Connie zmieniła pozycję na krześle. W ostatnich miesiącach, poprzedzających egzamin kwalifikacyjny, traciła na wadze - początkowo wolno, potem w piorunującym tempie, więc teraz w kontakcie z siedziskiem uwierały ją pozbawione otoczki ciała kości, a sweter z szetlandzkiej wełny wisiał jej na ramionach. Policzki, zwykle pełne, zapadły się, eksponując lekko wystające kości policzkowe, przez co bladoniebieskie oczy, otoczone delikatnymi, krótkimi brązowymi rzęsami, wydawały się większe niż w rzeczywistości. Gęste ciemnobrązowe brwi zbiegły się nad oczami, ściągnięte jakąś myślą. Z delikatnymi mlecznobiałymi policzkami i wysokim czołem, upstrzonym tu i tam drobnymi piegami, kontrastował spiczasty podbródek oraz kształtny, acz wydatny nos. Wargi Connie, i tak cienkie i blad różowe, pojaśniały jeszcze bardziej, gdy mocno zacisnęła usta. Jej palce mimowolnie powędrowały do końca długiego warkocza o barwie kory, udrapowanego na ramieniu, ale przyłapała się na tym i cofnęła dłoń na kolano.

- Nie mogę uwierzyć, że jesteś taka spokojna! - zawołał podczas lunchu tego dnia jej student, chuderlawy młodzieniec, który pisał pracę licencjacką pod kierunkiem Connie. - Jak ty w ogóle możesz jeść?! Gdybym to ja zaraz zdawał egzamin ustny, pewnie już by mnie mdliło.

- Thomasie, ty dostajesz mdłości nawet podczas naszych konsultacji - przypomniała mu łagodnie, chociaż prawdę mówiąc, apetyt ją opuścił. Przyciśnięta do muru wyznałaby pewnie, że wzbudzanie w Thomasie lęku sprawia jej przyjemność. Ten drobny przejaw okrucieństwa usprawiedliwiała przekonaniem, że zastraszony student stara się dotrzymywać wyznaczanych przez nią terminów, a także bardziej się przykłada do pracy.

Ale gdyby miała być szczerą, przyznałaby się również do mniej chwalebne-
go powodu. Thomas patrzył na nią z nabożnym szacunkiem, co poprawiało jej
samopoczucie. - Zresztą to nic wielkiego - dodała. - Wystarczy się przygoto-
wać do odpowiedzi na dowolne pytanie dotyczące każdej z czterystu książek
czytanych wcześniej na studiach. Jeśli coś pokręcisz, po prostu wyrzucają cię za
drzwi i już.

Czubkiem widelca grzebała w sałatce, a tymczasem on wpatrywał się w nią
z nieskrywanym podziwem. Uśmiechnęła się do niego. Jeśli chce się zostać wy-
kładowcą, cała sztuka polega między innymi na tym, żeby nauczyć się profesor-
skiego zachowania. Nie wolno jej było okazać Thomasowi, jak bardzo się boi.

Egzamin ustny dopuszczający do pisania pracy doktorskiej zwykle stanowi
punkt zwrotny - właśnie w tym momencie kadra zaczyna widzieć przed sobą
nowego kolegę, a nie ucznia. Niestety, bywa i tak, że egzamin zamienia się w in-
telektualną jatkę, kiedy nieprzygotowana studentka - świadoma tego faktu, lecz
bezsilna - doświadcza wiwisekcji swojej wiedzy. Connie wiedziała, że tak czy
owak będzie musiała się zmierzyć z własnymi niedoskonałościami. Jako su-
mienna i ostrożna młoda kobieta nie pozostawiała niczego przypadkowi. Odsu-
wając na wpół zjedzoną sałatkę poza zasięg pełnego uwielbienia wzroku Thoma-
sa, powiedziała sobie, że dała z siebie wszystko. W głowie miała regały pełne
książek z uwagami i zakładkami, i odkładając po skończonym lunchu widelec,
zrobiła sobie sprawdzian - szybki przegląd zawartości półek. Gdzie są książki z
ekonomii? Tutaj. A te o strojach i kulturze materialnej? Półkę wyżej, po lewej.

Po jej twarzy przemknął cień wątpliwości. A jeśli mimo wszystko nie przy-
gotowała się dostatecznie? Pierwsza fala mdłości ścisnęła jej żołądek, a twarz
pobladła o ton. Co roku komuś się to przytrafiało. Od lat wysłuchiwała plotek o
studentach, którzy pękli i zapłakani wybiegli z sali egzaminacyjnej, kończąc swą
akademicką karierę, zanim się jeszcze zaczęła. Sytuacja mogła się rozstrzygnąć
tylko dwójako. Dzisiejszym wystąpieniem teoretycznie może zapewnić sobie

zdecydowanie większy szacunek na wydziale. Jeśli sprosta wyzwaniu, będzie o krok bliżej stanowiska wykładowcy. Chyba że w głowie zostaną jej tylko puste półki. Wszystkie historyczne książki znikną, zastąpi je jeden gruby segregator pełen streszczeń programów telewizyjnych z końca lat siedemdziesiątych i tekstów piosenek rockowych. Ze kiedy otworzy usta, nie popłynie z nich ani jedno słowo. A wtedy spakuje manatki i wróci do domu.

Teraz, cztery godziny po lunchu z Thomasem, siedziała po jednej stronie wypolerowanego na wysoki połysk mahoniowego stołu konferencyjnego w znajomym, ciemnym kącie siedziby harvardzkiego wydziału historii. Miała już za sobą bite trzy godziny wypytywania przez komisję złożoną z czwórki zgromadzonych po drugiej stronie wykładowców. Była zmęczona, ale dzięki wysokiemu poziomowi adrenaliny myślała ze zdwojoną przenikliwością. Przypomniała sobie ten sam przedziwny stan śmiertelnego zmęczenia połączonego z pełną sprawnością intelektualną, jakiego doświadczyła pewnej nieprzespanej nocy, kiedy wносиła końcowe poprawki do ostatniego rozdziału pracy magisterskiej. Jej zmysły się wyostrzyły, rozpraszały ją nachalnie - czuła drapanie tasiemki, którą przewzorycznie podszyła rąbek wełnianej spódnicy, i lepkość w ustach po wypiciu słodkiej kawy. Skupiała więc uwagę na wszystkich tego typu szczegółach, lecz w końcu udało jej się wyrzucić je z głowy. Ale lęk pozostał, nie dał się opanować. Utkwiła wzrok w Chiltonie i czekała.

Skromna sala, w której siedziała Connie, mieściła niewiele więcej niż stół konferencyjny ze zniszczonym blatem i kilka krzeseł zwróconych ku tablicy, niegdyś czarnej, a teraz blado-szarej od kredowych bazgrołów straszących przez dziesiątki lat. Za jej plecami wisiał zapomniany portret starca z siwymi bokobrodami, poczerniały przez upływ czasu i brak należytej troski. Z drugiej strony pokoju żaluzje w brudnym oknie broniły dostępu przedwieczornemu słońcu. Drobinę kurzu wisiały prawie nieruchomo w samotnym promieniu, który rozświetlał wnętrze i wydobywał z mroku twarze członków komisji, od nosów po

brody. Z zewnątrz dobiegły nawoływania i śmiech studentów, które wkrótce jednak ucichły w oddali.

- Panno Goodwin - odezwał się Chilton. - Chcielibyśmy zadać pani ostatnie już na dzisiaj pytanie. - Promień słońca przesunął się po siwych włosach opiekuna naukowego Connie, kiedy nachylił się ku pustemu środkowi stołu, wzbijając pyłki kurzu, które utworzyły lśniąca aureolę wokół jego głowy. - Czy zechciałaby pani zwięźle i przejrzyście przedstawić komisji dzieje czarów w Ameryce Północnej?

Historyk specjalizujący się w życiu kolonistów na ziemiach amerykańskich - a takim była Connie - musi umieć odtworzyć w najdrobniejszych szczegółach martwe od dawna systemy społeczne, religijne i ekonomiczne. Przygotowując się do egzaminu, wykuła na pamięć rzeczy nawet tak niezwykle, jak metody przygotowywania solonej wieprzowiny, zastosowanie guana nietoperzy jako nawozu czy związki handlu melasą i rumem. Jej współlokatorka, Liz Dowers - wysoka, jasnowłosa i smukła okularnica, studiująca średniowieczną łacinę - pewnego wieczoru zastała Connie ślęczącą nad biblijnymi wersetami, które często dołączane były do osiemnastowiecznych przyborników do haftowania.

- W końcu osiągnęliśmy taki stopień specjalizacji, że nie potrafimy się już porozumieć - stwierdziła Liz, kręcąc głową.

Connie doskonale zdawała sobie sprawę, że ostatnie pytanie egzaminacyjne to prezent od Chiltona. Poprzednie były zdecydowanie zbyt specjalistyczne, niekiedy nawet wykraczały poza zakres wiedzy, jaki ją obowiązywał. Czy zechciałaby opisać główne towary eksportowe kolonii brytyjskich w latach czterdziestych XIX wieku, od Karaibów po Irlandię? Czy uważa, że historię tworzą wybitne jednostki działające w ekstremalnych okolicznościach, czy raczej duże populacje ograniczone systemami ekonomicznymi? Jaką rolę dla społeczeństwa Nowej Anglii i dla rozwoju handlu odegrał jej zdaniem dorsz? Patrząc po kolei na

twarze siedzących za stołem wykładowców, odnajdywała w ich skupionych spojrzeniach odbicie wąskich specjalizacji, dzięki którym każdy z nich zyskał rozgłos w świecie akademickim.

Opiekun naukowy Connie, profesor Manning Chilton, popatrzył na nią z drugiej strony stołu. W kącikach jego ust igrał uśmiezek. Wypielegnowane gęste włosy okalały jego twarz z pooranym zmarszczkami czołem i głębokimi bruzdami opadającymi po obu stronach nosa aż do brody, którą zachodzące słońce skrywało w głębokim cieniu. Swoboda jego ruchów wyrażała pewność siebie wymierającego już gatunku ludzi nauki, którzy przez całą karierę mieli nad głową szkarłatny parasol Harvardu, a bodźcem do specjalizacji w historii okresu kolonialnego było dla nich dzieciństwo, spędzone w salonie szacownej kamienicy w Back Bay. Chilton roztaczał elegancki zapach starych wyrobów ze skóry i tytoniu fajkowego, męski, lecz nie starczy.

Obok niego przy stole konferencyjnym zasiadało troje innych szanowanych amerykańskich historyków. Po lewej przycupnął Larry Smith - małomówny, noszący się ze sportową elegancją specjalista od gospodarki, który mając najniższy stopień profesorski, specjalnie zadawał podchwytliwe pytania, by zabłysnąć przed wyższymi rangą kolegami swoim autorytetem i znajomością rzeczy. Connie piorunowała go wzrokiem. Już dwa razy z premedytacją pytał ją o tematy, które nie były jej mocną stroną. W zasadzie na tym polegała jego praca, ale z drugiej strony był on jedynym członkiem komisji, który mógł jeszcze pamiętać własny egzamin kwalifikacyjny przed pisaniem doktoratu. Licząc na solidarność z jego strony, wykazała się naiwnością, bo właśnie najmłodszy rangą profesorowie często traktują przyszłych doktorantów najsurowiej, jakby chcieli powetować sobie wszystkie prawdziwe i urojone upokorzenia. Smith obdarzył ją wymuszonym uśmiechem.

Po prawej ręce Chiltona, wspierając podbródek na błyskającej biżuterii dłoni, siedziała profesor Janine Silva - zaniedbana, niedawno przyjęta na etat specja-

listka z zakresu gender studies, która rzecz jasna najbardziej lubiła zagadnienia teorii feminizmu. Tego dnia jej włosy były jeszcze bardziej potargane niż zwykle, a burgundowy połysk loków niewątpliwie zawdzięczały farbie. Connie podobało się jej świadome odrzucenie estetyki Harvardu - znakiem firmowym Janine były długie, wzorzyste szale. Z upodobaniem psioczyła na rzekomą wrogość Harvardu wobec kobiet naukowców, a jej zainteresowanie karierą Connie zakrawało wręcz na matkowanie; dlatego też dziewczyna musiała bardzo uważać, by nie przenieść na nią uczuć, jakie się żywi wobec własnych rodziców, co zdarza się wielu studentom w stosunku do opiekunów. I chociaż to Chilton miał większy wpływ na jej karierę, Connie najbardziej obawiała się, że rozczaruje Janine. Profesor Silva najwyraźniej wyczuła chwilowy niepokój pupilki, bo dyskretnie pokazała jej uniesiony w górę kciuk.

Na prawo od niej, na samym skraju siedział profesor Harold Beaumont, specjalista od wojny secesyjnej i zatwardziały konserwatysta, znany z zrzędlivych polemik, które od czasu do czasu zamieszczał w dziale opinii czytelników „New York Timesa”. Connie nigdy z nim nie współpracowała, ale wybrała go do komisji, podejrzewając, że nie będzie zbyt zainteresowany tym, jak wypadnie. I tak musiała sprostać oczekiwaniom Chiltona i Janine, uznała więc, że to w zupełności wystarczy. A jednak wciąż czuła na sobie spojrzenie ciemnych oczu Beaumonta, wypalające okrągłą dziurę w rękawie jej swetra.

Przeniosła wzrok na blat stołu, przypatrując się wyrytym na nim inicjałom poczerniałym od kolejnych warstw pasty nakładanych przez dziesiątki lat, a równocześnie w kartotece umysłu gorączkowo szukała tego, czego spodziewali się od niej usłyszeć. Gdzie to się podziało? Wiedziała, że gdzieś tam musi być. Czy pod „C” jak „czary”? Nie. A może pod „G”, w dziale „gender studies”? Otwierała kolejne szufladki w pamięci, wyciągała całe pliki fiszek, przeglądała je i odrzucała na bok. Znowu zrobiło jej się słabo. Potrzebna fiszka znikła. Nie mogła jej znaleźć. Teraz to ona stanie się bohaterką tych powtarzanych szeptem

opowieści o studentach, którzy oblali. Zadano jej najprostsze możliwe pytanie, a ona nie potrafiła udzielić odpowiedzi.

Jeszcze chwila i będzie po niej.

Czując, że mgła paniki zasnuwa jej oczy, Connie za wszelką cenę starała się uspokoić oddech. Na pewno dotrze do tych faktów, musi się tylko skupić. Ważne rzeczy nigdy nie wylatywały jej z głowy. Powtórzyła w myślach to słowo. Rzeczy. Zaraz, zaraz... przecież nie zajrzała pod „R”. No tak, „religia ludowa, epoka kolonialna”. Otworzyła jeszcze jedną szufladkę umysłu i znalazła! Mgła ustąpiła. Connie wyprostowała się na twardym krześle i uśmiechnęła.

- Rzecz jasna, kuszące byłoby rozpoczęcie dyskusji na temat czarów w Nowej Anglii od paniki w Salem w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym drugim roku, kiedy to dziewiętnaścioro mieszkańców miasteczka stracono przez powieszenie - zaczęła, nagle odzyskawszy pewność siebie. - Skrupulatny historyk uzna jednak tę panikę za anomalię i skupi się raczej na stosunkowo doniosłej roli, jaką pełniły czary w społeczeństwie kolonialnym na początku siedemnastego wieku.

Patrzyła na cztery potakujące głowy po drugiej stronie stołu, dostosowując odpowiedź do ich reakcji.

- Przypadki uprawiania czarów należały do rzadkości - ciągnęła. - Przeciętna czarownica była kobietą w średnim wieku, wyobcowaną ze społeczności z powodu ubóstwa albo braku rodziny, a przez to pozbawioną władzy społecznej i politycznej. Co ciekawe, badania różnych rodzajów *maleficium* - język zaplątał jej się na łacińskim słowie, które wyszło dłuższe o dodatkowe dwie sylaby, więc skarciła się w duchu za tanie efekciarstwo - o które zwykle oskarżano czarownice, ujawniają, jak ciasny w istocie był świat kolonii dla zwykłych ludzi. O ile człowiek współczesny prawdopodobnie zakładałby, że ktoś, kto potrafi zapanować nad siłami przyrody, zatrzymać czas albo przepowiadać przyszłość, siłą rzeczy powinien używać tych mocy do wdrażania radykalnych zmian na wielką skalę, o tyle czarownice w koloniach przeważnie obwiniano o całkiem prozaicz-

ne katastrofy, takie jak sprowadzenie choroby na krowę, skwaśnienie mleka albo utratę czyjejś własności. Ich mikrokosmiczna sfera wpływów nabiera sensu w kontekście religii wczesnych kolonii, według której uważano, że jednostka jest całkowicie bezradna wobec boskiej wszechmocy.

Przerwała, żeby zaczerpnąć tchu. Miała ochotę się przeciągnąć, ale nie zrobiła tego. Jeszcze nie teraz.

- Ponadto purytanie utrzymywali, że nie ma wiarygodnych przesłanek wskazujących na to, czy czyjaś dusza została zbawiona, czy też nie, bo dobre uczynki tego nie rozstrzygały - mówiła dalej. - Dlatego niepomyślne zdarzenia, takie jak poważna choroba albo pogorszenie sytuacji materialnej, często interpretowano jako oznaki Bożego niezadowolenia. Większość ludzi wolała jednak dopatrywać się ich przyczyny w czarach i zrzucić winę na coś, na co nie mają wpływu... na kobietę żyjącą na marginesie społeczeństwa... niż rozważać możliwość własnego duchowego zagrożenia. W rezultacie czary odegrały istotną rolę w koloniach Nowej Anglii... z jednej strony pozwalały tłumaczyć zjawiska niewyjaśnione jeszcze przez naukę, z drugiej pełniły rolę kozła ofiarnego.

- A panika w Salem? - zainteresowała się profesor Silva.

- Procesy czarownic w Salem próbowano tłumaczyć na wiele sposobów - odparła Connie. - Niektórzy historycy dowodzili, że były one wynikiem rywalizacji między dwiema różnymi społecznościami religijnymi, jedną zurbanizowaną, reprezentującą miasto portowe, i drugą wiejską, rolniczą. Inni wskazywali na długotrwałe waśnie między rodzinami, a zwłaszcza na roszczenia finansowe niepopularnego duchownego, wielebnego Samuela Parrisa. Jeszcze inni utrzymywali nawet, że opętane dziewczęta miały halucynacje po zjedzeniu spleśniałego chleba, który może spowodować objawy podobne do wywołanych przez LSD. Osobiście jestem skłonna widzieć te wydarzenia jako ostatni przejaw religijności typu kalwińskiego. Na początku osiemnastego wieku Salem zmieniło swój charakter ze wspólnoty religijnej na społeczność bardziej zróżnicowaną, w

większym stopniu zainteresowaną sztuknictwem, rybołówstwem i handlem. Do protestanckich fanatyków, którzy stali za pierwszą falą osadnictwa w tym rejonie, dołączyli późniejsi imigranci z Anglii, a tych nie obchodziła religia, tylko możliwość prowadzenia interesów w nowych koloniach. Sądzę więc, że procesy były przejawem tej dynamicznej zmiany społecznej. A także ostatnim przypadkiem zbiorowej hysterii związanej z czarami w całej Ameryce Północnej. W gruncie rzeczy panika w Salem wyznaczała koniec pewnej epoki, zakorzenionej jeszcze w średniowieczu.

- Bardzo przenikliwa analiza - orzekł profesor Chilton ni to zadumanym, ni to zaczepnym tonem. - Czy jednak nie przeoczyła pani jakiejś innej znaczącej interpretacji?

Connie uśmiechnęła się do niego, ale jej uśmiech przypominał raczej grymas zwierzęcia próbującego odstraszyć napastnika.

- Nie jestem pewna, panie profesorze - odparła.

Teraz Chilton z nią igrał. W duchu błagała, by czas zaczął biec szybciej, by skończyły się gierki Chiltona, a ona przeniosła się nagle do pubu Abnera, gdzie czekają na nią Liz i Thomas i gdzie wreszcie nie będzie musiała mówić i mówić. Kiedy była zmęczona, czasami słowa same wyrywały się z jej ust, płynęły potokiem, nad którym nie potrafiła zapanować. Przyglądając się przebiegłemu uśmieškowi Chiltona, zastanawiała się, czy już osiągnęła ten poziom zmęczenia. Ta głupia wpadka z *maleficium* mogłaby na to wskazywać. Chilton mógłby już dać jej spokój...

Tymczasem on nachylił się ku niej.

- Czy nigdy nie rozważała pani najprostszej możliwości, tej mianowicie, że oskarżone naprawdę były winne czarów? - zapytał, unosząc brwi i budując na blacie stołu piramidkę z dłoni.

Przez chwilę patrzyła na niego bez słowa. Przeląła się przez nią fala irytacji, a nawet złości. Co za niedorzeczne pytanie! Uczestnicy procesów czarownic w

koloniach z pewnością wierzyli, że mają przed sobą prawdziwe czarownice. Jednak nikt ze współczesnych badaczy nawet nie próbował dopuścić takiej możliwości. Connie nie mogła pojąć, dlaczego Chilton drażni się z nią w ten sposób. Czyżby chciał przez to jej pokazać, jak niską pozycję zajmuje w akademickiej hierarchii? Ale nawet jeśli pytanie było bezsensowne, musiała na nie odpowiedzieć, skoro to Chilton je zadał. Z pewnością nie pamiętał już, jak straszny jest doktorancki egzamin kwalifikacyjny. Inaczej nie żartowałby z niej dziś tak okrutnie. A może jednak?

Odchrząknęła, opanowując rozdrażnienie. Niska pozycja w światku akademickim nie uprawniała jej do okazywania niezadowolenia. W przymrużonych oczach Janine dostrzegła zrozumienie i współczucie, ale zauważyła też jej ledwo dostrzegalne skinienie głowy, sygnał, że ma kontynuować. „Skacz na głęboką wodę - znaczyło to skinienie. - Obie dobrze wiemy, o co tu chodzi, ale musisz to zrobić”.

- Powiem tak, panie profesorze - zaczęła. - Żadne ze współczesnych źródeł wtórnych, które czytałam, nie traktuje tego jak realnej możliwości. Jedy-
nym wyjątkiem, który przychodzi mi na myśl, jest Cotton Mather. W tysiąc siedemset piątym roku napisał on słynną obronę procesów i egzekucji w Salem, w której wyraził stanowcze przekonanie, że sądy postąpiły słusznie, uwalniając miasto od prawdziwych, praktykujących czarownic. Mniej więcej w tym samym czasie jeden z sędziów, Samuel Sewall, opublikował publiczne przeprosiny za swój udział w tych procesach. Oczywiście Cotton Mather jako wybitny teolog przewodniczył rozprawom. Można dodać, że zrobił to wbrew opinii swojego ojca Increase'a Mathera, nie mniej słynnego teologa, który publicznie potępił procesy w Salem jako oparte na wątpliwych dowodach. Tak więc Cotton Mather mógł dowodzić, że czary w Salem były faktem i że zabicie dwudziestu osób miało mocne uzasadnienie, bo za wiele położył na szali, by stać go było na pomyłkę.

Zakończywszy ten wywód, Connie zerknęła na Chiltona, który przez stół uśmiechał się do niej szelmowsko. W tej chwili zrozumiała, że egzamin dobiegł końca. Skoczyła na głęboką wodę i miała to już za sobą. Oczywiście będzie musiała wyjść na korytarz i tam poczekać na oficjalny werdykt, ale przynajmniej odpowiedziała na ostatnie pytanie. Nic więcej nie mogła już zrobić. Czuła się bezbronna, ledwo żywa. Jej twarz zupełnie zszarzała, a wargi pobieleły.

Czwórka profesorów po drugiej stronie stołu szybko wymieniła między sobą spojrzenia i ponownie skupiła wzrok na Connie.

- No cóż, panno Goodwin - powiedział profesor Chilton. - Zechce pani zostawić nas na chwilę, przedyskutujemy pani wystąpienie. Proszę nie odchodzić daleko.

Connie przeszła z sali egzaminacyjnej do mrocznego korytarza wydziału historii; stukot jej kroków na marmurowej posadzce odbijał się echem. Usiadła na uniwersyteckiej lawendowej kanapie w głównym holu, zachwycona panującą dookoła ciszą. Zapadła się w miękkie poduszki i zaczęła podkręcać koniec warkocza, który podetkała sobie pod nos, jakby to był wąs. Z sali konferencyjnej, oddalonej o kilka par drzwi, słyszała pomruk głosów, jednak zbyt cichy, by mogła się zorientować, kto co mówi. Czekała, złączywszy dłonie opuszkami palców.

Promienie zachodzącego słońca padały ukośnie na podłogę, ogrzewając jej kolana. W drugim końcu holu dostrzegła jakiś ruch. Maleńka mysz przemknęła i ukryła się w ciemnym kącie za donicą z jakąś mizerną rośliną. Connie uśmiechnęła się blado, myśląc o niewidzialnych pokoleniach stworzeń żyjących w murach wydziału i nieprzejmujących się niczym bardziej doniosłym niż resztką sucharka albo noga nieostrożnego przechodnia. Niemal zazdrościła im takiego nieskomplikowanego życia, ograniczonego do najprostszych wyborów. W holu znów zapadła cisza i Connie słyszała tylko swój płytki oddech. Po chwili drzwi się otworzyły.

- Connie? Jesteśmy gotowi. - To była profesor Silva. Connie podniosła się z miękkich poduch. Przez ułamek sekundy była pewna, że egzamin wypadł fatalnie, oblała i będzie musiała odejść z uczelni. Wkrótce jednak dostrzegła, że życzliwa twarz profesor, otoczona czerwonymi kosmykami kręconych włosów, promienieje uśmiechem. Janine objęła ją w talii i szepnęła: - Świątujemy potem u Abnera!

Nie ulegało wątpliwości, że zaraz będzie po wszystkim. Connie zajęła swoje poprzednie miejsce w sali egzaminacyjnej. Samotny promień słońca był już znacznie niżej i teraz ledwie dotykał czterech par splecionych rąk, spoczywających na blacie stołu.

Postarała się przybrać minę w miarę możliwości wyrażającą profesjonalny chłód i dystans. Nikt nie lubi kobiet naukowców, które okazują emocje, powtórzyła sobie w myśli.

- Po długiej wymianie zdań i debacie gratulujemy najlepszego wyniku na egzaminie kwalifikacyjnym studiów doktoranckich, jaki pamiętamy z ostatnich lat - oznajmił profesor Chilton ze śmiertelną powagą. - Pani odpowiedzi były wyczerpujące, dogłębne i przejrzyście wyrażone, uważamy więc, że doskonale spełnia pani kryteria kandydata na doktoranta. Jest pani bez wątpienia przygotowana do pisania pracy doktorskiej.

Przerwał na moment, a tymczasem Connie oswajała się z tym, co właśnie powiedział - wydany werdykt powoli przenikał do jej świadomości przez wszystkie warstwy niepokoju. W podnieceniu gwałtownie odetchnęła ze świstem i żeby opanować wybuch radości, zacisnęła dłonie na poręczach krzesła, na czymś stabilnym, co na pewno jej nie zdradzi.

- Naprawdę? - wyrwało się jej, zanim zdążyła ugryźć się w język. Powiodła wzrokiem po członkach komisji za stołem.

- Oczywiście! - przytaknęła profesor Silva radośnie, przerywając profesorowi Smithowi, który właśnie zaczął mówić:

- Naprawdę doskonale się pani spisała, Connie...

- Najwyższe kompetencje - włączył się do chóru profesor Beaumont i Connie uśmiechnęła się pod nosem. Thomas nie uwierzy, że ten człowiek powiedział aż tyle. Wybiegła myślami naprzód, do wieczoru, kiedy jej podopieczny będzie ją wypytywał o szczegółowy przebieg egzaminu.

Komisja wciąż chwaliła jej wystąpienie, a ona poczuła, jak przenika ją przyjemne uczucie zmęczenia, a zarazem ulgi. Głosy egzaminatorów cichły i jakby odpływały w dal we mgle, która sprowadziła na nią wielką senność. Bała się, że za chwilę głowa opadnie jej na stół. Z trudem podniosła się z miejsca.

- Nawet nie wiem, jak mam państwu dziękować. Naprawdę - powiedziała. - To cudowny sposób na zakończenie semestru.

Tamci również wstali, kolejno uścisnęli jej dłoń i zaczęli zbierać swoje rzeczy. Machinalnie kiwała głową w podzięcie, sięgając po kurtkę. Profesorowie Smith i Beaumont wymknęli się czym prędzej.

Profesor Silva przełożyła przez głowę pasek torebki.

- Zbieraj się, dzieciaku - powiedziała, klepiąc Connie po ramieniu. - Musisz się napić.

Connie roześmiała się; podejrzewała, że już jeden słynny koktajl old fashioned Abnera zetnie ją z nóg.

- Powinnam zadzwonić do Thomasa i Liz. Kazali mi natychmiast zdać relację - odparła. - Spotkamy się w pubie?

Profesor Silva - teraz już Janine, bo życzyła sobie, żeby jej byli studenci zwracali się do niej po imieniu, gdy tylko uzyskają status doktoranta kandydata - ze zrozumieniem skinęła głową.

- Nie wątpię, że czekają - powiedziała. - Manning, porozmawiamy w przyszłym tygodniu. - I skinąwszy dłonią, opuściła salę, zamykając za sobą ciężkie drewniane drzwi.

Connie zaczęła obwiązywać szyję szalikiem.

- Zechce pani chwilę poczekać, Connie - powiedział Chilton. Było to bardziej polecenie niż prośba, co Connie odnotowała z pewnym zaskoczeniem. Ponownie usiadła przy stole.

Chilton z promienną twarzą opadł na fotel naprzeciwko. Milczał. Connie, niepewna, czego się spodziewać, zaryzykowała spojrzenie, które sięgnęło tylko skórzanej naszywki na jego łokciu, opartym na stole w ostatnim promieniu gasnącego słońca.

- Muszę przyznać, że to niephawdopodobne wystąpienie, nawet jak na panią - odezwał się w końcu.

Jak zwykle jej uwagę rozproszył sposób mówienia Chiltona z elitarnym, gardłowym „r”, które pojawiało się zgoła niespodziewanie. Takiej wymowy już się niemal nie słyszało, nie miała ona związku z bostońskim akcentem, wyśmiewanym w telewizji. „Baaston” czy może „Bistan”? Chilton sam zresztą często sprawiał wrażenie reliktu, chrząszcza zatopionego w bursztynie, który nie wie, że skamieniał, a czas biegnie dalej.

- Dziękuję, panie profesorze - powiedziała.

- Już w chwili, kiedy przyjmowaliśmy panią na te studia, wiedziałem, że spisze się pani znakomicie. Praca licencjacka napisana w Mount Holyoke była, ma się rozumieć, wzorowa. A pracą semestralną i osiągnięciami w roli wykładowcy również zasłużyła pani na pochwały.

Phacą, pomyślała Connie i natychmiast skarciła się w duchu. Skup się, to ważne!

Przerwał na chwilę, wpatrując się w nią, z palcem wskazującym przytkniętym do warg.

- Ciekaw jestem, czy zastanawiała się już pani nad tematem pracy doktorskiej - podjął.

Zawahała się, zaskoczona. Spodziewała się oczywiście, że Chilton zaproponuje jej coś wkrótce po egzaminie, jeśli uda jej się go zdać, ale liczyła na kilka

tygodni do namysłu. Jego zainteresowanie oznaczało jednak, że swoim wystąpieniem zapewniła sobie nowy status na wydziale. Zaszumiało jej w uszach, jakby były anteną, która odebrała ważny sygnał, jedynie częściowo możliwy do odszyfrowania.

Świat akademicki pod wieloma względami stanowił ostatni bastion średnio-wiecznego systemu czeladniczego. Rozmawiały już o tym z Liz. Mistrz bierze studenta pod swoje skrzydła, szkoli go w rzemiośle, zdradza mu tajniki swojej sztuki. Uczeń, a potem czeladnik to nowicjusz, przechodzący kolejne szczeble inicjacji, prowadzące na coraz -wyższy poziom wtajemniczenia. Rzecz jasna, większość akademickich dziedzin nie kryła już niczego mistycznego. Ale - w powszechnym mniemaniu - umiejętności czeladnika stanowią odzwierciedlenie zdolności mistrza. Connie uświadomiła sobie, że Chilton zaczął postrzegać ją jako swój atut i że z jego uznaniem wiąże się też większy zakres odpowiedzialności. Miał wobec niej plany.

- Oczywiście kiełkuje mi w głowie kilka pomysłów, ale nie podjęłam jeszcze ostatecznej decyzji - odparła. - Czy myślał pan o czymś konkretnym?

Przyglądał jej się przez chwilę, a ona pod jego przymrużonymi powiekami dostrzegła niewyraźny, niemal węzowy błysk. Trwało to jednak ledwie ułamek sekundy, w mgnieniu oka twarz profesora zastygła w wyrazie typowego dla niego refleksyjnego dystansu. Chilton odchylił się w fotelu, oparł o krawędź stołu kościste kolano i machnął pomarszczoną dłonią.

- O niczym szczególnym. Zachęcam tylko panią usilnie do poszukiwania nowych źródeł pierwotnych. Musimy planować pani karierę strategicznie, moja panno, a to wykluczone, jeśli będzie pani odwiedzać te same stare archiwa co wszyscy. Niezwykle, nowo odkryte źródło pierwotne może panią ustawić w branży, Connie - powiedział, przyglądając jej się z uwagą. - Nowe. W ten sposób zbuduje pani swoją markę.

Mahkę, pomyślała Connie. Jeśli nie wyjdę stąd natychmiast, powiem coś, czym naprawdę napytam sobie biedy. Prawdę mówiąc, nie mogła pojąć, dlaczego właściwie Chilton tak naciska na znalezienie przez nią nowego źródła. Liczyła jednak, że później dowie się, o co konkretnie mu chodziło.

- Rozumiem, panie profesorze. Poważnie się nad tym zastanowię. Dziękuję.

Wstała i wsunawszy ręce w rękawy marynarskiej kurtki, zawiązała szalik tak, by zakrywał jej część twarzy, po czym schowała warkocz pod włóczkową czapkę z pomponem.

Chilton z aprobatą skinął głową.

- A zatem idzie pani świętować - powiedział. Posłała mu wątyły uśmiech.

- Do Abnera - przyznała, błagając w duchu, by nie przyszło mu do głowy pójść razem z nią.

- Zasłużyła pani na to. Dobrej zabawy - rzekł. - Wrócimy do naszej rozmowy podczas następnego spotkania. - Nie wstał i nie podążył za nią, tylko patrzył, jak przygotowuje się na kontakt z rześkim wiosennym powietrzem. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, ostatni promyk słońca wpadający przez okno znikł i salę spowił mrok.

ROZDZIAŁ DRUGI



Connie wstąpiła na Harvard przed trzema laty i od tego czasu dzieliła ze współlokatorką trzy ciemne, wyłożone boazerią pokoje w budynku, który sto lat wcześniej był prywatną stancją dla prowadzących bujne życie towarzyskie mężczyzn studiujących na tej uczelni. Teraz mieszkali w nim dobrani w przypadkowe pary doktoranci, snujący się ze zwieszonymi głowami między biblioteką a akademikiem. Dawna świetność Saltonstall Court zniknęła pod warstwami szpachlówki i osadów tytoniowego dymu i smogu.

Czasami Connie wydawało się, że budynek odnosi się z pogardą do swojego obecnego przeznaczenia. Ciemne, dębowe półki, wypełnione jej książkami historycznymi i łacińską klasyką Liz, wcześniej przez wiele pokoleń nieprzerwanie dźwigały podręczniki do greki oraz *Zmierzch cesarstwa rzymskiego* Gibbona. Nawet ceglany kominek okazywał lekceważenie, plując dymem i popiołem za każdym razem, gdy od wielkiego dzwonu usiłowały w nim napalić. Connie próbowała wyobrazić sobie anonimowych, dawno nieżyjących chłopców, którzy kiedyś mieszkali w tych samych pokojach, nosili wełniane marynarki, z afektacją palili fajki i tasowali karty do brydża. Niektórzy przyjeżdżali na uczelnię ze służącymi, więc Connie zastanawiała się również, który pokój, jej czy Liz, był kiedyś służbówką.

Wieczorem świętowali u Abnera i wracając potem samotnie Mount Auburn Street, lekko pijana, doszła do wniosku, że prawdopodobnie chodzi jednak o jej pokój. Miał mniejsze okno.

W oddali na wieży kampusu zegar właśnie wybił godzinę, gdy zmęczona Connie położyła dłoń na mosiężnej gałce drzwi akademika. Na tablicy zawieszanej na drzwiach spostrzegła na- bazgrane życzenia pomyślnego zdania egzaminu od dwóch studentek chemii mieszkających na tym samym piętrze oraz jej komiksowy portret z gigantyczną rozświetloną żarówką nad głową. Westchnęła i uśmiechnęła się.

Nie pamiętała, kiedy ostatnio była tak zadowolona z siebie. Może wtedy, gdy uzyskała licencjat w Mount Holyoke - to był naprawdę dzień pełen wrażeń. Dopóki nie przeczytała swojego nazwiska w programie uroczystości, nie wiedziała, że dostanie za tę pracę *magna cum laude*. No i może jeszcze rok później, kiedy przyjęto ją na studia doktoranckie w Harvardzie. Ale potem już nigdy. Tak naprawdę po raz pierwszy od rozpoczęcia studiów doktoranckich Connie poczuła się bezpieczna. Doceniona.

Wsunęła klucz do zamka i przekręciła go cicho, nie chcąc zbudzić Liz, która lekko się zataczając, wróciła do domu godzinę wcześniej. Gdy wślizgnęła się do obitej boazerią sieni, poczuła dwie łapki, wspinające się na jej nogi.

- Cześć, Ario - szepnęła, kucając, by wziąć na ręce kręcące się w kółko z radości stworzenie. Coś ciepłego i wilgotnego liznęło ją po policzku. - Ty łobuzie. - Przez chwilę drapała psa za uszami, a w końcu podniosła go z ziemi i przytuliła. Z psem w ramionach podreptała na palcach do maleńkiej kuchenki, sąsiadującej z pokojem dziennym, i po omacku zaczęła szukać włącznika światła.

Zamigotało i kuchnia wypełniła się bzyzącym światłem jarzeniówki. Connie zmrużyła oczy. Odstawiła psa na podłogę i przyglądała mu się, oparta o blat przy zlewie. Jak zwykle nie potrafiła rozstrzygnąć, do jakiej właściwie rasy należy Ario. Były dni, kiedy najbardziej przypominał psa gończego z kłapciasty-

mi uszami i ciemnymi, mokrymi oczami, ale często widziała w nim zdecydowanie teriera, z gatunku tych, które zmieszczą się w borsuczej norze. Ario miał sierść w nieokreślonym brudnym kolorze, zmieniającym odcień w zależności od oświetlenia i pory roku, coś pośredniego między błotem a zgniłymi liśćmi.

- I co dziś porabiałeś? - spytała, splatając ręce. Pies dwa razy uderzył ogonem.

- Tak? - zaciekawiła się. - A potem co? Usiadł.

- Wygląda na to, że dobrze się bawiłeś. - Westchnęła i odwróciła się, by napełnić wodą czajnik.

Zanim przygarnęła Ario, nigdy szczególnie nie interesowała się zwierzętami. Zawsze wydawały jej się kłopotliwe i zależne od człowieka, więc pomysł trzymania w domu żywego stworzenia napawał ją lękiem. Kiedy zadrezczała się myślami o uniwersyteckich obowiązkach, co zdarzało się często, w jej snach roiło się od identycznych mnożących się zwierząt, węży i myszy lub ptaków, domagających się pożywienia i schronienia, których nie mogła im zapewnić. Od dawna uważała te sny za odbicie swoich niepokojów związanych z nauką, nieprzekraczalnymi terminami i odpowiedzialnością, więc postanowiła wziąć sobie do serca płynącą z nich lekcję. Podczas gdy inne dziewczęta z akademika przynosiły do domu kota za kotem, ona zachowywała dystans do zwierząt.

Jednak pewnego dnia na początku pierwszego semestru w Harvardzie, po wyjściu z popołudniowych zajęć w budynku filozofii Connie dostrzegła małego psa, który ukrył się w rododendronowym żywopłocie. Był prawie niewidoczny w cienistym listowiu. Gdy przemierzała dziedziniec Harvardu, zwierzak opuścił swą kryjówkę i ruszył za nią krok w krok. Początkowo próbowała go przegonić, tupiąc nogą, ale odskakiwał tylko na chwilę, by zaraz pojawić się z drugiej strony. Kiedy przystanęła przed biblioteką, kazała mu zmykać, wskazując palcem budynek filozofii. On jednak tylko pomachał ogonem i pokazał jej różowy język. W pół drogi przez dziedziniec zatrzymała się ponownie i stanowczo kazała mu

poszukać pana. Nie posłuchał i towarzyszył jej przez całą drogę powrotną do Saltonstall Court, a tam wskoczył za nią do środka.

Przez pierwsze kilka tygodni oblepiała Harvard Square ogłoszeniami „Znaleziono psa”, ale bez skutku. Potem zmieniła tekst na „Pies szuka dobrego domu”, w końcu jednak Liz zmusiła ją do zdjęcia kartek.

- On wybrał ciebie! - przekonywała, a Connie śmiała się z przyjaciółki, która nie bała się być sentymentalna. Liz należała do kobiet, które studiują średnio-wieczną łacinę, ponieważ w skrytości ducha godzinami wyobrażają sobie rycerzy walczących z mitycznymi smokami albo damy w powłóczystych szatach i dworską miłość. Connie doceniała zaangażowanie Liz, przynajmniej do pewnego stopnia, sama bowiem również była uczuciowa, choć często stosowała strategię obronne, maskując emocje ironią i cynizmem. Nie przyznając się do tego przed sobą, z wolna przestała szukać nowego właściciela dla psa.

I nie zauważyła, że odkąd Ario stał się częścią jej życia, sny o mnożących się stworzeniach znikły bez śladu.

Teraz odwróciła się od syczącego czajnika i zauważyła na lodówce samo-przylepną karteczkę, zapisaną schludnym pismem Liz: „Grace dzwoniła o szóstej - brzmiała wiadomość. - Masz oddzwonić jak najszybciej. Nawet późno”.

- Popatrz, Ario - powiedziała Connie, wskazując notatkę. - Dzwonił twój prawdziwy właściciel.

Pies przekrzywił łeb.

- Ech, jak ja mogę mówić takie rzeczy? - skarciła się za te słowa i pochyliła, by pogłaskać Ario po pysku. - Nie, oczywiście że nie. Tak naprawdę dzwoniła moja matka. - Spojrzała na zegarek. Było dwadzieścia po pierwszej. To oznaczało, że... w No wym Meksyku niewiele brakuje do północy, bo jest dwadzieścia po jedenastej. Uśmiechnęła się, zadowolona, że matka pamiętała o egzaminie. Oczywiście sama zadbała o to, żeby przypomnieć jej o tym kilka razy w dość powściągliwych, choć sumiennie pisanych listach oraz wiadomościach zоста-

wianych na automatycznej sekretarce. Przynajmniej raz te wszystkie wysiłki odniosły skutek.

Nalała wrzątku do wyszczerbionego kubka, wrzuciła do niego torebkę miętowej herbaty i przeniosła się do nieoświetlonego pokoju dziennego. Pociągnęła za łańcuszek lampy pochylonej nad jej fotelem do czytania - ciężkim, obitym wzorzystą tkaniną meblem, który kupiła na wyprzedaży staroci w Cambridge.

Jak przystało na mieszkanie studentek pokój był skąpo umeblowany i jednocześnie zagracony. Kominek na jednej ze ścian obudowano dębowymi półkami, na których teraz tłoczyły się tanie wydania książek i podręczniki. Obok stała zapadnięta kanapa Liz, pozostałość z czasów college'u, a przed nią stolik, na którym można było oprzeć stopy. Po obu stronach pokoju znalazły się proste biurka: jedno należące do Connie, wzorowo uporządkowane, i drugie, będące własnością Liz - zasłane papierami zebranymi w pokaźne sterty. Czwartą ścianę zajmowały wysokie okna, podzielone na małe szybki, oraz gaj roślin doniczkowych i ziół przydatnych w kuchni, czyli ogródek Connie. Obok stały jej lampa i ulubiony fotel do pracy, pod którym właśnie dostrzegła znikający ogon Ario.

Podciągnęła kolana pod brodę i podsunęła sobie pod nos kubek gorącego napoju. Tak wiele czasu spędzała w tym pokoju, że rzadko zwracała na niego uwagę. Wkrótce przyjdzie dzień, gdy nie będzie już dzielić z Liz tej rupieciarni. To była ekscytująca myśl, choć jednocześnie smutna i jakby jej obca. Zresztą tak naprawdę ten dzień był jeszcze odległy. Connie upiła trochę herbaty i cierpki smak przywrócił ją do rzeczywistości.

Nawet jak na telefon do matki wydawało się, że dwadzieścia po jedenastej to trochę późno. Pozostawiła jednak wiadomość, żeby oddzwonić jak najszybciej. Poza tym, prawdę mówiąc, Connie bardzo się ucieszyła, że Grace pamiętała o jej egzaminie, więc chciała zatelefonować niezwłocznie, nawet za cenę zbudzenia matki. Nie pamiętała dokładnie, kiedy ostatnio rozmawiały. W okolicach świąt?

Connie została w Cambridge, żeby pouczyć się przed egzaminem, i wtedy pogawędziły chwilę w dniu Bożego Narodzenia. Ale później chyba też musiały jeszcze do siebie telefonować. Connie pamiętała wiadomości zostawiane na automatycznej sekretarce, nie mogła sobie jednak przypomnieć, kiedy się dodzwoniła do matki. Może...

Przycisnęła dwa palce do skroni i jęknęła cicho. Grace zatelefonowała, żeby życzyć jej wszystkiego dobrego z okazji równonocy wiosennej. No, oczywiście. To było przecież w stylu Grace Goodwin.

W chwilach dobrego humoru, jeszcze będąc młodą gniewną, Connie określała matkę mianem „ofiary lat sześćdziesiątych”. Z czasem jednak nabrała do niej dystansu, niemal jak antropolog. Ostatnio określeniem, jakiego używała, gdy zmuszano ją do opisanie matki, był „wolny duch”. Mówiąc o Grace, nie bardzo było wiadomo, od czego zacząć.

Niewykluczone, że unikała rozmów o matce, ponieważ przyszła na świat w wyniku jej całkowitego braku planowania. Urodziła się jako niespodziewany owoc romansu Grace na ostatnim roku Radcliffe College w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym roku. Należy dodać, że romans ten związał Grace z asystentem prowadzącym zajęcia z religii Wschodu, co Connie oceniała z jednoznaczną dezaprobatą, zwłaszcza teraz, gdy sama była na podobnym etapie życia. Leonard Jacobs nazywany był przez Grace i jej przyjaciół „Leo”. Connie zawędrowała spojrzeniem do najwyższej półki biurka, gdzie stała czarno-biała fotografia, przedstawiająca wrażliwego młodego człowieka o smutnym spojrzeniu, w golfie, z długimi baczkami i potarganymi włosami; podobnie jak Connie, miał wystające kości policzkowe. Bez uśmiechu patrzył prosto w obiektyw, a na jego ramieniu wspierała się młoda kobieta z prostymi włosami rozdzielonymi równym przedziałkiem i rozmarzonym wzrokiem spoglądała gdzieś w bok. Grace - jej matka.

Myśli Leo związane z niechybnym przyjściem Connie na świat nie zostały utrwalone dla potomności, chociaż Grace zawsze sugerowała, że we dwoje snuli wielkie, romantyczne plany. Niestety, planom tym kres położyły zawirowania polityki zagranicznej. Mimo że Leo przeciągał swoje badania jak tylko mógł, w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym roku uzyskał doktorat. Stracił w ten sposób prawo do odroczenia służby wojskowej i został wysłany do Azji Południowo-Wschodniej, na trzy miesiące przed narodzeniem Connie.

A tam wszelki ślad po nim zaginął.

Smutek Connie, połączony z zakłopotaniem i pogardą, jaki odczuwała z tego powodu, był tak wielki, że nigdy z nikim o tym nie rozmawiała, nawet z Liz. Jeśli w pogaduszkach z przyjaciółmi czy kolegami pojawiał się temat ojców, czym prędzej starała się go zmienić. Nawet gdy rozmyślała nad tym w przytulnym domowym zaciszu, słysząc spod fotela pochrapywanie psa, marszczyła czoło nad kubkiem herbaty.

Tymczasem Grace nie bez trudu zrobiła licencjat i urządziła się z córeczką w Concord, niedaleko Walden Pond. Niepozorny, wyraźnie chylący się ku upadkowi dom na farmie był w istocie siedzibą hipisowskiej komuny. Miejsce to oddzielały od reszty świata hektary lasu, a dwie sękaty jabłonie sprawiały, że jesienią spowijał je silny zapach jabłecznika. Connie podejrzewała, że Grace zapełniła ten dom ludźmi częściowo po to, by nie myśleć o pustce, jaką odczuwała z powodu straty Leo. Przewijały się przez niego całe gromady serdecznych, entuzjastycznie nastawionych do życia młodych ludzi, głównie muzyków, lecz również studentów, poetów i kobiet zafascynowanych sztuką ceramiki.

Pierwsze świadome wspomnienie Connie z tego domu łączyło się z porankiem w kuchni ogrzewanej piecem na drewno, gdzie stał nienakryty stół piknikowy oraz doniczki pełne tymianku i rozmarynu. Była jeszcze berbeciem, ledwo sięgającym czubkiem głowy do tego stołu, i płakała. Zapamiętała, jak Grace po-

chyliła się nad nią, aż jej ufna młoda twarz, otoczona opadającymi na ramiona włosami w kolorze słomy znalazła się na tym samym poziomie, i powiedziała:

- Connie, powinnaś się skoncentrować.

W okresie przypadającym na dzieciństwo Connie środki utrzymania Grace pochodziły z rozmaitych i dość tajemniczych źródeł, na przykład z piekarni makrobiotycznej, która niestety nie zyskała uznania wśród statecznych, nowoangielskich matron z Concord. Jednak gdy Connie wyrosła na nastolatkę, zainteresowania Grace skupiły się wokół czegoś, co nazywała „uzdrawianiem energią”. Przyjmowała pacjentów skarżących się na dolegliwości fizyczne bądź psychiczne i uzdrawiała, wpływając poruszeniami dłoni na ich pola bioenergetyczne. Na samą myśl o tym Connie do tej pory krzywiła się z niesmakiem.

Jako nastolatka Connie wszczęła bunt, szukając w rzeczach uporządkowanych i przewidywalnych ratunku przed upodobaniem matki do swobody i nieustannych zmian. Teraz, jako osoba dorosła, miała jednak dla Grace więcej zrozumienia. Z bezpiecznej odległości, jaka dzieliła jej fotel do czytania, w którym właśnie siedziała, od dzieciństwa pozbawionego wszelkich reguł, dostrzegała raczej urok lub naiwność ekscentrycznych zachowań Grace, a nie nieodpowiedzialność i rozwiązłość.

Kiedy Connie wyjechała studiować w Mount Holyoke, Grace sprzedała resztki sypiącego się już domu na farmie i wyjechała do Santa Fe. W owym czasie utrzymywała, że dojrzała do zamieszkania w miejscu „pełnym uzdrawiającej energii”. Connie długo nabijała się z tego pojęcia, ale w końcu przestała. Bądź co bądź, matka miała prawo do szczęścia. Connie potrafiła przyznać, że jej własne wybory życiowe też mogą wydawać się niezrozumiałe dla kogoś z zewnątrz, a po dwakroć dziwne dla obserwatora tak krytycznie nastawionego do tradycyjnych instytucji jak matka. Z kolei Grace na pewno się zastanawiała, jak to możliwe, że jej córka należy do całkiem innego świata, ale zawsze na swój nietuzinkowy sposób popierała wybory Connie.

Grace prawdopodobnie usilnie starała się pamiętać o dzisiejszym egzaminie. Nigdy nie próbowała odwieść córki od studiowania historii, bycia mołem książkowym czy upodobania do odpowiedzialności i ładu. Owszem, zdarzało jej się czasem wyrazić życzenie, by „odkryła swoją duchową prawdę”, ale Connie zawsze interpretowała to jako hipisowski sposób powiedzenia, że powinna robić wszystko, co uważa za słuszne.

Connie odstawiła na podłogę pusty kubek i sięgnęła po telefon. Odczekała cztery dzwonki i już miała się rozłączyć, kiedy usłyszała trzask i w słuchawce rozległ się zdyszany głos:

- Halo?

- Mama? - spytała. - Cześć! Liz zostawiła mi wiadomość, że dzwoniłaś. Mam nadzieję, że nie jest za późno? - Jej oczy rozpromieniły się nagle w przyływie ciepłych uczuć dla tej dziwnej kobiety, z którą w przewrotny sposób związało ją życie. Mniej więcej od roku Connie wynajdywała coraz więcej powodów, by do niej dzwonić, i zostawiała wiadomości najeżone pytaniami; pod pozorem szukania odpowiedzi w zawołowany sposób prosiła o oddzwonienie. Dobrym pretekstem był zwykle jej ogródek.

- Och, Connie! - zawołała z radością Grace. - Tak! Pewnie, że dzwoniłam. Nie za późno, doskonale. Jak się masz, kochanie?

- Wspaniale! - zaczęła z ożywieniem. - Chyba jestem świetna. Oczywiście wykończona, ale to był mój wielki dzień.

- Naprawdę? - spytała Grace i słychać było, że szpera w pudle z czymś brzęczącym.

- No tak - potwierdziła Connie, choć jej uśmiech przygasł. - Mój egzamin dopuszczający! - podsunęła. W słuchawce nadal rozlegał się odgłos poszukiwań. - Zostawiłam ci o tym kilka wiadomości. Mój wielki egzamin, który musiałam zdać, żeby móc pisać pracę doktorską.

Grace wciąż nie skomentowała tej nowiny ani słowem, słychać było jej krótki oddech, zapewne dźwigała to niewidzialne pudło na drugi koniec kuchni w swym domu z suszonych na słońcu cegieł.

- Ten, do którego przygotowywałam się przez cały rok - powiedziała Connie z twarzą wykrzywioną grymasem złości i urazy. Ściągnęła brwi i odruchowo wstała, jakby w ten sposób mogła jaśniej przekazać matce istotną treść. - To było dzisiaj, Grace - oznajmiła, uciekając się do tego samego surowego, rozczarowanego tonu, którym posługiwała się jako nastolatka. Mocno zacisnęła wargi, tłumiąc krzyk, wrzask czy też jakąkolwiek inną reakcję, która miałaby uzmysłowić matce, że powinna się skoncentrować.

- A tak - powiedziała Grace obojętnie, przekładając słuchawkę do drugiego ucha. - Posłuchaj mnie teraz, kochanie. Chcę cię prosić o bardzo ważną przysługę.

TLR

ROZDZIAŁ TRZECI

Marblehead, Massachusetts

początek czerwca 1991 roku



Wciąż trudno mi uwierzyć, że tak się zachowała! - syknęła Connie. Opuściła szybę po swojej stronie i cisnęła na drogę zwiędnięty ogryzek jabłka, który leżał na desce rozdzielczej.

- A mnie trudno uwierzyć, że tak się tym przejmujesz - odparła spokojnie Liz, zerkając na rozłożoną na kolanach mapę

- Powinnaś teraz skręcić w prawo.

- Jak mogłam dać się na to namówić? - burknęła Connie; prawe przednie koło jej upstrzonego rdzą volvo zapiszczało na znak protestu przeciwko obrotowi kierownicy.

Liz głośno wciągnęła powietrze przez nos.

- Przecież wiesz, że nie musiałaś się zgodzić - powiedziała.

- Próbujesz zwalić całą winę na Grace, ale nie zauważyłam, żeby zmuszała cię siłą...

- Zawsze! - wpadła jej w słowo Connie. - Zawsze tak jest! Przytrafia jej się jakieś nieszczęście, a ja bez względu na to, co akurat robię, muszę rzucać wszystko i gasić pożar. A można by się spodziewać, że po dwudziestu pięciu latach dążenia do samorealizacji, będzie potrafiła pilnować swoich spraw.

Zredukowała bieg, bo volvo, rozkołysane ciężarem jej roślin i całego dobytku, wjechało na rondo, gdzie nie wyznaczono pasów ruchu. Skierowały się na północ, mijając po prawej ręce wdzierający się w morze kręty półwysep Nahant. Na tylnym siedzeniu, wciśnięty między słoje pełne mięty i rozmarynu, siedział Ario, bujający się rytmicznie wraz z samochodem. Z pyska zwisała mu wstęga śliny.

- A więc to Grace jest winna temu, że powiedziałaś „tak”? - naciskała Liz. - Nie żartuj, Connie, ty również masz w tym swój udział.

- Ciekawe dlaczego? - zaperzyła się Connie, odgarniając nadgarstkiem natrętny kosmyk z czoła. - Byłam absolutnie szczęśliwa. I robiłam, co do mnie należy. Popatrz na Ario. Wygląda tak, jakby zaraz miał się porzygać.

- Wobec tego dlaczego dałaś się namówić? - spytała rzeczowo Liz.

Connie westchnęła. Liz oczywiście miała rację. W zasadzie miała rację od sześciu tygodni, co bardzo utrudniało trwanie w słusznym gniewie.

- Nawet jeżeli jest tak, jak mówisz, nie muszę od razu skakać ze szczęścia - prychnęła kwaśno.

- Na twoim miejscu wybrałabym bardziej pragmatyczne podejście - oświadczyła Liz. - Skoro się zgodziłaś, to nie pozostaje ci nic innego, jak dostosować się do nowych warunków. Uważaj na tego typu, on nie ustąpi.

Z przecznicy wyłonił się pick-up i z piskiem opon wyjechał na nadbrzeżną drogę tuż przed nimi. Volvo zadygotało, gdy Connie z całej siły nacisnęła na hamulec.

Przez chwilę jechały w milczeniu. Szarobiałe morze falowało aż po horyzont, naznaczone w oddali sześcioma czy ośmioma małymi żaglami. Liz opuściła nieco szybę po swojej stronie i wystawiła twarz na podmuch wiatru. Słony zapach wody morskiej, który dostał się do samochodu, schłodził i odświeżył powietrze we wnętrzu. Minęły stocznię z licznymi sterczącymi masztami i kadłubami łodzi porzuconymi na zardzewiałych pochylniach. Dalej, przy doku nad

zmurszałym drewnianym nabrzeżem, leżała sterta drucianych wiewiórek na homary opłatanych wodorostami. Z nieba sfrunęła leniwie tłusta mewa, przycupnęła na szczycie sterty, złożyła skrzydła i odwróciła łeb ku połyskującej wodzie.

- Mogłabyś spojrzeć na to z zupełnie innej strony - zaryzykowała Liz, przekładając mapę.

- Czyżby? Z jakiej mianowicie?

Liz odchyliła głowę na oparcie i uśmiechnęła się.

- Ładnie tutaj.

Po półgodzinie niewinnych utarczek słownych o właściwe odczytanie mapy i niezrozumiałe plany miast Nowej Anglii, którym obca jest wszelka logika, Connie wprowadziła volvo w zakręt, za którym ukazała się wąska alejka, ocieniona wierzbnymi płaczącymi. Stały przy niej nieduże, pudełkowate domy z nieregularnie rozmieszczonymi oknami i drewnianymi okładzinami, zszarzałymi po dziesiątkach lat ekspozycji na słońce i wodę morską. Connie przymrużyła powieki, żeby lepiej widzieć tabliczki z numerami na drzwiach mijanych domów.

- Przypomnij mi, jakiego numeru właściwie szukamy - zwróciła się do Liz.

- Milk Street, numer trzeci. - Przyjaciółka wyjrzała przez okno po swojej stronie. Przy jednym z domów stała pochylona szopa, ozdobiona poplamionymi bojami suszącego się wiewiórka na homary. Inny niemal całkiem zasłaniała łódź żaglowa ustawiona na drewnianym rusztowaniu na zachwaszczonym podjeździe. Liz z trudem odczytała litery na rufie tej zapomnianej jednostki: *Wonderment, Marblebead, Mass.*

- *Wonderment*, o zadziwienie tu nietrudno - powiedziała cicho.

- Te domy są bardzo stare - zauważyła Connie. - Może nawet pamiętają czasy sprzed wojny o niepodległość.

Liz rozłożyła mapę na desce rozdzielczej i studiowała ją uważnie.

- Z planu wynika, że jesteśmy w starej części miasta.

- Wierzę - przyznała oschle Connie. - Widzę numer siedemnaście, więc to musi być po tej stronie ulicy.

Zaczęła zwalniać, aż wreszcie zatrzymała samochód przy końcu ślepego zaułka. Kilka jardów dalej wyłaniała się alejka, przechodząca w żwirową dróżkę wijącą się w stronę rachitycznego lasu.

-To powinno być właśnie tutaj - powiedziała, oglądając przez szybę samochodu ścianę kolczastych zarośli, za którymi wznosiły się wyższe drzewa.

Na siedzeniu z tyłu Ario zaczął się wiercić i szczekać nerwowo.

- O co mu chodzi? - spytała Liz, odwracając się do psa, żeby podrapać go po karku. Kłapnął zębami, próbując chwycić ją za nadgarstek.

- Może ucieszyło go, że wreszcie się zatrzymałyśmy. Przynajmniej nie zdążył się pochorować. - Connie zamilkła na chwilę.

- Mam wątpliwości, Liz. Tu chyba nic nie ma. Jesteś pewna, że to Milk Street?

- Chcesz iść na siusiu, kawalerze? - pieszczodliwie spytała Liz, pies bowiem całym swoim ciałem dawał wyraz wielkiej radości.

- Myślę, że musimy go wypuścić. Niech pobiegnie pod drzewko, załatwi swoje sprawy, a potem jeszcze raz sprawdzimy na mapie.

Powietrze pachniało wilgocią i świeżością, jak świeżo zaorana ziemia, ale wyczuwało się też sól. To nie była woń Cambridge. Connie wyciągnęła ręce nad głowę i poczuła dwa strzyknięcia w plecach; potem jedną ręką roztarła sobie kark, a drugą otworzyła psu drzwi.

- Wyłaż, kundlu - powiedziała, ale zanim skończyła, Ario znikł. Po chwili ukazał się tuż obok ciemnych chaszczki. Zaszczekał i wykręcił ogonem kilka półksiężyców.

Connie i Liz skierowały się w stronę lasu, oczekując, że pies podąży ich śladem, gdy tylko straci zainteresowanie stworzeniem, które zwabiło go w kolczaste zarośla.

- Czyj to właściwie dom? - spytała Liz, od niechcienia skubiąc skórkę przy paznokciu.

- Babci - wyjaśniła Connie. - Matki mojej matki.

- Przecież mówiłaś, że nigdy tu nie byłaś. Connie wzruszyła ramionami.

- Bo nie byłam. Moja mama i babcia, która miała na imię Sophia, dały ze sobą koty, co nietrudno zrozumieć. Szło o te wszystkie hipisowskie ciągoty Grace. Babcia była oczywiście staroświecką i elegancką damą z Nowej Anglii. Sztywną, powściągliwą. Mam wrażenie, że utrzymywały kontakt jedynie sporadycznie. Zresztą babcia umarła, kiedy byłam jeszcze bardzo mała.

- Sophia - powtórzyła zadumany tonem Liz. - To imię pochodzi z greckiego. Oznacza „mądrość”. Czy zdążyłaś ją poznać?

- Tak. Babcia przyjeżdżała do naszego domu w Concord dość często, ale zawsze doprowadzała mamę do szału. Bez wątpienia nie podobało jej się wychowywanie dziecka „w takim otoczeniu”. - Connie nakreśliła w powietrzu cudzysłów.

- Z tego, co mówisz, wynika, że całkiem dobrze byście się dogadywały, przynajmniej co do Grace. Masz jakieś wspomnienia z tamtych czasów? - spytała Liz.

- Niewiele. Zdaje mi się, że pamiętam, jak babcia umarła. Mama była smutna. Przytuliła mnie i mówiła coś o uniwersalnej energii życiowej. Spytałam ją, czy to znaczy „niebo”, a ona na to, że tak. Miałam wtedy pewnie jakieś trzy, cztery lata.

- Ale skoro ona umarła ponad dwadzieścia lat temu, to co przez ten cały czas działo się z domem?

Connie niecierpliwie wzniosła oczy do nieba, zanim zdążyła się powstrzymać.

- Zapewne po prostu stał tu, gdzie stoi. Co w tym dziwnego? Zresztą mama w ogóle mi o nim nie powiedziała. - Pokręciła głową.

-To dlaczego teraz poprosiła cię, żebyś się zajęła tym domem? - Liz zmieniła ton na żartobliwy. -I dlaczego przez cały czas płacimy za miejsca w akademiku, skoro o pół godziny drogi dalej stoi pusty dom, który mógłby należeć do ciebie? Connie wybuchnęła śmiechem.

-Sądzę, że odpowiedź na to pytanie stanie się oczywista, jak już go znajdziemy. Grace twierdzi, że to totalna ruina. A jeśli pytasz, dlaczego akurat teraz, to zdaje się, że moja wielce odpowiedzialna i obowiązkowa matka zaniedbała po śmierci babci płacenie podatków. - Liz jęknęła z niedowierzaniem. - Tak, tak - podjęła Connie, zanim przyjaciółka zdążyła coś powiedzieć.

- Dług oczywiście narastał, ale do niedawna stawka była tak niska, że miasto wcale się tym nie interesowało. W zeszłym roku jednak zmieniono prawo, no i na wiosnę mama dostała zawiadomienie, że jeśli nie ureguluje zaległości w ciągu sześciu miesięcy, nieruchomość zostanie przejęta.

- No, no - mruknęła Liz. - Dużo tego jest?

- Dokładnie nie wiem. - Connie skubnęła koniec warkocza.

-Grace nie była zbyt rozmowna. Mam przekopać cały śmietnik w środku, powyrzucać co się da i dopilnować sprzedaży domu, jeśli ktokolwiek zechce go kupić. Ewentualny dochód ze sprzedaży ma iść na pokrycie długu wobec miasta.

Liz gwizdnęła.

- Dobrze, że to wypadło w lecie. Załatwisz sprawę, wrócisz do Cambridge i będzie po wszystkim.

Tymczasem doszły do granicy lasu i przystanąły w miejscu, gdzie kończył się żwir, a zaczynała ubita ziemia. Polankę między drzewami opanował bujny, smukły dzięgiel. Delikatne baldachy białych kwiatostanów kołysały się na wietrze, a w zagłębieniach pod drzewami bzyczały niewidoczne owady. Connie szeroko otwartymi oczami przyglądała się grze światła i cienia na kwiatach. Wpatrzona w tę migotliwą biel, odpłynęła myślami w dal, zaczęła śnić na jawie i na-

gle wydało jej się, że w cieniu drzew widzi starszego mężczyznę ubranego w ubłocony strój roboczy, przygarbionego pod ciężarem płóciennego worka wypełnionego drwami i podpałką. „Lemuelu?” - rozległo się wołanie, słyszalne jedynie dla niej. „Idę, Sophio!” - odpowiedziało widziadło i rozproszyło się, a sen na jawie znikł. Do rzeczywistości przywrócił ją pytający głos Liz.

Wizja była niezwykle plastyczna, niemal namacalna. Connie wyciągnęła rękę, by pomasować skroń, w której nagle odezwał się lekki ból. Liz przyglądała jej się, oczekując odpowiedzi na zadane przed chwilą pytanie, ale Connie nie miała pojęcia, o co chodzi.

-Przepraszam - powiedziała zmieszana. - Przez chwilę byłam w innym świecie.

-Pytałam, gdzie się podział Ario - powtórzyła Liz.

Ból głowy szybko ustępował. Connie rozejrzała się, ale psa z nimi nie było.

-To dziwne - powiedziała.

Zawróciła zwirową dróżką do alejki. Gdy wyszła pomiędzy drzew, zauważyła Ario siedzącego przed kolczastą plataniną krzaków w takiej pozie, jakby wystawiał myśliwemu zwierzyne.

-Hej, kundlu - powiedziała, kucając obok zwierzęcia. - Co tak obserwujesz? - Popatrzył na nią, zamachał ogonem i z powrotem wbił wzrok w krzaki. - Wiewiórkę? - Spojrzała w miejsce, które tak zainteresowało psa, i ku swemu wielkiemu zdziwieniu pod splątanymi gałęziami zobaczyła fragment zardzewiałej żelaznej furtki.

Zanim nadeszła Liz, Connie zdążyła już odgarnąć sporą stertę zeschniętych pędów winorośli i chwastów. Gdy tylko między dwoma słupkami furtki pojawił się prześwit, Ario wsunął się do środka i znikł w mroku. Liz nadbiegła za przyjaciółką i stanęła jak wryta, bo to, co zobaczyła, zaparło jej dech w piersiach.

-Connie! - sapnęła. - Zdaje się, że znalazłyśmy ten dom.

- Tak! Ario odkrył furtkę - odrzekła zdyszana, odgarniając na bok kolejne narecze zielska.

- No nie, popatrz! - zawołała Liz, szturchając ją w ramię. Connie wyprostowała się i wytarła brudne ręce w dzinsy. Potem cofnęła się na dróżkę, mocniej związała rękawy flanelowej koszuli, którą była opasana w talii, i wyciągnęła szyję. Podążając wzrokiem za palcem Liz, zobaczyła imponujący krzew czarnego bzu, wysoko, opleciony pnączami, a potem, ponad linią zarośli, wśród gałęzi i liści - dach pokryty cedrowym gontem. Pośrodku tej konstrukcji zauważyła też szczątki komina.

- Własnym oczom nie wierzę - szepnęła, łapiąc oddech.

- Mówiłam ci, że jesteśmy na Milk Street - powiedziała Liz i dała jej kuksańca.

Connie spojrzała na nią zdziwiona.

- Nawet trudno się domyślić, że tu stoi dom. - Przeczesła włosy czarną od ziemi ręką i wbiła wzrok w gąszcz. Teraz, kiedy wiedziała, czego szukać, wydało jej się, że dostrzega w chaszczach koronkowy wzór żelaznego ogrodzenia. Cofnęła się o parę kroków i odniosła wrażenie, że rozpoznaje również zarysy parapetów.

- Sama mówiłaś, że od śmierci Sophii nikogo tu nie było.

- Tak, ale ten dom wygląda na opuszczony znacznie wcześniej niż dwadzieścia lat temu - powiedziała Connie.

Obie przyjaciółki stały przez chwilę w milczeniu, ze splecionymi rękami, i wpatrywały się w zarośniętą, zaniedbaną budowlę.

- Pomogę ci oczyścić furtkę - odezwała się w końcu Liz. Winorośl i bluszcz nie stawiały oporu, więc po półgodzinie obok furtki leżała miękka sterta łądyg i korzeni. Podczas pracy co pewien czas słyszały z głębi ogrodu głośne szelesty i szczekanie.

-Przynajmniej Ario dobrze się bawi - mruknęła Connie, odgarniając włosy na bok, a przy okazji znacząc sobie czoło ciemną smugą.

- Chyba już jesteśmy blisko.

Gdy po kilku minutach wyrwały ostatnie uparte winorośle, Connie usiadła na piętach i przyjrzała się odsłoniętej furtce. Żelazo wydawało się tak bardzo wiekowe i przeżarte rdzą, że nie była pewna, czy nie rozsypie się pod dotykiem ręki. Ostrożnie spróbowała unieść zasuwkę. Rozległo się skrzypnięcie, dowodzące, że dawno nikt nie próbował jej ruszyć, lecz mimo to ustąpiła.

Powoli i bardzo ostrożnie Connie uchyliła furtkę na około pół metra i w ten sposób stworzyła wyłom w żywopłocie.

- I co? - spytała, zwracając się do Liz, która wzruszyła ramionami.

Connie wstała i prześlizgnęła się na drugą stronę ogrodzenia.

Ogród okazał się znacznie mniej zarośnięty, niż mógłby na to wskazywać żywopłot. Widać było zarys wyłożonej kamieniami ścieżki, prowadzącej do nadgniłych frontowych drzwi, których powierzchnię porastało kilka różnych odmian winorośli. Wyżej znalazła dla siebie miejsce kwitnąca fioletowa glicynia, roztaczająca zapach słodki niczym syrop. Kilka wysokich roślin - wśród nich widoczny z ulicy czarny bez, olcha i głóg - pełniło funkcję kolumn podtrzymujących baldachim z winorośli, rozpostarty między żywopłotem a domem. Dzięki temu ogród, spowity przyjemnym cieniem, nie był ponury. Stwarzał raczej nastrój intymności i... tajemniczości.

Connie poczuła nagłe ukucie w żołądku, wyraźnie związane ze smutną refleksją, że nigdy wcześniej nie widziała tego zapomnianego królestwa. To Sophia, jej babcia, założyła ten ogród. A ona nigdy już nie pozna babci. Ostateczność tej konstatacji nie podlegała dyskusji. Przywołała więc długo przechowywane w zakamarkach umysłu wyobrażenie Sophii i umieściła je w scenerii ogrodu, który miała przed sobą. Babcia klęczała teraz przy rogu domu z kielnią w dłoni. Connie odprężyła się i pozwoliła tej fantazji rozwijać się po swojemu.

Ku jej zaskoczeniu mężczyzna widziany przez nią przelotnie w lesie - którego teraz, przypomniawszy sobie stare fotografie, rozpoznała jako Lemuela, swojego dziadka, zmarłego, kiedy Grace studiowała w college'u - wyszedł zza węgła, wciąż dźwigając worek z drwami i podpalką. „Tyle wystarczy - powiedział doń wizerunek babci. - Połóż wszystko w sieni”.

Przycisnąwszy palce do opuszczonych powiek, Connie ujrzała rozlewające się plamy czerni i granatu. Kiedy cofnęła ręce i ponownie otworzyła oczy, scena sprzed chwili zbladła i znikła. W tygodniu poprzedzającym przeprowadzkę kiepsko spała, nawet gorzej niż zwykle. Ostatniej nocy prawie wcale nie zmrużyła oka, większość czasu przeleżała, trzymając w ramionach Ario i wpatrując się w mrok. Pewnie była przemęczona.

Spodziewała się trawnika z mnóstwem ziół i chwastów przemieszanych bez ładu i składu, a tymczasem stwierdziła, że poznaje większość roślin, okazały się bowiem typowe dla przydomowego ogródka kuchennego: tymianek, rozmaryn, szalwia, pietruszka, kilka odmian mięty, dorodna nać rzepy, liście mniszka, gęsto kwitnący koper, kępy niezrywanego od lat szczypiorku. Powędrowała wzrokiem w kąt ogrodu i zdziwiła się, widząc gatunki roślin znane jej dotąd jedynie z atlasów przyrodniczych: tojad, lulek czarny, naparstnicę, podejźrzon. Bujna, smukła wilcza jagoda upodobała sobie lewy róg domu, zatopiwszy korzenie głęboko w drewnianej konstrukcji. Connie zmarszczyła czoło. Czyżby babcia nie wiedziała, że wiele z tych roślin ma właściwości trujące? Należało uważać na Ario.

Część ogrodu pod najbliższą ścianą domu, za królestwem ziół i kwiatów, opanowały warzywa. Włochate liście wielkości talerzy rzucały cień na dojrzewające banie kabaczków, melonów siatkowatych i dyń. Po prawej stronie, pod dużą dziurą w winnym zadaszeniu splątane rośliny sięgały drugiego krańca domu, a pod ich liśćmi Connie zauważyła owoce wielkości pięści. Przyjrzała im się bliżej i ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że są to pomidory, choć w sklepie nigdy takich nie widziała - te tutaj zadziwiały wielością kolorów, u jednych

czerwień wpadała w głęboki fiolet, inne były zielone paskowane lub jaskrawo-żółte, a ich zbliżone do kuli kształty wyglądały intrygująco. Krzaczki pomidorowe u podstawy były zdrewniałe i szerokie niczym drzewka, tak jakby one jedne na całym świecie ani myślały uschnąć nieodwracalnie z końcem lata. Ario zaczął kopać w cieniu jednego z wielkich liści.

Liz podeszła do Connie, stąpając cicho po omszałych kamieniach ścieżki.

- Obłędny ogród. Tylko popatrz na te pomidory! - zawołała. - Co za olbrzymy. - Urwała, zauważywszy niezwykle spokojny przyjaciółki, i dotknęła jej ramienia. - Dobrze się czujesz?

Connie odwróciła się do niej, wciąż trochę oszołomiona i oderwana od rzeczywistości z powodu snu na jawie. Na twarzy Liz malował się entuzjazm dla ich odkrycia, zawahała się więc, czy dzielić się z nią swoim dziwnym niepokojem.

- Nic mi nie jest - powiedziała w końcu, zdobywając się na uśmiech specjalnie dla Liz. - Tylko trochę się zmęczyłam. Zobacz, endywia. Możemy zrobić sobie sałatkę na kolację!

Grace wspomniała, że dom jest stary, ale nawet przez moment nie dała jej do zrozumienia, jak bardzo. A był niemal przedpotopowy, zbudowany przez rzemieślników posługujących się tymi samymi technikami, co ich przodkowie w późnośredniowiecznej Anglii. Okna były niewielkie, podzielone na pola w kształcie rombów, z ołowianymi szprosami. Gdy przyjrzała się fasadzie, jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia i zachwytu - była całkowicie oryginalna, nigdy przez nikogo niezmieniana. Milczący dom, zmurszały i wyniosły, zdawał się odwzajemniać jej spojrzenie.

Odsunęła zasłonę z kwiatów glicynii i przesunęła palcami po powierzchni drzwi. Drewno kiedyś zapewne pomalowano na białe, ale pleśń i upływ czasu nadały mu odcień zgniłozielony. Connie próbowała sobie wyobrazić swoją matkę mieszkającą tu jako małą dziewczynka, ale coś w tym obrazie nie pasowało. Grace, Sophia i Lemuel - jej dziadek, zamknięty w sobie mieszkaniec Marblehe-

ad, o którym Grace nigdy nie wspominała - każde z nich żyło na własny rachunek, ale w tym domu ich drogi się zbiegały. Grace była zbyt żywiołowa i aktywna, by czuć się tu jak u siebie. Może zresztą właśnie dlatego wyjechała.

Ogród i dom najwyraźniej były tak całkowicie pogrążone we własnym opuszczonym świecie, że obecność człowieka zakrawała w tym miejscu na poważny nietakt. Connie wsunęła dłoń do kieszeni dżinsów, by odnaleźć klucz przysłany jej przez matkę, a kciukiem drugiej ręki oczyściła z brudu dziurkę w zamku. Udało jej się wsunąć klucz i mimo pewnego oporu obrócić go z przerażającym zgrzytem. Ostrożnie napała barkiem na drzwi i uchyliła je.

Drzwi powoli ustąpiły. Ruch wzbił chmurę kurzu, więc Connie zaczęła kasłać i krztusić się, a jednocześnie próbowała ręką zasłonić twarz przed tą pylistą mgłą. Gdy drzwi otworzyły się szerzej, usłyszała trzask nad głową i coś niewielkiego upadło z metalicznym brzękiem na podłogę u jej stóp.

Nad drzwiami odkryła niemal całkiem zasłoniętą przez glicynie, przybitą do drewnianej ściany wyszczerbioną, przeżartą rdzą podkowę. Jeden z przytrzymujących ją gwoździ obluzował się i podkowa dyndała teraz niepokojąco. Connie schowała ręcznie wykonany gwóźdź z kwadratowym łebkiem do kieszeni i weszła do czekającego na nią domu.

Zgodnie z przewidywaniami Connie wewnątrz domu pachniało dokładnie tak, jakby właśnie otwarto kufer marynarski wydobyty z dna oceanu - powietrze było zatęchłe, z wyraźnymi śladami zapachu soli i wilgotnego drewna. Popołudniowe światło słońca zatrzymywało się na grubych warstwach liści przesłaniających okna. Connie przystanęła, żeby jej oczy przywykły do ciemności. Stopniowo z mroku zaczęły wyłaniać się kształty, doskonała replika wnętrza domu z pierwszego okresu kolonizacji, sprzed tysiąc siedemsetnego roku, z meblami następnymi pokoleń dodanymi przez wieki. Tyle że ten dom wcale nie był repliką.

- Mój Boże! - Westchnęła z niedowierzaniem. - Od jak dawna to tutaj jest? - Milczące wnętrze wydawało się tak pozaczasowe i nietknięte przez świat zewnętrzny, że aż nierealne.

Drzwi wejściowe otwierały się na niewielką sień z drewnianymi spiralnymi schodami po przeciwnej stronie, tak wąskie i strome, że właściwie należałoby je nazwać drabiną. W pierwotnym układzie, w siedemnastym wieku, życie domowe - jedzenie, gotowanie, spanie, szycie, modlitwa - toczyło się przede wszystkim na parterze, a stryszek powyżej pełnił rolę dodatkowego miejsca do spania i powierzchni magazynowej. Stopnie schodów wykonano z politurowanego drewna sosnowego z Ipswich, obecnie mocno już zniszczonego przez kolejne pokolenia mieszkańców. Pozostałą przestrzeń przy wejściu zajmował chwiejący się stolik w stylu królowej Anny, obciążony kilkunastoletnią stertą nieotwartych przesyłek, poźółkłych i skruszałych. Nad stolikiem wisiało proste, zasnutę kurzem i pajęczynami klasycystyczne lustro z łuszczącymi się lub poczerniałymi złoceniami. Zdeformowana i od dawna martwa roślina stała pod schodami w donicy z chińskiej porcelany, przedzielonej na pół brunatną rysą pęknięcia. Na podłodze w sieni Connie zauważyła wilgotną, zmurszałą plamę, a przy bliższym spojrzeniu dostrzegła wielki grzyb, usiłujący wyrosnąć pomiędzy deskami. Nagle jej uwagę zwrócił ruch na granicy wzroku. Aż podskoczyła z wrażenia na widok znikającego ogona zaskrońca, który skrył się w cieniu donicy.

Po lewej stronie sieni było wejście do pomieszczenia wyglądającego na salonik. Connie dostrzegła zarys półek z oprawnymi w skórę tomami i dwa niepasujące do siebie fotele ustawione przy płytkim kominku. Ich postrzępione haftowane obicia przywodziły na myśl wilgoć, pleśń i myszy, tym bardziej że wydzielaly woń rozkładu. Masywna bryła biurka chippendale zajmowała kąt, a mebel wyglądał, jakby trzymał się podłogi szponami rzeźbionych nóg. Na tle okien tkwiły nieruchomo szkielety martwych roślin. Posadzkę tworzyły te same ciem-

nożółte sosnowe deski, z których zbudowano schody; niektóre miały nawet dwie stopy szerokości, wszystkie ciągnęły się przez całą długość domu i były naszpikowane znajomymi gwoździami z kwadratowymi łebkami.

Na prawo od sieni mieściła się ascetyczna jadalnia, gdzie stał jeszcze jeden stół w stylu królowej Anny, otoczony krzesłami z ażurowym oparciem, przypominającym kształtem tarczę. Połowa osiemnastego wieku, uznała Connie i oceniwszy sylwetki mebli, przypisała je warsztatowi w Salem. Z pewnością jednak nawet za życia babci nie używano tego pokoju do spożywania posiłków. W kątach piętrzyły się gazety, były też dwie skrzynie i sporo zamkniętych słoików z poczerniałą zawartością. I tu znajdował się kominek, wyraźnie jednak starszy. Duży i głęboki, zaopatrzony w liczne żelazne haki, na których wisiały garnki różnej wielkości, miał też ceglana wnękę w kształcie ula, służącą do pieczenia chleba. Connie podejrzewała, że jadalnia stanowiła pierwotnie hol, a takim mianem określano główny pokój dzienny i zarazem pokój do pracy, czyli była ośrodkiem domowego życia. Po lewej stronie kominka na wbudowanych w ścianę półkach stały liczne talerze, kubki i butelki, pokryte taką warstwą brudu, że nie sposób było określić ich barwy. Ściany zdobiło kilka oprawionych obrazów, ale półmrok nie pozwalał dostrzec, co przedstawiają. Natomiast po przeciwległej stronie rysowały się wąskie drzwi, zamknięte na żelazną zasuwkę.

Connie wsunęła rękę do jadalni, po omacku szukając wyłącznika przy futrynie, ale niczego takiego nie znalazła. W powietrzu trwała nieprzyjemna cisza i bezruch, jakby dom niszczał według własnych reguł i nie chciał, by mu w tym przeszkadzano. Na palcach rozpoczęła obchód jadalni, a każdy jej krok znaczył wyraźny ślad w warstwie kurzu na podłodze.

- Nie rozumiem, dlaczego właściwie chodzę na palcach - powiedziała głośno, zirytowana swoim onieśmieleniem.

Przez całą resztę lata ten dom miał należeć do niej. Ostentacyjnie opuściła piętę na podłogę i dziarsko ruszyła ku zamkniętym wąskim drzwiom. Po krótkich

staraniach ustąpiły pod dotykiem jej ramienia i otworzyły się, skrzypiąc. Za nimi zamiast spodziewanej garderoby Connie ujrzała ciasną kuchnię, bezceremonialnie dobudowaną do domu w ciągu ostatnich stu lat jego istnienia. Prawą stronę pomieszczenia zajmował głęboki porcelanowy zlew zwieńczony oknem, przesłoniętym liśćmi. Znajdowały się tu również żelazny piec opalany drewnem i niska lodownia; podłogę przykrywało pozawijane na brzegach linoleum, a proste drewniane drzwi prowadziły do ogrodu za domem.

Uwagę Connie zwróciły jednak nie staroświeckie sprzęty, lecz półki na wszystkich ścianach, pełne butelek i słoików zawierających trudne do zidentyfikowania sproszkowane substancje, liście i syropy. Na niektóre słoiczki nalepiono nieczytelne już etykiety, pobrudzone zaschniętym klejem. W kącie stała oparta o ścianę staromodna miotła, zrobiona z suchych witek przytwierdzonych szpagatem do długiej gałęzi jesionu. Wydawała się przywiązana na stałe do swojego miejsca siecią pajęczyn.

Connie stanęła w kuchni, wpatrując się w tę dziwną zbieraninę na półkach. Grace zawsze utrzymywała, że babcia nie ma głowy do gotowania, więc Connie nie umiała dociec przeznaczenia wszystkich tych butelek i słoików. Może Sophia pod koniec życia uwielbiała robić przetwory, a wszystko wyschło i poczerniało, ponieważ nie zostało odpowiednio zamknięte? Podobnie jak w przypadku Grace, również życie babci było podzielone na różne etapy. W jedyne Boże Narodzenie, z którego Connie ją pamiętała, babcia pojawiła się na farmie w Concord z własnoręcznie dzianymi trójkolorowymi rybackimi swetrami dla niej i dla Grace. Niestety nie zawracała sobie głowy długością rąk. Lewy rękaw kończył się w okolicach łokcia, za to prawy sięgał prawie do końca dłoni. Connie zachichotała z czułością na to wspomnienie.

W kuchni było duszno, sucho i wyraźnie wyczuwało się woń rozkładu, a wszystkie słoiki powlekała gruba warstwa brudu. Przez dłuższą chwilę Connie stała z rękami na biodrach, podekscytowana - mimo uczucia nieokreślonego nie-

pokoju - odkrywaniem kolejnych części domu, gdy nagle zaskoczyły ją ciche, coraz bliższe kroki za plecami. Wystraszona, obejrzała się przez ramię i zobaczyła rozpromienioną twarz Liz, dźwigającej zaimprovizowany worek z bluzy, wypchany pomidorami i endywiami. U stóp przyjaciółki przysiadł Ario, bardzo z siebie zadowolony, z korzeniem wystającym mu z pyska. Ogonem odmiatał na boki grube pokłady kurzu z podłogi.

- Wyszperaliśmy to i owo na obiad - oznajmiła Liz. - Czy to jest kuchnia? - Przepisnęła się obok Connie i wsypała warzywa do zlewu. Potem przekręciła kurek mosiężnego kranu i rury wydały donośny jęk połączony z suchym kaszlnięciem i spazmem, który zaowocował wypluciem brązowej strużki. - Cieszę się, że zapakowałaś mydło. Grace miała rację, ten dom to prawdziwa nora.

Splukała kurz pokrywający zlew i oczyściła przyniesione z ogrodu warzywa.

- Powinniśmy chyba zacząć sprzątanie od kuchni, bo przecież tu chyba trzeba będzie jeść, a po obiedzie może zajmiemy się sypialniami, żeby mieć czyste miejsce do spania. Ciekawa też jestem, jak daleko jest stąd do stacji. Dwaście minut? Chciałabym wiedzieć, o której musimy rano wstać. Dziś wieczorem powinniśmy odwalić kawał roboty, żebyś miała trochę spokojniejszą głowę w przyszłym tygodniu.

Optymistyczny słowotok Liz wytrącił Connie z zadumy, przypominając jej, że dom babci może sprawiać wrażenie dziury, oczka, które puściło w tkaninie czasu, ale w gruncie rzeczy jest takim samym domem jak każdy inny - jeśli nawet starszym, w znacznie gorszym stanie, mimo to zwyczajnym. Roztarła dłońmi ramiona, przywołując w myślach wszystko, co miało związek z normalnością, wszystko, co zabrała ze sobą niczym talizmany: Liz, swoje rośliny, książki, psa. Bez wątplenia czekało ją niezwykle lato, w rzeczywistości jednak wcale nie takie odmienne od innych. Więcej sprzątanego niż zwykle, to pewne, ale nic poza tym. Pokrzepiona tymi rozmyślaniami przykucnęła obok Ario, żeby wyjąć mu korzeń z pyska.

-Co tu masz, mały? - spytała, ostrożnie wsuwając mu dłoń między zęby. - Znalazłeś zdziczałą marchew?

Pies posłusznie oddał jej zdobycz i spojrzał na nią, oczekując pochwały.

Spostrzegłszy, co trzyma na dłoni, Connie wydała okrzyk, wzdrygnęła się przerażona i rzuciła korzeń na podłogę. Natychmiast wytarła dłoń o tył dżinsów, żeby pozbyć się najmniejszych drobinek rośliny, które mogłyby pozostać na skórze.

- Co się stało? - spytała Liz. - Robaczywa?

- O mój Boże! - wysapała Connie. Tętnica na jej szyi pulsowała gwałtownie, z wysiłkiem zaczerpnęła więc powietrza, bardzo, bardzo powoli, by wyrównać oddech. - Nie, nie w tym rzecz. Nie dotykaj tego! - Uklękła na podłodze kuchni, wbijając wzrok w nieruchomą roślinę leżącą w smudze błota.

- Dlaczego? - spytała Liz, zerkając przez ramię przyjaciółki. Zmarszczyła nos, poruszona obrzydliwością dziwnego kształtu. - Fuj, a cóż to takiego?

Connie odsunęła psa, który domyślił się, że ze spodziewanego deszczu pochwał nic nie będzie. Przełknęła ślinę i rozejrzała się po kuchni w poszukiwaniu narzędzia, którym mogłaby podnieść korzeń.

-Jestem niemal pewna, że nasz mały przyjaciel przytargał tutaj mandragorę - powiedziała. Posługując się grubo złożonym papierowym ręcznikiem, wyciągnęła rękę daleko przed siebie, podniosła znalezisko za pojedynczy liść i pokazała przyjaciółce.

- Spotykałam ją dotąd tylko na obrazkach w książkach ogrodniczych, ale jej korzeń ma podobno kształt człowieka. Widzisz?

- Wskazała na przypominające nogi rozwidlenie i dwa duże guzy w miejscach, gdzie mogłyby wyrastać ramiona.

- I co z tego? - spytała Liz.

- To, że mandragora należy do najbardziej trujących roślin znanych ludzkości - wyjaśniła Connie. - Właściwie jest tak niebezpieczna, że podobno każdy, kto próbował ją wyciągnąć z ziemi, umierał na miejscu. Dlatego ludzie chcący zdobyć mandragorę potrzebowali psa, żeby ją dla nich wykopał.

- Zerknęła na Ario. Tłumaczyła sobie, że ta legenda odwołuje się bardziej do zwyczajów psów, które uwielbiają wykopywać różne zdobycze, choćby nawet trujące, niż do tego, że człowiek nie może wziąć mandragory do ręki. Zwierzę pomachało do niej ogonem. - A w książkach o ogrodnictwie z początków epoki nowożytnej twierdzono, że wyrwana z ziemi mandragora krzyczy - dodała.

- Ciarki mnie przechodzą - powiedziała półgłosem Liz, zerkając na korzeń.
- Co twoja babcia robiła z tak niebezpieczną rośliną, rosnącą w jej ogródku?

- Nie mam pojęcia, ale są tam również inne raczej niecodzienne okazy - odrzekła Connie. - Widziałaś wilczą jagodę? - Pokręciła głową, wciąż trzymając przed sobą człekokształtny korzeń. - Może to samosiejka, jak chwast? Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek przy zdrowych zmysłach mógł celowo otaczać swój dom czymś podobnym.

- Co zamierzasz z tym zrobić? - spytała Liz zatroskanym tonem.

Connie westchnęła ciężko, nagle przytłoczona perspektywą czekających ją zadań. Nie życzyła sobie żadnych trujących roślin w kuchni, zaskrońców w salonie ani konfiskaty domu. Tak naprawdę teraz chciała tylko zjeść coś na kolację i udawać, że to wszystko nie dzieje się naprawdę.

- Na razie położymy to tu na górze, żeby pies nie mógł dosięgnąć - powiedziała i umieściła korzeń na półce między dwoma czerniejącymi słoikami.

Connie zbudziła się gwałtownie, serce niemal wyrywało jej się z piersi. Przez długą chwilę nie mogła się zorientować, gdzie jest, nie była też pewna, czy się zbudziła, czy wciąż jeszcze śpi. Stopniowo przedmioty dookoła niej zaczęły nabierać ostrości: fotel z haftowanym obiciem naprzeciwko, za nim w mroku

biurko chippendale. Otarła dłonią twarz, na której w miejscach, gdzie przylegała do oparcia krzesła, odcisnęły się drobne czerwone ślady. Szczegóły snu uleciały, pozostały tylko emocje, nie treść, która je wywołała. Pochylały się nad nią niewyraźne, budzące trwogę kształty, długie niczym liny, sięgały po nią, próbowały ją pochwycić... A może to były węże? Rozejrzała się po saloniku i odniosła wrażenie, że jego przytulne wnętrze to tylko powłoka nałożona na coś innego, coś groźnego. Starła się skupić myśli, ale granica między snem a rzeczywistością wciąż wydawała się rozmyta. Najwidoczniej zdarzyło jej się przysnąć na krześle.

Przed położeniem się do jednego z wielkich łóżek na górze Liz zdołała uchylić jedno z okien w saloniku, więc przynajmniej tutaj wszechobecna zatechła woń nieco się rozrzedziła i wyczuwało się delikatny oddech lata. Jedynym dźwiękiem dochodzącym z dworu było cykanie świerszczy. Po latach spędzonych w akademiku przy Harvard Square ta cisza wydawała jej się dziwnie złowieszcza. Dzwoniła w uszach, zmuszała ją do czujności, chociaż na wycie syren nie zwróciłaby najmniejszej uwagi. Była przyzwyczajona do niespokojnych nocy, zakłócanych przez napawające lękiem szepty dochodzące z jej wnętrza, ale tutaj, w całkowitej ciszy, te same szepty brzmiały dużo głośniejsze.

Rozbudzona usiadła wygodniej na krześle i zaczęła się bawić lampą naftową palącą się na stole. Nie mogła pojąć, dlaczego babcia nigdy nie założyła w domu instalacji elektrycznej. Wydawało się niemożliwe, żeby w Stanach Zjednoczonych pod koniec dwudziestego wieku istniał dom bez prądu, ale mimo wspólnych poszukiwań nie znalazły z Liz żadnych wyłączników, lamp elektrycznych ani nawet śladów kabli. Nie było też telefonu! Bóg raczy wiedzieć, jak jej matka zamierzała sprzedać dom w takim stanie! Wygląda na to, że tego lata będą chodziła spać wyjątkowo wcześnie, pomyślała Connie ponuro. Przynajmniej jednak ktoś zatroszczył się o podłączenie bieżącej wody. Odpowiednikiem zaimprovizowanej kuchni na parterze była skromna łazienka na poddaszu, przy jednej z sypialni. Stała w niej głęboka wanna na nóżkach, bez prysznic, był też sedes z

drewnianą klapą i maleńka umywalka. Podczas mycia zębów Liz zauważyła, że taka wanna daje okazje do długich romantycznych kąpieli przy świecach. Na te słowa zakłopotana Connie spłonęła rumieńcem. Nigdy nie czuła się swobodnie w obecności mężczyzn, a co gorsza nie lubiła siebie za to, że tak bardzo różni się od słodkiej, świadomej swojej kokieterii Liz. Wanna byłaby wspaniała pod warunkiem, że jest ktoś, z kim można ją dzielić, ale nikogo takiego nie było.

Zmarszczyła czoło z poczuciem, że sen oddala się od niej coraz bardziej. Liz, zupełnie wyczerpana, zasnęła już jakąś godzinę temu. Connie tłumaczyła sobie, że przyjaciółka niepokoi się zapewne o powrót pociągiem do Cambridge. Według planu od poniedziałku rozpoczynała zajęcia w ramach letniej szkoły Harvardu - deklinacje łacińskie dla uzdolnionych nastolatków. Wkrótce więc dom będzie miał Connie tylko dla siebie. Czuła się trochę tak, jakby kazano jej skoczyć do ciemnego jeziora z tak wysoka, że z góry nie mogła zobaczyć wody. Liz miała rację. Za nic nie powinna się zgodzić na ten układ.

Opuściła miejsce przy pustym kominku i trzymając w ręku mosiężną lampkę, podeszła do półki z książkami, by lekturą rozproszyć niepokój. Może znajdzie tu jakąś starą powieść chwalaącą wstrzemięźliwość albo coś o strategiach brydżowych. Uśmiechnęła się pod nosem. Sama myśl o czytaniu czegoś takiego powinna sprowadzić na nią senność.

Delikatnie przesunęła palcem po splekanych grzbietach książek i na opuszkach palców został jej drobny brązowy proszek ze zniszczonych skórzanych opraw. W słabym, migającym świetle nie była w stanie przeczytać żadnego napisu na grzbiecie. Wyciągnęła na chybił trafił cienki tomik i na podłogę posypały się kurz i kawałki oprawy. Zerknęła na stronę tytułową - *Chata wuja Toma*. Typowe. W każdym domu w Nowej Anglii musiał znajdować się egzemplarz *Chaty wuja Toma* jako dowód, że rodzina była po właściwej stronie podczas wojny secesyjnej. Westchnęła i odstawiła książkę z powrotem na miejsce. Mieszkańcy Nowej Anglii bywali czasem mocno zadufani w sobie.

Przesuwała wzdłuż półki lampkę, której żółtawa kula oświetlała jednocześnie grzbiety trzech książek, a przy okazji jej dłonie i podbródek, podczas gdy reszta pokoju pozostawała spowita w czerń. Dotarła do najniższej półki, gdzie trzymano najgrubsze i najcięższe księgi. Mogła się spodziewać egzemplarzy Biblii, może psalterzy. Według doktryny purytanów umiejętność pisania i czytania była niezbędna, a nawet zasadnicza dla zaskarżenia sobie łaski Bożej. Z tego powodu każdy szanujący się dom w Nowej Anglii musiał mieć swój egzemplarz objawionego słowa Bożego. Postawiwszy lampkę na podłodze, przyklękła, z wysiłkiem ściągnęła z półki największe tomisko i oparłszy je na przedramieniu, otworzyła kciukiem. Tak, to była Biblia, i to stara, jeśli sądzić po osobliwej ortografii oraz kruchym papierze. Siedemnasty wiek, pomyślała zadowolona ze swojej wiedzy. Zaraz potem złapała się na tym, że rozmyśla, ile taka Biblia może być warta. Nie, niezbyt wiele. Biblie były najbardziej rozpowszechnionym tekstem drukowanym, więc nie stanowiły rzadkości, nawet jeśli wydano je tak dawno. W dodatku ta była uszkodzona przez wilgoć i pleśń. Przewracane kartki sprawiały pod palcami wrażenie mokrych i brudnych.

W połowie kartkowania Księgi Wyjścia zaczęła się zastanawiać, na jakie jeszcze znaleźziska może trafić w tym domu. Przypomniała sobie, że w opinii Liz znalazłaby z babcią wspólny język, choć przecież tak naprawdę nigdy Sophii nie znała. Kim była ta dziwna, uparta kobieta? Czyją historię skrywało to miejsce?

W chwili, gdy te leniwe myśli przepływały przez jej głowę, dłoń, którą trzymała Biblię, zadrżała od gorąca, przemieszczającego się piekącego doznania - to było coś pośredniego między poczuciem spadania w chwili zasypiania a przykrym wstrząsem wywołanym wyciągnięciem z kontaktu źle zaizolowanego kabla lampy. Krzyknęła z bólu i zaskoczenia, a ciężka księga z łoskotem upadła na podłogę.

Roztarła dłoń, ale doznanie sprzed chwili było tak ulotne, że nawet nie była pewna jego realności. Pochyliła się nad starą księgą, chcąc sprawdzić, czy jej nie uszkodziła.

Biblia leżała otwarta, otoczona tumanem kurzu wzbitego przez upadek na dywan. Po jej kartach pełzało ruchliwe, żółte światło lampki naftowej. Klęcząc, Connie wyciągnęła rękę, by podnieść Biblię, gdy zauważyła coś małego i lśniącego wystającego pomiędzy kartek. Przysunawszy lampkę bliżej, powiodła czubkiem palca po górnych krawędziach stron, aż wreszcie natrafiła na ten intrygujący przedmiot. Powoli wyciągnęła go z kryjówki.

Był to klucz. Staroświecki, długi na mniej więcej trzy cale, z ozdobnym uchwytem i wydrążonym trzpieniem, prawdopodobnie zaprojektowany do drzwi albo dużego kufra. Obróciła klucz w delikatnym świetle lampy z zaciekawioną, dlaczego schowano go w Biblii. Wydawał się zbyt gruby jak na zakładkę. Gdy ogrzewała przedmiot w dłoniach, próbując dociec jego przeznaczenia, zauważyła skrawek papieru wystający z końca pustego trzpienia. W skupieniu zmarszczyła brwi.

Ostrożnie, z wielką uwagą ujęła koniec papieru kciukiem i palcem wskazującym i powoli wyciągnęła. Znaleźisko wyglądało jak miniaturowy pergamin ciasno zwinięty w rurkę. Położyła sobie klucz na kolanach, a kawałek kruchego pergaminu podniosła do światła i zaczęła go rozwijać milimetr po milimetrze. Był brązowy, poplamiony i nie dłuższy od jej kciuka.

Wyblakłym atramentem, w migotliwym świetle prawie już nieczytelnym, wypisano słowa: „Deliverance Dane”.

Interludium

Salem, Massachusetts

połowa czerwca 1682 roku



Major Samuell Appleton poruszył palcami w bucie i skrzywił się. Już od tygodni nie przestawał się martwić dotkliwym tępym bólem. Czuł, że duży palec ma spuchnięty i gorący, głęboko obtarty sztywną skórą buta. Grube wełniane pończochy tylko wzmagają wrzenie w palcu. "Westchnął. Może żona położy mu kolejny kompres, kiedy już skończy dzień pracy. Niespokojnie poruszył się na krześle i otarł wilgotne czoło chustką. Przed sobą miał nudne popołudnie, wystosował więc osobistą prośbę do Boga, by ten czas minął jak najszybciej.

Dzień był leniwy i ciepły, żółte promienie słońca wpadały przez okna do zboru i rozlewały się, tworząc kałuże światła na deskach podłogi. Appleton siedział w wytwornym, obitym drogocenną tkaniną fotelu za ustawionym na środku pokoju wielkim rzeźbionym stołem, łokciami podpierając na blacie założone ręce. Sala przed nim szumiała od cichych rozmów, ludzie tłumnie zajmowali miejsca na ławach i krzesłach, oczekując na rozpoczęcie posiedzenia sądu. Białe czepki pochylały się nad dzianymi robótkami i tamborkami, mężczyźni z ogorzałymi twarzami zwracali się ku sobie i kiwali głowami. Ci, którzy mieli stanąć przed sądem za swe przewinienia, siedzieli z posepnymi minami z przodu, niektórzy załamywali ręce. Appleton odchrząknął. Podczas rozpraw zawsze zapo-

wiadało się niezłe przedstawienie. Jak na bogobożnych ludzi przystało, jego sąsiedzi nigdy nie omieszkali wykazać zainteresowania grzechami innych. Toż to same kurwy i szubrawce, sztuka w sztukę, pomyślał.

Zerknął w lewo na chędogą grupkę przysięgłych, zajmujących krzesła z prostymi oparciami w oczekiwaniu na to, by móc stanowić o winie swych ziomków. Większość z nich znał z widzenia. Porucznik Davenport, przewodniczący ławy przysięgłych, był poczciwym człowiekiem o budzącej lęk powierzchowności. Od czasu walk z Indianami na wschodzie policzek przecinała mu głęboka różowa blizna, z powodu której wydawał się okrutny i zapalczywy, choć taka fizjonomia tylko maskowała szczerą duszę. Obok niego siedział William Thorne, jowialny karczmarz prowadzący gospodę przy drodze do Ipswich, oraz jegomość Palfrey, powroźnik, który nieustannie zgłaszał się na ochotnika do wszystkich komisji powoływanych przez miasto. Appleton z niesmakiem parsknął pod nosem. Palfrey zasiadał w tym roku niemal we wszystkich ławach przysięgłych, a niezależnie od tego wybrano go miejskim nadzorcą murów. Krążyły też plotki, że wystąpił o pełne członkostwo w Kościele. Appleton pogardzał ludźmi, którzy nie znali swego miejsca. Pozostałych trzech mężczyzn nie znał, zapewne byli miejscowymi rzemieślnikami, wystarczająco zamożnymi, by mogli udzielać się w służbie publicznej, lecz mimo wszystko bardzo podłego stanu.

Appleton skinął na kancelistę, wątłego, nerwowego młodzieńca nazwiskiem Elias Alder. Ten drobny człowieczek zerwał się z miejsca, potykając się o własne nogi, przesunął po stole ku sędziemu grubą kartkę papieru i wycofał się na stronę, ze zdenerwowania przytykając koniec pióra do warg. Appleton nie miał wątpliwości, że zanim posiedzenie się zakończy, Alder będzie miał dolną wargę czarną od atramentu. Trzymając kartkę przed sobą na odległość wyciągniętej ręki, sędzia zmrużył powieki, próbując odczytać cokolwiek z pożałowania godnych kulfonów Eliasa. Na to popołudnie wyznaczono rozpatrzenie czterech skarg.

Westchnął ponownie, zwrócił kartkę młodzieńcowi i skinął głową. Pulsujący ból w palcu nie słabł ani na chwilę.

Kancelista odchrząknął, czemu towarzyszył widoczny ruch jabłka Adama, a szmer na sali ucichł.

- Deliverance Dane przeciwko Peterowi Petfordowi w sprawie o oszczerstwo! - ogłosił, co wywołało wśród zebranych komentarze tworzące narastający zgiełk, który trwał przez pełne pięć minut.

- Dość! - zagrział Appleton i gwar przycichł, aczkolwiek nie zanikł całkowicie. Sędzia powiódł gniewnym wzrokiem po zgromadzeniu, zatrzymując władcze spojrzenie na twarzy każdego z osobna. Kiedy poczuł, że znów skupił na sobie uwagę sali, podjął: - Deliverance Dane, przedstawcie, dobrodziejko, swoje zeznanie.

Z pierwszego rzędu świadków podniosła się młoda kobieta, wyglądzając spódnice. Jej suknia miała gołębi odcień szarości, a kołnierzyk i skromne nakrycie głowy uderzały zadziwiającą świeżością i bielą, jeśli zważyć na niski stan kobiety. Ciężki węzeł ciemnych włosów, związany na karku, był ledwie widoczny spod czepka, a jej delikatne policzki promieniały ciepłem i zdrowiem. Appleton wiedział, że we wsi mówi się o tej kobiecie, nigdy dotąd jednak nie miał okazji zobaczyć jej na własne oczy. Wyraz łagodności niczym welon przesłaniał niewątpliwą pewność siebie bijącą z jej twarzy. Appletonowi przyszło do głowy, że u niektórych kobiet taką pewność siebie łatwo można wziąć za pychę.

Podniosła wzrok i wtedy na chwilę zatopił się w chłodzie jej oczu. Wytrzymała to spojrzenie, a jemu zdawało się, że otaczająca go gwarna sala zanika. Jednocześnie doznał całkiem nieznanego odczucia mrowienia, jakby promień słońca padający mu na czoło wnikał w głęb. Miał wrażenie, że jego gnijący palec u nogi zanurza się w zimnym, szmerzącym strumieniu i drętwiąc, pozbywa się tępego, pulsującego bólu. Nieświadomie wydał ciche westchnienie ulgi. Nagle ta chwila minęła, mężczyzna wzdrygnął się, zamrugał powiekami, a dźwięki sali

otoczyły go z jeszcze większą natarczywością. Gdy poruszył stopą w bucie, duży palec nie zaprotestował. Appleton spojrział przenikliwie na Deliverance Dane. Przez jej twarz przemknął porozumiewawczy uśmiech.

Sięgnęła do kieszeni, którą miała przytroczoną do paska, i wyjęła z niej złożoną kartkę. Rozprostowała papier i zaczęła czytać na głos cichym, modulowanym głosem:

- Zeznaję przeto, co następuje. W wigilię Nowego Roku rzeczony Petford wezwał mnie do swojej dzieciny, która była chora, i widziało mu się, że padł na nią jakiś urok. Pospieszyłam tedy do domu rzeczonego Petforda i zastałam tam Marthę, córkę Petforda, bodaj pięcioletnią, złożoną silnym bólem głowy i dogorywającą z powodu gorączki. Zagotowałam tynkturę rzeczonej Marcie, a ona wypila ją, uspokoiła się i zasnęła. Podczas gdy spała, rzeczony Petford pomstował i skarżył się, że na dziewczynkę niechybnie padł zły urok, bo nie dalej jak tydzień wcześniej tryskała zdrowiem.

Ułożyłam się do snu na podłodze przy posłaniu dziecka. Kilka godzin później zbudziły mnie straszliwe krzyki Marthy, która szarpała się i wołała: „Och, szczypią mnie, a teraz, och, przypalają”, i darła na sobie koszulę. Wzięłam ją na ręce i tak trzymałam, a ona rzucała się w tym paroksyzmie, aż wydała ostatnie tchnienie i umarła.

Rzeczony Petford, będąc w głębokiej rozpaczycy z powodu śmierci swego jedynego dziecka, krzyczał, że to czarownica zamordowała Marthę i patrzył na mnie dziwnie. Powiedziałam mu, że nikt nie zabił jego dziecka, jeno dokonała się wola Boża, a potem pospieszyłam z powrotem do Salem.

Kilka tygodni później Susanna Cory rzekła do Nathaniela, mojego męża, że słyszała Petforda, jak mówił do Mary Oliver, że ani chybi zawarłam pakt z diabłem. Ja przecież tylko podałam lekarstwo jego córce, ale on wygadywał przeciwko mnie różne niesprawiedliwe okropności i w ten sposób zniszczył moje dobre imię. Odtąd nieustannie czuję, że ludzie w miasteczku są przeciwko mnie.

W miarę jak czytała swój opis wydarzeń, słuchający jej z napięciem ludzie głośnie wdechami punktowali tę dramatyczną recytację. Gdy skończyła, pomieszczenie wypełnił gwar sprzecznych opinii, zebrani oceniali bowiem usłyszaną oświadczenie, aż wreszcie, gdy pisarz wstał od biurka, głosy zniżyły się do szmeru.

Deliverance Dane przekazała kanceliście swoje zeznanie, spuściła wzrok i ponownie zajęła miejsce w ławie. Wokół niej rozległy się szepty, ona jednak nie dała po sobie poznać, że je słyszy.

- Jeśli Susanna Cory jest tutaj obecna, niech przedstawi swoje zeznanie - zażądał Appleton, znów przypominając, że to on ma władzę nad tą salą. Jakże nie nawidził tych starych plotkar i ich wygrażających palców.

Z miejsca obok Deliverance Dane podniosła się kobieta pocziwego wyglądu, w wieku około pięćdziesięciu lat. Głowę trzymała sztywno, ręce miała wsparte na biodrach, nie wstydziła się cer i łat pstrzących jej suknię. Z kieszeni wyciągnęła papier, przysunęła go blisko zdrowego oka i chrypliwie, monotonicznie odczytała na głos:

- Zeznaję przeto, co następuje. Kiedy któregoś przedpołudnia mijałam dom rzeczony Petfahda, usłyszałam, jak rzeczony Petfahd mówi do Mary Olivah, że ta Deliverance Dane z Salem jest zwykłą powsinogą i czarownicą, i że zamordowała jego córkę, bo tak miała zapisane w pakcie z diabłem. Przystanęłam i powiedziałam temu Petfahdowi, że po mojemu ona wcale nie jest czarownicą, tylko mądrą kobietą. I powiedziałam mu jeszcze, że znałam matkę rzeczony Deliverance, która też umiała zamawiać choroby. Mary Olivah na to, że Deliverance kiedyś kupiła od niej kilka butelek, a kiedy spytała Deliverance Dane, po co jej te butelki, ta powiedziała, że do czytania uryny. Potem Mary Olivah i rzeczony Petfahd opowiedzieli mi różne inne historie o zbrodniczych czarach, którym trudno uwierzyć. Zebrałam się więc na odwagę i poszłam do domu rzeczonych Dane'ów, aby powtórzyć im, co mówiono.

Złożywszy swoje świadectwo u kancelisty Susanna Cory spojrzała wilkiem ku mężczyźnie, którym - jak przypuszczał Appleton - musiał być Petford, szalbiersko wyglądający typ, siedzący w ławie naprzeciwko, z głową wspartą na splecionych dłoniach. Potem znowu zajęła miejsce i złożyła ręce, głośnym wciąganiem powietrza do nozdrzy okazując swoją niezgodę na całą procedurę.

-Dobrze - powiedział Appleton. - Jeśli Nathaniel Dane jest tutaj obecny, niech przedstawi swoje zeznanie.

Wstał wysoki młody człowiek, który zajmował miejsce po drugiej ręce Deliverance Dane. Ubrany był skromnie i schludnie i sprawiał takie wrażenie, a roztaczał miły zapach palonych liści. Miał wygląd człowieka spędzającego wiele czasu na powietrzu, co skłoniło Appletona do rozważań, czy jegomość Dane nie jest przypadkiem zręcznym kłusownikiem.

Mężczyzna rozłożył karteczkę, zerknął na żonę i nabierając powietrza, zyskał chwilę dla siebie. Appleton zwrócił uwagę, że pod oczami ma wyraźne cienie, a skóra na jego twarzy pod opalenizną jest blada i żółtawa. Sala czekała.

-Zeznaję przeto, co następuje - odczytał, starannie rozdzielając słowa. - Moja żona nie jest czarownicą żadnego rodzaju, wszelako rzeczony Petah Petfahd zawziął się na nią dręczony żalem po stracie swojej córki Mahther i szukał jej winy tam, gdzie człowiek w niczym nie mógł już pomóc.

Zaczął składać karteczkę, zanim Elias wyjął mu ją z dłoni, a potem wrócił na miejsce obok żony. Appleton dostrzegł, jak przez moment jegomość Dane czubkami palców dotyka jej kolana, i ten czuły gest ujawnił mu prawdziwą głębię trwogi Dane'a. Mieć żonę, o której ludzie mówią, że jest czarownicą, było do prawdy wielkim strapieniem. Jeśli kobieta nie dowiedzie oszczerstwa, plotki staną się tym gorsze, a posądzenie jej o diabelskie sprawy może okazać się nieodwracalne. Niech Bóg ma ich w swojej opiece, jeśli Petford nie zostanie uznany za winnego, pomyślał. Kto by przypuszczał, że rozpacz słabego człowieka może w taki sposób zniszczyć młodą rodzinę. Appleton, zakłopotany swoją miękkością,

która znalazła ujście w litości i współczuciu dla siedzącej przed jego obliczem pary, ratował się odwróceniem wzroku ku kanceliście. Elias wsparł go, cicho podpowiadając nazwisko następnego świadka.

- Jeśli Mary Oliver jest tutaj obecna, niech przedstawi swoje zeznanie - mru-
kliwie zarządził Appleton.

Po drugiej stronie przejścia podniosła się kobieta w średnim, aczkolwiek trudnym do określenia wieku. Na jej nadąsanej twarzy sterczał zabarwiony tyto-
niem wąsik. Samo spojrzenie na nią przywiodło Appletona do myśli o cierpkich marynowanych śliwkach, wyduł więc wargi z niesmakiem. Kobieta również roz-
łożyła kartkę, zadarła nos, tak że uniósł się o przynajmniej cal, i zaczęła czytać.

- Zeznaję przeto, co następuje. Deliverance Dane była znaną zamawiaczką i
była też jak czarownica, więc nie ma oszczerstwa w tym, że tak się o niej mówi. Jegomość John Godfrey powiedział mi, że nie dalej jak w tym miesiącu jego cie-
lę marniało i źle się miało, poszedł więc zapytać Deliverance Dane, czy jest cho-
re. Ona wzięła od Godfreya urynek do butelki, zagotowała ją w kociołku nad
ogniem i potem powiedziała mu, że cieleń wydobrzeje, chociaż był na nie rzucony
urok. I cieleń wydobrzało.

Słyszając to, zgromadzeni ludzie wydali głośne westchnienie, a przez salę
przetoczyła się nowa fala poszeptywań.

- Cisza! - zagrzemiał Appleton. - Mów dalej, kobieto.

Mary Oliver zdawała się zadowolona z wrażenia, jakie wywarło jej zeznanie,
bo potoczyła wzrokiem po słuchaczach z uśmieszkiem wyższości.

- Innym razem - podjęła - chciałam od niej dostać lekarstwo na bolącą stopę.
Zaprosiła mnie do swojego domu i nałożyła mi na stopę maść, którą przyrządziła,
ucierając zioła i czytając z jakiejś księgi. Zapytałam ją, co to za księga, a ona na
to nic nie odpowiedziała, tylko odłożyła księgę na najwyższą półkę i spytała
mnie, czy teraz boli mniej, i tak było.

Wśród mieszkańców miasteczka wypełniających zbor znów wybuchło poruszenie, a Mary Oliver z satysfakcją zacisnęła usta. Demonstracyjnie przekazała swoje zeznanie Eliasowi, pozostała przy stole nieco dłużej, niż to było niezbędne, i dopiero po chwili wróciła na swoje miejsce. Appleton przypatrywał jej się z niechęcią. Już sobie wyobrażał, jak kobieta będzie opowiadać o swoim nie bardzo przecież doniosłym zeznaniu sąsiadce zza płotu, przybierając wyniosłą pozę świadka w wielkiej sprawie. „Ale im powiedziałam - usłyszał w głowie głos tej podłej jędzy. - Już ta Dane dobrze pomyśli, zanim tyle mi policzy, kiedy przyjdę do niej następnym razem z bolącą nogą”.

-Panie Saltonstall - odezwał się Appleton, ze zniecierpliwieniem mierząc wzrokiem szemrzącą publiczność. - Proszę przesłuchać pozwanego.

W najdalszym od stołu kącie zboru para butów z cholewami, ozdobionych olbrzymimi, pięknie wypolerowanymi klamrami, ze stukiem opadła na podłogę, opuszczając wygodne miejsce na siedzeniu wolnego krzesła. Ich właściciel, pysznie ubrany w spodnie do konnej jazdy i obszerny płaszcz z modnie zwężonymi w łokciach rękawami i wielką kryzą niemal przysłaniającą ramiona, podniósł się, wyprostował do pełnych sześciu stóp wzrostu i wystąpił przed zebra-nych.

Ktoś powinien zamienić parę słów z młodym Richardem Saltonstallem, pomyślał Appleton. Sam obciąłbym mu te pukle, gdybym tylko miał okazję.

Ojciec Richarda nigdy nie nosił się w taki sposób. Ledwo Bóg pobłogosławił twoim statkom, młodzieńcze, a już zapominasz, co jesteś Mu winien.

-Dziękuję, panie sędzio - odparł gładko adwokat, głosem, z którego biła pewność siebie. - Będzie to dla mnie prawdziwa przyjemność. - Zwrócił się ku zatłoczonym ławom i oznajmił: - Niech pozwany Peter Petford zechce poddać się badaniu!

Szalbiersko wyglądający mężczyzna, na którego wcześniej zwrócił uwagę Appleton, rozejrzał się dookoła i wstał ostrożnie. Saltonstall wskazał mu krzesło

ustawione z boku stołu i Petford niechętnie zajął miejsce. W kącie czaił się Elias z piórem, gotów zanotować wszystkie słowa pozwanego. Saltonstall spojrział na Appletona pytająco, a ten skinął głową.

- Peterze Petford - zaczął Saltonstall. - Zostaliście oskarżeni o rozmaite czyny oszczercze, polegające na mówieniu szkaradnych kłamstw przeciwko jejmości Dane i sianiu niechęci do niej po całym mieście. Stoicie teraz przed władzą. Oczekuję od was prawdy.

- Jestem pobożnym człowiekiem - odpowiedział drżącym głosem Petford. Zwiesił głowę i odwrócił spojrzenie. Appleton zauważył, że policzki przesłuchiwanego są zapadnięte, pociemniałe, a skóra na jego czaszce jest napięta. Wyglądał żałośnie, jak człowiek dotknięty największym nieszczęściem.

- Jak to się stało, że wezwaliście jejmość Dane do swojej niedomagającej córki? - spytał Saltonstall, śmiało adresując to pytanie do wszystkich zebranych. Stał z rękami złączonymi na plecach, a jego grzmiący głos docierał do każdego kąta zboru.

- Słyszałem, że ona zna się na leczeniu chorych - bąknął Petford.

- Kto tak mówił? - spytał adwokat.

- Ci, którzy to widzieli - powiedział niepewnie Petford. - Deliverance Dane jest znana w miasteczku.

- A Martha, wasza córka, miała się niedobrze?

- W poniedziałek jeszcze pracowała w ogródku, a już we wtorek wieczorem leżała złożona niemocą. Tydzień potem nie było jej wśród żywych.

- Jak zmarła? - spytał Saltonstall.

- Nie wiem - wyszeptał Petford. - Krzyczała głośno, bo cierpiała, i mówiła, że ją żgają. Widzi mi się, że przeszkadzała jej koszula, jakby nie mogła znieść gorąca. - Głos uwiązał mu w gardle, więc przerwał, by odchrząknąć. - Była w konwulsjach - dokończył.

- Czy jejmość Dane przyjechała do was niezwłocznie, gdy ją wezwaliście?

- Tak zrobiła i wcale jej nie zdziwiło, że ją wołam. - Petford skinął głową.

- Przyjechała do waszego domu obejrzeć dziecko - powtórzył Saltonstall.

-Tak.

- Jak rzeczona Dane zajęła się waszą córką? Peter zmarszczył czoło, myśląc.

- Wydaje mi się, że trzymała ją za głowę i coś do niej szeptała, a potem dała jej zjeść coś, co miała w kieszeni.

- Jakiego rodzaju lekarstwo dała dziecku? - spytał Saltonstall.

- Jakaś tynkturę, nie wiem, co to było. Saltonstall przeszedł się po sali, kiwając głową.

- A jak lekarstwo pachniało? - pytał dalej pozwanego, unosząc brew.

- Obrzydliwie - odrzekł Petford.

- I dziecko wypilo to lekarstwo? - ciągnął Saltonstall, tym razem spojrzawszy wprost na członków ławy przysięgłych. Wszyscy siedzieli razem, marszcząc czoła. Palfrey skinął głową.

- Wypilo - przytaknął Petford. - I nagle zaczęły ją dręczyć niewidzialne ręce, jakby ktoś bił ją po głowie i ramionach.

Tę zadziwiającą nowinę zgromadzeni powitali sykiem podniecenia, wiele oczu dyskretnie zwróciło się ku miejscu, gdzie siedziała Deliverance Dane.

- Czy widzieliście, jak jest bita? - spytał Saltonstall.

- Nie widziałem bijących rąk, widziałem tylko jej konwulsje i słyszałem krzyki.

- I co wtedy zrobiliście?

Petford zamilkł na chwilę, wbijając wzrok w dłonie. Zacisnął wargi i po raz pierwszy spojrzął na siedzących w oczekiwaniu ludzi. Mieszkańcy miasteczka wpatrywali się w niego nieruchomo. Kobiety przestały dziać i haftować.

- Taki mnie wziął strach, że nie mogłem się poruszyć, tylko błagałem jejmość Dane, żeby przerwała jej cierpienia. Ale ona na mnie patrzyła, trzymała ręce nad głową i mamrotała coś od rzeczy, a oczy płonęły jej jak dwa węgle. Nie

mogłem się poruszyć, jakby pętały mnie niewidzialne więzy. Krzyki Marthe cichły i cichły, w końcu dziecko upadło na posłanie i już więcej się nie poruszyło. Wtedy zrozumiałem, że moją Marthe musiał zabić urok, a ta Deliverance Dane ani chybi jest czarownicą!

W sali wybuchł zamęt, młoda kobieta zerwała się na równe nogi i krzyknęła:

- Jak śmiesz tak kłamać przed wszystkimi ludźmi?! Dzieje mi się krzywda!

Ktoś rzucił na nią urok, ale nie ja!

Zamęt wzmógł się od krzyków i szurania krzesłami, kobiety zawodziły i składały ręce jak do modlitwy. Appleton wstał ze swego fotela i nakazał:

- Zamilknij, Deliverance Dane!

Zobaczył, że mąż Deliverance Dane chwytą ją za rękę i ciągnie na krzesło. Jej policzki okrył purpurowy rumieniec, a jasnoniebieskie oczy jeszcze pojaśniały.

Saltonstall zamachał uniesionymi rękami, aby uciszyć zgromadzonych, i ze spokojem człowieka, który wie swoje, potoczył wzrokiem po obecnych. Krzyki stopniowo przeszły w szmer, a Saltonstall władczo skinął głową.

- Jeśli na dziecko został rzucony urok, to jak jejmość Dane tego dokonała? - podjął badanie.

- Tego nie wiem - odparł Petford. - Ale że rzuciła urok to pewne.

Saltonstall wyszedł na środek i stanął tyłem do świadka z rękami skrzyżowanymi na piersi.

- Czy słyszeliście, żeby kogoś innego dręczyło takie cierpienie? - zagrzmiął, kierując pytanie ku końcowi sali.

- Przez te miesiące, co minęły od śmierci Marthy, słyszałem jeszcze dużo innych opowieści o niegodziwych uczynkach Deliverance. Są tacy, na których patrzyła złym okiem - oznajmił Petford już mocniejszym głosem.

Saltonstall stanął na wprost ławy przysięgłych, splatając dłonie za plecami.

- Peterze Petford, czy jesteście kłamcą? - spytał, wpatrując się w oczy porucznika Davenporta, pierwszego wśród przysięgłych.

- Nie jestem - zapewnił Petford.

- Czy dajecie na to słowo przed siedzącymi tu przysięgłymi i przed wszystkimi świadkami? - ciągnął Saltonstall, wciąż stojąc w tym samym miejscu.

- Tak.

- Rozumiem - powiedział adwokat. - Możecie wrócić na miejsce.

Petford chwiejnym krokiem odszedł w kierunku ławy zajmowanej poprzednio, podczas gdy zgromadzeni nie przestawali toczyć dyskusji nad głównymi punktami sprawy. Deliverance Dane siedziała nieruchomo, wyprostowana, trzymając splecione dłonie w dłoniach męża, i udawała, że nie dostrzega narastającej wokół fali niechęci.

Appleton odwrócił się, by pouczyć przysięgłych, w jaki sposób mają toczyć obrady, ale przerwał zaskoczony. Zauważył, że twarz jegomościa Palfreya jest wykrzywiona nienawiścią do Deliverance Dane, i już wiedział, jaki zapadnie wyrok.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Cambridge, Massachusetts

połowa czerwca 1991 roku



Istnieją wyraźne poszlaki, że to może być nazwisko - zauważył Manning Chilton, obracając w palcach kawałek pergaminu.

- Nazwisko? - powtórzyła Connie. Zmieniła pozycję na twardym drewnianym krześle przed biurkiem promotora i, mając wrażenie, że przykleiła się do mebla, uniosła lekko najpierw jedną, a potem drugą nogę. Nastął pierwszy prawdziwy dzień lata tego roku, więc pot sączył się jej strużką pod pachami. Connie zawsze się trochę obawiała, że jej nieporządny wygląd odzwierciedla bałagan panujący we wnętrzu. Zastanawiało ją, jakim cudem profesor Chilton jest tak całkowicie odporny na kaprysy żywiołów: zimą nigdy nie widziała u niego śladów soli na butach, a latem - lepkich od potu dłoni. Tego dnia w świeżej, eleganckiej koszuli ze starannie zawiązaną pod szyją muchą siedział za wielkim biurkiem z obitym skórą blatem. Odłożywszy pergamin, usadowił się wygodniej w fotelu i spojrzał na Connie.

- Oczywiście. Purytanów, jak pani wiadomo, cechowało duże upodobanie do imion pochodzących od cnót kardynalnych.

- To prawda - przytaknęła. - Sądziłam jednak, że na ogół woleli imiona biblijne. Sara, Rebeka, Maria...

Suche, rozgrzane powietrze w pokoju przeszkadzało jej w koncentracji. A zdawałoby się, że przy takich funduszach Harvard mógłby sobie pozwolić na klimatyzację, pomyślała. Wentylator umieszczony nad szafą z książkami Chiltona obracał się w popołudniowym słońcu i co prawda powodował ruch powietrza pod sufitem, ale bynajmniej go nie chłodził.

- Ma pani rację - przyznał Chilton. - Ale cnoty też szalenie im się podobały i imiona tego typu były często spotykane. Chastity, Mercy i tym podobne.

- Ale Deliverance? - nie ustępowała Connie. - Nigdy nie spotkałam się z takim imieniem.

- Nie było tak powszechne, jak na przykład Mercy, ale też nie budziło zdziwienia - odrzekł i swoim zwyczajem zbudował przed sobą piramidkę z dłoni, opierając łokcie na poręczach fotela. - Skąd pani je wzięła, jeśli wolno prosić o przypomnienie?

- Z domu mojej babci w Marblehead - powiedziała, zabierając swoje znalezisko z biurka Chiltona.

- Ot, zagadka. - W jego oczach rozbliły się zainteresowanie, jakby przesuwając się przed nimi wyjątkowo smakowity kształt, niewidzialny dla Connie. - Może zajrzy pani do miejscowego towarzystwa historycznego i zapyta. Albo sprawdzi rejestry urodzin i ślubów w tamtejszym kościele. Oczywiście wyłącznie dla zaspokojenia własnej ciekawości.

Skinęła głową.

- Być może tak zrobię - przyznała, ważąc skrawek pergaminu w dłoni. Nie powiedziała Chiltonowi o kluczu, przede wszystkim dlatego, że nie chciała tłumaczyć, gdzie go znalazła. Po co ktoś miałby chować klucz w Biblii? Odkrycie to od początku nie dawało jej spokoju. Klucz nosiła stale w kieszeni i raz po raz sięgała po niego, by dotknąć go palcami, jakby w ten sposób mogła odkryć jego znaczenie.

- Ale, ale, Connie - odezwał się znów Chilton, zerkając na nią przez splecione palce. - Jak wyglądamy z pani tematem pracy? Oczekiwałem, że czegoś już się dowiem.

- Wiem, panie profesorze - bąknęła, wzdrygając się w duchu. Początkowo wahała się, czy przynieść mu swoje znalezisko, z obawy, że jego oczekiwania po prostu ją przytłoczą. I rzeczywiście, czuła, jak gromadzą się nad ich głowami jak wielka chmura, którą za chwilę przesyje piorun. - Przepraszam, ale byłam bardzo zajęta porządkowaniem domu. - Usłyszawszy wypowiedziane słowa, sama musiała przyznać, że pretekst zabrzmiał mało przekonująco.

- Pani głównym obowiązkiem jest zająć się badaniami - rzekł, odsuwając fotel od biurka. Dzwonek telefonu przerwał mu w pół słowa. Zirytowany popatrzył na aparat, potem na Connie i z powrotem na aparat. - Niech to... - mruknął. - Przepraszam na chwilę. - Podniósł słuchawkę.

Connie, wdzięczna losowi za chwilę oddechu, odwróciła się ku książkom wypełniającym półki i zaczęła wodzić spojrzeniem po grzbietach. Obie z Liz często żartowały, że doktorantów nie warto zapraszać na przyjęcia, bo nie sposób ich oderwać od czytania tytułów książek gospodarza.

Na półkach najbliższej biurka stały podstawowe opracowania historii Ameryki Północnej czasów kolonizacji - opowieści o osadnictwie angielskich kolonistów, o pierwszych wojnach z Indianami, o załamaniu purytańskiej teokracji. Większość z nich Connie miała w swojej bibliotece. Na wyższych półkach zauważyła jednak tytuły, o których nigdy nie słyszała. *Symbolika alchemiczna w psychoanalizie Junga. Alchemia a kształtowanie się zbiorowej nieświadomości. Historia chemii w średniowieczu.*

- Zdaję sobie z tego sprawę - powiedział cicho Chilton do słuchawki. - Ale zapewniam cię, że tekst będzie gotowy. Tak.

Connie niewzruszenie wpatrywała się w półki. W końcu usłyszała za plecami chrząknięcie Chiltona. Zerknąwszy przez ramię, pochwyciła spojrzenie profesora i uświadomiła sobie, że czeka, zakrywając dłonią mikrofon.

- Och, przepraszam! - rzuciła, wstała i wyszła.

Krażyła po holu przed gabinetem Chiltona, wpatrując się tępo w sufit. Przez kilka minut słyszała zza drzwi niezrozumiały szmer rozmowy, który jednak niespodziewanie wzmógł się tak, że słowa profesora, chociaż stłumione, stały się wyraźnie słyszalne.

- Mój Boże, ile razy mam to powtarzać?! We wrześnie, na konferencji Stowarzyszenia Kolonialnego! - ryknął.

Connie zmarszczyła czoło. Chilton nigdy nie podnosił głosu. Odsunęła się dalej od drzwi gabinetu i wlepiła wzrok w obraz wiszący w drugim końcu holu - sentymentalny zielony pejzaż z rozplatanym pniem drzewa na pierwszym planie. Zaczerniające niebo burzowe chmury przysłaniały intensywnie żółty księżyc po lewej stronie płótna i krwawe słońce po prawej. Złowieszczą sceneria. Kto chciałby skazać się na oglądanie jej dzień w dzień?

- Daję słowo - rozległ się znowu głos Chiltona za drzwiami. - Tak. Zanim podejmiesz decyzję, proszę, abyś poczekał i przekonał się, co mam do zaproponowania. - Znowu zniżył ton, a Connie, choć wmawiała sobie, że przez cały czas kontempluje obraz, w rzeczywistości pchana ciekawością nastawiała uszu, by usłyszeć, co jeszcze Chilton ma do powiedzenia. Mówił już jednak zbyt cicho. Zdawało jej się, że wychwyciła słowa „raczej substancja niż kamień”, i to było wszystko. Przez kilka następnych minut panowała cisza. Connie śledziła wzrokiem rzekę na płótnie, która wiała się, by w końcu zniknąć w odstraszałającej dżicy. Obraz był tak szczegółowy, że potrafiła rozróżnić byliny i pnącza, zgromadzone razem bez składu i ładu, jakby gatunki dzienne i nocne mogły kwitnąć jednocześnie.

- Nie chcę, żeby się pani rozmieniała na drobne - rozległ się za plecami Connie tak groźny głos Chiltona, że aż podskoczyła. Dzieło malarza pochłoneło jej uwagę do tego stopnia, że nie usłyszała, kiedy profesor otworzył drzwi swojego pokoju i wyszedł do holu. Wracając za nim do gabinetu, mrugała powiekami, próbując pozbyć się niepokojącego wspomnienia pejzażu. Znowu usiadła naprzeciwko biurka Chiltona, zdezorientowana tym, co podsłuchiwała. - No więc? - zapytał, pochylając się ku niej. Z trudem oderwała się od pełnego skojarzeń obrazu w swojej wyobraźni i zmusiła się, by skupić uwagę na pytaniu. Ale czego dotyczyło? Na pewno była mowa o rozmienianiu się na drobne. O co mogło mu chodzić?

- Przepraszam, panie profesorze, ale... straszny dzisiaj upał. O czym pan mówił? - Pożałowała tych słów, gdy tylko wyrwały jej się z ust. Na uczelni zawsze czuła, że za mało się stara, więc ilekroć spotykała się z Chiltonem, ze wszystkich sił próbowała sprawiać wrażenie skupionej. Widząc na jego ustach zgryźliwy uśmiech, poczuła nieznośne pieczenie uszu.

- O nieistotnych drobiazgach. Nie chcemy, żeby odrywały panią od pracy - powtórzył.

- Oczywiście - bąknęła.

- Dobrze jest mieć również inne zainteresowania i spędzać lato, robiąc porządki i co tam jeszcze - ciągnął. - Nie możemy jednak traktować lata tak, jakbyśmy byli bezrozumnymi, zielonymi licencjatami, prawda? - W stanach głębokiego wzburzenia Chilton używał królewskiej formy „my”. Jego irytacja nie dodawała Connie otuchy. - Musisz się po prostu skoncentrować, moja panno. Na szczęście w środowisku akademickim lato to okres, kiedy jesteśmy wolni i możemy bez reszty poświęcić się pracy. Nie chciałbym, żebyś zmarnowała szanse, które się przed tobą rysują.

Connie zbierała myśli. Nie była pewna, czy właściwie odczytała ton Chiltona. Moja panno, pomyślała. Janine Silva dostałaby szału, gdyby dowiedziała się,

że promotor zwraca się do niej w taki uwłaczający sposób. Zwrócenie mu uwagi nie miało jednak sensu, ponieważ był przekonany, że w ten sposób dodaje jej animuszu, okazuje troskę. A że nie używa podobnych określeń wobec swoich studentów płci męskiej? To wyjaśniłby specjalnymi względami, jakimi ją darzy. Tymczasem profesor uśmiechnął się szerzej, a nawet dość protekcyjnie. Od-
ruchowo potarła trzymanym w kieszeni klucz.

- Tego lata nie mam zamiaru tracić czasu, panie profesorze - zapewniła go chłodno.

- Ależ oczywiście, moja droga. Nie chciałbym tylko, żeby pochłonęły panią drobiazgi. Ale musimy znaleźć jakieś wyjątkowe, niezwykle źródło pierwotne. Dlatego próbując rozwikłać swoją małą tajemnicę, proszę nie tracić z oczu prawdziwego celu. W istocie... - Urwał, oparł się w fotelu i smukłymi palcami sięgnął po fajkę spoczywającą na mosiężnej popielniczce na jego biurku. Gdy za zasłoną jego dłoni zapłonęła zapalka, Connie poczuła, że spotkanie zbliża się do końca. Tymczasem Chilton potrząsnął dłonią, by zdusić płomień, i dokończył myśl: - Pani odkrycie może nastąpić całkiem przypadkowo. Źródło po prostu na panią czeka. Musi się pani tylko dobrze rozejrzeć.

Skinąwszy głowę, wstała i zarzuciła pasek torebki na ramię. Trzymając już rękę na gałce drzwi, odwróciła się ku niemu.

- A tak z czystej ciekawości, panie profesorze - zaryzykowała, przestępując z nogi na nogę. - Czy wygłosi pan referat na tegorocznej konferencji Stowarzyszenia Kolonialnego? Zastanawiałam się, czy powinnam tam jechać. - Obserwowała go, próbując odgadnąć, czy zorientował się, że zapuszcza sondę w związku z podsłuchanym fragmentem rozmowy.

Przez dłuższy czas przyglądał jej się spod opuszczonych powiek, jakby rozwiązywał skomplikowane równanie. W końcu włożył fajkę między wąskie wargi, pyknął i wypuściwszy dym przez nos, zaśmiał się rubasznie.

- A więc słyszała mnie pani. - Znów zaciągnął się dymem. - Od jakiegoś czasu opracowuję pewien temat. Tak, myślę, że zdążę na konferencję.

- Co to za temat? - spytała, przyglądając się jego twarzy. Miał niezdrową cerę, a bruzdy przy oczach i kącikach ust wydały jej się głębsze, niż pamiętała.

- Och... będzie jeszcze mnóstwo czasu, by o tym porozmawiać. - Ostentacyjna obojętność, z jaką to powiedział, świadczyła, że próbuje wykręcić się od odpowiedzi. - Dobrze wiem, że spieszy się pani do podjęcia własnych badań.

- To prawda - przyznała Connie, nie spuszczać z niego wzroku. Przesłał jej chłodny uśmiech. Próbowała znaleźć w myślach właściwe słowo dla opisanie wyrazu jego twarzy, ale najtrafniejszy przymiotnik brzmiał „wygłodniały”.

Następnego dnia w rozgrzanym powietrzu pojawiła się wilgoć, która oblepiła skórę Connie grubą warstwą. W babcinym domu upał spowodował nieznośny zaduch, Connie salwowała się więc ucieczką na główną ulicę Marblehead. Weszła do budki telefonicznej, przytrzymując sandałem uchylone drzwi. Między ramię a ucho wcisnęła słuchawkę.

- Dziękuję, poczekam - powiedziała do osoby o sennym głosie, z którą się połączyła. W słuchawce rozległ się stuk i zapadła cisza. W lodziarni po drugiej stronie ulicy tłoczyły się nastolatki w kostiumach kąpielowych, przeglądając egzemplarze magazynu „People” sprzed wielu miesięcy i szturchając się łokciami. Connie otarła pot z nad górnej wargi i złapała się na tym, że przygląda się trajkoczącym dzieciakom niemal z zazdrością. A może raczej z tęsknotą. Już prawie zapomniała, że i w jej życiu był okres, kiedy lato służyło do leniuchowania i zabijania długich, nużących godzin.

Słuchawka po kolejnym stuknięciu ożyła.

- Nic? - Connie nie dowierzała trzeszczącemu głosowi. - Czy to pewne? - Z telefonu dobyło się kilka piśnięć i skrzeków. - A inne możliwe formy pisowni? Na przykład **D-E-I-G-N?** - Telefon znowu zatrzeszczał. Connie bazgroliła w note-

sie rozłożonym na półeczce pod aparatem. - No trudno - powiedziała w końcu i westchnęła zawiedziona. - Dziękuję. - Odłożyła słuchawkę na widełki, choć nadal trzymała dłoń na rozgrzanym plastiku.

Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Grace. Nie rozmawiała z matką ani razu, odkąd wprowadziła się do domu babci, a teraz ciekawiło ją, co mogłaby usłyszeć na temat dziwacznych, bardzo plastycznych snów na jawie, które od kilku tygodni zakłócały jej spokój. Posepnie zacisnęła usta. Grace albo zaczęłaby się martwić, że Connie za mało śpi, i wdałaby się w długą dyskusję o gatunkach leczniczych herbat ziołowych albo uznałaby, że chodzi o „widzenie pozazmysłowe” i koniecznie chciałaby porozmawiać o uzdrawianiu aurą. Grace jako jedyny znany jej człowiek uznałaby halucynacje za objaw pozytywny. Kierując się nagłym odruchem, Connie wybrała numer domu w Santa Fe, odczekała cztery czy pięć dzwonek i rozłączyła się właśnie w chwili, gdy automatyczna sekretarka Grace zaczynała mówić: „Błogosławiony niech będzie dzień, w którym dzwonicz!”.

Zirytowana Connie sapnęła głośno przez nos i z ulgą opuściła budkę. Po pobycie w tym szklanym, przypominającym cieplarnię pomieszczeniu upalne popołudnie wydawało się niemal chłodne. Czują, jak warstwa potu pokrywająca jej skórę paruje. Niewątpliwie tym właśnie przejmowali się pracownicy towarzystwa historycznego. Nie zapisami, w których wymieniono by Deliverance Dane. Ani Deliverance Deign. Ani jakkolwiek inną Deliverance. Wyciągnęła klucz z kieszeni obcisłych dżinsowych szortów i obróciła go w jaskrawym popołudniowym słońcu. Zalśnił.

Chilton podpowiedział jej również, by próbowała szukać w rejestrach kościelnych. Tego ranka zajrzała więc do zboru w Marblehead, gdzie życzliwa damulka w jaskrawych bermudach ze sklepu Lilly Pulitzer poinformowała ją, że Pierwszy Kościół Nadmorski, kongregacjonalistyczny, był do około tysiąc siedemset dwudziestego roku filią Pierwszego Kościoła w Salem, więc wszystkie

najstarsze rejestry są przechowywane właśnie tam. Popołudnie było tak duszne i ospałe, że Connie niemal z radością powitała pretekst, by móc pojechać do sąsiedniego miasteczka. A kiedy jej poszukiwania okazały się bezowocne, jak się zresztą spodziewała, uznała swą porażkę i zrobiła sobie przerwę na plażowanie. W bagażniku volvo czekały na nią pasiasty parasol przeciwsłoneczny, ręcznik, a także kostium kąpielowy i powieść grozy zakupiona w przykościelnym sklepiku charytatywnym z używanymi rzeczami. Przez chwilę miała przed oczami pełną dezaprobaty twarz Chiltona i posmutniała. Zaraz jednak wytłumaczyła sobie, że nikt nie może pracować w takim upale i obraz profesora znikł. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy Liz nie przyjechałaby popływać, ale przypomniała sobie, że jest środa i przyjaciółka na pewno prowadzi zajęcia.

- Małą porcję czekoladowych z chrupkami - poprosiła nastolatkę sprzedającą lody i wyciągnęła z kieszeni zgnieciony banknot dolarowy.

Dziewczyna popatrzyła na nią i obróciła się z powrotem do telewizora, który miała za ladą. Oglądała chyba *Dni naszego życia*.

- Za chwilę - powiedziała. Kiedy indziej Connie zareagowałaby zniecierpliwieniem, ale teraz nawet na to było zbyt gorąco. Wsunęła kciuki w kieszenie dzinsowych szortów i oparła się o kontuar. Powinna przynajmniej być wdzięczna losowi, że nie musi nosić do pracy kapelusika w różowo-białe paski. Wiedziała jednak, że nie stać ją na to, by ze spokojnym sumieniem leniuchować przez całe popołudnie na plaży. Skoro już odłożyła przekopywanie domu babci, to należało chociaż poczynić jakieś postępy w poszukiwaniach. Pokiwała klapkiem zawieszonym na dużym palcu u nogi, zadumana nad brakiem kobiet imieniem Deliverance w miejskich archiwach.

Może to oznacza, że Chilton się myli? Może to nie jest imię, tylko coś innego. Ale co?

Kiedy film przerwały reklamy, dziewczyna zwlokła się z krzesła i podeszła tanecznym krokiem do kasy.

-Jakie miały być te lody, duże czy małe? - spytała.

-Małe - powiedziała Connie i dodała: - W wafelku. Życie jest krótkie, pomyślała. Osłódźmy je wafelkiem.

-Jasne - powiedziała dziewczyna, wyraźnie dając do zrozumienia, że świadcza wielką przysługę. Connie przyglądała się, jak nakłada kulki lodów z pojemników w chłodziarce, a pod skórą jej opalonych ramion pulsują mięśnie. Spod kapelusika w paski wyzierała twarz wyrażająca całkowitą obojętność. Jeszcze rok lub dwa i uroda dziewczyny stanie się bardziej toporna, jej rysy stracą młodzieńczą delikatność.

- To wszystko? - spytała, podając wafłowy rożek.

-Chciałabym jeszcze zapytać, czy mogłaby mi pani wskazać drogę do Pierwszego Kościoła w Salem? - odrzekła Connie, płacąc zmiętym dolarem.

Dziewczyna spojrzała na nią beznamiętnie i przełożyła gumę na drugą stronę ust. Poruszyła szczęką raz i drugi.

- Jest środa - powiedziała.

- No, jest - przyznała Connie.

Dziewczyna przyglądała jej się jeszcze przez chwilę, aż w końcu wzruszyła ramionami.

- Sto czternastką - wyjaśniła, wskazując kciukiem. - Potem w lewo.

-Dziękuję - powiedziała Connie.

Dziewczyna uniosła brwi i ruchem głowy wskazała na ladzie puszkę po kawie z napisem „Napiwki”. Connie wrzuciła do niej ćwierćdolarówkę i poszła dalej zmagać się z upalnym dniem.

Mniej więcej godzinę później Connie stanęła w drzwiach zboru. W pierwszej chwili nie była w stanie dostrzec niczego poza rzędami ciemnych ławek, biegnących w głąb świątyni. Drzwi za jej plecami zatrzasnęły się, blokując dostęp dziennego światła i zamykając ją w chłodzie wypełnionym zapachem dREW-

na i pasty do polerowania mebli. Wcześniej pukała do kancelarii po drugiej stronie ulicy, ale była nieczynna. Rzut oka do środka przez otwór w skrzynce na listy pozwolił jej zobaczyć schludne, wysprzątane, szare pomieszczenie biurowe z pustymi krzesłami. Teraz stała w zborze, czekając, aż oczy przyzwyczają się do półmroku. Stopniowo zaczęła rozróżniać na ścianach kontury wysokich okien, zwieńczonych łukami, i pomieszczenie nabrało kształtów. Co pewien czas dobiegały ją jakieś skrzyknięcia i szelesty, ale w ascetycznym, odbijającym echo wnętrzu trudno było zlokalizować ich pochodzenie.

- Halo? - zawołała. W przepastnej przestrzeni jej głos zabrzmiał głucho.

- Tak? - odpowiedział ktoś, ale znów nie sposób go było skojarzyć z jakimś konkretnym miejscem. Connie zerknęła w prawo, potem w lewo, ale nikogo nie dostrzegła.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale szukam pastora? - wyjaśniła.

Była zła na siebie, że ze zwykłego stwierdzenia wyszło jej pytanie.

- Wyjechał na Marthas Vineyard - odpowiedział ten sam stłumiony, odezwany od ciała głos. - Wróci dopiero w sierpniu.

Tego się nie spodziewała. Zamilkła na chwilę. Miała doskonały pretekst, by wrócić na plażę. W kieszeni czuła jednak ciężar klucza, lekko ocierającego się o udo.

- Właściwie nie muszę widzieć się z pastorem - powiedziała. - Chciałabym coś sprawdzić w kościelnym archiwum.

- Proszę poczekać - polecił głos, który teraz zdawał się dochodzić z góry. Connie usłyszała serię coraz głośniejszych szelestów, potem rozległ się przenikliwy świst, jakby ktoś zarzucił wędkę, i jakieś trzy stopy przed nią, dokładnie pośrodku głównej nawy, wylądowała z łoskotem ciemna postać. Connie cofnęła się zaskoczona. Stał przed nią chudy młody człowiek, ubrany w poplamiony farbą kombinezon, ściśnięty w biodrach pasem na narzędzia. Odczepił swoją uprząż

od lin, zwisających z sięgającego aż pod sufit rusztowania, które Connie dopiero teraz zauważyła, i podszedł do niej z wyciągniętą ręką.

- Dzień dobry. - Widząc jej zaskoczenie, uśmiechnął się szelmowsko.

- Ojej! - Ponownie otworzyła usta, ale nie zdołała już wydobyć żadnego dźwięku, więc je zamknęła, a ręką odruchowo sięgnęła do końca opadającego na ramię warkocza, co zdarzało się jej często, gdy była zdenerwowana lub podekscytowana.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

- Dzień dobry - powiedziała w końcu, puściwszy warkocz, by wymienić uścisk dłoni. Dłoń mężczyzny była sucha i silna, a jej dotyk nagle uświadomił Connie, że czuje się spocona i potargana.

- Sądzę, że Bob nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli pokażę ci archiwum - powiedział nieznajomy, nawiązując rozmowę. - Rzadko się zdarza, żeby ktoś chciał do niego zajrzeć.

W przegrodzie jego nosa tkwił kolczyk, co rozbawiło Connie. Prawdopodobnie mężczyzna miał swój zespół grunge'owy. Connie wyobraziła go sobie, jak tłumaczy jakiejś nieszczęsnej dziewczynie, że musi na poważnie zająć się muzyką. Z trudem stłumiła wybuch śmiechu.

- Bob? - spytała, wciąż mocno rozweselona.

- Pastor. Myślałem, że go znasz. - Mężczyzna popatrzył na nią z zaciekawieniem.

- Nie znam - odrzekła. - Jestem doktorantką. Zbieram materiały do pracy doktorskiej.

- Naprawdę? - Młody człowiek poprowadził ją nawą ku schodom. - A gdzie? Ja skończyłem Uniwersytet Bostoński. Konserwacja zabytków.

Przeżyła niemałe zaskoczenie i bardzo się zawstydzila, bo wzięła go za robotnika.

- Na Harvardzie - powiedziała skromnie. - Zajmuję się historią Stanów Zjednoczonych w okresie kolonizacji. Mam na imię Connie.

- Znałem kilka osób z tego wydziału, parę lat temu. W każdym razie skoro specjalizujesz się w kolonizacji, to dobrze trafiłaś. - Uśmiechnął się. Jeśli nawet wyczuł jej omyłkę, nie dał tego po sobie poznać.

Poszedł z nią do drzwi ukrytych pod schodami, które prawdopodobnie prowadziły na chór. Od pasa odczepił wielki pęk kluczy. Wybrał nieduży, lecz bardzo kunsztowny i włożył go do zamka, po czym pchnąwszy drzwi, gestem zaprosił Connie do środka. Mijając go, czuła na sobie jego wzrok, a w ciasnym przejściu otarła się bawełnianą koszulką o jego kombinezon.

Pomieszczenie było pozbawione okien, oświetlone samotną jarzeniówką na suficie, która po włączeniu bzyczała i migiała. Na półkach na wszystkich ścianach stały rzędy niemal identycznych, oprawionych w skórę ksiąg, od starych i zniszczonych po niemal nieużywane. Po prawej stronie tuż przy wejściu pod schodami znajdowała się drewniana kartoteka, a na środku pomieszczenia stał stolik brydżowy ze składanymi krzesłami.

- Chrzty - wyjaśnił młody człowiek, wskazując pierwszą półkę. - Dalej śluby, zgony i moje ulubione: „Roczniki członkowskie”. Tam znajdziesz informacje, komu pozwolono oficjalnie przystąpić do Kościoła. - Na chwilę zamilkł. -1 komu polecono go opuścić.

- Niesamowite! - wykrzyknęła, rozglądając się dookoła. - Zdumiewa mnie, że macie tutaj tyle materiałów. I wszystko nietknięte! - Położyła dłoń na szafce z katalogiem. - A nawet opisane!

- W większości tak, chociaż gdzieśgdzie zdarzają się luki. - Mężczyzna skrzyżował ręce. - Ale to nie moja praca. Ja zajmuję się tylko renowacją kopuły. Powinienem skończyć w lipcu, może w sierpniu. Potem jeszcze załatwię dzwonicę i przenoszę się dalej, do Topsfield. - Z kieszeni kombinezonu wyciągnął

wizytówkę i podał ją Connie. „Samuel Hartley. Prace konserwatorskie na wysokości", brzmiał tekst. - Jestem Sam - zakończył.

Connie parsknęła śmiechem, zanim zdążyła się powstrzymać.

- Naprawdę jest taki zawód? - spytała. Sam popatrzył na nią z udanym oburzeniem.

- Oczywiście! - powiedział. - Chociaż przyznaję, że nie jest nas wielu. Po skończeniu uniwersytetu pracowałem krótko w Stowarzyszeniu Konserwatorów Sztuki Nowej Anglii.

- Oni mają fantastyczny program - wtrąciła, bo знаła tę organizację. - Są budowle, które już dawno zostałyby rozebrane, gdyby nie oni.

- To prawda - przyznał, odwzajemniając uśmiech. - Zrobili wicie dobrego. Ale ja nie znoszę siedzenia cały dzień za biurkiem. Poszedłem na konserwację zabytków, żeby móc dotykać pięknych starych przedmiotów, których innym dotykać nie wolno. I w ten sposób - położył dłoń na pasie z narzędziami - zająłem się renowacją. Nowa Anglia to chyba jedyne miejsce, gdzie jest dostatecznie dużo starych dzwonnicy, żeby nie brakowało mi pracy.

- Poza tym masz okazję korzystać ze sprzętu do wspinaczki - odpowiedziała mu.

- To też - przyznał. - No dobrze. Czego szukamy?

Connie kusiło, żeby pokazać mu klucz. Serdeczność i entuzjazm Sama wydawały jej się zaraźliwe i tak różne od chłodnego dystansu etatowych naukowców. Próbowała wyobrazić sobie Manninga Chiltona z zapalem rozprawiającego na temat tajemniczych dziejów alchemii, ale wypadło to blado. Nawet jej student Thomas, który - co dla Connie nie ulegało wątpliwości - był wprost stworzony do życia akademickiego, podchodził do swojej pasji metodycznie, wyzbył się już emocji. Rozmowa z Samem przypomniła jej czasy, kiedy historia była dla niej czymś fascynującym i wciągającym bez reszty. Tymczasem Sam stał w drzwiach w dość nonszalanckiej pozie, ze skrzyżowanymi nogami i splecionymi rękami.

Podwinięte rękawy kombinezonu odsłaniały muskulaturę i opalenizną przedramion. Connie uświadomiła sobie, że gapi się na niego, więc szybko odwróciła wzrok.

- Porządkowałam stare papiery w dawnym domu mojej babci w Marblehead - powiedziała, zachowując dla siebie informację o kluczu. - Przy okazji znalazłam coś ciekawego. Sądzę, że to imię i nazwisko, ale nie jestem pewna. - Wyciągnęła z kieszeni kawałek pergaminu i podała go Samowi.

Potał go lekko kciukiem, przyglądając mu się z uwagą.

- To możliwe - przyznał, kiwając głową. - Domyślam się, że już próbowałaś się czegoś dowiedzieć w miejscowym towarzystwie historycznym.

- Bez skutku. Nie ma śladów żadnej Deliverance. Potem spróbowałam szczęścia w kościele i dowiedziałam się, że wszystkie dokumenty są przechowywane tutaj.

- I sądzisz, że ten skrawek pochodzi z pierwszego okresu kolonizacji? - spytał. - Dlaczego?

- Na przykład z uwagi na wiek papieru i charakter pisma - wyjaśniła. - Poza tym jeśli rzeczywiście jest to imię, brzmi zbyt staroświecko, by używano go w czasach wojny o niepodległość. Gdyby zaś chodziło o wiek dziewiętnasty, to czy kobieta nie nazywałaby się raczej Temperance, a nie Deliverance? Kieruję się jednak wyłącznie domysłami. Przecież być może to wcale nie jest imię i nazwisko.

Sam pogładził lekki zarośnięty podbródek.

- Twoje rozumowanie wydaje się mieć sens. Charakter pisma rzeczywiście przypomina wczesne manuskrypty. - Zauważył, że uważnie mu się przygląda, więc wyjaśnił: - Spędziłem dużo czasu w biurze Komisji Zabytków.

Connie rozejrzała się sceptycznie po rzędach nietkniętych ksiąg na półkach.

- Zdaje się, że poszukiwania mogą trochę potrwać.

- Nie szkodzi. I tak miałem zrobić sobie chwilę przerwy od malowania - oświadczył Sam ze śmiechem.

Trzy godziny później Sam i Connie siedzieli przy stoliku karcianym, odwrócenii do siebie plecami, z brudnymi rękami i odpoczywali. Sprawdzili w katalogu dziesiątki różnych pisowni nazwiska, a kiedy ich usiłowania spełzły na niczym, zaczęli ściągać z półek po dwie, trzy księgi, począwszy od najstarszych. Jak dotąd poszukiwania pozostały bezowocne. W księgach chrztu od tysiąc sześćset dwudziestego dziewiątego do tysiąc siedemset dwudziestego roku nie zapisano żadnej Deliverance Dane.

- Oczywiście ona mogła nazywać się Dane po mężu i wtedy w księgach chrztu jej nie będzie - zauważył Sam.

- Słusznie - przyznała Connie. - Ale musiałam od czegoś zacząć. To dlatego szukanie kobiet bywa znacznie trudniejsze niż mężczyzn. Mogą nawet kilkakrotnie zmieniać nazwisko, w zależności od tego, ile razy wychodzą za mąż. - Zamilkła na chwilę. - To zupełnie jakby stawały się innymi ludźmi.

Następnie znaleźli rozproszone rejestry ślubów osób o nazwisku Dane, między innymi niejakiej Marcy Dane, która w tysiąc siedemset trzynastym roku poślubiła niejakiego Lamsona. Żadna z kobiet nazwiskiem Dane, które wyszły za mąż, nie miała jednak na imię Deliverance, nie wydawało się też, by była z tą ostatnią spokrewniona. Nie mieli jednak pewności, bo w księgach z lat siedemdziesiątych siedemnastego wieku brakowało kilku stron. Niemniej po kilku godzinach bezproduktywnych poszukiwań oboje zaczęli podejrzewać, że te dwa słowa mogą jednak nie oznaczać imienia i nazwiska.

Potem szybko przewertowali świadectwa zgonów.

- O, znowu mamy biedną Marcy Lamson - mruknęła Connie, obracając kruchą stroną w księdze obejmującej lata 1750-1770.

- Umarła w tysiąc siedemset sześćdziesiątym trzecim roku. - Poczła dziwny ciężar na sercu, wsparła głowę na brudnej dłoni i zapatrzyła się w jakiś punkt w oddali.

- Coś się stało? - spytał Sam, podnosząc głowę znad księgi zgonów z lat 1730-1750, którą trzymał otwartą na kolanach.

- Właściwie nic - westchnęła. - Tak tylko się zamyśliłam.

- Dziwne, prawda? - zapytał cicho, odwracając się do niej nad stolikiem.

- Co takiego? - Ona również się odwróciła.

- Że masz swoje życie, jakieś poglądy, kogoś kochasz, czegoś się lękasz. W końcu jednak to wszystko znika. Potem znikają również ludzie, którzy cię pamiętali, i wreszcie zostaje tylko imię i nazwisko w jakiejś księdze. Weź taką Marcy. Na pewno miała jakąś ulubioną potrawę, a wokół siebie przyjaciół i ludzi, których nie lubiła. A my nawet nie wiemy, jak umarła. - Uśmiechnął się smutno. - Pewnie dlatego wolałem konserwację od historii. Przynajmniej mam poczucie, że mogę coś zatrzymać, ocalić.

Podczas gdy to mówił, Connie zwróciła uwagę, że jego twarz, aczkolwiek daleka od doskonałości, jest bardzo sympatyczna. Z prostego, spiczastego nosa schodziła mu spalona słońcem skóra, a od częstego uśmiechu w kąciakach przekornych zielonych oczu pojawiły się drobne zmarszczki. Włosy miał ściągnięte z tyłu w kucyk, brązowe, wyblakłe od słońca.

Uśmiechnęła się do niego.

- Rozumiem. Ale historia wcale nie jest pod tym względem tak odmienna, jak ci się zdaje. - Czubkami palców dotknęła nazwiska Marcy Lamson, wypisanego na stronie księgi. - Nie sądzisz, że Marcy byłaby zdziwiona, gdyby dowiedziała się, że jacyś obcy ludzie w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku czytają jej nazwisko i zastanawiają się nad jej życiem? Prawdopodobnie nigdy nawet nie wyobrażała sobie tak odległej daty. W pewnym sensie

- Connie zawahała się - jest to pewien rodzaj nieśmiertelności. Przynajmniej ktoś ją wspomina. Albo o niej myśli. Zauważa, że istniała.

Dotykając palcem kartki, ujrzała zaskakująco wyraźny obraz pogodnej twarzy, upstrzonej piegami i osłoniętej dużym słomkowym kapeluszem. Kobieta była stara, mrużyła łagodne niebieskie oczy i z czegoś się śmiała. Wizja znikła tak samo nagle, jak się pojawiła, a Connie poczuła, że brakuje jej tchu. Moc tego doznania była oszałamiająca. Nie mogła dłużej tłumaczyć wszystkiego jako sen na jawie, to było coś innego. Zupełnie jakby na miejscu realnego świata pojawiał się nagle film na celuloidowej błonie, przesłaniający pole widzenia.

- To prawda - przyznał Sam, zamykając trzymaną na kolanach księgę i splatając ręce za głową. Odchylił się i odetchnął głęboko, nie zwracając uwagi na to, że zaszło coś dziwnego.

- Mniejsza o to - powiedziała, starając się, by jej głos zabrzmiał obojętnie. Jednocześnie masowała sobie skroń. Musiała o tym z kimś porozmawiać... Z Grace, a może z lekarzem. - Wygląda na to, że straciliśmy mnóstwo czasu. Dziękuję za pomoc, Sam. Nie chciałam zająć ci całego popołudnia.

- Nie żartuj - odparł. - Kopuła nie ucieknie. Uwielbiam pod jakimś pretekstem poszperać w tym archiwum. Zresztą zostało jeszcze jedno miejsce, gdzie powinniśmy zajrzeć. „Roczniki członkowskie”.

- Bez przesady - jęknęła. - Nawet jeśli ten napis odnosi się do osoby, czego przecież na pewno nie wiemy, to nie urodziła się tutaj, nie wzięła ślubu i nie umarła. Co miałyby robić w „Rocznikach członkowskich”?

Uciszył ją lekceważącym psyknięciem.

- No, no. A już myślałem, że Harvard to porządna szkoła. - Wstał, wyciągnął trzy tomiska z dolnej półki przy drzwiach i rzucił je na stolik. - Nie uczono cię na tym ekskluzywnym uniwersytecie, jak prowadzić dogłębne badania? Wyczuwam w tym postawę typową dla studiów licencjackich. Dalej, Connie. Jeszcze godzina i skończymy.

Ze śmiechem sięgnęła po najbliższą księgę. Dobrotliwe docinki Sama pomogły jej zwalczyć powracający ból głowy, mogła więc znów czerpać przyjemność z pracy. Zerknęła z uznaniem na tego dziwnego młodego człowieka, który ją zawstydził, a mimo to zachęcił do wysiłku. Odwzajemnił jej uśmiech.

Pracowali w milczeniu przez następną godzinę, kartkując listy mieszkańców miasteczka, którym zaproponowano pełne członkostwo w Kościele. Niektóre nazwiska pojawiały się przez całe dekady, zanim zostały zaakceptowane. Connie zdziwiły te uprzedzenia i hermetyczność grupy, na które wskazywała treść roczników. Ogarnęła ją wręcz niechęć do wspólnoty, której kulturę zamierzała studiować przez resztę życia. Zwykle podobał się jej brak przejrzystości tego rodzaju archiwów, związana z nimi zagadka. Po odpowiednim połączeniu pozornie oderwane od siebie, rozbieżne fakty tworzyły bowiem obraz świata, który od dawna już nie istniał. Czasem jednak obraz zrekonstruowany na podstawie faktów okazywał się zdumiewająco okrutny. Mimo wszelkich idealizacji, jakich dopuszczali się historycy, koloniści z Nowej Anglii potrafili być tak samo bezwzględni i brutalni jak wszyscy inni ludzie i nie wolni od wad: małostkowi, kłamliwi, skłonni do manipulacji.

Sięgnęła po ostatnią księgę, przewróciła kilka niezapisanych stron, aż wreszcie doszła do tytułowej. Zaskoczona uniosła brwi. Tytuł brzmiał: „Ekskomunikowani”.

Księga wyglądała tak, jakby wciąż była aktualna, ponieważ pod koniec pozostały jeszcze wolne strony. Ostatnią zapisaną ekskomunikę ogłoszono w połowie dziewiętnastego wieku, po czym Pierwszy Kościół w Salem musiał się skupić na problemach o mniej doktrynalnym charakterze. W latach poprzedzających wojnę secesyjną wiele zborów Nowej Anglii wykazywało dużą aktywność w pracy na rzecz emancypacji społecznej. Connie wyobrażała sobie, że wewnętrzne walki w Kościele zapewne wydawały się błahostką wobec problemu niewolnictwa. Powoli cofnęła się do początku. Pierwszy wpis pochodził z tysiąc sześćset

dwudziestego siódmego roku, ale część strony została uszkodzona przez wilgoć, więc nie można było odczytać tekstu. Po założeniu kolonii pojedyncze kary ekskomuniki zdarzały się raz na kilka lat, ale do informacji o nich nigdy nie dołączano żadnych wyjaśnień. Pewna grupa przypadków, które wystąpiły w ciągu kilku kolejnych lat, zdawała się pokrywać w czasie z kryzysem antynomistycznym, kiedy to światem purytanów zachwiała schizma religijna wywołana problemem, czy dobre uczynki wystarczają do osiągnięcia łaski Bożej. Po zakończeniu kryzysu ekskomuniki znów zaczęły pojawiać się częściej, aż wreszcie Connie dotarła do bardzo ważnej strony.

- Mój Boże! - zawołała z nieukrywanym podnieceniem. - Już wiem, dlaczego Deliverance Dane nie występuje w żadnej z ksiąg!

- Tak? - Sam podniósł głowę znad swojego rocznika. Przesunęła księgę, by mógł do niej bez trudu zajrzeć, i wskazała mu jeden z wersów. W dolnej części długiej, pospiesznie nagryzmołonej listy znajdowało się nazwisko Delliveranse Dane. Ortografia została prawdopodobnie przekreślona przez niedouczonego pisarza.

- Spójrz, kiedy to zapisano - poleciała.

Popatrzył na wskazane miejsce, po czym zerknął na nią z pewnym zmieszaniem. Czekał na dalsze wyjaśnienia.

Wpis pochodził z tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego drugiego roku.

- Sam... - Connie wyciągnęła rękę nad stołem i ścisnęła go za ramię. - Deliverance Dane była czarownicą!

ROZDZIAŁ PIĄTY



Wyjaśnij mi to jeszcze raz - zażądał Sam, przesuając w stronę Connie pokazany kufel piwa. Siedziała z łokciami opartymi o kontuar i z podnieceniem wystukiwała na czubku głowy jakiś rytm. Sam usadowił się na sąsiednim stolku i spijał pianę ze swojego piwa. Przy drugim końcu kontuaru kilku mężczyzn w średnim wieku w pomarańczowych sztormówkach i marynarskim obuwiu zaśmiewało się do rozpuku ze swoich dowcipów, raz po raz trącąc się szklaneczkami koktajlu Cape Codder. Tawerna, w której urzędowali, była mroczna, obwieszona proporczykami z regat i fotografiami w sepia sprzed czterdziestu lat, przedstawiającymi mężczyzn w rogowych okularach, szeroko uśmiechających się do słońca.

-To jedna z dziesięciu najlepszych tawern na świecie - powiedziała Connie, przypominając sobie dopisek do listu, w którym matka przysłała jej klucz od domu babci. Namawiając córkę do odwiedzenia tej knajpy w zaadaptowanej starej żaglowni na strychu, Grace wspominała czasy, gdy jako nastolatka spędzała tam długie godziny i przyglądała się, jak właściciel wyrzuca miejscowych chłopaków, odprowadzanych następnie przez konstabla do domu. Trochę z tej awanturniczej atmosfery już przepadło, ale marynarze na drugim końcu kontuaru dzielnie starali się podtrzymać tradycję.

Pod wpływem nagłego impulsu Connie, wracając do Marblehead, wzięła ze sobą Sama. Zaprosiła go na piwo, chcąc podziękować za pomoc, a on przyjął zaproszenie, jakby było czymś całkiem naturalnym. Nie miał żadnych pilnych zajęć i nawet nie zmienił ubrania. Zerknęła teraz ukradkiem na jego profil, gdy zlizywał pianę z wargi, i przyglądała się skórze na jego twarzy. Była jędrna i gładka, a słońce utrwaliło powstałe od uśmiechów zmarszczki w kącikach oczu.

- Mhm - mruknął Sam, drapiąc się po świeżym zarostu na podbródku i coraz bardziej nieufnie przyglądając się marynarzom. - To co z tą datą? - przypominał. - Nie jestem mocny w siedemnastym wieku. Lepiej wytłumacz mi to jeszcze raz.

- Aach - westchnęła Connie i też przytknęła kufel do ust. - Przez cały dzień było mi tak gorąco. - Wyciągnęła przed siebie ręce, czując, że popołudniowe rozgorączkowanie z wolna ustępuje i wreszcie nadchodzi upragnione odprężenie. - Zwykle nie lubię piwa, ale to smakuje doskonale.

- Connie? - Trącił lekko jej łokieć. Znieruchomiała z kuflem w powietrzu, wciąż mając otwarte usta.

- Słusznie - przyznała po chwili z uśmiechem. - Data. - Obróciła się na stołku twarzą do niego. - A więc wszystko zaczęło się w styczniu tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego drugiego roku, kiedy zachorowała córka pastora z wioski Salem, Samuela Parri- sa. Na imię miała Betty. Była jeszcze dzieckiem, skończyła dziewięć lat, a ojciec nie wiedział, co jej dolega. Ten pastor prowokował podziały w społeczności. Część mieszkańców wsi była mu bezgranicznie oddana, inni uważali jednak, że żąda zbyt wiele pieniędzy. Przez długie lata, które spędził we wsi, zdarzało mu się występować z raczej nietypowymi żądaniami, włącznie z bezpłatnym opalem i tytułem prawnym do plebanii...

- Tytułem do plebanii! Co za tupet! - przerwał Sam z sarkazmem, teatralnym gestem łapiąc się za serce.

- Prawda? - Connie roześmiała się i poklepała go po ramieniu. - Za kogo on się uważał? Jeszcze zanim Betty zachorowała, miał już kilku zaprzysięgłych wrogów. Panuje zresztą opinia, że wieśniacy byli krewkimi ludźmi.

Zrobiła przerwę na łyk piwa.

- Podobnie jest dzisiaj - dodała zadumanym tonem, na co Sam uśmiechnął się kącikiem ust. - Tak czy siak, wielebny Parris wezwał w końcu medyka, ale ten nie potrafił powiedzieć, co to za choroba.

- Medycy nie umieli chyba wtedy zbyt wiele, prawda? - spytał.

- Owszem - przyznała. - To bardzo dziwny okres, między innymi dlatego, że jeszcze nie nastąpiła rewolucja w nauce. Ludzie nie mieli do dyspozycji metody naukowej, nie widzieli różnicy między współzależnością a przyczynowością zjawisk. Świat wydawał im się wielkim, niezrozumiałym ciągiem przypadkowych zdarzeń i działań siły wyższej.

- Właśnie dlatego ilekroć zaczynam tęsknić za jakimś okresem historycznym, natychmiast myślę o antybiotykach - skwitował figlarnie. - Idźmy dalej.

- No więc tak - podjęła z uśmiechem. - Medyk Griggs, o ile dobrze pamiętam nazwisko, prawdopodobnie poprzestał na puszczeniu małej krwi, co tylko pogorszyło jej stan. A przecież to właśnie w tym okresie profesja medyka stopniowo zyskiwała szacunek, od jej przedstawicieli zaczynało się oczekiwać formalnego wykształcenia. Może więc Griggs chciał po prostu wymigać się od odpowiedzialności i uratować swoją reputację, kto wie? W każdym razie powiedział wielebnemu Parrisowi, że jego córka nie jest chora, lecz rzucono na nią urok. I tak duchowny zaczął twierdzić w swoich kazaniach, że do wsi Salem dotarło zło. Uznał, że na jego córkę spadła kara za grzechy mieszkańców, i opowiadał wszystkim, że trzeba wypędzić zło z okolicy.

Niewykluczone, że Parris także próbował ratować skórę. Zdaniem niektórych historyków pastor podsycił atmosferę oskarżeń, aby odwrócić uwagę od gwałtownego spadku swojej popularności. Bez względu na przyczynę, wkrótce

wszyscy mówili tylko o czarach, a dziewczęta z Salem zaczęły dostawać podobnych ataków jak Betty. Do najstraszniejszych przykładów należy Abigail Williams, kuzynka Parrisa, która mieszkała w jego domu jako służąca. Arthur Miller uczynił ją bohaterką swojej sztuki *Czarownice z Salem*.

- I w ten sposób zaczęła się panika w Salem. A niech to! - zawołał Sam i strzelił palcami.

- Właśnie - potwierdziła Connie. - Co się stało dalej, już wiemy. Niewolnica wielebnego Parrisa, Tituba, została oskarżona o rzucenie czaru na dziewczęta. Historycy spierają się o Titubę. Jak dotąd nikt nie potrafił niezbitnie dowieść, czy była Murzynką, czy Indianką. Tak czy owak, ważne jest to, że Tituba się przyznała! Powiedziała, że przyszedł do niej diabeł ubrany w długi czarny płaszcz i obiecał, że jeśli zgodzi się mu służyć, będzie mogła wrócić do domu na Barbados. - Zanurzyła usta w piwie i uśmiechnęła się. - Kilku historyków zwracało uwagę, jak bardzo diabeł opisany przez Titubę przypominał samego wielebnego Parrisa. Nic dziwnego. Dla niej nie było innego sposobu wyrażenia swoich prawdziwych uczuć wobec tego człowieka.

Sam uśmiechnął się.

- W każdym razie duchowny obiecał Ti tubie, że jeśli wyzna, kto jeszcze w miasteczku przysiągł służyć diabłu, Jezus wybaczy jej grzechy - podjęła Connie. - Wymieniła więc dwie kobiety, miejscowe żebraczki, które oczywiście zaklinały się, że są niewinne. Ale wszystkie opętane dziewczęta poparły oskarżenia Tituby. Wkrótce sprawa na dobre wymknęła się spod kontroli. W ciągu kilku następnych miesięcy przedstawiono zarzuty setkom ludzi z hrabstwa Essex, a blisko dwadzieścia osób powieszono. Jednego mężczyznę, Gilesa Coreya, zmiażdżono nawet na śmierć wielkimi kamieniami, kiedy sąd próbował wymóc na nim przyznanie się do winy. - Connie zadrżała.

- To straszna śmierć - powiedział Sam.

- Według legendy jego ostatnie słowa brzmiały: „Zróbcie ciężej” - mruknęła w zadumie. Wypiła jeszcze trochę piwa, przez chwilę patrzyła w nieokreślony punkt, a potem podjęła opowieść: - Twardy był z niego gość, jakbyś chciał wiedzieć. A gdy wyzionął ducha, ktoś czubkiem laski wepchnął mu z powrotem do ust wywalony język.

Zamilkła, próbując uwolnić się od przykrego obrazu.

- Oprócz tej wersji, którą ci przedstawiłam, były jeszcze liczne konkurencyjne wyjaśnienia przyczyn szerzenia się paniki - podjęła po chwili. - Przypadki stosowania czarów zdarzały się sporadycznie na całym terenie siedemnastowiecznej Nowej Anglii, ale ten miał zdecydowanie najpoważniejsze następstwa. Nikt do końca nie rozumie, dlaczego sprawy tak dalece wymknęły się spod kontroli: czy dziewczęta zwyczajnie upajały się władzą, jaką zdobyły nad dużą częścią kobiet w średnim wieku i wykształconych mężczyzn, co było całkowicie wbrew purytańskiej hierarchii, czy może w grę wchodziły inne czynniki. Najważniejsze jednak, że każdą z kobiet oskarżonych o czary najpierw ekskomunikowano, a dopiero potem skazywano na śmierć!

Upiła kolejny łyk piwa.

- A więc wszystkie osoby wymienione w „Roczniku członkowskim” jako ekskomunikowane w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym drugim roku prawie na pewno były tak czy inaczej uwikłane w procesy o czary. Zostały usunięte pewnie dlatego, że w ciągu tygodnia czekał je stryczek.

- Ale dlaczego najpierw wyrzucano tych ludzi z Kościoła? - spytał Sam.

- Ponieważ czary były rodzajem herezji. - Wzruszyła ramionami.

- Naprawdę? - zdziwił się. - Sądziłem, że stanowiły raczej coś w rodzaju alternatywnej religii i były zupełnie niezależnym zjawiskiem. - Jeden z marynarzy zaczął głośno opowiadać dość nieprzyzwoity i mało śmieszny dowcip o blondynce, rybie i barmance. Ramiona jego kompanów zatrzęśły się od śmiechu,

a barmanka, także blondynka, wzniosła oczy do nieba i zajęła się wycieraniem następnego kufła.

- Nie - sprostowała. - Z tego, co czytałam, wynika, że po pierwsze, w siedemnastym wieku czary były bardziej wyimaginowanym zagrożeniem niż rzeczywistą praktyką. Po drugie, pastory potępiali je, uznając za profanację idei chrześcijańskich, ponieważ te wszystkie zamawiania i gusła zostały zapożyczone z przedreformacyjnego katolicyzmu. Co więcej, stosowanie czarów przypisywano ludziom, zwłaszcza kobietom, chcącym zgromadzić w swoich rękach zbyt wielką władzę, podczas gdy purytańscy teologowie uważali, że władza ta powinna należeć jedynie do Boga.

- Mówisz więc, że czary były tylko odzwierciedleniem niepokojów społecznych i niczym więcej - podsumował Sam.

- Tak - potwierdziła, pociągając następny łyk piwa. - To przykra sprawa zostać skazanym na śmierć z powodu niepokojów społecznych.

- Wypiłaś piwo? - zapytał, patrząc na nią z uwagą.

- Prawie. A dlaczego pytasz?

- Bo chcę ci coś pokazać. Chodź.

Wyszli w mrok wieczoru. Cienie między domami rozlewały się na żwirze niby ciemnogrnatowe kałuże. Connie ciaśniej otuliła się swetrem i pożałowała, że nie przebrała się w dzinsy. Latem w Cambridge nocne niebo powlekała pomarańczowa mgiełka o chemicznym rodowodzie, a asfalt wypromieniowywał ciepło zgromadzone w ciągu dnia. W Marblehead miało się wrażenie wsiadania do wyziębionego, ciemnego samolotu: domy spowijał cień, chłód znad morza, wędrując nad samą ziemią, wdzierał się w głąb lądu, a gwiazdy wyglądały jak kryształki lodu. Idąc obok Sama i próbując dotrzymać mu kroku, Connie czuła jego bliską obecność, mimo że go nie widziała. Czubki palców jej prawej dłoni mimowolnie ocierały się o kciuk, zdjęte pokusą, by ująć rękę Sama. Złapawszy się na tym, wcisnęła jednak ręce do kieszeni szortów i wlepiła wzrok w stopy.

- Zanim zlecono mi remont kopuły, pracowałem przy kilku renowacjach na starówce - oznajmił Sam prawie szeptem. Connie nie doceniła ten fakt, dowodził bowiem, że panująca w miasteczku cisza także na nim zrobiła wrażenie.

- Na czym polegały te renowacje? - zainteresowała się.

- Głównie na przywracaniu pierwotnego stanu - odrzekł. - W Bostonie wielu ludzi kupuje dawne domki rybaków i bierze się za przebudowę. Zdarzało się, że zlecano mi usunięcie wszelkich zmian wprowadzonych przez kolejnych mieszkańców, zwłaszcza w domach, które w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych podzielono na osobne mieszkania. Przychodzą nowi lokatorzy i chcą się pozbyć płytek dźwiękochłonnych z sufitu, odsłonić oryginalne krokwie, dodać nowoczesną kuchnię. Proszono mnie o konsultacje w tych przypadkach, gdy nabywcom naprawę zależało na zachowaniu zabytkowego charakteru domu.

- To dobrze, że tacy się znaleźli, prawda?

- Owszem, dla mnie, bo potrzebuję pracy, a dla nich też, bo mają porządnie odbudowany dom. Ale nie dla rybaka, któremu zabiera się dom, żeby jakiś bankier urządził sobie miejsce wypadów na weekend. - Przybrał gniewną minę, więc Connie uśmiechnęła się do niego. - Przepraszam - powiedział. - To jeden z moich stałych tematów do narzekania.

- Nie martw się - pocieszyła go. - Ja mam takich dużo.

- W każdym razie nie dlatego cię tutaj prowadzę. Podczas wykonywania jednego z tych zleceń na starówce znalazłem coś ciekawego. Chcę ci to pokazać.

- Mamy wejść do czyjegoś domu? - spytała zaniepokojona.

- Nie bój się.

Skreślił nagle w boczną uliczkę bez nazwy, tak wąską, że przejeżdżający nią samochód pewnie zabrałby ze sobą kilkoro drzwi frontowych. Domy w tym zaułku były niskie i ustawione bardzo ciasno, co nasunęło Connie podejrzenie, że kiedyś mieściły się tutaj powozownie i stajnie, służące właścicielom elegant-
szych domostw na sąsiedniej ulicy. Niektóre zwracały uwagę zaskakującymi ko-

lorami - ochrą, cynobrem lub intensywnym fioletem. W malutkich oknach stało mnóstwo doniczek z kwiatami, głównie bratkami i przekwitłymi tulipanami.

- Już niedaleko - zapewnił ją Sam.

Skreśli za następny róg, tam gdzie stały bogatsze domy, właśnie te, których właściciele korzystali kiedyś ze stajni. Każdy miał po dwa kominy i schludny gont na dachu, a kilka z nich otaczały niewielkie, lecz bujne trawniki upstrzone mleciami. Posesje ogrodzone były drewnianymi płotami albo kruszejącymi omszałymi murami, między którymi rosły szeleszczące dęby. Connie oceniła, że domy te powstawały od początku osiemnastego do połowy dziewiętnastego wieku i należały zapewne raczej do kapitanów statków niż do najzamożniejszych kupców. Księżycowa poświata nadawała srebrzysty połysk liściom i trawie, przez co czerń cieni wydawała się jeszcze głębsza. Connie pochwyliła w nozdrza zapach palonych drewn jabłoni, dolatujący z niewidocznego kominka. Zapach ten wywołał wspomnienie kuchni hipisowskiego domu w Concord, w której siadywała z Grace. Poczowała ciepło w sercu, postanowiła więc nazajutrz zatelefonować do matki. Powie jej, że wreszcie odwiedziła tę tawernę w dawnej żaglowni. Grace powinna się ucieszyć. Może opowie jej też o swoich snach na jawie. Kto wie?

Sam chwycił Connie za rękę i chciał ją pociągnąć za sobą w kierunku kamiennego muru, ale się zapała.

- Co robisz?! - zaprotestowała szeptem. - Nie możemy tak po prostu zakraść się na czyjeś podwórko!

- Pssst! - uciszył ją z uśmiechem. - Na pewno nie ma ich w domu. Zresztą na wszelki wypadek będziemy chodzić na palcach.

- Sam! - syknęła, choć podniecenie i ciekawość brały górę nad obawami.

- Naprzód! - Mocniej ścisnął jej rękę. Connie zadrżała, czując ciepło jego dotyku i gładkiej, choć poznaczonej odciskami skóry. Pozwoliła się zaprowadzić wzdłuż kamiennego murku w głąb kępy drzew rosnącej między dwoma domami. Sam parł naprzód, wodząc dłonią po kamieniach; w końcu przystanął przed wy-

rastającym w poprzek blokiem granitu wysokości mniej więcej dwóch stóp. Mur i drzewa utrzymywały głaz w głębokiej ciemności. Connie nerwowo obejrzała się za siebie, niemal pewna, że zobaczy zarys twarzy za firanką albo usłyszy skrzypienie drzwi na ganku.

- Poczekaj chwileczkę - szepnął Sam, szperając w kieszeniach kombinezonu. Usłyszała trzask, syk i ożyła zapalka sztormowa. - W porządku - powiedział, przysuwając niewielki płomień do granitu. - Teraz popatrz.

Connie przyklękła obok niego i wlepiała wzrok w żółty krąg światła na powierzchni kamienia, wygładzający jego fakturę. Zobaczyła schematycznie wyrytą postać, w kapeluszu lub innym nakryciu głowy, z wyciągniętymi rękami i nogami. Przy lewej ręce umieszczono pięcioramienną gwiazdę, przy prawej półksiężyc, przy lewej stopie słońce, a przy prawej węża lub jaszczurkę. Ryt wysokości około jednej stopy był nieudolny i mało precyzyjny, na kamieniu pozostały ślady po dłucie przyłożonym w niewłaściwych miejscach. Nie ulegało wątpliwości, że nie pracował tutaj mistrz kamieniarski ani nikt wprawny w rzeźbie. Powyżej wielkimi literami wyryto jedno słowo: **TETRAGRAMMATON**.

Connie wytrzeszczyła oczy, niepewna znaczenia tego rysunku.

- Co to jest? - szepnęła. - Nic nie rozumiem.

- To, moja racjonalnie myśląca przyjaciółko, jest kamień graniczny - odrzekł Sam, gasząc zapalkę i odrzucając ją w trawę. Zapalił następną i podjął wątek: - W początkowym okresie osadnictwa jednym ze sposobów oznaczania własnego terenu przed postawieniem solidnego płotu było umieszczenie w czterech rogach dużych kamieni. Jeśli rozejrzysz się po starej części miasta, zauważysz wiele takich znaczników, czasem nawet tuż przy frontowych drzwiach domu, jeśli budynek stoi na bardzo małej działce.

- Rzeczywiście - przyznała Connie. - Chyba widziałam już coś takiego. Ale ten ryt!

- Właśnie dlatego chciałem ci go pokazać. Odkryłem ten kamień pod dawną przyzłą kompostową, kiedy sprawdzałem na życzenie nowych właścicieli wytrzymałość ścian. Potem znalazłem jeszcze inne takie głązy ze śladami rzeźbienia, ale większość rytów została już zatarta przez siły natury. Nie były zbyt głębokie, bo ich autorzy nie znali się na tej robocie. Ten jest najwyraźniejszy.

- Ale Tetragrammaton? - spytała. - Co to znaczy? Dlaczego ktoś miałby ryc w kamieniu granicznym, zamiast po prostu napisać: „To pastwisko należy do tego i tego”.

Sam wzruszył ramionami i zgasił następną zapałkę.

- Nie znam tej symboliki, ale o ile mi wiadomo, miało to być zaklęcie. Odstraszało zło.

- Zło? - zdziwiła się.

- To tylko domysł. Jest absolutnie możliwe, że ktoś tu praktykował magię. Skoro istniało pojęcie czarów, to ktoś musiał je stosować. Nawet purytanie są tylko ludźmi. Ten ryt bez wątpienia coś dla kogoś znaczył. Najwidoczniej w mieście czegoś się obawiano. - Przyjrzał się Connie z uwagą. - Dla nich to nie był problem akademicki, tylko prawdziwe życie. A w prawdziwym życiu lęki też są prawdziwe.

Connie przesunęła palcami po zagłębieniach w granicie, zafascynowana słowami Sama. Jego wywód oczywiście miał sens, choć wszystko, co do tej pory czytała, wskazywało na to, że zmieniło się znaczenie słowa „czary”, że dawniej pojęcie to było raczej jakimś irracjonalnym narzędziem społecznym z epoki przed oświeceniowej, służącym przenoszeniu na najsłabszych członków społeczności lęku przed tym, co nieznane. Przesuwając dłoń po powierzchni granitu, poczuła dreszcz emocji. Widocznie jednak magia nie była tylko środkiem zastępczym, psychoanalityczną kategorią, służącą interpretacji świata, w którym brak wyraźnie rozróżnialnych przyczyn i skutków. Dla niektórych kolonistów

magia była czymś rzeczywistym. Z wrażenia zaparło jej dech. Oto ma przed sobą namacalny dowód, który przez ponad dwa wieki tkwił ukryty w pryzmie kompostu.

Już miała mu odpowiedzieć, gdy w oddali rozległo się wołanie:

- Jest tam kto? - Głos dobiegał od strony tylnych drzwi domu.

Zaskoczeni Connie i Sam wymienili spojrzenia.

- A nie mówiłam! - wyszeptała, uderzając go w pierś.

Rozłożył ręce, co miało świadczyć o jego niewinności, i wzruszył ramionami, jakby chciał dodać: „I co mam powiedzieć?”. Potem chwycił ją za rękę i oboje ze śmiechem zerwali się do biegu.

TLR

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Salem, Massachusetts

połowa czerwca 1991 roku



Connie stała przed okazałym klasycystycznym gmachem sądu miejskiego w Salem i zastanawiała się, co tu właściwie robi. Piekielny upał z ubiegłego tygodnia wciąż trwał, więc całe miasto schroniło się przed letnim skwarem za opuszczonymi żaluzjami. Sklepiki stały puste. Z samotnego szkolnego autobusu wysypała się na ulicę wycieczka, lecz obraz dzieciaków biegnących parami po wybrukowanej alejce rozmywał się w falach powietrza, unoszących się nad rozgrzaniem asfaltu ulicy. Connie weszła do środka przez otwarte żeliwne wrota, zablokowane krzesłem, aby do wnętrza mógł wpaść jakiś zabłąkany podmuch wiatru.

Po nasłonecznionej ulicy marmurowy hol wydawał się ciemny i chłodny, więc przystanęła, by przyzwyczać wzrok. Stwierdziwszy, że przy biurku strażnika jest pusto, schowała do kieszeni legitymację Harvardu i pomyślała, że lato wprowadza w uporządkowaną nowoangielską mentalność szczególny rodzaj zo-bojętnienia. Minęła drugie drzwi, tym razem dębowe, również otwarte, i skręciła

w zatechły korytarz, za strzałką z podpisem: „Wydział Testamentów i Postępowań Spadkowych”.

Od wieczoru, gdy wypłoszono ich z Samem z cudzego podwórza, minął tydzień, ale wciąż towarzyszyło jej przyjemne zmieszanie, jakie czuła wtedy w jego obecności. Jednak rozmawiając z Liz przez telefon tego ranka, obwiniła za swój stan upał, który mącił jej myśli.

- Nie wydaje mi się, żeby chodziło o upał - orzekła Liz.

- Co ty tam wiesz - jęknęła Connie. - W domu babci panuje nieprzytomna duchota, a ja nawet nie mogę włączyć wentylatora. Wczoraj wieczorem napełniłam wannę zimną wodą i siedziałam w niej przez pół godziny. Ario nie przypomina już psa, wygląda teraz jak zmierzwiona kula.

- Mniejsza o to, upał już nieraz dawał ci się we znaki. - Liz nie zamierzała podjąć tematu. - Mnie się wydaje, że to raczej spotkanie z facetem wytrąciło cię z równowagi. Ale w dobrym kierunku.

Wydało się! Liz jak zwykle umiała wyłuskać prawdę z mętnych tłumaczeń i wyrazić wprost to, czego Connie sama nie potrafiła wykrztusić.

To prawda, Sam działał na nią wyjątkowo. Wszyscy chłopcy, z którymi spotykała się w college'u, byli mili: beznamiętni, sympatyczni faceci, którzy z chęcią postali obok niej na przyjęciu albo poczęstowali ją piwem, ale nic więcej. Z mężczyznami w Harvardzie w ogóle nie utrzymywała bliższego kontaktu. Twierdziła, że są zbyt zaabsorbowani studiami, by mieć czas na życie towarzyskie, choć zdaniem Liz, po prostu ich onieśmiałała. Z drugiej strony, Sam nie wydawał się ani beznamiętny, ani onieśmielony. Myśląc o nim, mimo woli się uśmiechnęła. W jego obecności zachowywała się wbrew swojej naturze, była swobodna i niezorganizowana; potrafiła samą siebie zaskoczyć.

Pod koniec ich wspólnego dnia Sam wymusił na niej obietnicę, że będzie go informować na bieżąco, jeśli dowie się czegoś w sprawie tajemniczej czarowni-

cy, a ona, starając się na niego nie patrzeć, skinęła głową. Nadjechał nocny autobus do Salem. Obserwowała, jak Sam wsiada. Kiedy przechodził na tył ruszającego autobusu, sprawiało to złudne wrażenie, jakby stał w miejscu, a pojazd przyspieszał wokół niego. Na pożegnanie pomachał jej ręką, autobus odjechał, a ona poczuła się opuszczona i bezgranicznie samotna.

Gdyby tego popołudnia dowiedziała się czegoś o Deliverance Dane, miałaby pretekst, żeby wstąpić do kościoła, w którym pracował Sam, i opowiedzieć mu, co znalazła. Myśl o tym wzbudziła w niej radosne podniecenie, ogarniające całe ciało. O procesach czarownic z Salem czytała, przygotowując się do egzaminu, nie pamiętała jednak żadnej wzmianki w źródłach wtórnych o kimś, kto nazywałby się Deliverance Dane. Jeśli Deliverance była jedną z kobiet oskarżonych o czary, to ślady jej istnienia w historycznych dokumentach na pewno zostały niemal całkowicie zatarte. Nie zdołała jeszcze postawić hipotezy, dlaczego tak się stało. Nieznana czarownica z Salem! Przyspieszyła kroku, by jak najszybciej wziąć się do pracy.

Dominującym meblem w Wydziale Testamentów i Postępowań Spadkowych było wysokie biurko, na którym znajdował się tylko kręcący się wentylator i mały metalowy dzwonek. Connie skorzystała z dzwonka i właśnie pochylała się nad biurkiem, żeby zawołać, gdy za plecami usłyszała syk:

- Sssłucham?

Zaskoczona odwróciła się i zobaczyła drobną, pomarszczoną kobietę z koczkim, w okularach, ubraną w kloszową spódnicę i kedsy. Stała ze złożonymi rękami, a jej zaciśnięte usta tworzyły wąską linię.

- Dzień dobry - powiedziała Connie, próbując się skupić. - Przyszłam obejrzeć rejestr postępowań spadkowych.

- Czy była pani umówiona? - spytała niechętnie kobieta, z dezaprobatą mierzając wzrokiem jej szorty i klapki.

Connie bez słowa rozejrzała się po archiwum, nie dostrzegła jednak nikogo, więc wsparła się pod boki.

- Niestety nie - powiedziała zdecydowanie. - Ale proszę tylko o chwilę. Widzę, że jest pani zajęta.

- Owszem - syknęła kobieta, nie przestając patrzeć na nią wilkiem. - Zwykle przyjmujemy tylko petentów, którzy byli umówieni.

- W takim razie będę bardzo zobowiązana, jeśli zechce pani uczynić dla mnie wyjątek - rzekła Connie, gratulując sobie dyplomatycznego podejścia. - Interesuje mnie postępowanie spadkowe z lat dziewięćdziesiątych siedemnastego wieku.

- Mamy je zewidencjonowane według nazwisk, a nie według dat - odburknęła archiwistka.

- Rozumiem - powiedziała Connie, czując, jak drętwieje jej szczęka. - I nie ma indeksu według dat?

- Nie ma takiej potrzeby - odparła kobieta.

„Nie ma takiej potrzeby”. Charakter społeczeństwa Nowej Anglii sprawiał, że niezmiennosc przedkładano tu nad wszystko. Nieraz podczas badań zdarzyło się Connie usłyszeć: „Bo tak było zawsze”. Stwierdzenie to było jak zaporę, chroniącą przed światem spoza granic Nowej Anglii. Poczowała przelotną falę zrozumienia dla buntowniczych skłonności nastoletniej Grace. Babcia z pewnością prowadziła dom w podobny sposób, wedle ustalonych reguł, kosztem postępu i zmiany.

- Czy wobec tego byłaby pani łaskawa wskazać mi część archiwum z nazwiskami na D? - spytała Connie z wymuszonym uśmiechem.

- Tam jest katalog. - Kobieta wskazała miejsce znajdujące się gdzieś w lewej części sali, po czym bez dalszych wyjaśnień obróciła się na piętach swoich kedsów i znikła za niewielkimi drzwiami opatrzonymi napisem „Tylko dla personelu”.

- Dziękuję - rzuciła Connie w pustą przestrzeń, położyła torebkę na długim stole i skupiła się na katalogu.

Wiedziała, że jeśli Deliverance zmarła wcześniej niż jej mąż (zakładając, że w ogóle miała męża), cały dobytek automatycznie został przekazany właśnie jej. Gdyby natomiast jako żona przeżyła męża, wtedy przynajmniej jedną trzecią majątku na mocy prawa otrzymywała ona, a pozostałą część dzieci. Sprawa się komplikowała, gdyby Deliverance nigdy nie wyszła za mąż, ale w okresie kolonizacji wydawało się to wysoce nieprawdopodobne. Connie zreflektowała się, że nie ma żadnych danych odnośnie wieku tej kobiety podczas procesów czarownic.

Według statystyk czarownice były najczęściej osobami w średnim wieku, między czterdziestym a sześćdziesiątym którymś rokiem życia, bo właśnie wtedy kobiety cieszyły się największymi wpływami w społeczeństwie kolonistów. Te oskarżane o czary zwykle budziły podejrzenia swoim odmiennym sposobem życia: miały mniej dzieci albo były uboższe. Istniało więc duże prawdopodobieństwo, że Deliverance była dojrzałą kobietą, zapewne wdową, a do tego prawdopodobnie bezdzietną.

Ponieważ nawet najstarsze zapisy dotyczące testamentów i postępowań spadkowych wciąż miały moc prawną, przechowywano je w tym samym systemie co nowsze i archiwizując, nie wyróżniano niczym szczególnym. Connie wędrowała wzdłuż rzędów metalowych szafek z szufladami. Wreszcie natrafiła na numerowaną szufladę z oznaczeniem: „Postępowania spadkowe: **DAM-DANFORTH**". Wyciągnęła ją, wzbijając chmurę kurzu, który nawarstwił się tam przez dziesiątki lat. Każda teczka symbolizowała czyjeś życie. W każdej można było znaleźć kluczowe informacje o dawno zmarłych ludziach i ich zapomnianych rodzinach. Były tam historie farm dzielonych na coraz mniejsze gospodarstwa, plany ślubne - te urzeczywistnione i niedosze. Dramaty rekonstruowane na podstawie suchych z pozoru danych zawsze wywierały na Connie duże wrażenie. Teraz jej poszukiwania wspierał też entuzjazm Sama. Ciekawe, czy

jest tu gdzieś również Marcy Lamson, pomyślała. Wspomnienie uśmiechniętej twarzy starszej kobiety nie opuszczało jej ani na chwilę, gdy przebierała palcami wśród zakurzonych teczek.

Wreszcie między „Danefield Harvey, 12 grudnia 1934 r.” i „Danefield Janice, 23 lutego 1888 r.” znalazła cienką, brudną teczkę z kruszącego się kartonu, opisaną jedynie „D. Dane”. Podniecona wyciągnęła ją z szuflady, zapominając nawet o początkowej irytacji z powodu niewłaściwej lokalizacji znaleziska. Usiadła przy stole, aby zapoznać się z zawartością.

Teczki z dwudziestowiecznymi sprawami postępowań spadkowych były zaopatrzone w urzędowo wyglądające, wypisane na maszynie metryczki, obejmujące datę zakończenia postępowania oraz podpisy wykonawców testamentu i notariusza. Dalej następowało wiele stron wywodów prawniczych i zapisów. Już na pierwszy rzut oka było widać, że metryczki powielaly pewien wzorzec, także te z dziewiętnastego wieku, choć tu pismo było odręcznie kaligrafowane.

Okazało się jednak, że w teczce Dane brakuje metryczki. Bez niej Connie nie mogła potwierdzić daty śmierci kobiety. Założyła wprawdzie, że Deliverance skazano na śmierć wkrótce po ogłoszeniu ekskomuniki w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym drugim roku, ale bez datowanego dokumentu o zakończeniu postępowania spadkowego nie miała absolutnej pewności. Teczka, która wyglądała na założoną w dziewiętnastym wieku, zawierała tylko jeden arkusz papieru. Connie podeszła do drzwi, za którymi znikła archiwistka, otworzyła je i wsunęła głowę do pokoju. Kobieta siedziała przy biurku, na kolanach trzymała otwarty romans i właśnie przytykała do ust kubek kawy, gdy głos Connie sprawił, że zaskoczona drgnęła.

-Przepraszam - powiedziała Connie od drzwi. - W teczce, która mnie interesuje, brakuje chyba metryczki. Czy jest szansa, że znajdę ją w innym miejscu? A może jest gdzieś wykaz zakończonych postępowań spadkowych?

Kobieta spojrzała na nią jak na intruza.

- Nie - syknęła przez zęby. - Przez trzysta lat mogły się zdarzyć najróżniejsze niedorzeczne sytuacje. - Odstawiła kubek, dając tym samym znak, że temat uważa za zakończony.

Connie westchnęła, zamknęła drzwi i wróciwszy do stołu, zaczęła punkt po punkcie przeglądać spis inwentarza, podsumowujący życie i majątek Deliverance Dane. Wyciągnęła notes z torebki, by skopiować słowo po słowie całą listę, świadoma, że archiwistka najprawdopodobniej nie pozwoli jej skserować tak starego i nietrwałego dokumentu.

Delivrance Dane

dom gospodarski i 2 akry gruntu ornego wartości 63£ [mokra, plama]

pościel i odzież 13 £ 12 szylingów

meble: łóżko, stół 6 krzesel, kredens 1 2 £ 25 sz.

rozmaite żelazne naczynia kuchenne 90 szylingów

zastawa gliniana 67szyl.

różne sprzęty domowe 54. sz.

szklane butelki 30 szyl.

kufer drewniany 22 sz.

Biblia., rejestr przepisów 15 sz.

inne księgi 12. sz.

1 świnia. 1,5 £

1 krowa, mleczna. 2,5 £

7 kurczaków 34 szylingi

podatek zaległy 12 £ 10sz.

na rzecz jedynej spadkobierczyni Mercy

Connie przyglądała się dokumentowi przez kilka minut, a w głowie kłębiły się jej różne myśli. Zamknęła oczy i zaczęła wyobrażać sobie oszczędnie urządzone pokoje, które pewnie stanowiły scenerię życia Deliverance. Rozpoczęła od typowego wnętrza z końca siedemnastego wieku: podłoga z desek, duży kominek, pusta izba. Potem uzupełniła obraz w wyobraźni o wskazówki, które podsuwał dokument, wzbogacając wnętrze o kolejne szczegóły, tak jak artysta cieniuje plamy barwne.

Deliverance musiała być wdową, ponieważ w dokumencie nie wymieniano męża. Connie w wyobraźni umieściła więc przy kominku stojącą samotnie kobietę w nieokreślonym wieku, dość ubogą. Miała ziemię orną, ale nie całe gospodarstwo, miała też podstawowe sprzęty domowe, choć nic, co przedstawiałoby jakąś większą wartość. Nie było na przykład sreber ani nawet naczyń z cyny. Meble zostały wycenione niemal tak samo jak tkaniny, co kazało domyślać się ich przyzwoitego, choć nie nadzwyczajnego stanu. Krzesel nie opatrzone żadnym określeniem, prawdopodobnie nie miały więc obicia ani tym bardziej nie były to fotele. Nie wymieniono żadnych obrusów ani haftów. Na tej podstawie Connie umeblowała w wyobraźni izbę, dodając zwyczajny drewniany stół na toczonej nogach i najprostsze naczynia, nad kominkiem bulgocący kociołek, przy stole twarde krzesła. Na stole bez obrusa były nakrycia dla dwóch osób. W drugim końcu, a może w sąsiedniej izbie stała rama łóżka z pościelą i piernatami, czyli najcenniejsze sprzęty domowe. Dla zabawy Connie dodała też zioła i kwiaty suszące się pod sufitem. Kobieta z jej wizji splotła ręce.

Uznając, że wnętrze jest gotowe, Connie przeniosła spojrzenie na ogródek warzywny wokół domu - znajdowały się tu zapewne typowe rośliny motylkowe i warzywa naciowe, może również korzenne, nadające się do przechowywania przez zimę, a do tego ze dwa drzewka owocowe. Przy domu piętrzył się stos drewna na opał, które Deliverance narąbała sama lub zdobyła dzięki wymianie z inną rodziną. Connie postawiła toporną drewnianą zagrodę dla świni - w jej wy-

obrażeniu czarnej w białe łaty, z oklapłymi uszami - a na niewielkim podwórzu za domem dodała szopę dla krowy. Obraz uzupełniła kurczakami wydziobującymi ziarno z błota przed domem. Następnie postanowiła posunąć się o krok dalej i zaczęła rozmyślać nad życiem Deliverance.

Z jej założeń wynikało, że Deliverance była osobą samotną, lecz obdarzoną różnymi umiejętnościami. Potrafiła sama wytworzyć potrzebną żywność i dokonywać prostych wymian z sąsiadami, którym oferowała jajka i ser, a może nawet pranie i cerowanie. Niektóre szczegóły jednak były mniej jasne. Na przykład bez dat urodzin i śmierci jej wiek pozostawał tajemnicą. W spisie inwentarza wymieniono jedno dziecko, córkę imieniem Mercy. Connie wysunęła przypuszczenie, że Deliverance była młodą wdową i nie zdążyła urodzić więcej dzieci, nie wyszła też ponownie za mąż, bo tymczasem skazano ją na śmierć. Gdyby jednak tak było, majątek zapewne przeszedłby w ręce ojca lub innego żyjącego krewnego płci męskiej, a nie małoletniej córki. Tymczasem Mercy Dane odziedziczyła po matce wszystko, co wskazywało na to, że osiągnęła już wiek dojrzały, ale jeszcze nie wyszła za mąż. Skoro tak, to znaczy, że w domu Deliverance nikt więcej nie mieszkał. Nie było w nim gromadki dzieci, niewolnej służby ani starszych krewnych. Connie zmarszczyła czoło, nie wiedząc, jak potraktować hipotezę o dwóch dorosłych kobietach, matce i córce, mieszkających samotnie.

Problem stanowiły również wymienione w spisie szklane butelki. Jeśli zapisano je osobno, a nie w pozycji „różne sprzęty domowe”, to musiało być ich wiele albo wydawały się godne wzmianki z innego powodu. Connie próbowała umieścić w domu Deliverance dużo butelek różnych kształtów i wielkości, ale nijak tam nie pasowały, ich obecność po prostu wydawała się trudna do uzasadnienia. W wyobraźni rozstawiła kilka z nich na stole, a inne wstawiła do kredensu. Po co Deliverance miała ich aż tyle? Z głową wspartą na rękach pochyliła się nad spisem. Wyimaginowana kobieta przesłała jej uśmiech.

- Proszę pani? - syknął głos tuż nad jej uchem.

- Tak? - odparła zirytowana.

Nad nią stała zasuszone archiwistka i mimo drobnej postury usiłowała przybrać groźny wygląd.

- Zamykamy za pół godziny. - Spiczastym nosem wskazała zawieszony nad katalogiem zegar, jaki widywało się w szkołach.

- Dziękuję, już kończę. - Connie popatrzyła śladem archiwistki, znikającej za szafami, po czym znów przeniosła wzrok na swoją kartkę.

Coś jeszcze niepokoiło ją w tym spisie. Coś tu nie grało i Connie, przygryzając wargę, próbowała dociec, w czym rzecz.

Wysokość podatku wydawała się rozsądna, nie zawyżono jej ani nie zaniżono. Liczba zwierząt była taka, jakiej można by się spodziewać. Książki? W większości purytańskich domów było ich trochę - nie powieści, lecz na przykład kazania publikowane w Bostonie, traktaty służące doskonaleniu moralnemu, bez wątpienia też Biblia.

- Biblia, rejestr przepisania - przeczytała na głos.

Rejestr przepisania?

Jeszcze bardziej skupiła wzrok na kartce, jakby zmrużenie powiek, pozwalające policzyć dokładną liczbę pociągnięć pióra, mogło wyjaśnić zamierzone znaczenie tych słów. Czyżby księga rachunkowa? Może Deliverance prowadziła interesy? Do czego potrzebne jej były rejestry? Connie wpatrywała się w te słowa, z szeroko otwartymi oczami i uniesionymi brwiami, a kobieta, wciąż stojąca w wyobrażonym pokoju, ze zniecierpliwieniem oparła rękę na biodrach. Connie obracała słowa w ustach, czując, że są nieadekwatne. Tak to bywa, kiedy ma się do czynienia z nietypową pisownią i wymową. Wreszcie przyszło jej coś do głowy, ale nie mogła uchwycić myśli, nadać jej ostatecznego kształtu. Przepisanie, przepis...

Olśnienie przyszło w jednej chwili. Myśl jasna i rzeczowa. Connie sapnęła głośno i poderwała głowę. W tym samym momencie archiwistka zgasła światło.

Irteludium

Salem, Massachusetts
połowa lipca 1682 roku



To drzewo jest dzisiaj wyjątkowo wygodne, pomyślała dziewczynka. Mocniej przywarła do kory, głębiej wciskając się w przestrzeń między grubym konarem, na którym siedziała, a sękatym pniem, o który opierała plecy. Leniwie zwiesiła nogi po jednej stronie konaru i cieszyła się, że powiew bryzy omiata jej swobodnie zwisające stopy. Tu, na górze, było chłodniej, podmuchy wiatru to obejmowały ją, to odpływały, odgarniały jej z czoła kosmyki włosów, wkradały się do rękawów i pod czepek. Zachichotała radośnie, ale wnet nakazała sobie milczenie.

Od pochyłego w tym miejscu gruntu dzieliło ją kilka stóp, więc przyjemnie jej było siedzieć w schronie z gałęzi i liści, gdzie czuła się dobrze ukryta i bezpieczna. W dodatku wysoko położony punkt obserwacyjny dawał jej wspaniałą możliwość podglądania innych ludzi, którzy wcale o tym nie wiedzieli: w oddali przy drodze widziała jejmość James w słomkowym kapeluszu, pracującą w ogródku, natomiast dużo dalej, na zakręcie traktu jejmość James poganiał muła w stronę nabrzeża. Jejmość James wyprostowała się nad grządką i splotła ręce na plecach, a dziewczynka się uśmiechnęła.

Z podwórza poniżej dolatywały ją rytmiczne świsty i stuki - to jej ojciec rąbał drewno na opał. Łup, szju, łup! A potem tępy łoskot dopiero co rozplatanego polana, odrzucanego na stertę za plecami drwala. Łup, fiuuu, łup! Wiedziała, że

liście zasłaniają ją przed ojcem, i starała się siedzieć jak mysz pod miotłą, żeby jej nie zauważył. Podczas nabożeństwa w tym tygodniu wielebny narzekał na próżnujące dzieciaki, dlatego ludzie z miasteczka zaczęli dawać więcej baczenia na swoje potomstwo. Dziewczynka puknęła głową o pień za plecami i zmarszczyła nos.

Zaburczało jej w brzuchu, więc przycisnęła do niego dłonie, żeby się uspokoił. Potem owinęła sobie kosmyk włosów wokół palca i zerkając na gałęzie, które miała przed oczami, pomyślała o strawie. Choć kwiaty z jabłoni opadły już kilka tygodni temu, zamiast owoców na drzewie wciąż były tylko zawiązki. Przyciągnęła do siebie kilka takich zawiązków w wianuszku liści i ukryła je między dłońmi. Niektóre przyjaciółki matki opowiadały już o niej, że ma dobrą rękę do wszystkiego, co rośnie. Wpatrując się w małe zgrubienia na gałęzi, które na razie nie za bardzo przypominały jabłka, pomyślała o tych pochwałach z pewnym zawstydzeniem. To grzech tak się pysznić, zganiała się. Znowu jednak zaburczało jej w brzuchu, więc zapatrzyła się w zielone zawiązki i poczuła, jak wola przepływa przez jej dłonie i wnika w gałąź. Dotknięty jej spojrzeniem największy zawiązek jakby drgnął i zaczął pęcznieć, rozrastać się jak pęczerek, rozciągać własną skórkę i pomału ciemnieć od barwy bladozielonej po intensywnie rdzawoczerwoną. Teraz napierał już na jej dłonie, rozchylał je ze szmerem, aż wreszcie sam osiągnął wielkość jej pięści, potem dwóch, wreszcie niespodziewanie obrócił się wokół własnej osi, oddzielił od gałęzi i przez ściskającą serce chwilę leciał w powietrzu, by wnet roztrzaskać się na miazgę o ziemię.

- Mahcy! - usłyszała wołanie ojca, a siekiera nagle zawisła w powietrzu. Przygryzła górną wargę, wiedząc, że jej obecność została odkryta. - Mahcy Dane, schodź tu natychmiast! - Teraz był już całkiem blisko drzewa.

Dziewczynka imieniem Mercy dąsała się przez moment, póki ogorzała od słońca twarz jej ojca nie ukazała się w końcu wśród liści pod samym drzewem. Wtedy popatrzyła zatroskana w dół, obawiając się, że zobaczy go w gniewie. Ale

nie, uśmiechał się do niej, a po obu stronach oczu utworzyły mu się głębokie zmarszczki. I ona więc się uśmiechnęła, a kiedy wykonał przyzywający gest, usłuchała. Oburącz uchwyciwszy się gałęzi, lekko rozhuściła ciało i w chmurze spódnicy i fartuszka wylądowała na ziemi tuż obok znikających resztek opadłego jabłka.

- Groch trzeba łuskać, a ty całymi dniami zbijasz bąki na tym drzewie - powiedział, kręcąc głową i załamując ręce. Bez słowa spuściła głowę, a dłonie ukryła pod fartuszkiem. - A gdyby wzięli mnie na wojnę i zbrakłoby drewna do gotowania, co wtedy?

Wzruszyła ramionami, a palcem u nogi narysowała małe kółko na ziemi.

- Mahcy? - przynaglił.

- Przepraszam, tatku - szepnęła.

- No dobrze - powiedział, kładąc sękatą dłoń na jej ramieniu. - Bierz się do roboty! - Wskazał jej pleciony kosz z sitowia porzucony pod drzewem przed kilkoma godzinami i wrócił do pieńka, w którym tkwiła teraz siekiera. Po chwili znów pracował w poprzednim rytmie. Łup, fiuuu, łup! Mercy migiem zabrała koszyk i pomknęła z nim do ogródka warzywnego za domem.

Dzień był ciepły i w słonecznym skwarze sukienka wydawała jej się niewygodnie ciężka i rozgrzana. Zaczęła jeden za drugim zrywać zielone strączki i wrzucać je do stojącego na ziemi koszyka, bezgłośnie nucąc hymn. Gdy doszła prawie do końca rzędu, zauważyła łaciaty ogon w brudnych kolorach, leżący w kurzu na ziemi. Okazał się przytwierdzony do niedużego psiaka, drzemiącego w cieniu pod winoroślą.

- Dzień dobry, Pies. - Przyklękła, by go powitać, a on w odpowiedzi szeroko ziewnął i rozciągnął krótkie łapy niczym kot. Mercy pomyślała, że chętnie zamieniłaby się z nim na miejsca.

Pospałaby sobie na golasa w cieniu, a on zamiast niej łuskałby z matką groch w dusznej kuchni.

- Meeercy! - zawołał kobiecy głos z wnętrza domu.

- W ogrodzie, Liwy! - odpowiedział za nią ojciec, wciąż zajęty drwami. Mercy poderwała się z ziemi, wytarła nos w rękaw, uniosła nieporęczny koszyk i pognąła do kuchennych drzwi.

Powoli weszła do środka i nie bez trudu wydzwignęła koszyk z grochem na długi, prymitywny stół, zajmujący środek izby. W wielkim kominku już od rana buzował ogień, więc było tu nawet bardziej gorąco niż na dworze. Wprawdzie otwarto aż trzy okna, ale że były malutkie, niewiele świeżego powietrza wpadało do wnętrza. Mercy zamrugła, bo duchota i dym gryzły ją w oczy. Wspięła się jednak na krzesło, a gdy już siedziała przy tarcicznych deskach opartych o kozły, służących im za stół, zabrała się do łuskania.

- Tu jesteś! - rozległ się rozdrażniony kobiecy głos na progu i do pokoju weszła matka, wycierając ręce w fartuch. Jej szczera, pełna ciepła twarz w ostatnich tygodniach wychudła, ale Mercy nie wiedziała, co było tego powodem. Usta matki, normalnie skore do uśmiechu, wydawały się teraz skrzywione, a ona sama łatwiej niż zwykle wybuchała złością. Dlatego Mercy wołała spędzać większość czasu w ukryciu, na drzewach i za meblami albo na polu Jamesów z Psem.

- Łuskam groch, mamó! - odpowiedziała szybko dziewczynka, paznokciem kciuka rozcinając strączek wzdłuż i palcami wygarniając z niego świeże ziarenka.

- A widzę, widzę - powiedziała matka, przypatrując jej się. Westchnęła i zajęła się z kolei chlebem, piekącym się w niszy o kształcie ula, pozostawionej między cegłami w kominku. Przez pewien czas obie pracowały w ciszy, przerywanej jedynie dochodzącym z dworu odgłosem „łup, fiuuu, łup!”, oznaczającym, że Nathaniel Dane rąbie drwa. Przez kuchenne drzwi przydreptał Pies i zwinął się w kłębek pod stołem.

Upłynęło sporo czasu, nim otworzyły się drzwi wejściowe i do izby, gdzie wrzała praca, wsunęła się z sieni kobieta niemałej tuszy, której czepek był dodatkowo przykryty obszernym słomkowym kapeluszem.

- Witaj, Liwy Dane! - pozdrowiła grzmiącym głosem. Płynnym ruchem obeszła stół i na deskach, przy koszyku z łuskanym przez Mercy grochem, położyła zawiniątko. Deliverance odwróciła się od kominka i uśmiechnęła do kobiety.

- I ty witaj, Sarah.

Mercy poczuła spiczasty palec wskazujący matki, dźgający ją między łopatkami.

- Dzień dobry, dobrodziejko - pisnęła. Zawsze trochę bała się Sarah Bartlett, choć wiedziała, że to poczciwa niewiasta. Gdy patrzyła na jej masywną postać, czuła się bardzo mała. Sarah uśmiechnęła się do niej i poklepała ją po dłoni.

- Może napijesz się cydru? - zaproponowała Deliverance, stawiając gliniany kubek przed kobietą, która tymczasem zdołała umieścić swoje potężne ciało na wąskiej ławie przy stole. - Upał niemiłosiernie dzisiaj pali.

Sarah tylko machnęła ręką.

- E tam, szkoda fatygi - powiedziała, zdejmując kapelusz.

- Ale dziękuję.

- Co powiesz? Jak twoje cielę? - zainteresowała się Deliverance. - Przyniosłaś jego mocz?

- Ano, przyniosłam. - Sarah sięgnęła do kieszeni przy talii.

- Nie chce ssać. Krnąbrny z niego frant. Bahtlett boi się, że go stracimy. Ale jest mocny. - Wyjęła zakorkowaną butelkę napełnioną żółtym płynem i postawiła na stole.

Deliverance uniosła ją i obejrzała w wąskim snopie dziennego światła wpadającego przez jedno z okien. Marszcząc brwi, przekreśliła ją w lewo, potem w prawo. Szkło załśniło w słońcu.

- Bacz no, Mahcy - powiedziała Sarah, w czasie gdy Deliverance stała przy oknie. - Co przyniosłam matce, jak ci się widzi?

Dziewczynka wzruszyła ramionami. Sarah rozplatała węzeł na chuście i odsunęła jeden róg, żeby miała mogła zajrzeć do zawiniątka.

- Borówki! - zawołała Mercy, klaszcząc w dłonie, i z radości podskoczyła na krześle. Bywało, że natykała się na krzaczki borówek, kiedy włóczyła się z Psem, zwykle jednak wcześniej zdążyły je znaleźć i ogołocić wrony. Żałowała teraz swojej początkowej nieufności, uznała bowiem, że Sarah Bartlett jest jedną z najmiłszych kobiet w miasteczku, nawet jeśli grzmi bardziej tubalnym głosem niż reszta.

Deliverance odstawiła buteleczkę z uryną cielęcia na stół i uśmiechnęła się do córki.

- Och, Sarah. Borówki to jej wielki przysmak. Dziękuję bardzo. A względem cielaka - ciągnęła - spróbujmy czegoś innego.

Wyjęła z dolnej półki kredensu wielką, grubą księgę i otworzyła przed sobą na stole. Podparłszy się smukłym łokciem, zaczęła ją kartkować, a przy niektórych stronach zatrzymywała się, by wodząc po nich palcem, przeczytać po cichu, co tam napisano.

- Mój syn uzbierał - pochwaliła się Sarah. - Przesyła pozdrowienia dla ciebie i Nathaniela.

W izbie zapadło milczenie, Deliverance nadal bowiem przeglądała księgę. Mercy wyłuskała kilka strączków, kopiąc piętami w nogi krzesła. Sarah rozejrzała się, chcąc nawiązać rozmowę.

- Utrapienie z tym Petahem Petfahdem - zagaiła w końcu. Mercy popatrzyła na matkę. Jej plecy nagle się wyprostowały, a gdy ponownie odwróciła się do stołu, chmura zasnuwała jej niebieskie oczy. - Bahtlett zawsze mówił, że połowa tego sądu to nicponie. I ta Mary Oliver, to ci dopiero - prychnęła tak, że wiadomo było, czego można się spodziewać po wszystkich Mary Oliver tego świata.

- A ten Petah Petfahd odchodzi od zmysłów z rozpaczy. - Sarah pokiwała przed sobą grubym palcem, by podkreślić wagę swojej opinii.

Deliverance stała obok, splatając ręce na piersi.

- Stracił jedyną córkę - powiedziała cicho. - Nikt nie zna wyroków Bożych.

Włożyła do buteleczki z uryną kilka metalowych szpilek, ponownie ją zakorkowała i cisnęła do kominka. Potem rozejrzała się po ziołach zawieszonych pod stropem, wybrała poszukiwaną wiązkę i także wrzuciła ją w płomień. Pośród dymu i trzasków susz gwałtownie zajął się ogniem, wypełniając izbę kwaśnym, ostrym zapachem, podobnym do tego, jaki wydziela gnijące drewno. Tymczasem Deliverance mamrotała pod nosem niesłyszalne słowa.

Mercy poczuła wzbierające w żołądku podniecenie, to samo, które ogarniało ją zawsze, gdy widziała matkę przy pracy. Nie wiedziała, jakie ziele matka wybrała, ale zamierzała o to zapytać, kiedy tylko jejmość Bartlett wyjdzie.

- Ty nie znałaś tej biednej Mahthy Petfahd, prawda, Mahcy? - spytała Sarah, zanim Deliverance zdążyła przesłać jej znaczące spojrzenie i dyskretnie pokręcić głową. - Ech, to ci dopiero - zmieszała się Sarah. - Te zioła cuchną jak gnojówka, Liwy. Mówisz zatem, że to pomoże? - Zaśmiała się cicho.

Deliverance uśmiechnęła się słabo i zawięła więcej tych samych suszonych ziół w chustę, w której Sarah przyniosła borówki.

-Rozetrzyj je na proszek, wymieszaj z surowym jajkiem i odrobiną moczu, a potem gotuj nad ogniem, póki nie zrobi się maź. Kiedy ostygnie, nacieraj nią krowie cycki, cielę powinno się zachęcić.

Kiedy Sarah wzięła zawiniątko od Deliverance i schowała je do kieszeni, na jej krągłej twarzy odmalowała się ulga.

- To ci dopiero - powiedziała. - Ja od razu wiedziałam, że masz sposób. Mówię przecież Bahtlettowi, nie inaczej, dużo jest w hrabstwie mądrych bab, ale jedna Liwy Dane potrafi zaradzić takim lekarstwem, jak trzeba.

Zaśmiała się nieco zakłopotana, jej śmiech urwał się jednak nagle, gdy zobaczyła niepokój na twarzy Deliverance. Sięgnęła po kapelusz i zaczęła wycofywać się do drzwi.

- No, przecież wszyscy ludzie o tym wiedzą - powiedziała.

- Wiedzą i już.

Niepewnym ruchem wyciągnęła rękę i położyła ją na ramieniu Deliverance.

- Bacz no, Liwy, nie frasuj się tyle. Nikt nie wierzy, że mogłabyś skrzywdzić dziecko. To tylko złośliwe gadanie. Wnet musi się skończyć. - Sarah dla pokrzepienia ucisnęła ramię Deliverance wielkimi paluchami, skinęła głową Mercy i wyszła na dwór.

Po chwili w drzwiach, tam, gdzie zniknęła, ukazał się Nathaniel Dane. Płócienną koszulę miał nasiąkniętą potem, ramiona i twarz przecinały mu smugi brudu z przyklepionymi gdzieśgdzie wiórami. Dźwigając stertę świeżo narąbanych drewn, obszedł stół, by położyć je przy kominku. Mercy ogarnął niepokój, czy ojciec nie poskarży matce na nią, że się leniła. Z głębokich bruzd na twarzy matki i białawych plam między knykциями jej dłoni wnosila, że cały gniew może się skrupić na niej - niegrzecznej dziewczynce. Szybko wyłuskała kilka strączków, dając prawdziwy pokaz zręczności i pilności.

- Dobrze widziałem, że odchodziła stąd Sarah Bartlett? - spytał żonę Nathaniel, z hukiem zwalając drewno na podłogę, po czym wytarł dłonie w siedzenie spodni.

- Ano dobrze - przytaknęła Deliverance. - Och, Nathanielu. - Głos jej się załamał, stłumiła szloch, przytykając do twarzy rąbek fartucha. Mąż ją objął, a ona drżąc, wtuliła twarz w jego szyję. Nathaniel głaskał ją brudną ręką po okrytej czepkiem głowie.

- Ciiicho, ciiicho - szeptał.

Mercy popatrzyła na rodziców i uświadomiła sobie, że jeszcze nigdy nie widziała matki płaczącej.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Marblehead, Massachusetts

połowa czerwca 1991 roku



Torebka z łośkotem ześlizgnęła się na podłogę, gdy Connie, oparta o framugę drzwi wejściowych, lustrowała wzrokiem parter babcinego domu. Popołudniowe słońce wkradało się do wnętrza przez szpary w płataninie bluszczu za oknami, pozostawiając na deskach podłogi nieregularne jasne plamy. Podczas jej wizyty w archiwum dom nasiąkł czerwcowym żarem, który wciskał się przez warstwy drewna, tynku i izolacji z końskiego włosa, póki nie wypełnił całej przestrzeni aż po najciemniejszy kąt. Najbardziej duszno było w okolicach drzwi wejściowych, przy schodach, gdzie zgęstniałe powietrze tworzyło niemal ścianę. Wchodząc głębiej do środka, Connie zawsze odczuwała pewną ulgę. Teraz, gdy jej głowę zaprzętała nowa hipoteza, gorąco panujące w domu drażniło jej skórę ze zdwojoną mocą i w rezultacie była pobudzona i czujna. Naturalnym miejscem do rozpoczęcia pracy wydawał się salonik z książkami. Mijając strome schody, kopnięciem przewróciła grzyb i ucieszyła się na dźwięk mokrego plaśnięcia, jaki wydał uderzając o przegniły kawałek podłogi.

Ze skąpych relacji Grace można było wywnioskować, że Lemuel Goodwin był niczym nie wyróżniającym się człowiekiem, który zakończył edukację na

szkole średniej i nie interesował się książkami. Jego rodzice pracowali jako robotnicy w fabryce butów, on zaś przez całe życie nie ruszył się z Marblehead. Weekendy spędzał na łowieniu homarów w więcierze, które zarzucał u wybrzeży Cat Island, niedaleko wejścia do portu. Na gzymsie kominka w salonie zacho- wało się wyblakłe prawie do białości zdjęcie: Lemuel wpatruje się w obiektyw, z dumą obejmując Grace pod ozdobną arkadą wejściową Radcliffe College. Białe rękawiczki i kapelusik na głowie Grace wskazywały, że był to rok tysiąc dzie- więćset sześćdziesiąty drugi, ten sam, w którym opuściła dom. Connie potarła ramkę fotografii, zaintrygowana, dlaczego tak rzadko słyszała Grace mówiącą o swoim ojcu. Nie wiedziała nawet dokładnie, jak umarł, oprócz tego, że stało się to nagle, na skutek wypadku. Nieraz zastanawiała się, czy niesławne zakończenie studenckiej kariery Grace nie miało związku z nagłym zniknięciem Lemuela z życia jej i Sophii. Tak jakby przestał istnieć bufor między tymi dwiema kobieta- mi.

Jeśli właściwie rozpoznała charakter Lemuela, to większość książek na pół- kach należało uważać za własność babci. Aż do tej chwili w zasadzie nie zasta- nawiała się, dlaczego właśnie w tym domu pojawiło się imię i nazwisko Delive- rance Dane. Wiedziała, że jankeska oszczędność nie pozwala wyrzucać rzeczy, które choćby od biedy nadają się jeszcze do użytku, a to sprzyja gromadzeniu się pamiątek nawet po tych członkach rodziny, którzy tymczasem zamieszkali dale- ko i z bliskich stali się dalekimi krewnymi. Teraz jednak w głowie Connie za- świtała myśl, połączona z nadzieją, że jeśli nazwisko Deliverance przetrwało ukryte głęboko między kartami starej Biblii, to może w tym domu znajdą się i inne ślady jej istnienia. Może Biblia babci jest dokładnie tą samą, którą wspo- mniano w spisie inwentarza Deliverance! Connie wsparła się pod boki i zaczęła wodzić wzrokiem po grzbietach książek. U jej stóp pojawił się Arlo i trącił ją łą- pą. Pochyliła się, żeby podrapać go za uchem.

- Złapałeś w końcu tego węża, o którym rozmawialiśmy? - spytała psa. - To ohydne, kiedy gady swobodnie poruszają się po twoim domu. Naprawdę powinieneś się lepiej przyłożyć. - Nie odpowiedział, za to wskoczył na jeden z pokrytych haftowanym obiciem foteli. Connie westchnęła z irytacją i postanowiła rozpocząć poszukiwania od największych tomów.

Jeśli rejestr przepisania został wspomniany razem z Biblią, może nawet tą Biblią, którą już trzymała w rękach, to należało założyć, że miał podobny format. Książki z dolnej półki były wysokie, gęsto wypełnione tekstem i ważyły niemało, więc Connie musiała wyjmować je pojedynczo. Zaczęła od Biblii, w której znalazła klucz; krawędzie niektórych stron posklejała wilgoć, ale wszystko wskazywało na to, że wydrukowano ją w Anglii w tysiąc sześćset dziewiętnastym roku. Na tej samej półce stały jeszcze dwie inne Biblie, jedna z tysiąc siedemset pięćdziesiątego drugiego roku, a druga z tysiąc osiemset sześćdziesiątego szóstego. Na wewnętrznej stronie okładki tej najnowszej znajdowała się niekompletna mapa posiadłości przodków Lemuela, mieszkających co do jednego w Marblehead. Do Ewangelii św. Mateusza wetknięto haftowaną zakładkę, przedstawiającą kościelną wieżę, jej ścięgi były jednak uszkodzone przez rybiki.

Dalej natknęła się na dwa psalterze i dziennik pokładowy, który - jak ustaliła po pobieżnych oględzinach - prowadził kapitan klipra z portu Salem, handlujący nawozem z guana i melasą. Następnie wyciągnęła zbiór hymnów wydany w latach czterdziestych dwudziestego wieku przez Pierwszy Kościół Nadmorski, kongregacjonalistyczny - czyżby babcia po prostu wyniosła go po nabożeństwie? Connie sapnęła rozczarowana i chciała odstawić zbiór hymnów na półkę, ale przeszkodził jej lekki opór i delikatne trzeszczenie. Ostrożnie wsunęła palec za książkę, przygotowana na najgorsze: szkielet myszy albo zesuszonego żuka. Tymczasem wyciągnęła laleczkę z kukurydzianych liści, ubraną w strzępek dymki, ze spłowiała włóczkową kokardą na szyi. Na głowie ktoś dorysował kredką wielki pomarańczowy uśmiech.

- Dziwne - mruknęła, obracając małą figurkę w dłoniach. W pewnej chwili poczuła bolesne ukłucie, a gdy cofnęła rękę, ujrzała na kciuku kroplę krwi. - Au! - pisnęła głośno.

Przyjrzawszy się dokładnie, wyciągnęła z fałd ubrania laleczki cienką igłę, wciąż nawleczoną. Ssać palec, ustawiła kukielkę na gzymsie kominka obok zdjęcia Grace z Lemuelem, i spojrzała na nią srogo. Odpowiedział jej pomarańczowy uśmiech. Laleczka wydawała się za stara na zabawkę Grace, mimo to była ukryta za książką wydaną stosunkowo niedawno. Może więc należała do babci, kiedy ta była małą dziewczynką? Grace mogła się nią potem bawić, schować ją i zapomnieć. Connie nie postanowiła zadzwonić do mamy wieczorem, aby o to zapytać. Oczywiście zakładając, że Grace będzie w domu i odbierze telefon.

Następna godzina obcowania z książkami babci doprowadziła ją jedynie do odkrycia popularnych tytułów z księgozbiorów klasy średniej w Nowej Anglii. Znalazła kilka książek pochodzących z Klubu Książki w twardych oprawkach, zaczytanych i pozbawionych obwolut, kilka dziewiętnastowiecznych książek historycznych, trzy czy cztery tomiki zagadek matematycznych, podręcznik strategii brydżowej. Był też *Poradnik żeglarza jachtowego*, sporo tekstów o sadownictwie i pielęgnacji ogrodu, no i oczywiście *Zmierzch i upadek cesarstwa rzymskiego*. Na razie nic nie potwierdziło jej hipotezy i nic oprócz pierwszej Biblii nie pochodziło z siedemnastego wieku.

Connie powiodła wzrokiem po pokoju. Najpierw zainteresowały ją wyschnięte rośliny w doniczkach, potem przypatrywała się biurku chippendale. Oczy jej zapłonęły. Szybko podeszła do biurka i zaczęła przesuwając dłońmi po twardym, politurowanym wiśniowym drewnie, choć sama nie wiedziała, czego szuka. Może szuflady, którą otworzyłby wiekowy klucz? Wypróbowała go już na frontowych drzwiach i na kilku kufrach w jadalni, ale bez skutku. Takie biurka często miały z przodu, między przegródkami, ruchomą deseczkę maskującą skrytkę na ważne dokumenty. Jej palce trafiły na niewielką wypukłość pod bla-

tem do pisania i puls jej przyspieszył. Czyżby tajna szufladka? Przeniosła się na podłogę, żeby na czworakach zerknąć od spodu. Nie było szufladki, jedynie rozporka nieudolnie przybita przez kogoś, kto nie umiał naprawiać mebli z epoki kolonialnej. Connie wyśmiała samą siebie. Co za absurd! Nie miała co liczyć na kryjówki w tym biurku. Zawierało tylko stare rachunki z warzywniaka, sparciałe gumki do ołówka i kilka kartek z przypomnieniami skreślonymi ręką babci.

Słońce zaczynało znikać z okien, nadciągał zmierzch. W przyćmionym świetle Connie kilkakrotnie wydało się, że dostrzega jakiś ruch w kątach, zawsze tuż poza granicą pola widzenia. Ilekroć jednak zwracała głowę w tę stronę, ruch ustawał. Podejrzewała, że sprawcami są myszy, chociaż żadnej na razie nie złapała, mimo że rozstawiła pułapki przy wszystkich dziurach między ścianami a deskami podłogi. Wkrótce miało się całkiem ściemnić i należało kończyć poszukiwania. Znowu przyłapała się na myśli, że dom przywołuje mrok, żeby przeszkodzić jej w szperaniu i odkrywaniu jego tajemnic.

Z gzymsu kominka w jadalni wzięła zapałki, by zapalić lampkę naftową, po czym wyregulowała knot, żeby płomień świecił równo. W pokoju stało kilka zamkniętych kufrów marynarskich, była też wnęka z półką na talerze i garnuszki, do których wyczyszczenia Connie nie zdołała się dotąd zmusić. Podeszła z lampką do kominka i zaczęła się przyglądać kolekcji metalowych prętów i haków sterczących z obszernego, lecz pustego paleniska. Kiedy wznoszono dom, kominek stanowił jego centrum. Teraz na dnie zalegały tylko resztki zimnego popiołu. Postawiła lampkę na gzymsie, obok oparła łokieć i przygryzła palec.

Gdy przesunęła palcem drugiej ręki po warstwie brudu na półce z naczyniami, powstała wyraźna linia odsłoniętego drewna. W końcu będzie musiała to wszystko pozmywać, włożyć do pudeł i sprzedać. Ogrom tego odstręczającego zadania sprawił, że poczuła się zmęczona i przytłoczona, odsunęła więc od stołu jedno z krzeseł i opadłszy na nie, podparła głowę na dłoni. Milczący dom coraz bardziej pogrążał się w ciemności. Z drugiej strony pokoju, spomiędzy dwóch

martwych roślin spoglądała na nią surowo z portretu lekko obrócona brunetka z jasnoniebieskimi oczami, ubrana w suknię z wąską talią i spadzistymi ramionami, charakterystyczną dla lat trzydziestych dziewiętnastego wieku.

- Czemu jesteś taka zadowolona z siebie? - spytała ją Connie. Jak było do przewidzenia, portret nie odpowiedział. Tymczasem na jej kolanach pojawiły się dwie łapy, a pod pachą znalazł się mokry nos.

Spojrzała w psie oczy i uśmiechnęła się.

- To znakomity pomysł, Ario - powiedziała, wstając.

Tego dnia upał najwidoczniej zaatakował również inne domy starówki w Marblehead, bo kiedy Connie wyszła z za rogu, spiesząc do budki telefonicznej, ulica była pełna ludzi. W witrynie lodziarni widać było ciżbę przepychających się nastolatków, na których podziałał urok klimatyzacji. Nieco dalej gwar wylewał się z otwartych drzwi włoskiej restauracji, gdzie rodzice nastolatków siedzieli przy barze. W telewizji transmitowano właśnie mecz bejsbolu, więc raz po raz rozlegały się entuzjastyczne okrzyki. Grupa chłopaków przejechała na deskorolkach, a spłoszony tym Ario schował się za nogami swojej pani.

- Mięczak - zganiała go.

Otworzyła drzwi budki telefonicznej, przewiesiła ręcznik przez ramię i wybrała numer w Nowym Meksyku. Zupełnie się nie spodziewała, że Grace odbierze już po pierwszym dzwonku.

- Mama? - spytała, nie ukrywając zaskoczenia.

- Connie, tak się cieszę, że cię złapałam - oznajmiła Grace Goodwin z wyraźną radością.

- Przecież to ja zadzwoniłam - odrzekła Connie, zanim zdążyła ugryźć się w język.

- Och, kochanie, jesteś taka zasadnicza. Jak ci leci? Co sądzisz o domu? Urządziłaś się trochę? - Grace jak zawsze przejawiała nadmierny optymizm.

Kiedy Connie była nastolatką, ta cecha matki irytowała ją do szaleństwa. Teraz uświadomiła sobie, że ją zaakceptowała, i mimowolnie się uśmiechnęła.

- Tak, dzięki, ale miałaś rację, to prawdziwa rudera. Szczerze mówiąc, dziwię się, że jeszcze stoi. Ogród zdiczał w przerażający sposób.

- No wiesz, twoja babcia zawsze twierdziła, że stare sposoby są najlepsze. - Grace zachichotała. - Zapewne miała na myśli również budowanie domów. Powiedz mi jednak, czy podoba ci się to miejsce.

-Jest... inaczej - odparła Connie. - Oględnie mówiąc, to nie Cambridge.

- Rzeczywiście nie - przyznała matka.

Connie zastanawiała się, co akurat robi Grace, że zastała ją tak blisko telefonu. Zamknęła oczy, by pobudzić wyobraźnię, i spróbowała zobaczyć krokwie pod sufitem i resztę salonu w domu z suszonej na słońcu cegły. Ujrzała matkę siedzącą w ulubionym głębokim fotelu, z podwiniętymi nogawkami dżinsów i ze stopami moczącymi się w dużej metalowej misce pełnej aromatycznego płynu. Nieświadomie sama poruszyła stopami i poczuła ból.

- Co dzisiaj porabiasz? - spytała, bawiąc się przewodem telefonu.

Matka westchnęła.

- Och, sama wiesz. Nic specjalnego. Byłam na spacerze po pustyni z moją grupą. Cztery godziny chodzenia po skałach i innych cudach. Nie uwierzysz, ale włożyłam espadryle - powiedziała, śmiejąc się z siebie. - Kiepsko to wymyślałam.

Connie uśmiechnęła się, rozbawiona, że tak trafnie przewidziała całą scenę. Postanowiła zaryzykować pewien domysł.

- Mamo - zagaiła. - Czy mówi ci coś nazwisko Deliverance Dane?

-Jak? - spytała Grace obojętnie.

Connie wyobraziła ją sobie, jak z zamkniętymi oczami odchyła głowę na oparcie głębokiego fotela. W Santa Fe zbliżał się chyba zachód słońca. Przed budką telefoniczną, w której stała Connie, przejechał na rowerze dziesięciolatek,

zmuszając kierowcę pick-upa do hamowania z piskiem opon. Mężczyzna wysunął przez okno rękę i obrzucił chłopaka wyzwiskami, których Connie nie mogła dosłyszeć. Tymczasem Ario zaczął drapać w szybę, więc podniosła palec, pokazując mu, że ma czekać cierpliwie.

- Znalazłam to nazwisko na skrawku papieru ukrytym w kluczu w jednej z babcynych Biblii - powiedziała. - Przypuszczam, że to kobieta, która miała coś wspólnego z procesami czarownic w Salem. Dziś wieczorem przeszukiwałam dom z nadzieją, że natknę się jeszcze na jakiś ślad, ale jak dotąd mi się nie udało. Może wiesz coś na ten temat?

Usłyszała cichy śmiech matki. Trwało to dłuższą chwilę.

- Och, kochanie - powiedziała w końcu Grace. - Ty i ta twoja historia. Tylko się nie złość - zastrzegła w chwili, gdy Connie zeszytywniała i właśnie zbierała siły, by wybuchnąć. - Nie przyszło ci do głowy, że wolisz rozmyślać o dawno zmarłych ludziach dlatego, że trochę cię przytłacza budowanie głębszych związków z żywymi? Skupmy się na teraźniejszości. Opowiedz mi, co u ciebie sły-chać.

Przed oczami Connie zawirowały czerwone plamy złości. Z trudem powstrzymała się przed odwieszeniem słuchawki.

- Mamo, historia to moja praca. Co u mnie sły-chać? Pracuję.

- Bzdura - skwitowała spokojnie Grace. - Z twojego koloru wnioskuję, że dzieje się coś więcej. - W ten sposób dawała do zrozumienia, że widzi zmienioną barwę jej aury i Connie z najwyższym trudem powściągnęła irytację. Uszczypnęła się w nasadę nosa, zamknęła oczy i policzyła w duchu do dziesięciu. - Czy chodzi o chłopaka? - spytała matka z fałszywą skromnością, zanim Connie zdążyła się odezwać.

- Prawdę mówiąc, odkąd przeprowadziłam się tutaj, często mam sny na jawie. - Connie potraktowała to wyznanie jako propozycję rozejmu. - Męczą

mnie, a potem budzę się z bólem głowy. Zastanawiałam się, czy nie iść z tym do lekarza.

- Nie potrzebujesz lekarza. - W głosie matki nie było słychać zaskoczenia. -
O czym śniesz?

- Przede wszystkim o babci. I jeszcze o Lemuelu, co jest tym dziwniejsze, że w ogóle go nie znałam.

Grace milczała przez chwilę, a Connie poczuła wyrzuty sumienia. Od początku obawiała się, że wzmianka o Lemuelu zasmuci matkę. Grace znów westchnęła.

- Och, pokochałabyś mojego tatę - zapewniła córkę, lekko zadumana. -
Wprawdzie wcale nie rozumiałby cię lepiej niż mnie, ale miałby bzika na twoim punkcie. Cieszę się, że o nim myślisz.

Connie przełknęła ślinę, nagle bowiem zawstydziała się swojego poirytowania. Grace wysławiała się w szczególny sposób. Connie przypomniała sobie, że już dawno solennie przyrzekła służyć tego, co matka ma do powiedzenia, nie przejmując się jej niecodziennym doborem słów czy zwrotów.

- To jeszcze nie wszystko, mamó... - rzekła.

- Z aurami jest tak, że zazwyczaj są długo obecne wokół przedmiotów - przerwała jej Grace. - Ludzie spostrzegawczy potrafią dostrzec ich pozostałości, często bardzo charakterystyczne. A ja zawsze uważałam cię za spostrzegawczą dziewczynę.

Connie ogarnęły mieszane uczucia. Ucieszyła się z pochwały matki, ale zirykował ją temat. Aury, też coś! Była gotowa uwierzyć, że ma bujną wyobraźnię, że czuje się samotna i dlatego jest skłonna doszukiwać się tego, czego w istocie nie ma, ale to wszystko - nie mogła przystać na nic więcej.

- Muszę już iść, mamó - rzuciła. - W tej budce jest jak w piecu, zaraz padnę.

- Jesteś pewna, że nie chodzi o chłopaka? - spytała niepewnie Grace. - Bo jeśli tak, to naprawdę powinnaś mi powiedzieć, kochanie.

- Mamo! - Connie była bliska rozpacz. - Muszę iść. Niedługo znowu zadzwonię, obiecuję. Mam nadzieję, że odbierzesz telefon.

Grace parsknęła śmiechem i Connie w końcu też się uśmiechnęła. Już chciała odłożyć słuchawkę, ale zmieniła zamiar.

- Kocham cię, mamo - powiedziała i znieruchomiała w oczekiwaniu.

- Ja też cię kocham. Zadzwoń do mnie w niedzielę, jeśli będziesz miała ochotę - odrzekła Grace.

- Dobrze. - Connie się rozłączyła. Na policzkach miała wypieki.

Ruszyła drewnianym pomostem prowadzącym z parku miejskiego w zachodniej części portu w Marblehead do platformy kąpielowej, zakotwiczonej u stóp granitowego klifu. Za nią truchtał Ario. Odkąd wyszła z domu, duchota z każdą chwilą doskwierała coraz bardziej, a w miejscu, gdzie wilgotne wieczorne powietrze spotykało się z zimnymi wodami zatoki, unosiła się mgła, tak gęsta, że niemal można było coś z niej ulepić. Wkrótce mgła ogarnęła również pomost, po którym Connie doszła na platformę. Okazało się, że jest tu całkiem sama. Rozłożyła ręcznik, a Ario natychmiast na nim usiadł i z westchnieniem wyciągnął przed siebie łapy. W rozproszonym świetle księżycy wydawało się, że jego sierść ma szaroczarne plamy i na tle desek był prawie niewidoczny. Connie wciągnęła w nozdrza słony zapach morza i przysłuchiwała się odgłosom.

Tylko ciche pobrząkiwanie takielunku świadczyło o tym, że w głębokiej mgle, niecałe sześćdziesiąt stóp od niej, cumują łodzie. Woda z pluskiem obmywała boki platformy, a jej powierzchnia była spokojna i pozbawiona fal. Connie odetchnęła z ulgą, ściągnęła przepocony T-shirt i szorty i została tylko w bieliznie, skryta w mroku. Mgła przyjemnie chłodziła jej skórę, gdy powoli, bezszelstnie zanurzała się w morzu. Czując, jak słona woda koi jej znużone upałem ciało, zanurkowała. Przez chwilę płynęła w absolutnej ciszy i ciemności. Przy-

pomniały jej się wieczory z dzieciństwa, kiedy wykradała się nad jezioro, by pluskać się nago.

Gdy po pewnym czasie przecinając lustro wody wysunęła głowę na powierzchnię, okazało się, że odpłynęła dość daleko, a mgła zasnuła również kontury platformy. Unosząc się na grzbiecie, dryfowała otoczona atramentowymi wodami. Była zadowolona, że dodzwoniła się do Grace. Chociaż ich rozmowa momentami ją denerwowała, mimo wszystko czuła się pokrzepiona. Ach, i nawet nie wspomniała, że odwiedziła tawernę w starej żaglowni! Uśmiechnęła się i niechętnie nabrała trochę słonej wody do ust. Powie o tym mamie w niedzielę. Wyciągnęła rękę do góry, by dotknąć mgły, i przez chwilę obserwowała, jak biała wata przesuwa się jej między palcami.

Nagle rozległo się szczekanie, stłumione przez wilgoć w powietrzu. Uniosła głowę i powoli zaczęła ruszać nogami i rękami.

- Ario? - zawołała. Odpowiedziało jej kilka szczęśliwych skowytów, a potem usłyszała plusk. Popłynęła w kierunku platformy.

Mgła przed nią stopniowo rzedła, a z ruchu wody wnioskowała, że nie jest już w niej sama.

- Ario? - zawołała ponownie, wyrzucając przed siebie ręce. Spodziewała się natrafić na kudłate ciało psa. Rzeczywiście, zawadziła o coś dłonią.

- Uwaga! - rozległ się czyjś głos. Krzyknęła zaskoczona, a głos zapytał:

- Connie?

Wyteżyła wzrok i stwierdziła, że podłużny kształt, który wyłonił się przed nią z mgły, to młody mężczyzna, trzymający się jednym ramieniem platformy. Powyżej ujrzała sylwetkę machającego ogonem psa.

- Sam? - spytała, nie wierząc własnym oczom.

- Cześć! - powiedział, puścił drewnianą konstrukcję i podpłynął do niej na boku.

- Co tutaj robisz? - Zaśmiała się. Jej zdumienie nie miało granic.

- Pływam - odrzekł z powagą. - Poproszę o następne pytanie.

Za karę prysnęła na niego woda.

- Pytam, co robisz, pływając akurat tutaj? Przecież mieszkasz w sąsiednim mieście.

- A widziałaś kiedyś port w Salem? Jest tak zanieczyszczony, że w każdej chwili może tam dojść do samozapłonu. Zawsze pływam właśnie tutaj. - Zanurkował, a gdy po chwili się wynurzył, odchylił głowę, by odgarnąć włosy wpadające mu do oczu. Na jego twarzy lśniły w świetle księżyca cienkie strumyczki wody, a w nosie połyskiwał kolczyk. Connie zaczęła się zastanawiać, jak długo Sam nosi tę ozdobę. Zwykle nie akceptowała biżuterii u mężczyzn, ale w jego nosie kółeczko wydało jej się niekonwencjonalne. Intrygujące.

- Poznałem Ario - przerwał jej rozmyślenia Sam. - Sympatyczny zwierzak. W każdym razie nie ugryzł mnie, chociaż nie sądzę, żeby bez walki pozwolił mi ukraść twój ręcznik.

- Nie pozwoliłby - potwierdziła z figlarnym uśmiechem. Powoli odpłynęła od platformy, a Sam podążył za nią.

- I co? - zaryzykował pytanie. - Dowiedziałaś się czegoś nowego o swojej ulubionej czarownicy?

Connie przewróciła oczami i energicznie machnęła nogą, tak by woda prysnęła mu prosto w twarz.

- Ej! - zaprotestował, parszając i wymachując rękami. - Co to ma znaczyć?

- To za rozmowy o pracy, kiedy jest zbyt gorąco - wyjaśniła.

- I nie zawaham się tego powtórzyć.

- Masz rację - przyznał zawstydzony. - Nie powinniśmy rozmawiać o pracy.

Podpłynął bliżej, rozglądając się niespokojnie na boki. Connie przyglądała mu się, leniwie poruszając rękami, tylko tak, by utrzymać się na powierzchni. Jej jasne ramiona odcinały się od czarnej płaszczyzny, a rozpuszczone włosy unosiły się na wodzie. Zmarszczyła czoło zaintrygowana.

- Wiesz, takie pływanie po ciemku może być niebezpieczne - powiedział zniżonym tonem.

- Niby dlaczego? - zainteresowała się, również odruchowo ścisząc głos.

- Ooo, z powodu mątwy.

- Mątwy? - powtórzyła, unosząc brew.

-Tak. Rzadkiego północnoamerykańskiego gatunku plującego jadem. One żerują tylko w czasie mgły. Jeśli poczujesz, że coś ociera ci się o nogę - ciągnął szeptem, podpływając bliżej – to może być już za późno.

Connie poczuła dotknięcie pod kolanem, wykonała więc szybki zwrot, uchwyciła nogę intruza na wysokości kostki i wyciągnęła ją nad powierzchnię wody.

- O, złapałam jedną! - wykrzyknęła triumfalnie, a głowa Sama znikła pod wodą. - Ojej, mątwą z tatuażem - stwierdziła, przyglądając się nodze, podczas gdy Sam rozpaczliwie wymachiwał rękami, by ponownie wypłynąć na powierzchnię. Wreszcie uwolnił nogę i z całej siły prysnął wodą na Connie, która oddalała się ze śmiechem.

Leżący wciąż na ręczniku Ario słyszał głośnie pluski i wybuchy śmiechu, mieszające się z takimi okrzykami, jak: „Już po tobie, Goodwin!” i „Najpierw mnie złap, Hartley!”. W pewnej chwili podniósł głowę i nastawił uszu, bo kiedy okrzyki ucichły, dał się słyszeć cichy chichot. Potem jednak dotarł do niego odgłos szeptów, więc z powrotem oparł łeb na łapach i czekał, wtopiwszy się w rozsrebrzoną księżycem mgłę.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Cambridge, Massachusetts

koniec czerwca 1991 roku



Connie stała w zatłoczonej toalecie na parterze Klubu Wykładowcy Harvardu i starannie splatała włosy w warkocz. Na chwilę przerwała pracę, by sprawdzić w lustrze rezultat, i dostrzegła na czubku głowy samowolnie sterczącą kępkę włosów.

- Do diabła! - zaklęła pod nosem, rozplatając to, co już zaplotła. Włożyła grzebień pod bieżącą wodę i przeciągnęła nim kilka razy po włosach. Nigdy nie udało jej się do końca opanować sztuki eleganckiego wyglądu. Przy okazji różnych imprez zawsze umierała z niepokoju, obawiając się, że wpadnie w jedną z ukrytych pułapek związanych z kwestiami stroju. Ponownie zaplatając warkocz, mamrotała do siebie pod nosem. Dlaczego właściwie profesor Chilton obstawał przy lunchu w tym miejscu? Równie dobrze mogła po prostu przyjść do jego gabinetu. Zwykle brał swoich studentów do klubu z jakiejś specjalnej okazji, żeby coś uczcić. Albo kiedy chciał kogoś zastraszyć.

- Głupio - powiedziała, ściskając gumką koniec warkocza i przerzucając go przez ramię.

Spojrzała w lustro. Powyżej fioletowej sztucznej orchidei, która przesłaniała dużą część pola widzenia nad umywalką, na srebrnym tle malował się wizerunek młodej, niebieskookiej kobiety w zbyt obszernej sukience w kwiaty. Connie

miała nadzieję, że konserwatyzm tej kreacji rekompensuje braki w kroju i stylu. Noszone na co dzień klapki zastąpiła pantofelkami, a jej torebka na ramię była właśnie tym, na co wskazuje nazwa. Westchnęła. Powinna była pożyczyć coś od Liz.

- Komiczne - orzekła na głos, nie wiedząc, czy komentuje sytuację, czy swój strój. Pewnie jedno i drugie. Zerknęła na zegarek i stwierdziwszy, że trudno będzie uzasadnić dłuższy pobyt w toalecie, pchnęła drzwi.

Doktoranci nigdy nie ryzykowali wchodzenia do profesorskiej czytelnicy w klubie, więc gdy ostrożnie zajrzała do środka, zastanawiała się, po co to robi. Wnętrze z założenia miało wyglądać zachęcająco. Głębokie kanapy zdobione frędzlami i lśniące skórzane fotele stały zgrupowane wokół niskich stolików, a dywany na podłodze wyblakły po dziesięcioleciach obcowania z mocnymi promieniami słońca i stopami obutymi w mokasyny. Pomieszczenia tego strzegły namalowane dobrotliwe oczy duchownych ojców Harvardu, od dawna już nieżyjących. W powietrzu unosił się przyjemny zapach pastowanego drewna, kawy i tytoniu fajkowego. Mimo to doktoranci unikali tego miejsca, jakby jakiś składnik jego ekskluzywnej atmosfery mógł być toksyczny.

Tego popołudnia słodkawy zapach tytoniu fajkowego płynął od zajmującego kanapę pod zegarem siwowłosego dżentelmena w złotych okularkach na nosie, który trzymał przed sobą gazetę. Zaszleścił płachtą i nie wyjmując fajki z ust, wypuścił trochę dymu. Connie udała się na drugi koniec pomieszczenia i czekała.

Musiała przyznać sama przed sobą, że myśl o podzieleniu się z profesorem Chiltonem swoimi dotychczasowymi odkryciami bardzo ją ekscytowała. Wyobrażała sobie, jaki będzie zaskoczony. Nerwowo poruszyła stopą, a w kącikach jej ust wykwitł ironiczny uśmiešek.

- Panna Goodwin?

Drgnęła zaskoczona. Nie usłyszała podchodzącego kelnera.

- Słucham? - spytała, skubiąc fałdę sukienki.

- Profesor Chilton pyta, czy zechce pani dołączyć do niego w sali jadalnej - powiedział kelner z drwiącym uśmiechem. Tylko doświadczony cynik, taki jak Connie, mógł odczytać jego znaczenie. „Przecież nie pofatyguje się po panią osobiście” - dopowiadał ten uśmiech.

Westchnęła.

- Wobec tego idę do jadalni - powiedziała, wstając.

- Oczywiście, panno Goodwin. - Kelner skłonił się nieznacznie.

Sala jadalna broniła się zasłonami przed popołudniowym słońcem, więc Connie musiała przez kilka minut przeczesywać półmrok, zanim zlokalizowała Manninga Chiltona przy stoliku w eleganckiej alkwie. Czytał grubą książkę - *Praktyka alchemiczna jako czystość moralna* - którą schował do torby pod stolikiem, kiedy podeszła.

- Connie, moja panno - powiedział, unosząc się w pełnym godności półprzyśiadzie.

Znowu to „moja panno”, pomyślała, wymieniając uścisk dłoni ze swym promotorem. Zamaskowała irytację pogodnym uśmiechem, a kelner odsunął jej krzesło.

- Bardzo się cieszę, że mogła pani spotkać się dzisiaj ze mną. Mam poprosić Jamesa o jadłospis czy może już pani wie, na co ma ochotę? - zapytał Chilton.

Kelner James tkwił u łokcia Connie z niezmiennie drwiącym wyrazem twarzy.

-Hm...

Odwlekała decyzję. Sala jadalna ze świeżymi, wyprasowanymi obrusami i srebrnymi sztucami zawsze wprawiała ją w zakłopotanie. Większość doktorantów żywiła się różnymi dobrami wyniesionymi z oficjalnych spotkań na wydziale. W zeszłym semestrze Connie i Liz przetrwały cały tydzień, skubiąc wartość zdobycznego półmiska z serami, który wyniosły z przyjęcia na cześć

nowych studentów wydziału filologii klasycznej. Kiedy zaczynało brakować jedzenia za darmo, zawsze można było skorzystać ze stołówki, gdzie w stałym menu mieli spaghetti z sosem pomidorowym i potrawkę z tuńczyka. To cud, że większość z nas nie dostaje anemii, pomyślała i dopiero wtedy zorientowała się, że profesor Chilton wciąż czeka na odpowiedź. James chrząknął dyskretnie.

- Poproszę jadłospis, jeśli można. - Skierowała te słowa w przestrzeń między Chiltonem a kelnerem. Po chwili w jej dłoniach pojawiła się podłużna skórzana okładka, ukrywająca kwieciste opisy potraw, które przesuwały się przed jej oczami niczym słowa w obcym języku. Przyjrzała się dokładniej i stwierdziła, że jadłospis rzeczywiście jest w obcym języku: po francusku. - Niech będzie kurczak. - Miała nadzieję, że menu istotnie zawiera kurczaka, skoro James wyjął jej skórzane okładki z dłoni i znikł w mrocznych czeluściach klubu.

- No dobrze - zaczął Chilton, z niecierpliwością zacierając ręce. - Niech mi pani opowie o swoim wielkim odkryciu.

Zerknęła na niego, żeby sprawdzić, czy nie kpi, ale uznała, że mówi serio.

- Znalazłam moje niepowtarzalne, doskonałe źródło pierwotne - przystąpiła do wyjaśnień. - Właściwie nie wyraziłam się ściśle. Znalazłam dowód, że moje niepowtarzalne, doskonałe źródło pierwotne istnieje.

Chilton pochylił się ku niej, opierając łokcie na stole.

- Proszę mi o nim opowiedzieć - polecił.

Najpierw opisała swoje przygody z poszukiwaniem Deliverance Dane w archiwum zboru w Salem, pozostawiając w opowieści olbrzymią lukę, akurat taką, że zmieścił się w niej Sam. Chilton chyba zorientował się, że coś ukrywa, bo zmarszczył czoło, ale nie odezwał się ani słowem. Mówiła szybko, nie dając mu okazji do przerwania jej wywodu. Przeszła do wizyty w Wydziale Testamentów i Postępowań Spadkowych w Salem i przedstawiła spis inwentarza sporządzony po śmierci Deliverance Dane.

- Connie, ja czekam, żeby usłyszeć, dokąd zmierza ta litania - przerwał jej Chilton. - Do tej pory dowiedziałem się jedynie, że spędziła pani mnóstwo czasu, grzebiąc w archiwach, w dodatku z mizernym skutkiem.

Stłumiła złość, jaką wywołała u niej ta uwaga, bo jej entuzjazm był silniejszy niż chęć uzyskania pochwały.

- Ten spis bardzo mnie jednak zastanowił - ciągnęła niezrażona. - Nie mogłam zrozumieć, dlaczego wykonawcy testamentu zestawili w jednym punkcie Biblię Deliverance i to, co nazwali rejestrem przepisów, zamiast potraktować tę drugą książkę tak samo jak wszystkie inne, które były w domu. Dlaczego zbiór jakichś przepisów, być może księga rachunkowa, miał ich zdaniem taką samą wartość finansową jak wielka, kosztowna Biblia, stanowiąca rodzinną spuściznę?
- Urwała, by napić się wody.

W tej chwili u jej boku ponownie zjawił się James i bez słowa postawił przed nią, między srebrnymi sztućcami, talerz z kurczakiem w potrawce, a przed Chiltonem łososia z rusztu.

- Czy jeszcze coś, proszę pana? - spytał.

Chilton zerknął pytająco na Connie. Wzruszyła ramionami.

- Nie w tej chwili, James. Dziękuję - powiedział.

Connie uśmiechnęła się do kelnera przepaszająco; zanim odszedł, dyskretnie wzniosł oczy do nieba.

- Idźmy dalej. Deliverance pozostawiła wszystko swojej córce Mercy - ciągnęła Connie. - Pomyślałam więc, że jeśli ta księga jest ważna, to może została wymieniona również w spisie inwentarza po śmierci Mercy. - Zaczęła gestykuluować widelcem, na co po twarzy Chiltona przemknął cień dezaprobaty.

- No tak - mruknął, dziobiąc widelcem rybę.

- Proszę sobie jednak wyobrazić, że nigdzie nie mogłam znaleźć tej Mercy - mówiła dalej. - Wiem, że rejestry z tego okresu bywają niekompletne, ale wy-

dało mi się dziwne, że znikła tak bez śladu. Potem jednak zrozumiałam, że po prostu niepotrzebnie zawęziłam pole poszukiwań.

- W jakim sensie? - zapytał, przyglądając jej się z uwagą.

- Niech pan powie „Mercy” - poprosiła.

- Słucham? - Chilton zdębiał.

- Ma pan tradycyjną wymowę klas wyższych, panie profesorze - wyjaśniła, zastanawiając się, czy nie przekracza ustalonych granic. Czy ludzie mówiący z akcentem wiedzą, że mówią z akcentem? Liczyła, że Chilton wykaże się poczuciem humoru, choć w latach studenckich nie zgromadziła zbyt wielu dowodów pozwalających na przyjęcie takiego założenia. Co tam, trudno. - Proszę to dla mnie zrobić.

- Mehcy - powiedział ze śmiertelną powagą.

- Tak jest - potwierdziła. - Zredukowana samogłoska i potem gardłowe „r”. A teraz proszę powiedzieć imię pisane „Marcy”.

- Mehcy - powtórzył Chilton.

- No właśnie! - zawołała radośnie, znów wymachując widelcem. - W zapisie fonetycznym, który stosowano, zanim słowniki i wynalazek druku doprowadziły do standaryzacji języka, „Mercy” i „Marcy” to jedno imię!

Włożyła sobie do ust zbyt duży kawałek kurczaka i przeżuwała go z triumfalną miną. Chilton uśmiechem skwitował jej entuzjazm. Ucieszyła się, widząc, że zaczyna go sobie zjednywać.

- Kiedy zaczęłam szukać Marcy Dane, znalazłam mnóstwo materiałów - podjęła po chwili. - Okazało się nawet, że natknęłam się na dotyczące jej zapisy już w Pierwszym Kościele, choć wtedy nie wiedziałam, że są ważne.

- Na przykład? - przynaglił ją.

- Nie poznałam dokładnej daty jej urodzenia, wiem jednak, że odkąd dorosła, należała do Pierwszego Kościoła w Marble-head i przez cały czas dobrze jej się powodziło. Poślubiła w Salem człowieka nazwiskiem Lamson, ale nie odkryłam

jeszcze jego imienia. W tysiąc siedemset piętnastym roku była uwikłana w jakiś proces. A zmarła w tysiąc siedemset sześćdziesiątym trzecim. Pozostał po niej spis inwentarza.

Urwała, żeby znowu napić się wody, i przy okazji stwierdziła, że Chilton zaczął jej słuchać z najwyższą uwagą, choć zapewne nie zdawał sobie sprawy, dokąd to wszystko zmierza. -I...?

- I w tym właśnie spisie inwentarza, wraz z domem, który odziedziczyła po Deliverance, było coś, co opisano jako „rejestr przepisów”.

- Kolejny rejestr transakcji? - spytał Chilton.

- Z początku też tak myślałam - powiedziała. - Ale w trakcie poszukiwań w mieście natknęłam się na interesujące przykłady kultury materialnej. - Opisała kamień graniczny wraz z dziwnym zaklęciem i rytami. I znów ani słowem nie wspomniała o Samie. Nie była pewna, czy pomija jego udział, aby zaimponować profesorowi sprawnością w prowadzeniu badań, czy raczej pragnie zachować wyłącznie dla siebie, w sekrecie, to ciepłe uczucie, które towarzyszyło każdej myśli o Samie. Nawet teraz, gdy jak na szpilkach siedziała naprzeciwko Chiltona, ubrana w sukienkę, która wprawiała ją w zakłopotanie, na samo wspomnienie Sama czuła się ważniejsza i tryskała energią. Przyjemny dreszczyk przebiegł po jej ciele od czubka głowy aż po kark i pozwoliła sobie nawet na przelotny pofny uśmiech.

- Connie, nie nadążam za pani rozumowaniem - wyznał Chilton. - Co ma kamień graniczny do jakiegoś kwitariusza?

- Chwileczkę - powiedziała, kończąc kurczaka. - Kamień graniczny jest materialnym dowodem na istnienie myślenia magicznego w świecie rzeczywistym. Proszę teraz pomyśleć, co wiemy na pewno o Deliverance Dane. Została ekskomunikowana w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym drugim roku. W Salem.

- W strukturze religijnej purytanów ekskomunika nie była niczym niezwykłym - zwrócił jej uwagę.

- Ale była też pierwszym krokiem podejmowanym wobec osób osądzonych i skazanych za czary! - Z podniecenia uderzyła widelcem o talerz.

Na twarz Chiltona wystąpił uśmiech.

- Pomyślałam więc, że jeśli w kulturze purytanów mógł powstać potencjalnie magiczny przedmiot, taki jak kamień graniczny, to może ta sama kultura pozostawiła również inne świadectwa myślenia magicznego. A jeśli rejestr przepisów wcale nie jest rejestrem przepisów? - Zamilkła.

Chilton czekał bez słowa.

- Przepisanie nie musi oznaczać transakcji, może oznaczać przepis - wyjaśniła.

- Przepis? - powtórzył, unosząc brwi.

- Kiedy znalazłam spis inwentarza po Mercy, nabrałam pewności. Jaka książka byłaby dostatecznie cenna, żeby umieścić ją w osobnym punkcie spisu i przekazywać z matki na córkę? Jaka książka mogła zawierać „przepisania” i należeć kiedyś do kobiety skazanej za uprawianie czarów?

Na twarzy Chiltona wykwitło zaskoczenie i zadowolenie. Jego wargi powoli ułożyły się w szeroki uśmiech. Connie uświadomiła sobie, że jeszcze nigdy nie widziała u swojego promotora uśmiechu, przy którym odsłoniłby zęby.

- Księga zaklęć! - oznajmiła.

Chilton spojrzał na nią ponad stołem, a jego oczy lśniły ostrym, zimnym blaskiem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Marblehead, Massachusetts

koniec czerwca 1991 roku



- I gdzie to ma być? - spytał mężczyzna, z głuchym stukiem stawiając torbę z narzędziami na kamieniach, którymi była wyłożona ścieżka.

Connie uśmiechnęła się od progu.

- Właściwie nie wiem. A gdzie zwykle jest?

- Będzie tylko jedno? - spytał, unosząc czapeczkę baseballową, by zaraz umieścić ją z powrotem na głowie. Connie przez moment mogła zerknąć na łąsą czaszkę. - To w sieni.

- Świetnie. - Wprowadziła go do środka. - Napije się pan kawy albo czegoś innego?

- Może być piwo.

Zawahała się, ale zaraz wzruszyła ramionami. Czemu nie? - pomyślała. W końcu jest upał.

- Chwileczkę - powiedziała do mężczyzny.

- Zaczynam na dworze - oznajmił.

W kuchni uniosła wieko zabytkowej drewnianej lodowni i zaczęła szperać wśród na wpół stopionych brył lodu. Ostatnio zużywała je w zastraszającym

tempie. Zanim zamknęła pojemnik, przez chwilę rozkoszowała się powiewem topniejącego lodu na wilgotnej twarzy. Lód wytrzymałaby dłużej, gdybyś rzadziej tam zaglądała, skarciła samą siebie, wynosząc piwo na dwór.

Mężczyzna klęczał już na niewielkiej grządce warzywnej niedaleko frontowych drzwi. Obok stała otwarta torba z narzędziami. Podważył obłuzowany kamień i rozwijał przewód.

- Jak widać, już wcześniej miała pani instalację - powiedział, gdy postawiła obok niego puszkę. Ario przybiegł spod pomidorów, by obwąchać podeszwy jego roboczych butów. Najwidoczniej szybko zebrał potrzebne informacje, bo zakończył wywiad i wrócił na swoje miejsce w cieniu, gdzie położył się, wyciągając przed siebie łapy.

- Tak? - To ją zaskoczyło. - I co się z nią stało?

- Została zdemontowana - wyjaśnił, manipulując kombinerkami.

- Aha. - Przez chwilę przyglądała się jego pracy, zaczepiwszy kciuki o szlufki paska w szortach.

- To trochę potrwa. - Nawet nie podniósł głowy.

- Naturalnie, rozumiem. - Zawstydziała się. - Przepraszam.

Wróciła do domu, pilnując, by nie zamknąć zasuwki, a potem usadowiła się przy biurku chippendale w saloniku i czekała. Uświadomiła sobie, że ostatnio prawie nie fatyguje się z zamykaniem drzwi. Dom babci był tak doskonale ukryty wśród zarośli, że aż się zdziwiła, jakim cudem monter go znalazł. Uśmiechnęła się pod nosem. A to się Grace zdziwi, kiedy zadzwoni do niej z tego domu!

Od czasu lunchu z Chiltonem Connie nabrała pewności siebie. Jej potencjalne źródło pierwotne sprawiło mu nawet większą radość, niż się spodziewała.

- Do naszych czasów dotrwały podręczniki wykrywania czarownic, ma się rozumieć - powiedział. - Na przykład *Młot na czarownice* z piętnastowiecznych Niemiec, a nawet traktat Cottona Mathera z tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego drugiego roku *Cuda niewidzialnego świata*.

- To prawda - przyznała. - Jednak moje dotychczasowe badania wskazują, że z czasów kolonizacji nie ocalała żadna książka ani tekst z instrukcjami do praktykowania czarów. Zwykle interpretujemy to w ten sposób, że nikt nie uprawiał magii, prawda? Jeśli więc księga Deliverance jest tym, za co ją uważam, i jeśli przetrwała, byłoby to wspaniałe znalezisko. Jej treść mogłaby zmienić poglądy historyków na rozwój medycyny, położnictwa, nauki... - Zawiesiła głos.

- Że nie wspomnę już o naszej interpretacji paniki w Salem - podjął. - Obawiam się jednak, że za dużo tu gdybania, choć temat wydaje się zbyt pasjonujący, by zrezygnować z tej drogi.

Na stole pojawiły się dwie porcje ciepłego puddingu chlebowego; pałaszując go, Chilton przyglądał jej się w zadumie.

- Powiedz mi, moja panno - odezwał się w końcu. - Wybierasz się w tym roku na konferencję Stowarzyszenia Kolonialnego, prawda?

- Chyba tak. - Connie skinęła głową. - Nie jestem zapisana do żadnej grupy roboczej ani niczego w tym rodzaju, ale chciałam posłuchać referatów.

Zanurzyła widelec w deserze i nabiła na jeden z jego zębów złocisty rodzynek.

- To zawsze się przydaje - przyznał Chilton. - Warto być obeznanym z aktualnym stanem prac w terenie. - Urwał, jakby jeszcze nad czymś się zastanawiał. - Wie pani, mam wygłosić w tym roku wykład inauguracyjny - dorzucił beztrąsko.

- Naprawdę? - zdziwiła się.

- Tak. Takie ogólne przedstawienie stanu moich badań nad historią myśli alchemicznej. No i kilku ekscytujących nowych wniosków. - Kiedy podniosła głowę, podchwycił jej spojrzenie.

- Mógłbym także przedstawić panią - dokończył, zdecydowanym ruchem odkładając widelec.

- Ale po co? - zapytała zdziwiona. Roześmiał się.

- Szczegółowo omówimy to później. Nie wyprzedzajmy samych siebie, moja panno. W tej chwili pani jedyne zadanie to znaleźć księgę i sprawdzić, czy jest tym, za co ją pani uważa. Ufam, że będzie mnie pani szczegółowo informować o postępach. - Mówiąc to, złożył dłonie w piramidkę, jak zawsze, gdy intensywnie nad czymś rozmyślał.

Wychodząc tego popołudnia z Klubu Wykładowcy Harwardu, Connie miała prawdziwy mętlik w głowie. Cieszyła się z poparcia Chiltona, a jednocześnie snuła już plany następnej fazy badań. Tak bardzo pochłoneły ją te rozmyślenia, że wpadła na Thomasa, swojego podopiecznego, który nadszedł drogą od biblioteki dla licencjatów.

- Ojej, Connie! - załkał, rozcierając palec u nogi, na który mu nadepnęła.

Wybuchnęła śmiechem.

- Bardzo przepraszam, Thomas! - zawołała i podtrzymała go za chudy łokieć, kiedy się zachwiał. - Właśnie skończyłam spotkanie z Chiltonem na temat mojej pracy i całkiem odpłynęłam.

Przeszli razem przez dziedziniec. Thomas od czasu do czasu podskakiwał na jednej nodze, chcąc przypomnieć Connie o zagrażającej jego życiu kontuzji. Gawędzili o pracy wakacyjnej, jaką miał w bibliotece, gdzie przestawiał książki na inne półki.

- Nie mogę uwierzyć, że do mnie nie zadzwoniłaś - powiedział lekko nadaśnany. - Jak mam bez twojej pomocy wypełnić wszystkie dokumenty potrzebne na studia magisterskie? Zacząłem pisać list motywacyjny i nic mi nie wychodzi.

Westchnęła.

- Och, Thomas. Przecież wcale nie chcesz iść na studia magisterskie, prawda? Możesz po prostu zaliczyć licencjat i znaleźć sobie dobrą posadę w banku albo coś podobnego.

Zmarszczył czoło.

- Tak powiedziała moja matka. A teraz ty mówisz dokładnie to samo.

- Przepraszam, widocznie się starzeję. W każdym razie nie mogłam do ciebie zadzwonić, bo w domu babci nie ma telefonu.

- Nie ma telefonu?! - powtórzył, nie dowierzając własnym uszom.

- W ogóle nie ma elektryczności - potwierdziła. - Cóż mogę dodać? Tegoroczne wakacje spędzam jako wieśniaczka. Mam nadzieję, że ludzie będą się ustawiać w kolejce, żeby kupić ten dom z przyjaznym dla środowiska wyposażeniem i mnóstwem niewygodnych, ale za to nieelektrycznych urządzeń. Lodowni też pewnie nigdy w życiu nie widziałeś, prawda?

- Dlaczego po prostu nie założysz telefonu? - zapytał. - Do takiego z tarczą numerową elektryczność nie jest potrzebna.

Przystanąła, spojrzała na swego podopiecznego i uśmiechnęła się szeroko.

- Gotowe! - zawołał monter przez otwarte drzwi wejściowe. Connie wciąż przeglądała notatki na biurku. Dźwięk jego głosu wyrwał ją z zadumy i uświadomiła sobie, że kąty saloniku spowijają mrok. Zawsze dziwiło ją, gdy ludzie mówili, że mrok „zapada”. W jej odczuciu raczej się podnosił, pęczniał pod krzakami i drzewami, wylewał się spod mebli, a do nieba wznosił się dopiero wtedy, gdy wszystkie miejsca przy ziemi były już go pełne. Wstała, przeciągnęła się i rozprostowała palce.

- To wspaniale. - Przesunęła dłonią po czarnym aparacie z kolistą tarczą, który przycupnął na stoliku przy frontowych drzwiach.

- Większość ludzi chce teraz bezprzewodowe - zauważył mężczyzna, powtarzając gest z czapeczką zaprezentowany na powitanie.

- Tak - przyznała. - Ale tu nie ma prądu.

Wzruszył ramionami, jakby w ogóle nie zdziwiło go, że pod koniec dwudziestego wieku zamieszkały dom w gwarnym miasteczku może nadal pozostać niezelektryfikowany.

- Rachunek przyjdzie pocztą - burknął i ruszył kamienną ścieżką do furtki.

- Dziękuję! - zawołała za nim.

- Przydałoby się tu trochę światła - padła odpowiedź z oddali i Connie została sama.

Telefon zadzwonił cztery razy, zanim ktoś odebrał słuchawkę i podniósł się raban, a potem zabrzmiał głos Grace: -Halo?

- Mama? - Connie stała w przejściu z sieni do jadalni, patrząc, jak cienie wieczoru gromadzą się w misach pod martwymi roślinami doniczkowymi, których gałązki zawisły w oknach niczym zasuszone pająki. Zdecydowanie należało je powyrzucać. Właściwie dlaczego jeszcze tego nie zrobiła?

- Connie, kochanie! Jak miło. Nie sądziłam, że znowu tak szybko zadzwonisz. Jak się czujesz? - powitała ją Grace. Z jakiegoś powodu Connie wyobraziła sobie, że matka jest zajęta pieczeniem. Ujrzała kobietę z długimi, siwiejącymi włosami, stojącą w kuchni domu w Santa Fe z przytkniętą do policzka słuchawką. Na tym obrazie Grace miała ręce oblepione mąką, która upała już telefon.

- Dobrze. Co pichcisz? - zaryzykowała domysł.

- Pierozki samosa, ale nie mogę utrafić konsystencji. Ciasto ciągle mi się rozlatuje.

- Powinnaś dodać więcej klarowanego masła.

- Dodaję, ale wtedy one robią się takie tłuste! - Grace westchnęła, a Connie wyobraziła ją sobie, jak dmuchnięciem odsuwa z twarzy zabłąkany kosmyk. W Santa Fe chyba było jeszcze jasno na dworze, więc zobaczyła również kuchenny zlew w domu matki i półkę nad nim, pełną pękających, najeżonych kaktusów i różnych odmian tymianku. Po przeprowadzce Grace na Zachód wszystkie jej rośliny stały się bardziej suche i kolczaste. Nazwała to zjawisko „zmianami zgodnymi z poleceniem ziemi”, cokolwiek miało to znaczyć. Wyznawała dziwaczne poglądy na stosunki między pogodą a świadomością i odnosiła je zarówno do roślin, jak i do ludzi. Lubiła powtarzać, że pola elektromagnetyczne powstające

wskutek zmian pogody mogą bezpośrednio wpływać na aurę ludzi, a nawet zmieniać ich osobowość i zdolności. Connie zwykle wysłuchiwała tych teorii z dużą cierpliwością, choć niekoniecznie się z nimi zgadzała. Bo tak naprawdę matka miała skłonność do komplikowania większości spraw.

- Chętnie zjadłabym teraz samosę - powiedziała Connie. Grace zachichotała.

- Powiedz mi, kochanie, jak ci idzie z domem.

- Powoli, ale konsekwentnie do przodu - odparła Connie, okręcając wokół kciuka przewód telefoniczny. Wskaźnik rozjarzył się na czerwono, więc przestała się tak bawić. - Wygląda na to, że... zaczęłam wprowadzać zmiany.

- Założenie telefonu było znakomitym pomysłem. - Słowom matki towarzyszył odgłos mieszania ciasta drewnianą łyżką.

- Skąd wiesz, mammo?! - Connie roześmiała się.

- A skąd mogłabyś dzwonić w porze kolacji? Mama kiedyś miała telefon, to chyba wiesz. Odłączyła go w latach sześćdziesiątych. Twierdziła, że ma przez niego urwanie głowy. Zamartwiałam się potem, że w domu może się coś stać, a ona nie będzie miała możliwości, żeby kogokolwiek zawiadomić. Oczywiście nie dało się jej przekonać.

- Widocznie była bardzo apodyktyczna.

- Nawet nie masz pojęcia jak bardzo - przyznała matka i przez chwilę Connie słyszała w jej głosie echo Grace nastolatki. - Ile czasu jeszcze potrzebujesz, żeby go sprzedać?

- No... - Connie zawiesiła głos. Tyle dni poświęciła na swoje badania, że prace w domu ledwo drgnęły. Choć szczerze mówiąc, jej opieszałość wynikała nie tylko z tego. Przesunęła wzrokiem po martwej roślinie w pękniętej porcelanowej donicy, potem po zaciemnionym saloniku z fotelami. W zeszłym tygodniu wyczyściła ich haftowane obicia delikatnym detergentem do wełny, więc przybrały ciepłą czerwonobrazową barwę i wydawały się czyste i wygodne. Po kolacji zamierzała napalić w kominku, usiąść tam z książką i poczytać, póki nie

zmorzy jej sen. Miała dziwnie opiekuńczy stosunek do tego pokoiku, nie chciała niczego w nim zakłócić. - Jeszcze trochę.

- Connie... - zaczęła matka, tym razem znowu głosem czterdziestosiedmioletniej kobiety.

- Bałagan był naprawdę straszliwy, mamó. To zajmie więcej czasu, niż się spodziewałam.

Grace westchnęła.

- Ehe. Powiedz mi, co ty właściwie robisz, skoro nie porządkujesz domu tak, jak się umówiliśmy? I co z bólami głowy, o których wspominałaś?

Connie usłyszała dźwięki odkładanej łyżki oraz spływającego na blat roboczy ciasta. Coś zahuczało w słuchawce, widocznie Grace przycisnęła podbródkiem któryś klawisz aparatu.

- Już przeszły - powiedziała, uświadomiwszy sobie nagle, że chociaż jej sny na jawie pozostały bardzo plastyczne, to związane z nimi migreny zdarzały się jej coraz rzadziej. Zmiana następowała stopniowo, prawie niezauważalnie, ale była niewątpliwa.

- Widzisz? Nie potrzebujesz lekarza - wyrwała ją z zamyślenia Grace.

- Uhm - bąknęła Connie na odczepnego. - Tak się składa, że zbieram materiały do pracy doktorskiej. - Starła się, żeby zabrzmiało to przekonująco.

- Czyżby? - Grace straciła zainteresowanie.

- Pamiętasz to nazwisko, o które cię pytałam? - ciągnęła Connie. - Poszłam tym tropem i wydaje mi się, że dzięki temu znajdę źródło pierwotne, które jest mi potrzebne do napisania pracy.

- Źródło pierwotne? Jakie znowu źródło pierwotne? - W głosie matki słychać było nutę podejrzliwości, ale córka starała się tym nie przejmować.

- Wygląda na to, że Deliverance Dane była właścicielką swego rodzaju książki instruującej, jak uprawiać czary! Niesamowite, prawda?

- Prawda - potwierdziła Grace przygaszonym tonem.

- To jest wbrew wszystkiemu, co twierdzą historycy na temat związków kobiet z rodzimą religią w okresie kolonizacji! - Connie prawie to wykrzyczała.

- Miałaś rację - powiedziała matka na tle westchnień i plaśnień ciasta pod jej palcami. - Rzeczywiście należało dodać więcej klarowanego masła.

- Mamo - powiedziała Connie z naciskiem.

- Słucham cię.

- Teraz wystarczy tylko, że znajdę tę księgę. Jak dotąd rejestry postępowań spadkowych najwyraźniej są zachowane w dobrym stanie, więc muszę tylko prześledzić drogę księgi po śmierci kolejnych właścicieli. Oczywiście przy założeniu, że w kolejnych pokoleniach księga była uznawana za dostatecznie ważną, żeby wymienić ją w testamencie. Ale nawet jeśli została potraktowana jako część większego księgozbioru, wciąż mam szansę wysledzić miejsce jej przechowywania. Może więc dopisze mi szczęście.

- Och, kochanie, nie potrzeba ci żadnej zakurzonej księgi, żeby znaleźć szczęście. - Matka westchnęła.

- Grace, to dla mnie bardzo ważne odkrycie. - Connie usiadła przy wejściu do jadalni. - Dzięki niemu mogę wyrobić sobie pozycję. Dlaczego tak trudno ci zrozumieć, że to ma dla mnie duże znaczenie?

- Wiem, że to ma dla ciebie znaczenie, kochanie - powiedziała matka. - Wcale nie próbuję pomniejszyć wagi tego, co robisz. Po prostu martwię się, że energia, którą wkładasz w swoją pracę, jak to nazywasz, oddala cię od poznania samej siebie.

Connie głęboko wciągnęła powietrze i zrobiła głęboki wydech przez nos. Ciemność rozlała się już po jadalni, pochłonęła kształty stołu, krzeseł i wiszących na ścianie doniczek. Ario wynurzył się ze swojego miejsca pod stołem i usadowił się przy niej, kładąc włochaty pysk na jej kolanach.

- Znam siebie doskonale - odparła, starając się ukryć złość.

- Nie chciałam cię wzburzyć, kochanie - łagodziała matka. - Nie rozłączaj się, tylko włożę te pierożki do pieca.

Connie usłyszała łoskot słuchawki odkładanej na pokryty płytkami blat roboczy o dwie strefy czasowe od niej. Zgrzyt i skrzypnięcie zasygnalizowały otwarcie piecyka i wsunięcie do środka blachy pełnej samos. Wyobraziła sobie matkę, energicznie wycierającą umięzione dłonie w fartuch - ten sam, którego Connie tak szczerze nienawidziła, z napisem: „Om jest tam, gdzie serce twoje”. Znowu rozległ się stuk w słuchawce i po drutach telefonicznych popłynął oddech matki, który otarł się o policzek Connie. Jej irytacja nieco zelżała.

- Mówię tylko tyle, że nie zaszkodziłoby ci, gdybyś poświęciła trochę czasu, żeby zajrzeć w siebie i sprawdzić, co się tam dzieje - podjęła wątek Grace. - Jesteś wyjątkową osobą, Connie, bez względu na to, czy znajdziesz tę księgę. W tym momencie to nie jest najważniejsze, jak sądzę.

Connie poczuła, że warga jej drży, a nos i policzek zwilża jej słona kropla. Przełknęła ślinę i wyciągnęła rękę, by ścisnąć ucho Ario. Przez chwilę trzymała je w dłoni bez słowa.

- No właśnie... - Grace udała, że nie zauważa przeciągającego się milczenia córki. - Czy jesteś już gotowa opowiedzieć mi o tym chłopaku?

Oddychając głęboko, Connie uśmiechnęła się mimo woli, chociaż łza już zdążyła dopłynąć do kącika jej ust.

- Nie - wydusiła.

- Nie szkodzi, nie pali się. - Matka westchnęła. - Ale prędzej czy później musimy o tym porozmawiać.

Connie wzniosła oczy do nieba.

- W porządku, mamó. - Odłożyła słuchawkę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Marblehead, Massachusetts

gdzieś około letniego przesilenia w1991 roku



Hej, Goodwin! - powiedział głos, a po ekranie snu Connie przesunęły się słowa wypisane bezszeryfową czcionką. Nałożyły się na postać Grace - a może raczej kobiety z portretu na dole? — ubranej w szpitalną koszulę i stojącej boso w śniegu. Kobieta ze snu miała rozpostarte ramiona i krzyczała, ale z otwartych ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Na niebie nad jej głową słońcu towarzyszył księżyc. Kobieta wkrótce znikła pod stertą wijących się węży, które rozmnażały się przez podział i zajmowały coraz większą połąć śniegu, przesuając się ku niej. Pograżona we śnie Connie zmarszczyła brwi.

- Hej! Goodwin! - Słowa rozległy się ponownie, a ich wizualna forma rozsypała się pod wpływem łomotania do drzwi, zamieniając się w kropelki deszczu. Sen rozmyły kłębiące się myśli, które pociągnęły Connie ku jawie. Miała już świadomość łóżka pod sobą i psich łap opierających się o jej kark. Otworzyła jedno oko.

Łomotanie nie skończyło się wraz z odejściem snu, dalej wibrowało w powietrzu, szarpało zasuwką na drzwiach. Connie usiadła i przetarła oczy, włosy sterczały jej na wszystkie strony. Ario z ziewnięciem przetoczył się na bok, wsuwając łapy w opuszczone przez nią rozgrzane miejsce.

- Ki czort? - mruknęła i powłócząc nogami, dowlokła się z sypialni na poddaszu ze spadzistym sufitem do wąskich schodów, gdzie na każdym stopniu palce u nóg zawisały w powietrzu. Drapiąc się po głowie, w pół ziewnięcia otworzyła drzwi.

- Trzymaj - rozległ się głos i w jej rękach wyładował plastikowy kubek z kawą. Za kubkiem zobaczyła Sama, ubranego w szorty bojówki, martensy i T-shirt zespołu Black Flag. Trzymał pudełko pączków. - Masz doktoranckie godziny pracy, co?

- Uśmiechnął się szeroko i wszedł do sieni, ocierając się o jej ramię i pozostawiając mrowiące miejsce na skórze. ,

Connie zamrugła.

- O, jadalnia - ucieszył się Sam i szybko wszedł do pokoju, by położyć pudełko na stole. - Chcesz talerzyk? Nie, nie potrzebujesz.

- Sam, co... - próbowała zapytać.

- Jedenasta trzydzieści - oznajmił, podając jej pączka w czekoladzie, owiniętego serwetką.

- Ojej, naprawdę?

- Napij się trochę kawy, zaraz poczujesz się lepiej - zapewnił.

- Ale jak znalazłeś... - zaczęła znowu.

- Bułka z masłem. Poszukałem jedyne domu całkowicie zarośniętego pnączami - wyjaśnił i uśmiechnięty usadowił się na krześle, kładąc nogę na blacie stołu. - Nawiasem mówiąc, jest fantastyczny. Świetnie się trzyma.

- Żartujesz? To kompletna rudera. Za każdym razem, jak idę na górę, boję się, że runie.

- Niemożliwe - odparł, kręcąc głową.

- No, to popatrz. - Wbiła paznokiec w odsłoniętą belkę nadproża między jadalnią a sienią i z góry posypały się trociny.

- Rozlatuje się. - Usiadła przy stole w jadalni, nie przestając gapić się na gościa.

Sam podniósł wzrok i wzruszył ramionami.

- Miazgowce. Nic dziwnego, że zaległy się w takim starym drewnie. Pewnie już je tu z nim przywieziono, kiedy budowano ten dom. Około tysiąc siedemsetnego roku, prawda? Ale potem wyginęły i przez następne dwieście lat ich nie było. Wygląda to paskudnie, ale rdzenie tych bali są twarde jak stal.

Wgryzł się w pączka z galaretką, który zostawił mu białą obwódkę z cukru pudru wokół ust.

- Kiedy budowali ten dom - ciągnął - do łączenia słupów i elementów poziomych używali kołków ze świeżego drewna, żeby łatwo wchodziły w otwory, a potem już na swoim miejscu twardniały. Tej konstrukcji może zagrozić jedynie buldożer. - Uśmiechnął się i wierzchem dłoni otarł usta z cukru. - Nie ma nic lepszego niż stare twarde drewno - powiedział, nie spuszczając z niej oczu.

Connie przełknęła ślinę. Paliły ją czubki uszu, więc szybko odwróciła wzrok i zajęła się pączkiem.

- Wiesz, niektóre kobiety uznałyby to za bardzo dziwne - odezwała się w końcu, oblizując kciuk z resztek czekolady.

- Zgadza się - przytaknął. - Chodziłem z kilkoma takimi. Pod stołem zjawił się Ario i zaczął obwąchiwać nogę Sama.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Connie siorbała kawę. Czowała się bardzo nieswojo, siedząc koło Sama w spłowiałej kraciastej piżamie. Nie umiałyby powiedzieć, dlaczego wydaje jej się to bardziej krepujące niż wspólne wieczorne pływanie w samej bieliźnie. Zresztą to zdarzenie, przesłonięte mgłą i mrokiem, traktowała prawie jak wytwór swej fantazji. Spędzili razem kilka godzin. Pływali i bawili się w wodzie, a kiedy ogarniało ich zmęczenie, kładli się obok siebie na platformie i wpatrywali w niebo obsypane gwiazdami. Leżeli w ciszy, nie dotykając się i nic nie mówiąc. Connie cały czas myślała o bliskości Sama, bała się

jednak wziąć go za rękę, obawiając się, że urok tego wieczoru pryśnie. Teraz, w jasnym świetle dnia, wiedziała, że tamto zdarzyło się naprawdę. Płonęły nie tylko jej uszy, wypieki pojawiły się na całej twarzy. Odruchowo skrzyżowała nogi.

- No, tak - odezwał się Sam. Ario, radośnie machając ogonem, wspiał się przednimi łapami na jego kolana. Sam podrapał go po pysku i zwrócił się do Connie: - Co dzisiaj robimy?

- Jak to? - zdziwiła się, z ustami pełnymi kremu z pączka.

- Mam wolny dzień - wyjaśnił. - Myślałem o twojej tajemniczej czarownicy. Doszedłem do wniosku, że przed tobą jeszcze wiele pracy, a ja jestem już wprowadzony w temat, więc... - Rozłożył ręce i wzruszył ramionami. Odczekawszy chwilę na odpowiedź, która nie padła, dodał: - Oczywiście jeśli nie masz dzisiaj melodii do pracy, zawsze mogę oprowadzić cię po okolicy. Jak sobie życzysz. - Nie patrząc na nią, wziął z pudełka kolejnego pączka.

Connie poczuła przyjemny dreszczyk, stopniowo pobudzający całe ciało. Uśmiechnęła się.

- Daj mi tylko chwilę, żebym mogła się ubrać.

Nagle podbiegła do nich mała dziewczynka w olbrzymim czarnym kapeluszu czarownicy, ozdobionym fioletowymi cekinami. - Abrakadabra! - zawołała, rozkładając ręce dla lepszego efektu, a potem czmychnęła, by skryć się za rozrośniętym bluszczem obok siedzącej przy kawiarnianym stoliku kobiety, która - co Connie wywnioskowała z jej zachwyconego uśmiechu - musiała być matką małej. Sam tymczasem padł na ceglany chodnik, dziwacznie rozcapierzając ręce i nogi.

- Oooch! - krzyknął. - Trafiła mnie!

Zza bluszczu wychylił się kapelusz, przysłaniający parę zaniepokojonych oczu.

- Wstawaj, bo przestraszysz dziecko! - szepnęła Connie.

- Musisz wypowiedzieć magiczne słowo. - Sam jęknął, obracając głową w lewo i w prawo, aby podkreślić, jak bardzo cierpi z bólu.

- Proszę? - domyśliła się Connie.

- Nie, inne. Magiczne! - Przycisnął dłoń do wymaglinowanej rany. - Szybko!

- Wstawaj, świrze? Sam podniósł głowę.

- Chyba nie jesteś w tym zbyt dobra - powiedział. Connie westchnęła.

- Abrakadabra? Triumfalnie zerwał się z ziemi.

- Dzięki Bogu! Jestem uratowany! - zawołał, a ukryty za bluszczem kapelusz zatrząsał się od chichotu. Kobieta przesłała im uśmiech, a Connie wzniosła oczy do nieba.

- Niewiele brakowało - powiedział Sam, gdy znaleźli się w cieniu pobliskiego drzewa. - Już myślałem, że rzuciła na mnie urok.

- Jako wzór posłużył kornet - powiedziała Connie ni w pięć, ni w dziewięć.
- Albo hennin.

- Wzór czego?

- Kapelusza czarownicy, który nosi ta mała. Górna, stożkowata część pochodzi od piętnastowiecznego nakrycia głowy zwanego henninem, a szerokie rondo ma uproszczoną formę angielskiego kornetu. To z kolei było typowe nakrycie głowy Angielek z klasy średniej w późnym średniowieczu. Ale nie miało ścisłego związku z czarownicami.

Sam wybuchnął głośnym śmiechem, odrzucając głowę do tyłu i obejmując się za brzuch.

- Ho, ho! - powiedział w końcu, ocierając oczy. - Wciąż jeszcze żyjesz swoim egzaminem, co?

Pasaż, którym szli, wił się od pustych nabrzeży przez stare centrum Salem, mijał stary hotel, okrążał małe muzeum pełne chińskiej porcelany i modeli statków, a potem wskazywał drogę do upstrzonej graffiti stacji pociągów podmiejskich, uczestnicząc w ten sposób w różnych formach życia społecznego miasta.

Grupki turystów spacerowym krokiem mijały liczne stoliki sprzedawców pamiątek i oglądały fantazyjnie farbowane T-shirty z napisem „Miasto Czarownic”, kryształ szczęścia, mrożoną lemoniadę i drzewka bonsai.

- A gdzie reszta? - spytał Sam.

- Jaka reszta? - zainteresowała się Connie, biorąc do ręki magiczną kulę z napisem „Miasto Czarownic”, którą po potrząśnięciu odłożyła na stół sprzedawcy.

- No wiesz. Miotły. Czarne koty. Wszystko, co potrzebne czarownicom.

Connie prychnęła.

- E tam, kot jest po prostu substytutem chowańca. Ale nie zawsze musiały to być koty.

- Chowańca? - spytał, bawiąc się kryształem zawieszonym na długim rzemieniu, który można było kupić na kolejnym straganie.

- To był diabeł albo duch wcielony w zwierzę i spełniający wolę czarownicy. W jednym z protokołów procesu w Salem czytałam, że jakąś nieszczęśnicę oskarżono o posiadanie niewidzialnego żółtego ptaka, który siedzi jej na ramieniu. Z kolei mała dziewczynka, również oskarżona o czary, powiedziała sądowi, że matka dała jej w prezencie jako chowańca węża, którego wyssała z kurzajki między palcami. - Zmarszczyła czoło. - Nie wiem, dlaczego w kulturze popularnej czarownice są teraz kojarzone wyłącznie z kotami. A o miotle wiem cokolwiek tylko dlatego, że Liz pokazała mi drzeworyt w książce, którą czytała do swojego egzaminu.

- Opowiedz mi - poprosił.

- Historia o miotle jest zupełnie szalona - zaczęła. - Średniowieczna czarownica w drodze na sabat rozbierała się do naga. - Roześmiała się, widząc, że Sam zbladł. - Potem nacierała gołe ciało smarowidłem dającym moc latania, okrakiem dosiadała miotły, koniecznie ustawionej wiechciem słomy naprzód, bo

tam było miejsce na świeczkę, żeby widzieć cokolwiek, kiedy lecisz w ciemnościach. Wreszcie wypowiedziała zaklęcie i wylatywała przez komin. Czy to nie obłąkane?

- No, no. Smarowidło dające moc latania - powiedział, unosząc brew.

- Zamknij się - skarciła go żartem i szturchnęła w klatkę piersiową.

Minęła ich grupa kobiet w średnim wieku uzbrojonych w aparaty fotograficzne, ubranych w szorty i zdobione piórami kapelusze czarownic. Kurczowo trzymały wypchane plastikowe torby z zakupami, reklamujące wycieczkę tramwajem po miejscach związanych z procesem czarownic. Nastolatka z oczami mocno podkreślonymi czarnym tuszem i grymasem na ustach stała przed frontem galerii figur woskowych, której szyld obwieszczał:

DIORAMY LOCHÓW I STOSÓW CZAROWNIC

- Oni tu naprawdę robią z tego cyrk - zauważyła Connie.

- Dzisiaj mamy letnie przesilenie - przypomniał Sam. - Jeśli wydaje ci się, że jest tego za dużo, powinnaś tu przyjechać w Halloween.

- Zgoda, ale to tylko wskazuje, jak bardzo jesteśmy wyobcowani z historii - odparła gderliwie; jej niebieskie oczy pociemniały. - Przez wiele pokoleń procesy czarownic były tak drażliwym tematem, że nikt nie chciał o nich rozmawiać. Ich prawdziwa historia została spisana dopiero pod koniec dziewiętnastego wieku. A teraz popatrz... przecież to jest karnawał.

Rozejrzała się, wodząc wzrokiem po rozbawionych tłumach na esplanadzie. Zaglądali przez okna wystawowe do sklepów z kostiumami i do celek wróżbitów. Connie próbowała sobie przypomnieć inne okresy przemocy w dziejach, które w podobny sposób zamieniły się w źródło rozrywki i atrakcję turystyczną, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Czy Hiszpania ma galerie figur woskowych związanych z inkwizycją, gdzie ogląda się kukły ludzi łamanych kołem?

- W gwałtownej śmierci jest coś fascynującego - powiedział Sam, wyczuwając jej dezaprobatę. - Zwłaszcza jeśli dotknęła kogoś obcego. Pomyśl o

twierdzy Tower w Londynie. Tam głównym tematem zwiedzania jest ścinanie głów. Całe pokolenia królów i królowych w łańcuchach, kładących głowy pod topór. A kiedy tam jesteś, koniecznie obejrzyj klejnoty koronne! Oprócz upływu czasu również bogactwo i przywileje tych ludzi sprawiają, że są dla nas tacy odlegli. Możemy więc czerpać radość z ich cierpienia wolni od poczucia winy.

- To straszne - powiedziała Connie. - Oskarżonymi w Salem byli najwyzajniejsi ludzie.

- Nie wszystko tutaj ma same złe strony - powiedział Sam, odciągając ją od ganku galerii. - Jednym z zaskakujących efektów tej historii z czarownicami jest obecna rola Salem, które zaczęło przyciągać współczesnych pogan. Przyjeżdżają tutaj zewsząd. - Wskazał pokrytą bujną zielenią witrynę sklepową w wąskiej przecznicy odchodzącej od pasażu. Na szyldzie można było przeczytać wykonany ręcznie ozdobny napis: „Ogród Lith: zioła i przedmioty magiczne”.

Connie prychnęła z dezaprobatą.

- Nie wiem, czy to nie jest nawet gorsze. Autentyczni poganie przyjeżdżają tutaj zarabiać na turystach gnanych niezdrową, krwiożerczą ciekawością z powodu ludzi prześladowanych przed trzystu laty. A ci zabici nawet nie byli poganami! Byli chrześcijanami, którzy po prostu odstawali od innych.

- Jesteśmy dziś w cynicznym nastroju, co? Powinnaś pokładać trochę więcej wiary w ludziach, Goodwin. Chodź. - Ujął ją pod łokieć i wbrew protestom zaciągnął do sklepiku.

Gdy otworzyły się drzwi, zabrzmiał kojący gong, zupełnie niepodobny do dzwonka, który zwykle oznajmiał przybycie klientów w sklepikach pamiątkarskich, i Connie uderzył w nozdrza wonny powiew - kadzidło, choć trudno było określić jakie. W każdym razie intensywne i korzenne. Z magnetofonu na szklanej ladzie płynęły łagodne dźwięki fletni Pana, nieco stłumione woskiem kapiącym z fioletowej świecy na siatkę głośnika. Pod szkłem w gablotce leżały naj-

różniejsze kryształy i biżuteria na czarnych, skórzanych rzemykach, a także cynowe figurki czarodziejów i wróżek, trzymających w chudych, metalowych rękach opalizujące kule. Jedną ścianę zdobił stojak z poruszonymi wiatrem dzwonkami, które zaczęły pobrzękiwać i podzwaniać na różne tony, gdy Sam trącił je ramieniem.

- Radosne spotkanie! - piskliwie powitała ich uśmiechnięta kobieta, opierająca łokcie na otwartym almanachu, leżącym niedaleko kasy. - Wesołego letniego przesilenia dla was obojga. - Włosy miała zebrane w dwa grube kucyki, wiszące nad ramionami, a z uszu zwisały jej kolczyki w kształcie półksiężyców. Wśród koronek dekoltu bluzki widniał wytatuowany pentagram opleciony różami i liliami. Connie z trudem powściągnęła pogardliwe prychnięcie, a Sam uszczypnął ją na znak, żeby była cicho.

- Dzień dobry - odpowiedział rozpromienionej kobiecie.

- W czym mogę pomóc? - spytała. - Mamy dzisiaj specjalny program, tak dla państwa wiadomości. Za pół godziny zacznie się stawianie kart tarota, a o piątej będzie specjalista od fotografii aury.

- My się tylko rozglądamy - odparła Connie.

- Może nam pani wskazać, gdzie są książki? - zapytał w tej samej chwili Sam.

Kobieta uniosła brwi, zaokrąglając podkreślone ołówkiem łuki, i uśmiechnęła się szerzej.

- Oczywiście. W samym końcu sklepu, po lewej stronie.

- Dziękuję. - Sam pociągnął Connie w tamtą stronę.

- Bądźcie błogosławieni - odpowiedziała kobieta, kiwając głową.

Dotarli do półek w głębi, pełnych kieszonkowych wydań dzieł Aleistera Crowleya, książek o czytaniu tarota, astrologii i o czymś zwanym projekcją astralną.

- A gdzie są magiczne bile numer osiem? - spytała Connie oschle, na co Sam westchnął.

- Nie sądzisz, że to zajmujące? - spytał prowokująco. - Mnie zawsze intrygowała różnorodność tego, w co ludzie wierzą. Tylko popatrz, tu są towary z całej kuli ziemskiej. Celtyckie węzły, filozofia Wschodu, New Age. Przeszłość i teraźniejszość spotykają się na równych prawach, a wszystko służy poszukiwaniu boskości. To fascynujące. Właśnie dzięki odłotowemu pogaństwu życie w Salem jest tak interesujące, nawet dla tak zatwardziałego agnostyka jak ja.

Connie dostrzegła w jego oczach błysk szczerego, prostodusznego zaciekania i natychmiast pożałowała swojej gburowatości.

- Agnostyczny konserwator dzieł sztuki na wysokościach? Jesteś pełen sprzeczności - powiedziała, splatając ręce. I przyznała: - Masz rację, Sam. To naprawdę jest interesujące. Przepraszam. Chyba po prostu odreagowuję niektóre co bardziej obłąkane aspekty mojego wychowania. - Dotknęła dzianego tałesu wiszącego na drucianym stojaku i spuściła wzrok.

Sam ujął ją za ramiona.

- Ej, ej - rzucił i pochylił się, by spojrzeć jej w oczy, na co odpowiedziała półuśmiechem. - Nie martw się tym. - Wpatrzona w nią zielone oczy lśniły.

Przełknęła ślinę.

- Jak sądzisz, co miałyby do powiedzenia na ten temat Deliverance Dane albo Mercy Lamson? - zażartowała, przerywając chwilę milczenia.

Roześmiał się.

- Bóg raczy wiedzieć. - Wziął tomik z działu pełnego kieszonkowych wydań powieści o uprowadzeniach przez przybyszy z obcych planet. - Ale założę się, że to byłaby ulubiona książka Deliverance.

Connie parsknęła śmiechem i odwróciła się od półki, lecz nagle ucichła, zaskoczona. Naprzeciwko miejsca, gdzie stała, przestrzeń od podłogi niemal do su-

fitu zajmował stojak ze sproszkowanymi ziołami i eliksirami w małych plastikowych torebkach, ozdobionych wykaligrafowanymi etykietkami.

- Ooo! - powiedziała i podeszła, by przyjrzeć się temu dokładniej. Wybór był szeroki: od typowych przypraw kuchennych, takich jak oregano i cząber, po substancje nieorganiczne, na przykład kawałki siarki rodzimej i flakoniki z rtęcią. Większość nazw roślin nie była jej obca, ze zdziwieniem jednak przekonała się, że wiele z nich rośnie dziko w babcinym ogrodzie. Dotykała kolejnych plastikowych torebek, w zamyśleniu marszcząc czoło. Stojak coś jej przypominał.

Wszystkie te słoiczki i butelki w babcinej kuchni. Spłowiałe etykietki w kuchni wyglądały całkiem jak te w sklepie, choć wskutek upływu czasu przeważnie były nieczytelne.

- To dziwne - szepnęła, zdejmując torebkę z lulkiem, by przeczytać opis. W prawym dolnym rogu podano drobnymi literami informację: „Zebrano w czerwcu 1989 r.”.

Pociągnęła nosem. Każdy, kto dysponuje choćby tylko podstawową wiedzą o ziołarstwie, zdaje sobie sprawę, że zioła zaczynają tracić skuteczność niemal natychmiast po zebraniu. Nawet w książkach kucharskich autorzy zwracają na to uwagę: różnica w aromacie między ziołami suszonymi a świeżymi jest ogromna.

- Co za oszustwo - mruknęła, odkładając pakiecik na miejsce. Podeszła do Sama, który tymczasem zaczął oglądać kolczyki do nosa, zgromadzone w gablotce przy wejściu.

- Sądysz, że powinienem się zadowolić jednym kółeczkiem w nosie czy może jeszcze coś dodać? - spytał, skubiąc swój kolczyk. - Tu mają małe opale i kosteczki z cyrkonii...

- Wszystkie zioła są przeterminowane - poskarżyła się. - Najlepiej oczywiście używać świeżych, ale jeśli nie, powinno się je wykorzystać w ciągu dwóch miesięcy od suszenia. Inaczej tracą właściwości. Te w tym sklepie pochodzą sprzed dobrych dwóch lat. To rozbój w biały dzień.

- Czy znaleźli państwo wszystko, czego szukali? - przerwała im rozmowę kobieta z kucykami. Właśnie opatrywała cenami lawendowe kubki do kawy z napisem „Miasto Czarownic”. Jej uczernione ołówkiem brwi były ściągnięte. Connie zastanawiała się, czy podsłuchiwała, co mówili.

- Chcieliśmy się tylko rozejrzeć, dziękujemy - powiedziała. Ten jakże powszechny w Nowej Anglii zwrot oznacza, że nicy z transakcji. Ktoś, kto się „tylko rozgląda”, nie usiadzie przy stoliku, nie skorzysta z przymierzalni, nie zapyta o drogę ani nie zatankuje benzyny. Krótko mówiąc, nie da zarobić.

Oczy kobiety z kucykami pociemniały, obróciła się do nich bokiem i w lodowatym milczeniu ze zdwojoną energią wróciła do przyklejania metek do kubków; półksiężyc w jej uchu kołysał się jak szalony.

- Chodźmy - szepnęła Connie i ujęła Sama za ramię. Ogarnęło ją uczucie niepokoju, ale gdy rozległ się ciepły gong i znów wyszli na ulicę, gdzieś się rozplynęło.

Ochłodziło się, a na niebieskoszarej płachcie nieba pojawiły się bladoróżowe smugi. Connie zaciągnęła się słonym powiewem wieczornej bryzy i westchnęła z zadowoleniem.

- Nie skończysz? - spytał Sam, zaglądając do jej pudełka z kupionym na wynos pad thai. Na wszelki wypadek czyhał z gotowymi pałeczkami.

Connie roześmiała się.

- Jak to jest z chłopakami? - spytała przekornie. - Wszyscy, których znam, potrafią zjeść tyle, ile ważą. Powinieneś zobaczyć mojego licencjata. Wygląda na niewiele ponad pięćdziesiąt kilogramów, ale za każdym razem, kiedy się spotykamy na obiedzie, bierze dokładkę, a często nawet dwie.

Sam roześmiał się, choć miał usta pełne jej makaronu.

- Takiemu to dobrze - skwitował. - Mniemam. Twoje jest zdecydowanie lepsze od mojego.

Connie machała bosymi stopami, siedząc na krawędzi doku, i obserwowała port. Kilka zacumowanych obok siebie jachtów tworzyło ciemniejącą plamę, a woda niosła odgłosy obijania się falów o maszty. Próbowwała sobie wyobrazić, jak wyglądały te nabrzeża, kiedy Salem było ruchliwym portem i jednym z największych ośrodków miejskich w koloniach. Nawet dla jej wyćwiczonego umysłu ten obraz był jednak zbyt odległy, by mogła go przywołać. Chciała, żeby wzdłuż części nabrzeża, na której siedzieli, przepłynął wielki drewniany trójmasztowiec, usiłowała wyobrazić sobie dookoła sterty kufrów i skrzyń z żywymi kurczętami, worki ze zbożem i sucharami, bejcowane baryłki rumu. Zapełniła chylące się ku upadkowi spichlerze i żaglownie, stojące rzędem wzdłuż długiej krawędzi nabrzeża. Natężyła uszy, by usłyszeć stanowcze komendy oficera podawane marynarzom pracującym na wantach, ale dolatywał ją tylko krzyk mew siedzących na palach zmurszałego falochronu dwadzieścia stóp od brzegu. Może jednak Grace miała rację, zarzucając jej, że zbyt wiele czasu spędza w przeszłości i nie dość uwagi poświęca temu, co dzieje się tu i teraz.

- Mamy niewiele czasu - powiedział Sam, przysuwając się bliżej.
- Przecież nigdzie nam się nie spieszy. - Uśmiechnęła się do niego.
- Spieszy się, spieszy - odparł, po czym wstał i podał jej rękę.

Ruszyła za nim ciemniejącą aleją, biegnącą za starym budynkiem giełdy towarowej, i po pewnym czasie z zaskoczeniem stwierdziła, że zatrzymują się przy Pierwszym Kościele, w którym się poznali. Podeszli jednak od drugiej strony, co wywołało u Connie pewien rodzaj zawrotu głowy, stan, którego doświadczała zawsze, gdy trafiała w znajome miejsce nieznaną drogą. Sam przekręcił klucz w drzwiach wejściowych kościoła i zaprosił ją do środka.

- Skoro przez cały dzień sprowadzałem cię na manowce - powiedział, kierując ją ku schodom, które zauważyła już tego dnia, gdy badała miejscowe archiwum - to powiedz, jaki planujesz następny krok. Rozumiem, że widziałaś już teczkę z postępowania spadkowego po Mercy Lamson.

- Tak - potwierdziła, ostrożnie stawiając stopy na krętych schodach. - Mercy pozostawiła księgę nazwaną „rejestrzem przepisów” swojej córce Prudence.

- Prudence - powtórzył. - No, no.

- Tak, te imiona robią wrażenie - przyznała.

- Czyli wracasz do Wydziału Testamentów i Postępowań Spadkowych, tym razem w sprawie „Drogiej Prudence”? - Niespodziewanie zanucił pod nosem kilka taktów piosenki Beatlesów, a jego głos odbił się echem w studni schodów. Stopnie pięły się coraz bardziej stromo, w powietrzu unosił się stęchły zapach długo niewietrzonego pomieszczenia i martwych os. Sam nie zapalił światła.

- Może - powiedziała po chwili. - To znaczy zdecydowanie tak. Ale Mercy była w tysiąc siedemset piętnastym roku zaangażowana w jakiś proces i chciałabym się dowiedzieć, o co chodziło. Pewnie więc tym właśnie zajmę się jutro. Odwiedzę sąd. Dopiero potem wrócę do postępowania spadkowego po Prudence. - Z każdą chwilą wspinaczki oddech Connie robił się coraz krótszy. Wreszcie Sam wyprzedził ją, przystanął i usłyszała, że manipuluje przy swoim kółku z kluczami.

- Jesteśmy - oznajmił, dopasowawszy klucz do zamka. Pchnął ramieniem ciężkie drewniane drzwi i obrócił się, by jej pomóc. Zawahała się, ale wsunęła rękę w jego dłoń. - Uważaj na futrynę - ostrzegł, a chwilę potem ujrzała wieczorne niebo. Zaparło jej dech w piersiach.

Stali przy wąskiej mosiężnej balustradce okalającej dzwonnice kościoła, a w zapadającym zmierzchu jarzyły się pod nimi coraz liczniejsze światła Salem. Z tej wysokości widać było skupiska ceglanych domów, czubki drzew i witryny sklepów na nabrzeżu, gdzie wcześniej siedzieli, a dalej port i oblany czernią wód niewielki półwysep, na którym leżało Marblehead. Niebo nad ich głowami, tu i ówdzie poznaczone pasmami różu, rozпалиło się odcieniami pomarańczu i czerwieni, odbijającymi się również w falującej powierzchni morza.

- Och - westchnęła, zachwycona widokiem miasta rozpoście-rającego się u ich stóp. Sam przykrył jej rękę opartą na balustradzie swoją ciepłą i suchą dłonią. Drugą ręką głaskał delikatnie jej podbródek i szyję, a gdy odwróciła się do niego, by o coś spytać, ich wargi spotkały się w namiętym pocałunku i trwały w nim, póki pomarańczowa łuna zachodzącego słońca nie zniknęła za horyzontem, pozwalając rozblysnąć gwiazdom.

TLR

Interludium

Salem, Massachusetts
koniec października 1715 roku



Coraz bardziej przetarta łąta tkwiła w tym miejscu przez co najmniej dwie zimy ale oczywiście jej peleryna musiała się rozedrzeć właśnie tego dnia. A ona nie miała materiału na łątę, nawet nie wzięła robótki dla zabicia czasu. Mercy Lamson z chmurną miną wsunęła kciuk w tę kompromitującą dziurę, czując na skórze drapanie wełnianego sukna. Kusilo ją, żeby rozepchnąć to rozdarcie, powiększać je bez końca, wyładować złość na zniszczonym okryciu. Rozsądek wziął jednak górę. Nowa peleryna kosztowałaby zbyt wiele, upomniała się, marszcząc czoło. Rozejrzała się po mieszkańcach miasta, siedzących dookoła niej na ławach, jakby spodziewała się, że zauważą jej chwilowy nastrój. Jeśli nawet tak się stało, nikt nie dał tego po sobie poznać. Nieliczne na sali kobiety wyszywały hafty na kawałkach materiału. Mężczyźni szemrali. Za jej plecami jakiś człowiek, którego nie znała, spał, oparłszy głowę na twardej ławie, i bezgłośnie pochrapywał przez otwarte usta. Z westchnieniem ponownie usadowiła się na swoim miejscu i wygładziła postrzępione brzegi dziury, aby przywrócić odzieniu pozory schludności. Później będzie miała dość czasu na naszywanie łąt, pomyślała.

Powiodła wzrokiem po sali, w której spędziła ostatnich kilka godzin, jej jasne oczy badały skrawek po skrawku boazerię, czym rozpaczliwie starała się zająć umysł. Minęło wiele lat, odkąd mieszkała w Salem, przeżyła więc niemałe zmieszanie, gdy powiedziano jej, że sprawa będzie rozpatrywana w nowym ratuszu, zamiast w zborze lub w sali sędziowskiej. Piętrowy budynek stał na błoniach niczym przykładowy angielski sąd, jeśli wierzyć temu, co słyszała od innych. Wzniesiono go z solidnej, nowej cegły niedaleko nabrzeży. Wyobrażała sobie jednak, że w Anglii sądy nigdy nie pachną politurą i nowością. Mercy nie interesowała się szczególnie tym zamorskim krajem, dopóki Jedediah nie został jej mężem.

Sala, gdzie siedziała w otoczeniu ludzi podobnie jak ona wiercących się na ławach, by móc przedstawić swoją sprawę, imponowała przepychem, który w latach młodości Mercy był niespotykany. Honorowe miejsce zajmowała ława sędziowska na podwyższeniu, zdobiona ornamentami, a po bokach umieszczono masywne drewniane łóże dla przysięgłych. Poniżej ławy stały dwa kunsztownie rzeźbione stoliki, adwokatów i protokolanta, pośrodku zaś, w pustej przestrzeni doskonale widocznej dla przysięgłych, sądu i publiczności, ustawiono barierki. Tego przedpołudnia obserwowała już czworo nieszczęśników, którzy doprowadzeni w to miejsce skupili na sobie zainteresowanie wszystkich obecnych, jakby nagle znaleźli się pod olbrzymim szkłem powiększającym. Naszły ją mdłości, jej czoło oziębło i pokryło się drobnymi kropelkami. Wkrótce kolej na nią.

Za ławą sędziowską wisiał olbrzymi portret mężczyzny o królewskiej posturze, z kręconymi włosami i ciężkimi pierścieniami na dłoniach, odzianego w piękną szatę podbitą futrem. Mercy znów zaczęła przyglądać się tej postaci, którą studiowała już przez większą część przedpołudnia. Nigdy jeszcze nie widziała tak udatnej podobizny człowieka. Nawet ze swego odległego punktu obserwacyjnego na galerii dostrzegała ciepło i życzliwość promieniujące z jego oczu i ogorzałą jasną skórę. Raz złapała się nawet na snuciu rozmyślań, jakie wrażenie

wywarłyby w dotyku jego włosy, gdyby przeczesala je palcami jak grzebieniem. Pewnie były gładkie, miękkie i pachniały lawendą, tak w każdym razie sobie wyobrażała. Realizm portretu był zdumiewający. Gdyby ten człowiek kiedykolwiek szedł ulicą Marblehead, poznałaby go bez wątpienia.

Jedediah miał żeglować jeszcze dwa miesiące. Oczy Mercy spochmurniały na myśl o tym, co czułby, gdyby usłyszał choć część z tego, co musiała dziś powiedzieć. Wprawdzie wiedziała, co robi, ale dobrze się złożyło, że Jedediah akurat wypłynął w morze.

Tymczasem z przodu sali wybuchło poruszenie, więc Mercy lekko uniosła się z twardej ławy. Właśnie dwaj surowi konstabla wyprowadzali ostatniego suplikanta, idącego ze zwieszoną głową, skutego żelazem. Wokół ławy sędziowskiej i łoży przysięgłych trwała krzątanina, co oznaczało rychły początek następnej sprawy. Mercy obserwowała niesłyszalną naradę protokolanta z sędzią; w końcu ten ostatni skinął głową i skierował wzrok prosto na nią. Żołądek podszedł jej do gardła. Z trudem przełknęła ślinę, język bowiem nagle wysechł jej na wiór.

-Mercy Dane Lamson przeciwko miastu Salem w hrabstwie Essex - wywołał protokolant i wiele głów obróciło się w jej kierunku.

Przymrużyła oczy zaskoczona, dawno już bowiem opuściła Salem i nie znała żadnej z twarzy, które teraz przyglądały jej się bacznie, gdy wstawała z ławy. Jak to możliwe, że całkiem odmienione miasto ma tak dobrą pamięć? - zastanawiała się w drodze do barierki. Sędzia, człowiek jak góra, odziany w czarne szaty, z chorobliwie żółtawymi policzkami w odcieniu wosku, zerkał na nią groźnie, gdy zbliżała się do pustego czworokąta pośrodku sali. Odruchowo i całkiem niezależnie od swego świadomego umysłu Mercy zaczęła układać listę ziół potrzebnych do wzmocnienia jego obumierającej wątroby. Ten człowiek bez wątpienia nie wylewał za kołnier.

- Nie macie adwokata? - burknął sędzia.

Mercy otworzyła usta, chcąc udzielić odpowiedzi, ale skołowaciały język przywarł jej do podniebienia, więc zdołała tylko kaszlnąć.

- No więc jak? - zagrział sędzia.

Wyprostowała się, wygładziła spódnice i położyła ręce na lśniącej balustradzie.

- W samej rzeczy, panie sędzio, nie mam - przyznała.

Sędzia ostentacyjnie odchrząknął, a do jej uszu doleciały stłumione śmieszki z miejsc zajmowanych przez przysięgłych. Niewzruszenie wpatrywała się w ciepłe oczy dostojnego mężczyzny z portretu. Sala z wolna cichła. Mercy zauważyła kątem oka, że od okien po prawej stronie akurat odpływa chmura, a na stolikach adwokatów pojawił się złocisty prostokąt. Małe szybki właśnie zaczynały zasnuwać się warstewką lodu.

- No mówże, kobieto! - ryknął sędzia, a jego zniecierpliwienie uderzyło w nią jak podmuch gorącego wiatru.

- Musicie teraz złożyć zeznanie - szepnął protokolant, który pojawił się u jej boku. Kiwnął głową, żeby dodać jej otuchy.

- Tak, oczywiście - mruknęła niepewnie. Rozłożyła plik kartek, które systematycznie zapisywała w domu przez ostatnie kilka tygodni. Szeleściły w jej dłoniach, zdołała jednak nad nimi zapanować. Chrząknęła jeszcze, a publiczność pochyliła się w ławach, żeby lepiej słyszeć.

- Ja, Mercy Dane Lawson, ostatnio mieszkająca w Marble-head, zwracam się przeto do miasta Salem w hrabstwie Essex o należne po sprawiedliwości oczyszczenie dobrego imienia mojej matki Deliverance Dane i wnoszę o uwolnienie jej przez sąd ze wszystkich bezpodstawnych zarzutów wniesionych przeciwko niej w minionych czasach, a przez to również o zmycie z nas, członków jej rodziny, hańby i niesławy. Infamia ta miała ten skutek, że trudno było prowadzić interesy i wieść codzienne życie, mogłam przeto zdobywać tylko skromne środki

na utrzymanie siebie i swojej rodziny, która znalazła się w niedostatku bliskim biedy, pozbawiona szacunku i przyjaźni współziomków.

Te słowa napęłniały ją obrzydzeniem. Słyszając je, Jedediah z pewnością czułby się upokorzony, zrozumiałby z nich bowiem, że nie potrafi zapewnić im godnego utrzymania. Policzki Mercy zalały się intensywną czerwienią, a obecni ludzie szeptali między sobą, komentując jej wniosek.

-Panie Saltonstall, proszę wystąpić w imieniu miasta - powiedział sędzia, zwracając się do sztywnego starszego mężczyzny, siedzącego przy adwokackim stoliku po lewej ręce Mercy.

Dżentelmen wstał, wydając stęknienie, i poprawił długą siwą perukę, lekko przechyloną na bok. Trochę się garbił, był jednak szczupły, a jego oczy wciąż lśniły młodzieńczym entuzjazmem. Mercy próbowała odczytać z jego rysów powzięty przezeń zamiar, a przy okazji zwróciła uwagę, że twarz wydaje jej się znajoma, chociaż skojarzenia z nią związane pochodziły sprzed wielu lat.

-Pani Lamson - zaczął, stojąc z dłońmi wspartymi na stoliku przed sobą. - Problemy związane z reputacją mają to do siebie, że są z istoty swojej niewymierne. Czy zechciałaby pani podać sądowi nieco więcej szczegółów?

- Słucham?

- Rozumiem, że ma pani męża - zainteresował się pan Saltonstall.

- Mam - odrzekła zakłopotana.

-I jest tu dzisiaj z panią, prawda? - Adwokat zrobił przedstawienie, wyciągając szyję i udając, że szuka go wśród ludzi.

- Jest na morzu - odparła, ściągając brwi.

- Ach, tak! - Splótł ręce za plecami i wyszedł zza stolika, zbliżając się do bariery, za którą stała Mercy. - Marynarz. To trudna praca. Ale zapewnia utrzymanie.

Galeria przyjęła tę sarkastyczną uwagę z uciechą, a Mercy spojrzała na niego oburzona.

- Po uwięzieniu mojej matki przez całe lata lekceważyli mnie młodzi ludzie z dobrych domów, którzy wcześniej zalecali się do mnie i myśleli o małżeństwie, i w końcu wszyscy zobaczyli we mnie starą pannę. Jedediah Lamson zaskarbił sobie moje uczucie, gdy przyjechał tu z Anglii, a ja miałam wtedy trzydzieści pięć lat.

Kobiety na galerii zaczęły szeptać między sobą. Mercy wyczuła, że za swoimi plecami wzbudziła poruszenie, falę kobiecego niepokoju, stojąc bowiem przy barierce, ucieleśniała jeden z ich wielu niewypowiedzianych lęków. Odruchowo zaczęła wsuwać palec w rozdarcie peleryny, ale zorientowała się i zaraz mocno zacisnęła dłonie na balustradzie.

- To zaiste wyjątkowo fortunne zrządzenie losu! - oznajmił adwokat, znów wkraczając w przestrzeń przed nią. - A zanim jeszcze wkradła się pani w łaski pana Lamsona, jakiego miała się sposobu zdobywania środków na uczciwe życie?

- Po procesie mojej matki sąsiedzi i przyjaciele odtręcili moje towarzystwo - powiedziała cichym głosem Mercy. - Tak obrzydzono mnie wszystkim dobrym obywatelom, że odmawiali mi zatrudnienia w moim wyuczonym rzemiośle, nie przyjmowali mnie w swoich domach, nie wymieniali ze mną towarów i nawet nie chcieli ze mną rozmawiać. Będąc wyrzutkiem wspólnoty, w której żyłam, przerwałam więc praktykowanie swojego rzemiosła i postanowiłam założyć dom w nowym mieście, gdzie dalej zajmowałam się uzdrawianiem, chociaż już nie tak często, jak wcześniej.

Wciąż krążyły szepty za jej plecami i Mercy od czasu do czasu wychwytywała z nich słowo lub nawet cały fragment. Wydawało jej się, że słyszy „znikła” i „małe dziecko”, i „prawie do obłędu”. Jedno słowo powtarzało się jednak częściej niż inne, i właśnie jego się bała: „czarownica”.

- Czym jest uzdrawianie, o którym pani mówi? - spytał adwokat, splatając ręce i mierząc Mercy nieprzyjaznym spojrzeniem.

Rozejrzała się dookoła zatroskana, a potem znów zwróciła spojrzenie ku życzliwym oczom mężczyzny z portretu.

- Znam się na ziołach, umiem przyrządzać tynktury dla chorych i dla kobiet w położu, potrafię zauważyć, co im najbardziej dolega, doradzić i uśmierzyć ich cierpienia na tyle, na ile to możliwe. Za tę pracę otrzymuję różne towary, a czasem pieniądze.

- Co takiego!?! - krzyknął adwokat, stając tuż przed nią, tak blisko, że aż się nieco cofnęła. - To się nazywa babka, prawda?

Oskarżenie zostało jej rzucone prosto w twarz, a ona zaczęła rozumieć, jak nierozsądnie postąpiła, próbując tłumaczyć się przed tym człowiekiem w ubraniu zdobionym srebrnymi guzikami, który, jeśli sądzić po oddechu, był nałogowym palaczem.

- Wolę nie dawać nazwy mojemu rzemiosłu - powiedziała Mercy, broniąc się przed mdłościami, wciąż siejącymi niepokój w jej brzuchu. Pod wieloma warstwami wełny i płótna czuła warstewkę potu oblepiającą jej pachy. Oddychała coraz płycej.

- Czy chory człowiek nie powinien skorzystać raczej z usług medyka? Osoby właściwie wyuczonej w ruchach płynów i mechanice ciała? - spytał adwokat, tym razem kierując pytanie do przysięgłych.

Jeden z nich miał na twarzy pogardliwy uśmieszek zadowolenia i siedział, opierając wysoki but o balustradę łoży. Bez wątpienia medyk, pomyślała Mercy. Wykształcony od początku do końca metodą Cambridge, w college'u. Zupełnie jakby wszystko, co powinien wiedzieć, mógł wyczytać w książce!

- Niektórzy tak wolą - przyznała.

- Wolą! - ryknął adwokat i sędzia się uśmiechnął. - Jesteś szarlatanką, kobieto!

Galeria eksplodowała mnóstwem okrzyków i komentarzy, Saltonstall stał tymczasem, mierząc w nią długim palcem, za którym powiewała koronka mankietu. Mercy poczuła, że jej cierpliwość się wyczerpała.

- To, czy jestem szarlatanką, nie powinno nas tu interesować! - stwierdziła głosem nabierającym mocy. - Wnioskuje do sądu o oczyszczenie imienia Deliverance Dane zarówno z uwagi na pamięć o niej, jak i na moje dobro, a także dobro mojej niedawno narodzonej córki, pamiętając, że oczyszczono już imiona innych nieszczęśników skazanych na śmierć przez wyższy sąd karny zwołany przez miasto Salem w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym drugim roku, którego prostackie dowody i niegodziwe kłamstwa zostały przyjęte przez samego sędziego Sewalla!

Z tymi słowami dała upust gromadzącej się w jej wnętrzu mocy, która poprowadziła rękę w dół. Pięść Mercy uderzyła w balustradę, jej oczy zamieniły się w kryształy lodu, a drewno pękło od siły uderzenia i balustrada omal nie przełamała się na pół. Przyglądająca się temu cizba głośno nabrała tchu i zamilkła. Richard Saltonstall, niezrażony tym wybuchem, zawrócił do miejsca, w którym stała pałająca wściekłością Mercy Lamson.

- To prawda, że wyższy sąd karny, w pośpiechu dążąc do uwolnienia naszej opartej na przymierzu wspólnoty od diabelskich wpływów, zapewne zbyt pochopnie dał wiarę świadectwom istnienia widm i opętanych dziewczynek - przyznał, smutno kręcąc głową. - I prawdą jest również, że ci wszyscy nieszczęśnicy, których dusze ma teraz w swojej pieczy nasz wszechmocny i miłosierny Bóg, odzyskali przed tym sądem dobre imię i status należny im dla pożytku i poprawy bytu ich żyjącego potomstwa.

Adwokat przeszedł z kolei przed ławę przysięgłych, z której dwanaście par męskich oczu nieruchomo wpatrywało się w roztrzęsioną postać Mercy.

- Prawdą jest i to, że w następstwie wyroku wydanego na matkę warunki pa- ni życia stały się nędzne i nie dawały możliwości utrzymania, a jednak... Urwał i

zwrócił się ku galerii, po której powiódł wzrokiem. Siedzący tam ludzie czekali z zapartym tchem.

- Tyle że, pani Lamson... - powiedział jeszcze raz i Mercy spojrzała w górę, na portret z jego przyjaznymi, rumianymi policzkami i bujnymi lokami, całkiem przecież płaskimi i będącymi jedynie warstwą obojętnej farby. - Tyle że... - powtórzył po raz trzeci, spoglądając prosto w jej zimne oczy. - Tamci nieszczęśnicy byli niewinni.

TLR

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Boston, Massachusetts

3 lipca 1991 roku



Znajdująca się na piętrze czytelnia zbiorów specjalnych Boston Athenaeum była całkiem pusta i Connie po raz piąty w ciągu godziny spojrzała na zegarek, zastanawiając się, czy powinna traktować przedłużające się oczekiwanie jako mało subtelną aluzję. Dyżurny bibliotekarz nie próbował nawet ukryć irytacji, kiedy poprosiła o książkę do przejrzenia.

- Dobrze, niech będzie - powiedział prawie szeptem. - Ale dzisiaj wcześniej zamykamy. Proszę tam poczekać.

Wskazał jej krzesło ulokowane dokładnie w plamie słonecznego światła pod oknem, najdalej od wentylatora, więc Connie czuła się tak, jakby miała na plecach elektryczny koc. Z prawdziwą złością otarła strużkę potu ściekającą jej z czoła na nos. Jeszcze kwadrans, obiecała sobie. Kwadrans jeszcze wytrzymam. Cieniowała tymczasem liście dmuchawca, który naszkicowała na marginesie notatnika. Wkrótce jednak opanowała wzburzenie, a przed stolikiem, przy którym siedziała, pojawiła się przezroczysta błona snu na jawie. I zobaczyła Sama w księżycowej poświacie, odgarniającego do tyłu włosy. Pozwoliła sobie śnić ten sen dalej, a jej wargi ułożyły się w mimowolny uśmiech.

- To pani czeka na dziennik Bartlett? - spytał młody bibliotekarz z kwaśną miną.

Zamrugnęła, wróciła do swojego stolika, notatnika, słońca grzejącego w plecy i mężczyzny nachylonego nad wózekiem załadowanym kilkoma ułożonymi w piramidkę pudełkami archiwaliów.

- Tak - potwierdziła, odsuwając do tyłu krzesło, by móc dosięgnąć pierwszego pudełka.

- Chwileczkę - powiedział młody człowiek, zastawiając jej drogę. - Mam nadzieję, że zna pani reguły. Żadnych piór ani długopisów. Do podparcia woluminów proszę używać styropianowych podkładek, żeby uniknąć pęknięcia grzbietu. Nie wolno fotokopiować. Jednorazowo wolno przeglądać zawartość tylko jednego pudełka. Rękopisów proszę dotykać jak najmniej, zawsze w tym. - Położył obok niej na stoliku parę nowiutkich bawełnianych rękawiczek. - I szczerze mówiąc, nie powinna pani siedzieć w słońcu - dokończył, obrzucając ją nienawistnym spojrzeniem.

- Z przyjemnością się przesiądę - powiedziała zanadto znużona, by dyskutować.

Wkrótce ukryta w rozkoszonym cieniu przy końcu długiego stołu przysunęła do siebie pierwsze pudełko, trzymając je lekko za krawędzie dłońmi w rękawiczkach. Otworzyła je, rozsupłała sznureczek, którym był związany manuskrypt, i umieściła pierwszy tom dziennika na dwóch zielonych styropianowych podkładkach. Wreszcie odchyliwszy okładkę, przeszła do strony tytułowej:

Dziennik Prudence Bartlett- napisano wyblakłym już atramentem. - ***1 stycznia. 1741 roku, - 31 grudnia. 1746 roku.***

Wstrzymała oddech, ledwie panując nad podnieceniem. Prudence nie została wspomniana we fragmentarycznej relacji z procesu wytoczonego przez Mercy Lamson w tysiąc siedemset piętnastym roku, ale pojawiła się jako jedyna spadkobierczyni w teczce postępowania spadkowego po Mercy. Chociaż mieszkańcy Nowej Anglii słynęli z estymy dla słowa pisanego, bardzo niewielu kolonistów pozostawiło po sobie tak wymowne dokumenty jak dziennik, a kobiet było wśród

nich jak na lekarstwo. Connie przeżyła więc niemałe zaskoczenie, kiedy zadzwoniwszy z poczucia obowiązku do Boston Athenaeum, odkryła, że Prudence Lamson Bartlett prowadziła dziennik, który trafił do bibliotecznych zbiorów specjalnych. Connie wiedziała już, że „rejestr przepisania” po śmierci Mercy albo nawet wcześniej dostał się w ręce jej córki, tymczasem nie zdołała jednak znaleźć testamentu Prudence ani dokumentów postępowania spadkowego. Oczywiście wiadomo, że tak stare akta często bywają niekompletne lub uszkodzone, ale brak spisu inwentarza stanowił dla Connie poważny cios. W zeszłym tygodniu zdarzyło jej się ponure popołudnie, kiedy zatelefonowała do Liz, by poużalać się nad sobą, ogarnięta paniką wynikającą z przekonania, że nie ma żadnych szans na odnalezienie księgi Deliverance.

Teraz siedziała przy stole w czytelnicy, przygotowana do chłonięcia zawartości niezwykle rzadkiej odmiany źródła pierwotnego. Dziennik Prudence obejmował kilka tomów od tysiąc siedemset czterdziestego pierwszego roku, kiedy wyszła za mąż w wieku około dwudziestu sześciu lat, do miesięcy poprzedzających jej śmierć w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym ósmym roku, czyli daty o ponad sto lat późniejszej niż procesy czarownic w Salem. Connie otworzyła dziennik i oczy jej zapłonęły. Z ołówkiem zawieszonym nad notatnikiem rozpoczęła lekturę.

1 st. 1741. Bardzo zimno. Siedziałam w domu.

2 st. 1741. Dalej zimno. Siedziałam, w domu.

3 st. 1741. Prawie skończyłam szal. Pada. śnieg.

4 st. 174-1. Dalej pada śnieg.

5 st. 1741 Zimno trochę ustępuje. Pies nie rusza. się z legowiska..

Jęknęła i złapała się za głowę. Rzecz jasna, nie miało sensu oczekiwać w osiemnastym wieku długich, refleksyjnych ustępów poświęconych istocie kobiecości, ale bez przesady. Miała przed sobą perspektywę popołudnia poświęconego na nużące przekopywanie się przez najdrobniejsze szczegóły codziennego życia Prudence i czuła, jak jej entuzjazm maleje. Przewróciła kilka grubych kartek i zajrzała nieco dalej.

25 mar. 1747. Odwiedziłam Hannah Glover Urodziła, dziewczynkę. Dostałam. 3 funty kawy.

Connie pochyliła się nad tekstem, starając się skupić.

30 mar. 1747. Pracowałam w ogrodzie.

31 mar. 1747. zbierałam zioła., powiesiłam do suszenia, -przy ogniu.

1 kw. 1747. Źle się czułam. Siedziałam w domu.

2. kw. 1747. Deszcz. Josiah w mieście. Siedziałam w domu.

3 kw. 1747. Deszcz pada dalej. Odwiedziłam Elizabeth Coffin, która rodzi.

4 kw. 1747. U Coffinów. Elizabeth urodziła, chłopca.

5 kw. 1747. U Coffinów. z Lizą niedobrze.

6 kw. 1747. U Coffinów. Lizą lepiej. Dostałam 2 funty grochu.

7 kw. 1747. W domu. Tymczasem. wrócił Josiah.

Przewracając kolejne strony, Connie znalazła kilka wpisów o prawie identycznej treści. Przebijała się przez te ogłupiające powtórzenia, usiłując wyczytać między wierszami szczegóły, o których Prudence nie pomyślała, by wyrazić je wprost. To jasne, że kobieta, która w dużej części sama wytwarzała swoją żywność, bez wątplenia uważała pogodę za ważny temat do dziennika. Zapewne czytywała też almanachy, z tego samego powodu. Connie czułaby się zawie-

dziona, że tej spadkobierczyni małomównych purytanów brakowało kultury niezbędnej do utrwalenia w formie pisanej swego życia wewnętrznego, gdyby nie to, że takie rozczarowanie byłoby bezpodstawne. Pod pewnymi względami codzienna praca Prudence była przecież jej życiem wewnętrznym. Czytała więc dalej, przedzierając się przez kolejne dni doniesień o pogodzie, pracach w ogrodzie, przyjazdach i odjazdach tajemniczego mężczyzny imieniem Josiah i powtarzających się wezwaniach do cierpiących kobiet z sąsiedztwa. Nagle wybuchnęła śmiechem, uświadomiła sobie bowiem oczywisty fakt.

- Jasne! - powiedziała na głos. - Prudence była akuszerką! Bibliotekarz skarcił ją spojrzeniem zza biurka.

- Nie wygłupiaj się, człowieku, przecież tu nikogo nie ma! - zawołała zirytowana.

- Psssst! - uciszył ją, przykładając palec do warg.

Zachichotała pod nosem, usatysfakcjonowana swoim buntem, i notowała dalej. Być może uległa pokusie sprowokowania bibliotekarza częściowo po to, aby zrekompensować sobie powściągliwość, ograniczającą doświadczenia i całe życie Prudence. Im dłużej czytała, tym bardziej musiała zwalczać w sobie chęć, by wspiąć się na stół albo zrobić gwiazdę w przejściu między stołami. Miała wrażenie, że niestosownym zachowaniem może spłacić swój dług wobec Prudence.

Starannie spisywała wszystkie fakty, które mogła ustalić na podstawie dat w dzienniku, cały czas usiłując przebić się przez bezbarwne sformułowania, aby ujrzeć ukryte pod nimi prawdziwe życie. Po czterech godzinach skupionej pracy miała za sobą lekturę wszystkich wpisów od tysiąc siedemset czterdziestego piątego do tysiąc siedemset sześćdziesiątego trzeciego roku - w sumie niemal dwie dekady uwag o pogodzie, pracach domowych i zapłatach za przyjmowanie porodów. Przeciągnęła się, wyprostowała ręce nad głową i odchyliła się na krześle.

Krew zaczęła odpływać jej z opuszek, gdy zginała po kolei palce, trzymając ołówek wysoko w górze. Potem odsunęła od siebie otwarty dziennik i zabrała się do przeglądania notatek.

Do tej pory w dzienniku ani słowem nie wspomniano o okrytej hańbą babce. Kontury życia Prudence stopniowo wypełniały się kolorami. Kobieta wykonywała pracę akuszerki, prawdopodobnie dobrze, bo do tej pory nie zdarzył się wpis o śmierci matki, a dzieci zmarło zaledwie kilkoro. Jej mężem był niejaki Josiah Bartlett, który najwidoczniej zarabiał na utrzymanie jako robotnik portowy, pracujący przy załadunku i rozładunku statków zawijających do portu w Marblehead. Bartlettowie wydawali się od dawna zaprzyjaźnieni z rodziną Prudence, chociaż Connie nie mogła dokładnie określić źródła tego przypuszczenia. Prudence sprawiała wrażenie lubianej przez sąsiadów, choć chyba brakowało osób, które mogłaby nazwać przyjaciółmi. Mieszkała w Marblehead, ale do kościoła chadzała sporadycznie. Podróżowała tylko wtedy, gdy musiała wybrać się do porodu, ale pacjentki miała w bardzo wielu punktach hrabstwa Essex: w Danvers, Manchesterze, Beverly, daleko na północy w Newburyport i daleko na południu w Lynn.

Niektóre wpisy wyróżniały się dostatecznie, by uzasadniać skopiowanie ich w całości. Connie przeczytała je raz jeszcze.

31 paźdz. 1741. Robi się coraz zimniej. Zmarł stary Pet. Petford. Niech mu Bóg wybaczy.

Connie nie była całkiem pewna, jakie znaczenie ma ta uwaga, ale Prudence tak rzadko zamieszczała komentarze dotyczące kogokolwiek oprócz jej pacjentek i rodziny, że wzmianka o Peterze Petfordzie, kimkolwiek był, wyraźnie rzucała

się w oczy. Connie zaznaczyła jego nazwisko w notatniku dużą gwiazdką jako przypomnienie, żeby poszukać go również gdzie indziej.

6 list. 1747. Śnieg. Bóle prawie całą, noc. Urodziła, się zdrowa, dziewczynka.. Patience. Siedziałam, w domu.

Connie uśmiechnęła się. Wpatrywała się w ten wpis pięć minut, zanim zrozumiała, że dotyczy dnia urodzin córki Prudence, która zresztą otrzymała nie mniej napuszone imię.

17 lip. 1747. Deszcz i wiatr. Endywie uratowane. Jeded. Lampson zaginął na morzu.

Connie nie była tego pewna, ale miała silne przekonanie, że wspomniano tutaj śmierć ojca Prudence. Odchyliła się na oparcie krzesła i zadumała. Co za powściągliwość, napisać tak beznamietną notatkę o zaginionym rodzicu! Connie nie potrafiła sobie wyobrazić, że równie chłodno zareagowałyby na wiadomość o zaginięciu Leo, gdyby wówczas była świadoma tego faktu. Również Grace, chociaż rzadko wspominała swego ojca Lemuela Goodwina, zawsze robiła to z czułością i żalem. Jak zareagowała Mercy, gdy zginął Jedediah Lamson? O tym dziennik milczał. Co zrobiła babcia po śmierci Lemuela? Żaden ze znanych Connie historyków nigdy nie próbował opisać myśli tych kobiet, które przeżyły swoich mężczyzn.

Zmarszczyła czoło. Oczywiście mężczyźni, na których się natknęła w badaniach nad rodziną Deliverance, zmarli nie tylko wcześniej niż ich żony, lecz również śmiercią tragiczną. Spotkały ich nagle, fatalne w skutkach zdarzenia. Podejrzewała, że gdyby kiedykolwiek znalazła więcej informacji o Nathanielu Dane, który zszedł z tego świata przed Deliverance, również pasowałyby one do tego wzorca. Życie w dawnych czasach było doprawdy pełne niebezpieczeństw.

Poza tym jednym wyjątkiem imię męża Mercy Lamson nie było wspomniane w dzienniku, ale Connie nie widziała powodu, by Prudence uznała je za ważne. Jej podejrzliwość wzbudził natomiast wpis z następnego miesiąca:

20 sierp. Słońce, dość upalnie. Przyjeżdża, matka.. Pracowałam w ogrodzie.

Prudence nie wspomniała wcześniej o matce, ale począwszy od tego dnia Mercy pojawiała się regularnie, opisywana takim samym językiem, jaki Prudence stosowała wobec innych mieszkańców domu. Mercy chodziła do kościoła, często biorąc ze sobą małą Patience (zwaną w dzienniku Patty), albo pracowała w ogrodzie, a niekiedy jeździła razem z Prudence odwiedzić jakąś przyszłą matkę. Wydawało się, że żyją w zgodzie, chociaż nie było żadnej wzmianki o udziale Mercy w domowych wydatkach. Wyglądało to tak, jakby Prudence wzięła ją do siebie bardziej z litości niż z wyboru.

Dlaczego Prudence ani razu nie odwiedziła matki w ciągu czterech lat poprzedzających połączenie gospodarstw domowych, Connie nie potrafiła odgadnąć. Czyżby nie umiały się porozumieć? Oczywiście, że matka i córka o silnych osobowościach mogą patrzeć na świat z bardzo odmiennych punktów widzenia. Zmarszczyła nos, świadoma, że echo tej prawdy pobrzmiwa również w jej relacji z Grace. I to samo dotyczyło relacji Grace z Sophią. Hipoteza o niełatwych stosunkach między matką a córką zyskała śladowe potwierdzenie we wpisie dokonany kilka lat później.

3 grud. 1760. Bardzo zimno. Patty chora.. Matka, szuka, swojego almanachu. Bardzo zła, gdy dyszy, że wyniesiony do Bib. Pub. Przykłada swój katalazm. Patty lepiej.

Connie zerknęła na ten dzień niezdecydowana. Wpisy były tak krótkie i zwięzłe, że czytanie z określoną intonacją lub nadawanie znaczenia wybranym słowom pachniało nadinterpretacją. A jednak odniosła wrażenie, że ten wpis ma znaczenie. Niemal jakby biła z niego złość. Podparła czoło dłońmi i nie spuszczać wzroku z tekstu, zaczęła bębnić po głowie opuszkami palców.

Potem, w 1763 roku, natknęła się na wydarzenie, o którym dowiedziała się wcześniej z rejestru kościelnego i wizyty w wydziale testamentów. Dyskretnie zerknęła przez ramię na młodego bibliotekarza i stwierdziła, że jest zajęty przekładaniem książek na półkach, więc wsunęła ręce pod stół i pociągnęła za palce rękawiczki. Uwolniła lewą rękę z ciepłej, bawełnianej otuliny, a następnie wolno przesunęła dłonią po blacie, aż w końcu poczuła, że muska odręczne pismo na stronie. Po tej samej kartce wędrowała ręka Prudence, zostawiając za sobą na papierze litery. W atramencie zastygły nawet drobiny skóry, zapewne wtedy, gdy kobieta ssała czubek pióra lub wycierała niepotrzebne słowo. Connie starała się wejść do świata Prudence i Mercy, usiłowała zmusić zmysły, by pozwoliły jej zobaczyć przeniesioną w niebyt jaźń Prudence. Jej palce zatrzymały się na wąskim bloku wpisów przy końcu strony, gdzie litery niemal włożyły jedna na drugą, niczym mrówki atakujące chrząszcza.

17 lut. 1763. Śnieg z deszczem. Potem deszcz. Matka, chora.. Patty się nią zajmuje. Siedzimy w domu.

18 lut. 1763. Dalej deszcz. Wezwanie do żony Lawr. Slattery'ego. Jedzie Patty. Siedzimy w domu.

19 lut. 1763. Mokro i zimniej. Matka, dalej chora.. Josiah do miasta .po doktora. Matka bardzo zła.. Patty u Slattery'ch.

20 lut. 1763. Dalej zimno. Matka śpi, chociaż, niespokojnie. Pyta. o Patty. Pyta o almanach. Josiah w Salem. Patty u Slattery'ch. 21 lut. 1763. Zimno.

*Siedziałam w domu. Patty wraca. Pani Slattery szczęśliwie urodziła.. Otrzyma-
ne 6 sz. 3 p.*

*22 lut. 1763. Za zimno, żeby padał śnieg. Siedziałam w domu. Z matką
bardzo źle. Przychodzi wielebny Bates.*

*23 lut. 1763. Zimno. Josiah wraca z doktorem Hastingsem. Matka nie
chce doktora. Woła mnie. Bardzo niespokojna.*

24 lut. 1763. Za zimno na pisanie. Matka, umiera.

Uniosła głowę i rozejrzała się po sklepionym pomieszczeniu czytelni. Wróciła myślami do spisu inwentarza Deliverance, przez pryzmat którego mogła obejrzeć minioną epokę i zajrzeć do izby mieszkalnej kobiety żyjącej w odległej przeszłości. Oto trzymała w rękach niemal codzienne zapiski z życia innej kobiety, a tymczasem czuła się tak, jakby wiedziała coraz mniej. Miała wrażenie, że pogrąża się we wsysającej próżni niedopowiedzeń, a wszystko przez chłodny praktycyzm Prudence, jej uporczywą niechęć do ujawniania uczuć - co z tego, że źle widzianych w tej kulturze? Najchętniej cisnęłaby ten dziennik w drugi koniec sali, zgmiotła w dłoniach jego kruche kartki i podarła je na strzępy, wyrwała Prudence z jej chłodnej rezerwy. Ale Prudence pozostawała niedostępna, izolowana ścianą dwóch stuleci.

Kropla, która spadła nie wiadomo skąd, rozmazała szkic dmuchawca na marginesie jej notatek. Connie otarła ręką oczy i odsunęła od siebie manuskrypt.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Marblehead, Massachusetts

4 lipca 1991 roku



Szczerze mówiąc, jestem nieco zaskoczona, że do ciebie zatelefonował - powiedziała Grace. Jej głos brzmiał łagodnie, ale dobór słów świadczył o niepokoju.

- Po prostu był autentycznie zainteresowany, czego się dowiedziałam z dziennika Prudence - zapewniła ją Connie. - Wiedział, że wczoraj byłam umówiona w Athenaeum. I że koniecznie muszę natrafić na jakiś ślad księgi, bo bez tego nie mogę zrobić kroku.

- Jak zareagował, kiedy mu powiedziałaś? - spytała Grace ostrożnie, jak zawsze kiedy szydełkowała. Connie zastanawiała się nawet, co powstaje w zręcznych dłoniach matki podczas tej rozmowy. Wyobraziła ją sobie siedzącą w salonie ze słuchawką wetkniętą między ramię a policzek i z kolanami zakrytymi dziełem we wszystkich kolorach tęczy, z włóczki kłębiącej się u stóp.

Przesunęła czubkiem palca po oplecionej pajęczynami powierzchni lustra w sieni i westchnęła.

- Szczerze mówiąc, wydawał się mocno wzburzony.

W gruncie rzeczy „wściekły” byłoby chyba właściwszym słowem niż „wzburzony”. Manning Chilton zatelefonował do niej tego ranka, gdy popijała kawę, siedząc nad najnowszym wydaniem „Local Gazette and Mail” (nagłówki z

pierwszej strony: „Sztuczne ognie zaplanowane na dziewiątą wieczorem”, „Regaty modeli żaglówek chlubią się rekordową liczbą uczestników” i „Odwołane spotkanie Klubu Rotariańskiego”). Kiedy powiedziała mu, że nie znalazła żadnej bezpośredniej wzmianki o rejestrze przepisów w dzienniku Prudence i nie dowiedziała się niczego nowego oprócz tego, że Prudence była dość ponurą osobą, zarabiającą na życie jako akuszerka, zażądał od niej wyraźnego określenia następnego kroku. I tak już zmieszana tym, że promotor dzwoni do niej do domu, i to w czasie wakacji, nie była przygotowana na to pytanie.

- Jak wzburzony?

- Pewnie po prostu jest podekscytowany - odparła wymijająco. - To bardzo intrygujące źródło, a on chce, żebym dobrze wypadła...

W ten sposób nieco bardziej elegancko wyraziła treść, którą Chilton zawarł w słowach: „Co pani, na miłość boską, wyrabia, tracąc swój i mój czas w taki sposób?” i „Szczерze mówiąc, oczekiwałem po pani więcej”. Wspominając teraz tę rozmowę, aż się wzdrygnęła.

- Pytałam, w jaki sposób był wzburzony, Connie - nie ustępowała Grace.

Connie znowu westchnęła, przeklinając w duchu swoje tęsknoty za tym, aby matka wyraziła zainteresowanie jej pracą.

- No, w pewnym sensie... skrzyczał mnie - przyznała i dodała szybko: - Ale w sumie to nie było nic wielkiego.

- Och, Connie! - zawołała w tej samej chwili Grace i słysząc było, że z irytacją cisnęła szydełko.

- To naprawdę nic takiego, mamó - zapewniła.

„Lepiej niech pani porządnie skoncentruje się na znalezieniu tej książki - przestrzegł ją Chilton. - Inaczej poważnie zważę w pani oddanie studiom historycznym i nie będę w stanie zagwarantować pani stypendium w nadchodzącym roku”. Na myśl o tym dostawała skurczów żołądka, chociaż powtarzała sobie, że chodziło tylko o wzmocnienie jej motywacji, nawiasem mówiąc, dość brutalną

techniką. Grace głośno wypuściła powietrze przez nos, a jej gorący oddech dotarł po linii telefonicznej do ucha Connie.

- On po prostu chce, żebym znalazła tę księgę. Ale ja nie widzę sposobu, żeby się dowiedzieć, co z nią zrobiła Prudence Bartlett, i stąd jego rozczarowanie. Po prostu powinnam była lepiej się przygotować.

Przeszła do jadalni, ciągnąc za sobą przewód telefoniczny, póki nie skończył się, gdy była o krok od półki z naczyniami. Dużą część poprzedniego tygodnia spędziła na zmywaniu brudu z zastawy, sztuka po sztuce, i teraz wszystko lśniło w mrocznym kącie pokoju. Zdjęła z półki kubek i obejrzała go z uwagą, a stwierdziwszy, że jest brytyjski, ma nieznaczne pęknięcie i pochodzi z dziewiętnastego wieku, odstawiła go na miejsce.

- Ma jednak trochę racji - ciągnęła. - Zupełnie nie wiem, co robić dalej. Nie ma śladów postępowania spadkowego po Prudence, a ona nie wspomniała księgi w dzienniku. Jeśli nie uda mi się odgadnąć, co stało się z księgą, będę musiała ponownie przemyśleć cały plan badań.

- Hmmm - mruknęła Grace z ledwo zauważalną nutą dezaprobaty. - Dlaczego, twoim zdaniem, on tak się angażuje?

- Wszyscy opiekunowie są zaangażowani w sukcesy swoich studentów - powiedziała Connie, świadoma, że jej słowa nie zabrzmiały przekonująco. Jakby wzięła je z folderu.

- Widocznie od czasu, gdy ja studiowałam, musiało się coś zmienić w college'ach. - Grace westchnęła, gdy Connie poprawiła ją słowami „na studiach doktoranckich”, i przyznała: - Oczywiście, kochanie, na studiach doktoranckich. Czy to naprawdę takie ważne?

Connie głośno nabrała powietrza.

- Wiem, wiem - powiedziała Grace, zanim dostało się jej więcej.

Teraz to Connie w duchu westchnęła i postanowiła zmienić taktykę.

- Przygotowujesz coś na Dzień Niepodległości? - spytała, skubiąc jedną z martwych roślin wiszących w oknie. Jej matka roześmiała się dźwięcznie.

- Nie hot dogi i nie sztuczne ognie, jeśli o to pytasz. Wspólnota organizuje sprzedaż ciast i zabawę, żeby zebrać pieniądze. Wszelkie zyski dostanie nasza komisja do spraw warstwy ozonowej. A ja będę czytać aury. - Connie nie powiedziała ani słowa, choć w myślach zapytała Grace o kolor swojej aury w tej chwili.

- Wiesz, pewnie mogłoby ci pomóc, gdybyś zaczęła myśleć o tej księdze w inny sposób - dodała matka, wypełniając nagłą ciszę po drugiej stronie.

- He? - bąknęła Connie.

- Może ta kobieta... Prudence... nie traktowała księgi jak zwykłego zbioru przepisów. Może opisała ją w inny sposób. Bądź co bądź, żyła sto lat po swojej babce. Czasem ludzie patrzą na różne sprawy inaczej niż ich matki. - Connie usłyszała uśmiech w jej głosie i sama mimo woli też uśmiechnęła się szeroko. - A jak ty obchodzisz święto?

- Liz przyjeżdża na weekend. Przygotujemy jakąś kolację i pooglądamy sztuczne ognie z Sa... z tym chłopakiem, o którym wiesz. Pójdę na plażę. Będę unikać telefonów promotora. No, tak normalnie. - Obróciła poczerniały słoiczek, stojący na jednym z kufrów w jadalni, wyciskając ciemny okrąg w przykrywającej go warstwie kurzu.

- No, wreszcie pojawia się ten chłopak - powiedziała Grace.

- Jego imienia jeszcze nie mogę poznać?

Czekała, a w tym czasie Connie uśmiechała się do swojego milczenia.

- Mniejsza o to. W każdym razie zabawa zapowiada się dobrze

- oświadczyła pogodnie matka. - Muszę już iść. - Zamilkła na chwilę. - Aha, Connie - dodała, starannie dobierając słowa. - Nie wiem, co ci powiedzieć na temat tej sytuacji z Chiltonem.

- Co masz na myśli? Wszyscy opiekunowie wtrącają się do prac swoich studentów. Ja też w zeszłym semestrze doprowadzałam Thomasa do szału. Zupełnie tak samo - powiedziała Connie, wzruszając ramionami.

- Niczego nie miałam na myśli. Po prostu staraj się mieć oczy otwarte, to wszystko.

Connie oplotła palce kablem telefonicznym i obiecała:

- Dobrze, mam. Nie martw się. - Kiedy się rozłączała, odniosła wrażenie, że Grace mówi: „Niebieski”.

Connie siedziała z podwiniętą nogą przy babcinym biurku chippendale i jeszcze raz kartkowała swoje notatki z dziennika Prudence. Przeczytała cały dokument i nie znalazła ani jednej wzmianki o Deliverance Dane. Nie dostrzegła też żadnej wskazówki na temat losów księgi. Jej frustracja związana z Prudence pogłębiała się. Dzień w dzień praca w ogrodzie, gotowanie i odbieranie dzieci. Oczywiście skoro samo czytanie o tym było irytujące, to życie w taki sposób musiało irytować o wiele bardziej. Stwierdzenie tego nie zmniejszyło bynajmniej rozdrażnienia Connie. Prudence była stateczną, praktyczną, wręcz surową kobietą, która w pełni zasługiwała na swoje imię.

Podczas gdy Connie pracowała, Ario leżał wyciągnięty w sieni, z nosem przysuniętym do szpary pod drzwiami wejściowymi; jego futro złało się kolorystycznie z deskami sosnowego parkietu. Wkrótce zaczął wymachiwać ogonem i rozległo się pełne podniecenia szczekanie. Postawił uszy w szpic.

Przewróciła kolejną stronę w notatkach, machinalnie przygryzając policzek od wewnątrz.

- Ahoj, kapitanie! - rozległ się nagle kobiecy głos przy drzwiach wejściowych.

Wyrwana z zadumy obróciła się i zobaczyła rozradowanego Ario na rękach Liz Dowers.

- Liz! - wykrzyknęła, zrywając się od biurka. - Nawet nie słyszałam, jak podjeżdżasz! Cześć!

- Dzisiaj jest święto, gdybyś zapomniała - upomniała ją przyjaciółka i objęła wolną ręką. - Nie powinnaś pracować.

- Powiedz to Chiltonowi - burknęła Connie. - Nawet dzisiaj rano zadzwonił, specjalnie po to, żeby wyrazić totalne rozczarowanie moją osobą i tym, że marnuję jego czas.

- Profesor Chilton to kawał drania - oznajmiła Liz uroczyście. Connie otworzyła usta, ale przyjaciółka uniosła rękę, by pohamować jej sprzeciw.

- Przykro mi, ale to prawda. Zmusza cię do zbyt ciężkiej pracy. Obserwuję to od lat. A teraz chodź. W samochodzie jest mnóstwo jedzenia.

- Mam nadzieję, że nie w nadmiarze. - Uśmiechnęła się do przyjaciółki. - Pamiętasz chyba, że tu nie ma lodówki?

- Właśnie dlatego przywiozłam również lód - oznajmiła Liz.

- No, to uaktualnij moją wiedzę - zażądała Liz, kładąc widelce wzdłuż serwetek na stole w jadalni. - Jak się mają sprawy?

- Nie bardzo wiem, od czego zacząć! - zawołała Connie z kuchni. - Chcesz posłuchać historii o nieistniejącej księdze i takim samym temacie pracy oraz wkurzonym promotorze na dokładkę? Czy może wolisz parę szczegółów o chłopaku, żebyś mogła ostro go wymaglować, kiedy przyjdzie?

- Chcę i jedno, i drugie, ale w gruncie rzeczy pytałam o sprzedaż domu.

Connie pojawiła się w rękawicach kuchennych, niosąc dymiący durszlak, z którego wysypała makaron do miski na stole.

- Ach, o to chodzi.

- Nic w tej sprawie nie zrobiłaś, prawda? - Liz skrzyżowała ręce.

- Nieprawda - odparła Connie, ściągając rękawice. - Założyłam tu telefon.

Liz pochyliła się, by wyregulować knot lampki naftowej, której wysoki pomarańczowy płomień zamieniał jej pociągłą twarz w płaskorzeźbę, póki po przykręceniu nie nabrał cieplejszego odcienia. Na zewnątrz niebo dopiero szarzało od zmierzchu, ale wewnątrz domu spowijał już mrok.

- Jeśli mam sobie poszukać nowej współlokatorki na jesień, to mi powiedz - oświadczyła poważnie.

- Liz, no co ty! - wykrzyknęła Connie. - Jest dopiero lipiec.

- Wiem, mówię tak na wszelki wypadek - mruknęła, odwracając wzrok.

- Nie wygłupiaj się. Zresztą nie znalazłam spisu inwentarza Prudence Bartlett i nie wiem, co się stało z księgą, więc zamiast się rozpraszać jałowymi badaniami, wreszcie będę mogła poświęcić czas na czyszczenie, naprawy i sprzedaż domu, potem rzucę studia doktoranckie i wstąpię do Legii Cudzoziemskiej...

- A ten facet? - spytała Liz, ignorując sarkazm przyjaciółki. Connie przygryzła wargę, a po chwili się rozpromieniła.

- Mówi, że będą sztuczne ognie na grobli. Wpadnie tu później, obiecał zaprowadzić nas w jakieś znane mu miejsce.

- „Jakieś znane mu miejsce”? - powtórzyła Liz, kreśląc w powietrzu cudzy-słów, na co Connie ze śmiechem cisnęła w nią kuchenną rękawicą.

Obie przysiadły u końca długiego stołu w jadalni, w małym kręgu światła rzucanego przez lampę naftową i nakręcały makaron na widelce. Liz raczyła Connie anegdotami o uczniach letnich kursów łaciny („Jeden z nich miał olbrzymi telefon komórkowy, który trzymał na biurku! Kto w szkole średniej ma telefon komórkowy? Myślałam, że to tylko bajer dla bankierów.”), przeplatając je opowieściami o swoim letnim leniuchowaniu w Cambridge.

Podczas tej ożywionej relacji Connie przyglądała się przyjaciółce, uradowana, że słyszy w tych czterech ścianach inny głos niż swój. Kiedy wychodziła do miasta, żeby kupić jedzenie, odwiedzić archiwum albo napić się kawy, korzystała z okazji, by gdzieś zamienić po kilka zdań i przed powrotem do babcinej

pustelni rozproszyć wrażenie samotności kontaktem z innymi ludźmi. W domu zdarzało jej się, że spoglądała nagle w dół i odkrywała na kolanach Ario, a wyraz jego brązowych oczu przypominał jej, że nie odzywała się do nikogo od kilkunastu godzin.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i Liz przerwała historię o wyjątkowo nieudanej randce z ubiegłego tygodnia, by z ożywieniem spojrzeć na przyjaciółkę i szepnąć:

- Nie otworzysz?

Connie uśmiechnęła się szeroko i cisnęła serwetkę na stół.

- Już idę! - zawołała.

W progu, na tle mrocznego skupiska cieni i pnączy na podwórzu, stał Sam; w jednej ręce trzymał sześciopak piwa, a w drugiej solidną latarkę.

- Dobry wieczór, proszę pani - powiedział z udaną powagą i wykonał sztywny półukłon, podświetlając latarką podbródek. - Jestem do usług.

Connie zauważyła, że Sam ma na sobie bawełnianą koszulkę z napisem „Anarchy in the UK”, zapewne z okazji Święta Niepodległości, i wbrew sobie zachichotała.

- Samie Hartley, poznaj, proszę, Liz Dowers - oznajmiła, wskazując postać w jadalni. - Liz, to jest Sam Hartley.

- Bardzo mi miło - odparł Sam i wykonał taki gest, jakby uchylał trójgraniastego kapelusza.

Liz pojawiła się za Connie z kocem udrapowanym na ramieniu.

- Pan Hartley, jak miernam - powiedziała z nieznacznym dygnięciem, a jednocześnie wyciągnęła w bok rękę z kocem, jakby rozpościerała ciężki brokatowy tren.

- Czy nie powinniśmy już iść? - spytała Connie. - Sztuczne ognie mają być o dziewiątej, prawda?

Zauważyła, że gdy Sam zajął się na chwilę latarką, Liz zmierzyła go wzrokiem i bezgłośnie powiedziała do niej: „fajny”, ale kiedy znowu na nią spojrzął, przybrała natychmiast minę niewiniątka.

Wkrótce trzy postacie oddalały się od domu, a w listowiu za rastającym okno saloniku widać było w mroku błyszczące oczy Ario.

Ostatnie iskrzące się nitki opadły w wody basenu portowego w Marblehead, co na części cumujących tam jachtów skwitowano głośnymi dźwiękami syren, których wycie mieszało się z echem ostatnich eksplozji i zbiorowym westchnieniem mieszkańców miasta, zgromadzonych na kocach w parkach i na dachach domów. Potem wokół portu wystrzeliły czerwone race, powiększając chmurę dymu snującą się nad groblą. Connie zewsząd słyszała dolatujące z parku strzały i świsty i pierwszy raz poczuła szczerą sympatię do społeczności, w której przywykła zajmować miejsce na peryferiach. Dobrze się czuła, siedząc anonimowo w mroku i będąc po prostu jedną z par oczu wpatrzonych z zachwytem w iluminację nad głowami. Westchnęła z zadowoleniem i uśmiechnęła się do swoich towarzyszy, którzy podobnie jak ona w półleżących pozach wyciągali szyje ku niebu.

- Wspaniale - szepnęła Liz i Connie usłyszała cichy trzask: to przyjaciółka oderwała kciukiem uchwyt od pustej puszki po piwie.

Stopniowo dym się przeredził, rozproszył, i znów widać było czyste, rozgwieżdzone niebo. Dookoła rodziny składały koce i szukały dzieci, rozpoczął się powolny odwrót do domów. Ich trójka wciąż siedziała bez słowa, delektując się ciszą.

Connie przekręciła się na plecy, ziewnęła i wyciągnawszy ramiona za głowę, oparła stopy na wilgotnej trawie otaczającej koc.

Właśnie w tej chwili pojawił się nad jej głową meteor, mała ognista kula, rozbłyskująca gdzieś w atmosferze. Uśmiechnęła się i egoistycznie postanowiła

zachować to wrażenie dla siebie. Zdawało jej się nawet, że zauważyła błysk niebieskiego światła na horyzoncie w miejscu, gdzie meteoryt znikł.

- Już późno - powiedziała w końcu. - Powinniśmy wracać.

- Co robicie jutro, dziewczyny? - dobiegł z ciemności głos Sama.

Park już opustoszał, słychać było tylko fale rozbijające się o skalną ścianę portu, stanowiącą jego granicę.

- Idziemy na plażę, Connie? - spytała sennym głosem Liz.

- Na plażę - potwierdziła Connie, siadając niezdarnie. - Rusz się, Liz - zakomenderowała, szarpiąc przyjaciółkę za nogę. - Sam musi wrócić do domu.

Liz wydała jęk protestu, ale wstała, więc złożyli koc i krętymi zaułkami ruszyli w kierunku na Milk Street.

Otoczający ich mrok rozstępował się przed bijącym z latarki Sama snopem światła, w którym widać było każdy kamyczek i liść leżący na drodze.

- Tak czy owak Grace uważa, że trzymam się utartych schematów myślenia - mówiła właśnie Connie. - Dlatego postanowiłam jeszcze raz przejrzeć notatki. Zwróciła mi uwagę, że Prudence mogła używać zupełnie innej nazwy...

- Connie - wtrąciła Liz autorytatywnym tonem. - To wszystko jest pasjonujące, ale jutro robisz sobie wolny dzień. Idziemy na plażę, będziemy wylegiwać się w słońcu, pływać, a wieczór spędzimy w najbliższej speluncie, jaką zdołamy znaleźć. Popierasz mnie, Sam?

Roześmiał się i przesunął snopem światła po czubkach ich stóp, a potem znów oświetlił drogę. - Jasne, jasne.

- Wiedziałam, że go lubię - powiedziała Liz.

Snop światła zawadził o pierwsze krzaki gęsto obrastające babciny dom i wnet prześlizgnął się na furtkę. Gdy Connie otworzyła zasuwkę, przez wąski otwór wsunęli się do ogrodu. Trzeba było uważać na kępki trawy, zdradliwie wystające spomiędzy kamieni na ścieżce.

- Zaslugujesz na wolny dzien... - zaczal Sam. W tym momencie swiatlo latarki padlo na drzwi wejsciowe i wszyscy troje oslupieli. Liz krzyknela.

- O Boze! - steknela Connie, z trwoga wpatrujac sie w drzwi.

Roztrzesiona Connie otulila sie swetrem po szyje, a Liz kucnela obok niej przed wejsciem i obie gapily sie na Sama, który konferowal cicho z dwoma roslymi mezczyznami. Dynamike ich gestykulujacych rak podkreslaly blyskajace czerwono-niebieskie swiatla samochodu policyjnego zaparkowanego na ulicy, ktorych blask przenikal przez sciane pnaczy i rozlewal sie na nieruchomej, milczacej scianie domu.

- Jestem pewna, ze to wyjaśnia - powiedziala cicho Liz, ale Connie doskonale wiedziala, ze przyjaciolka chce tylko dodac jej otuchy.

- Wiem. - Objela Liz i ucisnela. W tej samej chwili jej serce zabilo gwałtowniej, zobaczyła bowiem, ze Sam wskazuje na nia, a dwaj rośli mezczyzni szybko ruszaja w jej strone.

- Pani jest Connie Goodwin? - spytal jeden z nich. Drugi ostroznie skrecil na podwórko i oswietlajac latarka front domu, rozpoczel dokladne oględziny. Posterunkowy, który stanal nad Connie, mial glowe ostrzyzona na zapalkę, a jego siny nos przywodził na mysl pijaka. W blasku obracajacego sie swiatla policyjnego koguta jego twarz miala diaboliczny wyraz, prawdopodobnie nieuzasadniony. Connie wstala, a za nia Liz.

- Tak - potwierdzila.

- To pani dom?

- Tak. Wlasciwie niezupełnie. Nalezal do mojej babci, Sophii Goodwin. Babcia juz nie zyje. - Connie skrzyzowala rece, odwracajac wzrok od wejscia.

- Trudno go znalezc. Nawet posterunkowy Litchman i ja mieliśmy klopoty, chociaz mieszkamy w Marblehead - powiedzial, otwierajac notatnik na nowej stronie.

- Nie ma śladu włamania, Len! - zawołał ten drugi, zapewne posterunkowy Litchman, spod okna jadalni. Teraz zaglądał do środka, kierując światło latarki prosto w szybę.

- W porządku - powiedział ten z notatnikiem i coś zapisał. Potem zwrócił się znów do Connie: - Czy ktoś wiedział, że pani tu mieszka?

- Nie sędzę - odparła, marszcząc czoło. - Tylko moja matka, która prosiła mnie, żebym przyjechała tu na lato. Oczywiście przyjaciele. I chyba mój promotor.

- Promotor? - zdziwił się policjant.

- Jestem na studiach doktoranckich. Promotor to profesor, u którego piszę pracę.

- Rozumiem - powiedział i znów zapisał parę słów.

Zza ich pleców rozległo się nagle zajadłe szczekanie i krzyk posterunkowego Litchmana:

- Jezu Chryste!

Latarka gwałtownie zabłysła i upadła na ziemię.

- Ma pani psa? - spytał pierwszy z policjantów, zapewne imieniem Len.

- Tak, Ario. Jest w środku. Bardzo przepraszam! - zawołała do posterunkowego Litchmana, który klnąc pod nosem, rozpoczął poszukiwania latarki w bujnych chwastach.

- Dziwne, że pies nie wystraszył sprawców - zauważył policjant, pracowicie uzupełniając notatki.

- Tak - przyznała zaniepokojona Connie.

Tymczasem podszedł Sam i opiekuńczym ruchem objął ją w tali.

- Panie posterunkowy... Cardullo. - Liz zaczerpnęła wiedzę z plakietki na mundurze policjanta. - Czy ma pan jakiś pomysł, kto mógł to zrobić? Dlaczego ktoś miałby chcieć nastraszyć Connie? Ona tutaj nawet nikogo nie zna! - Głos

Liz uciekł w niebezpiecznie wysokie rejestry, więc Connie położyła jej rękę na ramieniu.

Wszyscy zwrócili się ku drzwiom frontowym i przez chwilę przyglądali im się z uwagą.

Pojawił się na nich świeżo wypalony w drewnie okrąg o średnicy mniej więcej dwóch stóp. Wewnątrz znajdował się mniejszy okrąg, niczym tarcza strzelecka przecięty prostopadłymi liniami. Górną połowę symbolu zajmowało słowo *Alpha* wypisane nierównym, archaicznym krojem, a powyżej niego widniały dwa równoramienne krzyże. W lewym górnym polu, na zewnętrznym obwodzie wypisano słowo *Meus* z przekreślonymi podwójnymi krzyżami na obu końcach. Tak samo usytuowane po prawej stronie było słowo *Adjutor*, również ograniczone przekreślonymi podwójnymi krzyżami. Podobnie w dolnej połowie znaku umieszczono słowa *Omega* pośrodku i na obwodzie *Agla* na lewym polu oraz *Dominus* na prawym, każde z parą przekreślonych podwójnych krzyży.

- Trudno powiedzieć - odparł posterunkowy Cardullo, kładąc dłoń na ciężkim od wyposażenia pasie. - Czasem przyjeżdżają tu różni dziwni ludzie z Salem, goci i inni tacy. Zdarza im się mazać podobne rysunki sprayem po ścianach. Pentagramy i co tam jeszcze. Ale zwykle nie tak złożone.

- Może sądzili, że dom jest opuszczony, skoro taki tu gąszcz i nie ma światła - podsunął posterunkowy Litchman, który tymczasem do nich dołączył. - Chyba wystraszył ich pani pies, bo inaczej wleźliby do środka. To pewnie jakieś dzieciaki szukające guza. Czy czegoś w domu brakuje?

- Niczego - odrzekła Connie, wsuwając palec do ust i machinalnie obgryzając paznokieć. - I tak nie ma tam nic, co warto by ukraść.

- Domyśla się pani, co znaczą te słowa? - zainteresował się Cardullo, zerkając na nią.

- Nie - szepnęła. Symbol tkwił niewzruszenie na drzwiach, a w wieczornym powietrzu wciąż unosił się ostry zapach palonego drewna. Dym wydawał

się całkiem świeży, jakby pracę zakończono tuż przed ich powrotem z parku. Przed drzwiami leżały niewielkie kupki popiołu. Z kącika oka Connie spłynęła gorąca łza i potoczyła się po policzku.

- Alfa i omega to pierwsza i ostatnia litera greckiego alfabetu - włączył się Sam. Connie poczuła, że jego uścisk staje się mocniejszy.

- *Dominus adjutor meus* to tekst łaciński - dodała drżącym głosem Liz. Wzięła latarkę od Sama i skierowała ją prosto na wypalony symbol. - Oczywiście zamiast „j” w słowie *adjutor* powinno być jeśli mowa o historycznej pisowni. W tłumaczeniu znaczy to z grubsza „Bóg moim wspomozycielem”, a może „Pan moim namiestnikiem”. „Wspomozyciel” wydaje się bardziej prawdopodobny. *Agla* nic mi nie mówi. *Aglaia* to imię jednej z Gracji, ale nie sądzę, żeby piszący właśnie to miał na myśli.

- Eee, nieźle - pochwalił ją posterunkowy Litchman, trącając łokciem posterunkowego Cardullo. - Byłem ministrantem, ale nie potrafiłbym tego tak wyjaśnić.

- Ale kto to zrobił? - spytał Sam.

Wszyscy troje spojrzeli na policjantów, którzy szybko wymienili między sobą spojrzenia.

- Proszę posłuchać - odezwał się Cardullo po chwili kłopotliwego milczenia, schowawszy notatnik do kieszeni. - Spisaliśmy pani zeznania. Postaramy się, żeby w przyszłym tygodniu patrole jeździły tędy częściej, ale wygląda to jak zwykły przypadek wandalizmu w ogrodzie. Rozwydrzone dzieciaki i tyle.

- Wandalizm w ogrodzie? - powtórzył Sam z niedowierzaniem. - Pan chyba żartuje! Nie sądzi pan, że zwykli wandale użyliby sprayu? Albo markerów?

Connie pochwyciła jego spojrzenie, by ledwo dostrzegalnie pokręcić głową. Prowokowanie sprzeczki na pewno nie mogło skłonić policjantów do poważniejszego zajęcia się sprawą.

- Przepraszam, ludzie, ale nie wiem, co wam powiedzieć. Ten dom stoi na uboczu, nie ma świateł. Poszliście oglądać sztuczne ognie, więc było mnóstwo hałasu, a tu nikt nie pilnował. Mnie to naprawdę wygląda na znudzone dzieciaki i niefart - powiedział Cardullo, a Litchman mu przytaknął. - Oto moja wizytówka. W razie kłopotów proszę do nas dzwonić, dobrze?

- Oczywiście, dziękujemy. - Connie wzięła od niego bilecik i policjanci znikli w mroku.

- Przydałaby wam się tu elektryczność! - zawołał jeszcze jeden z nich i Connie uśmiechnęła się z trudem. Obracające się czerwono-niebieskie światła zgasły, ich miejsce zajmowały jeszcze przez chwilę dwa czerwone punkty tylnych świateł samochodu.

Connie stała jak skamieniała, a przenikliwy wiatr wpadał jej pod nogi i rozwiewał spod drzwi drobne kupki popiołu.

Interludium

Marblehead, Massachusetts

koniec kwietnia 1760 roku



Z tawerny dobiegł głośny łoskot przyjęty śmiechem i wiwatami. Ponad rejwach wybijał się grzmiący głos Josepha Hubbarda, wydający niezrozumiałe rozkazy, a pohukiwania i okrzyki coraz bardziej zbliżały się do wyjścia, aż w końcu drzwi z trzaskiem otworzyły się na oścież, wypływając człowieka ubranego w przetarty płaszcz, o wiele na niego za duży.

-Ja chciałem zapłacić - wybełkotał młodzieniec z nalaną twarzą i przekrwionymi oczami, opadając na czworaki.

Prudence Bartlett spojrzała na niego surowo; chłód w jej oczach zamienił się w lodowate zimno, gdy pochyliła się, by ująć pijanego pod ramię. Nie bez trudu pomogła mu wstać, a potem uchwyciła go silnymi, żylastymi rękami za ramiona i podtrzymała w pionie, póki nie stanął pewnie na nogach. To był zwykły złotodziób, niewiele starszy od jej Patty. We włosach miał piach, brudne strąki uciekały mu z końskiego ogona i sterczały na wszystkie strony. Górną wargę zdobił widoczny puszek i nic więcej. Prudence westchnęła.

-Musi, że chciałem - powtórzył chłopak, wydechając chmurkę o ostrej woni rumu z Barbadosu.

Prudence wstrzymała oddech.

- Występek tobą rządzi - oświadczyła po chwili. Chłopakowi poczerwieniał nos, a twarz zaczęła mu się krzywić od wzbierającego płaczu.

Położyła mu dłonie na rozpalonych policzkach i spojrzała skupionym wzrokiem prosto w twarz. Jej oczy rozjarzyły się białym żarem, gdy wysyłała nakazy do swych dłoni. Wkrótce poczuła, że ciało chłopaka chłonie jej wolę, która przenika do jego zatrutego krwiobiegu. Pod opuszkami jej palców skóra nabrała intensywnie czerwonej barwy, a on wydał cichy jęk. Wypowiedziała szeptem kilka zdań, po czym go puściła.

- Idź do domu - poleciała. - I żeby ci się więcej mocnych trunków nie zachciało.

Chłopak niezgrabnie dotknął miejsc na skórze, gdzie po krwistoczerwonych znamionach prawie nie było już śladu, a gdy zamrugnął, mgła z oczu mu ustąpiła. Przełknął ślinę, popatrzył na Prudence z przestrachem, bez słowa obrócił się i uciekł ulicą prowadzącą do nabrzeża. Prudence parsknęła, bynajmniej tym nie rozbawiona.

- Uwaga, wylewam! - rozległ się nagle okrzyk przy końcu ulicy, gdzie chłopak znikł za rogiem. Nieczystości z nocnika rozprysnęły się na ziemi.

- Co robisz, ty brudna dziewczko?! - krzyknął przechodzący robotnik portowy, który o włos uniknął ochłapania.

W wąskim przejściu między domami rozszedł się zgniły odór i Prudence z obrzydzeniem skrzywiła nos.

Otworzywszy drzwi tawerny, potoczyła wzrokiem po wnętrzu, usiłując wyszukać człowieka, z którym miała się spotkać. Powietrze w sali było gęste, dym z fajek i z wielkiego kominka w głębi spowijał grupki mężczyzn, siedzących na niskich ławach przy grubo ociosanych stołach. Pachniało tu całkiem przyjemnie palonym drewnem, piwem, duszoną rybą i sukniem wełnianym, stwardniałym od morskiej soli. Prudence oparła swój ciężki pakunek o biodro i odruchowo przesunęła dłonią po kaftanie obciskającym jej talię. Od ostrego zapachu ryby pocie-

kła jej ślina. Zaczęła się zastanawiać, czy ten cały Robert Hooper będzie skłonny ją ugościć.

- Prue - powitał ją szorstki głos karczmarza, który skinął jej głową z drugiej strony sali.

- Joe - odpowiedziała, odwzajemniając skinienie głowy. Zaczęła przedzierać się do niego wśród rozbawionych gości, odtrącając po drodze zbyt śmiało ręce kilku podpitych mężczyzn w brudnych strojach rybaków. - Widziałeś tu dzisiaj niejakiego Roberta Hoopera? - spytała, dotarłszy wreszcie do jego stołu. Siedział z kuflem przy łokciu w towarzystwie młodej, roześmianej kobiety, której spod stanika obcisłego kaftana wystawała koronka, a policzki mieniły się różem bardziej, niż zamierzyła natura.

Joseph Hubbard podrapał się po bokobrodach, a drugą ręką piasnął o kolano. Surdut miał rozpięty, jego wielki brzuch wylewał się znad wciętego pasa spodni. Pod krzaczastymi siwymi brwiami lśniły ciemne oczy.

- Tego Roberta Hoopera ze wzgórza, gdzie jest plac ćwiczeń? Piękny ma dom. Niedawno go postawił.

- Tego samego - potwierdziła, tocząc wzrokiem w poszukiwaniu mężczyzny, który pasowałby na właściciela takiego domu. Wielcy panowie ze wzgórza rzadko odwiedzali Tawernę Pod Kozłem i Kotwicą.

- Ma z tobą interes do zrobienia, co? - Joe roześmiał się głośno i upił piwa z kufła.

- Ano ma - potwierdziła Prudence. - Poczekam zatem. Znalazła pustą ławę pod ścianą i położyła pakunek na stole.

Usadowiwszy się wygodnie, poprawiła czepek na głowie, schowała pod niego wystające kosmyki i pociągnęła za rękawy koszuli, aby wygładzić zmarszczki, wszak Robert Hooper na pewno był człowiekiem eleganckim.

- Chyba nie do swojej żony cię potrzebuje, hultaj jeden! - huknął Joe i skinął na podającą dziewczynę. Kobieta siedząca koło niego wydała z siebie piskliwy,

drażniący skrzek i zasłoniła twarz wachlarzem. Wcale nie jest taka znowu młoda, pomyślała Prudence. - Co tam, raz, dwa i będzie po wszystkim - cieszył się Joe. - Mam nadzieję, że naprawisz mu dziewczkę jak trzeba.

Prudence skrzywiła się groźnie, nie spodobały jej się bowiem żarty Joego.

- Jak się miewa pani Hubbard z małą Mary? - spytała znacząco.

Tymczasem służąca postawiła przed nią dzban piwa i znieruchomiała, zerkając na karczmarza.

- Całkiem dobrze. Jedna baba, a jakby dwie były. Do ruiny nas prowadzi, mówię. - Podchwycił spojrzenie służącej i dyskretnie pokręcił głową. - Twoje zdrowie, Prue - zaśmiał się i wznosił kufel w jej kierunku.

- I twoje. - Odpowiedziała mu tym samym gestem. Cały tuzin splodził, pomyślała z niechęcią. I do tego wcale nie wszystkie z panią Hubbard.

Wyciągnęła z kieszeni glinianą fajkę i pogniecione ogłoszenie, które nosiła ze sobą już od kilku dni. Wygładziła kartkę na blacie i jeszcze raz dobrze jej się przyjrzała, jednocześnie nabijając główkę fajki szczyptą tytoniu i zapalając ją od lampy na stole, **KUPUJĘ STARE KSIĄŻKI - brzmiał napisany drukowanymi literami tekst. - ZA RZADKIE I NIEZWYKŁE OKAZY PŁACĘ GOTÓWKĄ, INFORMACJI UDZIELA PAN HOOPER, ADRES PONIŻEJ.** Zaciągnęła się dymem, a jej ziemiste policzki jeszcze mocniej się przy tym zapadły. Gryzący dym, wypełniając płuca, stopniowo uspokajał jej skołatane nerwy. Pewnie mogłaby się jeszcze wycofać. Przecież ten człowiek do tej pory jeszcze nie przyszedł. Może nawet nie chciał dobić interesu.

Zerknęła na swoje zawiniątko i przez chwilę trzymała na nim dłoń, pocierając kciukiem drapiącą tkaninę. Zamyśliła się nad sumą wspomnianą przez pana Hoopera w liściku, którym odpowiedział na jej pytanie. Większą niż uzyskałaby przez niemal dwa lata jako akuszerka. Ale nie sama suma była główną przyczyną jej decyzji o sprzedaży. Prudence miała swoje powody, by chcieć się pozbyć tej księgi.

W kręgu ludzi przy drzwiach głosy nagle zamarły i Prudence podniosła wzrok, by sprawdzić, co się dzieje. Stał tam młody człowiek, ubrany w wykwinny karmazynowy szustokor z lśniącymi guzikami i eleganckimi wywinętymi mankietami, który jedną ręką odgarniał do tyłu włosy, potargane przy okazji zdejmowania filcowego trójgraniastego kapelusza. Tupnął kilka razy, by otrząsnąć błoto z miękkich wysokich butów z cielej skóry, i rozejrzał się po wnętrzu tawerny, bez wątpienia szukając kogoś, kto powinien go oczekiwać. Prudence pochwyciła jego spojrzenie i nieco uniosła podbródek, więc uśmiechnął się i z kapeluszem pod pachą ruszył ku niej, zostawiając za sobą milczenie sali.

- Pani Bartlett, jak rozumiem? - Zgiął się w półukłonie.

-Po prostu Prue - powiedziała, gdy mężczyzna z namaszczeniem zajął miejsce.

Ludzie obserwowali, jak przysiada się do akuszerki, starając się zrozumieć coś z tego niepojętego zdarzenia, wkrótce jednak wszyscy zajęli się swoimi sprawami i znowu zapanował radosny gwar.

-Czy to jest ta książka? - spytał z zainteresowaniem mężczyzna, wskazując pakunek leżący między łokciami Prudence.

Chciał po nią sięgnąć, ale zatrzymał rękę, gdy kobieta, jakby specjalnie dla jego wiedzy, powiedziała:

- Pod Kozłem i Kotwicą można zjeść smakowity gulasz. - Pyknęła kilka razy z fajki, wydechając dym na bok, a choć spoglądała całkiem obojętnie, nie spuściła go z oczu ani na chwilę.

- Ależ oczywiście - powiedział Robert Hooper i zwrócił się do usługującej dziewczyny, która przystanęła obok: - Dwie miski gulaszu, proszę. I najlepszy poncz, jaki macie.

Dziewczyna pociągnęła nosem w odpowiedzi, a Hooper znów zainteresował się pakunkiem, który Prudence przesunęła do niego po blacie. Podczas gdy rozplątywał tasiemki, dobrze mu się przyjrzała, aby zgromadzić jak najwięcej wra-

zeń. Odzienie miał nowe, to nie ulegało wątpliwości, widać jednak było, że nie czuje się w nim swobodnie. Ciągłe poprawiał coś przy koronkowych rękawach albo przesuwiał tam i z powrotem kapelusz na ławie, nie mogąc się zdecydować, jak najlepiej go umieścić, by mieć go na oku. Twarz mężczyzny, młoda i szczerą, nieskażona była jeszcze śladami słabości do trunków, kobiet lub rozwiązłego życia. Jego skóra miała orzechowy odcień, jak u człowieka dużo przebywającego na powietrzu lub pływającego po morzu. Gdy podano im gulasz, pan Hooper ujął w garść cynową łyżkę i nisko pochylił się nad miską. Prudence nieznacznie się uśmiechnęła i znów włożyła fajkę do ust. Mężczyzna odsunął miskę i sięgnął po książkę.

- Godna najwyższej uwagi - uznał, przewracając po jednej kartce. - Bez wątpienia nie cała jest napisana jedną ręką?

- Nie - przyznała Prudence.

- A to co? Łacina? - spytał, przewróciwszy kolejną kartkę.

- Dużo łaciny. Bliżej końca trochę też po angielsku. Część jest napisana szwajcarskim. Więcej jednak nie potrafię powiedzieć.

- Wspomniała pani w liście, że książka pochodzi z Anglii.

- Tak mi mówiono. To coś jakby rodzinny almanach.

- Bardzo ciekawe - powiedział, przesuwając dłonią po skórzanej oprawie z ostrożnością, która zaskoczyła Prudence. Palce, co zauważyła, miał szorstkie, zniszczone, pełne odcisków. Może jego atencja dla starych książek wzięła się stąd, że nigdy nie miał swoich? - I nie wiadomo, jaki jest wiek tej księgi? Który wpis jest najstarszy?

Prudence tylko uniosła brew, a potem bez słowa skosztowała gulaszu. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Hooper przyglądał się spod przymrużonych powiek stronom pełnym symboli i krzyżyków. Prudence zastanawiała się, kiedy przyjdzie czas na rozmowę o pieniądzach.

- Nie znam łaciny - wyznał Hooper, odwracając oczy. Patrzyła na niego z uwagą, wspierając głowę na splecionych dłoniach, w duchu jednak westchnęła ciężko. Wszyscy mają rany, które trzeba opatrzyć, pomyślała. I wygląda na to, że wszyscy przychodzą z nimi do mnie. Naprzeciwko niej siedział młody człowiek, któremu życie sprzyjało, a ona widziała jego już uszkodzone narządy. Cała ta sytuacja wywołała u niej znużenie. - Chcę jednak, aby mój syn się nauczył - dodał, podnosząc wzrok.

Jasnymi oczami wpatrywała się w jego twarz i odezwała się dopiero po chwili.

- Po co szuka pan starych książek do kupienia, panie Hooper? - spytała w końcu, bawiąc się rączką cynowej łyżki. Roześmiał się cicho, zakłopotany tym pytaniem.

- Moje interesy zataczają ostatnio coraz szersze kręgi - zaczął.

- Pomagają mi w tym jak najlepsze kontakty z niektórymi domami kupiec-kimi w Salem.

Upił duży łyk ponczu i chciał otrzeć usta rękawem, ale zreflektował się w ostatniej chwili. Spod mankietu dobył delikatną chustkę i dotknął nią kilka razy kącików ust, po czym schował ją z powrotem.

- Muszę... To znaczy, kilku dżentelmenów zaprosiło mnie, abym przyłączył się do ich Poniedziałkowego Klubu Wieczornego. Klub, do którego należą różni odcytani dżentelmeni, znani z obycia i dobrego gustu, postanowił ostatnio założyć prywatną bibliotekę publiczną, abyśmy wszyscy mogli korzystać w równej mierze z zainteresowań literackich i naukowych każdego z osobna. - Urwał i obrócił czarę ponczu na stole. - Poproszono nas o ofiarowanie do biblioteki tomów z naszych prywatnych zbiorów... - Popatrzył na nią.

- A pan nie ma książek - dokończyła.

- Nabyłem kilka ładnych okazów i mam nadzieję pozyskać następne. Żaden jednak nie jest tak interesujący i rzadki, jak ten należący do pani. - Sięgnął do

kieszeni i położył między nimi na stole skórzaną sakiewkę związaną troczkiem. Wydawała się ciężka i pękata. - Nie pojmuję, jak pani może rozstać się z tą księgą - powiedział, przypatrując jej się uważnie.

Ściskanie w żołądku przyprawiało Prudence o mdłości, gdy patrzyła na tłustą sakiewkę leżącą na stole obok jej almanachu, choć właściwie powinna powiedzieć, że almanachu jej matki, bo przecież matka, choć już wątła, wciąż mieszkała pod jej dachem. Oczami wyobraźni ujrzała starą, lecz wciąż piękną twarz kobiety, słyszała też szepty prześladowające ją przez całe życie. Mercy miała więcej siły niż ona, zawsze chodziła z wysoko podniesioną głową. Prudence oczywiście wiedziała, jak wielką wagę przywiązuje matka do tej książki, ona jednak żywiła do niej tylko niechęć. Matka zawsze była wyrzutkiem ledwie tolerowanym przez ludzi. Wszystkie pretensje do sąsiadów, którzy jej unikali i czasem nawet znacząco szepotali między sobą, gdy szła z Patty do kościoła, Prudence zwróciła przeciwko tej przeklętej księdze w wytartej skórzanej oprawie.

Potem pomyślała o mężu i doskwierającym mu bólu w plecach, który stawał się nie do zniesienia po całych dniach rozładowywania przyplływających statków. Wyobraziła sobie postrzępiony koniec rwącej się liny i grzmot ciężkich drewnianych beczek nijak już nie umocowanych, toczących się z impetem po pokładzie prosto na jej przerażonego męża. Nie miała pojęcia, jak mogłaby żyć dalej, gdyby Josiaha jej zabrakło. Zamknęła oczy, broniąc się przed tą wizją. Jej ojciec zginął nagłą śmiercią, w jednej chwili zmyty z pokładu do morza, i ojciec jej matki również, i wszyscy inni mężczyźni wchodzący do jej rodziny. Gdyby zdołała pozbyć się tej książki, może zachowałaby męża przy życiu, ochroniła go przed mściwą ręką Opatrzności? Bóg dał, Bóg wziął. Prudence niczego nie pragnęła bardziej, niż usunąć tę księgę z domu, żeby znalazła się jak najdalej od niej, żeby nie mogła już czynić zła jej rodzinie.

Wprawdzie drżała na myśl, co powiedziałyby Mercy, gdyby ta zdrada wyszła na jaw, ale matka miała już swoje lata i brakowało jej sił. Popołudnia spędzała na jaw, ale matka miała już swoje lata i brakowało jej sił. Popołudnia spędzała

działa, robiąc coś bez pośpiechu w ogródku, drażniła się z Patty w kuchni albo drzemała pod drzewem w towarzystwie psa. Lata minęły, odkąd ostatnio interesowała się księgą, a jeszcze więcej odkąd ktokolwiek szukał jej porady. Mercy Lamson zostawiała za sobą kolejne dni, jeden podobny do drugiego, zbliżał się jednak nieuchronnie ten jeden, po którym następnego miało już nie być.

Pomyślała z kolei o Patty, która od Bożego Narodzenia urosła o trzy cale. O swej żywej, serdecznej córce, mającej złote ręce do prac w ogródku i do hodowanych przez ich rodzinę kur, każdego ranka znoszących dla niej jajka, okrągłe jak małe melony. Po co Patty stary wstyd i zabobony? Sakiewkę z pieniędzmi można odłożyć na posag albo odnowić za to dom przy Milk Street. Patty miała piegowatą buzię od dni spędzanych w słońcu i niebieskie oczy promieniujące blaskiem i ciepłem, tak różne od jej oczu, zimnych i zmęczonych od trosk. Ech, kiedy Patty osiągnie te lata, co ona, Prudence, już ma za sobą, będzie dziewiętnasty wiek. Czasem próbowała sobie wyobrazić świat, do którego wskoczy jej córka z niezręcznymi rękami, wciąż przewracającymi filiżanki z herbatą. Widziała też czas płynący naprzód, niewyobrażalnie długi i odległy. Bywało, że jego bezmiar przytłaczał ją, napawał przerażeniem.

Zdecydowanym ruchem odłożyła wypaloną fajkę. Sięgnęła po sakiewkę.

- Nie jest mi dłużej potrzebna - powiedziała po prostu.

Nie trwoniąc więcej słów, wstała, schowała do kieszeni sakiewkę i żegnając skinieniem głowy zaskoczonego Roberta Hoopera, przeszła przez hałaśliwą salę tawerny Pod Kozłem i Kotwicą, po czym pchnąwszy masywne drzwi, wyszła na spotkanie przyszłości.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Cambridge, Massachusetts

początek lipca 1991 roku



Connie wypła duży łyk koktajlu i odstawiając szklankę na kontuar, z irytacją stwierdziła, że drży jej ręka. Pub Abnera zdobył ostatnio akustyczną wersję największych przebojów zespołu Led Zeppelin i płyta ta leciała na okrągło przez ostatnią godzinę, którą Connie spędziła przy barze. Janine się spóźniała, zgodnie ze swoim zwyczajem. Connie pomyślała, że jeśli Janine nie pojawi się w drzwiach w ciągu najbliższych pięciu minut, to szansa, że wstanie i rozwali barowym stołkiem szafę grającą wynosi ponad pięćdziesiąt procent. Zaczęła sobie wyobrażać, jak unosi solidny mebel i opuszcza go na szklaną kopułę szafy grającej, która tłucze się pod ciężarem stołka, a muzyka z przeciągłym zgrzytem narreszcie cichnie. Uśmiechnęła się z satysfakcją do tej fantazji.

-Witaj, Connie, witaj - sapnęła Janine Silva, sadowiąc się na stołku obok i kładąc torebkę na podłodze. - Bardzo przepraszam za spóźnienie. Co pijesz? To, co zawsze?

Pokazała Abnerowi za kontuarem dwa wyciągnięte palce, a ten skinął głową i odwrócił się do ściany. Janine oparła się łokciem o kontuar i nałożyła na czubek nosa okulary do czytania w jaskrawofioletowej oprawce.

-No to słucham - powiedziała.

Connie, zwrócona do niej profilem, upiła kolejny długi łyk koktajlu. Potem sięgnęła do kieszeni szortów, wyciągnęła klucz znaleziony w babcinym domu i położyła go na kontuarze.

- W dniu, w którym wprowadziłam się do domu babci, znalazłam klucz, który do niczego nie pasuje - powiedziała i spojrzała na profesor Silvē.

Na twarzy Janine odmalowało się zdziwienie.

- W kluczu znalazłam imię i nazwisko. Deliverance Dane. - Wsunęła do ust palec i zaczęła obgryzać paznokiec. Abner postawił przed nimi dwie zroszone szklaneczki alkoholu, a Janine bez słowa podsunęła mu kilka dolarowych banknotów. - Okazało się - podjęła Connie, odsuwając od siebie pustą szklankę i sięgając po nową - że Deliverance Dane jest nieznaną dotąd czarownicą z Salem. W odróżnieniu od innych ofiar była uzdrowicielką czy też „babką”, jak wtedy mówiono. I pozostawiła księgę stanowiącą zapis jej pracy.

- Ależ to wspaniale, Connie! - zawołała Janine, szerzej otwierając oczy. - To twoja wielka zdobycz. Zdarza się, że ludziom przez całe życie nie udaje się znaleźć tak unikalnego źródła. I jaka okazja do podjęcia badań nad historią kobiet... - Urwała, widząc zmarszczone czoło Connie.

- Wiem! - zawołała Connie łamiącym się głosem. - Ale teraz Chilton grozi, że obetnie mi fundusze, jeśli nie uda mi się jej znaleźć. I jeszcze ci wandale w moim domu! - Czknęła żałośnie, z trudem powstrzymując napływające do oczu łzy. - Nie wiem, co robić.

Janine przybrała zatroskaną minę i poklepała Connie po ramieniu, aby dodać jej otuchy.

- Dobrze, dobrze, wszystko po kolei. Przede wszystkim opowiem ci o czymś, ponieważ się przyjaźnimy, ale oczekuję, że to zostanie między nami - zapowiedziała.

Connie otarła oczy i skinęła głową. Jej mentorka pochyliła się ku niej i zniżyła głos.

-Manning Chilton... - zaczęła, ale zawahała się. Zbierając myśli, upiła łyk koktajlu. - Oczywiście Manning Chilton to wybitny naukowiec i jego pozycja na wydziale jest niepodważalna.

Connie zmarszczyła brwi. Gdyby reputacja profesora Chiltona w jakikolwiek sposób ucierpiała, cała jej przyszłość zawodowa mogła stanąć pod znakiem zapytania. Tymczasem Janine jeszcze raz odchrząknęła, rozejrzała się po mrocznym wnętrzu pubu i przysunęła swój stół odrobinę bliżej Connie.

-Tyle że jego ostatnie badania... zmierzają w dość osobliwym kierunku.

- To znaczy? - spytała Connie zmieszana. Wiedziała, że Chilton snuł jakieś poważne plany w związku ze swym wykładem inauguracyjnym na jesiennym zjeździe Stowarzyszenia Kolonialnego, ale nie знаła ich treści.

-Przez dłuższy czas pracował nad znaczeniem symboli alchemicznych w psychoanalizie jungowskiej. - Głos Janine był ledwie słyszalny wśród gwaru muzyki i rozmów studentów szkoły letniej, zajmujących ławki w głębi sali. - Interesowała go alchemia jako sposób rozumienia świata, oparty raczej na szukaniu podobieństw niż na stosowaniu metod naukowych. Sądził, że język alchemii może przynieść psychoanalityczną interpretację przednowożytnego myślenia magicznego i rytuałów. Ale ostatni referat, jaki przedstawił w Stowarzyszeniu Historyków Kolonii Ameryki Północnej, był nieco bardziej... - Najwyraźniej przekopywała umysł w poszukiwaniu potrzebnego słowa. - Dosłowny - dokończyła. - Tak, był bardziej dosłowny.

- W jakim sensie? - spytała Connie, pochylając się naprzód. Oddech Janine, pachnący miętówkami, musnął jej twarz.

- Czy słyszałaś kiedyś o alchemicznym pojęciu kamienia filozoficznego?

- Oczywiście. - Connie była coraz bardziej zdezorientowana.

- To przecież jeden z głównych celów średniowiecznej alchemii, prawda? Taka mityczna substancja, która mogłaby przemienić metal nieszlachetny w złoto, lecz również służyłaby jako uniwersalny lek na wszelkie choroby. Dobrze

mówię? Nikt nie wiedział, czym właściwie jest kamień filozoficzny, jaki ma kolor ani z czego się składa. Wszystkie jego opisy i przepisy służące jego uzyskaniu były najeżone zagadkami. Bóg jeden mógłby je rozwiązać.

- Właśnie - powiedziała Janine. - Jedna z takich zagadkowych formuł mówi, że kamień filozoficzny jest kamieniem, który nie jest kamieniem, kosztowną rzeczą, ale bez wartości, nieznaną, chociaż znaną wszystkim. No tak, według dzisiejszych poglądów alchemia jest jedynie historycznym przodkiem współczesnej chemii. I w pewnym sensie jest to prawda, ponieważ alchemia rzeczywiście była dziedziną, w której badacze pierwszy raz zaczęli eksperymentować z naturalnymi surowcami i sprawdzać, czy można je przekształcać z jednej formy w inną. Jednak wielu akademików, między nimi Chilton, podkreśla religijne aspekty średniowiecznej alchemii.

- Religijne? - spytała Connie.

- Otóż to - odrzekła profesor Silva. - Alchemicy rozumowali przez analogię. Ich zdaniem świat wokół nas jest obdarzony znaczeniem, a wzorce wszechświata są odzwierciedleniem wzorców występujących w nas samych. To ten sam rodzaj myślenia, który leży u podstaw astrologii: ruch gwiazd i planet opisuje naszą kondycję, a zarazem wpływa na nas, jeśli więc zdołamy odpowiednio go odczytać, możemy odkryć prawdy dotyczące życia codziennego. Rozpoczęto więc od prób uporządkowania świata przez podział na kategorie oparte na podobnych własnościach. Z jednej strony masz słońce, które rządzi gorącem, męskością, postępem, suchością, dniem. A z drugiej strony księżyc, który jest zimnem, kobiecością, regresem, wilgocią, nocą. Każda substancja składa się z czterech podstawowych żywiołów: ziemi, ognia, powietrza i wody. Są też cztery właściwości: gorąco, zimno, wilgoć i suchość. Uważano, że wszystko, co istnieje, można opisać, używając tych kategorii. Bóg, na przykład, może być kombinacją słońca, ziemi, ognia, gorąca i suchości, które stanowią o jego kolorze,

fakturze, użyteczności i czym tam chcesz. Mówię to przykładowo, ale chyba rozumiesz, o co mi chodzi.

- Tak mi się zdaje - przytaknęła Connie, niepewna, czy rzeczywiście wywód Janine jest dla niej jasny. - Dziwnie jednak byłoby myśleć w tych kategoriach. Złoto jest po prostu pierwiastkiem chemicznym, prawda?

- Tak, ale w średniowieczu tego nie wiedziano - odparła Janinę. - Świat był osobliwym miejscem, zanim dowiedzieliśmy się o istnieniu atomów i DNA. Próbowano odkryć, z czego się składa, nie tylko po to, żeby lepiej go zrozumieć, lecz również by spróbować nad nim zapanować. Według alchemii utalentowany człowiek może manipulować żywiołami i właściwościami, powodując, że substancje zmieniają się coś w więcej niż to przewidywała natura. Tygiel, w którym topiono metale, alchemicy porównywali do ludzkiego ciała, które też przekształca substancje: żywność i woda stają się kośćmi i mięśniami. Spermę przekształca się w ciele podobnie jak nasienie w ziemi, tworząc coś z niczego. Dlatego poszukiwanie kamienia filozoficznego, czy też Wielkie Dzieło, wymagało najczystszych składników i talentu najwyższej miary. To było jak poszukiwanie doskonałości zarówno substancji, jak i duszy.

- Ale to wszystko pseudonauka - zaprotestowała Connie. - Nie traktuje się tego poważnie od... - Urwała zamyślona. - Od dwustu lat. Przynajmniej!

- Hm, nie zdaniem Chiltona - powiedziała Janine. - Słuchałam tego referatu i wierz mi, że mógł wprawić w zdumienie. Był oparty na prywatnych dziennikach znanych siedemnasto- i osiemnastowiecznych chemików, między innymi Isaaca Newtona, którzy jednocześnie prowadzili poważne badania nad kluczowym krokiem, jakim była wówczas tak zwana wegetacja metali. Koncept ten łączył transformację minerałów pod wpływem ciśnienia i ciepła z rozwojem roślin i zwierząt. Manning postawił hipotezę, że zasadniczym materiałem w tej zagadce może być węgiel pierwiastkowy - podstawa wszelkiego życia - który oczywiście pod wpływem ciśnienia i ciepła można przekształcić we wszystko, począw-

szy od węgla opałowego po diament. Ale utrzymywał, że istnieje jeszcze jedna transmutacja węgla, pozostająca poza zasięgiem współczesnej nauki, ale dostępna za pomocą technik alchemicznych.

- Technik? - powtórzyła Connie. Janine westchnęła cicho.

- Connie, on twierdził, że kamień filozoficzny może być czymś realnym. Zasadniczo przedstawił pogląd, że nie należy widzieć w alchemii symbolicznego sposobu postrzegania ludzkiej myśli i rozumu, lecz trzeba ją pojmować dosłownie.

Connie szerzej otworzyła oczy i wyobraziła sobie swojego promotora stojącego na podwyższeniu, w oślepiającym świetle projektora slajdów, który rzuca na jego twarz i oczy ciemnoczerwone zdjęcie kamienia. Chilton walił pięścią w mównicę i poruszał ustami, ale jedynym odgłosem, jaki słyszała, był śmiech. Zamrugła i wizja znikła. Dotknęła jedną ręką skroni, która zaczęła jej pulsować.

Janine się roześmiała i mówiła dalej:

- Tak, mnie też to przyprawia o ból głowy. Oczywiście dyskutanci mieli wielki dzień. Oskarżyli go w najlepszym razie o ahistoryzm, a w najgorszym twierdzili, że potrzeba mu długich wakacji. - Wypuściła powietrze przez zęby i jeszcze bardziej zniżyła głos. - Rektor uniwersytetu odbył z nim nawet później rozmowę. Zapytał, czy przewodniczenie wydziałowi nie jest dla niego zbyt wyczerpujące. Pamiętaj, to pozostaje wyłącznie między nami.

- Zaskakujące - skwitowała Connie, znowu prostując się na stołku. To przecież wręcz nieprawdopodobne. Co Chilton powiedział przez telefon, gdy stała pod jego gabinetem? „Zanim podejmiesz decyzję, proszę, abyś przekonał się, co mam do zaproponowania”. Utrata stanowiska dziekana, a to właśnie mu groziło, byłaby dla niego klęską.

- No cóż, znasz Manninga - ciągnęła Janine. - Możesz sobie wyobrazić, jak przyjął ich reakcję. To był dla niego prawdziwy cios. - Pokręciła głową. - Jeśli więc jest jeszcze surowszy niż zwykle, to już wiesz dlaczego. Moim zda-

niem on ma teraz poczucie, że musi się w pewnym stopniu z tego wszystkiego wycofać, zrehabilitować. Jeśli będzie mógł przedstawić zdolną protegowaną, która wykonuje poważną i nowatorską pracę, wtedy... - Zawiesiła głos i wyciągnęła dłoń po klucz. - Jest piękny. Stary? - spytała, obracając go w ciepłym oświetleniu lamp nad barem.

Connie nie odpowiedziała. Kiedy podniosła ciężką szklanę do ust, trochę alkoholu wylało się jej na bluzkę, lecz zanim Janinę zdążyła cokolwiek zauważyć, szybko przytrzymała naczynie drugą ręką.

Volvo zahamowało z piskiem opon, a duża kropla deszczu rozprysła się na przedniej szybie. Connie znieruchomiała z dłonią przytkniętą do piersi i poczuła, jak nierówno bije jej serce; zupełnie jak biegaczowi, który najpierw pędzi na oślep, a potem nagle przystaje, żeby odpocząć, i dyszy oparty o pień drzewa. Opowiedziała Janine Silvie o tajemniczym okręgu wypalonym na frontowych drzwiach domu babci, na co ona zareagowała wielką troską i przejęciem. Pytała, co dokładnie znaczy „wypalony”. Kto mógłby chcieć zniszczyć drzwi w domu jej babci? Co powiedziała policja? Prawdę mówiąc, Janine sądziła, że skoro Connie złożyła doniesienie, nic więcej nie da się zrobić. Chociaż na pewno było to dla niej przerażające, zwłaszcza że mieszka w tym domu sama. Czy czuje się bezpieczna?

Connie zmarszczyła czoło i z posepną miną spojrzała na witrynę sklepu po drugiej stronie ulicy. Kolejne krople spadły na maskę i dach, bębniąc o metal i spływając po szybach. Oczywiście, czarny okrąg na drzwiach z unoszącymi się nad nim smugami dymu sprawiał, że pytanie „dlaczego?” nurtowało ją coraz bardziej. Po wyjściu policjantów siedzieli jeszcze długo w saloniku, a Sam co pewien czas podchodził do okna, by nerwowo omieść podwórze światłem latarki, lecz żadna sensowna odpowiedź nie przyszła im do głowy. Liz zgadzała się z po-

licją, że to pewnie jakieś stuknięte nastolatki z Salem, ale to wyjaśnienie nie zadowalało ani Connie, ani Sama.

A ponieważ nie mogli dociec, z jakiego powodu okrag się pojawił, skupili uwagę na jego domniemanym znaczeniu.

Liz przetłumaczyła zdanie jako „Bóg moim wspomoczycelem”, a greckie litery alfa i omega mogły w inny sposób nawiązywać do istoty boskiej, która jest początkiem i końcem. Pozostawało jednak słowo „Aglą” i dziwaczny zestaw podwójnych krzyży, których znaczenia nie potrafili zgłębić. W końcu Connie i Liz wyczerpane wieloma godzinami napięcia i strachu poszły na górę, położyć się w cuchnącej stęchlizną pościeli. Nawet nie protestowały, kiedy - mimo że niebo na wschodzie pojaśniało - Sam uparł się, że zostanie, i z latarką w ręku zasnął w jednym z foteli przy kominku.

Connie zadrżała na to wspomnienie, a tymczasem po niebie przetoczył się grzmot, wydając taki odgłos, jakby trzy przecznice dalej grasował jakiś potwór.

Gdy otworzyła drzwi sklepu „Ogród Lilith: zioła i przedmioty magiczne”, zabrzmiał znajomy cichy gong. Zastała tę samą co poprzednio kobietę w kolczykach, tym razem z olbrzymim kokiem na czubku głowy.

- Błogosławiona... bądź - powiedziała, rozpoznawszy Connie, i zatrasnęła książkę, którą czytała, ukrywając okładkę.

- Co znaczy „Aglą”? - spytała bez wstępów Connie, wspierając się pod boki.

Czuła głęboką niechęć do tej kobiety - z jej idiotycznymi kolczykami, z jej zyskami, które osiąga naciągając nieświadomych klientów. Prześwietliła ją wzrokiem i odniosła wrażenie, że ona sama uważa się za osobę życzliwą, niezwykle wrażliwą i obdarzoną intuicją. Ta rzekoma intuicja zastępowała jej rzetelną wiedzę o świecie. Kobieta w kolczykach nie była złym człowiekiem, po prostu jej świat był ciasny i ograniczony.

- Co takiego? - spytała zmieszana, wyraźnie sztywniejąc za kasą.

- „Agla” - powtórzyła Connie przesadnie głośno, podchodząc do lady. - Chcę, żeby mi pani powiedziała, co to znaczy. Zwłaszcza jeśli znajduje się to w jakimś zwariowanym okręgu otoczonym kupą krzyżyków. - Jej głos był coraz bardziej surowy.

Kobieta w widoczny sposób się zakłopotowała.

- Nie... nie wiem! - krzyknęła, uciekając wzrokiem w najdalszy kąt sklepiku.

- Ktoś wypalił to na drzwiach domu mojej babci - ciągnęła Connie. - Próbował mnie przestraszyć. - Oparła dłonie o ladę, a kobieta zaczęła mrugać powiekami. Connie chciała wreszcie rzucić na kogoś winę za bezlitosny strach, ściskający jej gardło od chwili, gdy pojawił się okrąg. Tymczasem starała się sprowokować kobietę do sprzeczki, szukała pretekstu do podniesienia głosu, wyładowania przerażającego napięcia, które na co dzień musiała ukrywać. - Wypalił, mówię. I chciałabym przynajmniej wiedzieć, co te wszystkie słowa znaczą.

Kobieta przełknęła ślinę i spojrzała na Connie wzrokiem, w którym przerażenie mieszało się z troską.

- Ten okrąg... - wydukała. - Jak... doskonały był?

- Nie rozumiem - powiedziała Connie.

- Pytam, czy dało się zauważyć wypalone przypadkowe miejsca nienależące do okręgu? Czy okrąg był nieregularny?

- Nie - odparła Connie, krzyżując ręce.

Kobieta otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale widocznie się rozmyśliła, bo gestem zaprosiła Connie w głąb sklepu.

- Tak myślałam. Nie wiem, co to znaczy, ale wiem, gdzie powinniśmy tego poszukać.

Connie poszła za nią do narożnika zajętego przez stojaki na książki i na przeterminowane zioła. Sprzedawczyni zdjęła z jednej z półek grube tomisko.

- Proszę spojrzeć - powiedziała, a otwierane strony marszczyły jej się pod palcami. - Znam wielu członków tutejszej wspólnoty wiccan. Niektórzy z nich

dostąpili nawet wtajemniczenia trzeciego stopnia, o co naprawdę trudno. - Popatrzyła na Connie, szukając znaku, że wie o czym mowa, ale niczego się nie doczekała. - Wiele kowenów doszło do wielkiej biegłości w stosowaniu zaklęć i uczyniło je częścią swoich sabatów. Rzecz w tym... - Przesunęła palcem po stronie, której szukała, i obróciła książkę tak, by Connie mogła przeczytać. - Nikt z moich znajomych... - urwała. - Nikt z nich nie potrafił jak dotąd wykonać takiego koła, jakie pani opisuje. Znam jedną grupę, która kiedyś tego próbowała, stosując coś w rodzaju wypalania, ale znak był bardzo mały. Poza tym koło i tak wyszło niepełne, w zasadzie więc nie działało.

Książką, którą kobieta zdjęła z półki, była encyklopedia pogaństwa i okultyzmu. Wzrok Connie padł na wskazane palcem sprzedawczyni hasło:

AGLA. Kabalistyczny notarikon, uznawany za skrót słów *Atah Gibor Le-olam Adonai*, niewymawialnego imienia Boga, czasem tłumaczonego jako „Pan jest wszechmocny na wieki”. Pojawia się w 1615 roku w traktacie alchemicznym *Spiegel der Kunst und Natur* wraz ze słowem *Gott* (niem. „Bóg”) oraz greckimi literami alfa i omega.

- *Zwierciadło sztuki i natury* - powiedziała głośno Connie.

- Co to? - spytała stojąca nad nią kobieta.

- Tytuł książki - wyjaśniła Connie. - Niemieckiej, z tysiąc sześćset piętnastego roku.

Podniosła wzrok i pochwyciwszy spojrzenie sprzedawczyni, wyczytała z jej twarzy szczere zatroskanie. Oddała jej ciężki tom i w zamyśleniu splotła ręce.

- Sądzi pani, że tego rodzaju rysunek wandal mógłby umieścić na czyichś drzwiach przypadkiem? - spytała w końcu, obserwując ją kątem oka.

Kobieta w kolczykach wzięła głęboki wdech i zacisnęła wargi.

- Nie chcę pani przestraszyć, ale nie - odparła. - Znak obecności tego rodzaju wymaga wiele pracy. Nikt nie robiłby tego ot, tak sobie.

Wymieniły spojrzenia. Szeroko otwarte, czujne oczy właścicielki sklepu zmuszały Connie, aby jej zaufała. Umysł buntował się jednak przeciwko takiej sugestii - znak obecności! Cóż to z kolei miało znaczyć?! Kobieta dawała jej do zrozumienia, że ktoś umieścił to koło na jej drzwiach po prostu siłą woli. Co za niedorzeczny pomysł? Czy świat nie jest dostatecznie niezwykły bez takich wymysłów?

- Proszę posłuchać - zaczęła kobieta, przyciskając do piersi zamkniętą księgę. - Wiem, że nie wierzy pani w religię Bogini. Czytam to z pani twarzy. - Connie skrzywiła się, ale nie zaprzeczyła. - Ale jeśli pani chce, mogę znaleźć dla pani naprawdę skuteczne zaklęcie ochronne.

- Co? - spytała Connie, nie wierząc własnym uszom.

- Słyszała pani. Zaklęcie. Żeby pani babcia czuła się w domu bezpieczniej. - Uniosła brwi, a Connie pomyślała, że wszystko w gruncie rzeczy sprowadza się do pieniędzy.

- Moja babcia nie żyje od dwudziestu lat - odparła.

- Jak pani sobie życzy. - Kobieta odłożyła książkę na półkę. - Ale proszę pamiętać. To, że w coś się nie wierzy, nie oznacza, że to coś nie istnieje.

Bąknąwszy „dziękuję”, Connie energicznie podeszła do drzwi i szarpnęła za nie właśnie w chwili, gdy niebo się rozstąpiło i lunął deszcz, bębniąc po ziemi jak pałeczki dobosza.

Kilka godzin później, gdy deszcz minął, Connie siedziała wsłuchana w ciszę babcinego domu, przerywaną jedynie stukaniem pazurów Ario o drewnianą posadzkę i dochodzącym zza okna saloniku szumem liści poruszanych letnim wietrzykiem. Powietrze wciąż było ciężkie i duszne. Connie złapała się na tym, że słysząc najdrobniejszy szmer, drętwieje albo nagle podczas pracy zerka przez

ramię, żeby sprawdzić, czy nikt za nią nie stoi. Policjant powiedział, że nie ma się czego bać, tłumaczyła sobie, choć bicie serca dudniło jej w uszach. Nie ma tu nikogo. A nawet gdyby ktoś wszedł, spłoszyłby go Ario. I chociaż logika takiego rozumowania wydawała jej się oczywista, to po kolejnych pięciu minutach absolutnej ciszy znowu obróciła głowę i nadstawiła uszu.

Ario pojawił się pod jej krzesłem przy biurku, szeroko ziewając. Przerwała studiowanie notatek i wyciągnęła rękę, żeby podrapać się między łopatkami.

- Naprawdę nie rozumiem, skąd się bierze twój spokój - zwróciła się do psa. - Nie spanikowałeś nawet tamtego wieczoru, kiedy wróciliśmy po pokazie ogni sztucznych i znaleźliśmy ten wypalony znak. Dopiero ten gliniarz z latarką cię zdenerwował.

Pies nadstawił bok do drapania, a na jego włochatym pysku pojawił się jakby senny uśmiech. Connie tymczasem zaczęła łączyć różne wątki z nadzieją, że splecie je w spójną całość. Księga Deliverance znikła z dokumentów po śmierci Prudence, ale Grace uważa, że mogła zmienić się jej nazwa lub opis. Chilton jest wściekły z powodu opóźnienia w jej badaniach, ale Janine wspomniała, że może chodzić o jego własne kłopoty w pracy. Wiccanka ze sklepu, ze swymi amuletami i otwartością, nie wie nic konkretnego o kręgu na drzwiach domu. Przyjaciele martwią się o nią, bo mieszka w tym domu sama, tymczasem jej zwykle nerwowy pies śpi tu spokojnie, całkiem zadowolony. Położyła bosą stopę na krześle, opierając kolano na krawędzi biurka chippendale. Notatki leżały porozrzucane na całej powierzchni blatu, a że było ich mnóstwo, w oko wpadały jej tylko pojedyncze słowa. „Dom” - brzmiało jedno. „Ogród”. „Almanach”. „Siedziałam w domu”.

- Ona próbowała sprzedać mi zaklęcie - odezwała się do psa.- Nie do wiary, co?

Ario oddychał płytko, ale równo, przednia łapa drgała mu we śnie. Connie znów pochyliła się nad notatkami, a jej palce szukały dla siebie zajęcia. Wkrótce

skupiły się na niewielkim, ostrym metalowym przedmiocie i zaczęły go przyciskać, przetaczając to w jedną, to w drugą stronę, podczas gdy wędrowała oczami po wypisach z dziennika Prudence. Niekończące się dni zajęć w ogrodzie, zmiany pogody, mijające choroby, odbieranie porodów obcych dzieci i otrzymywanie zapłaty za pracę. Umiera ojciec Prudence. Wprowadza się do niej Mercy. Josiah, mąż Prudence, jeździ tam i z powrotem do miasta. Córka Prudence rośnie i przejmuje część obowiązków domowych. Mercy umiera. Patty się wyprowadza. Josiah umiera na skutek wypadku w porcie. A potem nagle w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym ósmym roku dziennik się urywa. Palce Connie przesunęły metalowy przedmiot po cyfrach daty. Mrużąc oczy, przewróciła kartki w notatniku bliżej początku.

- „Trzeciego grudnia tysiąc siedemset sześćdziesiątego - przeczytała na głos. - Bardzo zimno. Patty chora. Matka szuka swojego almanachu. Bardzo zła, gdy słyszy, że wyniesiony do Bib. Pub. Przykłada swój kataplazm. Patty czuje się lepiej”. Ciekawe. - Connie podzieliła się wrażeniem z pustym domem. - A może „Bib. Pub.” to skrót od „Biblioteka Publiczna”? Jak myślisz, Ario?

Spod krzesła nie dobiegła jej żadna odpowiedź. Zajrzała tam i przekonała się, że pies znikł.

- Niewdzięcznik - powiedziała i zapisała w notatniku wielkimi literami: **BIBLIOTEKA PUBLICZNA W SALEM CZY W MARBLEHEAD?** Całość otoczyła wianuszkami z gwiazdek i usiadła wygodniej, żeby przemyśleć problem.

- Almanach - powtórzyła, żeby sprawdzić, czy pomysł, który jej przyszedł do głowy, brzmi prawdopodobnie. Brzmiał, i to bardzo. Na jej wargach pojawił się uśmiech, który stopniowo obejmował całą twarz, aż wreszcie rozświetlił również oczy. Popatrzyła na swoją dłoń, nagle uświadomiwszy sobie, że od dłuższego czasu znęca się nad jakimś przedmiotem.

Był to mały, zardzewiały gwóźdź o nieregularnym, czworokątnym przekroju. Wydawał się mocno zużyty, jakby niezmiernie długo służył swojemu celowi.

Przypomniała sobie, że wypadł pierwszego dnia z gnijącego nadproża drzwi wejściowych. Zamknawszy gwóźdź w pięści, wyszła na podwórze przed domem.

Pod liśćmi pnączy gęstniał wieczór. Wspięła się na palce, czując pod bosymi stopami mech porastający gdzieś kamienno podest. Odsunęła znad drzwi łożdy glicynii, której kwiaty w letnim żarze wyschły na papier i wyblakły. Zauważyła, że wisząca podkova jest przekrzywiona. Wlepiała wzrok w duży wypalony symbol na drzwiach wejściowych.

Dominus adjutor meus. Alpha. Omega. AGLA. Zacisnęła pięść wokół gwóźdź, a na jej twarzy pojawił się wyraz determinacji.

- A w zasadzie czemu nie? - powiedziała na głos. Ustawiła podkowę zgodnie z zardzewiałym śladem, jaki pozostawiła, i kciukiem wcisnęła gwóźdź w rozmiękle drewno. Potem cofnęła się o krok i splatając ręce, popatrzyła na dom, który z aprobatą odwzajemnił jej spojrzenie.

- Bądź błogosławiony - powiedziała kpiąco do Ario, który przywarł do jej stóp.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Marbkhead, Massachusetts

połowa lipca 1991 roku



Mimo wszelkich wysiłków, by czuć się w babcinym domu swobodnie, Connie często miała wrażenie, że jest uwięziona czy raczej ukryta w kuchni. Za ten stan rzeczy należało obwiniać staroświecką lodownię, stanowiącą jedyne źródło chłodu w dusznym upale środka lata. Notatki trzymała na babcinym biurku w saloniku, kładła się spać późno, do wielkiego łóża z baldachimem na poddaszu, a przez pozostałą część domu starała się przemykać jak najszybciej. Za to chętnie przebywała w kuchni, puszczała wodę w zlewie i szatkowała warzywa na blacie. Tam miała poczucie, że panuje nad sytuacją - mała przestrzeń wyznaczała możliwe do wykonania zadanie w kwestii przywracania do stanu używalności nie-sprzedawalnego domu babci, a wyposażenie kuchni, choć staroświeckie, przynajmniej pochodziło z dwudziestego wieku, czyli epoki, do której Connie należała. Tego ranka podparła ramieniem wieko lodowni i skierowała podbródek w głąb pojemnika, pozwoliła, by zimne powietrze owionęło jej twarz, wcisnęło się na czubek głowy po nasadę włosów i dotarło aż do karku.

Była spokojna i skoncentrowana; miała plan na cały dzień, a niczego nie lubiła bardziej, niż mieć wszystko dokładnie zaplanowane. Kiedy stanęła w maleńkiej kuchni z osobnym wyjściem zabezpieczonym siatką przeciwko owadom

oraz licznymi nie nadającymi się już do niczego słoiczkami na półkach, odzyskała poczucie bezpieczeństwa. Nabrała zwyczaju otwierania codziennie kilku z nich i wyskrobywania ich poczerniałej, wyschniętej zawartości na pryzmę kompostową, zajmującą najbardziej odległy kąt ogrodu za domem. Po wymyciu zostawiała umyte, otwarte słoiczki w rzędach, aby wyschły na podeście przy drzwiach. W ciągu dnia lubiła zerkać na swoje dzieło przez siatkę, dochodząc do wniosku, że stale rosnąca pryzma i coraz więcej pustych półek to jej własny system prowadzenia kalendarza. Naczynia znikły już z najniższej półki, a gdy stała z niej kurz i dokładnie wypłukała szmatę nad zlewem, odczuła ulgę, że choć jedno małe zadanie zostało wykonane.

Z pewnym żalem zamknęła lodownię i ponownie obróciła się ku półkom, wybierając naczynia do czyszczenia na ten ranek. Trzy słoiczki średniej wielkości z wyblakłymi etykietkami stały na wysokości oczu, więc zdjęła je po kolei i przycisnęła zgiętą w łokciu ręką do brzucha. Biorąc ostatni, zawadziła o niewidoczny przedmiot, sięgnęła więc głębiej i wysunęła niepozorne metalowe pudełko, szare, zamykane na zaciski, jak pojemnik na żywność, ale bez klucza. Zostawiła je na skraju półki, by wyrzucić zawartość naczyń na pryzmę. Wkrótce wróciła i wytarła o szorty mokre dłonie.

Zdjęła pudełko i podważyła wieczko. Wewnątrz znalazła plik kartek z notatnika. Na pierwszej przeczytała tytuł „Ciasto z li-monek florydzkich” utrwalony znajomym wąskim pismem, które mgliście kojarzyła z babcią. Cicho zaśmiała się sama do siebie. „Słonina”, przeczytała na innej kartce i wystawiła język, jakby chciała powiedzieć „ble”, chociaż w kuchni nikogo oprócz niej nie było. Odsunąwszy pudełko na bok, zaczęła przeglądać kartki z przepisami babki na potrawy kojarzące się z latami pięćdziesiątymi: auszpik z pomidorami, polędwica wieprzowa, potrawka z frankfurterek i fasoli. Odczuła przypływ przekornej radości, gdy pomyślała, że zachowa te karteczki dla Grace, obecnie wegetarianki, aby przesłać jej na pamiątkę z dzieciństwa spędzonego w Nowej Anglii. Spojrzawszy

na zegarek, wcisnęła kartki do tylnej kieszonki szortów, chwyciła torebkę i trzasnąwszy drzwiami, wyruszyła w drogę do Athenaeum w Salem.

Popołudniowe telefony do różnych rywalizujących ze sobą stowarzyszeń historycznych na Północnym Wybrzeżu pozwoliły Connie ustalić, że kiedyś istniała Biblioteka Publiczna w Salem. Założona w końcu osiemnastego wieku przez członków miejscowego klubu dżentelmenów, utrzymywała się przez pewien czas ze składek członkowskich, a książki pozyskiwali dla niej zamożni kupcy z Salem żeglujący po świecie. Jednak w tysiąc osiemset dziesiątym roku Biblioteka Publiczna połączyła się z prywatną biblioteką naukowo-techniczną, Philosophical Library, i w ten sposób powstało Salem Athenaeum. Connie była bardzo zaskoczona, gdy dowiedziała się, że Salem Athenaeum prosperowało przez cały dziewiętnasty wiek. I podczas gdy przepadały majątki zgromadzone dzięki przemysłowi stoczniewemu w Salem, a port najpierw stracił znaczenie, a w końcu ostatecznie podupadł, przyćmiony przez Boston, Baltimore i obie Karoliny, Athenaeum wciąż funkcjonowało, nieświadome swego coraz mniejszego znaczenia dla kultury amerykańskiej. Gdy volvo z wysiłkiem zaparkowało naprzeciwko „nowego” budynku Athenaeum, wzniesionego w tysiąc dziewięćset siódmym roku, Connie - zresztą nie po raz pierwszy - poczuła respekt dla jankeskiego poszanowania status quo, leżącego u podstaw ich oszczędnego sposobu życia.

Podeszła do biurka po lewej stronie słonecznej, ładnie umeblowanej czytalni, w której akurat nie było czytelników, jeśli nie liczyć starszego dżentelmena na ganku od tyłu, który popijał lemoniadę, wspierając długie ramię na lasce. Przy biurku młoda kobieta wiązała supełek od spodu swojej robótki ręcznej.

- Przepraszam - szepnęła Connie, a bibliotekarka spojrzała na nią z uśmiechem, odłożyła robótkę i wstała, by uścisnąć jej dłoń.

- Zapewne panna Goodwin?! - upewniła się, o dziwo, bez ściszenia głosu. W dodatku miała na biurku filiżankę herbaty; ostry zapach cytryny przebijał się

przez typową dla biblioteki woń drewna i książek. - Rozmawialiśmy dziś rano przez telefon! Nazywam się Laura Plummer.

- Dzień dobry. - Connie uśmiechnęła się, ujęta życzliwością kobiety. W prywatnych bibliotekach personel częściej ma do czynienia z dziećmi i starszami niż ze znerwicowanymi doktorantami, więc uprzejmość pewnie przychodzi łatwiej.

- Chciała pani obejrzeć część naszego pierwotnego zbioru, czy tak? - Kobieta już prowadziła ją ku przejściu do sali z książkami.

- Tak. - Connie skinęła głową. - Próbuję odnaleźć pewien almanach, a w każdym razie coś, co w moim pojęciu powinno nim być. O ile wiem, został подарowany do zbiorów Biblioteki Publicznej.

- Mamy kilka almanachów. - Bibliotekarka włączyła górne światło.

W wąskim pomieszczeniu z książkami Connie poczuła się równie przyjemnie i bezpiecznie jak w babcinej kuchni. Przeszył ją dreszcz podniecenia, gdy pomyślała, że każdy z tych anonimowych brązowych grzbietów może być rejestrem przepisów, należącym kiedyś do Deliverance. Niewykluczone, że od znalezienia księgi dzieliła ją niecała godzina.

- Jesteśmy - powiedziała panna Plummer. Nie mogła być dużo starsza od Connie, która jednak nawet w myślach nie potrafiła nazywać Laurą tak eleganckiej kobiety w plisowanej spódnicy i bluzce z kołnierzykiem Piotrusia Pana. Panna Plummer wskazała wąską, pełną książek ścianę na samym końcu pomieszczenia. - Biblioteka Publiczna istniała zaledwie piętnaście czy dwadzieścia lat przed założeniem Athenaeum. A jej księgozbiór, chociaż w swoim czasie uważany za znaczny, według współczesnych kryteriów jest skromny. Składają się na niego głównie zbiory kazań, trochę powieści, kilka almanachów, podręczników nawigacji i podobnych książek. Wracam teraz na swoje stanowisko i tam w razie czego proszę mnie szukać. - Wycofała się z uśmiechem, a Connie zsunęła toreb-

kę z ramienia na podłogę, splotła ręce i w ramach przygotowania do pracy rozciągnęła palce, strzelając stawami.

Minęło kilka godzin. Connie zajrzała najpierw do katalogu, szukając wśród darczyńców, a potem autorów Prudence Barlett, Mercy Lamson i Deliverance Dane. Bez skutku. Następnie przez pewien czas przeglądała karty almanachów, chociaż wyglądało na to, że wszystkie egzemplarze należą do dobrze znanej serii wydawniczej i zawierają porady dla farmerów dotyczące pogody i uprawy roślin. Biblioteka posiadała też egzemplarz satyrycznego dzieła *Poor Richards Almanack* Benjamina Franklina, ale żadna z tych książek nie była szczególnie stara ani tym bardziej napisana ręcznie. W końcu, poważnie już rozczarowana, przejrzała wszystkie tytuły na grzbietach, a potem jeszcze wszystkie strony tytułowe almanachów, ale i tym razem bez powodzenia.

Z przygnębieniem opuściła archiwalną część biblioteki; wypchana notatkami i przyborami do pisania torebka ciążyła jej znacznie bardziej niż zwykle. Wsunąwszy kciuk pod pasek torebki, podeszła do biurka panny Plummer.

- Przepraszam, że przeszkadzam.

Bibliotekarka podniosła głowę. Jej uśmiech sprawił, że torebka Connie stała się odrobinę lżejsza, a zdrętwiałe mięśnie ramion nieco się rozluźniły.

- I co? Znalazła pani? - spytała.

- Niestety nie - odrzekła z westchnieniem Connie. - Czy to możliwe, by w przeszłości wyłączano książki z tego zbioru? Książka, której szukam, na pewno została przekazana tu w darze. I nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek chciał ją ukraść czy coś w tym rodzaju...

- Oczywiście, że wyłączamy książki, nieustannie - potwierdziła bibliotekarka. - Zwykle kiepskie powieści i nieużywane tytuły po kilku latach trzymania ich na półkach. Jak pani widzi, mamy bardzo ograniczoną przestrzeń. Sprawdźmy w katalogu.

- Wstała i podeszła do pokaznej kartoteki za biurkiem. - Na pewno znajdziemy to, czego pani szuka - zapewniła Connie, otwierając szufladkę.

Mam nadzieję, pomyślała, zastanawiając się, co powie Chiltonowi, jeśli ten trop okaże się fałszywy.

- No, to już coś wiemy - powiedziała bibliotekarka, przeglądając wyblakłe strony w jakiejś teczce. - Nasza pierwsza duża wyprzedaż odbyła się w tysiąc osiemset siedemdziesiątym siódmym roku. Jak tutaj napisano, książki, z których nikt nigdy nie korzystał, poszły na aukcję do Sacketta. To taki bostoński odpowiednik Christies albo Sotheby's - dodała, podnosząc wzrok.

- Celem sprzedaży było pozyskanie pieniędzy na konserwację zbiorów i wzniesienie nowego budynku biblioteki. - Zamknęła teczkę i popatrzyła na Connie. - Niestety, nie ma wykazu sprzedanych tytułów, jestem jednak przekonana, że u Sacketta wciąż trzymają taką dokumentację. Na pewno pani wie, jak bardzo bostońskie instytucje dbają o dokumenty.

Connie przypomniała sobie swoją wyprawę do Wydziału Testamentów i Postępowań Spadkowych i choć przed chwilą była gotowa się rozplakać, zachichotała cicho.

- Dziękuję za pomoc - zwróciła się do bibliotekarki, która właśnie wsuwała teczkę na miejsce w szufladce kartoteki za biurkiem.

Connie zbliżała się już do wyjścia, gdy młoda kobieta, która tymczasem usiadła za biurkiem i sięgnęła z powrotem po robótkę, powtórzyła z optymizmem w głosie:

- Jestem pewna, że pani znajdzie tę książkę. Trudno powiedzieć dlaczego, ale Connie jej uwierzyła.

Wędrując w to letnie popołudnie na błonia w Salem i objając sobie bok torbą z książkami, Connie wróciła myślami do rozmowy z Janine. W trakcie pisania pracy licencjackiej czytała wybitną pracę Manninga Chiltona o przekształcaniu

się medycyny w profesję w osiemnastowiecznych Stanach Zjednoczonych i rozumiała, że chce pisać u niego doktorat. Profesor Chilton traktował naukę tak, jak przystało historykowi wiedzy: nie jako zbiór faktów, które są prawdziwe bez względu na epokę, lecz jako sposób patrzenia na świat zależny od kontekstu historycznego. Co więcej, mimo niebywałego rozmachu i zakresu swoich prac, nigdy nie zapominał opisać bohaterów historii, które przytaczał. Lekarze z zakrwawionymi lancetami, zirytowane akuszerki, domokrażni sprzedawcy zamówionego drogą pocztową laudanum - wszyscy oni dzięki giętkiemu językowi profesora nagle nabierali życia. Ludzie w książkach historycznych Chiltona wydawali się Connie tak samo realni, jak studenci mijający ją na korytarzach Saltonstall Court albo żebracy na ulicach w pobliżu jej college'u. Profesor był obdarzony szczególnym talentem do zagładania w przeszłość, jakby miał wiadro ze szklanym dnem, które rybacy wrzucali niegdyś na linie do wody, by sprawdzić, jakie tajemnice kryje głębia pod łodzią.

Alchemia ze swym poszukiwaniem transcendencji, prowadzonym wciąż doskonalonymi technikami, w naturalny sposób przemawiała do Chiltona. Alchemik, korzystając z narzędzi chemii i innych gałęzi nauki, próbował wyjść poza rzeczywistość. Zdaniem Janine, były to poszukiwania o charakterze duchowym, ale mające bardzo konkretne zastosowanie. W alchemii chodziło o stworzenie piękna i wartości z niczego. Niepozorny przedmiot naturalny krył w sobie niezgłębione pokłady możliwości, do których można było dotrzeć dzięki praktyce, cierpliwości i zdobywaniu wiedzy - tak w każdym razie sądzono. Dla adepta znającego właściwą formułę kamień filozoficzny znajdował się w zasięgu ręki, a wraz z nim obietnica dostatniego, długiego życia. Oświecenie.

Bogactwo. Connie zmarszczyła czoło. Według Janine Chilton dowodził w swym referacie, że węgiel pierwiastkowy, po tajemniczym przekształceniu, może być podstawową substancją niezbędną do stworzenia kamienia filozoficznego.

Był więc potencjalnie kosztowny, a jednak obecnie pozbawiony wartości. Nieznany, a przecież znany wszystkim... podstawowy budulec życia.

Przystanąła, zatopiona w myślach. Może Chilton ryzykował nie tylko utratę reputacji, jak sądziła Janine? Przecież osiągnął już zaawansowany wiek, był u schyłku kariery zawodowej. Jako dziekan wydziału historii na Harvardzie zapewne zdobył prestiż, o jakim marzył. Ale może chodziło mu o coś więcej niż tylko o prestiż?

Stała zapatrzona w siatkę cieni na ulicy prowadzącej do kościoła, w którym, jak wiedziała, Sam właśnie odnawiał delikatne złączenia na kopule dzwonnicy. Ostatnio miała głowę tak zajęta problemami naukowymi, że całkiem straciła poczucie czasu. Przyzwyczajili się do rozmów przez telefon, pięciominutowej wymiany zdań późnym wieczorem, ale nie widzieli się ani razu od tego wieczoru, gdy na jej drzwiach wejściowych pojawił się okrąg. Wyobraziła go sobie teraz z nogą opartą o metalowe rusztowanie, w asekurującej uprząży, gdy złote punkciki sypią się z pędzla na jego dłonie i czoło. Uświadomiwszy sobie nagle, jak bardzo stęskniła się za nim przez te kilka dni, odczuła silną potrzebę, by zboczyć z zaplanowanej trasy i zajrzeć do kościoła.

Przez dobrą minutę przestępowała z nogi na nogę na rogu ulicy. W końcu sama ze sobą wynegocjowała, że pozwoli Samowi pracować w spokoju, ale w zamian za to ma prawo zatelefonować do niego wieczorem i poczynić konkretne plany. Usatysfakcjonowana tą umową, ruszyła dalej w stronę błoni, wracając myślami do Chiltona.

Profesor, co wiedziała od Janine, podczas konferencji naukowej twierdził ni mniej, ni więcej, że założenia alchemii można traktować dosłownie, z pewnością jednak nie opowiadał na prawo i lewo, że ołów można zamienić w złoto, tak jak to czynił karzeł Ti telitury w baśniach braci Grimm. Uśmiechnęła się, rozbawioną tym pomysłem. Nie. Chiltonowi na pewno chodziło o coś innego. Ale o co?

O substancję czy ideę? Co Manning Chilton rozumiał pod pojęciem kamienia filozoficznego?

Rozpościerały się przed nią błonia Salem, miejscami pozbawione murawy, rozedrgane od upału. Dostrzegła drzewo z kuszącym cieniem pod konarami i pochyliła się, by zerwać dmuchawiec. Musnęła wargę delikatnym, białym puchem, zamknęła oczy i pomyślała: chcę dowiedzieć się w domu aukcyjnym Sacketta, co stało się z księgą Deliverance Dane; a potem z całą mocą wypuściła z ust rozgrzane powietrze. Gdy podniosła powieki, miękka główka dmuchawca była potargana i pokaleczona, ale wciąż tkwiły w niej nasiona. Odrzuciła zniszczoną roślinę na bok, a ponieważ właśnie dotarła pod drzewo, położyła torebkę na ziemi i usiadła.

Poczuła, że coś uwiera ją w tylnej kieszeni szortów, i sięgnęła, żeby sprawdzić, co to jest. Przedmiotem tym okazał się plik kartek z notatnika znalezionej tego ranka w babcinej kuchni. Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie reakcję Grace, kiedy otworzy w Santa Fe kopertę pobrzmiwającą głosem Sophii. Przełożyła górną kartkę na spód stosiku i ujrzała kolejny przepis. „Potrawka z kurczaka - głosił tytuł. - Dokładnie oskub i sparz świeżego kurczaka, gotuj z marchwią i pokrojonym w kostkę selerem. Dopraw solą i pieprzem. Podawaj ze śmietaną i odrobiną bulionu. Na przygotowanie potrzeba sześciu godzin. Pasuje do białego ryżu”. Czytając tę karteczkę, wyobraziła sobie babcię ze związanymi z tyłu siwymi włosami w kuchni domu przy Milk Street, jak podpira się w szerokiej talii zwiniętą w pięść dłońią, a drugą ręką zanurza w bulgocącym kociołku długą drewnianą łyżkę. Nozdrza wypełnił jej aromat duszonego kurczaka i zobaczyła, jak babcia obraca się przez ramię, by z uśmiechem powiedzieć: „Jeszcze tylko godzinka”. Szybko przełożyła karteczkę na spód i odsłoniła następną.

„Gotowany homar - ukazał się jej oczom nowy tytuł. - Ostrożnie umyj żywe homary, potem wrzuć do garnka z osoloną wrzącą wodą i szczelnie go przykryj. Dodaj majeranku na ból. Gotuj, póki nie staną się jaskrawoczerwone, dosyć dłu-

go, zależnie od wielkości. Podawaj z cząstkami cytryny i roztopionym masłem. Będiesz potrzebować dziadka do orzechów". Palcami stóp zsunęła sandały i położyła się w trawie na brzuchu. Trzymając tę kartkę, wyobrażała sobie starszego, brodatego mężczyznę z ogorzałą twarzą i zmarszczkami w kącikach oczu, w spłowiałej czapce kapitana na głowie. Właśnie zapukał do kuchni od tyłu, a babka odstawiła miotłę do kąta i przytrzymując biodrem drzwi, wzięła od niego toporną drewnianą skrzynkę, mówiąc: „Zawsze jest mi ich żal”, na co mężczyzna odpowiedział: „W tym tygodniu złowiłem niedużo ponad nasze potrzeby, Sophio”.

- Babcia - szepnęła Connie, zastanawiając się, jakie jeszcze obrazy ledwo pamiętanej przez nią kobiety mogą powstać w jej wyobraźni podczas czytania tych skąpych notatek. - „Najlepsze dla pomidorów” - przeczytała na kolejnej kartce i usłyszała w głowie głos babci, mówiącej „pomidry” zamiast „pomidory”. Dalej jednak pismo było mało czytelne, więc zbliżyła kartkę do nosa i zmrużyła oczy, aby rozpoznać pospiesznie skreślone kształty liter. Trzymając przepis oburącz przed sobą, każdą z liter wymawiała najpierw osobno, pozwalając, by same układały się w sylaby, a następnie w słowa.

- *Pater in... caelo* - zaczęła, zastanawiając się, skąd babcia wzięła przepis po łacinie. - *Te oro et obsec... obsecro in ben... be-nignitate tua.*

Znów zmrużyła oczy i mocniej zacisnęła palce na kartce, ponieważ dłonie zaczęły ją piec i palić, jakby ujęła nimi pokrzywę.

- *Ut sinas hanc herbam, vel lignum.* - Gorąco i pieczenie w dłoniach stały się bardziej dotkliwe, bliskie bólu. Zamrugnęła gwałtownie, gdyż wydało jej się, że przepis otoczony jest świetlistą, niebieskawą aureolą. Skrzywiła się, bo ból był nie do wytrzymania, i dokończyła: - *Vel plantam crescere et vigere catena temporis non vincit.*

Niebieskawe światło skupiło się w pulsującą kulę między jej dłońmi, która strzelała nitkami wyładowań elektrycznych w kierunku suchego nasionka dmu-

chawca leżącego obok na ziemi. Osłupiała Connie, z otwartymi ustami i oczami jak spodki, patrzyła, jak nasionko marszczy się, nabiera masy i pęcznieje, a potem z jego wnętrza wychyla się smukła, krucha łodyżka, wyciąga się wyżej i wyżej, aż w końcu wybucha na samym końcu żółtym kwiatem. Zanim zdążyła w pełni pojąć, co się stało, kwiat pękł i zamienił się w biały puch.

Jak zahipnotyzowana wpatrując się w to zjawisko, opuściła ręce i ból zniknął równie nagle, jak się pojawił. W tej samej chwili powiew wiatru uderzył w dmuchawiec i porwał delikatne, puchate nasiona, które uniosły się niczym małeńka chmura, a po chwili zniknęły.

- O Boże - szepnęła, patrząc w osłupieniu, jak martwa już łodyga mlecza zamienia się w proch, z którego powstała.

TLR

Część druga
SITO I NOŻYCE



TLR

Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo. Ono było na początku u Boga.

J 1, 1-2

A ja ci powiadam, że ty jesteś Piotr, i na tej opoce zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne nie przemogą go.

Mt 16,18

TLR

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Marblehead, Massachusetts

połowa lipca 1991 roku



Kartki rozłożone na stole w równych rzędach, jeden za drugim, wyglądały jak pasjans. Connie wydłużyła nieco knot lampki naftowej, aby rozjaśnić pomarańczowy blask płomienia i usiadła przy stole, wsuwając dłonie pod uda. Głowę wtuliła w ramiona. Większość kartek zawierała nieciekawe przepisy: gotowany homar, kilka rodzajów zapiekanki, potrawki, kurczak; wszystkie nosiły ślady mąki i odciski palców niczym stale używane naczynia kuchenne. Ale były też inne.

Odsunęła się od stołu, wstała i zaczęła spacerować po jadalni. Cykl powtarzał się już od godziny, to siadała przy stole, to podrywała się, nie mogąc usiedzieć w miejscu. Jej energia powoli się wyczerpywała, pozostawiając przykre wrażenie pulsowania krwi w żyłach, pobudzenia wszystkich nerwów i silnego przyływu adrenaliny.

Trzy kartki nie zawierały przepisów kulinarnych. Ułożyła je na stole z dala od innych i przyglądała się im nieufnie.

Należało działać racjonalnie, to jasne. Opuściwszy w panice błonia w Salem, wskoczyła do swojego volvo i z piskiem opon odjechała do domu. Przez cały

czas stanowczo tłumaczyła sobie że zdarzenie z dmuchawcem było zbiegiem okoliczności, że dały o sobie znać napięcie i lęk, a także nadmiar czasu spędzonego samotnie. Rozłożyła kartki na stole w jadalni, gdzie mogła bezpiecznie je zbadać w warunkach niemal laboratoryjnych.

Skierowała wzrok na stół i wzięła do ręki kartkę zatytułowaną „Najlepsze dla pomidorów”. Marszcząc czoło, wyniosła ją z jadalni do holu przy drzwiach wejściowych i przykucnęła obok martwej rośliny w pękniętej porcelanowej donicy. Świadoma absurdalności swojego zachowania, uniosła dłoń, kierując ją ku szczątkom rośliny, i odczytała na głos treść kartki.

Nic się nie stało.

-Widzisz? - powiedziała do Ario, który pojawił się na schodach. - To po prostu zmęczenie.

Pies spojrzał jej pytająco w oczy; sierść miał upstrzoną płatkami farby w kolorze ścian klatki schodowej. Przyglądała mu się przez chwilę, po czym wstała i wróciła do jadalni, a zwierzę potruchtowało za nią.

Tym razem stanęła przed jedną z doniczek wiszących w oknie, ze szczątkami zielistki, zwanej też rośliną-pajakiem. Była zeschnięta od tak dawna, że pod samym dotknięciem resztki jej liści rozsypywały się na proszek. Między liśćmi wisiało kilka pajęczyn, od dawna już bezpańskich. Ziemia w doniczce wyschła na wiór, między martwymi korzeniami a brzegiem naczynia pojawiły się głębokie szpary.

-No dobrze - powiedziała Connie, odłożyła kartkę na stół i skupiła uwagę na martwej roślinie. Uniosła dłonie tak, że rozcapierzone palce stworzyły rodzaj okrągłego koszyka. Zmarszczyła czoło, koncentrując się na punkcie dokładnie w środku powstałej w ten sposób sfery, głęboko w wyschniętej ziemi.

-*Pater in caelo* - powiedziała cicho i doznała w dłoniach silnego pieczenia. -
Te oro et obsecro in benignitate tua - ciągnęła, a między jej wyciągniętymi pal-

cami pojawiło się delikatne niebieskawe światło, stopniowo coraz bardziej skupione, układające się w wirującą bańkę. Poczowała nagły, bolesny dreszcz.

- *Ut sinas hanc herbam, vel lignum, vel plantam, crescere et vigere catena temporis non vincam* - dokończyła. Świetlista niebieska kula zmateriałizowała się wyraźniej, a palce Connie połączyły się ze środkiem ceramicznej doniczki jaskrawymi zygzakami wyładowań. W tej samej chwili zeschnięte liście odzyskały dawną sprężystość, zielone tchnienie życia docierało do każdej pocerniałej części zielistki. Roślina wypuszczała coraz to nowe kruche pędy, na których rozwijały się nowe liście, przykrywając ziemię i przekraczając krawędź doniczki. Zanim Connie opuściła ręce, jadalnię wypełnił zapach wilgotnej gleby, a zielistka kołysała się lekko, znów bujna i gęsta.

Connie zatoczyła się do tyłu i odruchowo przytrzymała krawędzi stołu; jej oddech stał się płytki, urywany. Do oczu napłynęły jej gorące łzy i zorientowała się, że przy każdym wydechu wydaje z siebie jęk przerażenia. Namacawszy oparcie jednego z krzeseł, odciągnęła je od stołu w samą porę, by na nie opaść, gdy nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Przerażona splotła przed sobą ręce i pochyliwszy się, oparła czoło na kolanach, wstrząsana szlochem.

W jej głowie pojawiły się nagle kawałki wielkiej układanki, złożonej z kobiecych twarzy, której elementy wirowały i przepychały się, aż w końcu ułożyły się w całość. Oczami wyobraźni ujrzała twarz babci z ciemnopopielatymi, ściągniętymi z tyłu włosami i lśniącymi jasnymi oczami. Babcia zrywała wielkiego, połyskującego pomidora z krzaczka w ogrodzie. Po chwili jej miejsce zajęła młoda kobieta z zaróżowionymi policzkami, twarzą idealnie obramowaną regularnym czepkiem z białego płótna oraz z opadającym na ramiona kołnierzykiem, jaki nosili purytanie. Deliverance - czy raczej Deliverance, jaką Connie sobie wyobraziła - bezgłośnie poruszała ustami, czytając z wielkiej otwartej księgi. Potem pojawiła się kobieta o znużonej twarzy, opalona, w marszczonym czepku, innym niż poprzedni. Zmęczona Prudence przesuwiała po stole paczkę ku jakiej-

muś niewidocznemu człowiekowi. Wreszcie Connie ujrzała Grace w kuchni domu w Santa Fe; proste włosy opadały jej na ramiona, a dłonie poruszały się kilka cali nad głową płaczącej kobiety.

Wszystkie miały te same jasnoniebieskie oczy.

Connie wyprostowała się, pocierając dłońmi rozpalone czoło. Kiedy opuściła ręce, zobaczyła najpierw smutnego Ario, leżącego z pyskiem na wyciągniętych przednich łapach, a za nim na ścianie kobietę z portretu, który - czego dotąd nigdy nie zauważyła - miał na ramie małą, ryta tabliczkę ze słowami: **TEMPERANCE HOBBS**. Kobieta w dziewiętnastowiecznej sukni z opadającą linią ramion i talią osy przyglądała jej się, posyłając nikły uśmiech osoby wtajemniczanej.

- To nie może być prawda! - szepnęła, obejmując się kurczowo i bujając na krześle. W pierwszej chwili pomyślała o Grace i o tym, że musi z nią jak najszybciej pomówić. Ale babcia! Wzrok Connie skakał jak szalony z miejsca na miejsce po całym domu. Zobaczyła poczerwiałe słoczeki w jadalni, kukurydzianą laleczkę w sukience z dymki i z włóczkową kokardą, leżącą na gzymsie kominaka, imię Deliverance ukryte głęboko w rodzinnej Biblii.

Okrag wypalony na drzwiach wejściowych. Zerwała się i popędziła do telefonu.

Gdy wpadła do sieni i chwyciła za słuchawkę, uchyliły się drzwi wejściowe. Zmartwiała.

- Connie? - rozległ się głos Sama, który zajrzał do środka. Na ten dźwięk rzuciła słuchawkę na widełki, wydała okrzyk ulgi, oplotła jego szyję i wdychała słony zapach skóry z chemiczną domieszką farby, której lśniące punkciki wciąż były uczipione jego kucyka. - Hej - powiedział zakłopotany i przez chwilę niezdarne otaczał ochronnym pancerzem ramion jej drżące plecy, by zaraz przesunąć ręce na wysokość talii. Stali objęci w ten sposób przez dłuższą chwilę, nie zważając na otwarte drzwi. Ario wybiegł z jadalni, obszedł dookoła cztery złączone ze sobą stopy i zniknął na podwórzu.

- Sam - powiedziała stłumionym głosem. Teraz przypomniła sobie, że zaraz po powrocie do domu dzwoniła do niego i zostawiła na automatycznej sekretarce zdyszana, pełną niepokoju wiadomość z opisem tego, co stało się na błoniach w Salem, i pytaniem, czy mogą się zobaczyć. Całkiem wyleciało jej to z głowy.

- Usiądźmy - zaproponował i zaprowadził ją do ciemnego saloniku. Tam ułokował ją na fotelu, z rękami na kolanach, i przysunął sobie zdobiony haftem podnózek, by usiąść u jej stóp. Oparł na kolanach opalone dłonie i spojrzał na nią wyczekująco. - No więc tak - rzekł po chwili. - Przeczytałaś na głos treść kartki i wtedy odleciały nasiona z dmuchawca? - Jego twarz wyrażała zainteresowanie, ale była to tylko maska dla głęboko skrywanej troski. Z jego oczu wyczytała, że jej nie wierzy. Dlaczego zresztą miałby wierzyć?

- Nie chodzi o to, że odleciały, Sam - odparła zniecierpliwiona i nie całkiem przekonana, czy chce, by uwierzył, że coś takiego zaszło naprawdę, czy raczej by przekonał ją, że prawda, której była już pewna, jest złudzeniem. - To ja sprawiłam, że odleciały, rozumiesz? Poprzez odczytanie jakiegoś łacińskiego tekstu z przepisu babki spowodowałam, że kwiat pojawił się nie wiadomo skąd, rozkwitł i obumarł! Wszystko jednocześnie!

- W porządku - powiedział. - Rozumiesz jednak, że kto inny może zakładać, że najpierw coś przeoczyłaś, a potem przypadkiem odetchnęłaś głęboko albo zrobiłaś cokolwiek innego, co mogło spowodować efekt przekwitania? Przyznasz, że to logiczne wyjaśnienie? - naciskał, całkiem zresztą życzliwie.

Connie zwróciła uwagę na jego zmęczoną twarz. Wewnętrzny głos podpowiadał jej, by nie drażnić tego tematu, bo Sam dojdzie do wniosku, że postradała zmysły. Każdy rozsądny człowiek odsunąłby się od niej na bezpieczny dystans. Wynałazłby powody niezwiązane z nią bezpośrednio i wkrótce znikłby z jej życia. Spłoszona, przełknęła ślinę.

- Chyba tak - przyznała, cedząc słowa. Po chwili jednak zmieniła strategię. - Tak, jestem pewna, że masz rację. To byłoby logiczne wytłumaczenie. - Nie

spojrzała mu jednak w oczy, lecz splatając ręce, wbiła wzrok w jakiś punkt na wytartym dywanie.

Sam pochylił głowę i czubkami palców zaczął masować sobie skronie. Connie przemknęło przez myśl, że nawet nie spytała o jego pracę. A on przecież spędził cały dzień zawieszony wysoko nad ziemią w pustym kościele, pod rozgrzanym dachem, nakładając farbę na kopułę dzwonnicy.

- Jak ci idzie złocenie? - spytała, wyciągając rękę, by odgarnąć mu kosmyk z twarzy. Po czole spływał mu pot, a gdy dotknęła jego skóry, poczuła nagle, jak zmęczenie Sama przepływa do jej dłoni i przedramienia, ciągnąc je w dół niczym odważnik.

- Całkiem dobrze. Gorąco tam, ale poza tym nie jest źle. - Odetchnął. Connie delikatnie przesunęła kciukiem po jego czole między brwiami. W ramach eksperymentu, właściwie nieświadomie, spróbowała wysłać poprzez swój układ nerwowy instrukcję, aby się odprężył. Coraz bardziej zdumiona poczuła, że tkanka pod jej kciukiem nabiera sprężystości, i usłyszała ciche westchnienie Sama. Cofnęła rękę i popatrzyła na nią z nieskrywanym zaskoczeniem. Przez moment widziała na czole Sama bladoniebieski odcisk palca, który zaraz znikł. Wlepiła wzrok w to miejsce, choć on chyba nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że właśnie zaszło coś niezwykłego.

Wstał z podnóżka i przeniósłszy się na fotel przy kominku, zakrył oczy rękami.

- Cieszę się, że z tobą wszystko w porządku - powiedział, nie odsłaniając twarzy. Po chwili wahania Connie usiadła mu na kolanach i objęła go za szyję. On także otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. - Ta wiadomość brzmiała tak, jakbyś była na haju. Martwiłem się o ciebie - szepnął jej we włosy.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się.

- Tak - przyznał, tuląc ją mocniej. Czowała na nodze ciepło jego dłoni, bezpieczne i dojmujące.

Oparła głowę na jego piersiach, z nadzieją, że uspiła jego czujność. Po raz pierwszy tego dnia, dzięki cudownej bliskości Sama opuścił ją niepokój. Przez chwilę siedzieli bez słowa na fotelu, spleceni w uścisku. Głaskał ją kciukiem po udzie, badając gładkość jej skóry.

- Sam? - odezwała się po chwili; poplamiona farbą koszula stłumiła jej głos.

- Słucham? - powiedział, przesuwając rękę wzdłuż jej pleców. Ustami odnalazł miejsce na szyi pod uchem, a jego oddech poruszył włoski na jej karku. Poczowała przyjemne mrowienie skóry. Sam wyprostował się i usadowił wygodniej na krześle.

Odchrząknęła.

- Wiesz, gdybyś chciał zostać na noc, to nie mam nic przeciwko temu.

Odniosła wrażenie, że zaproszenie wypadło żałośnie. Natychmiast powróciła myślami do czasów college'u i przypomniała sobie katusze podczas rozmów z aroganckimi chłopakami, do których w żaden sposób nie potrafiła dotrzeć. Czekala na odpowiedź pełna obaw, że Sam ją wyśmieje.

Roześmiał się, ale serdecznie, i mocniej objął ją w talii. Przez delikatną flanelę jego roboczej koszuli czuła ciepło promieniujące od jego ciała i śmiech wibruujący w klatce piersiowej. Podbródek ze świeżym zarostem drapał ją w czoło. Cicho wypuściła powietrze i dopiero w tej chwili zorientowała się, że czekała, wstrzymując oddech.

- Co za ulga! - zawołał, otwierając oczy. - Właśnie uratowałaś mnie przed wymyślaniem głupich pretekstów, że powinienem chronić cię przed wandalami.

Zwróciła ku niemu twarz, a on ją pocałował, i jeszcze raz, głębiej, delikatnie głaszcząc ją po twarzy.

Zanim się połapała, co się dzieje, Sam już stał, oplatając sobie jej nogi wokół pasa, i niósł ją ku schodom.

- No nareszcie - powiedział stłumionym głosem.

Connie odrzuciła głowę do tyłu i zaniósła się śmiechem, a mimo to zdążyła zrobić unik, by nie zderzyć się z belką, gdy wspinał się po wąskich schodach do sypialni na poddaszu.

TLR

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Cambridge, Massachusetts

połowa lipca 1991 roku



Drewniana, pomalowana na czarno ława w przedsiionku gabinetu Manninga Chiltona na wydziale historii Harvardu, imitacja mebla windsorskiego, była twarda i miała ostro zakończone listwy oparcia, zaprojektowane tak niewątpliwie po to, by zniechęcić do siadania. Connie wyciągnęła przed siebie lewą rękę, zgięła po kolei wszystkie palce i każdym dotknęła kciuka. Ponieważ zeszłego wieczoru Sam nalegał, w końcu pokazała mu kartkę z łacińskim tekstem, a on przeczytał ją kilkakrotnie. Raz spróbował wypowiedzieć na głos zapisane słowa, wyciągając dłoń ku jednej z martwych roślin w saloniku, ale bez rezultatu.

- No widzisz? - zwrócił się do niej. - To był tylko zbieg okoliczności.

- Wiem - potwierdziła. - Pewnie się przepracowałam.

- Zbyt wiele czarownic masz naraz w głowie, Goodwin - zażartował.

Powstało jednak pytanie, dlaczego kartka nie zadziałała, kiedy czytał ją Sam. Ilekroć Connie próbowała uchwycić możliwe rozwiązanie, rozpadało się jak mokry papier w dłoniach. Dla Sama potwierdzenie, że to tylko zwyczajna kartka, w zasadzie oznaczało, że temat jest zamknięty. Faktycznie, im więcej czasu mijało od ożywienia zielistki, tym mniej wydawało jej się to możliwe. A przecież zdarzyło się naprawdę.

Zerknęła na zegarek. Nie przywykła do tego, by Chilton kazał jej czekać przed swoim gabinetem. W odróżnieniu od Janine Silvy, wiecznie zdyszanej i

spóźnionej, Chilton ściśle przestrzegał planu dnia. Jego dyżury odbywały się nawet wtedy, gdy w najbardziej upalnych tygodniach lata większość wykładowców uciekała z miasteczka uniwersyteckiego. Connie zaczęła kiwać klapkiem na nodze, unikając spoglądania w stronę niepokojącego pejzażu ze słońcem i księżycem w tle. Poruszyła łopatkami. Środkowa listwa oparcia była ozdobiona wyrzeźbioną w drewnie pieczęcią uniwersytetu z dewizą *Veritas* - prawda - w otoczeniu kunsztownego ornamentu. Wypukłe części rzeźby uwierały ją w plecy, odchyliła się więc i oparła łokcie na kolanach. Zastanawiała się, jak długo jeszcze może czekać. Może Chilton zapomniał o ich spotkaniu, choć to do niego zupełnie niepodobne? Zaczęła grzebać w torebce, szukając czegoś do czytania, ale właśnie wtedy drzwi gabinetu się otworzyły i kątem oka dostrzegła dwa wyglansowane mokasyny. Podniosła wzrok i ponad granatową klubową muchą ujrzała bladą, wymizerowaną twarz Manninga Chiltona.

- Connie, moja panno. - Jego głos zdradzał napięcie. - Przecież jesteśmy umówieni, prawda? Proszę, niech pani wejdzie.

Nie mając szans na odpowiedź, szybko wzięła torebkę i weszła za Chiltonem do gabinetu. Widok jego zafrasowanej twarzy zepchnął wydarzenia poprzedniego wieczoru na dalszy plan, skoncentrowała się bowiem na interpretowaniu aktualnych stosunków z promotorem.

Dębowe biurko, zwykle lśniące nagim blatem, było zasłane stertami papierów, niebezpiecznie rosnącymi w rogach. Przy łokciu Chiltona wznosiła się piramida z półtuzina książek z mnóstwem zakładek, a przed nim leżał żółty notatnik, zapisany bez marginesu notatkami. W zasięgu ręki miał również popielniczkę i fajkę, której cybuch nosił ślady zębów. Chilton rozparł się w fotelu i przesłonił twarz dłońmi, podpierając skronie. Connie odniosła wrażenie, że zauważyła nawet okrągły ślad po filiżance kawy odcisnięty na jednym z papierów wystających spod zielonej lampy. On tymczasem kiwał się nieznacznie w fotelu, nie patrząc na nią i chyba nie całkiem świadom tego, że zajęła miejsce naprzeciwno.

- Panie profesorze? - odezwała się i pochyliła w jego stronę, by spojrzeć mu w oczy.

Kiwał się jeszcze przez chwilę, wreszcie zamrugał i skierował na nią wzrok. Wydawał się starszy niż go zapamiętała, włosy miał o ton bielsze, skórę trochę bledszą. Widocznie praca wyczerpywała go bardziej, niż sugerowała Janine. Po raz pierwszy od wielu lat, odkąd jako studentka poznała Chiltona, Connie poczuła potrzebę chronienia go, bo wyobraziła sobie pogardę, z jaką musiał się spotkać na konferencji wspomnianej przez Janinę. Może jego zainteresowania stały się zbyt ezoteryczne dla typowych historyków, zanadto ocierały się o filozofię. To rozpałiło w niej płomyk aprobaty dla jego poczynań, a nawet dumy, że będzie pracować z człowiekiem, który może zmienić dotychczasowy sposób rozumienia historii.

- Niech mi pani powie, Connie, jak stoimy z pani kolonialną księgą zaklęć? - zapytał szorstko i płomyk zgasł, a wraz z nim rozproszyło się ciepło. Natychmiast ogarnął ją paniczny niepokój źle przygotowanego studenta.

- Księga zaklęć? - spytała. - Moje ostatnie badania wskazują, że jest to rodzaj almanachu. - Głos jej zadrżał, nie była bowiem pewna, czy postępuje rozsądnie, poprawiając Chiltona.

- Sam co nieco sprawdziłem w tej sprawie, moja panno. - Pochylił się ku niej. - Księga zaklęć to współczesny termin na określenie zbioru przepisów magicznych i zaklęć, które dana czarownica uważa za szczególnie skuteczne. Mistrz często przekazuje ją uczniowi w akcie inicjacji. Może pani nazywać to sobie almanachem, ja jednak upewniłem się, że mamy do czynienia właśnie z księgą zaklęć. Skoro jednak pani tego nie wie, to zakładam, że nie zdołała pani jeszcze zlokalizować przedmiotu poszukiwań. Proszę mi więc powiedzieć, na czym stoimy. - Splótł przed sobą dłonie i wbił w nią pełen oczekiwania wzrok.

Księga zaklęć? Connie wzdrygnęła się na myśl o tej dziwacznej nazwie. Zainteresowało ją, gdzie Chilton „co nieco sprawdził”, jak sam powiedział. I po co

podąża jej śladem, skoro jego własna praca jest wyraźnie na zakręcie? Ogarnęła ją dziwne uczucie zazdrości o własne terytorium, a wraz z nim irracjonalna złość na Chiltona, że zajmuje się jej tematem zamiast swoim. Posortowała więc w głowie odkryte szczegóły, wybrała te, którymi chciała się podzielić, a resztę starannie ukryła w zakamarkach umysłu, aby nie ujawniać do końca swojej koncepcji. Czy to oznaczało obłudę? Odczuwała przemożną chęć ukrycia swoich planów przed promotorem. Opowie mu o postępach w poszukiwaniu księgi, ale podejrzania co do jej treści zachowa dla siebie.

- Znalazłam książkę, która została wyłączona ze zbioru Salem Athenaeum w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku. Moim następnym krokiem będzie więc odwiedzenie archiwów domu aukcyjnego, które podobno są kompletne.

- Sackett - wtrącił Chilton, sprawiając wrażenie znudzonego.

- Tak - odparła, ze zdumienia unosząc brwi. - Skąd pan wie?

- Moja panno, wszystkie dziewiętnastowieczne aukcje w Bostonie, mające jakiegokolwiek znaczenie, prowadził Sackett - powiedział i lekceważąco machnął ręką, po czym przeszył ją chłodnym wzrokiem, wyrażającym zdziwienie, że ten fakt nie jest jeszcze dla niej oczywisty.

- Bibliotekarka z Salem Athenaeum była prawie pewna, że książkę nabył zbieracz artefaktów z okresu kolonizacji - ciągnęła niezrażona Connie. - Dlatego losy książki niemal na pewno da się prześledzić. Prawdopodobnie krążyła wśród prywatnych kolekcjonerów. Potrzebuję tylko trochę więcej czasu.

Chilton sapnął i sięgnął po fajkę leżącą na popielniczce.

- Trochę więcej czasu - powtórzył chłodno. Trzymając w palcach cybuch, zanurzył główkę fajki w woreczku z tytoniem wyjętym z górnej szuflady biurka, ani na chwilę nie spuszczać przy tym wzroku z twarzy Connie.

W nozdrza uderzył ją słodkawy zapach mieszanki sprzedawanej w trafice na Harvard Square. Zastanawiała się leniwie, czy fajka jest jego przyzwyczajeniem

z czasów licencjatu, czymś, co w chłopięcym wieku wymyślił sobie jako tani pozór wyrafinowania. Próbowała wyobrazić sobie nastoletniego Manninga Chiltona z zaczesanymi do tyłu ulizanymi włosami i krzywo zawiązaną muchą, unoszącego szklane wieczko pojemnika pełnego liści suszonego tytoniu. Jednak zgrzyt był oczywisty, ten obraz po prostu nie pasował do posępnego przedstawiciela bostońskiej elity, przyglądającego jej się z taką niechęcią.

- Connie - rzekł, głęboko zaciągnawszy się dymem. - Chciałem poczekać i powiedzieć o tym, kiedy znajdziesz księgę, ale widzę, że potrzeba ci dodatkowej motywacji.

W odpowiedzi spojrzała na niego krzywo. Czego od niej oczekuje? Poszukiwania i tak muszą potrwać, powinien to rozumieć.

- Jak wiesz, Stowarzyszenie Kolonialne zaprosiło mnie, żebym w ostatnim tygodniu września wygłosił wykład na temat moich ostatnich badań nad technikami alchemicznymi i myśleniem magicznym w czasach początków osadnictwa w Ameryce Północnej. Mogę chyba śmiało powiedzieć, że moje badania wzbudziły niemałe zainteresowanie. Chciałbym zaprosić cię do udziału w prezentacji wyników. - Wypuścił dym z fajki, a z jego dość nieprzytomnych oczu można było wyczytać, że oczekuje teraz wylewnego podziękowania.

W pierwszej chwili Connie poczuła zadowolenie i radość. Propozycja wspólnej prezentacji z opiekunem naukowym była doprawdy czymś wyjątkowym, wspaniałym. Jednocześnie z zakamarków umysłu przywołała opowieść Janine o ostatnich pracach Chiltona. Przyglądała mu się więc i czekała.

Kiedy nie okazała dostatecznego entuzjazmu, wyglądał na zbitego z tropu, opanował się jednak niemal natychmiast. Odchrząknął.

- Bez wątplenia zdajesz sobie sprawę z tego, że dla doktorantki jest to niepowtarzalna okazja. Z przyjemnością zaprezentuję twoje badania przed tak godnym audytorium. Trzeba też dodać, że dzięki kontaktom nawiązanym na tej konferencji najprawdopodobniej otworzą się przed tobą różne możliwości zawodo-

we. - Urwał i zniżył głos. - Atrakcyjne możliwości zawodowe. Jednakże nie będę w stanie przedstawić cię moim kolegom, jeśli księga pozostanie niezlokalizowana. Rozumiesz więc, że mamy pewien problem.

Przełknęła ślinę i postanowiła ostrożnie zbadać grunt.

- Panie profesorze, może gdyby wspomniał pan w ogólnym zarysie, czego będzie dotyczyć pańska prezentacja, łatwiej byłoby mi się przygotować.

Przyjrzał jej się z uwagą, ważąc słowa.

- To bardzo rozsądne życzenie - przyznał. - Będę mógł wprowadzić cię w niektóre szczegóły, kiedy przyniesiesz mi księgę.

- Rozumiem.

Popatrzył na nią, pykając z fajki, i wypuścił nosem dym, który utworzył wokół jego głowy chmurę o słodkawym zapachu.

- Uda ci się? - spytał, odchylając się na oparcie fotela.

- Tak. - Connie czuła się coraz bardziej zakłopotana. - I dziękuję. To jest niesamowita szansa. Nie zawiodę pana.

Słowa popłynęły jej z ust tak, jakby recytowała gotowy scenariusz. Wstała i przycisnęła do piersi torebkę, unikając niewzruszonego spojrzenia profesora. Krok za krokiem zaczęła wycofywać się do drzwi, aż wreszcie ręką namacała za sobą i obróciła mosiężną gałkę. Wychodząc na korytarz, usłyszała za sobą głos Chiltona:

- Znajdź tę księgę, Connie.

Drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Boston, Massachusetts

połowa lipca 1991 roku



Rozległ się dzwonek i wielka ciżba ludzka zgromadzona przy drzwiach wagonu, tworząca plątaninę rąk, nóg, słuchawek i plecaków, wylała się na zewnątrz, początkowo wąską, potem coraz szerszą strugą. Czując, jak rzeka ciał wynosi ją na peron metra, Connie starała się wstrzymać oddech, by ochronić się przed mieszaniną woni perfum, potu, asfaltu i stopionych opon. Mocno przyciskając do siebie torebkę, przesuwała się po peronie, a potem tłum wypchnął ją na schody, gdzie trzeba było ominąć lub przeskoczyć śpiącego w poplamionym oliwkowoburym śpiworze mężczyznę, aby dotrzeć w końcu do wyjścia ze stacji Arlington. Na górze, w otwartej przestrzeni Ogrodu Publicznego, tłum podróżnych podzielił się natychmiast na dwu- i trzyosobowe grupki.

Connie przystanęła pod okazałą wierzbą płaczącą, której gałęzie opadały do samej ziemi. Odpoczęła chwilę w jej cieniu, zadowolona, że powiew bryzy osusza krople potu na jej czole i ramionach. Chociaż faktem jest, że Boston jako aglomeracja wchłonał wiele ciasno zabudowanych, schludnych miasteczek skupionych na północno-wschodniej rubieży Massachusetts, to każdemu z tych małych lenn udawało się uporczywie trwać przy własnej tożsamości znacznie lepiej, niż przypuszczałby obserwator z zewnątrz. Connie spędziła dzieciństwo w spokojnej, leśnej okolicy pod Concord, ostatnio poruszała się głównie po wybru-

kowanych kostką ulicach Cambridge, ale dotychczas znalazła tylko kilka powodów, by wybrać się do samego Bostonu. Nieco oszołomiona przyglądała się teraz trawnikowi, ciągnącemu się od Boylston Street do stawu z liliami wodnymi w Ogrodzie Publicznym, po którym turyści pływali łodziami w kształcie łabędzia. Wyciągnęła z torebki zmiętą kartkę i zerknęła na wskazówki, które zanotowała podczas rozmowy telefonicznej.

- Providence Street - przeczytała na głos i zerknęła najpierw w prawo, potem w lewo. Od właściwej ulicy dzieliły ją najwyżej dwie przecznice, zawsze jednak gubiła się w śródmieściu Bostonu, więc i teraz miała trudności ze znalezieniem właściwego adresu. Zerknęła na hotel Ritz-Carlton po drugiej stronie ulicy, przesłonięty ciągiem limuzyn z przyciemnianymi szybami, i witrynę sklepu Shreve'a, przed którą gromadziły się obładowane torbami firmowymi kobiety, podziwiając lśniące klejnoty. Zacisnęła powieki, dokonała wyboru na chybił trafił i ruszyła przed siebie.

Ku swojemu zaskoczeniu obrała prawie idealny kierunek i po kilku minutach spaceru mogła pchnąć solidne drzwi firmy Sackett Auctioneers and Appraisers. Weszła do chłodnego holu o dostojnej, lekko przebrzmiałej elegancji właściwej wielu instytucjom w Bostonie. Granatowy orientalny dywan na podłodze był miejscami przetarty, a jego kwiecisty wzór naruszyły mole. Nad splekaną kanapą ze skórzanym obiciem wisiał obraz w złotych ramach, przedstawiający kliper pod pełnymi żaglami, miejscami zbrązowiały od tytoniowego dymu. Na skromnym stoliku rozłożono kilka starych egzemplarzy magazynu „Yankee Home”. Przemknęło jej przez myśl, że Nowy Jork spogląda naprzód, a Boston nie potrafi się uwolnić od oglądania się za siebie. Wiecznym piórem wpisała swoje nazwisko do księgi gości i weszła po schodach do głównej galerii.

Trwały przygotowania do aukcji obrazów drugorzędnych pejzażystów amerykańskich. Wielkie płótna pokryte kłębiastymi chmurami i połamanymi pniami drzew sąsiadowały z nieciekawymi marinami, wśród których znów było kilka

kliprów. Scena skutego lodem portu w Gloucester omal nie straciła jej ze schodów, jako że w ostatniej chwili zauważyła poniżej ramy prawie niewidoczne stopy niosących ją ludzi. Przez kilka chwil nikt nie zwracał na nią uwagi, aż wreszcie poklepała po ramieniu robotnika, który właśnie oparł o ścianę pejzaż mroźnego portu. Energicznym skinieniem głowy wskazał jej drzwi ukryte w kącie galerii, więc podziękowała mu tym samym gestem.

Wkrótce znalazła się w długim korytarzu z licznymi drewnianymi drzwiami oznaczonymi nazwami działów. Za nią znalazły się „Instrumenty muzyczne”, „Biżuteria”, „Grafiki i prace na papierze”, aż w końcu przystanęła przed tabliczką „Rzadkie manuskrypty i książki”. Zapukała cicho, ale od tych kilku stuknięć drzwi uchyliły się same. W szparze ujrzała pokój biurowy pełen teczek i papierów, pośrodku którego siedział krągły, na oko sympatyczny człowiek z lupami jubilerskimi na okularach.

- Ooo! - powiedział, podnosząc się nieco z krzesła, jak przystało na prawdziwego dżentelmena, który jednak stale się spieszy. Nie zadał sobie trudu, by się przedstawić, za to wyglądał tak, jakby jej oczekiwał. - Proszę usiąść, proszę. - Machnął ręką w stronę sterty papierów, o dziwo kryjącej pod sobą twardego fotel. Connie ostrożnie uniosła tę stertę, złożoną w większości z katalogów aukcyjnych, i przełożyła ją na podłogę.

- Przepraszam - zaczęła. - Mam przyjemność z panem...?

- Tak, tak, Beetonem - rzucił, nie przerywając kartkowania otwartego katalogu na biurku. - Muszę przyznać, że od dawna nikt mnie nie pytał o coś wartego poszukiwań. - Pogardliwie prychnął, wypuszczając sporą porcję powietrza przez nos. - Nie ma już prawdziwych kolekcjonerów. - Przewrócił jeszcze jedną kartkę. - Ale za to dostałem pani wiadomość. Z kim pani rozmawiała?

Connie już miała odpowiedzieć, ale pan Beeton wpadł jej w słowo.

- Nieważne. Te dziewczęta w recepcji do niczego się nie nadają. Myślą tylko o tym, żeby wyjść za mąż! Jedź do Nowego Jorku, mówię takiej, to znajdziesz,

czego szukasz. Myśli pani, że mnie słuchają? - Przewrócił kolejną kartkę. - Dla nich intelekt się nie liczy, biedne głuptaski. Kończą Mount Holyoke albo Wellesley i myślą sobie: „No no, z moim licencjatem z historii sztuki to dopiero znajde kogoś z kasą!”. Jakby kolekcjonerstwo polegało tylko na zakupach. - Prawie wypłuł z siebie to ostatnie słowo i poszarzałą dłonią poprawił jubilerskie soczewki na okularach.

Connie mocniej zacisnęła usta, broniąc się przed mimowolnym uśmiechem.

- Prawdę mówiąc, ja też studiowałam w Mount...

- Proszę mi powiedzieć, panno Goodwin, co pani zdaniem jest wyróżnikiem prawdziwego zmysłu kolekcjonerskiego, hmm? - przerwał jej groźny pan Beeton. Odłożył przeglądany katalog, zaznaczywszy uprzednio stronę długim paskiem papieru, i wyciągnął gruby segregator. - Czy rzecz tylko w kupowaniu bez ładu i składu wszystkiego, na co kogo stać?

- Nie? - domyśliła się Connie.

- Czy chodzi tylko o to, żeby gromadzić różne przedmioty, symbole dobrego smaku i dostatku, które poleciał komuś nabyć dekorator? - Mówiąc, przekopywał zawartość segregatora, oblizując kciuk przed każdym przewróceniem strony.

- Och... - zawahała się Connie.

- Czy też raczej jest to rozwijanie dobrego smaku przez studia i kontemplację, uczenie się, dzięki dyscyplinie i samodzielnym studiom, jak odróżnić przedmiot jedynie kosztowny od naprawdę rzadkiego? - Popatrzył na nią wyczekująco. Otworzyła usta, ale nie udało jej się wydobyć żadnego słowa. Pan Beeton czekał, zderzając palce obu dłoni.

- Dyscyplina - wykrztusiła w końcu.

- Właśnie! - wykrzyknął i przesunął ku niej po biurku zarówno katalog, jak i segregator. - Junius Lawrence - powiedział, zmieniając pozycję, a jego łokieć zatoczył łuk niebezpiecznie blisko piramidy papierów wzniesionej na samym skraju blatu.

- Słucham? - spytała Connie, zerkając na podsunięte jej materiały.

- Mówię o człowieku, który kupił całą kolekcję Salem Athenaeum w tysiąc osiemset siedemdziesiątym siódmym roku. Oczywiście przeprowadził tę transakcję przez pośrednika, nie chciał bowiem pokazać wszem i wobec, jaki ma niewybredny gust. I słusznie. - Pan Beeton znów usiadł wygodnie na swym krześle.

Connie przyjrzała się uważniej katalogowi, w którym reklamowano zbliżającą się aukcję, publikując jednocześnie wykaz co rzadszych okazów z szacunkową ceną (almanachu wśród nich nie było). Potem otworzyła segregator, który zawierał rachunek za większą część kolekcji Athenaeum, wystawiony na anonimowe towarzystwo holdingowe. Dalej znalazła całą serię kwitów i podpisów, które pozwalały prześledzić drogę od holdingu do niejakiego Juniusa Lawrence'a z zamożnej części Bostonu zwanej Back Bay.

- Ale kim on był? - spytała, podnosząc głowę.

Pan Beeton nawet specjalnie nie ukrywał pogardliwego uśmiešku.

- Przemysłowcem. Nuworyszem. Zbił majątek na czymś obrzydliwym... zdaje się, że na kopalniach granitu. I podobnie jak wielu mu podobnych tak zwanych dżentelmenów szybko kupił sobie pozycję i wiarygodność społeczną, których z pewnością nie zyskałby w inny sposób.

- Ale po co kupił książki? - spytała zdziwiona Connie.

- Och, kupił nie tylko książki - odparł pan Beeton. - Również meble, zwłaszcza Beltera i inne wiktoriańskie barachło. I sporo amerykańskich pejzaży. Zwłaszcza w tej dziedzinie miał dobrego doradcę. Chyba dwa obrazy z jego kolekcji trafiły w końcu do Muzeum Sztuk Pięknych. Próbował lokować pieniądze tu i tam. Jeden z jego obrazów, nie najlepszy, właśnie jest wieszany u nas na górze. To rzekomo Fitz Hugh Lane. Luminizm. Prawdopodobnie jednak falsyfikat. Ale wracajmy do książek, panno Godwin. Dlaczego, pani zdaniem, on chciał je mieć?

Patrzył na nią, a Connie czuła, jak kurz z tego zagraconego pokoju wdiera jej się do nosa i do gardła. Piekły ją oczy. Po co właściwie ktoś miałby kupować stare książki? W dodatku kosztowne.

- No jak to! Do zapelnienia swojej nowej biblioteki, oczywiście - wystrzelił pan Beeton, jakby odpowiadał na jej niewy- rażoną głośno myśl. - Przed pani przyjściem trochę zbadałem tę sprawę. W tysiąc osiemset siedemdziesiątym czwartym roku Lawrence zaczął wznosić swój nowy dom przy Beacon Street, od strony rzeki. Mam tu gdzieś kopię szkiców tego domu, w każdym razie jego architekt rzecz jasna przewidział w domu również bibliotekę. Pff - parsknął. - Ten człowiek był górnikiem. Nigdy w życiu nie kolekcjonował książek. W grudniu tysiąc osiemset siedemdziesiątego siódmego roku jego żona, która była daleką kuzynką Cabotów, choć oczywiście z niezamożnej gałęzi, wydała przyjęcie. - Podsunął jej pożółkły gazetowy wycinek zatytułowany „Co nowego w mieście”, zilustrowany sztychem przedstawiającym fasadę domu Lawrence'ów. - To było najwytworniej sze przyjęcie roku. Dzięki niemu Lawrence zapewnił sobie miejsce w kręgach towarzyskich miasta. Tak się złożyło, że mógł postawić tu i ówdzie w domu trochę ładnych, starych książek. O wiele łatwiej zyskać uznanie, jeśli człowiek potrafi wcielić się w rolę. Zresztą potem obie jego córki poradziły sobie całkiem dobrze. - Pozwolił sobie na nieskrywany złośliwy uśmiezek i zsunął z czoła skomplikowany zestaw soczewek.

Ten człowiek potrafił perorować o machinacjach towarzyskich sprzed stu lat z takim entuzjazmem, jakby dotyczyły jego znajomych; miał w głowie całą mapę wzajemnych stosunków między członkami elity, wiedział, kto gdzie się wzenił, znał stan rachunków bankowych i historię słynnych skandali, a wszystko to w jego wydaniu pulsowało życiem. Connie czasem zapominała, że aby być dobrym historykiem, trzeba również umieć słuchać plotek. Zwróciła wycinek swojemu rozmówcy.

- To pasjonujące - powiedziała, zastanawiając się, jak to się ma do jej poszukiwań księgi Deliverance. - Nigdy nie słyszałam o Lawrence'ach.

- W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym pierwszym Lawrence ufundował niewielkie skrzydło Bostońskiej Biblioteki Publicznej - powiedział Beeton. - Dobrze wydał za mąż obie córki, które słusznie odeszły w mrok zapomnienia. Rodzina straciła resztki pieniędzy po krachu w dwudziestym dziewiątym. Dom w mieście sprzedała niewielkiemu college'owi. - Prychnął lekceważąco.

- Czy sądzi pan, że almanach, którego szukam, trafił właśnie do tego skrzydła biblioteki publicznej? Czy może zatrzymała go jedna z jego córek? - spytała Connie.

- Och, nie sądzę - odparł Beeton. - My tutaj, w dziale rzadkich manuskryptów i książek, lubimy obserwować losy ważniejszych kolekcji, które przechodzą przez nasze ręce - stwierdził autorytatywnie. - Oczywiście mieliśmy nadzieję, że rodzina pomyśli o nas, kiedy będzie chciała przekazać dalej kolekcję Athenaeum. O ile jednak wiem - przewrócił kilka kartek w segregatorze - jeden czy dwa tomy przeszły w ręce córek, niezbyt zapalonych czytelniczek nawiasem mówiąc, a po śmierci Juniusa Lawrence'a w roku... - znów przez chwilę szperał w jakichś papierach - tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym - podał Connie wycięty nekrolog z „Boston Herald”, zatytułowany Junius Lawrence, filantrop, król granitu, zmarł w wieku 74 lat” - kolekcję przekazano... o tak, jest tutaj... do Harvardu.

W ręce Connie trafił kawałek papieru, który okazał się kopią testamentu Juniusa Lawrence'a, gdzie spisano punkt po punkcie wszystkie jego dobroczynne dary. Cztery lata później córki musiały pożalować jego szczodrości, pomyślała, a tymczasem w pełni dotarło do niej znaczenie ostatnich słów Beetona.

- Chwileczkę... Do Harvardu? - spytała z lekkim niedowierzaniem.

- No, oczywiście! - wykrzyknął. - Oni tam tylko udają, że liczy się, kto kiedy doszedł do majątku, ale tak naprawdę nie ma to dla nich znaczenia. - Mruknął do Connie, poruszając przy tym cienką, siwą brwią.

Tymczasem tryby w jej głowie pracowały na pełnych obrotach, czuła mimowolne skurcze mięśni rąk, tak bardzo chciała zajrzeć do kopii testamentu Juniusa Lawrence'a, którą ścisła w palcach.

- Czy uważa pan, że Junius Lawrence przeczytał kiedykolwiek którąś z książek kupionych od Salem Athenaeum? - spytała, słysząc swój głos z bardzo daleka.

Pan Beeton wyduł wargi i przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby się zastanawiał.

- Mało prawdopodobne - orzekł. - Moim zdaniem był zbyt zajęty swoimi pieniędzmi.

A więc księga była w Harvardzie. Leżała tam przez cały czas! Connie jeszcze raz zerknęła na testament, a potem znowu na Beetona, który w otoczeniu swoich cennych katalogów i papierów wydawał się niemal karłem. Uśmiechnął się do niej rzewnie.

- Bardzo mi pan pomógł - powiedziała, starając się zachować obojętny ton. - Czy mogę zachować kopię tej listy?

- Należy do pani - odrzekł, machając ręką, jakby chciał ją wygonić. Potem westchnął. - Gdyby tylko dzisiejsi kolekcjonerzy wykazywali tyle zainteresowania co pani, panno Goodwin.

- Pokręcił głową. - Świat schodzi na psy, niestety.

- W rzeczy samej - przyznała, wstając. Myślami była już daleko stąd, przemierzała słabo oświetlone, marmurowe sale Biblioteki Widenera w Harvardzie, gdzie czekała na nią księga Deliverance. Mogła znaleźć ją już jutro! A potem wystarczy odkryć, do czego jest potrzebna Chiltonowi. Księga wciąż pozostawała poza jej zasięgiem, wreszcie jednak wiadomo było, gdzie jej szukać.

- Bardzo panu dziękuję.

Gdy szła już korytarzem, przyciskając do piersi fotokopię testamentu Juniusa Lawrence'a, odniosła wrażenie, że słyszy za plecami pana Beetona, który mówi:

- Powodzenia.

- Jest w Harvardzie, mammo! - wybuchnęła, gdy tylko ktoś odebrał telefon na pustyni Santa Fe.

- Co tam jest? - spytała Grace Goodwin.

- Rejestr przepisów Deliverance - odpowiedziała Connie, głośno wydechając powietrze. - Poznałam dzisiaj wyjątkowo zabawnego człowieczka. Wykonał za mnie połowę moich badań.

- Ciągnęła za sobą przewód telefonu, jak zwykle wędrując po babcinej jadalni i przy okazji znajdując po omacku niezliczone przedmioty na swojej drodze.

- Co za szczęście - skwitowała Grace tonem zabarwionym ironią. - Pewnie zapomniałaś mu podziękować?

- Mamo - powiedziała ostrzegawczo.

- Tak, kochanie, wiem. - Pociągnęła nosem. - I co zamierzasz dalej? Zajrzysz do katalogu alfabetycznego pod: „Dokładnie ta książka, której szukam”? - Matka roześmiała się wyjątkowo dziewczęcym głosem, wysokim i gardłowym.

- Chciałabym - przyznała Connie. Wcale nie miała jasnego wyobrażenia o tym, jak księga została skatalogowana.

W pewnym sensie jej bliskość, aczkolwiek urzekająca, była również powodem frustracji. Biblioteka Widenera - główny księgozbiór Uniwersytetu Harvardzkiego - dorównywała wielkością i bogactwem zbiorów Bibliotece Publicznej Nowego Jorku. Chociaż podobnie jak inni doktoranci Connie w pewnych jej działach czuła się jak u siebie w domu, to w tej chwili widziała przed sobą półki całej biblioteki Harvardu, ciągnące się w niezliczonych kierunkach podziemnymi korytarzami pod kompleksem uniwersytetu. Trudno było się zorientować w tej olbrzymiej przestrzeni, nawet jeśli chciało się znaleźć konkretną książkę. Myśl o czekającym ją zadaniu nie napawała jej więc szczególną radością.

- Oczywiście nigdzie nie jest powiedziane, że musisz ją znaleźć - dorzuciła Grace.

Connie zacisnęła zęby i objęła palcami pękaty gliniany czajniczek do herbaty, stojący na babcinym stoliku.

- Na jesieni Chilton chce mnie włączyć do swojego wielkiego wystąpienia na konferencji Stowarzyszenia Kolonialnego. Jeśli ma do tego dojść, najpierw muszę znaleźć księgę.

- A czy ty chcesz wziąć w tym udział? Mam wrażenie, że nie podchodzisz do tego zbyt entuzjastycznie.

Grace mówiła łagodnym tonem, ale Connie odebrała to jako zarzut. W słuchawce coś zatrzeszczało, jakby nagle się wyslizgnęła, a potem została ponownie umieszczona przez Grace między ramieniem a policzkiem. Connie zorientowała się, że matka ma ręce zajęte czym innym.

- Co robisz? - spytała. - Nie gotujesz, prawda?

- Nie - odrzekła Grace przez zęby. - Próbuję przesadzić część moich sukulentów. Pogoda je zabija. Ale bez przerwy się kłuję, kiedy to robię.

Connie usłyszała, jak matka przyklada do ust i ssie skaleczoną dłoń.

- Przecież to kaktusy - zauważyła. - Czy one przypadkiem nie powinny lubić upałów?

- Powinny, ale nie aż takie. Klimat się ociepla - powiedziała zdenerwowana matka, a z brzmienia jej głosu Connie wywnioskowała, że trwają oględziny rany.

- Taka zmiana jest całkiem naturalna, ta została jednak przyspieszona ponad wszelką miarę przez dziurę ozonową. Mój biedny aloes nie jest w stanie tego znieść.

- Przez dziurę ozonową? - powtórzyła Connie. Grace westchnęła.

- Powinnaś czasem przeczytać gazetę, kochanie. Connie zerknęła na dyndającą w oknie zielistkę.

- U mnie... - Urwała. Chciała zapytać Grace o łacińską notatkę na kartce, ale nie bardzo wiedziała, jak zacząć. – Odkąd tu zamieszkałam, miałam kilka zabawnych zdarzeń z roślinami.

- Wcale mnie to nie dziwi - oświadczyła Grace. - Już jako mała dziewczynka wykazywałaś szczególny dryg do roślin, zanim jeszcze tak bardzo zaangażowałaś się w te swoje badania.

- Chodzi raczej o coś poważniejszego - powiedziała Connie cicho. - Mamo, znalazłam w kuchni plik starych przepisów babci i... zaszło coś, czego nie umiem wytłumaczyć.

- Wiesz... - Matka zaśmiała się cicho. - To naprawdę wielka pycha twierdzić, że zawsze powinniśmy umieć wszystko wyjaśnić. Weź na przykład związek między człowiekiem a środowiskiem. Przeprowadziłam się tutaj po części dlatego, że ten rejon ziemi może nauczyć mnie czego innego niż Nowa Anglia. Inne jest tu powietrze, światło, roślinność, gleba. Nasze ciała to żywe, oddychające organizmy, o czym łatwo zapominamy. Tymczasem podlegamy przecież głębokim wpływom rytmów otaczającego nas świata. Większość ludzi nie rozumie, że ruchy ziemi są cykliczne, nie tylko jeśli chodzi o pory roku, lecz również w większej skali. Im się wydaje, że świat natury po prostu trwa w bezruchu. Bardzo niemądrze.

- Mamo... - próbowała jej przerwać Connie.

- Albo weź kwestię warstwy ozonowej. Przecież to nie ocieplenie jako takie stanowi problem - ciągnęła Grace. - Chodzi o tempo zmian. Stało się zbyt szybkie, wszystko dzieje się przed swoim czasem. A rytmy planetarne wywierają wpływ na całe nasze otoczenie. Zmienia się pogoda, rośliny się przemieszczają, zwierzęta tracą miejsce do życia. - Sapnęła z wysiłkiem, wyciągając ogromny kaktus z doniczki, a Connie usłyszała, jak grudy ziemi rozsypują się po odległym patio. - Większość ludzi jeszcze tego nie rozumie. - Zamilkła na chwilę. - Wszystkie rzeczy, które nas otaczają, są nierozdzielnie związane z przyrodą na

ziemi. Nasze aury, nasze ciała, sposób, w jaki działają. Wpływ, jaki mamy na innych ludzi. Niektóre czynniki, cechy, skłonności, co tylko chcesz, z czasem mogą się stać... bardziej widoczne.

- Mamo - wtrąciła Connie z naciskiem. - Posłuchaj!

- Na przykład - ciągnęła niezrażona tym Grace - czy wiesz, że taka sama zmiana rytmu miała miejsce już w przeszłości, tylko zaszła w odwrotnym kierunku? Ameryka Północna była przecież w okresie małej epoki lodowcowej, kiedy przybyli tutaj pierwsi koloniści. To prawda! - Dmuchnęła głośno, więc Connie odsunęła nieco słuchawkę od ucha. W tej samej chwili spod stołu w jadalni wynurzył się Ario, dwa razy machnął ogonem i poszedł do kuchni. - ...była jedną z przyczyn, dla których tak wielu ludzi zmarło zimą w tych pierwszych latach - mówiła Grace, gdy Connie ponownie zaczęła słuchać. - Czy kiedyś czytałaś opisy ubioru ludzi w osiemnastym wieku?

Connie uśmiechnęła się w wymuszony sposób. - Jestem historykiem epoki kolonizacji, mamo - powiedziała cierpliwie.

- W takim razie wiesz, o czym mówię. Wełna i liczne warstwy ubrania nie byłyby praktyczne, gdyby wtedy pogoda w Nowej Anglii była taka jak dzisiaj, prawda? - Znów sapnęła, zapewne wynosząc na patio kolejną doniczkę. - A Jankezi z tamtych czasów byli przede wszystkim praktyczni.

Connie zaczerpnęła tchu, przygotowując się do przerwania tyrady matki, ta jednak po raz kolejny udaremniła jej zamiar.

- No tak, mała epoka lodowcowa miała kulminację w początkach ostatniej dekady siedemnastego wieku - powiedziała niespodziewanie Grace. - Szkoda. Nigdy tak naprawdę nie można przewidzieć, jak się te sprawy potoczą. - Westchnęła melancholijnie.

Tysiąc sześćset dziewięćdziesiąty drugi rok. Connie mocniej zacisnęła dłoń na słuchawce i mimowolnie wyciągnęła rękę, by oprzeć się o kredens.

- Mamo - powiedziała tonem pełnym dystansu. - Po co mi to mówisz?

Grace znowu zaśmiała się cicho.

- Po prostu głośno myślę, kochanie. Przypominam ci, żebyś doświadczała swojego ciała zgodnie z tym, czym ono jest, a jest zbiorem cudownych zbiegów okoliczności, połączonych w całość przez inteligentną Boginię, która ustala rządzące tym światem zasady. Powiedz mi jednak, jak się miewa Ario. Nie zapominasz go nakarmić, prawda?

- Nie. Ja... - Connie urwała. Wyczuwała, że matce chodzi o coś ważnego, ale wyrażała to tak specyficznym językiem. W sieni Connie zerknęła do zasnutego pajęczynami lustro w złoconej ramie i zobaczyła swoją twarz, zniekształconą przez zmatowione szkło. Możemy zrozumieć świat tylko za pośrednictwem języka, którym dysponujemy. Każdy okres ma swoją własną soczewkę języka i percepcji. W chwili, gdy dokonała tego odkrycia, zauważyła w lustrze, że drzwi wejściowe się otwierają i pojawia się w nich Sam z torbą pełną jedzenia i wystającą z niej butelką wina. Rozpromieniła się.

- Oddzwonię, mamó. - Położyła palec na widelkach aparatu.

- Connie, poczekaj... - rzuciła Grace natarczywym tonem. - Czy to on?

- Nie mogę teraz rozmawiać, mamó. Muszę iść. Kocham cię. Grace chciała zaprotestować, ale palec Connie opadł i w słuchawce rozległ się trzask, a potem jednostajne buczenie.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Marblehead, Massachusetts

początek sierpnia 1991 roku



Pod przymkniętymi powiekami Connie rozjarzyła się czerwień, a do jej świadomości zaczęło docierać ciche ćwierkanie w bluszczu po drugiej stronie okna sypialni. Nie otwierając oczu, poczuła padający jej na twarz wątki promień słońca, który zostawiał ciepły ślad na policzkach i nosie. Wiedziała, że lato ma się ku końcowi, na początku bowiem, gdy budziła się w babcinym łóżu, promień padał jej na talię, jednak przez minione tygodnie stopniowo przesuwał się coraz wyżej, aż wreszcie przy końcu lipca przekroczył granicę podbródka. Uśmiechnęła się i wyciągnawszy ramiona nad głowę, uderzyła nadgarstkami o wezglowie. Obok niej ktoś cicho westchnął przez sen, więc przewróciła się na bok i otworzyła oko, by zerknąć przez płataninę rozpuszczonych włosów. Miała przed sobą zanurzony do połowy w białej puchowej poduszce opalony policzek ze świeżym zarostem i jedno zamknięte oko. Na gałce ocznej, poniżej brwi, lśniła zaschnięta drobinka złotej farby. Przy nieznacznym ruchu śpiącego złoty płatek odbił słoneczne światło poranka i zamigotał. Z otwartych ust dobyło się niskie, dudniące chrapnięcie. Connie uśmiechnęła się szeroko i wcisnęła twarz w poduszkę, która stłumiła odgłos radosnego śmiechu.

- Trzęsiesz łóżkiem - powiedział Sam, nie otwierając oczu.

- Co? - wydukała z trudem.

- Śmiejąc się, trzęsiesz łóżkiem - wyjaśnił, a widoczny kącik jego ust wyraźnie się uniósł.

- Chrapałeś - zarzuciła mu.

- Niemożliwe. Nigdy nie chrapię.

- I tu się mylisz - powiedziała ze śmiechem.

- Ario? - zawołał Sam. - Weź mnie w obronę.

Pies, który leżał schowany w zagłębieniu kołdry między ich nogami, przewrócił się na grzbiet i rozłożył łapy, dając wyraz swojej obojętności.

- Ario mówi, że chrapiesz. - Connie przysunęła się odrobinę bliżej do Sama.

- Wcale tego nie słyszałem, moim zdaniem mówił: „Kto tu trzęsie łóżkiem, kiedy ludzie chcą spać?” - odparł, uśmiechając się szeroko. Otworzył jedno oko i przyglądał się jej z uwagą.

- Tak? A może raczej powiedział: „Jak się ma kopułę do pomalowania, to najwyższy czas wstawać”? - Położyła mu rękę na torsie.

- Niemożliwe... - zaprotestował, kończąc okrzykiem sprzeciwu, gdy Connie połaskotała go pod pachą.

Zaczęli się siłować. Ario niechętnie opuścił swoje legowisko i pomaszerował do sąsiedniej sypialni, by ułożyć się u wezglowia staroświeckiego łóżka z baldachimem. Z westchnieniem zapadł w drzemkę, od czasu do czasu poruszając przez sen łapami. Przez okno wpadały promienie słońca, a gdy dotarły do wezglowia, Ario czmychnął, pozostawiając po sobie chmurę kurzu opadającą na narzutę. Po chwili zameldował się w kuchni, gdzie Connie stała z kubkiem kawy w dłoni i wciąż się śmiała.

- Jak zamierzasz spędzić dzisiejszy dzień? - pytał Sam, z ustami pełnymi pasty do zębów.

- Gdybym była pilną doktorantką, pojechałabym do Cambridge i rozpoczęła poszukiwania księgi Deliverance na półkach Biblioteki Widenera - odparła Con-

nie. - A gdybym była dobrą córką, zostałabym tutaj i próbowała nadgonić porządkowanie domu.

- Więc kim jesteś? Bo mam wrażenie, że nie da się tego pogodzić. - Przeplukał szczoteczkę pod kranem przy zlewie.

- Na szczęście bycie dobrą córką sprzyja leniuchowaniu - oznajmiła Connie. - Przyda mi się odpoczynek od martwych czarownic i ksiąg zaklęć. Chyba zajmę się dzisiaj sprzątaniami.

- Znakomicie. - Schował szczoteczkę do przedniej kieszeni roboczego kombinizonu.

Zwróciła uwagę na tę szczoteczkę już rano i nie była pewna, co o tym myśleć. Wyciągnęła ją z kieszonki i groźnie uniosła brew.

- O co chodzi? - spytał z miną niewiniątka.

- Zadzwoń do mnie później - powiedziała, wkładając szczoteczkę z powrotem na miejsce. Pocałował ją tak szybko, że zdołała tylko zarejestrować na policzku ciepłe muśnięcie, i już go nie było.

- Nie powinnaś wysnuwać z tej szczoteczki pochopnych wniosków - powiedziała Liz.

Connie skończyła zmywać naczynia po śniadaniu, umyła kolejną porcję słódek z kuchni i przy okazji natknęła się na mandragorę, odłożoną na półkę w dniu przyjazdu do domu babci. Roślina wyglądała jak powykręcany homunkulus, pomarszczona laleczka z długimi, zakręconymi wąsami zamiast palców u rąk i nóg. Connie obróciła korzeń w dłoniach i otrzepała go z kurzu. Zastanawiała się, czy bezpiecznie będzie pochować tę śmiertelną truciznę w przyzbie kompostowej.

- Tak sądzisz? - mruknęła, obgryzając paznokieć kciuka. Wspomnienie pierwszej nocy spędzonej w tym domu uświadomiło jej, jak bardzo tęskni za Liz. Wkrótce jednak znowu miała przyjść jesień, a z nią możliwość powrotu do ich

zaczynając mieszkać w Saltonstall Court. Myśl o życiu w Cambridge, o przewidywalnych dniach wypełnionych badaniami w bibliotece, spotkaniami z pełnym obaw Thomasem i rozmowami z Janine Silva albo Manningiem Chiltonem, była dziwnie pociągająca. Dawne życie wydawało jej się teraz jednocześnie cudowne i obce, jakby wciąż trwało i toczyło się swoim trybem, choć już w nim nie uczestniczyła.

- No jasne - przytaknęła Liz stanowczo. - Może bierze ją ze sobą do pracy, żeby umyć zęby po lunchu? Wiele osób tak robi.

Dźwięk głosu współlokatorki rozproszył poczucie osamotnienia, które często ogarniało Connie w domu babci. Liz kojarzyła się jej z prawdziwym życiem. Szybko podzieliła się z przyjaciółką kilkoma nowymi informacjami dotyczącymi poszukiwań almanachu, a potem gładko przeszła do analizy poprzedniej nocy z Samem.

- Może - bąknęła bez przekonania.

- W każdym razie nie poruszaj z nim tego tematu - ostrzegła Liz, przeżuując płatki śniadaniowe. Connie złapała przyjaciółkę w przerwie między zajęciami i właśnie wyobraziła sobie, jak Liz gestykułuje łyżeczką. - Wyjdzie na to, że nie czujesz się pewnie.

- Bo wcale się tak nie czuję.

- Błąd - pouczyła ją Liz. - Słuchaj, zaraz muszę bieć. Uczymy się dzisiaj słownictwa związanego z walkami gladiatorów i pierwszy raz od początku lata te dzieciaki są naprawdę zainteresowane. - Westchnęła. - Ale zastanawiałam się nad znakami na twoich drzwiach.

- Nadal są tam, gdzie były. - Connie mimo woli zniżyła głos. - Myślałam o zamalowaniu ich w ten weekend, ale nie chcę ich dotykać. - Urwała. - Co prawda nie słyszałam, żeby ktoś kręcił się w pobliżu domu, ale za każdym razem, gdy patrzę na drzwi, ogarnia mnie lęk.

- Każdy by się bał - uspokoiła ją Liz. - Dobrze, że w ogóle dajesz radę tam mieszkać. Im więcej jednak o tym myślę, tym bardziej dochodzę do wniosku, że błędnie interpretujemy to koło.

- Jak to? - spytała zbита z tropu Connie.

- Zakładałyśmy przecież, że wypalono je, żeby cię przestraszyć, prawda?

Connie przycisnęła słuchawkę ramieniem, podeszła do frontowych drzwi i otworzyła je na oścież. Opierając się o framugę, wlepiała wzrok w koło. Glicynia na froncie domu prawie już przekwitła, jej pozostałości pachniały słodko, trochę jak papier. Symbol z łacińską inskrypcją i licznymi podwójnymi krzyżykami bił ją w oczy, wciąż nieprzenikniony.

- Ono naprawdę wygląda strasznie - powiedziała, przesuwając palcem po płytko wypalonych rowkach. Odrobina sadzy pozostała jej między liniami papilarnymi.

- Tylko dlatego, że nigdy przedtem nie widziałaś niczego podobnego - wyjaśniła Liz. - Pomyśl dobrze. Koło zawiera różne formy imienia Boga, prawda? Alfa i omega odnoszą się do idei, że Bóg jest początkiem i końcem. *Agla*, jak mi sama powiedziałaś, to hebrajski akronim niewymawialnego imienia Boga. I jeszcze *Dominus adjutor meus*, czyli „Bóg moim wspomóżycielem” albo „Niech mi Bóg pomoże”. Imiona Boga po łacinie, hebrajsku i grecku, wszystkie wypisane wokół prośby o Bożą pomoc. A co otacza słowa?

- Krzyże i ikсы - odrzekła Connie.

- Widzisz, sama powiedziałaś: krzyże - triumfalnie oznajmiła Liz. - Pamiętaj, że krzyż grecki nie ma proporcji krzyża łacińskiego. Mieści się w kwadracie, nie w prostokącie.

Connie szerzej otworzyła oczy. Podczas gdy wpatrywała się w drzwi, symbol stracił swój złowrogi charakter. Pod jej skupionym spojrzeniem koła jakby się zmieniały, przesuwały i lśniły, z zupełnie nową intencją.

- A niech to! - Liz wdarła się w tok myśli Connie. - Muszę iść, bo inaczej się spóźnię. Masz *Kulturę materialną przesądu* Lionela Chandlera, prawda?

- Chyba tak - potwierdziła Connie. - W każdym razie miałam to na liście do ustnego.

- Tam możesz sprawdzić moją hipotezę. Naprawdę, im dłużej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się, że to koło ma pełnić funkcję ochronną, a nie złowieszczą. Naturalnie nie dowiesz się dzięki temu, kto je tam umieścił, ale przynajmniej będziesz miała roboczą teorię.

Connie przypatrywała się kołu jeszcze przez chwilę.

- Liz - oświadczyła w końcu - jesteś genialna. Przyjaciółka westchnęła.

- Powiedz to moim uczniom z letniej szkoły. Właśnie się zastanawiam, czy nie zrobić im kartkówki wyłącznie po to, żeby patrzeć, jak cierpią.

Connie odłożyła słuchawkę na widełki, ale drzwi wejściowe zostawiła otwarte. Na zewnątrz Ario kopał pod kolczastym krzakiem, a ogon drżał mu z wysiłku. Splotła ręce i spojrzała na podwórze, rozkoszując się uczuciem ogarniającego ją spokoju. Odetchnęła głęboko, wypełniając powietrzem przestrzeń między żebrami. Kiedy tak stała, zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę zaraz po pierwszym dzwonku, sądząc, że Liz postanowiła podzielić się z nią jeszcze jakąś myślą.

- Mówiłaś, że się spieszysz - zagaiła bez wstępów. Osoba po drugiej stronie przez chwilę się nie odzywała, wreszcie odchrząknęła.

- Czy rozmawiam z Connie Goodwin? - Głos należał do kobiety, a z jego brzmienia Connie wywnioskowała, że stało się coś złego.

- Tak. - W pierwszej pomyślała o Grace, ale natychmiast z niezwykłą wyrazistością zobaczyła, jak matka, klęcząc w domu z suszonej na słońcu cegły, unosi dłonie nad bolącym kolaniem jednego ze swoich klientów zainteresowanych aurą. Nic jej nie grozi. - Kto mówi?

Kobieta urwała, a w nieokreślonej przestrzeni za jej plecami rozległo się jakieś monotonne obwieszczenie z głośnika. Nie sposób było go zrozumieć, kobieta jednak najwyraźniej słuchała, bo odezwała się ponownie dopiero po chwili.

- Nazywam się Linda Hartley - powiedziała. - Jestem matką Sama. - Connie usłyszała teraz głos mężczyzny, który coś mówił. Linda zapewne przysłoniła mikrofon dłonią, bo ze szmeru można było wyłowić zaledwie stłumione „Jest?“, a potem „Dobrze“. Dłoń cofnęła się. - Prosił, żebym do pani zatelefonowała. On jest... - Przełknęła ślinę.

- Gdzie jest? - spytała Connie, od razu chwytając za torebkę i sięgając do niej po kluczyki do samochodu.

Z jazdy do szpitala North Shore Veterans Memorial Connie nie zapamiętała prawie niczego. Oprzytomniała w chwili, gdy w pośpiechu mijała przesuwne szklane drzwi, nie wiedząc nawet, gdzie zaparkowała samochód. Wsunęła kluczyki do kieszeni dżinsów, znalazła tabliczkę informacyjną wskazującą drogę na oddział ratunkowy, a dalej nogi same poniosły ją w ślad za strzałkami, umieszczonymi w labiryncie ponurych szpitalnych korytarzy. Po kilku zakrętach dotarła do windy, gdzie jej dłoń wybrała przycisk. Wysiadła i znów szła burym korytarzem, tylko tym razem pod ścianami siedziały rzędem na wózkach pomarszczone staruszki w luźnych szpitalnych koszulach. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Z głośnika popłynęło jakieś ogłoszenie i młoda lekarka o podkrążonych ze zmęczenia oczach przebiegła obok z przerzuconym przez ramię stetoskopem. Connie zamrugła, rozejrzała się, a nogi poniosły ją za kolejny zakręt.

Przy trzecich z kolei drzwiach jej stopy zatrzymały się. Stały tu w rzędzie podrapane brązowe krzesła z włókna szklanego, a na jednym z nich siedziała sympatycznie wyglądająca kobieta w rozciągniętym rozpinanym swetrze i wygodnych pantoflach, z dużą torebką na kolanach. Wzrok miała wbity w podłogę i bez wątpienia pod kwadratami linoleum dostrzegała światy, których nie widział

nikt oprócz niej. Connie odczekała chwilę, stojąc na granicy zasięgu jej wzroku, aż w końcu kobieta podniosła głowę, spojrzała na nią i uśmiechnęła się z zatrośkaniem, a może i smutkiem.

- Linda?

- A ty pewnie jesteś Connie - powiedziała, wyciągając do niej rękę. Connie ujęła ją z wrażeniem, że ściska śniętą rybę. - Rzeczywiście, jesteś tak ładna, jak mówił Sam. - Słaby uśmiech nie opuszczał jej twarzy.

Connie usiadła na sąsiednim krześle.

- Mój mąż poszedł zadzwonić z automatu - powiedziała Linda. - Na pewno ucieszy się, że przyjechałaś.

Connie nie była pewna, czy miała na myśli męża, czy Sama, ale wolała nie dociekać. Blask jarzeniówek z sufitu padał na głowę Lindy, nadając jej włosom nieciekawą szarawą odcień. Dłonie Connie raz po raz zaciskały się na torebce. Linda Hartley wyglądała na kobietę, z którą można się zaprzyjaźnić, i Connie bez trudu potrafiła sobie wyobrazić, jak siedzą razem przy stole w kuchni i popijają herbatę. Przyglądając się zmarszczkom w kącikach jej oczu, pomyślała, że są identyczne jak u Sama.

- Dobra wiadomość jest taka, że ma uszkodzoną jedynie nogę - ciągnęła Linda. - Przy takiej wysokości bez trudu mógł rozbić głowę. - Zacisnęła dłonie na łokciach. - Mógł się zabić.

Co się właściwie stało? - spytała wreszcie Connie. W tej chwili z drugiego końca korytarza nadszedł niewysoki, poważny mężczyzna w pulowerze, z rękami ukrytymi w kieszeniach zniszczonych sztruksowych spodni. Zajął miejsce obok Lindy i położył dłoń na jej kolanie.

- Mają skończyć za jakieś dziesięć minut - powiedział. - Będzie trochę zamroczony, ale możemy do niego wejść.

- To wspaniale - odparła Linda, kuląc ramiona. - Mike, to jest Connie, przyjaciółka Sama.

Mężczyzna obojętnie skinął głową, więc odpowiedziała mu dość wymuszonym uśmiechem. Zastanawiała się, jak wiele Sam opowiedział o niej rodzicom, gdy Linda znów się odezwała.

- Dzisiaj rano pracował na rusztowaniu. Malował. - Zaczepnęła tchu. - Trudno powiedzieć dlaczego, ale nie włożył upręży zabezpieczającej.

- Spadł - przerwał jej Mike. - Z wysokości przynajmniej dwóch pięter. Jest teraz na sali operacyjnej, operują mu nogę.

Connie poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Wróciła myślami do poranka i zobaczyła Sama z ustami białymi od pasty, uśmiechającego się do niej znad kuchennego zlewu. Chciała się cofnąć i chwycić go za ramię, targnęły nią wyrzuty sumienia, że nie potrafiła przewidzieć niebezpieczeństwa, grożącego mu po wyjściu z jej domu. Nie bądź śmieszna, skarciła się w duchu. Skąd mogłaś wiedzieć, że zapomni o zabezpieczeniach?

- Cholera, nie musiał brać tej pracy, nie było żadnego powodu. - Ojciec miał posępną minę i widać było, jak drżą mu mięśnie szczęki.

- Michael - powiedziała uspokajająco Linda i przykryła dłonią jego rękę.

Siedzieli tak we troje w szpitalnym korytarzu i czekali, Connie z nogą założoną na nogę. Mijał czas, odmierzany przez pogodne, pozbawione znaczenia scenki: dwie pielęgniarki rozmawiają, pchając wózki z obiadem; pochylony stróż w kombinezonie roboczym chwytając przewracający się kubek z wodą; zasuszony człowieczek z plamami wątrobowymi na łysej czaszce, ubrany w pasiastą piżamę, jedzie na wózku, popychany przez kobietę w średnim wieku o zgorzkniałej twarzy. Brak okien i ciągły blask jarzeniówek przekształciły korytarz w próżnię, w której czas nie istnieje. Connie nie miała pojęcia, jak długo tak siedzieli, gdy stanął przed nimi sympatyczny młody lekarz.

- Państwo Hartley? - upewnił się. - Bardzo proszę za mną. Rodzice Sama wstali i podążyli za lekarzem do pokoju oddalonego o kilka par drzwi. Connie szła kilka kroków za nimi.

Rodzice znikli w środku, a Connie pozostała na zewnątrz, splatając i rozplatając palce. Teraz, kiedy miała czas o tym pomyśleć, była mile zaskoczona, że Sam poprosił rodziców, by do niej zadzwonili. Jej rezerwa zwykle sprawiała, że ludzie - a zwłaszcza mężczyźni - zachowywali wobec niej dystans, ale z Samem było inaczej. Czuła się przy nim swobodnie, a nawet była bardziej sobą. Jak to możliwe, że jest się bardziej sobą w obecności innego człowieka? Zawsze uważała, że tak naprawdę całkowicie sobą była tylko w samotności. Przypomniała sobie, jak rozbawiło Sama jej zdziwienie, gdy zjechał na linie z dachu i wsunął jej w rękę pudełko z paczkami. Coś ścisnęło ją za gardło. Nagle uchyliły się drzwi i ukazała się w nich twarz Lindy.

- Connie? Przecież możesz wejść - powiedziała.

Przełknęła ślinę i przestąpiła próg. Mike i Linda stali z boku, a młody lekarz studiował tabliczkę z kartą choroby umieszczoną w nogach łóżka. Sam, wsparty na kilku poduszkach, leżał blady jak papier, z nogą na wyciągu. Z goleni, miejscami czarnej, a miejscami sinofioletowej, sterczały mu druty i śruby. Connie stanęła przy łóżku naprzeciwko rodziców i uśmiechnęła się do niego.

- Cześć - szepnęła.

- Cześć, Goodwin - wydusił szorstkim z wycieńczenia głosem. Spróbował się uśmiechnąć, ale wyszło to mało przekonująco, tym bardziej że na koniec usta ułożyły mu się w bolesny grymas.

Pochyliła się i ujęła jego dłoń w obie ręce. Ku swemu zaskoczeniu, wyczuła w komórkach jego ciała nieład i zamęt, jakie powstają w wyniku nagłego, bardzo silnego bólu - zupełnie jakby ciałem Sama wciąż wstrząsały konwulsje, które przetaczały się po całym organizmie, nie mogąc ani znaleźć ujścia, ani wygasnąć, niczym fale oceanu w basenie.

Mocniej ścisnęła jego rękę i wyraźnie czuła, że jej świadomość sięga w głąb, pod jego skórę. Zdumiona przekonała się, że jej dłonie zbierają informacje o Samie, informacje, których ona sama nie potrafi przetworzyć. Od czasu swych

eksperymentów z roślinami zauważyła, że znacznie poszerzyła się jej skala doznań, zupełnie jakby usunięto gruby filtr dzielący ją od świata. Ta zmiana budziła w niej jednak lęk, była niezrozumiała.

Teraz odniosła nieodparte wrażenie, że zaburzenia w ciele Sama to coś więcej niż tylko katastrofa spowodowana złamaniem kości nogi. Zmarszczyła czoło i zerknęła na lekarza.

- A więc tak - odezwał się, przekładając jakieś kartki, zapewne dokumenty przyjęcia do szpitala. - Dobra wiadomość jest taka, że noga powinna łatwo się zrosnąć. Pacjent jest silny, wkrótce będziemy chyba mogli założyć mu opatrunek unieruchamiający i wypisać go do domu. Mamy też jednak poważne obawy...

Wsunął teczkę z dokumentami pod ramię i z troską przycisnął dłonie do twarzy, po czym spojrzał kolejno na Sama i jego rodziców. Państwo Hartley czekali na ciąg dalszy. Sam ścisnął dłoń Connie.

- Obawiam się, że musimy przede wszystkim zastanowić się nad przyczyną tego upadku - oświadczył lekarz.

- Powinien był mieć na sobie tę cholerną uprząż, i tyle - burknął Mike Hartley.

- Michael, proszę - szepnęła Linda.

- Nie o to chodzi, panie Hartley - odparł stanowczo lekarz.

- Sam, ile pamięta pan z tego, co zaszło bezpośrednio przed wypadkiem?

Sam obliznął wargi i zmarszczył czoło. Connie obserwowała, jak próbuje się przebić przez mgłę środków znieczulających, które mąciły jego myśli. Chrząknął.

- Niezbyt wiele - odrzekł, spoglądając na rodziców. - Kończyłem ostatni złożony detal kopuły. - Urwał i przełknął ślinę.

- Byłem trochę zmęczony, bo... - zerknął na Connie - bo mało spałem. Zszedłem więc na dół, zrobić sobie przerwę. Miałem trochę wody w lodówce turystycznej, ale okazała się... - Poruszył ustami, jakby przypominając sobie smak. -

Okazała się niedobra. Metaliczna. Nie przejąłem się tym jednak. Kilka minut posiedziałem w ławce, żeby odpocząć.

Odetchnął, a mimo to na jego twarzy pojawiło się napięcie.

- Wróciłem na górę i wziąłem się z powrotem do pracy. - Urwał w zakłopotaniu. - To wszystko. Tyle pamiętam. - Zmieszany popatrzył na Connie.

- Nie pamięta pan upadku? Ani jazdy karetką? - naciskał doktor.

- Nie. - Sam uświadomił sobie powagę sytuacji. - Nie wiem nawet, kto mnie znalazł. - Zwrócił się do rodziców. - Właśnie, kto mnie znalazł?

Państwo Hartley popatrzyli po sobie, ale nie powiedzieli ani słowa.

- Ciekawe - odezwał się znowu lekarz, zapisując jakąś uwagę. Potem spojrzął w skupieniu na pacjenta. - Sądzę, że pański upadek został spowodowany atakiem padaczki.

- Co takiego? - spytał Sam.

- O mój Boże! - załkała jednocześnie Linda.

Mike położył ręce na ramionach żony, a Connie spojrzała na Sama. Twarz miała wykrzywioną z przerażenia. Mocniej ścisnęła jego rękę.

- W typowym ataku tego rodzaju pacjent doświadcza niekiedy tego, co nazywamy „aurą”, silnych zaburzeń percepcji zmysłowej lub stanu emocjonalnego - ciągnął lekarz. - Czasem zmiany w mózgu powodują, że odczuwa on dziwne smaki lub zapachy. W ten sposób można wyjaśnić, skąd się wzięły metaliczny posmak wody i trudne do wyjaśnienia zmęczenie. W drugiej fazie kończyny sztywnieją, pacjent się przewraca i dostaje drgawek. Natomiast po ustąpieniu ataku nic z niego nie pamięta.

Nie przestawał notować, uważnie obserwując Sama.

- Obawiam się, że to jeszcze nie wszystko. Chociaż operowaliśmy panu nogę pod narkozą, przeszedł pan w tym czasie kolejny atak, połączony z silnymi torcjami. Niestety, pański organizm nie zareagował na podany lek przeciwdrgaw-

kowy. Czy w waszej rodzinie zdarzały się wcześniej przypadki padaczki lub podobnych dolegliwości?

- Nie - odparła wstrząśnięta Linda.

Zerknęła na męża, który sprawiał wrażenie, jakby ktoś uderzył weń kamieniem. Pochylił się, przestał na chwilę oddychać i cały zeszywniał.

- Nic mi o tym nie wiadomo... - powiedział zduszonym głosem.

Tymczasem Sam wyraźnie się zaniepokoił. Podniósł się nieco wyżej na poduszkach i lekko zmienił pozycję. Connie położyła mu rękę na ramieniu.

- Czy to znaczy, że mogę dostać kolejnego ataku? - spytał, patrząc na lekarza.

- Niestety, należy się poważnie liczyć z taką możliwością - przyznał doktor.

Linda głośno wciągnęła powietrze i zasłoniła dłonią usta.

- To dość nietypowa sytuacja - ciągnął lekarz. - Musimy jeszcze ustalić, czy występują jakieś uwarunkowania genetyczne, czy też w grę wchodzi czynniki zewnętrzne. Występowanie torsji zmusza do postawienia poważnych pytań, więc chciałbym przeprowadzić jeszcze kilka badań. Oczywiście, rozumie się samo przez się, że pan Samuel pozostanie w szpitalu do czasu, aż jego stan się ustabilizuje. Grozi mu przemieszczenie kości złożonej nogi na skutek drgawek, nie wspominając o konsekwencjach neurologicznych. Istnieje też niebezpieczeństwo odwodnienia, gdyby powróciły równie silne torsje. Nie mogę pana wypisać, dopóki nie zapanujemy nad sytuacją.

Rodzice Sama popatrzyli na lekarza, potem na syna, wreszcie na siebie nawzajem. Connie mocno ścisnęła rękę Sama, a z kącika oka potoczyła jej się łza. Szybko otarła ją ramieniem, żeby nie zauważył, jak bardzo jest przestraszona.

- To nie jest typowe, żeby epilepsja ujawniała się pierwszy raz w dorosłym wieku - ciągnął lekarz. - Zwykle daje o sobie znać w późnym dzieciństwie albo w okresie dojrzewania. Nie potrafię też jeszcze wyjaśnić przyczyny torsji, które

zdaje się wystąpiły niezależnie od problemów neurologicznych. Mimo wszystko - uśmiechnął się, ale Connie wyczuła głęboki niepokój, kryjący się pod pozorem pewności siebie - mam szczerą nadzieję, że jutro o tej porze będę mógł państwu przedstawić bardziej konkretny plan leczenia. - Energicznie uścisnął rękę wszystkim obecnym, jakby powodem ich spotkania były interesy.

Patrząc, jak biały kitel lekarza znika za drzwiami, Connie poczuła, że strach zbija się w jej brzuchu w zimną, twardą gulę. Zobaczyła bowiem, tak jakby oglądała wyraźne, kolorowe zdjęcie, że lekarz nie ma zielonego pojęcia, co dalej.

TLR

Interludium

Salem, Massachusetts
koniec lutego 1692 roku



Skorupka jajka pękła pod zręcznym, szybkim uderzeniem, a jej śliska zawartość wylała się do oczekującej już dłoni. Palce rozchyliły się nieznacznie, pozwalając lepkiemu białku spłynąć do grubej szklanki wypełnionej wodą tak, by pozostała tylko kula żółtka. Mercy Dane pociągnęła nosem i ostrożnie przesunęła kciukiem po żółtku. Jego błony ugięły się odrobinę, ale zachowały całość, gładkie i ciepłe, ono samo zaś było świeżej, mocno pomarańczowej barwy. Miało czysty, ziemisty zapach, wspomnienie karmy z pszenicznych plew i suszonych ziaren kukurydzy. Marcy wypuściła żółtko z dłoni do glinianej miseczki, w której leżało już z pięć podobnych, połyskujących lekko w wątlym świetle izby. Śliska jej ciekła, kiedy myślała o smakołyku, który przyrządzi później ze zbędnych żółtek. Odrobina mleka, mąki żytniej, trochę porzeczek - odłożyła ich co nieco w poprzednim tygodniu - i melasy. Przesunęła językiem między przednimi zębami a wargą, wyobrażając sobie woń gotowanego przysmaku, który miał powstać, a jednocześnie ocierała z dłoni ślady jajek.

Tymczasem białka zlały się, tworząc mglistą chmurę w wodzie, a matka sięgnęła zmęczoną ręką po szklankę, podniosła ją do góry i zaczęła obracać na

różne sposoby. Mercy usłyszała, jak matka szepcze jakieś zdanie i odkłada szklanekę na poszczerbione, wsparte na kozłach deski, służące za stół.

-I co? - spytał zaniepokojony kobiecy głos. Mercy znalazła sobie zajęcie przy kominku, gdzie długim pogrzebaczem starała się odsunąć bulgoczący nad paleniskiem kociołek od największych płomieni. Wolno jej było przyglądać się temu, co robi matka, pod warunkiem że zachowywała swoje zdanie dla siebie i nie przeszkadzała. Żelazo zazgrzytało na ceglach, gdy Mercy podsyciła ogień, wzbudzając snop iskier, który zatańczył wokół dna kociołka. Chociaż była odwrócona tyłem do obu kobiet przy stole, wyczuła na plecach karcący wzrok matki. Spojrzenie przez ramię potwierdziło to przypuszczenie, w oczach matki dostrzegła milczącą przyganę, więc z nadąsaną miną ponownie skupiła się na warzywach gotujących się nad ogniem. Nie mogła rozgryźć tej Mary Sibley. Dlaczego matka się z nią zadaje? Przecież to zwykła wścibska plotkara, nic więcej. Mercy postanowiła, że kiedy przejmie rzemiosło po matce, jak nic odżegna się od kontaktów z tą całą Mary. Na pewno tak postąpi.

- Nie umiem powiedzieć, Mary - oznajmiła Deliverance Dane, wzdychając.
- Poza tym to szkło jest niedobre.

Młoda gospodyni siedząca przy stole zmięła w dłoniach chustkę.

- Przecież musisz coś zobaczyć, Liwy! Mijają już trzy tygodnie, jak dziewczęta są cierpiące. Stłuczmy jeszcze jedno.

Sięgnęła do koszyka stojącego przy jej łokciu i wyciągnęła kolejną gładką, nakrapianą kulę. Deliverance uniosła rękę, wzbraniając się przed wzięciem jajka, które Mary Sibley próbowała jej wcisnąć.

- A czy jesteś pewna, że ono pochodzi z kurnika od Parrisa? - spytała, kierując skupiony wzrok prosto na twarz Mary Sibley.

- Tak mi powiedziano - odrzekła Mary, nieco uciekając przed jej spojrzeniem.

- Skąd je masz? - spytała znużonym tonem Deliverance. - Wielebny Parris nie życzyłby sobie zapewne, by jego jaj używano do wieszczenia.

- Toś nie widziała jego Betty - szepnęła Mary, rozglądając się na wszystkie strony. - Mowę całkiem jej poplątało, sensu w niej nie ma i paroksyzmy ją chwytają najbardziej gwałtowne. To samo dzieje się z ich służącą Abigail Williams. Wielebny nie ma czasu zaglądać do kurnika, całe dni spędza w skupieniu na modlitwie.

- Wobec tego z Bożym błogosławieństwem dziewczęta wkrótce wrócą do zmysłów - obiecała Deliverance, wstając. - Co z tymi warzywami, Mercy? - Podeszła do kominka, wzięła ścierkę i podniosła żelazną pokrywę kociołka, by powąchać wrzącą zawartość. Kiedy to robiła, zimny podmuch wdarł się przez komin i rozwiął popiół wokół ich stóp. Mercy i Deliverance zaczęły otrzepywać spódnice, bo przecież wśród pyłu mogła się uczepić szaty płonąca iskra.

- Liwy! - zawołała Mary Sibley, gdy minęło zamieszanie. Wstała i położyła dłoń na stole. - On wezwał Williama Griggsa!

- Naprawdę? - spytała obojętnie Deliverance. - Mówią, że to dobry medyk.

Mary szybko obeszła stół, ujęła się pod boki i stanęła twarzą w twarz z Deliverance tak blisko, że nawet Mercy poczuła ciepło jej oddechu.

- I pan Griggs mówi, że widzi w tym rękę złego - wyjawiała Mary przez zaciśnięte zęby. - Nie możemy popatrzeć jeszcze raz? - Wyciągnęła dłoń z jajkiem, ale Deliverance odwróciła się. Mercy przenosiła wzrok z niej na Mary i z powrotem. To było niepodobne do matki, żeby tak kręciła.

- Nie widzę, dobrodziejko. Może to diabeł mąci mi wzrok - powiedziała Deliverance. Zerknęła na Mary, której twarz ściągnęła się od gniewu, a oczy pałały. - Musimy pokładać ufność w Bogu - zakończyła, splatając ręce. - Niech cuda czyniąca Opatrzność przywróci zdrowie tym dziewczętom. Jestem pewna, że wkrótce tak się właśnie stanie.

Zawiedziona Mary ze złości tupnęła nogą i Mercy odsunęła się od niej, a chwilę potem przywarła plecami do ściany, kiedy ta młoda jeszcze kobieta przeciskała się do drzwi. Deliverance obojętnie patrzyła, jak odchodzi. Kiedy Mary Sibley znalazła się przy drzwiach, obróciła się, nie bez trudu nakładając ciężką sukienną pelerynę, i powiedziała:

- Musi, że na nie padł urok, jak tutaj stoję. Jeśli nie widzisz powodu, żeby im pomóc, trudno, sama upiekę ciasto. Do tego nie trzeba mieć szczególnych darów!

Prychnąwszy dla nadania swoim słowom większego znaczenia, zawiązała pelerynę pod brodą, pchnęła drzwi i wyszła na chłód, zamykając je za sobą z głośnym trzaskiem. Jej śladem wleciał do środka wir śnieżnych płatków, który utworzył kopczyk na podłodze w sieni. Po wyjściu kobiety Deliverance podeszła do trójnożnego krzesła u szczytu stołu i opadłszy na nie, złapała się za głowę. Palcami bębniła po powierzchni czepka.

Mercy udawała, że zajmuje się warzywami w kociołku i sprawdza, jak piecze się chleb we wnęce kominka, ale całą uwagę miała zwróconą ku matce. Czekala.

Deliverance westchnęła i z łokciami wspartymi na stole, przesunęła palce ku skroniom. Mercy zerknęła na nią ukradkiem i przekonała się, że matka ma zamknięte oczy.

- Jakby to jej ciasto mogło przynieść coś dobrego - mruknęła Deliverance, nie otwierając oczu, chyba sama do siebie.

Mercy potraktowała te słowa jak zagajenie rozmowy, odwiesiła żelazny po-grzebacz niedaleko ognia wśród innych sprzętów kuchennych i przysiadła się do stołu. Wzięła miskę z żółtkami i zaczęła je ucierać. Gdy tak siedziała, natrafiła stopami na ciepłą kulę pod stołem, która zamruczała pod wpływem dotyku. Zimą Pies zwykł spać pod stołem w izbie, prawie niewidoczny w półmroku.

Przez chwilę siedziały z matką w milczeniu, Mercy drewnianą łyżką mieszała żółtka, dodawszy do nich łyżkę melasy. W końcu odważyła się odezwać.

- Dlaczego powiedziałaś jejności Sibley, że niczego nie widzisz, matko? - spytała. - Przecież zawsze coś widzisz w białku.

Deliverance otworzyła oczy i spojrzała na córkę. Zawsze kiedy patrzyła na nią w ten sposób, Mercy miała wrażenie, że jest całkiem przezroczysta niczym to białko pływające w szklance pełnej wody. Odwróciła oczy, ale matka wciąż mierzyła ją wzrokiem.

- Kiedy ostatnio była prana ta koszula? - spytała Deliverance, dotykając wyciągniętym palcem skrawka lnu pod szyją Mercy.

- Mam w kufrze starą. Jutro ją wywietrzymy.

Mercy odłożyła drewnianą łyżkę i zwróciła się twarzą ku Deliverance. Przez ostatni rok przerosła matkę i nawet stała się nieco tęższa. Wciąż jednak nie miała w tym domu nic do powiedzenia, mimo że teraz prawie niepodzielnie była tu gospodynią.

- Dlaczego, matko? - domagała się wyjaśnienia, zniecierpliwiona. - Odpowiedz mi, zmuszę cię!

- Czyżby? - odparła Deliverance z wymuszonym uśmiechem.

- A co takiego każesz mi powiedzieć, Mercy Dane, he? - Wstała, podeszła do okna i zdrapała z szyby trochę szronu. Przy oknie powietrze było chłodniejsze, więc oddech Deliverance tworzył wyraźny obłok pary i sprawiał, że szron szybko powracał. - Mam powiedzieć, że te dziewczęta udają? - spytała chłodno. - Ze przywołują diabelskie siły, żeby trochę poigrać i urozmaicić swoje nieznośne dni? Wystąpiłabym wtedy przeciwko córce pastora. Zarzuciłabym jej kłamstwo i mogłabym zostać oskarżona o oszczerstwo, gdyby dowiedziono mi, że jestem w błędzie. Albo inaczej... - Znowu zwróciła się ku Mercy, krzyżując ręce pod biustem. - Miałam powiedzieć, że ta cała Mary Sibley ma rację, że na dziewczęta ktoś rzucił urok? I co wtedy?

Przeszła na drugą stronę izby, gdzie bliżej buzującego ognia siedziała Mercy. Ujęła pukiel lnianych włosów leżących na ramieniu córki i roztarła go w palcach.

- Jak uważasz, za kim wtedy zaczęliby się rozglądać ludzie z miasta? - spytała cicho. - Ile czasu minęłoby, zanim zapomnieliby o swoich wyleczonych cielecicach, znalezionych naczyniach, zasiewach w odpowiedniej do tego porze i uśmierzonych bólach, gnani pośpiechem, by znaleźć kogoś, na kogo można rzucić winę?

- Ależ, matko... - szepnęła Mercy, a w jej niebieskich oczach odbił się płomień. - Kłamstwo jest grzechem śmiertelnym.

Deliverance uśmiechnęła się do tej długonogiej i piegowatej dziewczynki siedzącej przy stole w jej domu, tak jeszcze niedoświadczonej.

- Moja nieśmiertelna dusza należy do Jezusa Chrystusa - powiedziała, wypuszczając z ręki pukiel włosów Mercy. - I to On o niej decyduje. Jeśli mam zostać zbawiona, to jedynie z Jego łaski. A jeśli jestem potępiona - urwała, wciąż się uśmiechając, a Mercy poczuła ciemność gromadzącą się w piersi - wtedy oszczędzę mojej córce w tym życiu cierpień.

Następne kilka dni minęło tak jak inne zimowe dni w domu Dane'ów. Obie jego mieszkanki siedziały nie dalej niż kilka stóp od kominka, piekąc chleb, gotując kaszę kukurydzianą i mrużąc oczy nad cerowaniem ubrań przy świetle świecy, podczas gdy Pies pochrapywał pod stołem. Popołudniami Deliverance wyjmowała księgę, aby Mercy miała się z czego uczyć, i rozkładała na stole takie, to inne suszone ziele, pytając córkę o nazwę, właściwości i zastosowania tym samym pedantycznym tonem, jakim recytowała katechizm. Na zewnątrz bielutkie zasy sięgały wyżej dachu piętrowego domu, opierały się o okna izby, sypały śniegiem przez komin i wciskały się do środka przez szparę pod frontowymi drzwiami. Zaglądało do nich niewielu gości, jedynie sąsiedzi, którym

kończyły się jakieś zapasy i szukali możliwości dokonania wymiany. Mercy nie mogła znieść tej monotonii, z każdym mijającym dniem robiła się coraz bardziej niespokojna

i tęskniła za plotkami ze wsi.

- Pójdę na nabrzeże - oznajmiła w marcowe popołudnie na początku miesiąca, kiedy chłód jeszcze nie zelżał. Świat na zewnątrz był jedną wielką chmurą bieli. Mercy zaczęła nakładać ciężką pelerynę i grzebać w kufrze przy ramie łóżka w składziku, szukając jednego ze starych filcowych kapeluszy Nathaniela. Zachowała większość starych ubrań Nathaniela po jego śmierci przed rokiem, właściwie wszystkie z wyjątkiem tych, które miał na sobie, gdy zdarzył się wypadek. Czasem pojawiała jej się przed oczami wielka smuga świeżej krwi na drodze i słyszała trzask łamiącego się koła od wozu. Teraz przetarła oczy i odpędziła od siebie to przykre wspomnienie. Kiedy czuła się wyjątkowo podle, przywracała do łask stare kapelusze i koszule Nathaniela. Wyglądało na to, że stan ten zdarza jej się coraz częściej.

- Po co? - spytała spod drzwi Deliverance.

Mercy wyprostowała się, licząc na to, że słuszny wzrost pomoże jej osiągnąć przynajmniej namiastkę godnego wyglądu mimo sinego zabarwienia warg.

- Chcę się dowiedzieć, co słyhać na Zagrodach - odrzekła, posługując się dawną nazwą Salem Village.

Miasto Salem, w którym miały swój niewielki dom w odległości krótkiego spaceru od nabrzeża, w ostatnich dziesięcioleciach stale się rozwijało i w pewnym momencie utworzyło na obrzeżach rejon zwany Zagrodami, aby ten dostarczał mu żywności. Stopniowo Zagrody uzyskały pewien stopień autonomii i zmieniły nazwę na wioskę Salem. Nawet obyczajnie na Zagrodach były inne, mieszkali tam wieśniacy, nieufni i zamykający się w swoim gronie. Niewiele mieli wspólnego z marynarzami. Mimo że stale rosła, Mercy wciąż w duchu czuła się malutka, przytłaczał ją napływ nieznanymi twarzami. Nowi ludzie cią-

gnęli do miasta „z krańców wschodu”, z rubieży Maine, gdzie ataki Indian wypchnęły osadników, a ze statków wysypywali się przybysze z Anglii. Każdego dnia na ulicach Salem pojawiały się kolejne grupy obcych i nieznajomi wdzierali się do znanego Mercy świata dosłownie wszędzie: na targu, w zborze, czasem nawet w ich zaniedbanej izbie, gdzie zasięgaliby rozmaitych porad u Deliverance.

- Nie powinny cię interesować wiadomości z Zagród - powiedziała Deliverance. - Ale skoro już wdziałas pelerynę, to warto by nakarmić krowę. - Obróciła się z powrotem ku wnętrzu ogrzanej izby, a Mercy skrzywiła się paskudnie, wściekła, że zniweczono jej plany.

- Ale ja chcę się dowiedzieć, co słyhać! - krzyknęła, czerwieniejąc na twarzy.

Deliverance ponownie obróciła się ku niej z chłodnym spojrzeniem.

- Przydałoby się też więcej drewna do pieca w kuchni - powiedziała tonem, który zawsze oznaczał koniec dyskusji i niejednokrotnie już wystawiał cierpliwość Mercy na poważną próbę. Burcząc coś pod nosem, Mercy otuliła się peleryną i powlokła na popołudniowy ziąb.

Nowoangielska zima dopadła ją od razu na podwórzu, smagając po policzkach i podwiewając jej spódnice. Gdy brnęła w kierunku obory za domem, przy każdym kroku zapadając się w grubą warstwę świeżego śniegu, ku swemu rozdrażnieniu zaczęła odczuwać coś w rodzaju wdzięczności dla matki za to, że zabroniła jej iść na nabrzeże. Gdyby Deliverance tego nie zrobiła, Mercy poszłaby niechybnie, bo duma nie pozwoliłaby jej zawrócić. Tymczasem już po kilku krokach palce w butach miała sztywne z zimna.

Godzinę czy dwie później, wywiąawszy się z obowiązków, pchnęła tylne drzwi kciukiem w rękawicy i próbując wygodniej chwycić naręczce drew, przestąpiła próg. Tupnęła parę razy, by usunąć z butów lodową skorupę i sapiąc z wysiłku, weszła do izby. Zwaliła drwa na stertę obok ognia i odwróciwszy twarz do paleniska, wciąż w rękawicach, klasnęła kilka razy w dłonie, aby przywrócić

w nich czucie i krążenie krwi. Gdy spojrzała w stronę stołu i ściągnęła wytarty kapelusz Natha- niela, drgnęła zaskoczona, ujrzała bowiem wielką postać Sarah Bartlett, która razem z jej matką siedziała przy stole. Sarah Bartlett miała zafra- sowaną minę, trzymała Deliverance za ręce i obie coś szeptały. Deliverance szybko podniosła wzrok, przełknęła ślinę i powiedziała:

- Widzisz, Mercy, przyszła jejmość Bartlett, żebyś się mogła dowiedzieć, co słychać.

Dziewczynka usiadła na twardej ławie przy stole i wbiła wzrok w starsze kobiety.

- Dzień dobry, dobrodziejko - przywitała się i splotła dłonie na kolanach.

- I tobie dzień dobry, Mahcy - odparła Sarah Bartlett, choć jej zazwyczaj ru- miana twarz była dziś ziemistoszara, z powodu zimna albo strapienia.

- Mów dalej, Sarah - poprosiła Deliverance. - Mercy też powinna to usły- szyć.

Kobieta ponownie spojrzała na dziewczynkę.

- Może i tak - bąknęła niepewnie. Westchnęła ciężko i pokręciła głową, obejmując dłońmi kubek z gorącym cydrem, który postawiła przed nią Delive- rance. Mercy uprzytomniła sobie, że jeszcze nigdy nie widziała, żeby Sarah Bar- tlett czymkolwiek się przejmowała. Nie była przyzwyczajona do widoku tak po- ważnej sąsiadki.

- Paskudnie się wszystko układa, Liwy. Nic z tego rozumiem. Rano zaszłam do wsi. Tam całkiem odchodzą od zmysłów, i to gromadą. Niektóre dziewczęta są tylko krzynę młodsze od Mahcy, a już miesiąc, jak mają te paroksyzmy. Jedna z nich to córka proboszcza. Wielebny Pahriss jest pewien, że we wsi dzieje się ja- kaś diabelska drożność. Mówił przeciwko temu z ambony i wezwał cały zbór do postu i modlitwy o Boże przebaczenie. Potem rozeszło się, że Mary Sibley chciała od Tituby, tej Indianki w domu Pahrissa, żeby zrobiła dla niej ciasto cza- rownicy.

Deliverance jęknęła cicho i pokręciła głową.

- Ciekawam, jakiego przepisu użyła - powiedziała oschle. Sarah uśmiechnęła się.

- Wzięła mocz od opętanych dziewcząt i zmieszała go z mąką żytnią, a potem dała to psu, bo myślała, że urok przejdzie na zwierzę, a dziewczęta będą uwolnione od mąk. Psy to znane chowańce czarownic, tak powiedziała.

Deliverance prychnęła z dezaprobatą, upiła łyk ze swojego kubka cydru i przeszła córkę lodowatym spojrzeniem. Mercy zdusiła chichot, zacisnęła usta i zdołała zachować pozory powagi. Nudy na pudy, pomyślała.

- Kilka dni temu wezwano do pomocy wielebnego Lawso- na i on potępił z ambony ciasto czarownic, że to niby diabelski sposób. Nawet największe cierpienia nie pozwalają nam się posługiwać narzędziem Diabła, tak powiedział! - Sarah podniosła głos. - Tego samego dnia podczas nabożeństwa Abby Williams zażądała, niech zapowie czytanie, a kiedy wielebny Lawson zapowiedział, ona na to: „To bardzo długie czytanie”. Jak żyję, nie słyszałam, żeby tak się odzywać, i to do godnego człowieka.

- Prawdę mówisz - przytaknęła Deliverance, upijając kolejny łyk cydru. - Nie wybrałabym takiego lekarstwa - dodała na stronie do Mercy, która skinęła głową.

- A dyć to jeszcze nie koniec, Liwy - powiedziała Sarah. - Kazali dziewczętom wymienić ich dręczycieli i wyjawić, jakie postaci przybiera Diabeł. W tym tygodniu wskazały Sarah Good, Sarah Osborne i samą Titubę!

Deliverance i Mercy porozumiały się wzrokiem. Sarah Good i Sarah Osborne były dwiema niechętnie widzianymi we wsi żebraczkami, które łąziły od domu do domu i stale domagały się jedzenia albo miejsca do spania. Te pazerne, cierpiące kobiety budziły lęk w sercach krzepkich wieśniaków. Unikano ich, jakby taka niedola mogła okazać się zaraźliwa. Tituba była indiańską służącą w domu Parrisów, przywiezioną przez nich z Barbadosu.

- Wynika z tego, że Mary Sibley żyje z Bogiem - mruknęła Deliverance. - To dla niej prawdziwe szczęście. - Wstała i wyjrzała przez okno.

- Liwy, uważaj co dalej! Właśnie dzisiaj wszystkie trzy sprowadzili do zboru na badanie! - krzyknęła Sarah.

- Co?! - spytała Deliverance, zwracając się ku Sarah, która wciąż siedziała przy stole.

- Dzisiaj, Liwy! A ta Tituba się przyznała! - Przy ostatnim słowie Sarah mocno plasnęła dłonią w stół. Mercy szeroko otworzyła oczy.

- Jezu miłosierny - szepnęła Deliverance, przyciskając rękę do skroni. - Ale to z pewnością kłamstwo. Tu nikt diabłu nie służy!

- Wielebny Pahris mówi, że ona musi pojednać się z Jezusem i wyjawić, kto jeszcze z nią się spotykał. - Sarah przełknęła ślinę, oczy lśniły jej z przejęcia. - Liwy, przyszedłam prosto do ciebie, żeby ci powiedzieć. W zborze był też ten Peter Petfahd. I pytał, czy Tituba kiedyś się z tobą spotykała.

W izbie zapadło milczenie. Krew odpłynęła z twarzy Deliverance, która zachwiała się lekko. Mercy zerwała się z ławy i szybko podtrzymała matkę, obejmując ją w talii.

- Usiądźmy, mamó - powiedziała i posadziła ją na trój nożnym krześle u szczytu stołu.

- Ja... - wykrztusiła Deliverance. - Mercy, ja... - Zachłusnęła się powietrzem, jakby nie była w stanie zaczerpnąć tchu. Mercy mozoliła się z troczkami jej sukni, szarpała je, aż w końcu udało jej się nieco poluznić stanik. Dopiero wtedy matka głęboko odetchnęła.

- Proszę o kompres, dobrodziejko - powiedziała Mercy, nawet się nie oglądając; w jej głosie odezwała się nagle władcza nuta.

Sarah Bartlett zakrzętała się za jej plecami, znalazła czystą szmatę i zmoczyła ją w wiadrze ze śniegiem zebrany po to, aby stopniał na wodę do zmywania. Wcisnęła dziewczynce do ręki zimny kompres, a Mercy zaczęła ocierać

nim czoło matki, odsuwając do tyłu czepek, dopóki pierwsze siwobrazowe włosy nie wydostały się spod niego i nie opadły na twarz Deliverance.

- Wyrównaj oddech, matko - szepnęła, nacierając kompresem miejsca za uszami aż po nasadę karku. Czuła, że oddech matki istotnie staje się głębszy i spokojniejszy, więc przyglądała jej się w skupieniu, póki wzrok Deliverance nie nabrał z powrotem ostrości. Po raz pierwszy Mercy zwróciła uwagę na wygląd matczynej skóry, która w trudny do wytłumaczenia sposób stała się nagle cieńsza i bardziej wyschnięta, poznaczona wokół ust i oczu gęstą siatką zmarszczek. W jej oczach Deliverance zawsze uosabiała władzę i rozsądek, choć mgliście pamiętała też odległy już i trudny do odtworzenia rok, kiedy matka była chłodna i nieprzystępna; teraz wyczytała z jej twarzy tę samą zgryzotę, której wówczas nie potrafiła w pełni pojąć.

- Ten Peter Petford to nędzny człowiek, nie przy zdrowych zmysłach - powiedziała, spoglądając matce w twarz. - Prawda, dobrodziejko?

- Taki jest - potwierdziła Sarah, kucając przy krześle, na którym siedziała Deliverance. - Nic nie uzasadnia tych jego oszczerstw. Sama to ludziom mówiłam.

Pulchną dłonią poklepała Deliverance po kolanie, a ta przełknęła ślinę i dotknęła rękawa sukni Mercy, by dodać jej otuchy.

- Dobrze o tym wiem. Ale chciałabym usłyszeć, co tam mówiono. - Wyciekująco spojrzała w twarz Sarah.

- Ta Tituba powiedziała, że nawet cię nie zna. Wtedy wielebny spytał, skąd Petfahdowi przyszło to do głowy, a ten Petfahd na to, że przez ciebie umarła przed laty jego mała Mahtha.

Deliverance wysłuchiwała tej nowiny w milczeniu, choć na jej twarzy odmalowała się zgroza. Mocniej ścisnęła Mercy za rękaw. Dziewczynka odniosła wrażenie, że słyszy zbliżający się tętent, ale nie wspomniała o tym ani słowem. Z

zapadających w domu ciemności wyłonił się Pies i spoczął na kolanach Deliverance.

-Jejku! - zachnęła się Sarah i cofnęła o krok. Deliverance i Mercy spojrzały na nią bez słowa.

-Cichaczem łązi ten kundel! - W ciszy pokoju rozległ się jej wątyły śmiech. Odgłos końskich kopyt, choć tłumiony przez śnieg, przybierał na sile.

-I co zdecydowało zgromadzenie? - spytała cicho Deliverance.

Sarah znowu przełknęła ślinę.

-Wielebny Pahriss powiedział... - zaczęła, lecz tętent ucichł nagle tuż przed domem Deliverance. Ktoś zeskoczył z konia, ktoś rośły, kto bez wątpienia brnął teraz przez śnieg do drzwi. Trzy kobiety słyszały szuranie sukiennych spodni o gęsty, mokry śnieg. - Że chyba powinni zamienić z tobą słowo, Liwy.

-Ostatnie zdanie ledwie przeszło jej przez gardło. Kurczowo zacisnęła dłonie. Deliverance spojrzała na nią, a na jej twarzy pojawiły się spokój i zdecydowanie.

-Zaiste - powiedziała, wstając. Wygładziła oburącz spódnice i zaczęła ścigać koronkowe wykończenie stanika, by w końcu zawiązać troczek na równą kokardkę. Potem poprawiła czepek i schowała pod niego luźny kosmyk. Nabrała powietrza i wypuściła je, przybierając władcą pozę. Rozległo się pukanie do drzwi. - Spiesz im się - zauważyła. - Otwórz drzwi, Mercy.

Tymczasem w miarę jak matka odzyskiwała spokój, dziewczynka wpadała w coraz większą panikę.

-Matko! - szepnęła błagalnie. - Mogłybyśmy się ukryć! Wymyślę coś, żeby ich zatrzymać, ty pobiegiesz do obory, a ja...

-Urwała, onieśmielona dumnym spojrzeniem Deliverance.

-To jedynie żalosne pomówienia obłąkanego człowieka - oświadczyła matka, dotykając policzka Mercy. - Muszę tylko wytłumaczyć to panom ze wsi i wszystko będzie dobrze.

- Pukanie do drzwi rozległo się ponownie, głośnie i oficjalne.

- Otwórz już, córko.

Sarah stała w miejscu, jakby wrosła w ziemię, więc dziewczynka pozbierała się i ruszyła do drzwi.

- Mercy! - zatrzymała ją szeptem matka. - Dopóki nie wrócę, ani słowa o księdze. Nikomu.

Dziewczynka w milczeniu skinęła głową, a gdy za wskazaniem Deliverance obróciła się i otworzyła drzwi, ujrzała roslą postać Jonasa Olivera z Marblehead - sąsiedniego miasteczka. Odziany w płaszcz rajcy wypełniającego swoje obowiązki, miał grubo oszroniony kapelusz z szerokim rondem i śnieg zebrany na barczystych ramionach. Za nim przebierał kopytami zapchlony koń, tupiąc głucho w zmrożoną ziemię.

- Dobry wieczór, Mahcy Dane - powiedział Jonas.

- Dobrodziej Oliver - odpowiedziała bez serdeczności. Przyglądała się, jak mężczyzna powoli mierzy wzrokiem wnętrze izby i dostrzega jej matkę stojącą z pobielalymi wargami u szczytu stołu, a obok skamieniałą Sarah, zaciskającą ręce. Psa nigdzie nie było widać.

- Zapewne wiecie, po co przyjechałem - rzekł. Mercy pomyślała, że jest to chyba najdłuższe zdanie, jakie kiedykolwiek słyszała z ust Jonasa Olivera.

- Zaraz się przygotuję - powiedziała Deliverance, nakładając grubą pelerynę i biorąc rękawice, które Mercy zostawiła do wysuszenia przy ogniu. Sarah otrząsnęła się z osłupienia dostatecznie prędko, by zapakować jej trochę twardego kukurydzianego chleba i bukłaczek cydru. Przez cały ten czas Jonas Oliver czekał przy drzwiach z kamienną twarzą, a wiatr wpadał do domu, niosząc do sieni kupki brudnego śniegu i lodu.

Mercy przyglądała się tym przygotowaniom, czując uderzenia zimnych podmuchów, które gnając dalej, unosiły ze sobą wszelkie pozory bezpieczeństwa i pewności, jakie dawał jej ten dom. Jej panika rosła, ogarniała całe ciało niczym

wielka czerwono- czarna fala, a ona gorączkowo szukała w głowie pomysłu, który pozwoliłby przeszkodzić temu straszemu człowiekowi w zabraniu matki. Próbowała sobie przypomnieć przepis na odwrócenie biegu czasu, ćwiczony przez nią pilnie i sprawiający, że owoce kurczyły się i wracały do postaci nasienia. Liczyła, że może zadziała i odmieni tę sytuację albo tego człowieka, ale podczas gdy przeglądała szufladki umysłu w poszukiwaniu słów, których potrzebowała, jej matka wzięła zawiniątko przygotowane przez Sarah i podeszła do drzwi.

Deliverance położyła rękę na ramieniu Mercy i spojrzała jej w oczy.

- Pamiętaj, co ci powiedziałam - szepnęła. Mercy skinęła głową, choć czuła się tak, jakby za chwilę coś miało ją rozerwać. - Dopóki nie wrócę, zostawiam dom pod twoją opieką. Nie zaniedbuj się w pracy.

Mercy jeszcze raz skinęła głową i zobaczyła, że Jonas Oliver wychodzi przed dom, gestem nakazując Deliverance, by szła za nim. Nagle przestała nad sobą panować.

- Mamo! - krzyknęła i rzuciła jej się na szyję, mocząc jej pelerynę i włosy łzami i śliną.

- Pst, pst - uspokajała ją Deliverance i głaskała po plecach tym samym ruchem, co kiedyś ojciec. Mercy zadrżała i na myśl o ojcu rozszłochała się jeszcze bardziej. - Wkrótce wszystko się wyjaśni. Musimy modlić się do Boga, by dał nam siłę.

Delikatnie rozplotła ramiona córki i stopniowo uwolniła się z uścisku. Odsunięta Mercy stała ze zwieszoną głową, targana wściekłością i smutkiem.

- Byłaś dla nas dobrą przyjaciółką, Sarah - zwróciła się Deliverance do przyjaciółki, która odpowiedziała:

- Z Bogiem, Liwy Dane.

Deliverance jeszcze pocałowała córkę w czoło, po raz ostatni rozejrzała się wokół domu i poszła za Jonaszem Oliverem w mrok.

Mercy patrzyła, jak matka odchodzi, i czuła, że nienawidzi tego człowieka, całej wsi, wielbnego Parrisa, tych niedorzecznych piszczących dziewcząt, swojego nieżyjącego ojca, Sarah Bartlett i nawet - aż nie chciała się do tego przyznać - Boga samego, że dopuścili do tego, co się stało. Koń oddalał się galopem z podwójnym ciężarem, nękając powoli w chmurze śniegu wzbijanego kopytami, a Mercy spoglądała za nimi, stojąc w drzwiach, póki tętent nie rozplynał się w ciemności. Wtedy u jej stóp pojawił się pies.

TLR

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Marblehead, Massachusetts

połowa sierpnia 1991 roku



Wieczór zawitał pod gęste baldachymy pnączy na babcinym podwórzu wcześniej niż gdzie indziej, ale Connie bez trudu dostrzegła zarys wypalonego koła, które wciąż widniało na drzwiach wejściowych. Położyła torebkę u swoich stóp na podeście, oparła ręce na biodrach i poczuła, jak całe zmęczenie spływa jej w kończyny. Popołudnie spędzone w szpitalu całkowicie ją wyczerpało, czuła się wyzuta z emocji i zagubiona. Noga Sama powoli zdrowiała, za to konwulsje stawały się coraz groźniejsze. Szarpały całym jego ciałem z taką gwałtownością, że nawet zblazowane pielęgniarki z oddziału były wyraźnie przerażone. Skurcze mięśni obejmowały ramiona, nogi, plecy i szyję, usztywniały i dziwacznie wykręcały ciało, odbierając Samowi świadomość i wypychając mu język z ust. Często następowały po nich okropne torsje.

Na twarzy Sama widać było coraz większe wyczerpanie: głębokie sine półkole pod oczami powiększały się niczym plamy atramentu na bibule, zasypiał tylko na krótko. Lekarze podawali mu kilka różnych środków przeciwdrgawkowych, ale żaden z nich nie działał. Connie podsłuchiwała, jak zażarcie omawiają między sobą różne teorie, żadna z nich jednak nie pasowała dokładnie do obja-

wów. Nie była to ani cholera, ani epilepsja, ani guz. Zlecili nawet tak zwaną próbę Reinscha, o której zasięgnęła informacji i dowiedziała się, że jest to test na obecność środków trujących w organizmie, na przykład wchodzących w skład farb. Wyniki okazały się niejednoznaczne.

Chociaż w obecności Sama i jego rodziców lekarze nadrabiali miną, Connie zdawała sobie sprawę, jak wiele wątpliwości ukrywali. Kiedy pojawiła się tego popołudnia w szpitalu, grupa siedmiorga czy ośmiorga studentów medycyny obserwowała drgawki Sama z długopisami zawieszonymi nieruchomo nad notatnikami. Na jej widok wszyscy gwałtownie podnieśli głowy - jeszcze nie nauczyli się skutecznie maskować ciekawości.

Wpatrując się w koło na drzwiach, Connie rozważała hipotezę Liz. Czy rzeczywiście mogło pojawić się po to, by chronić, a nie przerażać? Ale jeśli nawet, teoria ta nijak nie wyjaśniała, skąd się wzięło ani, co ważniejsze, za czyją sprawą. Connie przycisnęła palce do skroni, czując rosnącą frustrację z powodu własnej bezsilności.

Nie znosiła wrażenia, że nie panuje nad własnym życiem, była wściekła, że nie potrafi pomóc Samowi, a jej gniew obejmował również niewidzialne ręce, które naznaczyły drzwi jej domu, oraz lekarzy z ich niekompetencją i bezużytecznymi białymi kitlami. Tego popołudnia podsłuchiwała Lindę, która szeptała do słuchawki automatu w holu:

- On umiera, Michael. Mój jedyny syn... Jeśli szybko nie odkryją, co z nim jest... - Linda zorientowała się, że Connie ją słyszy, i szybko zmieniła temat, ale bladość twarzy świadczyła wymownie o jej rozpacz.

Connie poderwała z ziemi torebkę, otarła twarz i pchnęła drzwi do domu. Wieczór rozgościł się już saloniku, więc po omacku minęła oba fotele przy kominku i wymacała dłońmi babcine biurko chippendale.

- Ario? - zawołała. Odpowiedziało jej milczenie. Wyteżając słuch, próbowała wyłowić odgłos szurania łap albo pochrapywania, ale dom był pogrążony w

ciszy. Z kieszeni szortów wyciągnęła zapalniczkę i osłaniając pudełko dłońmi, potarła jedną z nich o draskę. Zapaliła lampkę naftową na biurku i wyregulowała wysokość płomienia w szklanym kloszu tak, by cały pokój znalazł się w kręgu ciepłego pomarańczowego światła.

Blat zalegała gruba warstwa kartek z jej notatkami, a przywiezione z Cambridge książki walały się w stertach na podłodze. Przyklękła i zaczęła oglądać ich grzbiety, aż jej wzrok padł na *Kulturę materialną przesądu* Lionela Chandlera. Od wiosny, kiedy uczyła się do ustnego egzaminu dopuszczającego, zdążyła już zapomnieć główną tezę tej pracy. Teraz więc, usiadłszy na fotelu przy biurku i podkuliwszy boscie stopy, otworzyła książkę i zaczęła od spisu treści, by znaleźć rozdział, który mógłby mówić o krzyżach. Albo o kołach i krzyżach. Minęła stronę tytułową, metryczkę i podziękowania, ale jeszcze przed pierwszym rozdziałem, zatytułowanym „Przesąd a tradycja ludowa”, zatrzymała wzrok na sztychu przedstawiającym młodą kobietę w prostym wiejskim stroju, trzymającą w wyciągniętej ręce grubą księgę. Zmarszczyła brwi. Podpis brzmiał: „*Młoda kobieta wróżąca z klucza i Biblii*”, ryt anonimowy, East Anglia, 1587; reprodukcja według *Maleficia Totalis, British Museum, Dział Zbiorów Specjalnych*; zob. s. 43.

- Co takiego? - powiedziała na głos i jednocześnie poczuła miękki psi język, liżący ją po kolanie. - O, cześć Ario - zwróciła się do zwierzaka, który zniemacka usiadł przy biurku i zaskomlał.

Zajrzała na stronę czterdziestą trzecią i przesunęła po niej palcem.

„...często trzeba było posługiwać się artefaktami powszechnie dostępnymi w domu - przeczytała, zaczynając od początku strony. - Powszechnie znaną ludową techniką wróżenia, wspomnianą w kilku źródłach i stosowaną jeszcze w pierwszej dekadzie dziewiętnastego wieku, była tak zwana metoda klucza i Biblii. Zgodnie z nią wkładano klucz do dużej, ciężkiej księgi, zwykle właśnie Biblii, a osoba oczekująca odpowiedzi, trzymając księgę, zadawała pytanie. Jeśli

księga otwierała się i klucz wypadł, należało zakładać, że odpowiedź na pytanie jest twierdząca".

Connie miała wrażenie, że w miarę lektury ściany domu zbliżają się do siebie, zamykając ją w maleńkim ciasnym pudełku. A jednak czytała dalej.

„Stosując odmianę tej metody można było napisać imię lub pytanie na karteczce, wsuwanej następnie do klucza, i w ten sposób dokładniej pokierować naturą dociekań".

Raptownie podniosła głowę, przełożyła książkę na kolana i zaczęła rozgarniać papiery na blacie, aż wreszcie znalazła klucz, który przez większą część lata nosiła w kieszeni. Wolnym ruchem wyjęła go spomiędzy papierów, uniosła na wysokość oczu i obróciła w ciepłym blasku lampy naftowej. Długi trzpień za-błyszczał. Paznokciem kciuka zahaczyła o wystający koniec miniaturowego zwoju, który ujawnił przed nią istnienie Deliverance Dane, wyciągnęła go z ukrycia i obróciła między palcem wskazującym a kciukiem.

Myślami wróciła do pierwszego wieczoru spędzonego w domu babci, kiedy Liz poszła na piętro położyć się w śpiworze na zawilgoconym materacu, a ona siedziała pełna lęku przy lampie naftowej i nie mogła zasnąć. Co wtedy robiła? Ogarnięta niepokojem, szukała czegoś do czytania. Connie wstała i odtwarzając swoje czynności, wzięła lampę i podeszła do półki. Znalazłam rozlatujący się egzemplarz *Chaty wuja Toma*, przypomniała sobie, kładąc rękę na chudym tomiku powieści. Potem spojrzałam w dół na duże książki z dolnej półki, pomyślała, uklękła i przysunęła lampę do ich grzbietów. I wyciągnęłam Biblię. Położyła dłoń na księdze. Zmarszczyła czoło.

- Nie pamiętam jednak, żebym cokolwiek powiedziała na głos, a tym bardziej zadała pytanie - poinformowała Ario, który podszedł za nią do półki. Popatrzył na nią obojętnie. Wsadziła kciuk między zęby i przygryzała go przez chwilę. - Ale o czymś musiałam myśleć - ciągnęła. - Przecież zawsze o czymś myślę. - Zawahała się. - O czym wtedy myślałam?

Przywołała obraz siebie samej tego pierwszego wieczoru, kiedy w piżamie, klęcząc na podłodze, kartkowała pierwsze rozdziały Biblii. Kiedy zobaczyła siebie czytającą, zmrużyła oczy, starając się skupić na tej wizji. Przypomniała sobie ból, jaki przeszył wówczas jej dłoń i zauważyła niebieską mgiełkę unoszącą się nad opuszkami palców, której tamtego wieczoru nie widziała. Jej widmo upuściło starą księgę i zaczęło rozcierać rękę i gimnastykować palce, żeby pozbyć się bólu.

- O czym myślisz? - spytała.

Zjawa odwróciła ku niej twarz, wysunęła klucz z leżącej na podłodze Biblii i podniosła go wysoko, żeby jej prawdziwe ja mogło go teraz zobaczyć, a potem znikła w mroku. W tej samej chwili Connie olśniło.

- Zastanawiałam się, czyje dzieje znajdę w tym miejscu - rzuciła w pustkę, gdzie przed chwilą znajdowało się jej widmo.

- Klucz i Biblia odpowiedziały na moje pytanie, chociaż wcale nie wiedziałam, że je zadaję! - Skrzyżowała ręce, czując gwałtowniejsze bicie serca. - To musi mieć jakiś związek ze słowami - szepnęła pod nosem.

Szybko podeszła z lampą do biurka. Ario pobiegł za nią, jakby te poszukiwania pochłaniały go w nie mniejszym stopniu.

- Ale nie tylko ze słowami. Sam próbował czytać kartkę po łacinie i nic się nie stało.

Usiadła, rozmyślając intensywnie. Ponownie wzięła do ręki książkę o przesądach i wróciła do ostatnio przeglądanej strony, żeby sprawdzić, czy nie dowie się czegoś więcej. Przemknęła wzrokiem po kilku przykładach zastosowania metody klucza i Biblii w późnym średniowieczu i początkach okresu nowożytnego, wreszcie zatrzymała się trzy strony dalej.

„Inna rozpowszechniona ludowa technika wróżenia, dość prymitywna, lecz dostępna dla wszystkich bez względu na przynależność społeczną, zwana jest „sito i nożyce”. Sito ustawia się na rozwartych ostrzach nożyc, a potem zadaje

pytanie, na które można odpowiedzieć tylko „tak” lub „nie”. Podobnie jak w przypadku klucza i Biblii, spadające sito traktowano jako odpowiedź twierdzącą na pytanie zainteresowanego. Dowodzono, że u początków tej techniki stała względnie wysoka cena nożyc; chociaż były one popularnym narzędziem w gospodarstwie domowym, to jednak kosztowały stosunkowo dużo, a ich wyrób był trudny. Szczególną wartość przedstawiały w Nowym Świecie, dokąd technika produkcji nożyc domowych i nożyc do strzyżenia owiec dotarła dosyć późno. Według niektórych świadectw metodą tą często posługiwano się przy poszukiwaniu utraconej własności, a zwłaszcza przy ustalaniu tożsamości złodzieja w czasach, gdy inne metody egzekucji prawa i zadośćuczynienia właściwie nie istniały, jeśli nie liczyć obserwacji przez społeczność i wywieranej przez nią presji”.

Connie odchyliła się na oparcie fotela i podciągnęła kolana pod brodę, a następnie wolno wypuściła powietrze z płuc. Myślami powróciła do Sama, bezbronny i osamotniony. Z powodu dziwnego wypadku przykuty był teraz do szpitalnego łóżka. Zastanawiała się, jak Grace zdołała ułożyć sobie życie po zaginięciu Leo. Jak mogła znosić dzień za dniem, nie wiedząc, co się stało? Rzecz jasna, toczyła się wówczas wojna. Ludzie znikali bez śladu. Connie ogarnęło głębokie współczucie dla matki, gdy pomyślała o jej młodym wieku, świeżo skończonym college'u i oczekiwaniach. Oczywiście nie miała pojęcia, ile czasu Grace tak czekała, żyła nadzieją, zanim zrozumiała, że musi przestać, że to już koniec.

W jednej chwili podjęła decyzję.

- Chodź - powiedziała do psa, który podreptał za nią posłusznie. Wzięła lampę i ruszyła do kuchni.

Po dłuższym szperaniu udało jej się znaleźć durszlak z lat siedemdziesiątych, miejscami pozbawiony zielonej emalii, i zardzewiałe nożyczki, które za pomocą kilku kropli oleju doprowadziła do stanu używalności.

- Czy durszlak może udawać sito? - spytała pustą kuchnię. Wokół jej stóp kręcił się podekscytowany Ario, ale to nie do

niego skierowała pytanie. Może po prostu miała nadzieję, że uda jej się w jakiś sposób poznać myśli babci. Nie ulegało wątpliwości, że Sophia nie interesowała się gotowaniem. Poza butelkami i słoiczkami na półkach wyposażenie kuchni było zaskakująco ubogie. Dwie łyżki kuchenne, tępy tasak, jedna żelazna patelnia. Connie uśmiechnęła się pod nosem. Grace narzekała kiedyś, że w czasach, gdy dorastała, Sophie karmiła ją wyłącznie serem Velveeta, sucharami, bu rakami z puszki i szynką na ostro. A do tego w zasadzie nie są potrzebne naczynia i sprzęty kuchenne. Poruszyła kilka razy ostrzami nożyczek i poczuła, że opór rdzy ustępuje.

- No, dobrze - powiedziała na głos.

Rozejrzała się, na wpół świadomie rozważając, czy do eksperymentu nie przydałaby się bardziej stosowna sceneria niż ciasna kuchnia z drzwiami z siatką i krzywą miotłą w kącie. W kuchni czuła się jednak bardziej swobodnie, tu miała poczucie, że panuje nad sytuacją. Blask lampy naftowej, wypełniający pomieszczenie, dawał Connie nadzieję, że jej świat jest ograniczony i da się go kontrolować.

- Do roboty - powiedziała. Otworzyła nożyczki pod odpowiednim kątem, ustawiła na ich ostrzach durszlak, wypukłą stroną w dół i puściła go powoli. Puściła też jeden uchwyt nożyczek, aby drugi mógł się swobodnie poruszać. Teraz wystarczyło już tylko zapytać. Odpowiedź musiała brzmieć „tak” lub „nie”, tak napisano w książce. Przybrała zdecydowaną minę i wyprostowała plecy. Myślała o słowach, które podsłuchiwała, gdy przerażona Linda rozmawiała przez telefon.

- Czy Sam umrze, jeśli szybko nie uzyska pomocy? - spytała. W dłoni trzymającej nożyczki pojawiło się znajome mrowienie i pieczenie, przedramiona i palce przeszły granicząca z bólem wibracja przepływającej energii. Wewnątrz durszlaka rozbłysnął niebieskawy ogień, emitujący miniaturowe błyskawice. Jedna sięgnęła blatu przy zlewie, inna staroświeckiej lodowni, jeszcze inne sufitu i podłogi. Nagle swobodne ramię nożyczek wykonało gwałtowny ruch, a durszlak upadł z takim impetem, jakby popchnęła go niewidzialna ręka. W chwili, gdy spadł i odbił się od podłogi, niebieskawa energia znikła.

Connie stała jak wryta, osłupiała. Zdziałało. To coś działało! Jak to w ogóle możliwe? Być może znalazłaby racjonalne wytłumaczenie dla zdarzeń z dmuchawcem na błoniach i zielistką w salonie, uznała je za dzieło przypadku. Jednak teraz, w babcinej kuchni, gdy ból wciąż przeszywał jej układ nerwowy, przekonała się, że doświadczyła tego wszystkiego naprawdę. To się po prostu zdarzyło. Przypomniały jej się słowa wiccanki w kolczykach: „To, że w coś nie wierzysz, nie oznacza, że to nie istnieje”.

Ale co napisał Chandler w swojej książce? Spadające sito oznacza odpowiedź twierdzącą. Czyli „tak”. Jeśli wkrótce coś się nie wydarzy, Sam umrze.

Z trudem przełknęła ślinę i schyliła się po durszlak. Ario przyglądał jej się z kąta kuchni, do połowy ukryty za lodownią.

- Spokojnie, spokojnie, spokojnie - szeptała do siebie, ponownie ustawiając durszlak na rozwartych nożyczkach. Grace twierdziła, że przekonanie, że zawsze powinniśmy umieć wszystko wyjaśnić, jest przejawem pychy. Connie nie starała się więc zgłębić mechanizmu obserwowanego zjawiska, lecz raczej skupić się na jego rezultacie. Wyciągnęła jedną rękę, utkwiała wzrok w durszlaku i opuściła drugą rękę wzdłuż ciała. Odchrząknęła, a lęk ukryła głęboko w zakamarkach umysłu.

- Czy lekarze będą mu w stanie pomóc? - spytała; jej głos wypełnił niewielkie pomieszczenie. W dłoni i przedramieniu znów poczuła mrowienie, błękitny

ognik znów dotknął środka durszlaka i trysnął iskrami, uderzającymi w przedmioty dookoła. Tym razem jednak durszlak ani drgnął. Iskry zaczęły blednąć, dolatywały coraz bliżej, a ognek stopniowo gasł.

Connie raptownie uniosła brwi.

- Nie, nie, nie! - wymamrotała pod nosem i gwałtownie potrząsnęła nożyczkami; chciała żeby odpowiedź była inna. Durszlak niewzruszenie tkwił jednak na ostrzach, jakby był do nich przyklejony.

Gorące łzy wezbrały pod jej zaczerwienionymi powiekami, otarła więc zmęczoną twarz.

- Co... co... co ja wyrabiam? - szepnęła bliska paniki, a przez głowę przebiegały jej rozmaite pytania, które mogła zadać, by wyjaśnić sytuację Sama. Z trudem przełknęła ślinę, oddychając coraz płycej. - Dobrze, jest dobrze - zapewniała samą siebie.

- Mam! - Znów się wyprostowała, otarła wilgotną dłoń o szorty i udało jej się nawet odetchnąć głęboko. - Czy ktokolwiek może mu pomóc? - spytała.

Mrowienie wybuchło z większą siłą niż przedtem, ból był teraz silniejszy i musiała aż zacisnąć zęby, aby znieść przykre, piekące doznanie, ogarniające już całą rękę. Również niebieskawe iskry z durszlaka wytrysnęły teraz dalej, odbijając się od butelek na półkach, od sufitu, a także od jej spoconego czoła. Zmrużyła oczy, oślepiąca niebieskawym blaskiem. W tej samej chwili durszlak wykonał gwałtowny obrót, przeleciał w powietrzu i uderzył w jeden z pozbawionych etykiety słoiczków, który obsypał półkę deszczem szklanych odprysków i zgniłych resztek owoców. Durszlak tymczasem odbił się jeszcze od kuchennego blatu i wylądował na ziemi. Tak! - pomyślała triumfalnie. To znaczy „tak"! A ja osiągam coraz lepsze wyniki. Podobnie jak z roślinami. Im dłużej ćwiczę, tym bardziej jednoznaczne są odpowiedzi.

- Ale nie dowiem się w ten sposób, kto może mu pomóc - rozważała na głos, znowu podnosząc durszlak. Miał świeżą skazę w miejscu, w którym emalia

zetknęła się z ostrą krawędzią blatu. Odruchowo potarła kciukiem odsłonięty kawałek metalu.

- Przecież to odpowiada tylko „tak” i „nie”.

Przez chwilę zadumała się nad różnymi możliwościami. Ponownie rozwarła nożyczki, ostrożnie ustawiła durszlak i cofnęła rękę. Z każdą próbą ból się nasilał. Doszła do wniosku, że powinna rozważnie dobierać pytania, bo wkrótce będzie musiała zrezygnować z następnych, po prostu już nie wytrzyma bólu.

I nagle w jej świadomości pojawiło się pytanie, które należało zadać. Była absolutnie pewna, że jest właściwe.

- Czy to ja mogę mu pomóc? - spytała, choć by to wykrztusić, musiała wykorzystać ostatnie rezerwy mocy. Skrzywiła się i odchyliła głowę do tyłu, jak najdalej od wyciągniętej ręki, gdy ze środka durszlaka posypał się świeży deszcz iskier. To coś rozrywało już nie tylko jej ramię, przeniosło się też na mięśnie klatki piersiowej i pleców. Connie uświadomiła sobie, że skowyczy przenikliwie, a durszlak oderwał się od ostrzy nożyczek, trafił w najwyższą kuchenną półkę i pikującym lotem uderzył w podłogę, na której znieruchomiał, nie odbiwszy się ani razu.

W tej samej chwili, w której skończył się jego lot, ból ustąpił. Connie odetchnęła głośno, wypuszczając powietrze przez otwarte usta. Przełożyła nożyczki do drugiej ręki i sprawdziła, czy stawy w jej palcach wciąż działają. Uznała, że jest w stanie znieść już tylko jedno, ostatnie pytanie. Musiała więc dokonać strategicznego wyboru. Zastanawiała się tylko chwilę, wiedziała przecież, o co trzeba zapytać.

Lekko drżącą ręką ujęła otwarte nożyczki i umieściła durszlak między jego ostrzami, a wolną rękę schowała za plecami i zacisnęła palce w pięść. Paznokcie wbiła w dłoń, licząc na to, że w ten sposób odwróci uwagę od bólu, który miał nastąpić. Usłyszała ciche skomlenie zza lodowni.

- Już prawie po wszystkim, Ario - szepnęła. - Wytrzymamy, prawda? - Głęboko odetchnęła i powiedziała: - Prawda!

Znów się wyprostowała i zapytała głębokim głosem:

- Czy rozwiązanie kryje się w księdze zaklęć Deliverance Dane?

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, chłodny blask wydobył się z samego środka metalowej powierzchni durszlaka, rozlewając się niczym ciasto na chleb, które zanadto wyrosło. Wokół Connie trwała prawdziwa kanonada, iskry bombardowały wszystkie kuchenne sprzęty, biły ją po twarzy i piersiach, po ramionach i nogach. Miała wrażenie, że całą jej rękę wypełnia gorący, stopiony metal, który spływa lewą stroną ciała przez nogę po końce palców u stóp. Zaciśnęła usta, żeby oddychać tylko przez nos, paznokcie wolnej ręki wpijała w dłoń z taką siłą, że czuła krew zbierającą się w stawach palców.

Durszlak zagrzechotał o podłogę, a nożyczki otworzyły się z taką siłą, że wyrwawszy jej się z dłoni, koziółkując z impetem, przeleciały przez pomieszczenie i z głuchym łoskotem wbiły się na dwa cale w drewnianą framugę drzwi z siatką. Tymczasem durszlak zerwał się i trzasnął o róg wiszącej szafki, przypłacając to sporym wgnieceniem. Potem odbił się i doleciał do przeciwległej ściany, zmiotł kilka słoików z półki, aż wreszcie spadł na podłogę, gdzie wbił się na pół cala w linoleum.

Connie zgięła się wpół i z twarzą zlaną potem oparła dłonie na kolanach, podczas gdy ostatnie niebieskawe iskry nikły w brzuchu leżącego na podłodze durszlaka. Z całej siły zaciśnęła powieki, a potem otworzyła oczy i wyprostowała się powoli. Z wąziutkiej szpary za lodownią spojrzało na nią brązowe oko i mrugnęło.

- Już w porządku, Ario. - Skierowała te słowa do wyłaniającego się pyska. - Teraz wiem, co muszę zrobić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Cambridge, Massachusetts

koniec sierpnia 1991 roku



Strażnik ledwie raczył spojrzeć na Connie, gdy błysnęła mu przed nosem zafoliowaną legitymacją. Stopy miał oparte na parapecie okna budki przy metalowej bramce. Skinął głową i znużonym ruchem uruchomił brzęczyk, nie odrywając oczu od krzyżówki, którą właśnie rozwiązywał. W ozdobnej marmurowej grocie, tworzącej wejście do Biblioteki Widenera, panował senny bezruch późnego lata. Connie schowała legitymację do kieszeni szortów i skierowała się do czytelnicy. Klekot kłapek uderzających o pięty niósł się echem, potęgując wrażenie jej małości i akcentując każdy krok przybliżający ją do stanowisk komputerowych.

Czekał tam na nią rząd przygnębiająco zielonych ekranów z migającymi żółtymi kursorami, oznaczającymi gotowość do pracy. Spróbowała wyszukać kilka haseł, takich jak „almanach”, „Deliverance Dane” i „przepisy lecznicze”. Wyniki w komputerowym katalogu sięgały jednak zaledwie tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku. Zmarszczyła czoło i podeszła do imponującej dębowej konstrukcji, gdzie urzędowali pracownicy informacji.

Bębniąc palcami po porysowanym blacie, czekała, aż młody okularnik raczy ją zauważyć. On jednak pochylał się nad otwartym zeszytem, ściskając ołówek, i wyciągniętym palcem wskazującym dawał znak, że zaraz poświęci jej uwagę. Zniecierpliwiona wciągnęła głośno powietrze przez nos, więc odłożył w końcu ołówek i wstał. Okazało się, że jego zeszyt jest pełen chińskich ideogramów.

- Przepraszam - powiedział. - Tłumaczę. W czym mogę pomóc? - spytał szorstko, lecz uprzejmie.

- Właśnie korzystałam z systemu Unix, by zlokalizować rzadką książkę, ale wygląda na to, że system nie sięga poza tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty drugi rok. Mam rację? - spytała, opierając łokcie na kontuarze.

Chłopak przewrócił oczami z ledwo skrywaną irytacją.

- To prawda. Baza danych zawiera tytuły do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku, bo tylko one zostały do tej pory zeskanowane. Zaczęliśmy digitalizację od materiałów bieżących i powoli się cofamy. Jeśli chce pani dotrzeć do kompletnego spisu książek wydanych wcześniej, proszę skorzystać z katalogu tradycyjnego. - Końcem ołówka wskazał ścianę zajętą przez drewniane kartoteki.

Connie westchnęła. Znowu spędzi dzień na przewracaniu fiszek.

- W którym roku opublikowano pani książkę? - spytał.

- Nie znam dokładnej daty, ale z pewnością przed rokiem tysiąc sześćset osiemdziesiątym. - Wyciągnęła szyję, chcąc sprawdzić, co jej rozmówca wpisuje do komputera.

Bibliotekarz cicho gwizdnął przez zęby, dalej wystukując coś na klawiaturze. W końcu zdecydowanym ruchem wcisnął klawisz enter.

- Tak, to będzie w dziale zbiorów specjalnych - oznajmił. - Muszę pani wystawić przepustkę. Można prosić o dokument?

Podawała mu legitymację i przyglądała się, jak wypisuje jej nazwisko na zielonym kartoniku. Sądząc po grafice, tego samego wzoru kart używano jeszcze w latach dwudziestych ubiegłego wieku.

- Tam w zasadzie wpuszcza się tylko wykładowców, ale ponieważ jest pani doktorantką, nie powinno być z tym większego problemu - powiedział, wypisując jakieś' bardzo złożone kody. Potem przesunął formularz w jej stronę i końcem ołówka wskazał miejsce, w którym należy go podpisać. - Proszę pokazać to przy wejściu do działu razem z numerami wydawnictw, które zamierza pani oglądać. Ponadto będzie musiała się pani zarejestrować, ale ponieważ są wakacje, nie zajmie to wiele czasu.

- To świetnie - odparła tonem całkowicie pozbawionym entuzjazmu. - Dziękuję.

Młody człowiek zsalutował jej ołówkiem i wrócił do swojego tłumaczenia, a ona powlokła się do katalogu kartkowego. Kiedy dotarła do szafek, przystanąła, powtarzając w myślach wszystkie informacje, które do tej pory udało jej się zdobyć na temat księgi.

Junius Lawrence pozostawił Harvardowi księgę zaklęć Deliverance Dane wraz z resztą zbiorów Salem Athenaeum przed śmiercią w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku. Tyle wiedziała.

Stała z założonymi rękami, patrząc na ścianę pełną szufladek z flszkami. Zagadka numer jeden: jak został zakatalogowany autor? Wydawało się nieprawdopodobne, by w tej roli figurowała Deliverance, zwłaszcza że księga mogła pochodzić sprzed tysiąc sześćset pięćdziesiątego roku, choć taka możliwość wydawała się nikła. Prawdopodobnie miała kilku autorów, może nawet więcej niż dziesięciu, w zależności od tego, jak długo jej używano. Nawet autorstwo powszechnie znanych tekstów okultystycznych często było trudne do ustalenia, tak bardzo obrosły w kolejne tłumaczenia i mitologię.

Zagadka numer dwa: tytuł książki. Do tej pory nazywano ją, w zależności od epoki i zastosowania, rejestrem przepisów, księgą z przepisami leczniczymi, almanachem oraz - określenie Manninga Chiltona - księgą zaklęć, czyli księgą wiedzy magicznej. Jej cechy zmieniały się więc w zależności od tego, kto ją opisywał. Żadne ze źródeł nie podawało konkretnego tytułu. Wyglądało na to, że księga po prostu go nie ma.

Tak więc Connie nie знаła ani tytułu, ani roku publikacji, ani autora, według których mogłaby zacząć poszukiwania. Potrafiła podać jedynie przybliżony wiek książki i rok, w którym podarowano ją Harvardowi. Ale biblioteki, podobnie jak muzea, często nie notują daty nabycia określonego woluminu. A może jednak? Zajrzała pod hasło *Chata wuja Toma*, żeby sprawdzić, jak skatalogowano kolejne wydania. Zgodnie z jej przewidywaniami, informacji o dacie nabycia nie było, opisano jedynie szczegóły związane z publikacją. Zaklęła pod nosem. Dla spokoju sumienia sprawdziła jeszcze, czy w katalogu nie funkcjonuje jako hasło „zbiór Salem Athenaeum”, ale takiego hasła również nie było.

Przez kilka minut szperała po różnych szufladkach pod różnymi hasłami i wynotowała numery katalogowe kilku budzących nadzieję woluminów, irytowała ją jednak, że ucieka się do metody, którą w najlepszym razie można było nazwać przypadkową. Almanach z lat siedemdziesiątych siedemnastego wieku, opublikowany prywatnie, należący do zbiorów specjalnych i anonimowy. Książka o ziołach leczniczych, także bez autora, opublikowana w tysiąc sześćset sześćdziesiątym którymś roku. Podręcznik medycyny opublikowany w Anglii w latach osiemdziesiątych siedemnastego wieku przez profesora Oksfordu. Zastanawiała się też, czy nie zajrzeć do kompendiów i podręczników alchemii, ale odrzuciła ten pomysł. Jeśli Chilton nie znalazł książki, mimo że od tylu lat drażył ten temat, to wśród literatury alchemicznej z pewnością jej nie było. Miała jeszcze kilka innych koncepcji, ale gdy wypisała numery paru następnych woluminów,

doszła do wniosku, że w ten sposób ma podobną szansę dokopać się do księgi, jak znaleźć sztabę złota na środku dziedzińca Harvardu.

W coraz czarniejszym nastroju szła sklepieniami, wyłożonymi marmurem korytarzami, aż dotarła do biurka działu zbiorów specjalnych. Przedstawiła znużonemu bibliotekarzowi przepustkę, numery woluminów i swoją legitymację uniwersytecką, a on, nawet nie usiłując ukryć, że stawia pasjansa na komputerze, wskazał jej ręką drzwi prowadzące do sali z regałami.

Chociaż była przyzwyczajona do nietypowych doznań zmysłowych związanych z kontaktem z archiwaliami, do kurzu w nosie i skurczu szyi, którą skręcała podczas czytania tytułów na grzbietach książek, to jednak okazała się nieprzygotowana na to, co zastała na półkach w dziale zbiorów specjalnych. Większość starych książek wydziela charakterystyczny zapach rybków, pleśni i rozkładającej się skóry. Nawet Harvard, ze swymi imponującymi źródłami finansowania i stosunkowo sprawną instalacją regulującą temperaturę i wilgotność powietrza, nie był w stanie ochronić tych woluminów przed niszczeniem w nietrwałych oprawach. Biblioteka rozpoczęła już kampanię mającą na celu wykonanie mikrofilmów najcenniejszych okazów i trzymanie oryginałów z dala od zatłuszczonych palców wnikliwych studentów, była to jednak syzyfowa praca. Connie cicho szła wzdłuż regałów, które odwiedzano najwyżej kilka razy w roku, a książki dookoła zdawały się roztaczać niemal namacalną aurę, jakby każda z nich wchłonęła jakąś część obecności minionych pokoleń, które je czytały. Mijając je w dusznej sali, Connie miała wrażenie, że przedziera się przez biegnące od grzbietów niewidzialne nici, strzępy osobowości dawnych czytelników, autorów, właścicieli i komentatorów. Z trudem opanowała mimowolny dreszcz.

Dotarła do pierwszej półki ze swojej listy, pogrążonej w głębokim mroku, i przyglądała jej się pełna obaw.

- To śmieszne - powiedziała na głos, usiłując uwolnić się od dojmującego wrażenia, że nie jest wśród książek sama. Przekreśliła wyłącznik czasowy oświe-

tlenia na końcu półki, nastawiony na piętnaście minut, i korytarz zalało elektryczne światło, a jednocześnie rozległo się głośnie cykanie. Szybko ruszyła w głąb regałów, wodząc palcem po grzbietach i odczytując numery katalogowe. Dotarła do pierwszej książki, którą brała pod uwagę, przystanąła i ostrożnie zdjęła ją z półki. Był to tekst o ziołach leczniczych, napisany około tysiąc sześćset sześćdziesiątego roku, a wklejony na wewnętrznej stronie okładki frontysepis informował ciekawym, wyblakłym pismem, że dzieło to podarował bibliotece w tysiąc siedemset piątym roku niejaki Richard Saltonstall. Jeśli jednak było ono w zbiorach Harvardu od tego roku, to nie mogło stanowić części zbiorów Athenaeum. Connie westchnęła i odłożyła książkę na miejsce. Skreśliła ją ze swojej listy i poszła dalej, wycierając czerwony pył z palców o tył szortów.

Następna potencjalnie interesująca księga znajdowała się trzy regały dalej. Connie nastawiła kolejny zegar, a poszukiwane dzieło znalazła tym razem na najniższej półce. Odłożyła torebkę, usiadła na podłodze i położyła sobie książkę na kolanach. Gruba warstwa kurzu wywołała w niej potrzebę kichnięcia, zdążyła jednak odwrócić głowę i wsunąć nos pod pachę. Robactwo zamieniło oprawę książki w misterną siateczkę i Connie uświadomiła sobie, że z tym tomem musi obchodzić się wyjątkowo ostrożnie, żeby nie rozpadł się w rękach. Otworzyła go paznokciem i zaczęła wolno przewracać pierwsze puste kartki. Jednocześnie cała zamieniła się w słuch, wydało jej się bowiem, że słyszy jakiś szelest.

Na dłuższą chwilę wstrzymała oddech i nastawiła uszu. Oprócz tykania zegara słyszała również inny cichy dźwięk, który wkrótce umilkł, zakończony głośnym trzaskiem. Z ulgą wypuściła powietrze. To tylko zegar, który wyłączył się w pierwszym korytarzu, przez który przechodziła. Nikt oprócz niej chyba nie siedział w tej chwili w dziale zbiorów specjalnych, zwłaszcza że był środek lata. Przewróciła ostatnie strony tytułowe książki i ujrzała sztych przedstawiający martwe ciało, rozcięte z przodu; wyjęte z niego organy miały łacińskie podpisy. To zwykły brytyjski podręcznik medycyny, pomyślała rozczarowana. Opuszkami

palców musnęła ilustrację, czując pewne obrzydzenie na widok obdartej ze skóry, martwej twarzy przedstawionego tam trupa, którego usta układały się w milczący grymas. Sekcja zwłok nie należała do powszechnych praktyk w czasach powstania tej książki - w latach osiemdziesiątych siedemnastego wieku. Mimo niemiłego wrażenia dalej przerzucała kartki. Bez pomocy Liz nie miała szansy zrozumieć, co czyta, dzieło bowiem było w całości napisane po łacinie. Z pewnością jednak nie mogło mieć nic wspólnego z magią ludową. Nic też nie wskazywało na to, że książka ma więcej niż jednego autora, cały tekst był wydrukowany i sprawiał wrażenie dzieła naukowego.

Gdy ta myśl przemknęła jej przez głowę, usłyszała kolejny trzask, głośniejszy, i korytarz pograżył się w absolutnej ciemności.

- A niech to! - mruknęła. Najwidoczniej skończył jej się czas. Po omacku odnalazła przerwę na półce między woluminami, umożliwiającą odstawienie książki na właściwe miejsce. Wstała i przesuwając dłonią po krawędzi półki, doszła do samego jej końca, co oznaczało, że ponownie jest w głównym przejściu. Jej następny typ, anonimowy almanach, znajdował się zaledwie jeden regał dalej, więc po omacku dotarła do kolejnego zegara. Przekręciła pstryczek, a gdy rozległo się cykanie i rozbłysło światło, wzdrygnęła się zaskoczona. Przed sobą ujrzała uśmiechniętego się Manninga Chiltona.

- Ojej! - Mimo woli przycisnęła dłoń do piersi.

- Connie, moja panno - powiedział jowialnie i oparł się o jedną z półek. - Jaka miła niespodzianka. Prowadzimy badania, prawda?

Spojrzał na nią, unosząc gęstą brew, a Connie pomyślała, że tylko jej promotor może przyjść w jedwabnym krawacie i w wyczyszczonych do połysku mokasynach do tak brudnego archiwum. Stał dostatecznie blisko, by mogła dostrzec na jego krawacie maleńkie głowy dzika, symbol Porcellian, jednego z najbardziej elitarnych klubów Harvardu. Był on ośrodkiem tradycyjnej bostońskiej elity, tak zwanych braminów, i pozwalał nawiązać odpowiednie kontakty zawo-

dowe i polityczne także tym, którzy nie dysponowali właściwymi koneksjami z racji urodzenia lub małżeństwa. W świecie braminów bogactwo traktowano jako oczywistość, bez pardonu wykorzystywano przywileje klasowe, a kobiety... no cóż, krążyły plotki na temat traktowania kobiet przez mężczyzn z „Porc”.

- Nie sądziłam, że ktoś jeszcze tu jest - powiedziała Connie, przełknąwszy ślinę.

W odpowiedzi Chilton przesłał jej chłodny, wymuszony uśmiech.

- Dopiero przyszedłem - wyjaśnił. - Muszę opracować jeszcze kilka źródeł w związku z wystąpieniem na konferencji, o którym rozmawialiśmy - dodał po chwili.

Próbowała odpowiedzieć mu uśmiechem, ale wypadł on bardziej jak grymas zakłopotania.

- A właśnie, przypomniało mi się - podjął, zbliżając twarz do jej twarzy. - Jak stoimy z badaniami, których wyniki chciała mi pani pokazać? Życzyłbym sobie jak najszybciej obejrzeć tę księgę.

Nagle zrozumiała, że znalazła się w potrzasku. Pojawienie się Chiltona akurat w tej chwili, gdy była tak blisko znalezienia księgi Deliverance, mogło być czystym zbiegiem okoliczności. Istniała jednak szansa, choć nikła, że nie był to przypadek. Spoglądając na jego twarz patrycjusza z mętnymi, przekrwionymi oczami i zębami pożółkłymi od tytoniu fajkowego, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że jej podejrzenia są słuszne. Szukał tej księgi i nie umiał jej znaleźć - to właśnie miał na myśli, mówiąc, że sam co nieco sprawdził w tej sprawie. Teraz przyjechał tu za nią, żeby nie mogła ukryć przed nim swojego znaleziska. Nie miała żadnej drogi ucieczki. Została jej ostatnia pozycja z listy, a Chilton stał i czekał.

Nie rozumiała do końca, dlaczego pragnie zachować dla siebie swoje odkrycia, domyślała się jednak, że Chilton chce wykorzystać jej sukces do wzmocnienia własnej pozycji. Podśluchiwała też, jak obiecywał przedstawić wyniki badań na

konferencji Stowarzyszenia Kolonialnego, choć nie wiedziała, o jakie wyniki chodzi. Podczas ich ostatniego spotkania mamił ją zaszczytami - wymyślił marchewkę, by skłonić ją do bardziej wyęźzonej pracy. Jeśli jednak znalazł się tutaj, gotów w każdej chwili rzucić się na jej źródło pierwotne, to musiał być jeszcze bardziej zdesperowany, niż to sugerowała Janine.

- Prawdę mówiąc... - zawahała się i przełknęła ślinę. - Istnieje duża szansa, że znajdę tę księgę. Dzisiaj.

Na jego twarz wypłynął uśmiech, niczym powiększające się pęknięcie na poplamionym porcelanowym talerzu.

- To wspaniała wiadomość - powiedział. - Wiedziałem, że potrafi pani dopiąć swego. Oczywiście proszę szukać dalej. - Skinął w jej stronę sękatą dłonią, jakby udzielał jej błogosławieństwa.

Czując na sobie jego niecierpliwie spojrzenie, wyciągnęła z kieszeni kartkę i wlepiła wzrok w postrzępione grzbiety książek, by znaleźć wytypowany numer katalogowy.

- Moja panno - odezwał się znów, gdy szperała na półce.

- Czy wie pani, dlaczego poświęciłem tak wiele pracy historii alchemii?

Szukała dalej, nie odwracając wzroku.

- Mam wrażenie, że nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Zaśmiał się sucho, zgryźliwie.

- To raczej nietypowe jak na człowieka o mojej przeszłości - ciągnął, a Connie jak zwykle pozwoliła, by zdekoncentrował ją swoją wymową. Haczyj. - W każdym razie bardziej wierzę w ciężką pracę niż we wrodzony talent. Technika, Connie, pani rozumie - ciągnął z coraz większym podnieceniem. - Na pewnym poziomie nie uznaję istnienia wrodzonego talentu. Nie. Zawsze miałem w sobie pod tym względem coś z merytokracy. Wystarczy odpowiednia ilość badań, technika i dbałość o szczegóły, a można przekroczyć swoje ograniczenia w dowolnej sytuacji. Takie są niezbędne czynniki triumfu intelektualnego.

Czuła, że ją obserwuje i oczekuje aprobaty. W jego głosie pobrzmiwał niepokój człowieka, który nie jest przekonany do wyznawanej przez siebie przez idei, więc próbuje uciszyć wątpliwości, przekonując do niej innych. Nie odezwała się ani słowem, skupiona bez reszty na swoim zadaniu. Podejrzewała, że historyjka, którą wymyślił na własny użytek dla wytłumaczenia swoich zainteresowań alchemią, różni się dość boleśnie od tego, co można wywnioskować z jego działań. Tymczasem on, niezrażony jej milczeniem, mówił dalej.

- Pod tym względem dawni alchemicy i ja widzimy świat w uderzająco podobny sposób. Ci ludzie byli pomostem między wiekami ciemnymi i oświeceniem! Stali na granicy między czystym przesądem a metodą naukową. Wierzyli w siłę nauki, która może odkryć naturę tego, co boskie. Przekształcając świat fizyczny, zamierzali dotknąć samej istoty prawdy. - Oczy mu zalśniły. Connie przystanęła, by sprawdzać kolejne grzbiety jeden po drugim, wciąż jednak milczała. - Prawda... - powtórzył i podkreślił znaczenie tego słowa pauzą. - W naszej epoce relatywizmu i tandetnych humanistycznych bredni! Hermeneutyka tego, płęć kulturowa tamtego, dyskursy śmego. - Prychnął pogardliwie. - Jaką cenę byłaby pani gotowa zapłacić, żeby stanąć przed kolegami i powiedzieć: „Trzymam w ręku klucz do poznania natury rzeczywistości”? - Głęboko odetchnął i Connie poczuła zapach tytoniu fajkowego.

- Osobiście skłaniam się do poglądu, że to fizyka cząstek elementarnych ma klucz do prawdziwej natury rzeczywistości - zaryzykowała, zerkając na niego kątem oka. Zobaczyła, że brwi Chiltona się zbiegają, a jego twarz zasnuwa chmura.

- Och, jest pani pod tym względem w błędzie - odrzekł nieco zbyt głośno jak na rozmiary pomieszczenia, w którym stali. - Nauka wciąż umie powątpiewać, ale straciła zdolność wiary. Właśnie wiara jest tym, co różni umysł alchemiczny od ściśle naukowego. I na tym polega prawdziwa wartość alchemii.

- Czegoś nie rozumiem - powiedziała Connie. - Jakiego rodzaju wartość?

Znalazła numer, którego szukała, ale wahała się, czy położyć rękę na grzbiecie książki. Była rozdygotana z powodu napięcia i niepokoju. Prześladował ją obraz Sama i cierpień szarpiących co kilka godzin jego ciałem. Nie mogła znieść tego, że promotor wciąż nad nią stoi - chciwy, wymagający, niecierpliwy.

- Czyżby naprawdę pani jeszcze nie wiedziała? - spytał zbity z tropu.

- Nie! - krzyknęła. - Kolonialne almanachy. Księgi zaklęć. Co to ma właściwie do rzeczy? - spytała zuchwale. Widok stojącej na półce książki, której szukała, dodał jej pewności siebie. Jeśli uda jej się zmylić czujność Chiltona, to może znajdzie też sposób, aby się go pozbyć. Z drugiej strony, skoro przyszedł za nią aż tutaj, to już i tak wie, które tytuły zwróciły jej uwagę. Nie mogła tak zwyczajnie skłamać. Zaczęła rozważać różne strategie odwrócenia jego uwagi od książki, ale odrzuciła je po kolei jako nieskuteczne.

- Ech, Connie - powiedział protekcyjnym tonem, na dźwięk którego się wzdrygnęła. - Nie jestem seksistą. - Zarechotał cicho, a ona spojrzała na niego z powątpiewaniem. Zauważył to i uśmiechnął się szerzej. - Niezliczeni ludzie, dysponujący najtęższymi umysłami naukowymi w historii ludzkości, zwracali uwagę na problem kamienia filozoficznego. Podobnie jak purytanie mieli swego wybrańca, ludzie ci, wybrani przez Boga do wyższych celów, adepci alchemii, tworzyli zakon najwybitniejszych, godnych praktykowania Wielkiego Dzieła. Kamień filozoficzny to zadziwiająca substancja, która mogła w jednej chwili przekształcać pierwiastki pospolite w rzadkie, a zarazem powodować głębokie zmiany w ludzkim ciele. Chociaż jego barwa, materia i struktura od dawna są przedmiotem dyskusji, to samo jego istnienie nie ulega wątpliwości. Kamień filozoficzny jest najbardziej wyrafinowanym i spektakularnym produktem intelektu człowieka, daje dostęp do boskiej mocy, która może mieć wpływ na życie, tu na Ziemi.

W miarę jak rozwijał swą myśl, po plecach Connie wędrowały coraz silniejsze ciarki. Zauważyła, że lekko drży jej ręka.

- Wszyscy ci ludzie jednak, mimo swego dogłębnego wykształcenia i erudycji, mimo że byli największymi umysłami swej epoki, zatrzymali się w końcu o krok do sukcesu – podjął Chilton. - Jak pani myśli: dlaczego?

Zerknęła na niego spod przymrużonych powiek i przekonała się, że rzeczywiście oczekuje od niej odpowiedzi.

- Ponieważ jest to mit - powiedziała cicho. - Kamień filozoficzny jest wyłącznie alegorią. Reprezentuje wszystko, czego człowiek pragnie, lecz nigdy nie osiągnie.

Chilton odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

- No, no! Ma pani tupet! - wykrzyknął. - Oczywiście, że ma pani prawo tak myśleć. Ale proszę rozważyć, co następuje. Żaden z nich... - znów zrobił znaczącą pauzę i z emfazą pokiwał palcem - żaden nie zadał sobie trudu, żeby przeanalizować źródła tekstowe, z których mogli korzystać praktycy magii ludowej. Alchemicy mieli materiały i wiedzę, ale brakowało im kluczowego elementu: techniki. Był on dla nich niedostępny! A to z tego powodu, że magię ludową uprawiały w większości kobiety. Wykształconym mężczyznom we wczesnej epoce nowożytnej nie przyszłoby do głowy zasięgnąć opinii tak zwanej babki, nawet bardzo poważanej, ponieważ jej pozycja społeczna i poziom wiedzy były nieporównanie niższe. Alchemicy mieli błyskotliwe umysły, ale pod tym względem byli krótkowzroczni. Ja jednak żyję w innej epoce i dzięki temu nie mam takich uprzedzeń. I co? Znaleźliśmy wreszcie to, o co nam chodziło?

Zaskoczona, a zarazem przestraszona Connie czuła, jak sztywnieją jej mięśnie karku. Aż zakręciło jej się w głowie ze zdumienia, że profesor naprawdę wierzy w to, co mówi. „Poczekaj, a przekonasz się, co mam ma do zaproponowania”, mówił do kogoś przez telefon. Szukał zatem formuły kamienia filozoficznego i był przekonany, że jest o krok od jej znalezienia. Domysł ten wydawał

się niedorzeczny, a jednak rozgorączkowany uśmiech Chiltona podpowiadał, że może to być prawda.

Dalsza gra na zwłokę nie miała sensu. Przyklęknawszy, położyła dłoń na woluminie i powoli wysunęła go spomiędzy innych. Rzuciła okiem na promotora, zastanawiając się, czy powinna od razu oddać mu księgę. Prawdziwa pasja i ciekawość naukowa wzięła jednak górę nad osobistymi ambicjami i profesor z fascynacją pochylił się nad znaleźnikiem. W głębi serca Manning Chilton wciąż był przede wszystkim badaczem. Nawet jeśli opanowała go żądza bogactwa i sławy, to jeszcze bardziej pragnął dokonywać odkryć. Connie ujęła palcami róg gładkiej oprawy i otworzyła księgę. Przewróciła pierwszą stronę, drugą, trzecią i poczuła, jak uśmieszek triumfu podnosi kąci jej ust.

- Chce pan zobaczyć? - spytała, zerkając na Chiltona.

Skinął głową i gestem zasygnalizował, by podała mu wolumin. Chwycił go łapczywie, odrywając przy okazji pasek skruszałej skóry, który upadł na podłogę. Polizał kciuk i odwrócił stronę tytułową. Connie wzdrygnęła się, myśląc o szkodach, jakie wyrządzi to księdze, ale zapomniała o swoich skrupułach, obserwując reakcję Chiltona.

- Ale co... - Jego głos zamarł, a podniecenie znikło z twarzy. - To jest po prostu tabela stanu wód! - wykrzyknął i przewrócił kartkę. - „Przepowiednie pogody na styczeń tysiąc sześćset siedemdziesiątego drugiego roku” - przeczytał i znów przewrócił kartkę. - „Rady dla uprawiających kukurydzę”. - Popatrzył na Connie z wykrzywioną z wściekłości twarzą. - Co to ma być?!

- To jest almanach - odpowiedziała rzeczowo. Zerknęła do notatek i dodała: - Opublikowany prywatnym sumptem w latach siedemdziesiątych siedemnastego wieku w Bostonie, autor nieznany.

- To nie jest księga zaklęć? - spytał bliski furii.

- Wygląda na to, że nie. - Wzruszyła ramionami. - Miałam taką nadzieję, ale to chyba jest zwyczajny poradnik dla rolników, tyle że bardzo stary.

Mgła przesłoniła mu oczy, kiedy z powrotem wciskał jej książkę w rękę, przy okazji znów odrywając kawałki skórzanej oprawy, które posypały się na podłogę.

- Jestem niezwykle rozczarowany, Connie - syknął i zacisnął zęby. Odwrócił się do niej plecami i ruszył w kierunku głównego przejścia między regałami. Gdy tam dotarł, przystanął i raz jeszcze popatrzył na Connie. - Muszę panią ostrzec - oznajmił, wyciągając przed siebie palec wskazujący. - Znalezienie tej księgi leży w pani najlepiej pojętym interesie. Na pewno rozumie pani, co mam na myśli.

Wpatrywała się w niego bez słowa.

- Proszę pamiętać - zakończył, wskazując wyłącznik światła - zostało pani niewiele czasu.

W tej samej chwili zabrzmiał głośny trzask i Connie ogarnęły ciemności.

Connie szła przez dziedziniec Harvardu ze splecionymi rękami i zwieszoną głową, a wisząca na jej ramieniu torebka obijała jej się o biodro. Nad nią gałęzie wiązów ocierały się o siebie z szemrzącym szeptem, który zapowiadał wieczorną burzę. Chłodna bryza owiewała pnie drzew, a gołe nogi Connie okryły się gęsią skórką. Zmiana pór roku zawsze ją zaskakiwała, mimo że całe życie mieszkała w Nowej Anglii. Roztarła ręce, by trochę się ogrzać. Wkrótce miasteczko uniwersyteckie znów się zaludni, studenci będą grać na dworze w frisbee i kołysać się w rytm muzyki ze słuchawkami na uszach, szurając zeszlými liśćmi. Przy każdej zmianie pór roku Connie odnosiła wrażenie, że czas ucieka jej przez palce. Nie lubiła tego uczucia, napawało ją niejasnym lękiem, a gnający naprzód czas dobitnie przypominał jej, jaka jest mała i bezsilna.

Zerknęła przez ramię; nikt za nią nie szedł. Zakładała, że Chilton wrócił do budynku wydziału historii, ale nie mogła być tego pewna. Groźba, jaką pożegnał ją, opuszczając bibliotekę, wciąż dźwięczała jej w uszach, złowieszczą, choć niejasną. Konferencja Stowarzyszenia Kolonialnego niewątpliwie wyznaczała

ostateczny termin zakończenia jego badań, a mrok bijący z jego oczu pozwalał przypuszczać, że profesor nie żartuje. Kiedy zostawił ją w ciemnościach działu zbiorów specjalnych, minęło kilka minut, zanim zdecydowała, co dalej. Pewna idea zakiełkowała jej w głowie podczas wywodów Chiltona na temat alchemii, kamienia filozoficznego i nadziei związanych z jego ewentualnym odkryciem.

„Nie jestem seksistą”, powiedział nie bez sarkazmu. Teraz, gdy kuląc ramiona, szła przez dziedziniec Harvardu, myśl profesora dotarła do niej z całą wyrazistością. Minęła najstarsze budynki miasteczka, przysadziste ceglane kamienice oplecione siecią dzikiego wina, i przystanęła, zatrzymana przez ruch uliczny na Harvard Square.

Przeciawszy slalomem zapchaną samochodami Massachusetts Avenue, wróciła myślami do Sama. Kiedy przeprowadziła eksperyment z sitem i nożycami, ogarnął ją paniczny lęk, od którego ani na chwilę nie mogła się uwolnić. Zdawała sobie sprawę, że tylko za pomocą księgi Deliverance ma szansę uzdrowić Sama. Księga nabrała dla niej całkiem nowego znaczenia. Z bardzo cennego źródła pierwotnego stała się jedynym narzędziem, które może ocalić życie Sama. Oczywiście jej tekst wciąż miał wartość intelektualną, ale to właściwie przestało ją interesować. Myśląc o Samie, minęła stary cmentarz ze zniszczonymi nagrobkami i zardzewiałą bramą, zamkniętą łańcuchem przed ciekawskimi i wandalami. Zacisnęła zęby. Jej badania były nieważne. I Chilton też był nieważny.

Idea, która po raz pierwszy zaświtała jej w głowie między regałami w Bibliotece Widenera, nie dawała jej spokoju. Wiedziała już na pewno, że ma rację. Książka uznana przez Harvard w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku za zwykłą literaturę kobiecą, zostałaby skazana na zesłanie do podrzędnej biblioteki niedofinansowanego Radcliffe College. Ta siostrzana uczelnia Harvardu obecnie stanowiła niemal wymarły zespół zrujnowanych budynków, dających schronienie zapomnianym reliktom i przyjezdnym feministkom, które zdobyły granty na ba-

dania. Na rogu Cambridge Common skręciła w lewo i zdecydowanie przyspieszyła kroku, kierując się ruchliwymi uliczkami w stronę Radcliffe Quadrangle.

Volvo zatrzymało się gwałtownie przy porośniętym krzakami końcu Milk Street i Connie wyskoczyła w pośpiechu na ulicę. Pchnąwszy skrzypiącą furtkę, omal nie potknęła się o Ario, który leżał na straży pod gęstym rozmarynowym żywopłotem obok wyłożonej kamieniami ścieżki. Pognał za nią do domu, a rozpędzona Connie ledwie zwróciła uwagę na niezwykle blask bijący z wypalonego na drzwiach koła i zwisającej z nadproża podkowy. Wpadła do sieni i natychmiast chwyciła za słuchawkę telefonu, by wybrać numer, który umożliwi jej połączenie z Grace Goodwin w Santa Fe.

- Nie mogę długo rozmawiać - powiedziała bez wstępów matka, gdy słuchawka ożyła. - Jest u mnie Bill Hopkins i muszę mu oczyścić aurę. Szkoda, że tego nie widzisz, same przerwane linie. Wpadł w głęboką depresję...

- Mamo - przerwała jej Connie. - Mam ją.

- Co masz, kochanie? - spytała matka i zasłaniając słuchawkę, szepnęła: - Poczekaj jeszcze chwileczkę, Bill. To moja córka.

- Księgę zaklęć Deliverance Dane! - oznajmiła Connie z mocno bijącym sercem.

- Ależ to było do przewidzenia, kochanie. Chociaż wciąż uważam, że nie jest ci potrzebna. - Grace westchnęła cicho. - Cóż, sądzę jednak, że nie zaszkodzi. Tak bardzo się o niego martwisz! Konkretnie rady mogą się przydać, kiedy jesteś na początku drogi. - Connie usłyszała, jak Grace szepcze do tajemniczego Billa: „Herbata”, machając równocześnie dłonią w kierunku kuchni.

Zmarszczyła czoło, skonsternowana.

- O czym ty mówisz? - spytała.

- Mówię o pomocy Samowi, oczywiście - odparła Grace, a Connie wyobraziła sobie delikatne brwi matki wygięte nad oczami w dwa łuki. - Szczerze mó-

więc, jestem trochę zdziwiona, że to się stało tak wcześnie. Musi istnieć między wami bardzo silny związek.

- Co takiego?! - Connie nie wierzyła własnym uszom.

- Zwykle mija trochę czasu, zanim zdarzy się wypadek. Ale zawsze do niego dochodzi - powiedziała Grace spokojnym głosem. - Nigdy nie potrafiłam wyjaśnić przyczyny. Bóg dał, Bóg wziął - tak zawsze tłumaczyła to matka, jakby była to cena za możliwość wglądu w innych. Mamy dar, ale on najpierw przynosi nam ból, przeważnie migreny, a w końcu żałobę po stracie kogoś najbliższego. I jak wszystko, dzieje się to w cyklach, ze zmienną siłą, w zależności od aktualnych warunków na Ziemi. Ponieważ zbliżamy się akurat do końca stulecia, rytmy nabierają ostrości. Ja przeżyłam z nieszczęsnym Leo zaledwie półtora roku, podczas gdy mama i tata byli ze sobą dwadzieścia kilka lat. Teraz twój Sam po zaledwie ośmiu tygodniach... - Westchnęła smutno. - Moje biedne maleństwo.

- Skąd wiesz o Samie? Skąd w ogóle znasz jego imię? - zawołała Connie.

Była gotowa przyznać, że jej relacja z Grace opiera się w pewnym sensie na intuicji, ale jeśli chodzi o Sama, była naprawdę dyskretna. Czy to dlatego matka tak uporczywie się o niego dopytywała?

Grace westchnęła zniecierpliwiona, a poza słuchawką rozległo się ledwo słyszalne: „Przepraszam cię, Bill”. Matka pokazała mu zapewne, by usiadł na kanapie w saloniku.

- Posłuchaj, Connie, cokolwiek zamierzasz zrobić, pilnuj, żeby wszystko odbyło się w domu - powiedziała stanowczo. - Nigdzie nie będziesz tak bezpieczna jak we własnym domu, na własnym terenie, rozumiesz?

- Ale, mamo, ja... - Connie urwała. - Poczekaj. Czy ty wiedziałaś, że Samowi coś się stanie?

Grace parsknęła jeszcze bardziej niecierpliwie, co zazwyczaj stanowiło sygnał, że jej zdaniem Connie celowo nie zauważa jakiegoś szczegółu, który dla niej był jasny i oczywisty.

- Doprawdy, Constance. Czasem po prostu nie chcesz dostrzec czegoś, co masz podane na tacy.

Connie zmartwiła, wydało jej się, że słuchawka, którą ściska w dłoni, nagle oderwała się od ucha, a teraz unosi się obok jej twarzy niczym ćma. Co powiedziała matka?

Constance.

Jej pełne imię.

Jak wielu ludzi używających na co dzień przydomków lub zdrobnień, Connie dawno zapomniała, że ma jakikolwiek związek z tym słowem. Kiedyś rozmawiały o tym z Liz. Jak ona to wtedy ujęła? Ze kiedy ktoś zwraca się do niej „Elizabeth”, zawsze jej się wydaje, że chodzi o osobę, która stoi za jej plecami.

Constance. Imię pasujące do nadętej panienci w lśniących lakierowanych pantofelkach i skarpetkach z falbankami. W dzieciństwie nienawidziła swojego imienia, zresztą przyjaciele jej matki przewijający się przez hipisowską komunię w Concord nigdy nie używali oficjalnych imion. Ci, którzy mieli dzieci w czasach, gdy Connie była mała, wymyślali dla nich hipisowskie imiona: był tam na przykład Branch Water Alpert, który robił teraz licencjat w Brandeis, i Samadhi Marcus, zarozumiały młody człowiek z prawicowym odchyleniem, mieszkający obecnie w Asheville i używający imienia „John”, jakby ktokolwiek mógł mieć do niego pretensje o to prawdziwe.

Connie wyrzuciła więc swoje pełne imię z pamięci, jak co roku wyrzucała pantofle, z których wyrosła. Zapomniała je tak doszczętnie, że teraz odkryła je ponownie, a w dodatku uświadomiła sobie, że ma ono również samodzielne znaczenie. *Constance*. Stałość. Stateczność. Akt niewzruszonego trwania. Stan istnienia lub kondycja warte, by do nich dążyć. Jak *Grace*, łaska. Jak *Deliverance*, zbawienie.

- O, mój Boże - szepnęła, szeroko otwierając oczy. Nagle zyskała absolutną pewność. Oczywiście. I jeszcze *Sophia*, według Liz greckie słowo oznaczające

mądrość. *Mercy*, miłosierdzie. *Prudence*, rozważa. *Patience*, cierpliwość. I powściągliwość, *Temperance*, której łagodna twarz z połowy dziewiętnastego wieku spoglądała z portretu w jadalni babci. Te imiona to milczące ogniwo łączące łańcuch kobiet znany Connie z obecnego życia z łańcuchem tych, które tropiła w przeszłości. Ich nazwiska zmieniały się wraz z małżeństwami i upływem czasu, ale imiona niewzruszenie wyznaczały genealogię.

Wpatrywała się zdumiona w swoją dłoń, w zagłębienie, gdzie jej wola w trudny do wytłumaczenia sposób objawiła się w postaci boleśnie piekącego niebieskawego ognika, gdy zadawała pytania situ i nożycom i wtedy, gdy dotykała palcem czoła Sama, by ulżyć jego cierpieniu. Przebiegła myślą szczegóły życia matki, odrzucając mętłą terminologię *New Age*, przyglądając się, jak prawda zmienia swoje kształty wraz ze zmieniającym się językiem. Podobnie jak wszystkie te kobiety - każda zamknięta we własnym wycinku historii, będąca zarazem wariacją na temat Connie - Grace opisywała rzemiosło terminami swojej epoki. Connie przełknęła ślinę, przysunęła słuchawkę bliżej warg i zniżyła głos do szeptu.

- Mamo, czy wiesz, kto umieścił ten wypalony symbol na moich drzwiach? - zapytała.

Usłyszała cichy śmiech Grace, który zabrzmiał niemal arogancko.

- Powiem ci tyle - odrzekła matka. - Nikt, podkreślam, nikt tak nie pragnie, żebyś była bezpieczna, jak ja.

Zapadło milczenie, bo Connie wreszcie zrozumiała.

- Ale jak... - zaczęła, matka jednak nie dała jej dokończyć.

- Bardzo cię przepraszam, kochanie, ale naprawdę muszę już iść. Bill nie może dłużej czekać. Jego aura jest fatalna.

- Mamo! - zawołała tonem sprzeciwu, ale Grace syknęła, by ją uciszyć.

- Posłuchaj mnie. Wszystko będzie dobrze. Pamiętasz, co ci mówiłam o naturalnych ziemskich cyklach? I o tym, że inni odczuwają je po prostu jako zmia-

ny pogody? Ja się nie martwię ani trochę. Ufaj swojemu instynktowi, a będziesz wiedziała, co robić. To tak jak... - zawiesiła głos i spojrzała w niebo, szukając odpowiednich słów. - Jak tworzenie muzyki. Jest instrument. Jest ucho. Jest też technika. Połącz wszystkie te trzy składniki i możesz grać. Są też nuty. Mogą cię prowadzić, służyć jako wskazówka. Ale same w sobie? To tylko znaczki na papierze.

Nagle Connie poczuła się tak zagubiona i zdezorientowana, jakby stała na dnie płytkiego strumienia i próbowała z jego mętnej wody wyłowić coś błyszczącego i cennego.

- Tylu rzeczy jeszcze nie rozumiem - szepnęła, przyciskając słuchawkę do ucha z taką siłą, że przybrało ciemnoczerwoną barwę.

- Ty widzisz w tym tajemnicę - powiedziała Grace z niezbitą pewnością. - A ja widzę dar. -I zanim Connie zdążyła otworzyć usta, zawołała: „Już idę, Bill”, a potem rzuciła do słuchawki: - Kocham cię, córeczko. Uważaj na siebie.

Rozległ się trzask i Grace już nie było.

- Ale to boli - powiedziała Connie do głuchej słuchawki, poruszając wolną ręką i coraz wyraźniej czując tuż pod skórą lekkie elektryczne mrowienie.

Interludium

Boston, Massachusetts

28 czerwca 1692 roku



Szczur, stwór tłusty i rozleniwiony, spędził większą część ostatniego kwadransu na myciu, skrobiąc się za uszami i po szczeciniastych bokach pyska. Uszy miał już wylizane i lśniące, więc całą jego uwagę zajął różowo-brązowy ogon owinięty wokół tylnych łap. Zręcznymi pazurkami czesał go od nasady po sam koniec, usuwając po drodze pchły i drobiny gnoju, które mogłyby się tam znaleźć. Podstawił czubek ogona pod rozedrgane wąsy, by móc dosięgnąć go językiem. W jego zimnych, podobnych do koralików oczach jarzył się rozumny błysk. Szczur zajmował miejsce w wąskim prostokącie słonecznego światła wymalowanym przez promień sączący się od zakratowanego otworu na górze, za którym można było dostrzec przesuujące się stopy i kopyta. Podczas gdy pracował nad swoim ogonem, z najciemniejszego kąta celi dobiegło ciche jęknięcie i brudna wiązka słomy, na której siedział, raptownie się poruszyła. Zaskoczone zwierzę czmychnęło ze słonecznego prostokąta, by dokończyć toalety gdzie indziej.

Miejsce szczura w plamie światła zajęła teraz drżąca stopa, jej dwa brudne palce wystawały z płataniny sprutej włóczki w poplamionej wełnianej pończosze. Na pończosze zapięta była ciężka żelazna, okowa z przytwierdzonym do niej

krótkim odcinkiem masywnego łańcucha. Stopa i kostka powyżej były tak drobne, że wewnątrz okowy, choć najmniejszej z możliwych, pozostawał blisko cal wolnej przestrzeni. Pończocha pod żelazem cała poczerniała od rdzy.

Właścicielka stopy, niejaka Dorcas Good, leżała na boku, skulona i drżąca w mrocznym kącie celi, z kolanami podciągniętymi pod brodę i twarzą przesłoniętą pajęczyną potarganych włosów. Oczy miała szeroko otwarte, ale puste, a ustami obejmowała jeden z drobnych kciuków i ssała go jednostajnie. Przez ostatnie kilka tygodni zapomniała mowy; chociaż miała cztery lata i wszyscy wspominali ją jako żywe i zaprzatające uwagę dziecko, teraz wydawała się wychudzona i zmarniała, a z jej gardła dobywały się już tylko jęki i skomlenia niemowlęcia.

Czyjaś ręka sięgnęła, by odgarnąć włosy, które warstwa potu przykleiła do czoła dziewczynki. Powietrze w celi było duszne od żaru rozpoczynającego się lata i ciężkie od odoru spleśniałej słomy i pełnych wiader na odchody. Deliverance Dane wyciągnęła rękę i z jej dłoni popłynęło mrowiące ciepło, wnikające powyżej szeroko rozwartych oczu dziecka, a jednocześnie szeptała zaklęcie, to, które w tych ciągnących się bez końca dniach wydawało się działać najlepiej. Dorcas spuściła powieki, uchyliła je jeszcze i znów spuściła, odgradzając w ten sposób resztki zdrowego umysłu od koszmaru, w którym pozostawało ciało. Jej oddech się pogłębił, zapadła w wolny od obrazów sen.

- Śpi znowu, co? - zaskrzeczał głos z innego kąta celi.

- Ano śpi - potwierdziła Deliverance, cofając rękę na kolano. Ściągnęła łopatki, żeby rozruszać plecy oparte o kamienną ścianę. Schudła tutaj i coraz trudniej było jej znaleźć wygodną pozycję dla wystających kości. Z miesiąca na miesiąc traciła, jak się zdawało, po kilka funtów ciała, i kiedy podnosiła dłoń pod światło, między jej palcami tworzyły się szpary, przez które mogła zobaczyć przeciwległy koniec celi.

- Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak spał - ciągnął z przekonaniem skrzekliwy głos. - To nie jest normalne.

Deliverance westchnęła i zamknęła oczy. Tę rozmowę z Sarah Osborne odbywała już nie po raz pierwszy.

- Bóg chroni dusze niewinnych przed mękami zadawanymi przez diabła najlepiej jak umie - powiedziała cicho.

Rozległ się śmiech, a właściwie pogardliwy rechot, który przeszedł w atak suchego kaszlu. Kiedy rzęzenie ustało, niewyraźna postać Sarah Osborne podniosła się w mroku na drugim końcu celi i podpełzła naprzód, aż ospowata twarz, otoczona czepkiem o barwie pomyj, pojawiła się o kilka stóp od miejsca, w którym siedziała Deliverance. Spieczone wargi odstawały od dziąseł z kilkoma zębami i Deliverance musiała wstrzymać oddech, aby znieść odór bijący z ust Sarah.

- Znam cię, Liwy Dane - syknęła. - I matka Dahkas też cię zna, chociaż siedzi w innej czeluści piekła. Mam zamiar powiedzieć im, co robiłaś. Wszyscy o tym wiedzieli.

Deliverance wolno przeniosła spojrzenie w bok i zatrzymała je na twarzy Sarah Osborne o skórze pomarszczonej i rozciągniętej. Stara zawsze miała źle w głowie. Jej myśli na niczym nie mogły się zatrzymać, błędząc to tu, to tam, i co rusz wylewały się z niej pod postacią steku przekleństw i złorzeczeń. Chora na umyśle, żyła z łaski mieszkańców wsi. Drapała do drzwi, domagając się monety albo piętki chleba, albo noclegu w oborze, gdzie dach chronił przed żywiołami, a wieśniacy godzili się na to, głośno przyznając się do chrześcijańskich cnót miłosierdzia i dobrej woli, w duchu zaś wypowiadając życzenia, aby poszła sobie jak najszybciej. Sarah Good, matka Dorcas, trzymana o kilka cel dalej, chociaż młodsza niż Sarah Osborne, była prawie tak samo pogardzana i żyła w podobnej biedzie. Jej oczy były pozbawione wyrazu i nieustannie rozbiegane, a ich białka pożółkły od biedy i trunków. Szeptano we wsi, że ojciec Dorcas jest nieznany i że Sarah Good siedziała z tego powodu w więzieniu, skazana i ukarana za rozwiąłość.

Patrząc z niechęcią, w której litość mieszała się z obrzydzeniem, na zniszczoną twarz Sarah Osborne, Deliverance zacisnęła wargi. Odczuwała litość, myśląc o życiu, na jakie została skazana stara, a obrzydzeniem napawało ją przekonanie, że jej dalekie od doskonałości zabiegi, by ulżyć cierpiącej Dorcas, Sarah Osborne odmaluje w taki sposób, że podejrzewania wobec Deliverance Dane nabiorą wagi stwierdzonego faktu. Przez kilka miesięcy, które spędziły w więzieniu przykute za nogi do ściany, w oczekiwaniu na przyjazd do kolonii gubernatora Phipsa, wiozącego nowy statut, a wraz z nim prawną podstawę rozpoczęcia procesu, te nieliczne chwile, kiedy jej umysł się rozjaśniał, Sarah Osborne poświęciła czujnej obserwacji Deliverance, na którą czyhała niczym pajak.

Gubernator przybył z Anglii w maju i natychmiast zarządził zwołanie trybunału specjalnego w mieście Salem dla ścigania i powstrzymania rozszerzającej się diabelskiej zarazy. Od miesięcy opętane dziewczynki, wśród nich córka wielbego Parrisa, Betty, wskazywały palcami na najróżniejsze osoby, które tylko przyszły im do głowy. Stało się nawet coś niewyobrażalnego: do więzienia dotarła plotka, że opętane wykrzyczały oskarżenie przeciwko jednemu z zajmujących się nimi wcześniej duchownych. We wsi narastała niepewność i niepokój, w każdej chwili mogło dojść do wybuchu, a tymczasem grupa przestraszonych dziewczynek, trzymanyh w szponach przez potężne paroksyzmy, obwiniała mieszkańców coraz dalej położonych miast, sięgając nawet do Andover i Topsfield i na próżno starała się odwrócić od siebie oskarżycielskie spojrzenia mieszkańców wsi. Sąd zebrał się pierwszy raz na samym początku czerwca i skazał na powieszenie Bridget Bishop, co też wykonano zaledwie tydzień później, gdy ku uciesze licznie zgromadzonej gawiedzi zadyndała na sznurze na samotnym wzgórzu na zachód od miasteczka. Byli tacy, którzy twierdzili, że sprawiedliwość wymierzona Bridget Bishop może przybliżyć zakończenie sprawy. A jednak oskarżone kobiety wciąż siedziały w więzieniu, czekając.

Mimo gorąca w celi Deliverance wstrząsały dreszcze. Złożyła dłonie, splatając kościste palce.

- Pomódlmy się razem, Sarah Osborne - powiedziała zmęczonym głosem.

- Phi! - głośno prychnęła żebraczka i z powrotem wycofała się do mrocznej części celi. Zaczęła mamrotać od rzeczy, ale nagle wśród strzępków słów pozbawionych znaczenia Deliverance usłyszała żalony jęk: - Musi, że żadna modlitwa już nam nie pomoże.

Przez kilka godzin Deliverance siedziała z rękami splecionymi pod brodą, a jej usta poruszały się w bezgłośnej modlitwie. Mała Dorcas spała, tylko kończyny jej drżały, a od czasu do czasu łańcuch przyczepiony do kostki skrobał o ziemię. Sarah Osborne czyhała w swoim kącie, przekładając siano z miejsca na miejsce. Deliverance nie przestawała się dziwić, że czas w więzieniu może płynąć tak wolno. Mały kwadrat słonecznego światła pełznął po gnijącej podłodze, potem załamał się, rozpoczynając wspinaczkę po ścianie, a na koniec przemienił się w długi, rozciągnięty prostokąt. Deliverance obserwowała jego drogę i czekała.

W wąskim korytarzyku po drugiej stronie masywnych drzwi celi usłyszała dźwięk, jaki mogły wydawać klucze na kółku, przerywany szmerami kobiecych głosów. Hałas narastał, a jej podejrzenia potwierdziły się, gdy skrzypnięcie i szcęk oznajmiły otwieranie drzwi celi, które uchyliły się na tyle, by do środka mógł wejść strażnik, trzymający świecę łożową powyżej głów stojących za nim trzech czy czterech skromnie odzianych niewiast w średnim wieku.

Jedna z nich wystąpiła naprzód i Deliverance rozpoznała szanowaną akuszerkę, mieszkającą w okolicy Rumney Marsh, chociaż nie mogła sobie dokładnie przypomnieć jej imienia. Mary? Zmierzyła ją wzrokiem, nieznacznie unosząc głowę. Może i tak. W panującym mroku trudno było o pewność. Kobieta zbliżyła się do niej, zachowując całkowicie obojętną minę, chociaż drżące płatki jej noz-

drzy wskazywały, że wdychanie panującego w celi smrodu nie sprawia jej przyjemności.

- Chodź, Liwy Dane - powiedziała, nie zdradzając jakichkolwiek uczuć, i wyciągnęła do niej rękę. - Pan Stoughton polecił, abyśmy cię do jutra zbadały.

Podczas gdy kobieta to mówiła, strażnik pochylił się i rozpiął żelazną okowę, a Deliverance cała zeszywniała, gdy przyklekając obok, poufale przesunął palcami po pończosze, okrywającej dolną część jej nogi. Natychmiast cofnęła stopę pod spódnicę, a ponura twarz mężczyzny wykrzywiła się do niej w obleśnym uśmiechu. Jedna z jego brwi wyraźnie się uniosła. „Mogę ci pomóc - powiedział do niej kilka tygodni temu. - Popatrz na mnie życzliwym okiem, a zobaczymy, co?”. Teraz spojrzała mu prosto w oczy i przesłała mu wyrazisty obraz do samego środka mózgu. Ponieważ jego treścią były pająki, mężczyzna ze zduszonym krzykiem upuścił koło z kluczami i natychmiast zaczął się drapać po ramionach i głowie.

Deliverance ujęła rękę kobiety. Mary Josephs - przypomniała sobie jej nazwisko, podnosząc się z barłogu. Zachwiała się, gdy krew zaczęła krążyć szybciej i obficiej dopływać do nóg. Mary Josephs objęła ją w talii i doprowadziła do grupy kobiet czekających przy drzwiach.

- Idziemy do domu jejmości Hubbard - oznajmiła akuszerka i kobiety ruszyły więziennym korytarzem, pozostawiając drapiącemu się strażnikowi obowiązek zamknięcia celi. Za nimi odbijały się echem jego przekleństwa.

Chociaż wieczór wziął już w posiadanie ulice Bostonu, jasność pełnego krążka księżyca uderzyła Deliverance w twarz, dzięki czemu uświadomiła sobie, jak długo przebywała w zamknięciu.

- Czyli proces jutro? - zwróciła się do Mary Josephs, jakby właśnie przerwały pracę i wymieniały najświeższe plotki.

- Jutro. - Mary Josephs skinęła głową.

- Znaczy to, że dziewczęta wciąż mają paroksyzmy - zauważyła Deliverance.

Kobieta nie odpowiedziała.

Dotarły na podest prostego domu wzniesionego na drewnianym szkielecie, podobnego do domu Deliverance w Salem, tyle że stojącego w bliskim sąsiedztwie innych. Kobiety wprowadziły ją do izby, gdzie dziewczynka mniej więcej w wieku Mercy pilnowała kominka. Po ich wejściu dorzuciła dwa polana do ognia i bez słowa wspięła się po drabinie na poddasze. Kazano jej odejść, pomyślała Deliverance. A może się mnie boi. Rozejrzała się po pokoju, czując, jak jej serce ogarnia rosnąca fala smutku. Od miesiący nie widziała córki. Zastanawiała się, jak Mercy daje sobie radę, żeby opłacić jej utrzymanie w więzieniu.

- Dobrodziejko Hubbard, poprosimy świecę, jeśli można - powiedziała Mary Josephs, podwijając rękawy bluzy i odsłaniając krzepkie przedramiona. Potem zwróciła się do Deliverance: - Rozsznuruj suknię, Liwy. Byle rychło.

Deliverance rozejrzała się po obojętnych twarzach kobiet. Mary Josephs była jedyną, którą rozpoznała, choć wiedziała, że i inne muszą być akuszerkami. Podejrzewała, że oddały się do dyspozycji sądu po części dlatego, by mieć pewność, że same unikną jakiegoś badawczego oka. Kobietom zawsze przynoszą zgubę inne kobiety, pomyślała. Zastanowiło ją, dlaczego tak jest. Kobiety stanowią dla siebie wzajemnie takie zagrożenie, jakim nigdy nie są dla mężczyzn. Sięgnęła do troczków z przodu i rozwiązała je, rozluźniając stanik, który przytrzymywał jej suknię. Dziwnie się czuła, zdejmując odzienie w pokoju pełnym obcych niewiast, stojących w kręgu; jedna z nich trzymała świecę i osłaniała dłonią płomień. Wkrótce Deliverance stała już tylko w czepku, koszuli i pończochach, świadoma, że po ściągnięciu sukni widać wyraźnie, jak brudne są mankiety, kołnierz i dół koszuli. Zakłopotana, jednym z okrytych pończochą palców podrapała się w podbicie drugiej stopy.

- Koszulę i czepkę też - przynagliła ją Mary Josephs. Deliverance przeżyła chwilę paniki. Nie przypominała sobie, kiedy ostatni raz stała przed kimś bez koszuli. Nawet w najtrudniejszych godzinach, gdy Mercy przychodziła na świat,

miała na sobie koszulę, tyle że całą poplamioną krwią i moką od potu. Kiedy jeszcze byli młodzi, Nathaniel raz namówił ją do zdjęcia koszuli, potem jednak nie mogła pozbyć się wstydu przez wiele tygodni ich małżeństwa. Teraz, gdy niezgrabnie zzuwała z siebie brudną lnianą bieliznę, zobaczyła oczami wyobraźni wspomnienie tamtego wieczoru, kiedy uległa prośbom męża. Stała tylko w pończochach, z długimi rozpuszczonymi włosami, i rękami zasłaniała nagość, a ciepło bijące od ognia muskało od tyłu jej ciało. Och, Liwy, jaka jesteś piękna, powiedział.

Cisnęła zmięte bawełniane ubranie na podłogę i popatrzyła na swoje nagie ciało ze zadziwieniem. Głębokie cienie układały się w poprzek żeber poniżej jej zmęczonych piersi, a biodra wystawały nachylone pod dziwnym kątem, bo więzienny prowiant straszliwie ją wychudził. Wzniosła ręce nad głowę, by odpiąć czepek, i cisnęła go na koszulę, a potem pochyliła się i po kolei zsuwając obie pończochy, przestąpiła najpierw na jedną, potem na drugą nogę. Jezu miłosierny, Nathaniel, jak bardzo tęsknię za tym, żeby znowu cię zobaczyć, pomyślała, stojąc ze spuszczoną głową, a siwiejące włosy opadały jej na twarz i maskowały rumieniec, który pojawił się wraz z drżeniem ciała.

Jedna z kobiet pokazała jej, że ma wejść na długi stół pośrodku izby, wspięła się tam więc na drżących nogach i rozchyliła kończyny, przymuszona natrętnymi dłońmi akuszerki. Zacisnęła powieki, gdy wprawne palce kobiet przemykały po jej ogarniętym wstydem ciele w poszukiwaniu wymownego znamienia na skórze. Żgały ją w kępki włosów pod pachami i wędrowały po bokach, a wraz z nimi przesuwawa się plama ciepła świecy, którą czuła najpierw pod kolanami, a potem coraz wyżej, aż po najbardziej intymne miejsce między nogami. Jednocześnie inne ręce metodycznie przeczesywały jej włosy na głowie, począwszy od czoła aż po kąciki za uszami.

Deliverance poczuła wsuwającą się między jej rozchylone uda świecę, której płomień dotkliwie parzył wrażliwą skórę najbar dziej sekretnych fałdów, i usłyszała szepty kobiet pochłoniętych dyskusją.

- Nadnaturalny rozrost ciała - zabrzmiał cichy głos jednej z nich, która notowała, i szmer potwierdzenia przy końcu stołu, gdy szorstkie palce macały ją i rozchylały. Gorące łzy rozzalenia napłynęły jej do oczu, precyzyjnie się w kąci-
kach pod powiekami i popłynęły po policzkach ku uszom. Wtedy świecę usunięto. Kiedy uniosła powieki, zobaczyła krąg wpatrujących się w nią twarzy, wrogich, naznaczonych potępiającym wyrokiem.

- Masz cycek czarownicy, Liwy Dane, i to na samym czubku twojej przekle-
tej kobiecości - oznajmiła jedna z kobiet.

- Po mojemu dawałaś się ssać czarciemu potomstwu albo chowańcom!
Przyznaj się! - zawtórowała druga.

Deliverance oparła się na łokciach, twarz miała wykrzywioną wściekłością
podszytą lękiem. Lubieżna bajka to wszystko, ot co, pomyślała. Przecież cho-
wańce wcale nie są diabelskie. Ale oczywiście nie mogła powiedzieć tego gło-
śno.

- Niczego takiego nie robiłam! - syknęła gniewnie i zebrane kobiety odsunę-
ły się od niej nagle, przestraszone jej porywcznością. Deliverance zsunęła się nie-
zgrabnie ze stołu i bliska furii naciągnęła koszulę. - Jesteś głupia i nikczemna,
Mary Josephs! - krzyknęła. - Tyle dzieci odbierałaś i nawet nie znasz kobiecego
ciała, które jest dziełem Boga! Zostałam stworzona na obraz i podobieństwo Bo-
że, tak samo jak ty! Daj mi świecę, a znajdę ten cycek czarownicy u niejednej z
was!

Rozgniewane kobiety stłoczyły się wokół niej, ganiąc ją i ciskając przeciwko
niej zarzuty, ale Deliverance stała się głucha na ich głosy. Gdy odziewszy się w
pośpiechu, szła z powrotem do więzienia, otoczona gromadką jazgoczących,

wytykających ją palcami kobiet, starała się skupić na procesie, który miał się odbyć nazajutrz, ale tak naprawdę wszystkie jej myśli krążyły wokół córki.

TLR

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Marblehead, Massachusetts

początek września 1991 roku



Powierzchnia stołu była zasłana notatkami i papierami, a pośrodku tego rozgardiaszu siedziała Constance Goodwin z głową pochyloną nad grubym, otwartym rękopisem, oprawnym w ciemną, impregnowaną skórę zszytą grubą dratwą. Kartki manuskryptu pożółkły ze starości i wydierały zapach zasuszonych rybków, charakterystyczny dla działu zbiorów specjalnych Radcliffe. Księga miała mniej więcej rozmiary Biblii, a spomiędzy jej kartek wystawało kilka sprasowanych, pomarszczonych roślin. Constance od kilku dni nie odrywała się od lektury. W zasięgu ręki miała też inną książkę, zatytułowaną bodaj *Przewodnik po ziołach i miejscowych roślinach Nowej Anglii*. Ta również była otwarta, na stronie z wykonanym tuszem rysunkiem złocienia. Na stole obok manuskryptu leżały trzy małe karteczki: na jednej z nich widniał łaciński tytuł zawierający słowo pomidor. „Pewny środek na gorączkę i dreszcze” głosił napis u góry drugiej, na trzeciej umieszczono jakąś łamigłówkę słowną. Connie rytmicznie stuknęła ołówkiem o skroń, ale odkąd pochłonął ją tekst, kartka w notatniku przy jej łokciu wciąż była pusta, zapomniana. Czytała, bezgłośnie poruszając ustami.

W drugiej ręce ścisnęła ciężką lupę z mosiężną rączką, która jeszcze kilka dni temu spokojnie leżała w szufladzie babcinego biurka; słowa objęte jej zasięgiem pęczniały i wydłużały się, przesuając się jedno za drugim pod szkłem soczewki. Wydawało się, że manuskrypt nie rządzi się żadną logiką i nie ma w nim ani żadnego porządku, ani nawet spisu treści. Zdążyła naliczyć już sześć, a może nawet osiem rozmaitych charakterów pisma i niemało różnych rodzajów druku, wpisy często zachodziły jeden na drugi, choć były też kapryśnie porozdzielane pustymi kartkami. Niektóre fragmenty wyglądały na łacińskie; dzięki długiej przyjaźni z Liz była w stanie wydobyć z nich strzępki znaczeń. W większości jednak tekst był napisany mniej lub bardziej archaiczną angielszczyzną, tym trudniejszą w czytaniu, że cechowały ją bardzo szczególna ortografia i przestarzałe nazwy roślin, substancji i procedur. Zdążyła już przeczytać część, w której wyliczono przepisy na kataplazmy leczące wrzodziejące rany, zarazy, czarne płuca, apopleksję i gorączkę.

Kilka stron poświęcono czemuś, co wyglądało jak modlitwy, lecz było prawdopodobnie zaklęciami. Wszystkie te strony niezmiennie zawierały wezwania o pomoc skierowane do Wszechmogącego. Connie była zaskoczona, że przejrany dotychczas tekst ma jawnie religijny charakter - ten typ religijności cechowały odwołania do praktyk chrześcijańskich z czasów na długo przed reformacją. W tekście znajdował odzwierciedlenie świat, w którym chrześcijaństwo było całkowicie związane z realiami życia. Nic dziwnego, że purytańscy teologowie dostrzegali w czarach - jeśli z nimi właśnie miała do czynienia - takie zagrożenie. W systemie myślenia, w którym zbawienie, a zatem również wszelkie dobro, mogło być jedynie skutkiem łaski, w którym czyny człowieka nie miały wpływu na stan jego duszy, a choroby bądź nieszczęścia często interpretowano jako oznaki gniewu Bożego, metoda walki z nieszczęściami i chorobami przez bezpośrednie odwołanie do Boga, wsparte magicznymi praktykami, byłaby

nie w smak purytańskiej strukturze władzy. Purytańscy teologowie uznaliby taką działalność za świętokradczą.

Może nawet za dzieło szatana.

O ile Connie zdążyła się zorientować, przepisy umieszczone w księdze zaklęć opierały się na połączeniu modlitwy, mieszania w odpowiednich proporcjach ziół i innych substancji naturalnych oraz czegoś jeszcze, czegoś niewypowiedzianego, lecz budzącego respekt. Woli? Niezupełnie, choć prawie. Intencji. W księdze nazywano to różnie: „techniką”, „rzemiosłem” i „władzą”, ale Connie wciąż miała kłopoty z wyrażeniem tego pojęcia w języku współczesnym. Wróciła myślami do swojego eksperymentu z zielistką i przypominała sobie, że Sam próbował identycznego zaklęcia - pozwoliła sobie użyć tego słowa, chociaż budziło w niej zakłopotanie - ale jemu nie udało się wywołać żadnej zmiany w martwych roślinach. W skupieniu zmarszczyła czoło i odwróciła kartkę.

Sam... Jego stan się pogarszał. Zamierzała odwiedzić go tego popołudnia, aby ulżyć trochę jego rodzicom w codziennych wizytach, które tymczasem nabrały charakteru czuwania. Sam był skrajnie wycieńczony. Wprawdzie jego noga miała się lepiej, ale tylko dzięki temu, że większą część dnia spędzał skrepowany, aby konwulsje, wstrząsające co kilka godzin jego ciałem, nie przemieściły niezrośniętych kości. Powracające co jakiś czas gwałtowne torsje odwadniały organizm, więc skóra Sama przypominała teraz żółtawy papier. Nawet poczucie humoru zaczęło go opuszczać. Lekarze wciąż wyrażali niezłomne przekonanie, że znajdą właściwą metodę leczenia, ale Connie widziała, że ich pewność siebie z dnia na dzień maleje. Kiedy zaglądała Samowi w oczy, nie miała wątpliwości, że i on zdaje sobie sprawę z zakłopotania lekarzy, a jego zaufanie do ich możliwości słabnie. Wraz z jego wątlejącą wiarą Connie dostrzegała pierwsze ślady prawdziwego strachu.

Odwróciła kolejną kartkę manuskryptu i wzięła pod lupę zlewające się słowa. Ponieważ zaczynała ją boleć głowa, na chwilę odłożyła szkło i mocno zaciśnęła powieki. Potem nie bez oporu ponownie ujęła mosiężną rączkę.

W zasięgu wypukłej soczewki pojawiło się słowo „paroksyzmy” i Connie z uwagą pochyliła się nad stroną, jednocześnie zniżając szkło nad zawiłym tekstem.

„Metoda na ulżenie w paroksyzmach”, brzmiał nagłówek i Connie wstrzymała oddech. Historycy nigdy nie umieli w pełni i dokładnie opisać, co kronikarze z czasów kolonizacji rozumieli przez „paroksyzmy” - czy bardziej przypominały one ataki, którym towarzyszyło omdlenie, czy raczej chwile ekstazy religijnej, połączone z drgawkami i przemawianiem w obcych językach. Wysuwano argumenty na poparcie obu stanowisk. Connie pomyślała o atakach Sama, podczas których jego ciałem wstrząsały gwałtowne drgawki, a on wywracał białka oczu i wystawiał język.

Jeśli nie były to „paroksyzmy”, to co w takim razie nimi było?

„Dla ustalenia, czy powodem śmiertelnego cierpienia w człowieku jest urok - rozpoczynała się instrukcja - zbierz jego mocz w butelkę na czarownice, do-
- rzucić szpilek lub gwoździ i gotuj wszystko nad ogniem w wielkim żarze”.

Connie uniosła głowę, myśląc. Co to jest „butelka na czarownice”? Odsunęła manuskrypt, zaczęła wertować notatki, odnalazła spis inwentarza Deliverance i przesunęła po nim palcem. Jest: butelki szklane wartości trzydziestu szylingów. Przypomniała sobie, jak zastanawiała się, dlaczego w spisie inwentarza wyróżniono je jako osobną pozycję. Do tej pory nie znalazła na to odpowiedzi.

Podniosła głowę i omiotła wzrokiem pełne półki w jadalni. Stały na nich między innymi liczne butelki, które wcześniej wydawały jej się nieciekawe. Uznała je za zwykłe rupiecie, mogące zainteresować co najwyżej sklep ze starociami. W kuchni znajdowało się ponadto mnóstwo zamkniętych słoiczków,

wszystkie jednak pochodziły ze znacznie późniejszego okresu - były pozostałościami po rzemiośle babki, jakkolwiek je nazywała.

Connie obróciła głowę i spojrzała przez ramię na półkę we wnęce oraz stojącą poniżej komodę. Mrużąc powieki, skupiła wzrok i oczami wyobraźni zobaczyła w kącie kwiecisty wzór na sukni. Babcia, odwrócona tyłem i obwiązana w talii cienkim bawełnianym fartuchem, przykłęka z bolesnym stęknieniem, by otworzyć drzwiczki. Odgarnęła kosmyk włosów, po czym sięgnęła do komody. Connie zdawało się, że słyszy odgłosy przestawiania naczyń i brzęk szkła. To nie były rupiecie.

Podniosła się z krzesła i przykłęka w tym samym miejscu. Dziwne schowki do przechowywania rzeczy znajdowały się w najróżniejszych miejscach domu. Na przykład w obu sypialniach na poddaszu zrobiono szafki pod parapetami, gdzie Connie odkryła zapasową pościel, scrabble z brakującą większością samogłosek, a także przykre dowody działalności wielu pokoleń myszy. Teraz odciągnęła haczyk komody ukrytej we wnęce i otworzyła drzwiczki.

Wewnątrz, przykryta grubą kołdrą kurzu i przyozdobiona kilkoma pajęczynami, leżała brudna sterta najrozmaitszych naczyń: żelazne kociołki i patelnie, zardzewiała forma do wafli, zaopatrzony w długą rączkę ruszt do pieczenia ryb nad ogniem, kilka miedzianych szkandeli, pozieleniałych już od starości, zaprojektowanych tak, by można je było wypełnić rozżarzonymi węglami. Były też butelki z grubego szkła. Dziesiątki, w sumie może nawet setka butelek z turkusowego falistego szkła. Ich szyjki były nierówne, za to podstawy solidne niczym skalne płyty. Choć różnych rozmiarów, wszystkie zdawały się pochodzić jeszcze sprzed zarania epoki przemysłu i na pewno zostały wykonane przez dmuchaczy, bez udziału maszyn.

Butelki nie miały korków i w większości były puste. Connie wsunęła rękę do szafki i wyciągnęła jedną z nich, by oczyścić ją z grubej warstwy kurzu. Gdy uniosła naczynie, jego grube, pełne pęcherzy ścianki znalazły się w kręgu światła

i wtedy dojrzała w środku dwa albo trzy mocno zardzewiałe gwoździe. Zabrała butelkę ze sobą i postawiła ją na stole, a potem wróciła do czytania manuskryptu.

„Ciśnij butelkę w ogień, odmawiając Modlitwę Pańską, a potem inkantację o wielkiej mocy: *Agla Pater Dominus Tetragrammaton Adonai* Ojciec w niebiosach błagam cię sprowadź zło czyniącego do mnie”.

Connie wyprostowała się na krześle, skonsternowana. Przycisnęła dłonie do skroni, próbując opanować bolesne pulsowanie. *Agla*, tak jak w znaku wypalonym na drzwiach. Długa lista imion Boga. I *Tetragrammaton*... gdzie ona już to widziała? Przesunawszy dłonie nieco niżej, ucisnęła nimi przymknięte powieki i wypuściła powietrze. Zaczęła szperać po rozmaitych szufladkach umysłu, aż dotarła do tej z etykietką „Różne”. Nie wiadomo dlaczego szukane słowo przypomniało jej o Samie.

Nagle otworzyła oczy i wtedy ją olśniło. Słowo *Tetragrammaton* było wyryte na magicznym kamieniu granicznym, który Sam pokazał jej pierwszego wieczoru, gdy się spotkali. Znów zerknęła do notatek i znalazła definicję, którą przepisała z książki o kulturze materialnej magii ludowej. Słowo to nawiązywało do czterech hebrajskich liter tworzących jeszcze jedno imię Boga - Jahwe.

Popatrzyła na zegarek. Robiło się późno. Przed wyjściem powinna doczytać jeszcze akapit do końca.

„Kiedy jego mocz mocno już wrze, czarownika wciągnie i zaskwierczy w ogniu - brzmiał dalej tekst manuskryptu - a gwoździami i rzemiosłem można go będzie przymusić do uwolnienia jego ofiary od diabelskich machinacji. Zobacz przepis na filtry śmierci, aby spróbować innych środków”. Pozostałą część strony zajmowała długa lista łacińskich nazw roślin, opatrzona tytułem: „Spalić po to, by usunięcie było niechybne”.

Wygodnie się oparłszy, Connie przez kilka minut siedziała zadumana, machinalnie stukając długopisem o zęby. Potem wzięła butelkę wraz ze znajdującą

cymi się wewnątrz zardzewiałymi gwoździami, wsunęła ją do torebki i szybko wyszła z domu.

TLR

Interludium

Salem, Massachusetts

29 czerwca 1692 roku



Gwar w zborze osiągnął ogłuszające natężenie, jeszcze zanim ty Mercy Dancie dotarła na miejsce. Przystanęła przed wejściem do budynku i kilka razy stuknęła trzewikami o kamienne stopnie, żeby pozbyć się grud błota, które przylepiły się podczas długiego przemarszu przez miasto. Mercy wiedziała, że za długo ociągała się w domu; chodziła tam i z powrotem po izbie, obiecując sobie, że zaraz wyjdzie, już za chwilę. Nawet nie w pełni zdawała sobie sprawę z tego, co ją tam trzyma. Z pewnością tęskniła za matką i pragnęła znów ją zobaczyć. I z pewnością się bała.

Gdyby mogła zatkać rękami uszy i siłą woli spowodować zniknięcie świata, zrobiłaby to niechybnie. Wolałaby zostać w domu, ściskając Psa w ramionach, i siedzieć całkiem nieruchomo, zawarłszy pakt z Bogiem, że dopóki nie ruszy się nawet o cal, dopóty czas przestanie płynąć i przynajmniej w ten sposób nic nie będzie mogło obrócić się na gorsze. W tym swoim ociąganiu rozpoznawała dawny dziecięcy upór, zupełnie jakby bez jej obecności trybunał specjalny nie mógł rozpocząć posiedzenia. Po przejściu jeszcze kilku długości izby pokonała jednak swoje naiwne złudzenia i skończyło się na tym, że większą część drogi mokrymi ulicami Salem, aż po sam zbor, pokonała biegiem. Dzień był duszny i

szary, więc czuła, jak odzienie przykleja jej się do ciała, a policzki pałają krępującą czerwienią.

Ku jej strapieniu, zanim wślizgnęła się na salę, proces toczył się już chyba od dłuższego czasu. Z przodu, za długim stołem siedział rząd znamienitych panów w prostych czarnych szatach, każdy z kręconymi włosami i miną bardziej kwaśną od poprzednika. Ten pośrodku, z chorobliwie bladą cerą, wielkim koronkowym kołnierzem, długim nosem i trzęsącym się podwójnym podbródkiem, to pewnie był William Stoughton, pełniący obowiązki gubernatora kolonii. Mercy nigdy dotąd go nie widziała, choć wyglądał na znaczącą osobistość. Zdawało jej się, że właśnie wymienia uwagi z innymi sędziami, ale siedziała stanowczo za daleko, by słyszeć ich słowa. Wspięła się na palce i wyciągnęła szyję w poszukiwaniu wolnego miejsca bliżej stołu.

Ponad ramionami i głowami ludzi z miasta ledwie widziała rząd oskarżonych kobiet, stojących nieruchomo ze skutymi rękami i spuszczoneymi głowami przed podwyższeniem dla sędziów, obok którego znajdowała się odgradzona barierką ława przysięgłych. Deliverance stała druga od lewej. Mercy poznała suknię, którą matka miała na sobie w dniu, gdy Jonas Oliver zabrał ją z domu, chociaż tkanina już zbrązowiała, pokryła się plamami i w wielu miejscach była rozdarta. Krok za krokiem ruszyła pod ścianą sali, nie spuszczać oka z matczynych pleców. Gdy przestępowała zagradzające przejście nogi, Deliverance ukradkiem odwróciła zmęczoną twarz i z mglistym wyrazem ulgi, lecz również trwogi pochwyciła jej spojrzenie.

- Uważaj, no! - burknął siwy mężczyzna w stroju cuchnącym rybą. Roztarł goleń i przesłał jej gniewne spojrzenie. Bąknęła jakieś przeprosiny i dalej przeciskała się między zatłoczonymi ławami, zmierzając do kąta w przedniej części sali, skąd mogłaby widzieć twarz matki. Dookoła niej krążyły w powietrzu strzępki rozmów i plotek trudnych do przypisania konkretnej osobie i zlewających się w jednolity szmer.

- ...nigdy nie myślałam, że Rebecca Nurse może...

- ...przyleciała do niej tego wieczoru, podobna do siebie jak dwie krople wody, na miotle, co miała świecę z przodu w słomie...

- ...jej ośmioro dzieci nie żyje, wszystkie po urodzeniu zmarniały na jej rękach...

- ...powiadają, że ssały go czarty i czarcie potomstwo...

- ...dyszała żądzą zemsty, sam to widziałem...

Mercy ogarniała wzrokiem tłum - starych bezzębnych mężczyzn, młode matki, elegantów w koronkowych kołnierzach, dzieciaki z rumianymi policzkami - twarz obok twarzy, a na wszystkich widziała obrzydliwe grymasy, usta ludzi otwierały się i zamykały jak u wściekłej drapieżnej ryby, rzucającej się na ochłapy mięsa w wodzie.

W końcu dotarła do wybranego kąta, oparła się barkiem o ścianę i w kieszeniach fartucha zacisnęła dłonie w pięści. Za rzędem oskarżonych, w pierwszej ławie, w samym centrum siedziała gromadka dziewcząt, mniej więcej jej rówieśniczek, może nieco starszych, choć były też i wyraźnie młodsze. Wymachiwały rękami, wierciły się, piszczały i wyczyniały różne brewerie. Mercy spojrzała na nie surowo. Jedną czy dwie znała. Na przykład Ann Putnam, owszem, znała, i niech jej Bóg wybaczy, ale nienawidziła tej dziewczyny. Pyszna i zmienna, nigdy pierwsza nie wyraziła swojego zdania, za to pomysły innych zawsze popierała bardzo głośno. Mercy nie posiadała się z oburzenia. Ann była odrobinę starsza od pozostałych dziewcząt, czyż nie powinna mieć więcej pomysłu niż inne?

Oprócz matki, Mercy znała tylko dwie spośród oskarżonych kobiet. Sarah Good często widywano w mieście i we wsi Salem, gdzie włóczyła się po ulicach z córeczką, i opuszczona przez rozum, wykrzykiwała jakieś brednie. Nawet teraz stała z otwartymi ustami, przewracając oczami, a jedną jej ręką wstrząsały drgawki. Mercy zawsze trochę się bała Sarah Good, a o jej pomyłonym dziecku mówiono, że wrzeszczy i gryzie. Zastanowiło ją, gdzie się podziała mała Dorcas,

bo wodząc wzrokiem po sali, nigdzie nie mogła jej wypatrzeć. Potem, za matką, z pewnym zaskoczeniem zauważyła pomarszczoną, przygarbioną postać Rebeki Nurse, mającej przecież pełne członkostwo w Kościele! Wszyscy znali ją jako pobożną kobietę, z pewnością nie jako czarownicę.

Skoro i Rebecca była oskarżona, sędziowie niechybnie muszą odmówić udziału w tym szaleństwie, pomyślała Mercy, słysząc te słowa wypowiedziane głosem ojca. Jak bardzo chciała, żeby mógł z nią teraz być. Jego opinia miała we wsi swoją wagę. On wiedziałby, co należy zrobić. Na pewno nie siedziałby bezczynnie w domu, czekając na rozpoczęcie procesu.

Kiedy tak te wszystkie myśli krążyły jej po głowie, narada wśród sędziów dobiegła końca i jeden z nich - „John Hathorne, były sędzia pokoju” - jak szepnął ktoś kilka rzędów od miejsca, w którym stała Mercy, zwrócił się zwięźle do kogoś zasiadającego w ławie naprzeciwko zawodzących dziewcząt, te kilka słów padło jednak zbyt cicho, by dotrzeć do najdalszych zakątków.

Mercy zmrużyła powieki i zobaczyła, że wstaje kościsty, stary mężczyzna z plamami wątrobowymi na łysej czaszce. Sędzia Hathorne rozłożył ręce, aby uciszyć zebranych, i z pierwszych ław popłynęła w głąb fala posykiwania, ogarniająca stopniowo cały zebrany tłum i rozbijająca się o gwar pod przeciwległą ścianą. Gdy zgromadzenie przycichło, mężczyzna zabrał głos. Mercy natężyła słuch.

- ...od dawna podejrzewałem jejmość Dane o uprawianie czarów - mówił, gdy wreszcie szepty wygasły dostatecznie, by mogła cokolwiek usłyszeć. - Moje obawy w straszny sposób potwierdziły się tego wieczoru przed dziesięciu laty, kiedy moja nieszczęsna córka Martha wyzionęła ducha za sprawą jakiejś diabelskiej machinacji, a doglądała jej w owym dniu jejmość Dane.

Na te słowa dziewczęta zaczęły piszczeć i skowycić, a Ann Putnam zerwała się z ławy z głośnym wrzaskiem i wskazując Deliverance, krzyknęła:

- Widziałam to! Zjawa o jej twarzy przyszła do mnie tego wieczoru i powiedziała: „Zabiłam Marthę Petford, a jeśli na mnie doniesiesz, zabiję i ciebie”!

Gawieź głośno zachłysnęła się tą nowiną, kilka dziewcząt zaczęło wykrzykiwać własne rewelacje o groźbach i zemście Deliverance.

- Przyleciała do mnie pod okno na swojej ognistej miotle! - zawołała jedna z nich.

- Pod moje też - zawtórowała jej inna. - Chciała, żebym latała z nią na jej niegodziwe sabaty i wpisała moje imię do księgi diabła.

Gubernator Stoughton, z grdyką trzęsącą się od gniewu, uderzył w stół młotkiem; tymczasem jedna z dziewcząt omdlała, a Ann Putnam jeszcze głośniejszym krzyknęła:

-Tak, tak! A mnie nakazała zdjąć odzienie i pokazała mi widmo mojego ojca w całunie, i rzekła, że muszę z nią polecieć, bo inaczej mój ojciec też będzie zabity!

Czyjeś ręce wyciągnęły się, by powstrzymać oszalałą Ann, która wyszarpywała kołnierzyk sukienki. Ktoś podniósł omdlałą dziewczynkę i zaczął lekko klepać ją po policzkach, aż w końcu poruszyła powiekami. Gubernator Stoughton podniósł się z miejsca, znowu grzmotnął młotkiem i ryknął:

- Obrzydliwość! To obrzydliwość! Chcę usłyszeć, co oskarżona ma do powiedzenia na swoją obronę!

Tłum natychmiast ucichł, aby niczego nie stracić z mowy Deliverance. Wszyscy jak jeden mąż pochylili się naprzód i wstrzymali oddech. Mercy mocniej zacisnęła pięści pod fartuchem, żeby z wściekłości i oburzenia nie uczynić czegoś nieprzemyślanego.

- Ona kłamie - syknęła pod nosem. - Nigdy nie miałyśmy z nią nic wspólnego! Kłamie!

Stojąca przed ławą sędziowską Deliverance omiotła spojrzeniem twarze sędziów i ludzi zgromadzonych po bokach. Mercy zauważyła, jak Rebecca Nurse

wyciąga pomarszczoną rękę i delikatnie głaszcze Deliverance po ramieniu. Deliverance wyprostowała plecy, dzięki czemu stała się odrobinę wyższa, uniosła głowę i wtedy nawet ze swego oddalonego miejsca Mercy zobaczyła, jak bardzo matka wychudła przez te miesiące i jak mocno się postarzała. Pod oczami miała duże sine półkola, a jej włosy wyblakły i posiwiały. Oczy straciły trochę ze swego koloru i przybrały jasnoniebieski odcień lodu.

- Oto dziesięć lat temu zostałam wezwana do łóża boleści córki dobrodzieja Petforda, Marthy, którą dręczyły paroksyzmy i była bardzo cierpiąca - rozpoczęła. Tłum słuchał, zrobiło się cicho jak makiem zasiał. - Otoczyłam ją opieką, myśląc, że jest chora, dałam jej zatem lekarstwo, które ze sobą przywiozłam, i modliłam się przy niej w nocy.

- Przecież wiadomo, że czarownica nie może odmówić modlitwy do końca! - krzyknął z balkonu ktoś' niewidoczny.

- Modłę się codziennie - powiedziała spokojnie Deliverance i Mercy usłyszała dobiegający z tłumu szmer wątpliwości. Wyjęła ręce spod fartucha, złożyła je pod brodą i z szeroko otwartymi oczami czekała.

Deliverance przerwała, spojrzała na swe skute nadgarstki, a potem znowu na trwającą w oczekiwaniu ławę sędziowską. Mercy zastanawiała się, o czym matka myśli, i słuchając, starała się nie spuszczać wzroku z jej twarzy. Nie potrafiła jednak niczego odczytać. Tymczasem matka przełknęła ślinę, oblizała wargi i powiedziała:

- Jegomość Petford stracił żonę ledwie kilka miesięcy przed tym, jak jego córkę naszły paroksyzmy, od dawna widzi mi się więc - zerknęła kątem oka na Petera Petforda, który siedział i patrzył na nią z nieskrywaną mściwością - że przez swoją żalobę co nieco dodał do faktów.

- Czy dziecko umarło tej nocy? - spytał inny sędzia, którego tożsamość ujawnił szept za plecami Mercy: „Jonathan Corwin, ten, co zajął miejsce Nathaniela Saltonstalla, który za bardzo się przejął, że powiesili tę Bishop”.

-Niestety tak - odpowiedziała Deliverance. - Trzymałam ją wtedy na rękach. Peterowi Petfordowi zaczęła drzeć szczęką, na jego twarz wystąpił purpurowy rumieniec.

Ten sam sędzia, Corwin, pochylił się, wsparł na łokciach i spojrzał Deliverance prosto w oczy.

- Czy dziewczynka była chora? Czy może ktoś rzucił na nią urok?

Deliverance rozejrzała się na prawo i lewo, wyraźnie zaniepokojona, a Mercy poczuła, że coś ściska jej wnętrzności.

- Jakiś urok musiał to być - przyznała Deliverance. - Zeznałam tak w sądzie, kiedy złożyłam pozew, bo chciałam oczyścić swoje splamione dobre imię, więc nie będę teraz mówić inaczej.

- A skąd wam było wiadomo, że rzucono na nią urok? I kim mógł być sprawca, jeśli nie wy? - naciskał sędzia, złowieszczo unosząc cienką brew.

- Tego nie umiem powiedzieć, panie - powiedziała cicho Deliverance. - Nie wyznaję się na tych knowaniach. Ale Bóg w swojej mądrości i dobroci czasem coś mi objawia, jeśli Go o to błagam, abym mogła lepiej Mu służyć.

- Bóg? - spytał sędzia Corwin. - Rozmawiacie z Bogiem, dobrodziejko Dane?

- Wierzę, że wszystkie dzieci Boga mogą z nim rozmawiać - odparła, przenosząc wzrok na grupkę duchownych, którzy obserwowali proces. Dwóch skinęło głową, inni siedzieli jednak z założonymi rękami, a ich wzrok wyrażał najwyższe potępienie.

- Zaraz, zaraz, dobrodziejko Dane - włączył się inny sędzia, tym razem jednak szept nie ujawnił jego nazwiska, a przynajmniej Mercy go nie usłyszała. - Skąd macie pewność, że to wszystko objawia wam Bóg Wszechmogący?

- Jak to, panie? - zdziwiła się, zmieszana.

- Pytam o tego, na którego knowaniach podług waszych słów się nie wyznajecie. Skąd u was przekonanie, że to jest dzieło naszego Zbawiciela? - spytał,

przeciągając dłonią po podbródku, jakby głaskał wyimaginowaną brodę, i wpatrywał się w Deliverance z triumfującą miną dorosłego, który jest pewien swojej władzy nad dzieckiem. - Czy nie może być tak, że w rzeczywistości służycie diabłu, który zwodzi was obietnicami bogactwa lub sławy i każe wam udawać, że wasze uczynki są miłe Bogu?

Tłum zareagował na to pomrukami uznania, głowy skłaniały się ku sobie i kiwały potakująco.

Deliverance zastanawiała się przez chwilę, a potem podniósłszy głos, aby wszyscy dobrze ją słyszeli, oświadczyła:

- Ponieważ to On stworzył niebo i ziemię, sędzę, że ani na tym, ani na tamym świecie nie ma niczego, co nie byłoby dziełem Boga.

Rozległy się syki i buczenie, ludzie obrzucali ją nieufnymi spojrzeniami, a Mercy usłyszała za plecami szept: „Błuźnierstwo!”.

Gubernator Stoughton, który dał wyraz zaskoczeniu, unosząc brwi, powiedział:

- Jakże to, dobrodziejko Dane? Chyba wierzycie w diabła? I w to, że praktykuje on swe nieczne diabelskie sztuczki na niewinnych ze wsi Salem, posługując się swoimi lojalnymi sługami na ziemi?

Sala zamarła w oczekiwaniu. Deliverance milczała. Gubernator Stoughton pytał dalej:

- Nie chcecie chyba powiedzieć, dobrodziejko Dane, że ten sąd został zwiedziony w przedmiocie sprawy, prawda?

- Obawiam się, że chciałam, panie, inaczej zaś rzekłabym, że diabeł osiąga swój cel przez skazywanie niewinnych ludzi, a nie przez niegodziwe brednie tych pomieszanych dziewcząt - powiedziała Deliverance i zamknęła oczy, tłum bowiem ryknął, a dziewczęta zakrzyknęły z oburzeniem i chciały się rzucić na skute kobiety stojące przed sędziami. Zostały jednak powstrzymane przez kilku duchownych i innych mężczyzn siedzących na przedzie sali.

- Widzę go! - wrzasnęła Ann Putnam, wyciągając rękę. Jej twarz, wykrzywiona wściekłością, spurpurowiała. - Tam! Czarny diabeł szepcze do ucha jejmości Dane! Nie widzicie? Tam! Właśnie tam stoi!

Rozgardiasz w zborze osiągnął niewiarygodne natężenie i przez pewien czas Mercy, przytulona do ściany, nie słyszała niczego, co było mówione. Widziała, że jej matka stoi nieruchomo w milczeniu, Rebecca Nurse szepcze jej coś do ucha, a inne oskarżone kobiety gromadzą się wokół nich, usiłując się odgradzić od przepychających się, krzyczących, szarpiących ludzi dookoła. Sędziowie pochylili głowy ku sobie, gestykulując żywo i raz za razem mierząc wyciągniętymi palcami w torsy adwersarzy. Wydawało się, że panuje wśród nich niezgoda, jednak w ciągu kilku chwil najwidoczniej doszli do porozumienia, ponownie zajęli bowiem swoje miejsca. Gubernator Stoughton uderzył młotkiem, dając znak, że ciżba musi się opanować na dostatecznie długo, by mógł ogłosić wyrok.

- Susannah Martin, Sarah Wildes, Rebecca Nurse, Sarah Good, Elizabeth Howe i Deliverance Dane - rzekł uroczyście, gdy tłum nieco się pomiarkował. - Wobec przedstawionych tutaj dowodów, że wasze widma nawiedzały te oto dziewczęta w środku nocy, prześladowały je i żądały od nich, aby służyły diabłu, że u niektórych z was znaleziono podczas wiarygodnego badania niezgodne z naturą sutki, które można dawać do ssania czarciemu potomstwu, że kilka z was widziano podczas kłótni z sąsiadami, którym następnie niewidzialnymi środkami wyrządzałyście krzywdę osobistą bądź szkodę w dobytku, ponadto że widziano was tutaj w komitywie z diabłem, a mimo to zaprzeczacie prawdzie tego twierdzenia, uznajemy was przeto winnymi przestępstwa czarów i skazujemy na śmierć przez powieszenie za szyję.

Mercy krzyknęła z trwogi. Gubernator Stoughton uderzył młotkiem w stół, sala bowiem wybuchnęła okrzykami ulgi i potępienia. Kilkoro widzów zawodziło:

- Chwała Bogu! Będziemy zbawieni! Dziewczęta wiły się i drżały.

- Patrzcie, nadchodzi! - krzyknęła Ann Putnam. - Jejmość Dane wysłała swego ducha, aby mnie bił! To nie ja was potępiam, dobrodziejko Dane! To nie ja!

Przypadła do ziemi i zasłoniła rękami głowę, jakby chciała bronić się przed razami. Mercy skierowała spojrzenie na kulącą się dziewczynę i bez zastanowienia cisnęła kłębem czystej woli w tę nikczemną smarkatą istotę, której głowa odskoczyła, jakby została uderzona. Na policzku Ann Putnam wykwitła jaskrawo- czerwona pręga, a ona zaniósła się płaczem.

Mercy odwróciła wzrok od ogarniętej histerią dziewczyny i pochwyciła chłodne spojrzenie matki. Ku jej zaskoczeniu Deliverance nie wydawała się zła ani przelękniona. Gdy strażnik prowadził skute i płaczące kobiety do czekającego na zewnątrz wozu, Mercy uświadomiła sobie, że jedynym uczuciem, jakie jej matka w tej chwili okazuje, jest smutek.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Salem, Massachusetts

początek września 1991 roku



Connie nacisnęła klamkę i cicho wślizgnęła się do szpitalnego pokoju. Stojące przy drzwiach łóżko było puste, materac został zwinięty, pozbawione poszewek poduszki leżały w nogach. Na palcach podeszła do drugiego łóżka, uważając, żeby nie obudzić śpiącego pacjenta. Miał ostatnio tak mało snu.

Muskularny młody człowiek z zagipsowaną od kolana po stopę nogą leżał na plecach, z rozchyłonymi ustami, a spomiędzy jego warg wydobywał się szelest oddechu. Włosy miał zaczesane do tyłu i nawet gdy spał, było widać, że oczy mają jakby wzięte w nawias przez delikatne zmarszczki, które powstały przez lata od częstych uśmiechów.

Connie przysunęła do łóżka krzesło, usiadła na nim i wspierając podbródek na dłoniach, obserwowała Sama. Powieki drgnęły mu przez sen, a usta otworzyły się szerzej przy cichym chrapnięciu. Lekarze wyjęli mu kolczyk z nosa i Sam wydawał się teraz młodszy, łagodniejszy. Powędrowała wzrokiem dalej, do czarnego celtyckiego tatuażu na ramieniu - głupoty z czasów college'u, jak nazywał go Sam - potem na klatkę piersiową i umięśnione przedramiona, aż po rękomyki mocujące jego nadgarstki do metalowej ramy łóżka. Och, Sam, pomyślała.

- Connie, powinnaś wiedzieć, że zrozumiemy - powiedziała w zeszłym tygodniu przy kawie jego matka.

- Zrozumiecie? - spytała zmieszana. - Ale co? Linda Hartley obróciła kubek kawy w dłoniach.

- Ojciec Sama i ja zrozumiemy, jeśli to wszystko... jeśli to się okaże dla ciebie za trudne - powiedziała.

Daje mi pozwolenie na zerwanie z nim, uświadomiła sobie Connie. Ani przez chwilę nie pomyślała, że mogłaby go opuścić.

- Nie jest za trudne - odparła, podchwyciwszy wzrok Lindy. Teraz wsłuchiwała się w ciszę szpitalnego pokoju, przerywaną

jedynie od czasu do czasu niewyraźnymi komunikatami płynącymi z głośników na korytarzu. Sam westchnął głęboko, zsuwając przy tym z piersi prześcieradło, więc pochyliła się i dwoma palcami podciągnęła je z powrotem. Nawet się nie poruszył. Chociaż bardzo tęskniła za rozmową z nim, dobrze się stało, że zastała go śpiącego, przynajmniej na razie. Otworzyła torebkę i wyciągnęła z niej butelkę przyniesioną z domu przy Milk Street oraz kartkę z notatnika, stanowiącą część zbioru babcinych przepisów. Tę, która nie miała tytułu.

Jeśli ktoś mnie złapie, pomyśli, że zwariowałam, uświadomiła sobie i ponuro zacisnęła usta. Że oboje zwariowaliśmy. Wróciła spojrzeniem do uśpionej twarzy Sama, na której malował się chmurny grymas. Zły sen. Powieki mu drgały, jakby raz po raz przebiegały przez nie skurcze, i Connie doszła do wniosku, że musi działać jak najszybciej.

Zakasała rękawy i oderwała z rolki na ścianie listek papierowego ręcznika. Rozłożywszy papier na parapecie, ustawiła na nim butelkę i wyjęła z niej korek. Ostrożnie podeszła do drzwi, uchyliła je i zerknęła na korytarz, żeby sprawdzić, czy nie zaskoczy jej żaden lekarz, pielęgniarka lub któreś z rodziców Sama. W najdalszym kącie chichotała grupka nastolatków, ale poza nimi w pobliżu nikogo

nie było, jarzeniowe światło odbijało się wwyszorowanym linoleum na podłodze. Zamknęła drzwi.

Podkraśla się znowu do łóżka śpiącego i zobaczyła, że jego ramiona mocują się z paskami. W każdej chwili mógł się zacząć atak, a drgawki z pewnością wyrwałyby go ze snu. Gdy uklękła i na czworakach zajrzała pod metalowe łóżko, serce zabiło jej gwałtowniej, a zastrzyk adrenaliny dodał jej ruchom pewności.

Pod łóżkiem znalazła plastikową torbę, połączoną za pomocą długiej rurki z wysuwającym się z pościeli cewnikiem. Zdecydowanym ruchem odłączyła torbę od rurki, wykrzywiając usta z lekkim niesmakiem. Nie zrobiłabym tego dla nikogo innego, pomyślała, i ważąc torbę w rękach, wstała, po czym spojrzała na twarz Sama. Żadnych oznak. Dobrze.

Odwróciła się do okna i uważnie przechyliła torbę, by zawartość wolno pociekła do butelki. Zapełniła naczynie mniej więcej w dwóch trzecich i do tej wysokości niebieskie szkło wyraźnie się zazieleniło. Wykonawszy zadanie, opadła na kolana i przypięła torbę z powrotem.

Była jeszcze na czworakach, gdy usłyszała ruch na łóżku nad jej głową.

- To ty, Goodwin? - dobiegł ją schrypnięty głos.

Szybko usiadła na piętach i spojrzała Samowi w twarz. Powieki miał do połowy uniesione, widoczne spod nich zielonkawe oczy stopniowo przytomniały.

- Co robisz na podłodze? - spytał cicho z półuśmiechem.

- Nic takiego - odparła uspokajającym tonem i wróciła na krzesło. - Upadł mi kolczyk. Nieważne.

Uśmiechnął się szerzej i uniósł brew.

- Niezłe wyjaśnienie, ale przecież nie nosisz kolczyków - zauważył.

Odważemniła uśmiech.

- Co ty gadasz! Przepraszam, że cię zbudziłam.

- Nie - odparł, próbując zmienić pozycję. - Nie zbudziłaś mnie. Lekarze mówią, że muszę spać jak najwięcej, ale sen przychodzi i odchodzi kiedy chce.

- Napijesz się wody? - spytała, próbując odwrócić jakoś jego uwagę, żeby nie zauważył butelki na parapecie.

Oblizwał wargi, jakby właśnie poczuł, że są wyschnięte, i oparł głowę na poduszce.

- Jasne - powiedział, nieco napinając mięśnie skrepowanych kończyn. - Mogłabyś też mnie rozpiąć. Te paski są pioruńsko irytujące.

Wstała i podeszła do umywalki, by starannie umyć ręce w ciepłej wodzie.

- Złapało cię dzisiaj? - zainteresowała się, napełniając szklankę wodą.

- A która godzina? - spytał zardzewiałym głosem. Zerknęła na szpitalny zegar nad głową.

- Czwarta trzydzieści trzy.

- No, to od ostatniego ataku minęły już prawie dwie godziny - powiedział.

Wydawał się bardzo znużony. Przyniosła mu wodę, postawiła kubek na szafce przy łóżku i pochyliła się, żeby poluzować paski na jego przegubach. Uwolniwszy ręce, Sam rozprostował ramiona nad głową, przez chwilę ćwiczył stawy nadgarstków, a w końcu wypuścił powietrze z płuc, wydając głośne, trochę drżące westchnienie. Przyjrzała mu się, zadowolona, że wciąż ma krzepkie ciało, choć jednocześnie przejęło ją zgroza, że akurat tu nachodzą ją takie myśli. Sam zerknął na nią, popijając wodę.

- Co jest? - spytał, odsuwając szklankę od ust.

- Nic - odparła, czując, jak spod włosów wylewa jej się na policzki rumieniec.

- Co jest? - powtórzył figlarnie, odstawiwszy szklankę i skrzyżowawszy ramiona.

- Nic! - odparła, a na twarzy wykwitł jej uśmiech. Wyciągnął rękę, położył jej dłoń na karku i przyciągnął ją do siebie. Przez chwilę pozostali zetknięci czołami i nosami.

- Nie spodziewałem się tego - powiedział, wciąż trzymając dłoń na jej karku. Czując ciepły nacisk jego palców, Connie przykryła je ręką.

- Czego konkretnie? - spytała. Przez naprężoną skórę na jego czole czuła promieniujący od niego niepokój, wiedziała też, że z każdą minutą zbliżają się do następnego ataku, któremu żadne z nich nie jest w stanie zapobiec.

- Właściwie wszystkiego - wyznał. - Ale tak naprawdę miałem na myśli nasze spotkanie.

Uśmiechnęła się, ale były w tym uśmiechu napięcie i smutek. Bez słowa pociągnęła go za ucho.

- Posłuchaj - rzekł. - Chcę, żebyś coś wiedziała.

- Nie martw się tym.

- Przecież nie wiesz, co zamierzam powiedzieć - zaprotestował.

- Wiem - szepnęła, mocniej napierając na jego czoło. Przez chwilę siedzieli tak w milczeniu, oboje z zamkniętymi oczami. Porozumiewali się bez słów. Wkrótce Sam westchnął.

- Chyba powinnaś znowu zapiąć mi te pasy - powiedział. Usłyszała lęk kryjący się za jego rzeczowym stwierdzeniem. Skinęła głową, pochyliła się, by pocałować go w wierzch dłoni, a potem opasała mu rękę taśmą z rzepami, zwisającą za krawędź łóżka. - Mocniej - poprosił.

- Sam... - Umocowała pasek wokół drugiego nadgarstka. - Nie chcę, żebyś się martwił, ale może mnie przez kilka dni nie być.

- Dlaczego? - spytał. - Coś się kroi?

- Można tak powiedzieć - potwierdziła, skończywszy pracę przy lewej ręce. - Muszę zrobić coś bardzo ważnego.

- Czy chodzi o konferencję, o której wspominałaś? Tę, na którą chce cię zabrać Chilton? - Starał się powiedzieć to z pogodną miną.

Stale pytał ją o pracę, stale próbował udawać, że po prostu rozmawiają przy kawie. Kiedy to robił, jej serce ścisnęło się od wyrzutów sumienia, chociaż za-

klinał się, że woli zwyczajną rozmowę o jej pracy i pomysłach od ciągłego rozpamiętywania jego pogarszającego się stanu. Próbowwała mu uwierzyć.

- Tak i nie - odparła, głaszcząc go po głowie. - Może. W każdym razie chcę, żebyś wiedział, że przez cały czas będę o tobie myślała. - Pochyliła się i szepnęła mu do ucha: - Mam księgę.

Jego oczy zapłonęły podnieceniem. Próbował się nawet nieco wyprostować, podciągając się na poduszkach.

- Niemożliwe! - syknął. - I nie przyniosłaś jej? Musisz ją przynieść! Nie mogę uwierzyć, że przyszedłaś do mnie bez niej. - Wydawał się autentycznie podniekowany. Connie zrobiło się nagle cieplej na sercu, odetchnęła głębiej. Uśmiechnęła się szeroko.

- Zobaczysz ją. Niedługo. Ale najpierw muszę zrobić to, co mam do zrobienia. - Położyła mu dłoń na czole i delikatnie popchnęła go na poduszki. - Nie martw się - szepnęła. - Wszystko się ułoży. Już niedługo.

Gdy to mówiła, powieki Sama stawały się coraz cięższe, opadały mu na oczy jak grube aksamitne zasłony. Wąty uśmiech zaigrał na jego wargach, ciało się rozluźniło. Kiedy całkiem zamknął oczy, powoli cofnęła rękę i przez chwilę przyglądała się, jak klatka piersiowa faluje mu łagodnie.

Zadowolona z siebie podeszła do butelki, która stała przez cały ten czas niezauważona na parapecie, zakorkowała ją i schowała do torebki. Potem wyrzuciła do kosza przy umywalce zgnieciony papierowy ręcznik.

Po chwili znów stanęła przy łóżku Sama i wyciągnęła ukrytą dotąd w kieszeni karteczkę bez tytułu. Pochodziła z tego samego pliku, co łacińskie zaklęcie na dobry wzrost pomidorów, wsunięta między banalne przepisy na auszpick i potrawkę. Czytając ponownie jej treść, kręciła głową, uśmiechając się z niedowierzaniem.

Karteczka zawierała pozornie nonsensowną kompozycję literową ułożoną w trójkąt, a chociaż Connie wciąż jeszcze nie mogła w to całkiem uwierzyć, wie-

działa, że nawet małe dziecko zorientowałoby się, co ma przed sobą. Zaklęcie wyglądało następująco:

A B R A K A D A B R A
A B R A K A D A B R
A B R A K A D A B
A B R A K A D A
A B R A K A D
A B R A K A
A B R A K
A B R A
A B R
A B
A

Pod tym dziwnym trójkątem znajdowała się tylko jedna krótka instrukcja: „Aby wyciągnąć chorobę, stosuj na ciało jako zaklęcie”. Connie przeczytała całość szeptem. Złożyła kartkę na cztery i pochyliwszy się, musnęła czoło Sama wargami, a zaklęcie wsunęła w poszewkę poduszki pod jego głowę.

- To musi zadziałać - powiedziała do siebie, lecz może również do całego wszechświata.

Podeszła na palcach do drzwi i wykradła się na korytarz.

Interludium

Boston, Massachusetts

18 lipca 1692 roku



Wzburzone głosy - młody kobiecy, przeplatający się w szybkiej wymianie zdań z posepnym męskim - popłynęły mrocznym korytarzem. Więźniowie w ciasnych, obskurnych celach wzdłuż przejścia nasłuchiwali, uniósłszy głowy. Natężenie głosów nasiliło się, a potem nagle opadło i brzęk kluczy zasygnalizował otwarcie drzwi daleko w końcu korytarza. Oblepione brudem twarze przywarły do niewielkich otworów w górnej części masywnych drzwi celi: tu George Burroughs, pozbawiony godności duchowny ze wsi Salem, z zapuszczonymi, potarganymi włosami, tam Wilmott Redd, pulchna przekupka handlująca rybami w Marblehead, której dawniej wesoła twarz stała się wychudzona i szerniała.

Mercy Dane patrzyła na te twarze ze smutkiem i do każdej celi wsuwała przez otwór gruby, twardy suchar. Nie wiedziała, ile ich przynieść, ale Sarah Bartlett uznała, że lepiej za dużo, niż gdyby miało zabraknąć. Więźniowie chcieli wyciągać ręce przez szpary, chwytając skąpy posiłek najczęściej bez słowa podziękowania, zanadto wycieńczeni, by się na nie zdobyć. Mercy wolno przesuwiała się korytarzem, rozdając chleb, aż wreszcie zatrzymała się przy ostatniej celi. Zajrzała przez szparę do środka i dostrzegła w mroku zarys dwóch postaci, dziewczynki skulonej w najdalszym kącie, odzianej jedynie w poplamioną ko-

szulę, i kobiety siedzącej plecami do drzwi, z głową opartą o kamienną ścianę. Na podłodze leżała cienka warstwa słomy, a w nozdrza bił odór pleśni. Ciele oświetlało jedynie malutkie kwadratowe okienko przy suficie, ale w tej chwili wpadało przez nie niewiele światła, zasłaniały je bowiem buty włóczędzy stojącego na ulicy.

- Mama? - szepnęła Mercy z korytarza.

Pochylona postać w celi ani drgnęła. Rozejrzawszy się, aby mieć pewność, że żadne oczy nie śledzą jej poczynąń, Mercy uniosła dłoń do zamka w drzwiach i wyszeptała długi ciąg łacińskich słów. Na dłoni wyrósł jej niebieski ognik, ciepły i trzaskający, który wkrótce tak napęczniał, że objął blaskiem zardzewiałe żelazo zamka. Mercy odczekała, aż światło zgaśnie, po czym dotknęła masywnych drewnianych drzwi i poczuła, jak ustępują pod naciskiem jej palców. Wślizgnęła się do celi i cicho zamknęła je za sobą.

- Mama? - szepnęła ponownie, zbliżając się do wymizerowanej kobiety, skulonej na podłodze. Opadłszy przy niej na kolana, delikatnie położyła jej rękę na ramieniu. Deliverance powoli odwróciła głowę i jej zmatowiałe oczy na chwilę odzyskały blask.

- Mercy? - spytała, mrugając powiekami. - Jak tu...? - Urwała i czule objęła drżącą córkę. Mercy otoczyła ręką jej talię i wtuliła twarz w szyję, stęskniona dotyku matczynej skóry.

- Powiedziałam im, że przyszłam zapłacić rachunek. - Fałdy kołnierza Deliverance tłumili jej głos. - Potem wystarczyło posłużyć się rzemiosłem i pozwolili mi przejść.

Deliverance pogłaskała córkę po długich włosach opadających jej na plecy i delikatnie nią zakołysała.

- A skąd wzięłaś pieniądze na taki wyczyn? - spytała z uśmiechem. Z jej głosu Mercy wyczytała, że matka jest z niej dumna.

- Pomogła mi jejmość Bartlett - wyjaśniła. - Pożyczyła mi pieniądze i swoją gniadą klacz. Przyniosłam suchary. - Z torby, którą miała ze sobą, wyjęła kilka twardych skibek. - Dać jeden Dorcas? - Spojrzała zatroskana na małą dziewczynkę, skuloną nieruchomo w ciemności po przeciwnej stronie celi, która z zamkniętymi oczami ssała kciuk. - A gdzie jest jejmość Osborne?

- Nakarmię ją, jak wyjdiesz - obiecała Deliverance. - Mała boi się obcych, taka jest. - W jej głosie pobrzmiwały smutek i rezygnacja. - A Sarah Osborne nie ma już żadnych strapień na tym świecie. Bóg zabrał ją do siebie trzy tygodnie temu.

- Jak wyjdę? - powtórzyła Mercy, pochwycając spojrzenie jej zmęczonych oczu. - Posłuchaj, mamó. Wszystko obmyślane, pójdiesz stąd ze mną.

Deliverance spojrzała prosto w szczerą twarz córki i zaśmiała się gorzko. Gdy objęła dłonią jej policzek, Mercy wyczuła w tym dotyku całą głębię rezygnacji matki.

- Och, córko - powiedziała Deliverance, nieznacznie unosząc kąciki ust. - Wiesz, że nie mogę.

- Możesz! - krzyknęła Mercy, chwytając ją za nadgarstki. - Strażnik śpi, bo dałam mu tynkturę, poznałam też zakłęcie otwierające zamki! Wystarczy, że stąd wyjdziemy, mamó!

- Miałabym zostawić innych? - spytała Deliverance, bacznie wpatrując się w twarz córki. - Chyba rozumiesz, że oni nie są winni tej zbrodni, za którą nas skazano? Ale ja ją popełniłam.

- Popełniłaś? - Mercy usiadła na piętach. Z pewnością miesza jej się w głowie, pomyślała. Przez tyle miesięcy w więzieniu rozum musiał ją opuścić.

Stękając cicho, Deliverance poruszyła się w poszukiwaniu wygodniejszego oparcia dla zbolących pleców.

-To znaczy, że zabiłaś Marthę Petford? - spytała Mercy strwożona i zmieszana.

- Och, nie! - Deliverance pokręciła głową. - Nie ja, chociaż wcale mnie nie dziwi, że nikt nie daje wiary moim słowom. Musisz wiedzieć, że na nią rzeczywiście padł urok. W pewnym sensie, oczywiście. A tynktura, którą dla niej wybrałam, mówiła do innej bolesti.

- Ale dlaczego tak? - spytała zbита z tropu Mercy. - Kto zamierzyłby taką zbrodnię na dziecku?

- Nikt oprócz najpodlejszych i najbardziej obrzydliwych diabłów. Pomyśl jednak, Mercy. Kiedy mówisz o rzuceniu uroku? - Spozierała na córkę spod przymkniętych do połowy powiek.

- Cierpienie musi być wywołane przez kogoś zło czyniącego, a nie przez zwykły przypadek lub Opatrzność Bożą. Tyle że zło czyniący może wcale nie wiedzieć o swoim niegodnym uczynku i nawet nie musi rozumieć, jak do niego dochodzi. Błąd polega na szukaniu złych intencji, kiedy należałoby poprzestać na leczeniu ze skutków. - Zamknęła oczy i przełykając ślinę, przez chwilę odpoczywała. - Nie trzeba być czarownikiem, aby rzucić urok na cierpiącą duszę.

- Matko, nie rozumiem - powiedziała Mercy. - Kto uczynił zło małej Marcie?

Deliverance ponownie otworzyła oczy i Mercy z bólem odkryła, że znów nieco zmatowiały, jakby zmęczenie i wygłodzenie po trochu odbierały im blask.

- Któżby jak nie Peter Petford - powiedziała chropawym głosem.

- Jegomość Petford?! - zachnęła się Mercy. Aż otworzyła usta ze zdumienia.

- Ten nieszczęśnik niczego nawet nie przeczuwa - dodała Deliverance. - Biedny, doświadczony cierpieniem człowiek.

- Jak to możliwe, matko? - dopytywała się Mercy.

- Kiedy przybyłam do jego złożonej boleścią córeczki, zdało mi się, że to całkiem zwyczajne paroksyzmy. Albo że biedaczka udaje, bo jak na swój młody wiek została nazbyt obciążona obowiązkami domowymi, którym nie może podołać, a w dodatku nie ma matki. - Deliverance przytknęła wiotką dłoń do czoła,

jakby dotykaniem chciała wymazać przykre wspomnienie. - Dałam jej łagodną tynkturę na nerwy i modliłam się za nią przeświadczona, że ciepły i wzmacniający napitek w połączeniu z dobrym słowem łącznie cofnie ból. - Westchnęła ciężko. - Jakże się pomyliłam. To był saturnizm. Wywołany przez nadmiar ołowiu, który musi, że z tanich naczyń przechodził do jada. Gdy u nich przebywałam, paroksyzmy się nasiliły, potem wypowiadałam też mocniejsze zaklęcia przeciwko metalom i truciznom, ale próżno się starałam, bo na nic już czasu nie stało. I biedne dziecko wyzionęło ducha.

- Saturnizm - powtórzyła ze zrozumieniem poruszona Mercy.

- Nie inaczej. Saturn jest planetą ołowiu, jako i Merkury planetą żywego srebra. Widzę, że przykładasz się do nauki. Mądrze postępujesz. - Deliverance uśmiechnęła się do córki.

- Widziałaś, które to garnki? - spytała Mercy.

- Jako żywo, widziałam. Było kilka naczyń z odlupanym ołowiowym szkliwem, choć żadnego takiego, które szkodziłoby na pewno. Ale myślę, że z nich też się wzięło pomieszanie umysłu Petera Petforda. To, co zabija dziecko w paroksyzmach i męczarniach, dorosłemu człowiekowi odbiera rozum. Może być, że to samo spotkało Sarah Petford, która odeszła kilka miesięcy wcześniej. - Przez oblicze Deliverance przemknął cień wielkiego smutku. - Na Marthę poniekąd padł więc urok, ale nie sposób było temu zaradzić. Czy mam zniszczyć prawdę skrzywdzonego ojca? Zmienić jego pomieszanie w rozpacz bez granic? I tak nikt nie liczyłby się z moim słowem.

- To przecież znaczy, mamo, żeś niewinna. Próbowałaś uleczyć Marthę, a nie wyrządzić jej szkodę - przekonywała Mercy. - Trzeba nam powiedzieć o tym gubernatorowi Stoughtonowi. To światły człowiek. Na pewno posłucha głosu rozsądku, jeśli się dowie wszystkiego.

- Niestety, nikt z członków sądu nie jest skłonny dać posłuchu rozsądkowi - odparła Deliverance. - Duszą ich strach o własną skórę. Dla sądu niepolitycznie

jest postępować inaczej, dopóki te kapryśne dziewczynki krzyczą głośno o czarach. A im się zdaje, że dzięki swoim wybrykom i breweriom dzierżą nad innymi władzę, dlatego procesy będą trwały.

Znów zamknęła oczy i położyła rękę na kolanie córki.

- Niech Chrystus w swym nieskończonym miłosierdziu im wybaczy.

- Mamo, musisz ze mną iść! - krzyknęła przenikliwie Mercy.

- Nie możesz doświadczyć takiej niesprawiedliwości!

- Niesprawiedliwości? - powtórzyła Deliverance, śmiejąc się ponuro. - Cóż więc można rzec na taki widok? - Wskazała zmaltretowaną, półżywą dziewczynkę przykutą do przeciwległej ściany. - Nie ma nic diabelskiego w czarach, ale nawet te słowa będą osądzone jak bluźnierstwo, a ja wszak jestem czarownicą. Czy wolno mi stąd zniknąć i zostawić niewinnych, by umarli zamiast mnie? - Pogłaskała córkę po policzku i ująwszy ją za podbródek, odwróciła jej głowę tak, że spojrzały sobie w oczy.

- Co takie postępowanie powiedziałyby o mojej nieśmiertelnej duszy?

I wreszcie Mercy pojęła, że płonne były jej starania. Co też jej w ogóle przyszło do głowy? Jak mogła prosić matkę, żeby porzuciła myśl o życiu wiecznym i nadzieję na zbawienie dla kilku marnych lat spędzonych wspólnie na ziemi? Kiedy zrozumiała samolubność swoich pragnień, na jej skroniach pojawiły się różowe plamy wstydu. Jestem podła, pomyślała. Nienawidziła w tej chwili samej siebie, bo choć zdawała sobie sprawę z nieuchronności losu, to mimo wszystko pragnęła, aby matka uległa jej błaganiom.

Podczas gdy te przykre myśli opanowały jej umysł i marszczyły twarz, Mercy poczuła na głowie dłoń matki.

- Posłuchaj mnie, córko - powiedziała z wielką powagą Deliverance. - Nakazuję ci opuścić miasto Salem. Nie dopuszczam sprzeciwu. - Uniosła rękę, powstrzymując w ten sposób wybuch protestów. - Widzisz po obecnej tu biednej Dorcas, że sąd zaleca szukać zła także w rodzinach. Musisz stąd zniknąć.

Wyobraźnię Mercy zajął obraz jej przyszłego życia: długi, nagi korytarz, pusty i bezludny. Wszystko, co znała, znajdowało się w Salem, jej przyjaciółki, przyjaciółki matki, jej zbór. Tu pochowano ojca. Wkrótce również matka będzie tu pochowana. Na samą myśl o tym jej wargi drżały, a w duszy czuła ogarniającą ją panikę, dreszcze płynące z brzucha w górę, za żebra, a także do nóg i ramion, raz po raz zaciskające jej dłonie na fartuchu.

- Córko - ciągnęła Deliverance, ponownie ujmując Mercy pod brodę, aby spojrzeć jej w oczy. - Mamy plan. Pamiętasz może, że po odwiedzinach Mary Sibley sprzedałam nasz dom jegomościowi Bartlettowi? Wróżba z białka wyjawiała mi część prawdy, nie wiedziałam jednak dokładnie, co się wydarzy. Dość, że za pozyskane z tej transakcji pieniądze kazałam wybudować niewielki dom przy drodze do Marblehead. Jest już prawie gotowy. Znajdziesz go przy samym końcu Milk Street, stoi samotnie, dobrze schowany w lesie.

Podczas gdy to mówiła, na twarzy Mercy walczyły ze sobą różne uczucia: niepewność, zdziwienie i strach. Dom sprzedany? Ponad pół roku temu? Przecież ona w Marblehead nikogo nie zna!

- Weźmiesz ze sobą rejestr przepisania, Biblię i znikniesz ludziom z oczu - ciągnęła Deliverance. - Możesz wziąć gniadą klacz Sarah Bartlett. Jegomość Bartlett wie o naszych planach i pomoże ci przewieźć niezbędne sprzęty, kiedy tylko Opatrzność na to pozwoli.

Mercy wpatrywała się w twarz matki i czytała z niej, że objawiona właśnie wola jest absolutnie ostateczna. Nie po raz pierwszy zapragnęła, by dane jej było dorównać matce uczciwością. A więc już jutro będzie zdana na własne siły, zostanie całkiem sama. Przycisnęła ramiona do piersi, usiłując w ten sposób zapanować nad ogarniającym ją lękiem.

- Mercy - powiedziała cicho Deliverance, przesuwając końcami palców po wilgotnej, drżącej twarzy córki. - W Nowym Testamencie, u Mateusza, jest napisane, że Bóg zstąpił na ziemię i rozmawiał z Piotrem, i powiedział, że na

Skale zbuduje swój Kościół. - Kciukiem pogłaskała brew Mercy i uśmiechnęła się. - To ty jesteś Piotrem, moja córko. Ty jesteś skałą, na której stanie ten kościół. Bo poprzez ciebie można będzie doznać na ziemi Jego mocy w całej jej nieskończonej dobroci. Nie wolno ci więc poświęcić swoich dni na strach i rozpamiętywanie. Musisz najpierw zapewnić sobie bezpieczeństwo, potem jednak nie wolno ci zaprzeć się swojego rzemiosła, bo to, co robisz, jest dziełem Boga.

- Ale mammo... - wykrztusiła łamiącym się głosem, przytłoczona świadomością tego, jak mała, słaba i bezradna jest wobec wszystkiego, co nadejdzie.

Deliverance uciszyła ją, kładąc palec na jej wargach, i stanowczo pokręciła głową.

- Dość tego. Wyjedziesz dziś wieczorem. Zabraniam ci przyjść jutro na zachodnie wzgórze.

Po tych słowach Mercy wtuliła twarz w kolana matki i zaczęła łkać cicho. Siedziały tak kilka godzin, tymczasem zaś okienko nad ich głowami pociemniało, a potem ciemność rzednąc, ustąpiła miejsca wilgotnej szarości.

Tłum zaczął się gromadzić na zachodnim wzgórzu miasta Salem wiele godzin wcześniej. Ponuro ubrani ludzie kręcili się tam z fałszywą powagą na twarzach, aby ukryć rozpierające ich podniecenie. Głosy, o ton wyższe niż zwykle, mieszały się i zlewały w drażniący uszy, zgrzytliwy miazmat obłudy i oczekiwania. Gromadki kobiet grzebały w kieszeniach dowiązanych u talii i wymieniały się chlebem i serem. Zgraja dzieciaków ganiała jak oszalała wśród nóg dorosłych, łapiąc to tego, to owego i wrzeszcząc z radości. W popołudniowym upale błoto, powstałe wcześniej pod niezliczonymi butami i końskimi podkowami, zaskorupiało, tworząc nieruchome łuski, które pękały pod kolejnymi butami i zamieniały się w proszek, unoszący się następnie w powietrzu i osiadający na sukniach, rysujący smugi na twarzach, przesłaniający szarawą mgłą słońce. W oddali, ponad kłębamii pyłu i rozemocjonowaną ludzką ciżbą górowała wąska

drewniana konstrukcja, złożona ze smukłego podestu i umieszczonej nad nim wysokiej belki, z której zwisało sześć grubych, poskręcanych lin.

W dolnej części stoku zachodniego wzgórza, gdzie tłum rzedł, stała dość wysoka dziewczyna w zbyt dużym, źle upiętym czepek, trzymając jedną ręką uzdę chudej, płochliwej klaczy, obciążonej kilkoma powiązanymi liną pakunkami. U jej stóp siedział piesek, który wydawał się tego samego koloru co chmura pyłu; kilkoro przechodniów spieszących tędy, by zająć miejsce bliżej czoła tłum, odwróciło się za nim, jakby chcąc się upewnić, czy naprawdę minęli zwierzę. Błada twarz dziewczyny była pozbawiona wyrazu, nie zdradzała podniecenia ani maskowanego zadowolenia z siebie, które dodawały życia obliczom dookoła.

W miarę jak dzień zbliżał się do południa, energia pulsująca w tłumie wzrosła tak, że niemal można jej było dotknąć. Gęste pokłady lęku i ekscytacji oczekiwaniem zebrały się w piersi każdego gapia; równie ciężki i wyczekujący nastrój, ta mącająca w głowach mieszanka strachu i odrazy, doprawiona podnieceniem, panuje w tawernie tuż przed wybuchem walki na pięści. Pogawędki stały się coraz bardziej ożywione, a kiedy ktoś w końcu dostrzegł w oddali więzienny wóz, podskakujący wolno na wybojach w drodze na wzgórze, przez ciżbę przetoczyły się okrzyki, na które nakładał się niekiedy szmer modlitwy i protestu.

Mercy położyła ręce na boku klaczy Bartlettów, wspięła się na palce i patrzyła ponad grzbietem zwierzęcia. Wóz, poprzedzany przez strażnika, podjechał bliżej; stało na nim sześć kobiet różnego wzrostu i wieku, zaciskając dłonie na drabiniastych burtach, aby utrzymać równowagę, gdy pojazd przechylał się i podskakiwał w koleinach.

Wóz dotarł na obrzeże tłumy i wtedy pierwsza główka zgniłej kapusty uderzyła starą Susannah Martin w pierś z tak głośnym plaskiem, że usłyszała go nawet Mercy w swym odległym punkcie obserwacyjnym. Trafiona kobieta na wozie odwróciła twarz, wykrzywiając usta w żalnym grymasie, gdy resztki roz-

miękłych liści przywarły do jej brudnej sukni. Rebecca Nurse, zachowująca życzliwe spojrzenie - co po wielu miesiącach uwięzienia było wręcz niewiarygodne - wyciągnęła kościsty palec, by strzepnąć kawałek liścia z kołnierza Susannah, a przy okazji szepnęła jej do ucha kilka słów. Susannah skinęła głową, wciąż z grymasem na ustach, i zamknęła oczy. Wydawało się, że próbuje osiągnąć skupienie, gdy tymczasem kolejna kapusta roztrzaskała się o burtę wozu.

Mercy zobaczyła, że skazane kobiety przytulają się do siebie, a Sarah Good otwiera usta i krzyczy na gawieź, która zaroїła się wokół wozu. Ludzie wyciągali ręce, by szarpać kobiety za odzienie i patrzyli z nienawiścią. Sarah Wildes osłaniała twarz ramionami, zaciskając trzęsące się dłonie na poplamionym czepku. Widziano, jak Elizabeth Howe pluje w twarz jakiejś wrzeszczącej gospodyni w tłumie. Pośrodku tej grupki, o pół głowy wyższa od pozostałych, stała Deliverance Dane, z wzrokiem utkwionym w dal. Mercy zmrużyła oczy i zauważyła, że usta matki nieznacznie się poruszają, nie potrafiła jednak powiedzieć, czy wypowiadają jakieś zaklęcie, czy raczej słowa modlitwy. Ciśnięty z tłumy kaczan kukurydzy o włos minął jej policzek, ale ona nawet nie drgnęła. Mercy wyprostowała ramiona, wzbudzając w sobie wolę, aby odczuć tę siłę, którą widziała w twarzy matki.

Wóz zwolnił, obciążony przez gapiów czepiających się burt, ale i tak toczył się nieubłaganie ku rusztowaniu na szczycie wzgórza. Podniecenie tłumy było tak wielkie, że Mercy prawie mogła je zobaczyć jako żółto-czarną masę wylewającą się z rozdziawionych ust i pałających gniewem oczu wieśniaków. Przechylony wóz zatrzymał się w pobliżu platformy, a gdy sześć kobiet znalazło się na ziemi, gawieź próbowała dostać je w swoje ręce, powstrzymywana jedynie przez splecione ramiona i prośby nielicznej grupy duchownych z okolicznych miast. Skute w nadgarstkach, zostały wprowadzone po schodach na drewnianą platformę. Mercy odruchowo mocniej zacisnęła dłoń na uździe, a jej gniada klacz rzuciła łbem i zarżała.

Kobiety ustawiono za sznurami, których pętle czekały jak sześć zwiniętych węży. Miejscowy sędzia pokoju również wspiał się po schodach na platformę, zaczepiwszy kciuki o wypustki płaszcza dla dodania sobie ważności, i zmierzył wzrokiem rozszalały tłum. Gdy zgniła dynia potoczyła się po deskach i zatrzymała u jego stóp, spojrzął gniewnie i głośno klaszcząc w dłonie, dał znak zgromadzonym, że żąda od nich pomiarkowania. W cieniu szubienicy rozległo się posykiwanie, przetaczające się falami wśród ciizby. Mercy słyszała, jak wściekły jazgot zamienia się w zwykły pomruk.

- Susannah Martin - rozpoczął sędzia, modulując głos tak, by nikt nie śmiał ująć mu znaczenia, jakie sam sobie przypisywał - Sarah Wildes, Rebecca Nurse, Sarah Good, Elizabeth Howe i Deliverance Dane! Zostałyście osądzone przez dostojny wyższy sąd karny zebrany w mieście Salem i uznane winnymi ohydnej i diabelskiej zbrodni uprawiania czarów, która jako zbrodnia przeciwko naturze samego Boga jest karana śmiercią. Czy któraś z was pragnie się przyznać i wskazać sprawców swojego upadku? Czy spełnicie swój obowiązek, by oczyścić waszą wspólnotę, błędzącą i osamotnioną na pustyni pełnej grzechu, ze zła, które czai się pośród nas?

Szóstka kobiet stała bez słowa, niektóre ze spuszczonej głowami, inne z zamkniętymi oczami i drżącymi policzkami. Jeden z duchownych, niespokojny człowieczek z niedalekiego Beverly Farms, który dotąd stał obok sędziego pokoju, wystąpił naprzód, ściskając w dłoniach Biblię. Mercy zmrużyła oczy i nastawiła uszu, chcąc usłyszeć, co powie wielebny.

Mocą głosu nie dorównywał sędziemu pokoju, chyba jednak błagał każdą kobietę po kolei, by przyznała się do uprawiania czarów, bo jeśli tak uczyni i podporządkuje się Jezusowi, zostanie oszczędzona, gdy tylko wskaże w mieście swoich współników w paktowaniu z diabłem. Przypuszczenie Mercy zyskało potwierdzenie, kiedy mężczyzna doszedł do Sarah Good, która wodziła obłąka-

nym wzrokiem i wydawała się tym bardziej pomieszana, że targąła nią wściekłość.

- Ja czarownicą! - krzyknęła na cały głos, a tłum zaszemrał. Spojrzała nienawistnie na Deliverance, a potem, wysuwając podbródek ku tłumowi, ryknęła: - Taka ze mnie czarownica, jak z ciebie czarownik, a jeśli odbierzesz mi życie, Bóg da ci krew do picia!

Wzburzony tłum ogarnęło szaleństwo. Na kobiety znów poleciały zgniłe warzywa, ciskano klątwy, złorzeczono. Mercy z całej siły zaciskała pięści pod brodą i przygryzała wargi, a w kącikach jej oczu pokazały się dwie łzy. Starła się opanować, wiedziała bowiem, że musi być skupiona, jeśli chce wypełnić obowiązek, do którego się poczuwała. Skierowała wzrok na matkę. Jej usta wciąż poruszały się bezgłośnie, a oczy przesuwwały się po stojących obok kobietach.

- Słuchajcie więc, nieszczęsne! - krzyknął sędzia pokoju. - Skoro nie chcecie oddać się w ręce Zbawiciela, który jest gotów was przyjąć, ani wyznać tu swoich grzechów przed Bogiem i ludźmi takimi jak wy, spotka was śmierć przez powieszenie za szyję. Czy macie jeszcze coś do powiedzenia na swoją obronę?

Rebecca Nurse wyprostowała swe wychudzone, pomarszczone ciało i złożyła ręce do modlitwy. Tłum ucichł, chcąc usłyszeć, co ta powszechnie szanowana kobieta, bądź co bądź pełnoprawny członek Kościoła, powie na chwilę przed śmiercią.

- Niech miłosierny Bóg wszechmogący im przebaczy - powiedziała, a tłum ucichł na tyle, że Mercy wyraźnie ją słyszała, choć głos Rebeki Nurse był piśkliwy i słaby - albowiem nie wiedzą, co czynią.

Gapie znów zaszemrali, gdy mężczyzna w czerni założył pętlę na szyję Susannah Martin. Czerwoną od płaczu twarz kobiety znaczyły fioletowe plamy, śluz ciekł jej z nosa. Gdy pętla zacisnęła się na jej szyi, Susannah z przejmującym skowytym zaczęła oddychać przez usta, szybciej i szybciej, w miarę jak coraz bardziej brakowało jej powietrza. Mężczyzna stanął za nią, by strącić ją z

platformy, a gdy jego ciężki but dosięgnął ciała kobiety, przez tłum przebiegł dreszcz podniecenia. W tej chwili czas jakby zwolnił bieg, a Mercy zobaczyła, że stopy Susannah odrywają się od drewnianej podpory, jej oczy są zwrócone ku niebu, twarz wykrzywia strach, a luźna lina ciągnie się w ślad za spadającym ciałem. Zaraz potem nad głowami tłumu rozszedł się głośny trzask i ciało Susannah Martin zakołysało się na końcu naprężonej liny, martwe, choć lewa stopa wciąż jeszcze drgała. Tłum wybuchnął, a Mercy usłyszała, jak niewidoczna dla niej kobieta krzyczy:

- Chwała Bogu!

Mężczyzna w czerni podszedł do Sarah Wildes, która uderzyła w lament, błagając, by ją oszczędzono. Zapewniała, że nie jest czarownicą, że za nic nie mogłaby się kłamliwie przyznać, bo to grzech śmiertelny, że kocha Jezusa i pragnie Jego łaski i przebaczenia. Tłum pohukiwał, gdy szlochająca kobieta przyciskała dłonie do twarzy, a niespokojny duchowny podszedł do niej, by ująć ją za ręce i pomodlić się razem z nią, podczas gdy kat zakładał jej pętlę na szyję. Wielbny odsunął się na bok, a krzyki kobiety zamieniły się w rozdzierający skowyt. Kopnięta, umilkła nagle, a po pustym stoku wzgórza przetoczył się donośny trzask.

Przez cały czas przygotowań Rebecca Nurse trzymała dłonie złożone pod brodą, oczy miała zamknięte, a twarz pogodną. Poruszała wargami, powtarzając bez końca Modlitwę Pańską, nie przerwała bowiem ani na chwilę komunii z Bogiem, nawet gdy zaciśnięto pętlę i jej uderzone stopą wątłe ciało zatoczyło łuk w powietrzu. Gdy lina powstrzymała spadanie brutalnym szarpnięciem, tłum wydał stłumiony okrzyk, jakby aż do tej chwili nie w pełni wierzył, że ta łagodna, powszechnie szanowana kobieta naprawdę zostanie stracona.

Z ust Sarah Good i Elizabeth Howe wylewał się nieprzerwany potok przekleństw i plugawych słów. Obie pluły w stronę gawiedzi i wśród coraz głośniejszych zachęt próbowały kopnąć wyciągające się ku nim ręce.

-Przekleństwo na was wszystkich! Niech Bóg potępi was wszystkich! - krzyczała Sarah Good, gdy pchnęła ją noga kata, a ona zatoczyła się i z rozrzuconymi rękami spadła z krawędzi rusztowania. Jej ciało zatrzymało się z podskokiem, gdy pętla szarpnęła i się zacisnęła.

Mercy oderwała wzrok od przejmującej zgrozą sceny na podwyższeniu i z kieszeni pod fartuchem wyciągnęła garść ziół. Zerknęła na psa siedzącego u jej stóp, który spoglądał na nią ze smutkiem. Przygotowana na zbliżający się ból, zaczęła rozdrabniać w dłoni ziola i rozsypywać wokół stóp dokładnie po okręgu, jednocześnie szepcząc pod nosem długą sekwencję łacińskich słów, na tyle cicho, by nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Pięć kobiet wisiało już na końcach długich lin, ruchy ich stóp ustały, twarze były tajemniczo gładkie i białe, otoczone rozpuszczonymi włosami, a na wargach Sarah Good zastygł mściwy uśmiezek, chociaż jej głowa tkwiła odchyłona pod nienaturalnym kątem. Mężczyzna w czerni podszedł do Deliverance Dane, która stała z podniesionym czołem i rękami złożonymi do modlitwy. Mercy skupiła wzrok na matce, zamieniając miłość, lęk i trwogę, jakie miała w sercu, w strumień czystej woli, który w jej wyciągniętych dłoniach stworzył prawie niewidoczną, rozjarzoną niebieskawą kulę. Mężczyzna zacisnął pętlę na szyi Deliverance, a ona mocniej zacisnęła złożone dłonie, przygotowując się na uderzenie, choć gdy nadeszło, i tak szarpnęła się, zaskoczona.

Na okamgnienie czas stanął w miejscu, tłum zamarł, Deliverance zatrzymała się w powietrzu, a białoniebieski kłęb woli oderwał się od drżących palców Mercy i niczym błyskawica przeleciał nad głowami rozszalałego zgromadzenia, uderzył w czoło Deliverance i strzelił na boki snopami niewidzialnych iskier. W tej chwili Mercy poczuła zespolenie woli swojej i matki, widziała przesuwające się przed oczami sceny z jej życia: wielki statek odbijający od brzegów East Anglii, drobne stopy dziewczynki biegnącej czterdzieści lat temu przez ogród, dumę rozpierającą pierś przy spotkaniu z młodym Nathanielem, wielką, przemieszaną z

trwogą miłość wywołaną przez rozkrzyczane usta małej Mercy, smutek, że to wszystko musi się skończyć, a zarazem również niewzruszoną wiarę w coś, co jeszcze ma przyjść, coś nieuchwytnego, lecz pięknego. Wszystko to przepłynęło do dłoni Mercy, gdy ze ściągniętymi z wysiłku brwiami przesyłała matce wolę i możliwość wyzwolenia się od bólu. A potem nagle poczuła, że to już się stało, że dusza matki wyrwała się z więzów śmiertelnej powłoki, czas ruszył naprzód, ciało matki wiotczeje, a na twarzy pozostaje wyraz pogody i harmonii. Mercy opuściła ręce po bokach, z jej palców unosiły się prawie niewidoczne smużki dymu. Zmysły i mięśnie wibrowały od nieznośnego bólu, który przed chwilą wypromieniowała. Zrobiła krok i potknęła się, bliska omdlenia. Ostatkiem sił wspięła się na wygięty grzbiet gniadej klaczy i zanim odgłos pękającego karku Deliverance rozniósł się echem nad głowami wyjącej tłuszczy, Mercy już tam nie było.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Marblehead, Massachusetts

równonoc jesienna 1991 roku



Długi stół w jadalni był pusty, leżące na nim zwykle szpargały zniknęły, a jego blat lśnił złotawym połyskiem, jakby ktoś w końcu poświęcił czas, aby wypucować go czystą ścierką i mydłem z dodatkiem olejku cytrynowego. Podniesione żaluzje zapraszały do wnętrza ostatnie promienie popołudniowego słońca, którym udało się przeniknąć przez gąszcz gałęzi w ogrodzie. Lato się kończyło i coraz dobitniej dawała o sobie znać jesień. Dorodny bluszcz na ścianach domu przy Milk Street zmienił barwę z intensywnej ciemnej zieleni na gniewną, żywiołową czerwień. A potem nagle któregoś dnia wścibski wiatr przeleciał przez ogród i zdarł wierzchnią warstwę liści niczym martwy naskórek. Connie podniosła ostatnią żaluzję i z przyjemnością spojrzała na pomarańczowożółty krajobraz. W miarę jak kolejne warstwy ogrodu opadały w obliczu nadchodzącej zimy, odnosiła wrażenie, że dom otrząsa się ze swoich roślinnych cieni i wraz ze zmianami na dworze nabiera życia. Właśnie świeży podmuch wiatru przetoczył przed oknem kolejne kłębowisko liści. Connie odetchnęła głęboko, rozkoszując się rześkim zapachem ziemi szykującej się na zmiany.

Przypomniało jej się, że przecież ona również rozpoczęła własne przygotowania, więc odeszła od okna. Na stole znalazła grubą księgę Deliverance Dane, otwartą na stronie z nagłówkiem „Metoda na ulżenie w paroksyzmach”, a obok swoje notatki, suszone rośliny zebrane w ogrodzie i znalezione w słoiczkach w kuchni, między innymi korzeń mandragory, a także butelkę przyniesioną ze szpitala. Obok ustawiła lampę naftową, zapaloną na wypadek, gdyby zaskoczył ją zmierzch. Potem wróciła do kominka, w którym nie bez trudu - zapchany nagromadzoną przez dziesięciolecia sadzą komin nie miał dostatecznego ciągu - rozpałała niewielki, ale równo płonący ogień. Gdy pochylając się, wzruszyła po grzebaczem żar, na cegły kominka trysnęły snopy iskier. Ze zdumieniem uświadomiła sobie, że na haku obok paleniska wisi żelazny kociołek. Odstawiła po grzebacz pod ścianę i zajrzała pod stół, gdzie z wyciągniętymi przed siebie łapami leżał Ario.

- Brakuje mi tylko spiczastego nakrycia głowy - powiedziała, a pies stuknął ogonem o podłogę.

Plan miała prosty. Już wcześniej włożyła zakłęcie pod poduszkę Sama. Teraz przepis zalecał krótki rytuał, który miał wyciągnąć „zło czyniącego” - czyli, jak zrozumiała, przyczynę choroby bez względu na jej charakter, aczkolwiek manuskrypt nie był w tym miejscu jednoznaczny - z cierpiącego na paroksyzmy. Zamierzała odprawić ten rytuał, a zakłęcie umieszczone pod poduszką miało na celu zapobiec nawrotowi choroby. Przygotowała się na ból, wszak przy obu eksperymentach, jakie podjęła - i z roślinami, i z wieszczaniem - odczuwała go tym silniej, im lepszy osiągała efekt.

Oparła palce opuszkami o stół i zamknęła oczy. Czy Grace także bolało, kiedy oczyszczała aurę swych przyjaciół z Santa Fe? Connie postanowiła ją o to zapytać. Na jej wargach zaigrał nikły uśmiech. Głos rozsądku nadal sprzeciwiał się temu, co chciała uczynić, ale w ciągu ostatnich dwóch tygodni robił to coraz

ciszej. Skupiła więc myśli na łagodnej twarzy Grace, promieniejącej niewzruszoną wiarą w zdolności córki. Pomyślała też o Samie.

Otworzyła oczy.

- No, dobrze - powiedziała do pustego pokoju i zakasała rękawy golfa powyżej łokci. Wodząc palcem po kartce, znalazła odpowiednie miejsce w tekście i zaczęła czytać na głos: - Dla ustalenia, czy powodem śmiertelnego cierpienia w człowieku jest urok, zbierz jego wodę w butelce na czarownice, dorzuć szpilek lub gwoździ i gotuj wszystko nad ogniem w wielkim żarze.

Od kilku dni Connie długo rozmyślała nad sensem słowa „urok”. Na przestrzeni wieków język tego osobliwego dzieła się zmieniał, z biegiem czasu znaczenia różniły się tak samo, jak różnił się charakter księgi w zależności od tego, kto ją opisywał. Współcześnie „urok” odnosi się do zjawisk spowodowanych interwencją magiczną. Ale w epoce wczesnośredniowiecznej światopogląd naukowy nie istniał, ludzie nie rozumieli subtelnej różnicy między współzależnością a związkiem przyczynowo- skutkowym. Dlatego Connie podejrzewała, że „urok” mógł wskazywać nie tyle na przyczyny czysto magiczne, ile nienaturalne. Na przykład na działanie trucizny, a nie zwyczajną chorobę. Na coś, co można przypisać źródłu zewnętrznemu, a nie tajemniczemu działaniu Opatrzności. To, że rozwiązanie problemu ma podłoże magiczne, wcale nie musi oznaczać, że przyczyna również była magiczna.

Wzięła do ręki butelkę, do połowy wypełnioną moczem Sama, i wyciągnęła korek. W środku wciąż tkwiło kilka wyszczerbionych starych gwoździ, przytwierdzonych rdzą do denka, ale dorzuciła trzy nowiutkie, srebrne, po osiem centów za sztukę, które kupiła w tym tygodniu w sklepie z artykułami żelaznymi w Marblehead. Dodała też rozpiętą agrafkę, szpilkę krawiecką z okrągłym plastikowym łebkiem, która tego ranka ukłuła ją w stopę w łazience, wciąż nawleczoną igłę wyjętą z uśmiechniętej kukurydzianej laleczki leżącej na gzymisie ko- minka, kilka nowych zszywek wyciągniętych ze zszywacza w Bibliotece Wi-

denera oraz gwóźdź tapicerski z ławy w kościele, w którym Sam pracował w dniu, gdy spadł z rusztowania. Każdy dodawany przedmiot odbijał się z cichym brzękiem od szyjki i wpadał z sykiem do moczu, a z butelki ulatywała cienka, lecz widoczna smuga dymu. Connie włożyła korek na miejsce i odczekała chwilę, obserwując, jak płyn w środku zaczyna burzyć się i wrzeć, mimo że butelka wciąż stała na stole, z dala od źródła ciepła.

Następnie jeszcze raz poruszyła żar pogrzebaczem i dorzuciła do kominka kilka szyszek sosnowych, które z trzaskiem i sykiem zajęły się ogniem. W manuskrypcie wymieniono długą listę ziół, które należało spalić, „aby usunięcie było niechybne”. Przez ostatnie kilka dni Connie zebrała ich tyle, ile tylko się dało, w ogrodzie i w lesie przy domu, po czym powiesiła w kuchni, żeby wyschły. Do ognia wrzuciła najpierw suche wiązki tymianku, rozmarynu, złocienia, szaławii i mięty; zioła rozsypywały się na popiół w kłębach niebieskiego dymu, którego aromat przenikał do pokoju i gromadził się pod sufitem. Ostra woń olejków ze skwierczących w ogniu ziół przyjemnie drażniła jej nos.

Teraz przyszła kolej na kruchą wiązanek kwitnącego dzięglu, którego koronkowe kwiaty schły i rozsypywały się w okamgnieniu. Ogień pochłaniał suszone rośliny, a na podłodze śmigał i tańczył cień krzątającej się Connie. Jej twarz lśniła pomarańczowym blaskiem.

Wreszcie sięgnęła po goryczkę Kennedy'ego, delikatny różowy kwiatek, który z narażeniem życia znalazła na bagnistym brzegu oczka wodnego zwanego sadzawką Joego Browna, o kilka minut spacerkiem od Milk Street. Roślinki zwiędły, lecz nie zdążyły jeszcze wyschnąć, a kiedy je wzięła do ręki, opadły z nich kwiatki. Wrzuciła je do paleniska i ku jej zdumieniu ogień wydał się w białą kulę, która pękła z wyraźnym „puffl” Connie przełknęła ślinę, z nerwów ścisnęła ją w dołku, ale zmusiła się, by wrócić do manuskryptu na stole.

- Ciśnij butelkę w ogień, odmawiając Modlitwę Pańską, a zaraz po niej inkantację o wielkiej mocy - odczytała, wspierając się pod boki. - W porządku - dodała, zastanawiając się, czy wypowiedzenie tego na głos uciszy jej lęk.

Nie uciszyło.

- W porządku - powtórzyła, drżącą ręką ściskając butelkę i podnosząc ją ku blednącemu słońcu. Płyn wewnątrz nadal burzył się i bulgotał, ostre metalowe przedmioty, wirując, głośno obijały się o ścianki.

- Ojczy nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje... - Mówiąc to, odwróciła się i przysunęła butelkę bliżej ognia. - Przyjdź królestwo Twoje. Bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi.

- Płomienie skoczyły wyżej, liżąc cegły kominka, a Connie poczuła na twarzy gorący podmuch, który po chwili wypełnił cały pokój. - Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj - ciągnęła, mrużąc oczy z gorąca. - I odpuść nam nasze długi - wybrała starą, prostszą wersję kongregacjonalistów - jako i my odpuszczamy naszym dłużnikom. I nie wódz nas na pokuszenie! - Jej głos nabrał mocy. Nigdy dotąd nie wsłuchiwała się tak naprawdę w te słowa, ale teraz, gdy ogień huczał, a płomienie bieleły, ogarnęło ją dziwne przeświadczenie, że musi wypowiedzieć je najgłośniej, jak potrafi. Trzymała butelkę nad ogniem w dwóch palcach, na których nabrzmiewały pęcherze oparzeliny. - Ale nas zbaw ode złego! Bo Twoje jest Królestwo! I potęga! - W tej chwili jezior ognia żarłocznie liźnął dno butelki. - I chwała na wieki! Amen!

Rozchyliła palce. Butelka spadała powoli, spiralnym ruchem, była niżej i niżej, aż wreszcie wpadła w palenisko, wzbijając chmurę iskier, co ogień nagrodził głośnym rykiem. Teraz należało wyrecytować inkantację. Niepewna, co czynić z rękami, złożyła je na piersi w modlitewnym geście i skłoniła głowę. Pęcherze na poparzonej dłoni, w której dopiero co trzymała butelkę, boleśnie dały o sobie znać.

- Agla! - powiedziała, a ogień zawył w odpowiedzi i spomiędzy płonących polan uniósł się gruby słup białego dymu.

- Pater! Dominus! - Z każdym słowem biały dym gęstniał, aż w końcu komin nie mógł już go pomieścić i dym zaczął wylewać się z kominka do pokoju, gdzie falami wędrował wzdłuż krokwi i wylatywał przez otwarte okna. - Tetragrammaton! Adonai! Ojczy w niebiesiech, błagam Cię, sprowadź zło czyniącego do mnie!

Z chwilą, gdy wypowiedziała ostatnie słowa, dym zaczął zmieniać konsystencję i przybrał kształt przypominający stwora z długim ogonem, który, wyłoniwszy się z ognia, przemknął po suficie i wyleciał przez okno. W tym samym momencie ogień cmoknął i przygasł. Connie otworzyła oczy i przekonała się, że w pokoju nagle zapanował spokój, dym całkiem się ulotnił, a niewielkie płomienie przyjaźnie trzaskają w kominku.

Rozejrzała się, wciąż trzymając złożone jak do modlitwy dłonie poniżej podbródka. Ogień płonął leniwie. W żarze tkwiła poczerniała od sadzy butelka. Stół stał na swoim miejscu, a na jego blacie nadal leżała księga i niewykorzystane zioła. Connie powędrowała wzrokiem po wszystkich przedmiotach w pokoju, niepewna, czy po prostu nie wyobraziła sobie tego wszystkiego: dymu, huku, skaczących płomieni.

- Czy to już koniec? - rzuciła pytanie w przestrzeń. Ario gdzieś znikł. Zajrzała pod stół i tam go znalazła: zwinięty w nastroszoną ze strachu kulkę, przyglądał się jej trwożliwie. - Możesz wyjść - szepnęła, przywołując go ruchem ręki. - Już po wszystkim.

Pies ani drgnął. Connie wyprostowała się i zmarszczyła czoło. Coś było nie w porządku. Odniosła wrażenie, że dom trwa w stanie zawieszenia, czuwa. Czekala więc, nie bardzo wiedząc, co robić dalej.

Gdy tak stała z szeroko otwartymi oczami, opierając się rękami o blat stołu, usłyszała w oddali potężny łoskot, jakby wielki samochód ciężarowy przejeżdżał

przez drewniany most, tyle że tym razem hałas wyraźnie się przybliżał. Zanim podeszła do okna, łoskot wzmógł się i spotężniał, a szerokie sosnowe deski pod jej stopami ugięły się i zakołysały. Upadła na kolana i wczołgała się pod stół. Gdy wyciągała ręce, by objąć drobne ciało Ario, hałas raptownie umilkł, a do jej uszu dobiegł donośny dźwięk otwieranych z hukiem drzwi. Wsunęła głowę spod stołu i otworzyła usta ze zdumienia.

Na progu stał Manning Chilton, poprawiając klubowy krawat. Na czworakach wyczołgała się spod stołu i wstała, a Chilton zarechotał.

- Wielkie nieba, moja panno! - zagrzemiał od progu. - Już myślałem, że przesadzasz, a to naprawdę ohydna nora!

Żołądek podszedł jej do gardła ze strachu, ale nieśmiały głos w głowie przypomniał o symbolu wypalonym na drzwiach. *Nigdzie nie będziesz tak bezpieczna jak we własnym domu, na własnym terenie*, usłyszała wypowiedziane z głębokim przekonaniem słowa Grace. *Nikt tak nie pragnie, żebyś była bezpieczna, jak ja*. Zmieszana wyczołgała się spod stołu.

- Co... Co pan tu robi? - wyjąkała.

Kątem oka zerknęła na przepis, sprawdzając, czy czegoś nie pomyliła. „Sprowadź zło czyniącego do mnie”, mówiła inkantacja. Nagle zrozumiała, że przegapiła ostatni wers. „Kiedy jego mocz już mocno wrze, czarownika wciągnie do ognia - obiecywał manuskrypt - a gwoździami i rzemiosłem można go będzie przymusić do uwolnienia ofiary od diabelskich machinacji. Zobacz przepis na filtry śmierci, aby spróbować innych środków”. Dalej umieszczono długą listę roślin, gwarantujących niechybne usunięcie uroku. Jednak na samym jej dole kartki znajdował się dopisek „verte”, tak wyblakły, że wcześniej go nie dostrzegła.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że promotor zbliża się do niej z przyklejonym do twarzy uśmiechem.

- Już od dłuższego czasu zamierzałem tu zajrzeć - oznajmił jowialnie. - Pani, zdaje się, ma coś dla mnie, prawda? - Był nieco zażenowany, jakby dopiero teraz udowodnił teorię, z którą się nosił od lat.

- Jak...? - spytała i spróbowała przełknąć ślinę, bo nagle poczuła suchość w gardle. - Jak pan się tu dostał?

- Samochodem, ma się rozumieć - odparł ze śmiechem, podchodząc bliżej.

Connie czytała o posługiwaniu się metodą butelki na czarownice w kilku źródłach historycznych, żadne z nich jednak nie informowało jednoznacznie, co się stanie. Przed chwilą sądziła, że zabieg ten wyciągnie z Sama chorobę, „zło czyniącego”, może właśnie do butelki leżącej w płomieniach. Teraz jednak zrozumiała, że te same słowa można odczytać inaczej. „Zło czyniącym” mógł być ktoś odpowiedzialny za chorobę! I to on miałby trafić do ognia! Nawet jeśli Chilton uważał, że przybył na Milk Street z własnej woli, Connie coraz wyraźniej uświadamiała sobie, że jego pojawienie się stanowi wynik pracy, którą właśnie wykonała. Zdjęła ją trwoga.

Chilton pochylił się, by obejrzeć dokładniej jedno z windsorskich krzesel, stojących pod ścianą.

- Osiemnasty wiek. Wspaniałe - mruknął pod nosem. Wyciągnął palec i przesunął paznokciem po wzorzystej listwie. - In- tarsja - potwierdził na własny użytek. Potem wyprostował się i spojrzał na Connie. - Wie pani, spędziłem popołudnie, pracując w gabinecie nad pewnymi związkami chemicznymi. I zupełnie niespodziewanie przyszło mi do głowy, że mógłbym panią odwiedzić. - Na twarz wrócił mu posepny uśmiech. - Mam nadzieję, że żywe srebro mi nie wykipi. Proszę sobie wyobrazić, jak musiałbym się tłumaczyć na następnym posiedzeniu wydziału historii z pożaru wywołanego doświadczeniem chemicznym.

- Ja właśnie... - bąknęła Connie, próbując pamiętać, by najpierw myśleć, potem mówić. Dlaczego butelka na czarownice miałaby przywołać akurat Chiltona?

Patrzyła na promotora, który tymczasem z ciekawością badacza myszkował po babcinej jadalni, mówiąc:

- A więc to jest ten dom, z którym ma pani tyle zachodu... To niemożliwe, myślała gorączkowo. Chilton był wybitnym naukowcem, należał do akademickiej elity. Na miłość boską, przecież on pisał książki, wykładał, palił fajkę. Mówił, że liczą się dla niego prawda i uczciwość. Był ambitny, owszem, i bardzo uparty, jeśli chodzi o realizację własnych pragnień. Ale nie był trucicielem.

Głos logiki, który wcześniej uciszała, teraz wręcz krzyczał w jej umyśle. Alchemia! Mikstury! Chilton musiał zdobyć księgę zaklęć, aby posunąć naprzód swoje badania nad alchemią. Próbował dopingować ją, Connie, pochlebstwami i obietnicą kariery. Później śledził ją, kiedy szukała księgi w bibliotece Harvardu.

Przyglądała się promotorowi i w miarę, jak układała wydarzenia w logiczny ciąg, jej oczy stawały się coraz bardziej okrągłe. Chilton chciał zdobyć księgę. Musiał więc skłonić Connie, żeby ją odnalazła. A skoro wiedział, do czego się jej używa, nie mógł dostarczyć lepszej motywacji...

Chwyciła księgę ze stołu i przycisnęła ją do piersi.

- A więc to pan - powiedziała stłumionym głosem, uświadomiwszy sobie, że Chilton był gotów zaryzykować życie Sama dla zaspokojenia własnych ambicji. - To pańska sprawa.

- Hmmm - mruknął, wpatrując się w portret na przeciwległej ścianie jadalni, przedstawiający młodą kobietę z szerokim czołem i talią osy. Teraz widać było wyraźnie, że kobieta trzyma pod pachą pieska. - Czy słyszała pani, panno Goodwin, że dawni arabscy alchemicy wierzyli w teorię dwóch zasad? Może przypadkiem wie pani, co to za zasady? - Zerknął na nią przez ramię, czekając na odpowiedź.

Popatrzyła na niego z odrazą.

- Nie? Wszystkie metale, ich zdaniem, składały się w różnych proporcjach z merkuriusza, odpowiednika księżyca, i siarki, odpowiednika słońca. Merkuriusz,

a właściwie żywe srebro, czyli rtęć, bo merkuriusz to nazwa planetarna, ma podstawowe własności każdego metalu, a siarka zapewnia palność. Rzecz jasna, nie chodziło im o rtęć i siarkę w sensie dosłownym, lecz o ich metaforyczne właściwości. Estetyka substancji. - Uniósł brew. - Alchemicy używali wspaniałych metafor - dodał, obchodząc stół i mijając po drodze portret.

Connie przesuwiała się po drugiej stronie stołu z księgą przyciśniętą do piersi, a w dłoniach trzymała wiązki zebranych z blatu ziół.

- Do tych dwóch podstawowych pierwiastków, tworzących wszystkie metale, wybitny człowiek imieniem Paracelsus dodał trzeci, sól, która jego zdaniem była odpowiedzialna za... - szukał właściwego słowa - ...za aspekt praktyczny - dokończył.

- Stałość. Ugruntowanie. A więc metal, ogień i ziemia. Trzy podstawowe pierwiastki, które w czystej formie są budulcem wszelkiej rzeczywistości. Pierwotny alchemiczny przepis na złoto zestawiał najczystsze postaci merkuriusza i siarki: pierwsza jest płynna, metaliczna, trudna do zamknięcia w kształcie, a druga wybuchowa, żółtawa i stanowi materię demoniczną. I jeszcze sól dla stałości, trwałości, a nawet korzystnego oddziaływania na zdrowie. Można także uznać te trzy pierwiastkowe formy za reprezentatywne dla - tu zaczął odliczać na palcach - ducha, duszy i ciała. W folklorze, magii - puścił oko do Connie - a nawet w systemach religijnych alchemicy przywiązywali wielką wagę do wielokrotności liczby trzy. Ma się rozumieć, dla nich głównym problemem była czystość. Jak oczyścić substancję do jej najczystszej, najdoskonalszej, najbardziej elementarnej formy.

Przez twarz przemknął mu złowieszczy uśmiech.

- Rzecz jasna, jeśli dodać te trzy podstawowe pierwiastki w odpowiedniej proporcji na przykład do wody pitnej, to ich wpływ na wszystkie trzy aspekty osoby ludzkiej może być bardzo... znaczący. Nawet śmiertelny. Dotyczy to zwłaszcza antymonu. Jego symbolem alchemicznym jest kula z krzyżem u góry.

Takiego samego symbolu używa się do wskazania królewskiego pochodzenia. Koło w centrum znaku reprezentuje kamień filozoficzny. A poza tym - zachochotał - antymon jest dość blisko spokrewniony z arsenikiem.

Connie przypomniała sobie, że Sam wspominał o metalicznym smaku wody, którą pił w kościele. Uświadomiła sobie też, że nikt nie wiedział, kto wezwał karetkę. A potem ujrzała Sama, jak spada i łamie nogę na twardym oparciu drewnianej ławy, usłyszała głuchy odgłos uderzającego o ziemię ciała, pokonanego przez siły grawitacji. Przed oczami zatańczyły jej czerwone plamy.

- Dlaczego? - spytała, czując, jak jej głos nabiera siły. - Dlaczego pan go skrzywdził? Byłam o krok od znalezienia księgi. Miałam zamiar ją panu dać.

- O właśnie - powiedział Chilton, wędrując dłonią po glinianym imbryczku do herbaty. Uniósł naczynie, by obejrzeć je w gasnącym za oknem świetle dnia, prychnął z dezaprobatą i odstawił je na miejsce. - Pani najwyraźniej ma tę księgę. Nie przypominam sobie, żebym został o tym poinformowany.

Przyglądał jej się, a gdy nie odpowiedziała, zwrócił twarz do okna i splótłszy ręce za plecami, wbił wzrok w ogród. Korzystając z jego nieuwagi, Connie szybko rozdrobniła trzymane zioła, oddzielając liście od łodyg.

- Próbowałem panią dopingować - podjął, wciąż odwrócony do niej tyłem. - Tłumaczyłem, jak ważne będzie to odkrycie dla pani kariery. A nawet - w jego tonie słychać było urazę, jakby nie mógł się pogodzić z zawodem, jaki mu sprawiła - zaprosiłem panią na konferencję Stowarzyszenia Kolonialnego. Chciałem, żeby miała pani udział w moim triumfie. Wziąłem panią pod swoje skrzydła. Tak, tak, moja panno. Dodam, że z wielkim uszczerbkiem dla harmonogramu moich własnych prac badawczych. Przygotowywałem panią do zajęcia pod moją kuratelą szczytowej pozycji w tej branży. - Westchnął smutno. - Niestety, konferencja ma się odbyć już pod koniec tego miesiąca. A jak dotąd pani mi nie pomogła.

Podczas tej przemowy Connie zamknęła oczy, przypominając sobie zalecenia wypisane na kolejnej stronie księgi. Tekst brzmiał:

„Kiedy czarownik się pojawi, różnymi środkami o odwołanie uroku można go ubłagać, 1. Zob. filtry śmierci, na stronach 119-137”.

Tego nie mogę zrobić, pomyślała Connie. Nie mogę go zabić! Jej dłonie przebierały wśród ziół rozrzuconych na blacie stołu i przesuwaly między palcami martwe liście. Nie wiem, co robić! - skarżył się wewnętrzny głos, zamknęła go jednak w najciemniejszym zakamarku umysłu i skupiła się na ziołach. Pod stołem rozległo się groźne warknięcie.

„2. Proste odwrócenie, polegające na tym, że zawartość butelki należy umieścić w garnku nad ogniem w odległości nie większej niż trzy stopy od wspomnianego zło czyniącego, a dodać piekającej pokrzywy i korzenia mandragory, aby urok z powrotem na niego sprowadzić, i 3. jeśli ma być osiągnięty mniejszy skutek, postępuj tak samo, jeno domieszaj gorzknika i mięty, recytując inkantację o wielkiej mocy”.

Connie otworzyła oczy i stwierdziła, że Chilton nadal wygląda przez okno, kręcąc głową i posykurując.

- Szkoda - mówił. - Pokładałem w pani tyle nadziei. Jak się pani zapewne domyśla, jestem o krok od znalezienia przepisu na prawdziwy kamień filozoficzny. Od odkrycia, na które ludzkość czeka od tysiącleci. - Znów położył dłoń na glinianym imbryczku i zacisnął na nim palce. - Prawdę mówiąc, obiecałem już sprzedać prawa do formuły, zresztą za niemałą sumę. Kamień filozoficzny jest nie tylko czymś realnym, lecz zapewne również nazwą stosowaną w zamierzonych czasach dla określenia tajemniczego układu atomów węgla, zdolnego oczyścić każdy zaburzony system molekuł w każdej dziedzinie, od fizyki po biochemię. Wskazują na to wszystkie metafory i zagadki w tekstach alchemików. Jest bez wartości, lecz wszechobecny! Nieznany, a jednak znany wszystkim. Węgiel jest wszak podstawą wszelkiego życia na ziemi. W zależności od stopnia

oczyszczenia i konfiguracji może służyć do palenia w piecu, być diamentem, a nawet ludzkim ciałem. Przypomina układankę w rękach Boga. - Dłoń obejmująca imbryczek zacisnęła się jeszcze mocniej, rozległ się trzask i na boku naczynia pojawiła się rysa.

Jego śmiech urwał się w jednej chwili, a przed oczami Connie pojawił się obraz Chiltona siedzącego przy biurku w gabinecie na wydziale historii. Przyciskał ucho do słuchawki telefonu, a twarz purpurowiała mu, w miarę jak męski głos po drugiej stronie mówił: „Tak, oczywiście byłem zainteresowany, ale nie sądziłeś chyba, że przedstawię to na posiedzeniu komitetu”. Rozmówca zaniósł się śmiechem, a Chilton złamał na pół ołówek i mimo drżenia ust powiedział: „Potrzebuję tylko trochę więcej czasu, do diabła!”. Rozbawiony głos odparł: „Spójrz prawdzie w oczy, Manny. Nic dla mnie nie masz”. W tym momencie wizja rozwiała się jak chmura, a Connie znów znalazła się w izbie babcinego domu.

- Zamierzam ujawnić formułę na konferencji Stowarzyszenia Kolonialnego i nareszcie połączyć historię i naukę - ciągnął niewzruszenie Chilton. - Dzięki temu zostanę kimś więcej niż tylko uznanym nauczycielem akademickim. - Te ostatnie słowa, o dziwo pełne jadu, dosłownie z siebie wypluł. - Niestety, brakuje mi najważniejszego elementu. Jedyne, jakiego nie potrafię ustalić. Chodzi o metodę, jestem więcej niż pewny. Ostatni krok.

Spojrzał jej w oczy. Connie dostrzegła w jego twarzy wyraz ponurej desperacji.

- Powiedzmy, że również ja musiałem poszerzyć swoją bazę źródłową - mówił dalej, coraz chłodniejszym tonem. - Wiem, oczywiście, że pani jest doskonałą badaczką, to przede wszystkim dlatego przyjąłem panią do swojego programu. Ale kiedy powiedziała mi pani o istnieniu tej księgi zaklęć, no, no... - Zacisnął usta tak mocno, że z warg odpłynęła mu krew. - Doprawdy, moja pan-no, zadziwiasz mnie. Oryginalna księga zaklęć z epoki kolonizacji, używana kiedyś przez prawdziwą czarownicę, istnieje. I pomyśleć, że pierwszy jej ślad

znalazła pani w domu świętej pamięci babci! Czułem, że przyda mi się pani znacznie bardziej, niż początkowo przewidywałem. - Ruszył w kierunku stołu. Warczenie przybrało na sile.

Nie spuszczać z niego wzroku, Connie niepostrzeżenie oderwała palcami i rozdrobniła na stole kawałek korzenia mandragory. Nie odezwała się ani słowem, tylko policzek lekko jej zadrgał. Patrzyła, jak Chilton się zbliża, i odruchowo kontynuowała przygotowania, jakby od niepamiętnych czasów wiedziała, co należy uczynić. Dzięki temu bez przeszkód mogła zająć umysł rozważaniami o tym, jak wielkie obrzydzenie budzi w niej promotor, którego żądza pieniędzy i sławy doprowadziła do upadku i utraty rozumu.

- Dobrze pani wie, panno Goodwin, że nie wierzę we wrodzony talent - warknął ze złością Chilton, wędrując dłonią po oparciu jednego z windsorskich krzeseł. - Nie można siedzieć z założonymi rękami i czekać na natchnienie. O nie! Kamieniem węgielnym rzetelnej pracy historyka jest wysiłek! Praca! Musiałem znaleźć sposób na przyspieszenie pani poszukiwań, skoro moje skromne zachęty okazały się niewystarczające. - Urwał.

- Przy okazji mogłem się przekonać, czy księga zaklęć rzeczywiście ma tak wielką moc, jak się spodziewałem. Mały ślad alchemicznej substancji w organizmie może wyprowadzić współczesną medycynę w pole, ale na pewno nie kogoś, kto dysponuje autentyczną księgą z epoki przednowożytnej, zwłaszcza jeśli jest oddanym badaczem. - Oczy mu zalśniły. - Kiedy któregoś popołudnia zobaczyłem panią w intymnym towarzystwie pewnego młodego człowieka, pomysł nasunął mi się sam. I miałem rację! - krzyknął.

Skoczył ku Connie i wyciągnął rękę w kierunku księgi, którą przyciskała do piersi.

- Niech pani mi ją da! - zacharczał, boleśnie wpijając palce w jej ciało.

Poczuła na twarzy jego nieświeży oddech. Krzyknęła i próbowała się uwolnić, ale przygniótł ją swoim ciężarem i sękatą ręką chwycił księgę.

Nagle spod stołu wyskoczyło coś o nieostrych konturach i z charkotem chwyciło Chiltona za przedramię. Profesor wrzasnął z bólu i opadł na kolana, aby wyswobodzić się z uścisku szarpiących go szczęk, pies jednak trzymał mocno, jakby dusił szczura.

W tej samej chwili Connie skoczyła do przodu, włożyła rękę w żar kominka i sięgnęła po butelkę. Szkło było tak rozgrzane, że wydawało się niemal miękkie w dotyku, opuszki jej palców zatoneły w galaretowatej substancji, zdołała jednak wyciągnąć naczynie i wrzucić je do przygotowanego wcześniej kociołka. Na szklanych ściankach zostały ślady przypalonej skóry z palców, z jej dłoni uniosły się smugi ciemnego dymu.

Mrużąc oczy z bólu, dopadła drugiego końca stołu i krwawiącą, obdartą do żywego mięsa ręką chwyciła garść rozdrobnionej mandragory. W zetknięciu ze śmiercionośnym korzeniem jej skóra zaczęła skwierczeć, ale zdołała wrzucić go do kociołka. Rozległ się złowieszczy syk, z naczynia wydobył się kłęb połykliwego czarnego dymu.

Tymczasem Chilton, stękając, dźwignął się z podłogi i padł na stół. Machnął nogą i trafił psa, który zawył gniewnie, koziołkując po podłodze, lecz tuż przed zderzeniem z przeciwległą ścianą jakby się rozmył w powietrzu i zniknął.

- Księga! - zażądał profesor, zgrzytając zębami. - Niech mi ją pani da. Muszę ją mieć!

Rękawy jego tweedowej marynarki i eleganckiej koszuli od łokcia w dół były w czerwonych strzępach. Chilton wyprostował się z trudem i owinał dyndającymi gałganami krwawiące rany. Przycisnął przedramię do piersi i chwiejnie ruszył w kierunku Connie.

Ta szybkim ruchem rozrzuciła suche zioła na stole i bez namysłu sięgnęła po kilka wysokich łądyg z białymi kwiatami i szerokimi, chropowatymi liśćmi, kryjącymi twarde, jakby na-
woskowane jagody. Był to gorzknik. Wzięła też trochę pokrzyw i krzywiąc się z bólu, rozgniotła zioła w dłoniach, a następnie wrzuciła

je do kociołka, pod którym buzował ogień. Cienie jej i Chiltona falowały w szalonym tańcu.

- W pańskich rękach księga nie zadziała! - krzyknęła, kurczowo przyciskając ją do piersi i cofając się o krok.

- Zadziała! Zmuszę ją do tego! - ryknął i zataczając się, chwycił Connie za ramię. - Musi zadziałać! Kamień filozoficzny jest przewodnikiem, pośredniczy w przekazywaniu mocy Bożej na ziemię! To skała, na której wzniesiono Kościół Boży!

Wyrwała się z jego uścisku i zbliżyła do kominka.

- Nie - odparła ze śmiertelną powagą. - Ona nie jest dla pana. Nie pozwolę, żeby ją pan dostał.

Ze ściśniętym sercem odwróciła się do kominka, oderwała ręce od piersi i wrzuciła księgę do ognia.

Zaskoczenie Chiltona zamieniło się w trwogę, potem we wściekłość, aż wreszcie profesor ostatecznie stracił nad sobą kontrolę i zapłakał. Kolejna warstwa jego maski odpadła. Maski, którą doskonalił przez sześćdziesiąt kilka lat - najpierw od niechcenia paradował z książką pod pachą po rozbrzmiewającym echem korytarzach kamienicy w Back Bay, chociaż nikt nie zwracał na niego uwagi; potem w akademiku Harvardu Gold Coast szczoteczką ze srebrną rączką bezskutecznie próbował zmusić niesforne loki do posłuszeństwa; jeszcze później w swoim klubie ćwiczył się w sztuce niedbałego pykania z fajeczki. W kolejne łupiny owej powściągliwej i dystyngowanej pozy obrastał w sekretnych przejściach Klubu Wykładowcy i na posiedzeniach wydziału, kiedy z niepokojem czekał, aż ktoś dokona nieuniknionego odkrycia, że jego praca, jego dzieło życia, jest nic niewarte. A teraz ta skorupa pękła i Chilton uświadomił sobie nagą prawdę, swój najgłębiej skrywany lęk - że prestiż, jaki z pietyzmem budował przez całe życie, to za mało, że nie zatuszuje faktu, iż jego praca, jego dzieło życia kończy się fiaskiem, a on sam, Manning Chilton, jest słabym, strachliwym i

zachłannym człowieczkiem i żadna alchemiczna sztuczka nie przekształci go w wielkiego badacza, wielkiego człowieka, którym tak bardzo chciał być.

Strwożony runął na kolana i próbował rozgarniać rozżarzone węgle, wyciągając palce, by dosięgnąć kartek księgi, zawijających się już i czerniejących na brzegach.

Connie, która obserwowała go, klęcząc przy bulgoczącym i plującym parą kociołku, zaczęła szeptem odmawiać Modlitwę Pańską. Ogarnęła ją litość. Przykro jej było patrzeć na upadek tego człowieka, kiedyś szanowanego przez nią mistrza, który poświęcił swoje człowieczeństwo dla mrzonki o bogactwie i nieśmiertelności. Kamień filozoficzny był wszystkim, czego Chilton pragnął, ale nie udało mu się go zdobyć.

Schyliła się i podniosła z podłogi gałązkę suszonej mięty, która po dodaniu do wywaru w kociołku powinna ostatecznie wyciągnąć chorobę z Sama. Wrzuciła ziele do kociołka i w tej samej chwili ogień wybuchnął fontanną niebieskawych iskier, a Chilton z bolesnym okrzykiem cofnął poparzone ręce. Przez kilka sekund Connie mierzyła go wzrokiem, aż w końcu, westchnąwszy głęboko, dokończyła inkantację.

- *Agla* - powiedziała cicho i gęsty, biały dym zaczął formować się w słup pośrodku paleniska. - *Pater, Dominus* - ciągnęła, a opar objął parujący kociołek. - *Tetragrammaton, Adonai. Ojczy w niebiesiech, błagam Cię sprowadź zło czyniącego w niego* - zakończyła szeptem.

Biały słup dymu znad kociołka wygiął się w łuk i dosięgnął ust, oczu i uszu Chiltona. Wyglądało to, jakby sączył się do jego ciała, przesłonił mu oczy. Przez chwilę Chilton klęczał nieruchomo, a kiedy dym wyleciał mu przez usta i wrócił z powrotem w głąb paleniska, pochylił się, krztusząc się i kaszląc, złapał się za brzuch i z najbardziej mrocznego, tajnego zakamarka swojego jestestwa dobył przeciągły, przeszywający krzyk.

Connie poczuła, że opuszczają ją siły, i osunęła się na podłogę. Odpoczywała oparta o nogę stołową, ułożywszy poparzone dłonie na kolanach. Rany piekły ją niemiłosiernie, a kiedy spróbowała poruszyć palcami, ból stał się nie do zniesienia. Kątem oka dostrzegła na skórze żółte bańki jadu mandragory, które wydobywały się z jej ran i w postaci ledwo widocznych kropelek rozplływały się w powietrzu.

Przez jakiś czas siedziała w tej pozie, patrząc na trzaskający ogień i na Chiltona, który z twarzą ukrytą w dłoniach płakał bezgłośnie. Po kilku minutach coś głośnie zabulgotało mu w brzuchu i gardle, jego kończyny zeszywniały i pierwszy paroksyzm wstrząsnął jego ciałem, wywracając białka oczu i rażąc mięśnie skurczami, na które strach było patrzeć.

- Przepraszam - szepnęła. Z policzka Connie spłynęła samotna łza, a u jej stóp pojawił się Ario.

TLR

POSTLUDIUM

Cambridge, Massachusetts

koniec października 1991 roku



Ogień buzował wesoło w ceglany kominku w głębi sali i gdy Connie stanęła na progu pubu Abnera, uśmiechnęła się. Ktoś, może nawet sam Abner, jak zwykle mocno przesadził z dyniami, układając z nich piramidki pośrodku stolików i rozstawiając kubeczki pełne markerów i farb w sztyfcie, aby każdy mógł domalować dyniom szelmowskie zębate buźki. Przy barze siedziała ubrana w suknię koktajlową podchmielona licencjatka z przypiętymi mysimi uszami i dźgała palcem pierś młodego człowieka w smokingu, którego muchę i pas zdobyły szczerzące kły głowy dzika.

- Nie, to ty popłuchaj... - Dziewczynie plątał się język i Connie parsknęła śmiechem.

- Halloween wygląda tu co roku tak samo - rzuciła przez ramię do Sama, który stanął za jej plecami.

- Czy nie dlatego ci się tu podoba? - odparł i wyminął ją, dźwigając marynarski worek. Uśmiechnęła się szeroko.

Nad głowami klientów baru zauważyła wyciągniętą rękę, wyraźnie machającą w jej kierunku, i wkrótce przeciskali się z Samem przez tłum ku łoży w głębi sali. Okazało się, że była to była Liz, która zerwała się z miejsca i chwyciła Connie w objęcia.

- A oto i ona! - zawołała Liz, przytuliła ją z całej siły, po czym serdecznie uściskała Sama.

- Dzięki Bogu, że wróciłaś - powiedział Thomas, kręcąc głową. - Zupełnie nie umiem skorzystać z wytycznych, jakie dostałem. Czy wiesz, że w podaniu na drugi stopień studiów domagają się od ciebie biografii intelektualnej? Co to w ogóle znaczy? Au! - krzyknął, gdy Liz dała mu sójkę w bok. - Za co?

Connie rzuciła na podłogę torbę wypchaną książkami i brudnymi ciuchami, po czym z westchnieniem ulgi zajęła wolne miejsce.

- I jak tam konferencja? - spytała Janine Silva, skinieniem głowy witając Sama.

Connie uśmiechnęła się kącikiem ust.

- Chyba całkiem nieźle.

- O rany, powiedz im! - wtrącił się Sam.

- E, nie ma o czym - odparła skromnie, z wdzięcznością przyjmując koktajl old fashioned, który kelnerka postawiła przed nią na podstawce.

- Jak to, nie ma? - spytała Liz.

- Właśnie, że jest! - zawołał w tym samym momencie Sam. Wszyscy obecni przy stole wyczekująco patrzyli na Connie,

która z zamkniętymi oczami sączyła koktajl z wysokiej szklanki. Kiedy uniosła powieki, wszyscy nadal czekali.

- Wydawnictwo Cambridge University Press chce obejrzeć moją pracę doktorską, kiedy będzie gotowa - wyznała i stolik zatrzęsł się od okrzyków uznania.

- Wiedziałam! - zawołała Janine Silva. - Wymyśliłaś już tytuł?

Connie skinęła głową i sięgnęła po notatki.

- „Przyczynek do rehabilitacji wiedzy ludowej w Ameryce Północnej okresu kolonizacji - przypadek Deliverance Dane” - wyrecytowała, zerkając na kartkę.

Liz i Thomas stuknęli się szklankami. Nowa promotor Connie uśmiechnęła się z aprobatą.

- Trochę przydługi - ostrzegła. - Ale zdążysz to jeszcze poprawić.

- Powiadasz więc, że referat został dobrze przyjęty - rzekła Liz. - Nie byłam pewna, czy Stowarzyszenie Kolonialne jest gotowe na feministyczną reinterpretację magii ludowej.

- Ja też nie - przyznała Connie. - Ale jak widać jest.

- Jak się pani profesor podoba kierowanie wydziałem? - zwróciła się Liz do Janine Silvy, spoglądając znacząco na Thomasa, żeby dać do zrozumienia, że to on namówił ją do zadania tego pytania.

Chłopak spłonął rumieńcem, a Connie poczuła przyływ instynktu opiekuńczego. W obecności profesorów Thomasowi zawsze pociły się ręce.

Janine wzruszyła ramionami.

- Powiem ci tak... - Upiła łyk piwa. - Jest z tym mnóstwo pracy. Takie niespodziewane wejście w nową rolę na samym początku semestru to spore przeżycie. - Urwała i spuściła wzrok. Pokręciła głową. - Szkoda Manninga.

- Co się właściwie stało? - spytał Sam, biorąc swój drink od kelnerki.

- Zachorował - powiedziała, unosząc brwi. - Najpierw nikt nie wiedział, co mu naprawdę jest, ale kiedy otworzono jego gabinet, żeby przekazać mi dokumenty wydziału, znaleziono tam różne szalone urządzenia do destylacji i związki chemiczne. Metale ciężkie. Materiały toksyczne. - Westchnęła i spojrzała w szklanekę. - Wygląda na to, że zaczął się parzyć doświadczeniami ze starych książek alchemicznych, którymi się tak pasjonował. Ot, po prostu żeby zobaczyć, jak to działa. Teraz jednak przeważa pogląd, że musiał się zatruć. Pewnie zatruwał się stopniowo, przez kilka miesięcy czy nawet lat. Prawdę mówiąc - dodała, poważniejąc - to częściowo wyjaśniałoby różne jego dziwne zachowania w zeszłym roku. Oczywiście zawsze był ekscentrykiem, ale ostatnio... - Znów westchnęła. - Naprawdę szkoda. Zrobił tyle dobrego.

- Nie może już wykładać? - spytał Thomas; sprawiał wrażenie załamane. Connie wiedziała, że liczył na współpracę z Chiltonem w nadchodzącym roku.

- Jest na bezterminowym urlopie - wyjaśniła Janine. - Prawdopodobnie wskutek kontaktu z toksycznymi substancjami doznał rozległych uszkodzeń neurologicznych. Ma ciężkie ataki padaczki, nawet dwa razy w tygodniu! - Upiła kolejny łyk piwa i znów pokręciła głową. - Wyobrażacie sobie? W jego wieku?

Sam zerknął na Connie, która odwróciła wzrok.

- W każdym razie uniwersytet uznał, że Chilton nie podoła stałym obowiązkom dydaktycznym, a tym bardziej kierowaniu wydziałem - ciągnęła Janine. - Mówi się o nadaniu mu statusu profesora emerytowanego, jeśli stan jego zdrowia się ustabilizuje. Co jednak wcale nie jest takie pewne. A skoro o zdrowiu mowa, jak pan się czuje, Sam? Connie wspominała mi, że miał pan w lecie jakieś kłopoty.

- Owszem, trochę - przyznał, oglądając swoje dłonie. - Spadłem z rusztowania podczas prowadzenia prac konserwatorskich. Pogruchotałem sobie nogę. Podejrzewali też, że nieźle walnąłem się w głowę, co bardzo wszystkim martwiło, zwłaszcza moich rodziców. Ale w zeszłym miesiącu wszelkie dolegliwości ustąpiły, i to w ciągu jednego dnia. - Zerknął na Connie, która odpowiedziała mu uśmiechem.

- Naprawdę? - zdziwił się Thomas.

- Tak. - Sam się roześmiał. - Regularnie przechodzę różne badania, ale podobno wszystko jest w porządku. Szkoda, że nie słyszałeś mojego ojca po wypadku. „Gdybyś poszedł na prawo, nic takiego by ci się nie przydarzyło”, powtarzał na okrągło.

Towarzystwo przy stole wydało zgodny jęk.

- Widzisz, Thomas, jeszcze nie jest za późno. - Connie szturchnęła swojego podopiecznego pod stołem.

- I wrócił pan do swojej pracy? Jak pan ją właściwie nazywa? - spytała Janine.

- Konserwacja dzieł sztuki na wysokościach - odrzekł Sam z przekornym uśmiechem. - W każdym razie teraz bardziej doceniam uprzęż ochronną. - Zwrócił się do Liz. - Musisz przyjechać i zobaczyć, co zrobiłem z domem. Wygląda niesamowicie.

- Zainstalowałeś elektryczność? - spytała z powątpiewającą miną.

- Nie. Grace twierdzi, że podoba jej się tak, jak jest. Dzięki temu może lepiej wczuć się w rytmy ziemi czy jakoś tak. - Przewrócił oczami.

- Kiedy poznam twoją mamę, Connie? - spytała Janine.

- Wspominałaś, że wprowadziła się z powrotem do tego domu. Odwiedza cię czasem?

Connie uśmiechnęła się, obracając podstawkę pod szklanką.

- Grace ma swoje własne sprawy - powiedziała.

Prawda była taka, że chociaż w końcu września matka oznajmiła jej, że zmieniła zdanie w sprawie sprzedaży domu przy Milk Street i chce wrócić z Santa Fe „w poszukiwaniu korzeni”, to zawsze znajdowała jakiś powód, by uniknąć przyjazdu do Cambridge. Nadmiar pracy w ogrodzie albo kolejka ludzi z aurą do oczyszczenia. Connie podejrzewała, że Grace po prostu woli spotykać się z nią w Marblehead. Sama zresztą polubiła leniuchować tam z matką podczas weekendów.

Dom udało się uwolnić od zaległości podatkowych dzięki znacznemu zyskowi, jaki Grace osiągnęła ze sprzedaży nieruchomości w Santa Fe. Razem zrobiły miejsce dla ziół w ogrodzie i przycięły bluszcz zasłaniający okna. Niewiele rozmawiały, wołały pracować w milczeniu. Jednak któregoś popołudnia, gdy Connie ślęczała nad jakimiś zapiskami, rozłożonymi na babcinym biurku, i akurat podniosła znad nich głowę, ujrzała w oknie szmatę, która zostawiała za sobą przezroczysty pas szkła. Za oczyszczoną częścią szyby ukazała się jej matka z

rozpuszczonymi długimi włosami i uśmiechem na twarzy. Connie również się uśmiechnęła.

Później tego wieczoru Connie z Samem wracali brukowanymi ulicami Cambridge do Saltonstall Court, podtrzymując z obu stron Liz.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że ją spaliłaś - lamentowała Liz, której głowa kiwała się na boki. - Tyle wspaniałej łaciny! Teksty, których nikt nie widział od setek lat! Och! - Dosłownie uwiesiła się na Connie i dramatycznym gestem złożyła głowę na jej ramieniu. - Co za egoizm! Sama wiesz, że to był gotowy materiał na doktorat dla filologa klasycznego.

Connie mocniej objęła przyjaciółkę w talii i pomogła jej pokonać krawężnik.

- Zrobiłam to z największym żalem - powiedziała. - Ale kiedy przyszedł Chilton, nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Jemu się wydawało, że znajdzie w księdze brakujące ogniwo do zdobycia kamienia filozoficznego. - Wzdrygnęła się. - Byłam przerażona.

- Pppiotr... - wybełkotała Liz. - Opto kamień fłozoficzny.

- Co takiego? - spytali równocześnie Connie i Sam, rzucając sobie porozumiewawcze spojrzenie.

- Ja tobie powiadam: ty jesteś Piotr i na tej Skale zbuduję Kościół mój! Jakoś tak to leci. - Liz wykonała gest rzymskiego oratora i zachichotała. - *Petra* to po grecku „skała”. Taka tautologia. Biblia jest pełna podobnych zagadek. - Czknęła. - On powinien to wiedzieć. Klasyków raczej czytał, ot co.

Connie gwizdnęła przez zęby.

- Niewiarygodne. A więc to nie substancja. Piotr to Skala, na Piotrze zbuduję mój Kościół. - Urwała. - Czyli Chilton miał połowiczną rację. Kamień filozoficzny rzeczywiście był czymś realnym. Ale nie skałą ani niczym, co można uzyskać z pierwiastków na drodze eksperymentów. Chodziło o człowieka, ideę. Kogoś, kto będzie mógł rozpowszechnić uzdrawiającą boską moc na ziemi.

- No, no - rzucił Sam.

Connie spojrzała na niebo. Pomarańczowa łuna świateł miasta pozbawiała niebo części gwiazd, tak dobrze widocznych nad Marblehead. Tej nocy jednak Connie miała wrażenie, że widzi ich migotanie mimo łuny

Na chwilę spuściła powieki, ciesząc się swoją sekretną wiedzą. Wreszcie nie wytrzymała.

- Powiem ci coś, ale nikomu o tym ani słowa. Obiecujesz?

- Spojrzała na Liz, której pomimo lekkiego zamroczenia alkoholem natychmiast zabłyśły oczy.

- Co takiego? - spytała cicho.

Connie przysunęła usta do ucha przyjaciółki.

- Radcliffe College poczynił większe postępy w mikrofilmowaniu swoich zbiorów specjalnych niż Harvard.

Przez chwilę, zanim oświadczenie to przeniknęło do świadomości Liz, panowała cisza.

- O mój Boże - powiedziała wreszcie Liz, spoglądając w jakiś punkt w oddali. Zamrugła, odwróciła się nagle do Connie i podniosła głos. - O mój Boże! Radcliffe? Zdawało mi się, że opowiadałaś kiedyś, jak to pan Jakiśtam, przemysłowiec, przekazał cały księgozbiór Salem Athenaeum do Harvardu.

- Tak - przyznała Connie, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Pamiętasz, że nigdy nie mogłam dojść do tego, jak powinna być opisana ta księga? Tu była almanachem, tam księgą przepisów, jeszcze gdzie indziej rejestrem przepisali...

- O kurczę! - W oczach Liz zabłyśło zrozumienie.

- Właśnie tak - potwierdziła Connie.

- Nie mówisz poważnie! - wykrzyknęła Liz.

- Powszechnie wiadomo, że Radcliffe ma jeden z najslynniejszych zbiorów książek kucharskich na świecie - podjęła Connie, ponownie ruszając w kierunku Saltonstall Court.

- Nie do wiary - sapnęła Liz. - Nic dziwnego, że Chilton nie znalazł księgi.

- Tak. - Connie zarumieniła się lekko. Sam wyciągnął rękę i pogłaskał ją po ramieniu.

- Czyli że ona gdzieś tam jest? - spytała Liz, mniej więcej odzyskując rytm i kierunek marszu.

- Tak. Zmieniłam niektóre szczegóły na karcie katalogowej - wyznała Connie. - Pewnie nie powinnam była tego robić, ale w ten sposób mam przynajmniej gwarancję, że tekst przetrwa ukryty w ich archiwach. Chociaż... - zawiesiła głos i zerknęła na Sama - wydaje mi się, że Grace miała rację.

- To znaczy? - zapytał, odgarniając kosmyk z czoła Connie. W tym momencie grupka przebranych licencjatów wytoczyła

się na ulicę, hałaśliwie obrzucając się żartobliwymi wyzwiskami. Jedna z dziewcząt przepłynęła obok nich w długiej, falbaniastej czarnej sukni i spiczastym nakryciu głowy z szerokim rondem, ciągnąc za sobą miotłę. Jedną ręką przyciskała do ciała pluszowego kota.

- Nie sądzę, żeby ta księga była nam potrzebna - powiedziała Connie i jej jasne oczy zabłyśły w mroku.

Mniej więcej w tym samym czasie, dwadzieścia kilka mil nadmorską drogą od Cambridge, zapadał zmierzch nad Marblehead. W oddali huknęło działo, zaraz potem drugie i trzecie, a grzmot wystrzałów odbijał się echem o granitową ścianę klifu. To kluby jachtowe wokół portu ogłaszały zachód słońca. Na północnym skraju starej części miasteczka, już za Milk Street, za stoczną z przewróconymi pustymi kadłubami, które w ciemności wyglądały jak zebra słońca, w najwyższej części grzbietu Old Burial Hill spacerowała para staruszków. Wolno

przesuwali się ku ławce, stojącej na miejscu pierwszego zboru wzniesionego w tym miasteczku, od dawna już nieistniejącego. Właśnie stąd roztaczał się najpiękniejszy widok na port, kiedy w świetle zachodzącego słońca lawendowa tafla wody stawała się pomarańczowo-szara. Staruszkowie usiedli na ławce, by dać ulgę strudzonym plecom.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, wdychając słone podmuchy bryzy, która niosła na wzgórze stłumiony szczeł takielunku objijającego się o maszty łodzi zakotwiczonych w zatoce oraz pojedyncze krzyki i tupot bawiących się dzieci.

- Ej! - powiedział mężczyzna, wyrwany nagle z rozmarzenia. - Psom nie wolno tu wchodzić! Poszedł! - Klasnął w dłonie, chcąc spłoszyć niewielkiego kundla, który drzemał zwinięty w kłębek, ledwo widoczny w trawie przy jednym z kamieni nagrobnych.

Zwierzę leniwie podniosło głowę i popatrzyło na niego.

- Wynoś się, już! - powiedział mężczyzna. - Do domu! Poszedł!

Kobieta cmoknęła niezadowolona.

- Tacy już są ci nowi ludzie - mruknęła do mężczyzny, wyciągając dłoń i poklepując go po ramieniu. - Nie warto o nich gadać.

- Powinni mieć trochę szacunku - odparł mężczyzna gderliwie i objął żonę opiekuńczym gestem.

- Ano powinni - przyznała i przysunęła się do niego.

Pomarańczowy odcień zmarszczonej powierzchni wody ustępował przed atramentowym granatem, który sączył się spomiędzy fal i rozlewał stopniowo po całym porcie.

Tymczasem pies wstał bez pośpiechu. Wysuwając przednie łapy, przeciągnął się i ziewnął. Potem oddalił się od kamienia, przy którym drzemał, a kiedy mężczyzna obejrzał się, by jeszcze raz go pogonić, wydało mu się, że zwierzę zniknęło.

Nagrobek, powoli wtapiający się w coraz głębszy mrok, był zwykłą łupkową płytą, obitą na brzegach i przechyloną. Wryty napis dawno już został starty przez deszcz i upływ czasu, aczkolwiek przy bliższym spojrzeniu dałoby się jeszcze dostrzec, że pierwszą literą imienia mogło być D.

TLR

POSTSCRIPTUM

*Prawdziwe czarownice
w prawdziwym życiu*



Ani dla historyka, ani dla powieściopisarza procesy czarownic z Salem z roku 1692 nie są niczym nowym. Tyle że kiedy pojawiają się w literaturze albo w pracach historycznych, z góry zakłada się, że nie mogło chodzić o czary. Mówi się więc, że do procesów doszło na skutek rywalizacji w życiu społecznym miasta Salem i wioski Salem (obecnego Danvers) lub na skutek napięć powstających w związku z rolą kobiet w kulturze północnoamerykańskich kolonii. Zdaniem niektórych interpretatorów opętane dziewczynki najadły się spleśniałego chleba, który wywołał u nich halucynacje. Natomiast pomija się fakt, że dla osób, które doświadczyły paniki w Salem, procesy dotyczyły najprawdziwszego uprawiania czarów. Wszystkie zaangażowane w nie osoby - sędziowie, przysięgli, duchowni, oskarżyciele i obrońcy - żyły w systemie religijnym, który nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że czarownice istnieją naprawdę, diabeł zaś może wyrządać szkody na ziemi przy pomocy swoich ludzkich popleczników. Kiedy zaczęłam obmyślać fabułę *Zaginionej księgi z Salem*, postanowiłam dla odmiany przyjąć pogląd wieśniaków z Salem: a jeśli czarownice istniały naprawdę?

Do pewnego stopnia zresztą rzeczywiście istniały, choć nie w taki sposób, w jaki myślimy o nich dzisiaj. Średniowieczna i wczesnonowożytna Anglia miały

długą tradycję zamawia- czy {*cunning folk*}, mądrych członków społeczności lokalnych, którzy sprzedawali usługi okultystyczne: od zwykłego wróżenia przez odnajdywanie zgub po uzdrawianie z rozmaitych chorób. Szczególną rolę odgrywali zamawiacze wyspecjalizowani w odczynianiu uroków; jeśli ktoś podejrzewał, że czarownica rzuciła na niego urok, zwrócenie się do zamawiacza lub zamawiaczki dawało największą szansę na ulgę w cierpieniu. Przeważnie byli to ludzie zręcznie prowadzący interesy, zawsze też mieli dość podejrzaną reputację; bądź co bądź, jeśli ktoś dysponuje władzą zdejmowania uroków, to można przypuszczać, że potrafi je również rzucać.

Większość zamawiaczy wywodziła się z warstwy rzemieślniczej, a nie spośród robotników, ponieważ kupcy i rzemieślnicy mogli bardziej elastycznie gospodarować czasem, by przyjmować klientów, jak również częściej umieli czytać i pisać. Zaklęcia, którymi się posługiwano, pochodziły zarówno z publikowanych ksiąg magicznych (grymuarów) tłumaczonych na angielski z łaciny, jak i z praktyk pochodzących z czasów chrześcijaństwa przedreformacyjnego.

Panuje opinia, że ludowa tradycja zamawiaczy nie mogła przybyć wraz z kolonistami do Nowej Anglii z dwóch powodów: po pierwsze, wyznawali oni skrajną formę protestantyzmu, w której nawet Boże Narodzenie uważano za zbyt pogańskie, a po drugie z uwagi na całkowitą nowość przestrzeni fizycznej Nowego Świata. Szczególne cechy magii, odnoszące się do specjalnych przedmiotów, specjalnych modlitw i specjalnych miejsc, były przecież nierozzerwalnie związane ze Starym Światem.

Czy jednak rzeczywiście? Kiedy po raz pierwszy wybuchła panika w Salem, wieśniaczka Mary Sibley była zdania, że sprawcę zamętu można wykryć za pomocą ciasta czarownicy, podpłomyka z mąki żytniej i moczu opętanych dziewcząt, który upieczono i dano do zjedzenia psu. Choć jej osobowość pokazana w tej powieści jest wytworem mojej fantazji, to jej zachowanie już nie. Prawdziwa Mary Sibley została zganiona za posłużenie się diabelskimi środkami dla

zdemaskowania działania diabła, a dalej żyła w przeświadczeniu, że ciasto czarownicy ma realną moc i można je zastosować do rozwiązania problemu czarów w Salem. Podobnie tajemniczy magiczny kamień graniczny, wspomniany w książce, ma za wzór prawdziwy kamień z Newbury w Massachusetts. Magia istniała więc w codziennym życiu kolonistów Nowej Anglii, choć w dość zakamuflowany sposób.

Odtwarzając świat otaczający Deliverance i jej rodzinę, starałam się zachować jak największą dbałość o szczegóły, zwłaszcza dotyczące strojów i wyposażenia wnętrz. Przez tekst przewijają się również liczne prawdziwe postaci, choć spieszę dodać, że zgodnie z regułami fikcji literackiej niektóre szczegóły ich życia zostały upiękkszzone lub zmienione. Postaciami historycznymi są sędzia i przyśięgli z procesu o oszczerstwo, wytoczonego w tysiąc sześćset osiemdziesiątym drugim roku przez Deliverance, podobnie jak Robert „King” Hooper, zamożny kupiec z Marble-head. Opis postaci pełniącego obowiązki gubernatora Williama Stoughtona, przewodniczącego procesowi czarownic w Salem, oparłam na jego istniejącym portrecie.

Zgodny z prawdą historyczną jest również charakter dowodów zgromadzonych przeciwko oskarżonym o czary, w tym tzw. cycek czarownicy, służący karmieniu czarciego potomstwa i chowańców. Zjawisko to stanowiło jedyną weryfikowalną formę fizycznego dowodu; niemal cała reszta materiału dowodowego była „widmowa”, czyli opierała się na zeznaniach świadków, którzy widzieli widma oskarżonych uprawiające czary. Historycy nie są zgodni w ocenie tego, czym mógł być naprawdę cycek czarownicy. Różni badacze wskazują na patologiczny trzeci sutek, narośla i znamiona na skórze oraz - najczęściej - na łechtaczkę.

W świecie pozbawionym sztucznego oświetlenia, lusterek kosmetycznych, prywatnych sypialni i łazienek, pogląd, że kobiety czuły się do pewnego stopnia wyobcowane z ciała, wydaje się uzasadniony.

Co najważniejsze, kobiety współoskarżone z Deliverance w procesie czarownic - Sarah Wildes, Rebecca Nurse, Susannah Martin, Sarah Good i Elizabeth Howe - są postaciami historycznymi, prawdziwe są również daty ich osądzenia i egzekucji. Staralam się przedstawić osobowości tych postaci zgodnie z naszą wiedzą o nich, aczkolwiek pozwoliłam sobie na pewne dowolności w stosunku do Sarah Good. Epizodycznie pojawiają się w książce również inni oskarżeni o czary: Wilmott Redd z Marblehead, Sarah Osborne, która umarła w więzieniu, oraz pozbawiony godności duchownego George Burroughs. Sarah Good naprawdę odgrażała się pod szubienicą, krzyżąc: „Taka ze mnie czarownica, jak z ciebie czarownik, a jeśli odbierzesz mi życie, Bóg da ci krew do picia!”. Co ciekawe, miejscowa tradycja utrzymuje, że człowiek, który był adresatem tej groźby, Nicolas Noyes, umarł po latach z powodu krwotoku, w pewnym sensie więc przepowiednia Sarah się sprawdziła.

Przypadek córki Sarah Good, Dorcas, skłonił mnie do pokazania, w jaki sposób skutki procesu jeszcze po latach odbijały się na rodzinach oskarżonych. Prawdziwa Dorcas, dziewczynka cztero- lub pięcioletnia, spędziła w bostońskim więzieniu osiem miesięcy, a jej matka została powieszona. Wskutek tego podwójnego koszmaru mała Dorcas postradała zmysły. W tysiąc siedemset dziesiątym roku jej ojciec William Good pozwał miasto, domagając się pomocy w jej utrzymaniu, twierdził bowiem, że Dorcas „skuta łańcuchami w lochu została tak ciężko doświadczona i przestraszona, że już zawsze potem była wielkim ciężarem, w najlepszym razie mając tylko resztki jasnego umysłu, by sobą władać”. Nawet dla tych, którzy ostatecznie zostali uniewinnieni, uwikłanie w procesy powodowało, że całe rodziny ponosiły ich ekonomiczne i społeczne konsekwencje jeszcze w osiemnastym wieku - co tłumaczy surowe warunki, w jakich żyły występujące w książce Mercy i Prudence.

Przedstawienie postaci Prudence Bartlett jako osiemnastowiecznej akuszerki z Marblehead, która prowadzi dziennik, zawdzięczam pracy Laurel Thatcher Ul-

rich o Marcie Ballard, osiemnastowiecznej akuszerce z Maine, która zapisywała w dzienniku swoje codzienne czynności (choć, co trzeba podkreślić, nie była czarownicą).

Różne elementy magiczne przewijające się przez tę opowieść pochodzą z badań, jakie prowadziłam nad księgami magicznymi w British Museum, a zwłaszcza nad tekstem o nieustalonym wieku i autorstwie, zwanym *Kluczem Salomona* (żadnych północnoamerykańskich ksiąg magicznych z okresu kolonizacji nie znaleziono, przynajmniej do tej pory). Magiczne koło umieszczone na drzwiach domu przy Milk Street zostało skopiowane z rękopisu znajdującego się w Bibliothèque de l'Arsenal w Paryżu, przedrukowanego we współczesnej książce o historii okultyzmu. Podobnie uzdrawiające zaklęcie „Abra-kadabra” pochodzi z rzymskiego talizmanu, którego trójkątny kształt miał wyciągać chorobę z ciała; zostało ono omówione w innej współczesnej książce o magii ludowej. Uryna i butelki na czarownice były powszechnie stosowane w zamawianiu, zgodnie z logiką magii ludowej, w myśl której fragment ciała może zastępować jego całość. Wreszcie „klucz i Biblia” oraz „sito i nożyce” były bardzo rozpowszechnionymi technikami głównego nurtu wróżbiarstwa, używanymi jeszcze w dziewiętnastym wieku. Każdy, kto podejmując decyzję, próbował rzucać monetą lub potrząsać magiczną kulą numer osiem, miał w rękach współczesne ekwiwalenty tych technik.

A co z Deliverance Dane? W rzeczywistości oskarżenie przedstawiono jej już pod koniec paniki w Salem, kiedy fala zaczęła docierać dalej, do wsi hrabstwa Essex. Mieszkała ona z mężem Nathanielem w Andover, w Massachusetts, i w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym drugim roku uwięziono ją na trzynaście tygodni pod zarzutem uprawiania czarów. Niewiele o niej wiadomo oprócz tego, że przeżyła procesy, poza tym, inaczej niż w przypadku kilku innych kobiet, nie ma dowodu na to, że rzeczywiście była zamawiaczką. Udało mi się znaleźć tylko jeden dotyczący jej dokument, a mianowicie rachunek wystawiony Nathanielowi

za utrzymanie Deliverance w więzieniu. Wraz z innymi kopiami i elektronicznymi wersjami autentycznych dokumentów sądowych można go obejrzeć w cyfrowym archiwum dotyczącym czarów w Salem, prowadzonym przez University of Virginia.

Chcę też powiedzieć parę słów na swój temat. Badania genealogiczne kolejnych pokoleń kobiet z rodziny Howe wykazują nasze pokrewieństwo zarówno ze skazaną za czary Elizabeth Howe, która epizodycznie pojawia się w powieści, jak i z sądzoną za czary Elizabeth Proctor. To ostatnie uważa się za bliższe, jako że Elizabeth Proctor przeżyła procesy, a Elizabeth Howe - co czytelnicy już wiedzą - nie.

Przez długi czas wiedza o tym stanowiła po prostu jeszcze jeden dziwaczny i zabawny szczegół związany ze mną, który mało kto znał. Potem jednak, po kilku latach mieszkania i pracy w Cambridge przyjechałam do hrabstwa Essex w stanie Massachusetts. Kiedy przyzwyczajaliśmy się do życia na Północnym Wybrzeżu, duże wrażenie zrobiło na mnie to, jak bardzo w Nowej Anglii przeszłość wciąż rzutuje na teraźniejszość, zwłaszcza w niedużych miasteczkach, gdzie ludzie mają dobrą pamięć, a także to, jak dalece osobowość pierwszych kolonistów została zatracona w narodowym micie. W sypialni naszego niedużego, lecz bardzo starego wynajętego domu znaleźliśmy z mężem niedużą końską podkowę, pomalowaną i powieszoną nad tylnymi drzwiami na szczęście, a może - trudno definitywnie stwierdzić, co z tego jest prawdą - dla odstraszenia złych mocy.

Opisaną tu historię zaczęłam sobie opowiadać, przygotowując się do doktorskiego egzaminu kwalifikacyjnego w ramach American and New England Studies w Boston University, kiedy zabierałam psa na długie spacery do lasu między Salem a Marblehead. Udoskonaliłam ją potem, prowadząc z dwiema grupami studentów pierwszego roku Boston University zajęcia pro-pedeutyczne i seminarium poświęcone czarom w Nowej Anglii. (Szczególnie spodobało im

się dodatkowo premiowane zadanie, polegające na znalezieniu dwóch różnych metod zdjęcia uroku z krowy oraz opisaniu wad i zalet obu).

Powieść dała mi niepowtarzalną okazję, by przywrócić indywidualność - aczkolwiek fikcyjną - niektórym z tych odchodzących w zapomnienie ludzi. Do historii Deliverance odczuwałam pociąg również dlatego, że jako mieszkanka Nowej Anglii poczuwam się do spuścizny po trudnych i czasem nadmiernie lubiących książki kobietach. Czy znajomość nietuzinkowej przeszłości moich odległych przodkiń zaważyła na wyborze pracy doktorskiej na temat kultury Ameryki Północnej? Jestem przekonana, że tak. Podejrzewam jednak, że nawet gdybym nie zdobyła tej wiedzy, fakt, że były czarownicami, cokolwiek przez to rozumiemy, przyczynił się do tego, że jestem dziś tym, kim jestem. Wyrażam wdzięczność ludziom, którzy odeszli, za każdą cząstkę ich osobowości, którą po nich odziedziczyłam.

Katherine Howe Marblehead, Massachusetts